



**LOTTE I SØREN
HAMMER**

SZALONY POLAK

PRZEKŁAD AGNIESZKA ŚWIERK

**LOTTE I SØREN
HAMMER**

SZALONY POLAK

PRZEKŁAD AGNIESZKA ŚWIERK



Tytuł oryginału: Den sindssyge polak
Przekład z języka duńskiego: Agnieszka Świerk-Zienkiewicz

Copyright © Lotte Hammer Jakobsen, Søren Hammer Jacobsen, 2023
This edition: © Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S, Copenhagen 2023

Projekt graficzny okładki: Marcin Słociński

Redakcja: Maria Zając
Korekta: Magdalena Bugalska

ISBN 978-87-0235-148-4

Konwersja i produkcja e-booka: www.monikaimarcin.com
Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe.

Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S

Klareboderne 3 | DK-1115 Copenhagen K

www.gyldendal.dk

www.wordaudio.se

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Część I Statek wycieczkowy.

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Część II Leśniczy.

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Część III Proces sądowy.

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Część IV Dom w Bośni

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66

Rozdział 67

Rozdział 68

Rozdział 69

Rozdział 70

Rozdział 71

Rozdział 72

Rozdział 73

Rozdział 74

Epilog

Część I

Statek wycieczkowy

Rozdział 1

Niedziela, 22 sierpnia 2010 roku, Christianshavn

Na moście prowadzącym na wyspę Amager stał mężczyzna i wpatrywał się w Kościół Marmurowy. Tambur i kopuła budynku odbijały promienie słońca. Od jego ostatniej wizyty w mieście minął już rok i czuł się tu nie-swojo. Zdecydowanie wolał odludniejsze miejsca, najchętniej wybierał las. Odwrócił się i obrzucił wzrokiem krótki odcinek kanału, który mógł stąd zobaczyć. Później, na wysokości zbiornika wodnego Erdkehlgraven oddzielającego dzielnicę Frederiksholm od ulicy Refshalevej, kanał skręcał na wschód. Trawiasty brzeg gdzieś tam porośnięty był krzewami i pojedynczymi brzoškami. Wyrosły niegdyś na zboczu, więc teraz pięły się w górę wygięte w charakterystyczny łuk. Do jego uszu dobiegł śmiech kąpiącej się nieopodal młodzieży. Szybko oszacował odległość. Przynajmniej pięćdziesiąt metrów, więc nie będą w stanie go rozpoznać. Stał i przez chwilę przyglądał się pluskającym małolatom, po czym odwrócił głowę.

Kiedy ponownie spojrział w górę kanału, spostrzegł statek wycieczkowy i głośno nabrał powietrza w płuca. Na pokładzie zobaczył dzieci, całe mnóstwo dzieci. Nie powinno ich tam być, nie tak się umawiali. Na krótką chwilę ogarnęło go zwątpienie i prawie się rozmyślił. Później jednak zagryzł mocno zęby i zacisnął pięści. Pomogła mu, a teraz przyszedł czas, by on odwdzieczył się jej tym samym. Tak to już w życiu jest. Lojalność, jedność i braterstwo... Nic innego się nie liczy.

Nie było nawet tak wysoko, jak się spodziewał. Perfekcyjnie utrzymując równowagę, wylądował na zadaszaniu pokładu rufowego, a z niego zeskoczył na główny. Następnie szybko się przeturlał i ukrył między dwoma rzędami siedzeń. Po chwili nad jego głową wysoko w górze przesunęły się

trzy maszty żaglowca szkolnego Georg Stage, o którym po angielsku opowiadała właśnie przewodniczka.

Przedramieniem otarł pot z czoła i powoli policzył w myśli do dziesięciu, by uspokoić oddech. Było tak ciasno, że zdjęcie plecaka zajęło mu dobrą chwilę. Wyciągnął z niego nóż i spokojnie czekał, czując, jak statek kołysze się nieco mocniej niż wcześniej. Płynął w stronę wejścia do portu, gdzie potem miał zmienić kurs i odbić ostro na prawą burzę, by skierować się na północ, do Portu Zewnętrznego. Przewodniczka znużonym głosem opowiadała anegdoty o mijanym właśnie legendarnym okręcie podwodnym o nazwie Foka, który był już statkiem muzealnym. Siły Zbrojne Królestwa Danii wykorzystały go podczas operacji „Pustynna burza”, po tym, jak królestwo przyłączyło się do „koalicji chętnych” w wojnie irackiej. Kobieta powtórzyła pointę, przesadnie akcentując słowa:

– Łódź podwodna użyta w operacji „Pustynna burza”!

Ukryty między rzędami siedzeń mężczyzna posiadał wiedzę wojskową i miał świadomość, że sławetny okręt był już około czterdziestoletnim wrakiem, gdy w dwa tysiące trzecim roku wysłano go do Zatoki Perskiej. W drodze na miejsce starć, a w każdym razie po drodze, doszło w nim do awarii systemu chłodzenia. Załoga spędziła więc wiele dni zamknięta w temperaturze czterdziestu pięciu stopni Celsjusza. Marynarze zmagali się z infekcjami grzybiczymi, mieli pęcherze, rozliczne stany zapalne i alergię. Później, po zakończeniu misji, łódź trzeba było przetransportować do Danii na pokładzie niemieckiego frachtowca. Duński rząd przyjął to jednak z zadowoleniem. Padły wielkie słowa: „Również Dania zawałczyła o pokój na świecie i sprzeciwiła się dyktaturze. Dobra robota, Foko!”. Retoryka polityczna jak zwykle rodem z superligi, podczas gdy ciężkie uzbrojenie ledwo dosięgało do czwartej. Jak on tego, kurwa, nienawidził...

Odgonił myśli i skoncentrował wzrok na owalnej formacji chmur, która właśnie płynęła po niebie. Gdy tylko oszacował, że przesunęła się ona względem statku o jakieś dziewięćdziesiąt stopni, natychmiast wstał. Ruszył przed siebie środkowym przejściem zdecydowanym, acz nieprzesadnie szybkim krokiem. Zanim przewodniczka go spostrzegła i przeraźliwe krzyknęła, zdążył już rozplatać pierwsze dwie ofiary. Sternik ledwo

odwrócił głowę i po chwili też był martwy. Padł bez życia na ster, zalewając krwią panel sterowniczy. Później przyszła pora, by uciszyć przewodniczkę. Szybkim cięciem rozpruł dolną część jej tułowia, po czym dźgnął ją w szyję. Patrząc na niego niepomiernie zdziwionymi oczami, zwinęła się w kłębek i chwyciła za brzuch. Odwrócił głowę i zatrzymał wzrok na kobiecie, która – nie licząc jego samego – była ostatnią dorosłą osobą na pokładzie. „Azjatka, Japonka lub Chinka”, pomyślał. Nie potrafił z całą pewnością określić jej pochodzenia. Nie wiedział też wcale, czy powinien ją zabijać. Dzieci nie tknie, ale przy niej się zawahał. Pomogła mu, wyskakując nagle za burtę. Widział, jak desperacko wymachuje rękoma, i słyszał, jak woła o ratunek w nieznanym mu języku. Najwyraźniej nie umiała pływać. Cisnął nóż do wody. Po chwili ogarnęła go irytacja. To był przecież świetny nóż, długo i dobrze mu służył.

Wrócił na miejsce, gdzie zostawił swoje rzeczy, i tam się rozebrał. Pod spodem miał kąpielówki. Przerażone dzieci wpatrywały się w niego nic nierozumiejącymi oczyma. Niektóre tuliły się do siebie nawzajem, ale żadne nie odezwało się ani słowem. Nie patrząc na nie, wrzucił ubrania i buty do wodoszczelnego plecaka, założył go i wyregulował pas biodrowy. Potem wsunął nogi w pletwy, wetknął do ust rurkę do nurkowania, rozejrzał się pośpiesznie na boki i tyłem wyskoczył za reling.

Płynął tak szybko, jak tylko mógł, zostawiając statek daleko za sobą. Dotarł do południowego falochronu fortu morskiego Tre Kroner i jednym susem wdrapał się na kamienie. Później znów wskoczył do wody i już bez większego wysiłku ruszył w kierunku farmy wiatrowej Middelgrunden. Zaplanował, że w połowie drogi skręci i opłynie łukiem obszar portowy Nordhavn, uważając, by nie zbliżyć się za bardzo do lądu, a potem, kierując się na północ, wzdłuż linii brzegowej, dotrze do baterii haubic w forcie Charlottenlund. Czekala go długa droga – osiem, może dziesięć kilometrów, ale woda miała jakieś piętnaście stopni, więc nie obawiał się, że dostanie hipotermii. Wziął też ze sobą banany, batoniki energetyczne i wodę. Poza tym uwielbiał pływać.

Rozdział 2

Niedziela, 22 sierpnia 2010 roku, Nordhavn w Kopenhadze

Kapitan promu Pearl Seaways kursującego na trasie Kopenhaga–Oslo był wyraźnie zmęczony. Trąc kąciki oczu, za wszelką cenę usiłował odgonić migające plamki, które tańczyły mu w polu widzenia. Drugą ręką próbował zaś ustawić odpowiedni kurs, przesuwając nieznacznie ster. Miał obrócić prom i zacumować tyłem przy nabrzeżu terminalu DFDS. Wykonał podobny manewr niezliczoną ilość razy i od dawna była to dla niego czynność zupełnie rutynowa. Mimo to nigdy nie zlecał tego innym. Stłumił ziewnięcie i poprosił pierwszego oficera, który stał za nim, patrząc na port, o kolejną filiżankę kawy.

To była długa noc, a on nie miał szans się wyspać.

Obudzono go o trzeciej nad ranem. Zachorował jeden z pasażerów, czteroletni chłopiec. Miał gorączkę, bolała go głowa, a kark niepokojąco mu zeszywniał. Kapitan ubrał się więc pospiesznie i udał na pokład siódmy, żeby zobaczyć dziecko. Po krótkiej konsultacji ze szpitalem w Esbjerg przez ogólnoswiatowy system radiostacji Medical Radio postanowił wezwać lekarza za pomocą głośnikowego systemu powiadamiania. Zakłócił tym samym nocny sen ponad tysiąca pasażerów. Na jego wezwanie już po chwili stawilo się czterech różnych lekarzy i jeden z nich zdiagnozował u malucha zapalenie opon mózgowych. Lekarka skierowała dziecko w trybie pilnym do szpitala. Wezwano helikopter z Göteborga, a kapitan zatrzymał prom i ustawił go tak, by zapewnić ratownikom odpowiednie lądowisko. Cała operacja przebiegła bez zarzutu, a on, mimo że nic więcej nie mógł już zrobić, został na mostku. Chwilę przed piątą rano otrzymali ze Szpitala Uniwersyteckiego Sahlgrenska informację, że życiu chłopca nie zagraża, ale o mały włos byłoby za późno. Gdy w końcu się położył, nie

mógł zasnąć. W głowie dźwięczały mu przerażające słowa: „O mały włos...”. Nie mógł przestać o tym myśleć. Sięgnął po filizankę i ze zdumieniem stwierdził, że jest pusta. Przez moment zastanawiał się, czy rzeczywiście poprosił o następną kawę, czy tylko miał zamiar to zrobić. Kątem oka spojrzał więc na pierwszego oficera, który stał za nim dokładnie tak jak wcześniej.

– Halo, tu ziemia! Nad czym tak dumasz?

– Hmm... Myślę o tym statku wycieczkowym. Też go widziałeś, prawda?

Jasne, że widział...

– Coś z nim nie tak? – spytał może odrobinę za ostrym tonem.

– Noo... Chodzi mi o to, co on tam robi. Nie powinno go tu być.

Kapitan wyteżył wzrok, by przyjrzeć się wycieczkowcowi. Płynął prosto na nich i powinien za moment odbić.

– Weź lornetkę – polecił swojemu podwładnemu.

Mostek znajdował się na wysokości piątego piętra, a przez wielkie, nachylone pod odpowiednim kątem panoramiczne okna miało się widok na trzy strony świata. Pierwszy kapitan podszedł do szyby i w skupieniu patrzył przez lornetkę. Jego przełożony czekał ze zmarszczonymi brwiami. Miał świadomość, że łódź zbliża się do nich z dużą prędkością. Było to widać gołym okiem. Uruchomił sygnalizator akustyczny i nadał pięć krótkich sygnałów ostrzegawczych, które nawet na mostku, za grubym szkłem, niemalże rozsadały bębenki w uszach. Kilku robotników w żółtych kaskach i ubraniu roboczym, którzy z tej odległości przypominali raczej miniaturowe ludziki, odwróciło głowy i spojrzało na statek przy nabrzeżu Langelinie. Nie było żadnej reakcji ze strony załogi drugiego statku... Spróbował jeszcze raz, niestety znowu nic to nie dało.

– Wydaje mi się, że widzę sternika, leży na kole sterowym i...

Nie dokończył. Stał dalej, przyciskając do oczodołów okular lornetki.

– I co? Czekam na konkrety.

– Na pokładzie są dzieci.

– Czas, odległość?

– To nie są duńskie dzieci. Mają azjatyckie rysy...

Kapitan skończył czterdzieści pięć lat, co oznaczało, że osiągnął szczyt swojej kariery w stosunkowo młodym wieku. Miał pod sobą prawie dwustu podwładnych i odpowiadał za milionowy biznes. Przede wszystkim jednak był marynarzem, do tego piekielnie zdolnym – w przeciwnym razie nigdy nie powierzono by mu tego stanowiska.

– Wezwij na pokład dziobowy bosmana z krótkofalówką i podaj mi ich pozycję.

Później, podczas przesłuchania w sprawie katastrofy na morzu, przekazano mu szczere wyrazy uznania. W krytycznej sytuacji zachował trzeźwy osąd: otóż wykalkulował, że jeśli przesunie ster skrajnie w prawo i maksymalnie zwiększy prędkość statku, zyska kilka węzłów i parę stopni. Dzięki temu prom miał przeciąć trasę statku wycieczkowego w ostatniej chwili, unikając tym samym zderzenia.

Los chciał jednak inaczej... Kapitan nie wziął bowiem pod uwagę dryfu jednostki. Łódź, niesiona prądem morskim i falami, nie płynęła prosto, tylko zaczęła lekko zakręcać. Poza tym w ostatniej, brzemiennej w skutkach minucie, znacznie zwiększyła prędkość. A tego już nikt nie mógł przewidzieć.

W uszach nadal dźwięczały mu mrozące krew w żyłach słowa bosmana:

– Pięćdziesiąt metrów. – Po chwili: – Czterdzieści, może nawet mniej.

– I na koniec: – Kurwa, nie zdążymy!

Wycieczkowiec znikł z pola widzenia kapitana. Przez ostatnie trzydzieści sekund nie miał możliwości manewru, pozostało mu tylko czekać. Położył dłonie na sterze i zaczął w myślach odmawiać modlitwę. Zamierzał się tak modlić do czasu, kiedy... kiedy znowu będzie mógł odetchnąć z ulgą i opowiadać potem wszystkim, że o mały włos doszłoby do katastrofy. O mały włos, a jednak – jak zawsze dotąd – wyszli z tego cało.

O tym, że zderzyli się ze statkiem wycieczkowym, bosman poinformował najpierw zaskakująco cichym i spokojnym głosem:

– Przecieliśmy go na pół... – wyszeptał. Po czym po chwili, śmiertelnie przerażony, wykrzyczał histerycznie na całe gardło: – Zatrzymać śruby! Na

miłość boską, wciągnie ich w śruby!!!

Kapitan natychmiast odciął zasilanie, uświadamiając sobie przy tym, że każda ze śrub ma średnicę prawie pięciu metrów. Zapomniał jednak zupełnie, ile ważą.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie ma szans, by wykonał polecenie bosmana. Byłoby to sprzeczne z prawami fizyki...

Rozdział 3

Niedziela, 22 sierpnia 2010 roku, Marmormolen, Nordhavn

Szef wydziału zabójstw Konrad Simonsen zacisnął powieki, po czym spojrzął na port. Na wodzie panował niespotykany ruch. W akcji ratunkowej uczestniczyło piętnaście, a może dwadzieścia jednostek pływających. W większości były to pontony z dwu- do czteroosobową załogą należące do różnych organizacji, w tym morskich oddziałów Obrony Terytorialnej, pogotowia ratunkowego Falck, straży przybrzeżnej i Stacji Marynarki Wojennej w Holmen. Do tego dwa statki pilotowe należące do portu w Kopenhadze. Te ostatnie zajęły się holowaniem na brzeg większych fragmentów wycieczkowca, podczas gdy zespół w pontonach skupił się na poszukiwaniu tych, którzy przeżyli, i transporcie zwłok na ląd. Całe nabrzeże zastawione było karetkami pogotowia, a nad basenem portowym latały dwa helikoptery, w tym śmigłowiec Sikorsky należący do służb ratowniczych marynarki wojennej – łatwo rozpoznawalny z uwagi na kanarkowożółtą kabinę i przesadnie wielki napis „SŁUŻBY RATUNKOWE” nad drzwiami. Skrupulatnie patrolował całą okolicę, wykonując przeloty około dziesięciu metrów nad lustrem wody. O wiele wyżej niż on, bliżej cieśniny Sund, unosił się helikopter jednej ze stacji telewizyjnych. Akcją ratunkową z ramienia portu zarządzała jakaś kobieta. Stała obok ambulansów i słyszała, jak raz po raz stanowczym tonem wydawała polecenia przez krótkofalówkę.

Simonsen był wysokim i barczystym mężczyzną koło sześćdziesiątki. Miał spokojne usposobienie i bezpośredni sposób bycia. Jego wygląd i obejście dużo mówiły o tym, jakim był człowiekiem: szefem, który w krytycznych sytuacjach wymagał absolutnego posłuszeństwa, bez zadawania zbędnych pytań. Ruszył w stronę koordynatorki, lecz zatrzymał się w odle-

głośności kilku metrów od niej i czekał, nie chcąc jej przeszkadzać w pracy. Zanim znalazła dla niego czas, minęło dobrych parę minut.

– Wasi technicy muszą poczekać, aż skończymy. Nie wpuszczę ich teraz. Nie potrzebujemy tu jeszcze większego zamieszania – rzuciła zachrypniętym głosem.

– A orientacyjnie, ile na to potrzebujecie?

– Godzinę, może dwie. Dam panu znać.

– Ktoś przeżył?

– Na razie nikogo nie znaleźliśmy...

– Ile ofiar śmiertelnych? Dzieci czy dorośli?

– Nie mam pojęcia. Śruby napędowe zadziały jak gigantyczny malakser, więc nie sposób policzyć...

Simonsen skinął ze zrozumieniem głową, chociaż wiedział, że rzadko się zdarza, by śruby poszatkowały ciało na kawałki. Teoretycznie mogło do tego dojść, ale z reguły nic takiego się nie działo. Ten przesadny patos miał zapewne związek ze silnym stresem, który przeżywała koordynatorka. Znał ten mechanizm aż nazbyt dobrze.

– Kiedy przyjechałam na miejsce, panował tu totalny chaos. Było o wiele gorzej niż teraz, ale zwłoki, albo raczej ich fragmenty, zabrano już do szpitala królewskiego. Taką mam przynajmniej nadzieję. W każdym razie już od dłuższego czasu nie znaleźliśmy... niczego. Proszę wybaczyć, ale teraz nie mogę panu poświęcić więcej czasu. Proszę wrócić do swojego kolegi i poczekajcie na zielone światło. – Wskazała na część nabrzeża znajdująca się bliżej miasta, po czym wróciła do swoich obowiązków.

Arne Pedersen miał czterdzieści trzy lata. Już blisko dziesięć lat pracował w policji kryminalnej i w zasadzie był prawą ręką Simonsena. Funkcja, którą pełnił od dawna, zupełnie niedawno znalazła formalne potwierdzenie – został zastępcą szefa wydziału zabójstw i był z tego powodu niezmiernie dumny, choć nikomu się do tego nie przyznawał. Stał pogrążony w głębokiej zadumie i na początku w ogóle nie zauważył swojego przełożonego.

– Cześć, Simon. Na razie tak sobie stoję i się gapię, bo ciągle nie możemy zacząć. Mam fart, że w ogóle mnie wpuścili. Technicy muszą czekać poza terenem portu, aż będzie można wziąć się do roboty. Co z tym operatorem z telewizji? Udało ci się coś jeszcze z niego wyciągnąć?

Wcześniej tego samego dnia do wydziału zabójstw zgłosił się kamerzysta z nagraniem wideo. Płynął promem kursującym na trasie Kopenhaga-Oslo. Gdy już dobiegali do nabrzeża, wyszedł na pokład, żeby zapalić. Nagle zauważył w basenie portowym wycieczkowiec i wydało mu się to dość osobliwe. Wziął więc z kabiny kamerę, skierował obiektyw na statek, a gdy powiększył obraz, dojrzał tam przynajmniej trzy martwe osoby. I postanowił to nakręcić. Filmował niemalże do momentu kolizji, a gdy tylko zszedł na ląd, udał się prosto do komendy policji. Simonsen, gdy tylko obejrzał film, wysłał na miejsce zdarzenia swojego zastępcę.

– Nie, nic więcej nie miał. O samym wypadku trąbią już oczywiście wszystkie stacje telewizyjne, ale nikt jeszcze nie wiąże tego z żadnym przestępstwem. Hrabianka jest w Instytucie Medycyny Sądowej, Klavs oczywiście przerwał szkolenie i od jutra będzie w pełnej gotowości, Pauline natomiast, jak wiesz, ma urlop, a nigdy nie bierze ze sobą komórki.

Wszyscy troje pracowali tak jak Pedersen w wydziale zabójstw i należeli do grona najbardziej zaufanych ludzi Simonsena.

Hrabianka, która tak naprawdę nazywała się Nathalie von Rosen, była jego żoną. Pobrali się stosunkowo niedawno i jak dotąd bez większych problemów udawało im się godzić życie prywatne ze wspólną pracą. Klavs Arnold dołączył do zespołu kilka lat temu, gdy przeprowadził się z Esbjerg do Kopenhagi. Właśnie pojechał na seminarium do Odense. Zaledwie trzydziestoletnia Pauline Berg była najmłodsza w drużynie i od dwa tysiące siódmego roku, kiedy została porwana, zmagала się z problemami natury psychicznej. Bywały okresy, gdy wykonywała swoje obowiązki wyjątkowo nieudolnie, czasami też nie radziła sobie z nimi w ogóle.

– A może nie będziemy jej przeszkadzać w urlopie, co? Wszyscy wiemy, że bardzo go potrzebuje... – rzucił Arne. Wyraził się nadzwyczaj dyplomatycznie, ale łatwo się było domyślić, co tak naprawdę chciał powiedzieć.

– Gdybym się z tobą zgadzał, nie próbowałbym się do niej dodzwonić. Ale dosyć o Pauline – uciął Simonsen ostrym tonem. – Wiesz, czy wycieczkowiec zatonął?

Pedersen, zamiast odpowiedzieć, zrobił parę kroków w kierunku brzegu i wskazał na coś palcem. Leżąca tam połowa kadłuba – a dokładniej jego przednia część – lekko kołysała się na wietrze. Statek został przecięty mniej więcej w połowie, a solidne deski, z których był zbudowany, wyglądały, jakby ktoś rozrąbał je ogromną siekierą. Na pokładzie brakowało części białych plastikowych siedzeń.

– Druga część, ta cięższa, z silnikiem, poszła na dno – oznajmił.

– Jeśli to będzie fizycznie możliwe, chciałbym, żeby wydobyto ją jeszcze dziś. Poinformuj, proszę, techników. Niech wezwą nurków i zabrają ze sobą cały potrzebny sprzęt.

– Już to zrobiłem, wszystko jest gotowe. Potrzebujemy tylko zezwolenia.

– Wspaniale. Masz dla mnie coś jeszcze?

– Nie... Ekipa w pontonach zbiera pozostałości, a że widok nie należy do przyjemnych, jakoś nie jest mi szczególnie przykro, że nie mogę podejść bliżej.

– Chyba już skończyli, o ile dobrze zrozumiałem.

– To dobra wiadomość.

– Wiesz może, ile mamy dorosłych ofiar?

– Wiem wyłącznie to co ty... Na razie trzy, tyle widać na nagraniu od kamerzysty. Przy czym nie udało mi się jeszcze tego potwierdzić. Hej... patrz tam!

Pedersen wskazał na północny falochron fortu Trekroner, jeden z dwóch, które osłaniały port, obejmując go niczym potężne kleszcze. W niewielkiej odległości od nich stali ratownicy i wpatrywali się w basen portowy. Simonsen nie dostrzegł niczego nadzwyczajnego, ale jego zastępca najwyraźniej miał lepszy wzrok.

– Coś się tam dzieje – powiedział Arne.

Simonsen bez słowa ruszył w kierunku karettek. W połowie drogi spotkał ratowniczkę z firmy Falck.

- Mamy jedną ocalałą osobę, może dwie. To dzieci - rzuciła ściszym głosem.

Rozdział 4

Niedziela, 22 sierpnia 2010 roku, Jutlandia Południowa

„To przedziwne, jak pewne zdarzenia niosą za sobą kolejne”, pomyślał mężczyzna, wyglądając przez okno samochodu. Uśmiechnął się, choć w zasadzie wcale nie było mu do śmiechu, po czym zerknął z ukosa na siedzącą za kierownicą kobietę. Gdy poprzednio jej pomagał, sprawy nie potoczyły się zgodnie z planem. Dlatego właśnie byli teraz tu, gdzie byli. Ku własnemu zdziwieniu zdał sobie sprawę, że jego wspomnienie mocno się wyostrzyło... Nagle przed oczyma przewinięły mu się aż nazbyt wyraźne obrazy, choć od całego zajścia minęły już dwa lata.

Czas mijał, a ta sprawa coraz mniej zaprzątała jego uwagę. Ostatnio w zasadzie w ogóle o tym nie myślał.

Gdy pokazał jej nóż, wzięła dziecko za rękę i ruszyła z nim bez słowa sprzeciwu. Długo szli przez wydmy, a dziewczynka raz po raz się zatrzymywała, by zerwać dla mamy kwiatki, bladoczerwone odporne na słońce i wiatr roślinki, porastające gdzieniegdzie piaszczyste podłoże. Gdy dotarli do zagłębienia między wydmami, związał kobietę w taki sposób, żeby nie porobiły jej się siniaki, gdy będzie próbowała się uwolnić. Zabrał ze sobą cztery gałęzie i porządnie wbił je w piach. Linę, którą miała skrupowane ręce, przeciągnął przez rękawy jej wiatrówki, a stopy związał sznurowadłem. Okoliczności mu sprzyjały, bo miała na sobie spódnice, co znacznie ułatwiło sprawę.

– A teraz posłuchaj mnie uważnie... Nie raz cię ostrzegano, byś trzymała się z dala od Madsa Eggerta... Niestety nie postuchałaś, więc teraz dostaniesz nauczkę. Rozumiesz, Juli?

Tak jej powiedział, użył dokładnie takich słów. Jej córka siedziała w pewnej odległości od nich i grzebała żółtą łopatką w piasku. Pamiętał to wyraźnie, o reszcie wolałby zapomnieć. Sprawy potoczyły się jednak inaczej, niż się spodziewał. To był wypadek. Nie mógł tego w żaden sposób przewidzieć...

Posprzątał po sobie, po czym wybrał na jej komórce numer sto dwanaście, naciskając klawisze jej własnym kciukiem. Tylko tyle mógł zrobić.

Odgonił natrętne myśli i spytał:

– Długo na mnie czekałaś?

Kobieta już miała pokręcić głową, ale rozmyśliła się w ostatniej chwili. Zanim wybrała się na plażę, była jeszcze w Rødovre, potrzebowała zabrać stamtąd kilka rzeczy. O tym jednak nie musiał wiedzieć.

– Trochę ci to zajęło, nie powiem, ale wstąpiłam do kafejki na filiżankę kawy, więc na samej plaży spędziłam najwyżej godzinę.

Mężczyzna pomyślał, że od lat nie pił kawy i nie pamiętał już nawet dokładnie, jak smakuje.

– Cieszysz się, że wracasz do domu, do swojego lasu? – zagaiła.

Potwierdził skinieniem głowy. Istotnie, nie mógł się tego doczekać.

Rozdział 5

Niedziela, 22 sierpnia 2010 roku, Instytut Medycyny Sądowej, Uniwersytet w Kopenhadze

Hrabianka stała oparta o ścianę w prosektorium B, największej z czterech należących do instytutu sal sekcyjnych. Korzystano z niej przeważnie w sprawach zabójstw, w związku z czym zaczęto ją nazywać „salą morderstw”. Policjantka miała trochę ponad czterdzieści lat i wszyscy wokół odbierali ją jako niezwykle profesjonalną, pracowitą, a do tego przesympatyczną osobę. Poza nią samą na miejscu było siedem innych osób. Stosunkowo młoda lekarka medycyny sądowej, której raczej nigdy wcześniej nie spotkała, oprócz niej dwaj fotografowie – jeden z instytutu, a drugi z policji – technik sekcyjny, funkcjonariusz policji kryminalnej z jej własnego wydziału i patolog sądowy. Do tego jakiś mężczyzna, Japończyk, którego wieku nie potrafiła określić. Stał kilka metrów od niej, również opierając się o ścianę. Wszyscy mieli kitle, sterylne białe kalosze, maseczki i siatki na włosy.

Pośrodku pomieszczenia na metalowej kozetce leżały zwłoki dziecka japońskiego pochodzenia. Technik rozciął ciało chłopca, wyjął wszystkie organy wewnętrzne i ułożył je na stole sekcyjnym w głębi sali. Potem zajął się nacinaniem skóry na szyi. Gdy już skończył, odsunął płat przykrywający czaszkę, odsłaniając tym samym kości ciemieniową i czołową, a następnie zabrał się za ich piłowanie, by móc wyjąć mózg. Pomieszczenie wypełniło głośne, nieprzyjemne dla ucha bzyczenie piły. „W dawnych czasach ten dźwięk musiał być jeszcze przenikliwszy”, pomyślała Hrabianka. Między sobą nazywali to narzędzie „wyjącą zakonnicą”. Japończyk odchrząknął. Spojrzała na niego, pewna, że zamierza coś powiedzieć. On jednak nadal stał w milczeniu z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Nie po-

trafiła stwierdzić, czy uważnie obserwuje sekcję, czy też raczej jest pogrążony we własnych myślach.

Zwłoki obrócono następnie na brzuch, po czym wykonano zdjęcia, pod każdym kątem i z różnej odległości. Sześć równoległych głębokich ran biegnących od barku do goleni świadczyło o bliskim spotkaniu chłopca z jedną ze śrub napędowych promu. Kierownik jednostki szczegółowo objaśnił młodej lekarce wszystkie obrażenia, których doznało dziecko. Kobieta przytaknęła głową, zadała parę pytań, po czym podeszła do stojącego w rogu biurka i powiedziała do dyktafonu kilka zdań, z uwagi na odległość nikt wyraźnie ich nie usłyszał. Hrabianka próbowała tymczasem nawiązać kontakt wzrokowy z szefem wydziału, którego bardzo dobrze знаła i lubiła, ale bezskutecznie.

Hans Holgersen, patolog sądowy, pełnił też funkcję ordynatora. Często się więc spotykali, zarówno podczas sekcji zwłok, jak i przy okazji oględzin miejsc zbrodni. Przez wiele lat był najbliższym współpracownikiem legendarnego już profesora Arthura Elvanga, przy czym w przeciwieństwie do jego byłego przełożonego z nim pracowało się dużo łatwiej i bezproblemowo.

Tymczasem w głębi sali lekarka ze skupieniem pobierała wycinki tkanek z narządów wewnętrznych dziecka. Później trzeba będzie opisać ich stan i wprowadzić wszystkie dane do specjalnej tabeli. Była to standardowa procedura i podczas sekcji ściśle jej przestrzegano. Podczas gdy młoda kobieta zajmowała się narządami, technik za pomocą wałka daktyloskopijnego posmarował opuszki chłopca tuszem, by po chwili móc zdjąć odciski palców.

Hrabianka uchwyciła spojrzenie Holgersena, po czym charakterystycznym ruchem kciuka i palca wskazującego dała mu znak, że chce z nim porozmawiać. Ten powiedział coś do młodej lekarki, która natychmiast podeszła do policjantki.

Kobieta zdjęła maseczkę. Miała proporcjonalną sylwetkę, ale w białym kitlu i wciągniętych na gołe łydki gumowcach nie prezentowała się zbyt atrakcyjnie. Teraz, gdy maska nie zakrywała już połowy jej twarzy, wyraźnie było widać, że jest zmęczona. Sprawnym, wyuczonym ruchem zsunęła

jednorazowe rękawiczki, tak żeby nie ubrudzić się krwią, po czym celnie wrzuciła je do stojącego kilka metrów dalej kosza na śmieci.

– Muszę się dowiedzieć, jak zginęli dorośli pasażerowie statku. To znaczy, co w tej chwili udało wam się w tej kwestii ustalić. I ile osób było na pokładzie, nikt nam jeszcze tego nie potwierdził – rzuciła Hrabianka.

Jej rozmówczyni się zawahała, po czym odparła niepewnym głosem:

– Nie jestem upoważniona do udzielania takich informacji...

Po chwili jednak jakby zmieniła zdanie. Możliwe, że to Holgersen dał jej jakiś sygnał, co umknęło uwadze Hrabianki. Młoda lekarka wskazała głową na drzwi, dając znać, że chce, by wyszły razem z sali.

– Dobrze, ale proszę pamiętać, że to tylko wstępne dane.

Szybkim krokiem ruszyła w stronę biura, a Hrabianka podążyła za nią. Tam kobieta zdjęła fartuch i wrzuciła go do kosza na pranie, zmieniła buty, a następnie wyjęła z szuflady biurka niewielki notes.

– Martwe dzieci podzieliliśmy na cztery grupy: część z nich zginęła w wyniku obrażeń po zderzeniu z promem, kilkoro utonęło, jeszcze inne zostały zmasakrowane przez śruby napędowe, a pozostałe wykrawawily się w wodzie z powodu odniesionych ran.

Hrabianka skinęła głową, bo nie chciała się powtarzać, że interesują ją głównie dorośli... Następnie lekarka omówiła dwie z wymienionych grup, na co Hrabianka ponownie przytaknęła i pozwoliła jej mówić dalej.

– Mamy piętnaścioro dzieci, wszystkie w wieku szkolnym, wyglądają na jakieś jedenaście lat i wszystkie są Azjatami.

Podana przez nią liczba nie zgadzała się z tym, co funkcjonariusze sami obliczyli naprędce w wydziale zabójstw po obejrzeniu nagrania przekazanego przez fotografa. Brakowało dwóch osób.

– Dwoje przeżyło – wyjaśniła kobieta. – Dziewczynka leży na oddziale chirurgii urazowej i jest w stanie krytycznym. Nie wiem, gdzie teraz przebywa chłopiec, ale on nie miał żadnych obrażeń.

To była dla Hrabianki zupełnie nowa wiadomość, do tego chyba jedyna dobra pośród tych wszystkich okropieństw.

– A co z dorosłymi? Co o nich wiemy? – spytała.

– Zwłoki są w piwnicy, przy czym zajmiemy się nimi dopiero za jakiś czas.

– Ale była pani już na dole i je oglądała, prawda?

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Pięć ciał: Azjatka po trzydziestce, która utonęła, dwóch mężczyzn i dwie kobiety o kaukaskich rysach. Prawdopodobnie wszyscy zginęli od ran kłutych zadanych nożem. Obie kobiety i jeden z mężczyzn mają około trzydziestki, a ten drugi jakieś pięćdziesiąt i jest... mocno pokancerowany.

– Jest pani pewna, że mowa o pięciu osobach, a nie czterech? – przerwała jej Hrabianka. Zdawała sobie sprawę z tego, jak głupio to zabrzmiało. Zupełnie jakby podejrzewała, że lekarka nie umie liczyć. Mimo wszystko wołała się upewnić.

– Tak, jest ich pięćoro, z tego ciała czterech zostały zidentyfikowane, a jednej z kobiet nie. – Zerknęła do notatnika i zaczęła wymieniać kolejne nazwiska. Najpierw sternika, potem przewodniczki, później Japonki, a na koniec pasażera.

Nagle Hrabianka zamarła...

– Może pani powtórzyć ostatnie nazwisko? Proszę.

– Jonas Ziegler. Miał przy sobie prawo jazdy...

– Muszę zobaczyć ciało! Teraz!

Młoda kobieta się zawahała, ale policjantka była już przy drzwiach. Ton jej głosu świadczył o silnym wzburzeniu i najwyraźniej zapomniała o wszelkich konwenansach. Lekarka wybiegła więc za nią i poprowadziła ją w stronę windy. Wyraźnie było widać, że nie jest jej to w smak, lecz Hrabianka nawet tego nie zauważyła.

W piwnicy panował straszny ziąb, było tam niewiele ponad pięć stopni. Młoda lekarka zadrżała, podczas gdy Hrabianka nawet nie poczuła chłodu. Wręcz przeciwnie... Była tak rozgorączkowana, że bała się, że zaraz spłonie od środka.

Weszły do dużego, nadzwyczaj mało przyjaznego pomieszczenia. Umieszczone na suficie reflektory zalewały je sztucznym neonowym światłem. Zwłoki leżały na ustawionych w równym rzędzie metalowych no-

szach na kółkach, wszystkie przykryte białym prześcieradłem. Hrabianka minęła pierwsze z nich, które bez wątpienia należały do dziecka. Zatrzymała się przy dorosłych i poczekała na lekarkę.

– Ta kobieta, która nie została jeszcze zidentyfikowana. Gdzie ona jest?

Jej towarzyszka wskazała na przedostatnie nosze i wykonała pytający gest.

– Odkryć? – wołała się upewnić.

– Tak, poproszę...

Młoda lekarka podeszła i odsunęła prześcieradło, odsłaniając twarz ofiary. Hrabianka podziękowała. Usiłując zachować zimną krew, oznajmiła, że wie, kto to jest, ale na tę chwilę nie może ujawnić nic więcej. Następnie chwyciła za komórkę i wybrała numer męża, lecz nie udało jej się z nim połączyć. Zadzwoiła więc do wydziału zabójstw i poprosiła, żeby Simonsen natychmiast się z nią skontaktował. Miał pewnie spotkanie, ale trudno... będzie musiał je przerwać – jakkolwiek ważne by było. Nie minęło pół minuty, a telefon zawibrował, sygnalizując połączenie przychodzące.

– Pauline Berg nie żyje, została zadżgana nożem. Była na statku wycieczkowym – poinformowała beznamiętnym głosem.

Rozdział 6

Poniedziałek, 23 sierpnia 2010 roku, komenda policji

Aula pękała w szwach. Simonsen ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu stwierdził, że wielu funkcjonariuszy, którzy przybyli tu z różnych stron – niektórzy aż z Jutlandii – będzie musiało stać. Zabrakło miejsc siedzących. Nikt ich nie wezwał ani nikt nic wcześniej nie uzgadniał. Przyszli do komendy z samego rana pod wpływem nagłego wspólnego impulsu, żeby pomóc, jeśli tylko będą w stanie. W Danii niezmiernie rzadko zdarzały się zabójstwa policjantów. Gdy jednak coś takiego się działo, reagowano solidarnie i zdecydowanie: wszyscy z własnej woli oferowali wsparcie w zakresie, w jakim mogli się przydać, bez względu na to, czy ktoś akurat miał urlop, czy był dzień wolny od pracy, czy też trzeba było pracować w nocy albo po godzinach. Wszelkie prawa pracownicze schodziły w takich okolicznościach na dalszy plan...

Część przybyłych mundurowych znała Simonsena, również ci spoza personelu wydziału zabójstw, w tym tłumie stanowiącego zdecydowaną mniejszość. Simonsen natomiast większość z nich widział po raz pierwszy. W szczególności wielu młodych, którzy teraz spoglądali na niego, gotowi do pomocy. Widok pewnych twarzy mocno go zaskoczył. Zwłaszcza gdy nagle ujrzał na sali swoją własną córkę. Siedziała na samym środku wraz z grupką młodszych funkcjonariuszy z okręgu Kopenhagi Zachodniej. Przecież miała być z chłopakiem na urlopie. Wybierali się na dziesięć dni do Pragi. Ale najwyraźniej zmienili plany... Uśmiechnęła się do niego, a on skinął jej z zakłopotaniem głową i poczuł się paskudnie. Przyszedł też Poul Troulsen, dziś emerytowany już pracownik wydziału. Pedantyczny jak mało kto, zawsze oficjalny, konsekwentny i niezwykle skuteczny, co Simonsen docenił dopiero wtedy, gdy jego podwładny zakończył służbę. Te-

raz bardzo by mu się przydał... Przybyli także jego zwierzchnicy, zarówno komendant komisariatu, jak i Komendant Główny Policji. Siedzieli w tylnym rzędzie, usiłując za wszelką cenę wmieszać się w tłum, ale z marnym skutkiem.

Hrabianka wstała z krzesła i podeszła do męża. Zasugerowała, żeby zaczął od minuty ciszy dla uczczenia ofiar. Miała rację, tak właśnie powinien postąpić, choć wiedział, że czas nagli.

Umówił swoich ludzi na wpół do ósmej, żeby dać sobie – a w praktyce raczej Pedersenowi – wystarczająco dużo czasu na skrzyknięcie części kolegów i rozmieszczenie ich na ulicach wzdłuż trasy wycieczkowca dokładnie dwadzieścia cztery godziny po jego wypłynięciu.

Wielu ludzi miało swoje stałe codzienne zwyczaje, nawet w nocy z niedzieli na poniedziałek. Liczyli, że dzięki temu wzrosną ich szanse na znalezienie świadków zdarzenia. Problem polegał jednak na tym, że obecnie funkcjonariuszy do rozlokowania było pięć razy więcej niż zwykle. Dawało im to naturalnie sporą przewagę, aczkolwiek wymagało również czasu. Postanowił rozwiązać dylemat, zmieniając kolejność poszczególnych punktów spotkania. Na początek zaczął machać do zgromadzonych. Zdziwiająco szybko udało mu się wszystkim uciszyć. Następnie spełnił życzenie żony, to jest, improwizując, z powagą powiedział kilka słów o tragedii, która rozegrała się poprzedniego dnia, oraz jej ofiarach. „Zupełnie się do tego nie nadaję”, pomyślał. Następnie złożył ręce i pochylił głowę, ale tak, żeby mimo to wciąż mieć w zasięgu wzroku wielki zegar wiszący na tylnej ścianie sali. Jego wskazówki wydawały się teraz poruszać przeźrażliwie wolno, co mocno stresowało szefa wydziału.

Ostatnia doba zupełnie go wykończyła – zarówno zawodowo, jak i emocjonalnie. Najgorsza była wizyta w domu rodziców Pauline. Pojechali tam razem z Hrabianką, żeby poinformować ich o śmierci córki. Przekazywanie takich wieści zawsze było cholernie trudne, a to, że znali zmarłą osobiście, zmieniło ten przykry obowiązek w koszmar. Później była cała seria wywiadów dla prasy i do domu w Søllerød Simonsen z żoną dotarli dopiero po północy. Jakby tego było mało, w środku nocy zbudził go telefonem Kurt Melsing, obecnie szef wydziału techniki kryminalistycz-

nej. Zdobył informacje dotyczące zamordowanego mężczyzny, jednego z pasażerów statku. Wyszukiwanie tego rodzaju danych w żadnym razie nie leżało w kompetencjach Melsinga. Nie wyjaśnił też, jak wszedł w ich posiadanie. W obecnej sytuacji nie miało to jednak większego znaczenia. Chodziło o trzydziestoczteroletniego ekspedienta zamieszkałego w północno-zachodniej Kopenhadze. Nazywał się Jonas Ziegler. Simonsen wiedział o tym już wcześniej, ale teraz dowiedział się czegoś więcej: Ziegler był swego czasu leśnikiem w Duńskiej Agencji Lasów i Przyrody w gminie Halsnæs i właśnie wtedy poznał Pauline. To, co ustalił Melsing, wskazywało na dość nieprzyjemne zależności. Dlatego też zadzwonił do swojego szefa w środku nocy.

Berg miała obsesję na punkcie śmierci, która – jak powszechnie wiadomo – jest rzeczą naturalną. Aspirantka jednak wszędzie doszukiwała się przestępstwa i czasem przez wiele tygodni poświęcała swoim śledztwom większość wolnego czasu i masę uwagi w godzinach pracy. To właśnie dlatego nawiązała kontakt z Zieglerem. Teraz Simonsen w końcu będzie musiał przeprowadzić skrupulatne dochodzenie w wyimaginowanej sprawie Pauline, o które funkcjonariuszka wielokrotnie wierciła mu dziurę w brzuchu.

Hrabianka też się obudziła. Mąż streścił jej rozmowę z Melsingiem, po czym zapytał:

– Kiedy zaświtało ci w głowie, że to Pauline może być piątą ofiarą? Po tym jak usłyszałaś nazwisko Zieglera?

– Może... Czy to nie wszystko jedno? – spytała wyraźnie przygnębionym głosem.

Nie odpowiedział. Przez jakiś czas leżeli w ciemności i oboje nie mogli zasnąć.

– O czym myślisz? – przerwała ciszę, zadając prozaiczne pytanie.

– O tym, jak mocno ty, Arne i Klavs jesteście emocjonalnie zaangażowani w tę sprawę. I czy nie lepiej by było was od niej odsunąć...

Hrabianka natychmiast usiadła na łóżku. Minęło jednak trochę czasu, zanim się odezwała.

– A co z tobą? Z twoimi uczuciami?

– Nie mam z tym problemu...

Wciągnęła głośno powietrze, starając się opanować wściekłość.

– Ja pierdołę! Simon... – Przeklinała niezwykle rzadko. Położyła się ponownie, tym razem odwrócona do niego plecami, po czym wyszeptała: – Nie do wiary... Czasami zachowujesz się jak ostatni dupek.

Gdy wskazówka sekundowa okrążyła tarczę wiszącego w auli zegara, Simonsen zakończył minutę ciszy, dziękując zebranim za uczczenie pamięci ofiar. Następnie oddał głos Pedersenowi, by ten przekazał informacje organizacyjne dotyczące akcji poszukiwania świadków.

– Zastępca szefa wydziału zabójstw, Arne Pedersen – przedstawił go.

Wiele osób się uśmiechnęło, w tym sam Pedersen. Dumnie wkroczył na podium, a Simonsen skorzystał z okazji, żeby wyciągnąć z sali Hrabiankę, Troulensa i Arnolda. Wiedział, że Arne nie potrzebuje jego pomocy. Gdy tylko wyszli na korytarz, od razu przeszedł do rzeczy. Żonie przydzielił najszerzej zakrojone zadanie. Podał jej mapę i powiedział:

– Zabierz ze sobą tylu funkcjonariuszy, ilu potrzebujesz, ale zostaw mi kilku najbardziej doświadczonych śledczych. Spróbujcie zdobyć nagrania z monitoringu ze wszystkich kamer na ulicach, które zaznaczyłem na czerwono, ewentualnie też z innych, jeśli wystarczy ci ludzi. Trzeba to zrobić jak najszybciej, najlepiej jeszcze dziś. Musicie zabezpieczyć wszystko: to znaczy nie tylko to, co zarejestrowały nasze kamery, ale także wszelkie nagrania ze stacji benzynowych, fabryk, centrów handlowych, szkół, bankomatów i automatów do wymiany walut, banków, hoteli, restauracji, taksowek, autobusów, dworców kolejowych, peronów, fotoradarów oraz innych miejsc, które mi umknęły. Krótko mówiąc: trzeba sprawdzić wszędzie tam, gdzie mają monitoring. Wiem, że daję ci najbardziej upierdliwą robotę, ale to bardzo ważne. Skontaktuj się później z Maltem i poproś, by uporządkował filmy chronologicznie i wrzucił na serwer, żebyśmy mogli je ściągnąć na swoje komputery.

– Malte uczy się do egzaminu... Mogę zlecić naszym informatykom, żeby stworzyli dla nas bazę danych – rzuciła Hrabianka bez entuzjazmu.

Malte Borup był studentem informatyki, który odbywał praktyki w wydziale zabójstw. Niebawem miał jednak skończyć studia, więc nikt nie

wiedział, jak długo jeszcze u nich zostanie. Simonsen z miejsca obalił plan żony:

– Nie ma szans, policyjni informatycy są ze wszystkim do tyłu... Możesz ewentualnie skorzystać z naszych znajomości i poprosić, żeby przesuwały Maltemu termin na uczelni. Ale ściągnij go tu, bardzo go potrzebuję.

– Poza tym raczej kiepscy z nich hakerzy – dodał sucho Klavs, gwoli uzupełnienia.

Hrabianka ostatecznie się poddała.

– Dobra. Coś jeszcze? – spytała krótko, chcąc zakończyć tę rozmowę.

Simonsen nie miał już nic do dodania, więc mogła wrócić na salę.

Następnie przydzielił zadanie Troulsenowi. Najpierw szybko, zaledwie w dwóch zdaniach, wyraził radość z tego, że znowu go widzi, a potem w dziesięciu ogólnikowo wprowadził go w sprawę.

– Na razie jest za wcześnie, żeby stwierdzić, czy wśród znalezionych ciał jest też zabójca. Ale istnieje taka możliwość. Nie możemy jej na razie wykluczyć... – zakończył.

– Jedno dziecko podobno przeżyło, prawda? – zapytał Troulsen.

– Tak. Chłopiec. Ale jest w szoku i nie da się go przesłuchać. Teraz mieszka w ambasadzie Japonii i Japończycy obiecali skontaktować się z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, jak tylko się czegoś dowiedzą.

Troulsen westchnął wyraźnie zawiedziony, a Simonsen mówił dalej:

– Jeśli sprawca lub sprawcy nie byli pasażerami wycieczkowca, a tak właśnie przypuszczam, zastanawiające jest, jak w takim razie dostali się na pokład. Bo wszystko wskazuje na to, że na pewno nie na Gammel Strand, gdzie rozpoczęła się rejs. Potwierdziło to wielu świadków, między innymi bileterka. To jednak nie jedyna kwestia, którą musisz rozstrzygnąć. Chcę też, żebyś dowiedział się absolutnie wszystkiego na temat tego statku. Masz zdobyć specyfikacje techniczne, jego plan, dane dotyczące prędkości, systemu nagłaśniającego, procedur ratunkowych w sytuacjach kryzysowych i tak dalej. Myślę, że na początku warto się skontaktować z armatorem. Poproś naszych ludzi o legitymację policyjną, w razie gdy-

byś jej potrzebował, zajmij któreś z wolnych biur i wybierz sobie do pracy, kogo tylko zechcesz.

Troulsen powtórzył szczegółowo i aż nazbyt wolno wszystkie swoje zadania, po czym stwierdził, że nie potrzebuje ani legitymacji, ani biura. W tej chwili nie życzył też sobie żadnej pomocy. Simonsen starał się zachować uprzejmy wyraz twarzy, ale gdy tylko jego rozmówca odwrócił się do niego plecami, westchnął z wyraźną ulgą.

Ludzie zaczęli już opuszczać salę, co oznaczało, że Arne załatwił sprawę szybko i skutecznie. Simonsen odciągnął Arnolda na bok, żeby mogli w spokoju porozmawiać. Potem opowiedział mu o Zieglerze i jego wcześniejszej pracy leśnika w gminie Halsnæs. Jutlandczyk z miejsca załapał, o co chodzi. Sam wybrał się kiedyś z Pauline do Melby, gdzie mieli się spotkać z pewnym leśniczym, ale ten nie przyszedł. Pojechał z nią w geście dobrej woli, żeby niejako wesprzeć ją w jej urojonej misji.

Arnold w przeciwieństwie do Hrabianki nie zapamiętał nazwiska. W pamięci utkwilo mu za to coś innego.

– Pauline mówiła o nim „leśniczy”, a nie „leśnik”. Tego jestem absolutnie pewien.

– Zarządca lasu, strażnik leśny, leśnik, leśniczy, kto by się zastanawiał, czym te funkcje się od siebie różnią? Ale jeśli uważasz, że ma to znaczenie, możesz zgłębić temat.

Arnold nie odpowiedział. Nagle jednak jakby dotarło do niego, czym będzie musiał się zająć.

– Czy myślisz, że Pauline mimo wszystko... to znaczy, w taki lub inny sposób...? – spytał wyraźnie poruszony.

Słowa uwięzły mu w gardle, ale Simonsen szybko uciął temat. Było zdecydowanie za wcześnie, żeby się w tej kwestii wypowiadać, a on sam nic nie myślał.

– Co za gówniana sprawa, Simonie – westchnął, co jego szef ponownie zignorował.

– Zaczynj od przeszukania mieszkania Pauline, a przede wszystkim przejrzyj jej telefon. Sprawdź, czy są tam jakieś notatki dotyczące... tej jej sprawy. Zakładam, że tak, więc musisz je odszukać. Daj znać, jak tylko bę-

dziesz coś miał. I jeszcze jedno: mógłbyś zabrać ze sobą Annę Mię i może kilku innych funkcjonariuszy z jej posterunku? Martwi mnie, że tu jest, a jak weźmiesz ją pod swoje skrzydła, to przynajmniej będę wiedział, co robi.

Arnold zmarszczył brwi.

– No tak... Twoja córka też ma prawo pomóc. Były przecież z Pauline bardzo blisko.

Simonsen wycelował w niego palec wskazujący.

– Czy masz jakieś pytania do tego, o co cię poprosiłem?

Jutlandczyk pokręcił głową na znak, że nie.

– W takim razie zabieraj się do roboty.

Rozdział 7

Poniedziałek, 23 sierpnia 2010 roku, komenda policji

Simonsen miał stosunkowo spokojny dzień. Poszczególne grupy wykonywały już powierzone im zadania, on sam zaś wkraczał do akcji jedynie wtedy, gdy pojawiały się jakieś nowe poszlaki. Około dziewiątej rano w komendzie zjawił się Borup, który dla dobra śledztwa bez wielkiego żalu zgodził się na przesunięcie egzaminu końcowego. Simonsen poinstruował go krótko, by wiedział, czego się od niego oczekuje, po czym chłopak z zapałem zabrał się do pracy.

Niedługo potem szef wydziału otrzymał wstępne życiorysy czterech dorosłych osób, które uczestniczyły w rejsie wycieczkowym – naturalnie oprócz aspirantki Berg. Japońska nauczycielka nie wzbudzała podejrzeń. Wraz z trzema innymi pedagogami wybrała się z piątą klasą do Kopenhagi w ramach programu wymiany międzykulturowej między Japonią a Danią. Zarówno dzieci, jak i ich opiekunowie pochodzili z miasta Sendai położonego nad Oceanem Spokojnym, na północ od Tokio. Spędzili w duńskiej stolicy dziewięć dni, a więc przylecieli w zeszły czwartek. Wiele osób, które widziało całe zdarzenie z łądu, relacjonowało, że kobieta wyskoczyła za burtę na wysokości nabrzeża Søndre Toldbod na samym środku wejścia do portu między wyspą Amager a Zelandią. Wydarzyło się to chwilę po tym, jak wycieczkowiec wykonał zwrot o dziewięćdziesiąt stopni, po czym popłynął dalej, w kierunku Portu Zewnętrznego. To było ciekawe. Należało przypuszczać, że wyskoczyła z łodzi, próbując ratować życie. Wymachiwała podobno rozpaczliwie rękoma, a trzech świadków wskoczyło do wody, by popłynąć jej na ratunek. Niestety nie zdążyli, bo zaraz potem zniknęła pod jej powierzchnią. Zgodnie z innymi zeznaniami, które dotarły do Simonsena już wcześniej, w chwili, gdy statek płynął kanałem

Stadsgraven, mijając należące do wyspy Amager wysepki Frederiksholm i Nyholm, nie zarejestrowano na nim nic podejrzanego. Miejsce dokonania zbrodni można było zatem ustalić z niemal stuprocentową pewnością.

Aspirantka Berg, były leśniczy Ziegler, sternik i przewodniczka zostali zamordowani na wysokości nabrzeża Søndre Toldbod około wpół do dziesiątej rano. Nauczycielka z Japonii utonęła mniej więcej w tym samym czasie, a jej zwłoki wyłowiono przy Langelinie chwilę po jedenastej – czyli dobre półtorej godziny po tym, jak wyskoczyła za burtę.

Z punktu widzenia śledztwa ani przewodniczka, ani sternik na pierwszy rzut oka nie wzbudzali większego zainteresowania. Mężczyzna miał pięćdziesiąt dwa lata i pochodził z gminy Greve. Był domatorem i nie miał na sumieniu nic, co policja mogłoby uznać za istotne. Dwudziestotrzyletnia przewodniczka studiowała anglistykę na Uniwersytecie w Kopenhadze. Sama wynajmowała mieszkanie spółdzielcze w mieście. Ani on, ani ona nie mieli kryminalnej przeszłości, a przynajmniej nie figurowali w policyjnych rejestrach. Simonsen widział w nich zatem jedynie przypadkowe ofiary. Ale nie ulegało wątpliwości, że w najbliższych dniach dogłębnie przestudiują ich życiorysy, więc nic nie było jeszcze przesądzone. Już nie raz wszystko się wtedy zmieniało. Tu i teraz skłaniał się jednak raczej ku temu, że jeśli sprawca w ogóle miał jakiś logiczny motyw, jego celem musieli być Pauline i Jonas, bądź jedno z nich.

W związku z tym należało się przyjrzeć Zieglerowi.

Urodził się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku, dorastał w wiosce Ølsted w gminie Halsnæs. Po ukończeniu szkoły przyjęto go w dziewięćdziesiątym drugim roku na praktyki w zawodzie kowala w walcowni stali Stålvalseværket w mieście Frederiksværk. Uzyskał tam świadectwo czeladnicze i pracował w walcowni do dwa tysiące drugiego roku, po czym długo przebywał na zwolnieniu lekarskim z powodu choroby kręgosłupa. W styczniu dwa tysiące trzeciego roku dostał posadę w Wydziale Technicznym Urzędu Gminy Frederiksværk, gdzie zajmował się ochroną przyrody. Po dwóch latach zmienił pracodawcę, ale obowiązki wciąż miał podobne – zatrudnił się w Duńskiej Agencji Lasów i Przyrody w regionie północnej Zelandii. Tu został do jesieni dwa tysiące dziewięć-

tego roku, po czym znów nastąpił zwrot w jego karierze. Został bowiem ekspedientem sieci handlowej DagligKøb w Tune i pracował tam do momentu, gdy go zamordowano. Poza tym, że w dziewięćdziesiątym ósmym roku został zatrzymany za jazdę po pijaku, Jonas Ziegler nie był karany. W listopadzie dwa tysiące dziewiątego roku przeniesiono go z gminy Halsnæs do północno-zachodniej Kopenhagi.

Simonsen dwukrotnie z uwagą przeczytał przekazane mu dane, a do tego przejrzał całe mnóstwo załączników, które jednak nie wniosły nic do sprawy. Gdy tylko skończył, zadzwonił Arnold. Był w mieszkaniu Pauline w Rødovre, ale zdobył też ciekawe informacje na jej temat od innych śledczych. Zrelacjonował, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni Pauline trzy razy rozmawiała z Zieglerem przez telefon. Dwa razy dzwoniła ona, natomiast za trzecim razem telefonował były leśniczy. Poza tym weszli na zacumowany przy wybrzeżu na Gammel Strand wycieczkowiec razem i usiedli obok siebie mniej więcej pośrodku pokładu.

Simonsen podziękował za sprawozdanie i niemalże w tej samej chwili, gdy się rozłączył, zobaczył, że tym razem dzwoni do niego Melsing, który również chciał mu złożyć wstępny raport. W laboratorium zbadano DNA wycinków pobranych z ran kłutych wszystkich czterech ofiar, a ponadto udało się określić, w jakiej kolejności zginęły.

Krew pierwszej zamordowanej osoby zachowała się na ostrzu noża użytego przez mordercę i dostała się do tkanek kolejnych zabitych. Sprawca najpierw pozbawił życia Zieglera, dźgając go w szyję. Na podstawie oceny kąta, pod którym został zadany cios, patolodzy stwierdzili, że były leśnik umarł, siedząc – napastnik zaatakował z pozycji stojącej. Później zabił aspirantkę Berg – dwoma pchnięciami nożem w plecy, przy czym za drugim razem trafił w serce. Kobieta przed śmiercią zdołała jeszcze wstać, a potem osunęła się między siedzenia, dlatego nie widać jej na nagraniu operatora. Następnie przyszła kolej na sternika, któremu morderca poderżnął gardło. Zaszedł go od tyłu, gdy ten siedział za sterem. Na sam koniec zostawił sobie przewodniczkę. Uśmiercił ją w pozycji stojącej, zadając dwa ciosy tym samym narzędziem – jeden w brzuch, a drugi w szyję. Najprawdopodobniej użył bojowego noża wojskowego, ale Mel-

sing zaznaczył, że to będzie można dokładnie ustalić dopiero na późniejszym etapie.

Informacje przekazane przez szefa wydziału techniki kryminalistycznej świadczyły o tym, że żadne z czterech ciał nie należało do sprawcy, a pół godziny później wniosek ten został ostatecznie potwierdzony. Simonsen otrzymał bowiem nadzwyczaj zwięzły, acz rzeczowy raport: mały Japończyk, który przeżył masakrę, zeznał, że dorosłych Duńczyków zamordował nożem jakiś mężczyzna. Potem napastnik opuścił statek – zaraz po tym, jak nauczycielka wyskoczyła za burtę. Uznano, że duńska policja będzie mogła później przesłuchać chłopca, ale najwcześniej za kilka dni. Nie można więc było wykluczyć, że przesłuchanie będzie się musiało odbyć w Japonii.

Tak jak zawsze, gdy potrzebował się na chwilę oderwać, Simonsen podszedł do okna swojego biura i spojrzał na ulicę, nie zdając sobie nawet do końca sprawy z tego, co właściwie widzi. Myślami był zupełnie gdzie indziej...

Wiedział, że Pauline i pozostałym ofiarom na nic się zdadzą jego smutek i żal. On zaś miał prawo skupić się na śledztwie, dbając o to, by zupełnie nieistotne dla sprawy osobiste emocje i uczucia nie przeszkadzały mu w jej rozwikłaniu. Od swoich najbliższych współpracowników również oczekiwał chęci do pracy i entuzjazmu. Jeśli nie potrafili wziąć się w garść, byli mu w tym dochodzeniu zbędni.

Sam sobie dodał otuchy, po czym zabrał się za sporządzenie raportu dotyczącego obsesji Pauline na punkcie śmierci młodej kobiety. Chodziło o Juli Denissen, która zdaniem aspirantki z całą pewnością została zamordowana. Simonsen niejednokrotnie dostawał białej gorączki, gdy tylko słyszał o tej sprawie. Teraz jednak nagle okazała się ona istotna, bo mogła stanowić klucz do wyjaśnienia okoliczności rzezi na pokładzie statku. Miał świetną pamięć i bardzo rzadko musiał cokolwiek sprawdzać, co znacznie ułatwiało mu pracę.

Pauline Berg zaczęła pracę w wydziale zabójstw w dwa tysiące szóstym roku, mając dwadzieścia siedem lat. Przez pierwszy rok była pracowita, sumienna, żądna wiedzy i nadzwyczaj ambitna. Ale wszystko się zmieniło

po tym, jak w trakcie śledztwa porwano ją i zamknięto w bunkrze na północnej Zelandii. Została uwolniona, pozornie cała i zdrowa, lecz jej psychika mocno na tym ucierpiała. Po dość długiej rehabilitacji wróciła do komisariatu w świetnej formie fizycznej, za to zupełnie odmieniona psychicznie. Często robiła to, na co akurat miała ochotę, wykonywała tylko te polecenia, które chciała wykonać, i sprzeciwiała się wszelkim autorytetom. Przynajmniej raz podjęła próbę samobójczą.

Całą swoją energię poświęcała jednemu śledztwu. Nawiasem mówiąc, była to przypuszczalnie jedyna sprawa po jej powrocie, do której naprawdę się paliła. Po tym, jak porwano aspirantkę Berg, do komendy z własnej woli zgłosiła się pewna kobieta. Posiadała informacje, które – jak się później okazało – doprowadziły do przełomu w dochodzeniu. Kobieta nazywała się Juli Denissen i mieszkała we Frederiksværk. Zaledwie rok później, dziesiątego lipca dwa tysiące ósmego roku, Juli została zamordowana na dawnym poligonie wojskowym Melby Overdrev. To malownicze tereny nad cieśniną Kattegat, między Asserbo i Hundested. Kobiętę znalazł Jonas Ziegler, który pracował akurat nieopodal w lesie i usłyszał płacz jej dziecka. Utrzymał, że gdy dotarł na miejsce, kobieta już nie żyła. Znalazł ją Jonas Ziegler, który pracował akurat nieopodal w lesie i usłyszał płacz jej dziecka. Gdy już dotarł na miejsce, zadzwonił, a przypuszczalnie zrobili to razem, bo Juli poczuła się źle. pod numer sto dwaście. Jednak, gdy przyjechała karetka pogotowia, kobieta już nie żyła.

Co do przyczyny zgonu nie było żadnych wątpliwości: Juli Denissen zmarła na skutek krwotoku śródmózgowego. Sekcja zwłok przeprowadzona w oddziale medycyny sądowej szpitala w Hillerød wykazała, że kobieta należała do jednego procenta populacji, który rodzi się z tętniakami; wylew krwi do mózgu nastąpił w wyniku napadu silnego lęku, ale gdyby nie to, i tak wcześniej czy później straciłaby życie z powodu swojej przypadłości. Nieprawidłowo zbudowane naczynia pękają w sytuacji dużego obciążenia psychicznego lub sporego wysiłku fizycznego.

Później do wydziału zabójstw zgłosiło się kilka osób z kręgu najbliższych Juli Denissen, twierdząc, że bez wątpienia ją zamordowano. Simonsen zupełnie przypadkowo poprosił, by to właśnie aspirantka Berg się

nimi zajęła. Założył przy tym oczywiście, że jego podwładna po prostu wyprowadzi ich z błędu i odeśle do domu. Jak się potem okazało, była to największa pomyłka w jego karierze. Pauline bowiem z wielkim entuzjazmem podchwyciła tę bezsprzecznie błędną teorię spiskową i uparcie kontynuowała śledztwo w sprawie, nawet wtedy, gdy inspektor zdołał ostatecznie przekonać pozostałych członków samozwańczej grupy dochodzeniowej, że Juli zmarła w sposób naturalny. Udało mu się to głównie dzięki temu, że namówił emerytowanego profesora medycyny sądowej Arthura Elvanga, by ten dogłębnie przestudiował protokół sekcji zwłok. Tylko Pauline nadal wierzyła, że było inaczej. Popadła w obsesję na punkcie tego przypadku; ku ogromnej irytacji wszystkich funkcjonariuszy wydziału zabójstw, a zwłaszcza Simonsena, który ani prośbą, ani groźbą nie był w stanie wyperswadować swojej podwładnej tych urojeń dotyczących morderstwa. Koniec końców wszyscy, w tym on sam, machnęli na to ręką i pogodzili się z fiksacją Berg w kwestii śmierci Juli Denissen. Nie mieli wyboru, mogli ją jedynie zwolnić, ale dowództwo stanowczo się temu sprzeciwiało. Zresztą Simonsen tak naprawdę nigdy nie brał tego pod uwagę. Stało zatem na tym, że on i jego najbliżsi współpracownicy raz na jakiś czas, poniekąd na zmianę, „wspierali” Pauline, oczywiście zupełnie prywatnie, w jej bezowocnych wysiłkach mających na celu rozwikłanie tej mrocznej tajemnicy. Dzięki temu wiedzieli przynajmniej, czym się zajmuje. Między sobą nazywali ten przypadek „nieistniejącą sprawą Juli Denissen”, czemu z reguły towarzyszył lekko ironiczny uśmiech.

Simonsen oparł brodę na dłoniach. To, że w tym momencie w kwestii rzeczonej nieistniejącej sprawy niczego nie był już pewien, rozumiało się samo przez się. Do tego, przetrząsając zakamarki pamięci, uzmysłowił sobie ku własnemu zaskoczeniu, że już kiedyś, nawet jeśli działo się to chwilę temu, miał podobne wątpliwości. Nie potrafił sobie niestety przypomnieć, kiedy i w jakich okolicznościach, i nie dawało mu spokoju.

Skończył raport, wprowadził go do rejestru, po czym rozesłał do swoich kolegów i innych wydziałów.

Kwadrans później ktoś nieśmiało zapukał do drzwi.

– Proszę wejść – rzucił inspektor.

W progu jego biura stała dość młoda ciemnowłosa kobieta, wysoka i krępa, o grubych rysach.

– Mogę usiąść? – spytała głębokim głosem.

Simonsen zmarszczył czoło.

– To zależy w dużej mierze od tego, kim pani jest i o co chodzi.

Ku jego zdziwieniu nieznajoma zajęła miejsce przy biurku, a zrobiła to z obezwładniającym uśmiechem, który jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zupełnie odmienił jej wygląd i sprawił, że wydała mu się teraz nawet ładna.

– Proszę wybaczyć, ale bolą mnie nogi. Nazywam się Anica Buch i od jakiegoś czasu pracuję w wydziale policji kryminalnej w Glostrup. Dziś razem z wieloma innymi ochotnikami z jednostki przeczesujemy ulice w poszukiwaniu świadków. Chciałabym któregoś dnia dołączyć do pańskiego zespołu, ale spokojnie, za chwilę sobie pójdę.

– Jestem zupełnie spokojny. Niech pani mówi...

Otóż funkcjonariuszka przeczytała na komputerze swojego szefa – zupełnie jawnie, co chciała pokreślić – przesłany niedawno przez Simonsena raport dotyczący Pauline Berg. W związku z tym postanowiła podejść tu w przerwie, bo jej przełożony nie pozwolił, by sama korespondowała z szefem wydziału zabójstw. Uznał, że ze względu na jej stopień nie będzie to w dobrym tonie.

– Ale nie zakazał pani tu przychodzić? – wtrącił Simonsen z lekkim uśmiechem.

– Raczej nie. To znaczy... nic o tym nie wspomniał.

– W porządku. A o czym chciała mi pani powiedzieć?

– Że w szpitalu w Hillerød nie ma prosektorium. A napisał pan, że sekcja zwłok dziewczyny, która zginęła w Melby Overdrev, to znaczy Juli Dennisen, odbyła się właśnie tam, więc coś się tu nie zgadza. To pewnie nieistotny szczegół, ale wołałam, żeby pan o tym wiedział.

Simonsen poczuł się zawiedziony. Anica obudziła w nim ciekawość i szczerze mówiąc, miał nadzieję, że posiada jakieś istotne informacje. Poza tym się myliła.

Szpital w Hillerød w sytuacji przeciążenia pełnił bowiem funkcję jednostki rezerwowej szpitala królewskiego. A Simonsen wiedział o tym z najbardziej wiarygodnego źródła, jakie można było sobie wyobrazić – właśnie od profesora Elvanga. Poinformował o tym zwięźle funkcjonariuszkę, spodziewając się, że szybko się ulotni, może nawet rumieniąc się trochę ze wstydu.

Ale nic takiego się nie stało.

– Bez względu na to, kto wprowadził pana w błąd, nie jest to prawdą. W sytuacji przeciążenia? O jakim przeciążeniu mogła być mowa latem dwa tysiące ósmego roku, kiedy zmarła Juli Denissen? Poza tym, jeśli chodzi o przepustowość w zakresie sekcji zwłok, jedyne ograniczenie stanowi tu dostępność odpowiednich pomieszczeń, a nie lekarzy medycyny sądowej. A w szpitalu królewskim są w stanie wykonać do czternastu sekcji dziennie. Musi pan więc przyznać, że wobec tego te wyjaśnienia brzmią niedorzecznie...

Nie mógł się z nią nie zgodzić, ale wciąż nie miał pewności. Wstał z krzesła, nie starając się nawet ukryć narastającej irytacji. Miał gdzieś kopię raportu z oględzin zwłok.

Odnalezienie jej zabrało mu dobre pięć minut. Anica Buch nie ruszyła się z miejsca. Siedziała w milczeniu. Simonsen rzucił na stół protokół, z jednej strony wściekły, że ktoś zakłócił jego spokój, z drugiej zaś ukontentowany, bo to przecież on miał rację. W rogu dokumentu jak byk widniało logo szpitala w Hillerød.

Anica nie zamierzała się poddać.

– No tak... Ale to jedynie dowód na to, że albo ta sekcja nigdy się nie odbyła, albo ktoś wydrukował protokół na niewłaściwym papierze. Bo jeśli jej dokonano, to musiało się to wydarzyć w Kopenhadze, w Odense, w Aarhus lub za granicą, koniec kropka. Nie ma innych możliwości.

Simonsen opadł na krzesło.

– Koniec kropka?!

Funkcjonariuszka skinęła głową, nieco zmieszana, po czym dodała:

– Tak... koniec kropka. Bez względu na to, że pan jest szefem wydziału zabójstw, a ja tylko...

– Okej, proszę się tym zająć – przerwał jej. – Niech się pani skontaktuje z lekarzem medycyny sądowej, jego nazwisko jest w raporcie, i ustali, co się tak naprawdę wydarzyło. Może pani usiąść tam. – Wskazał na przyległy do biura aneks.

Był to dodatkowy pokój, który urządzono specjalnie dla niego kilka lat wcześniej, gdy wrócił do pracy po operacji serca. Anica wstała i ruszyła w stronę małego pomieszczenia, ale zatrzymała się w pół drogi.

– Mój szef się wścieknie, jeśli za piętnaście minut nie wrócę do pracy. A jak dowie się, że jestem tutaj, to już w ogóle wpadnie w szal.

Simonsen zapewnił ją, że nie musi się o nic martwić. On się tym zajmie.

Młoda funkcjonariuszka wróciła po jakichś dwudziestu minutach i usiadła, nie przerywając mu lektury. Podniósł wzrok znad dokumentów.

– Tak? – spytał krótko.

Złożyła mu zwięzły i szczegółowy raport – bez cienia dumy, choć okazało się, że to on się mylił. Sekcji zwłok dokonał lekarz medycyny sądowej Hans Arne Tholstrup. Do wiosny dwa tysiące ósmego roku pracował razem ze swoją ówczesną żoną w Instytucie Medycyny Sądowej w Kopenhadze, ta rzuciła go jednak nieoczekiwanie dla kochanka. W związku z zaistniałą sytuacją Tholstrup dostał roczny urlop. Po urlopie zatrudnił się z kolei w szpitalu w Hillerød, do którego dziesiątego lipca dwa tysiące ósmego roku przywieziono zwłoki Juli Denissen. To on stwierdził jej zgon. Policja okręgu północnej Zelandii nalegała jednak, by wykonać badanie postmortemne, po części z uwagi na młody wiek kobiety, a po części przez wzgląd na okoliczności jej śmierci. Była żona Tholstrupa zdążyła się już w międzyczasie rozstać ze swoim amantem. Mąż, który jeszcze kilka miesięcy wcześniej nie chciał jej widzieć na oczy, teraz zapragnął się z nią zobaczyć. Skontaktował się więc ze swoim poprzednim pracodawcą i zezwolono mu, by sam dokonał sekcji zwłok, naturalnie w szpitalu królewskim. Obdukcja odbyła się dzień później, a raport napisał kolejnego dnia, gdy już wrócił do Hillerød. Dlatego właśnie skorzystał z papieru firmowego tamtejszego szpitala.

– W badaniu brał udział personel techniczny, dwie osoby nieposiadające specjalnych kwalifikacji. Rozmawiałam z jedną z nich. To kobieta. Ta sekcja wyjątkowo zapadła jej w pamięć z uwagi na, bądź co bądź, niezwykle okoliczności – ciągnęła Anica.

– Nie skontaktowałaś się bezpośrednio z Tholstrupem? – zapytał Simonsen, zwracając się do funkcjonariuszki na ty.

– Tholstrup nie żyje. Popełnił samobójstwo w styczniu ubiegłego roku, gdy rzuciła go nowa miłość.

Szef wydziału zabójstw milczał. Znowu zaczęły nim targać wątpliwości. W głowie świtła mu jakaś myśl, ale nie potrafił jej jeszcze uchwycić. Być może chodziło właśnie o tę sekcję zwłok, o której mówiła Anica. Coś w jego głowie mówiło mu, że się pomylił, i to było logiczne wytłumaczenie. Ale kojarzył coś jeszcze... coś o wiele ważniejszego. Wstał, żeby odprawić funkcjonariuszkę do wyjścia.

– Tak sobie jeszcze pomyślałam o tych nurkach w Nordhavn, którzy próbują wyciągnąć na ląd drugą część wycieczkowca... – Zawiesiła głos.

– Co z nimi?

– Upewnił się pan, że przy okazji przeszukają też dno?

– A po co?

– Dzieci na pewno miały komórki. Może nagrały coś, co może się nam... panu przydać.

Spojrzał na nią oniemiały. Była cholernie zaczepna, niemalże bezczelna. Panna wszystkowiedząca... Stała przed nim i sugerowała mu coś, co – ma się rozumieć – już dawno zrobił. Wręcz prosiła się o to, żeby odprawił ją z kwitkiem.

– Masz dość irytujący sposób bycia, może powinnaś trochę nad tym popracować – wyksztusił wreszcie.

– Nieraz to już słyszałam.

– ...Ale nie wzięłaś sobie do serca tych uwag?

– Wręcz przeciwnie, staram się, bardzo, próbuję każdego dnia...

Uśmiechnęła się, a jej wyznanie wydało mu się szczere.

– Prześlij mi mailem swoje dane osobowe i... dzięki za pomoc.

Zamknął za nią drzwi, po czym ponownie wrócił myślami do Elvanga.
Dlaczego stary profesor chciał mu zamydlić oczy? Co nim kierowało?

Rozdział 8

Poniedziałek, 23 sierpnia 2010 roku, komenda policji

Późnym popołudniem zmarło jedno z dwóch z japońskich dzieci, które przeżyły katastrofę – jedenastoletnia dziewczynka. Tym samym liczba ofiar wzrosła do dwudziestu jeden osób.

Simonsen przyjął wiadomość o zgonie małej Japonki dość spokojnie. Przerwał rozmowę i przekazał informację siedzącemu po drugiej stronie biurka Pedersenowi. Następnie spojrzął na zegarek, dochodziła siedemnaście.

– Troulsen zaraz tu będzie. Omów z nim wszystko, co udało mu się ustalić. Wracam za godzinę i zadbaj o to, żeby do tego czasu już go tu nie było. Załatwcie, co trzeba, i każ mu iść do domu – rzucił w przelocie.

Pedersen przyjął polecenie szefa bez słowa sprzeciwu, chociaż obaj dobrze wiedzieli, że będzie to od niego wymagało ogromnych pokładów cierpliwości. Poza tym Simonsen musiał mieć jakieś inne obowiązki służbowe, skoro nie mógł spotkać się z Troulsenem. Przypuszczenia Arnego okazały się słuszne.

– Jestem umówiony na wczesną kolację, więc przez jakiś czas będę niedostępny. Poproś, żeby Troulsen przyszedł też jutro. Będę go potrzebował. I raczej musisz tu dziś zostać do późna, a ja w zamian przyjdę z samego rana. Jakieś pytania?

Pedersen skinął głową, brzmiało to całkiem rozsądnie. Pytań nie miał żadnych.

Troulsen wprost wzorowo wywiązał się z powierzonego mu zadania. Przeprowadził skrupulatne i nad wyraz drobiazgowe dochodzenie, a raport z poczynionych przez niego działań był tak niemiłosiernie obszerny i wyczerpujący, jak Pedersen się spodziewał. Emerytowany funkcyjona-

riusz przekonał armatora, by ten udostępnił mu wycieczkowiec wraz ze sternikiem, po czym razem z nim pokonał trasę rozbitego statku całe cztery razy. Pierwsze dwa razy po to, by ogólnie odtworzyć w głowie przebieg zdarzenia i dokładnie umiejscowić w czasie jego kolejne fazy. A ostatnie dwa, żeby ustalić, czy ktoś mógł ewentualnie zeskoczyć na pokład, podczas gdy wycieczkowiec był w ruchu. Jeśli tak, to gdzie mogło do tego dojść. Przyniósł ze sobą mapę morską portu w Kopenhadze, na niej zaznaczył trasę wycieczkowca, na którym doszło do przestępstwa – początkowy fragment na czerwono aż do miejsca, gdzie na morzu, między nabrzeżem Søndre Toldbod a wyspą Nyholm, postawił krzyżyk, resztę zaś na niebiesko – do samego końca trasy, której statek z wiadomych powodów nie zdążył pokonać.

Pedersen wziął od Troulsera mapę, by użyć jej do streszczenia rozwlekłego raportu Simonowi i Hrabiance.

– Morderca musiał zeskoczyć na pokład z jednego z mostów. No chyba że był tam już, gdy statek wypłynął z portu, ale mam gros świadków, którzy stanowczo temu zaprzeczają – zaczął. – Jeśli weźmiemy pod uwagę zaznaczoną na czerwono część trasy, statek przepłynął łącznie pod sześcioma mostami, czterema od strony Zelandii i dwoma bliżej wyspy Amager. Przy czym te cztery pierwsze znajdują się w samym centrum stolicy i wszędzie tam panuje wielki ruch. Niemożliwe jest więc, by ktoś nieopatrzenie zeskoczył na pokład statku. Dodatkowo jakiś fotograf z Belgii przekazał nam wyjątkowo ostre zdjęcia wycieczkowca zrobione w chwili, gdy mijał on ostatni zelandzki most noszący imię Chrystiana Czwartego Oldenburga. Powiedział, że pracuje dla belgijskiego czasopisma i przyjechał do Kopenhagi, żeby zrobić reportaż na temat duńskiej stołecznej kultury rowerowej. Traf chciał, że sfotografował tam grupkę rowerzystów z pałacem Christiansborg i siedzibą kopenhaskiej giełdy Børsen w tle, a na pierwszym planie uwiecznił statek wycieczkowy, który właśnie w tym momencie przepływał pod mostem. Na fotkach nie widać, by ktokolwiek skałał do wody. Pozostałe dwa mosty to ten łączący wyspy Arsenal i Frederiksholm, który nie ma żadnej nazwy, oraz Batteribroen między Frederiksholm a Nyholm. Przez oba prowadzi ruchliwa Danneskjold-Samsøes

Allé – ciągnął Arne, kładąc palec na mapie w miejscu, gdzie znajdował się ostatni z mostów. – Zabójca zeskoczył na dach statku tutaj, z Batteribroen. Co do tego ani ja, ani Troulsen nie mamy żadnych wątpliwości. Nie znaleźliśmy tam prawie żadnych świadków, aktualnie może dwie osoby. Poza tym to dość odludna okolica i z punktu widzenia sprawcy taki wybór wydaje się logiczny. Chciał, żeby wycieczkowiec wypłynął na otwarte morze, zanim zaatakuje, by nikt nie mógł go dojrzeć z lądu. A statek znalazł się tam zaledwie kilka minut po tym, jak morderca dostał się na pokład.

– A można tak po prostu zeskoczyć sobie na pokład? – spytała Hrabianka z nutką niedowierzania w głosie.

– Bez problemu. Poul poprosił jednego z funkcjonariuszy, żeby to sprawdził. Ten powtórzył skok cztery razy i okazuje się, że to łatwiejsze, niż się wydaje. Ulica znajduje się dobre trzy metry nad pokładem, ale jeśli w odpowiednim momencie chwycisz się balustrady i zsuniesz w dół, w zasadzie dotkniesz stopami dachu niewielkiego pomieszczenia znajdującego się w rufowej części statku, gdzie przechowuje się sprzęt ratunkowy. Przy czym, jeśli wybierzesz wschodnią stronę mostu, musisz od razu potem zeskoczyć na pokład. W przeciwnym razie, mówiąc kolokwialnie, twoja głowa zaliczy bliskie spotkanie z mostem. Tak czy inaczej, skok z tego miejsca to najlepsze rozwiązanie, bo wtedy pasażerowie znajdują się pod mostem, więc instynktownie patrzą w przód. Co ważniejsze: przewodnik też musi w tym czasie usiąść, podczas gdy przez pozostałą część rejsu stoi zwrócony twarzą w kierunku rufy, żeby widzieć pasażerów, kiedy do nich mówi.

– Mam nadzieję, że Poul wezwał techników, żeby sprawdzili balustradę, zanim zrobił z moich pracowników króliki doświadczalne – rzucił Simonsen.

Arne potwierdził skinieniem głowy. Tak właśnie było.

– Dowiedział się czegoś więcej?

– Ba... O wiele więcej! Na przykład, że wycieczkowiec został zbudowany w dwa tysiące pierwszym roku przez spółkę Gilleleje Bådebyggeri; było na nim sto sześćdziesiąt siedem miejsc siedzących, wliczając w to siedzenie dla sternika oraz przewodnika, i napędzały go dwa silniki elek-

tryczne marki Leroy Somer. Miał dwadzieścia metrów długości, pięć i pół metra szerokości i ważył... hmm, tego już nie pamiętam. Tak czy inaczej, statek był wykonany z drewna, a nie z włókna szklanego, bo stwierdzono, że dzięki temu znacznie lepiej wpisze się w ideę stołecznych rejsów turystycznych. W tym sensie, że zyska bardziej rustykalny charakter, co będzie doskonale korespondować ze średniowiecznym miastem, które turyści mieli z niego oglądać. Oprócz tego statek miał sto osiemdziesiąt baterii litowo-jonowych z funkcją ponownego ładowania i ładowało się je przez osiem...

Simonsen wszedł mu w słowo.

– A coś z rzeczy istotnych, Arne?

Pedersen potrząsnął głową.

– Ale powinieneś jeszcze dziś wystąpić w telewizji, Simon, i ogłosić, że poszukujemy świadków, którzy wczoraj około wpół do dziesiątej rano byli w okolicach mostu Batteribroen, łączącego wyspy Frederiksholm i Nyholm.

Simonsen czuł, jak narasta w nim irytacja. Nie znosił telewizji, lecz zdawał sobie sprawę z tego, że to będzie rozsądne posunięcie.

Hrabianka przez dłuższą chwilę stała pochylona nad mapą, po czym powiedziała:

– Mamy trzy wyspy: Arsenal, Frederiksholm i Nyholm, oraz cztery mosty, z których jeden jest zamknięty dla zwykłego ruchu i którym przejeżdżają wyłącznie autobusy. Myślę, że dzięki moim nagraniom z kamer monitoringu możemy prześledzić, co się tam dokładnie działo w interesującym nas czasie; to znaczy konkretnie, jakie samochody i kiedy poruszały się po wyspach. Ale to będzie skomplikowane zadanie. Mogę poprosić, żeby przysłali nam z uniwersytetu kilku statystyków albo matematyków?

Simonsen nie miał nic przeciwko. Im szybciej, tym lepiej. W związku z powagą sytuacji i znaczeniem śledztwa nie powinien się chyba martwić budżetem. Arne i Hrabianka wymienili dyskretnie uśmiechy. Ich szef generalnie rzadko przejmował się finansami.

– Wiemy coś jeszcze... O ile morderca nie okaże się zwykłym szaleńcem, należy założyć, że jego celem była Pauline oraz/lub Ziegler. I jeśli ta

hipoteza jest słuszna, to przynajmniej jedno z nich go znało, a może nawet się go obawiało – dodał Simonsen, obrzucając ich badawczym spojrzeniem.

Jego podwładni byli tego samego zdania. Wniosek nasuwał się sam... W przeciwnym razie sprawca po prostu wsiadłby na pokład jak wszyscy inni, na Gammel Strand. A gdyby założył ciemne okulary i czapkę z daszkiem, a do tego pamiętał, by w odpowiednim momencie odwrócić głowę, mógłby z powodzeniem uniknąć spojrzeń potencjalnych świadków oraz kamer monitoringu na placu Højbro.

– Czyli znów wracamy do Pauline... – podsumował smutno Pedersen.

Rozdział 9

Poniedziałek, 23 sierpnia 2010 roku, Søllerød

Arnold i Anna Mia odwiedzili Simonsena i Hrabiankę w ich domu w Søllerød około dziesiątej wieczorem. To Simonsen zdecydował, że spotkają się u niego zamiast w komendzie. Starał się chronić córkę, bo nie chciał, żeby zanedbta angażowała się w sprawę.

Anna Mia uściśnęła Hrabiankę, po czym pocałowała ojca w czoło. Była w świetnym nastroju i tryskała energią, mimo że zaczęła pracę ponad czternaście godzin temu. Arnold natomiast już miał cienie pod oczami, chociaż śledztwo trwało dopiero dwa dni.

Arnold najpierw złożył raport z przeszukania mieszkania Berg oraz jej biura w komisariacie. Poszlak nie było wiele, a ściśle rzecz ujmując: tylko jedna. W piwnicy Berg znaleziono mianowicie sześć kartonów wypełnionych różnymi rzeczami należącymi do Juli Denissen. Znajdowały się w nich głównie książki i czasopisma, a do tego jej MacBook, pamiętniki, telefon komórkowy i trochę prywatnych dokumentów. Oprócz tego cały stos zdjęć mieszkania zmarłej kobiety w miejscowości Frederiksværk, które zostały zrobione po jej śmierci. Za tą obszerną dokumentacją zdjęciową oraz za tym, że rodzice Juli oddali Pauline należące do córki przedmioty, stała naturalnie samozwańcza grupa dochodzeniowa, którą Simonsen przez długi czas bezskutecznie usiłował rozwiązać. Anna Mia weszła Arnoldowi w słowo:

– Wrócimy potem jeszcze do tych zdjęć, tato. Są bardzo ciekawe. Ale przepraszam... was obu. Już się nie wcinam.

W jej oczach widać było nieklamany entuzjazm i Hrabianka pomyślała, że chyba nigdy wcześniej nie widziała, żeby... ekscytowała się czymś niemalże jak dziecko.

Może właśnie odkryła swoje powołanie, pójdzie w ślady ojca i zostanie policjantką kryminalną? Jakkolwiek banalnie to brzmiało. Arnold przyjął jej dygresję ze stoickim spokojem, a Hrabiance przyszło do głowy, że dziewczyna pewnie nie pierwszy raz tego dnia nie jest w stanie określić swoich emocji. Arnold nawet uśmiechnął się do Anny Mii pod nosem albo po prostu dyskretnie się z niej zaśmiał, trudno było orzec. Następnie wrócił do swojego sprawozdania:

– Wiemy, że Pauline korzystała z papierowych kalendarzy, ale nie udało nam się ich znaleźć. Oprócz tego miała laptopa, przy czym po nim też wszelki ślad zaginął. Jesteśmy przekonani, że Berg posiadała także dwie teczki, w których przechowywała akta nieistniejącej sprawy Juli. Nawiasem mówiąc, pora już chyba zmienić tę nazwę... One jednak także rozplynęły się w powietrzu. Przypuszczamy, że ktoś zabrał te rzeczy, a musiał to zrobić wczoraj przed południem. Sąsiadka słyszała, jak zatrząskują się drzwi od mieszkania Pauline, a potem ktoś schodził po schodach. To było już po śmierci Berg.

Udało im się zresztą zdobyć dowody na słuszność tej hipotezy. Między innymi poprosili siostrę Pauline, by przyjrzała się mieszkaniu, a ona od razu zauważyła, że z regału z książkami zniknęły wspomniane dwie teczki. Pamiętała też ich kolor: były czerwone, a ich grzbiety opisane zostały odpowiednio: „Juli I” oraz „Juli II”. I co szczególnie ciekawe, widziała je po raz ostatni zaledwie cztery dni temu, kiedy wpadła do siostry z wizytą.

– Gdy Pauline się tam wprowadziła, kazała zamontować w drzwiach wejściowych zupełnie nowy zamek. Dzięki temu czuła się pewniej, więc... po tym, jak została porwana. Nawet pomogłam jej go wybrać. Wiem też, że miała do niego dwa klucze, których pilnowała jak oka w głowie – powiedziała w zadumie Hrabianka.

Spojrzała na Arnolda. Jutlandczyk potwierdził skinieniem głowy. Zgadza się, jeden z tych kluczy znaleźli w mieszkaniu, ukryty głęboko w szufladzie. Drugi zaś był w torebce Berg, którą po tragedii wyłowiono w porcie.

– Żeby rozbroić ten mechanizm, potrzeba specjalnych narzędzi. Tak czy inaczej, ktoś musiał się niezłe nagimnastykować. Ale pewnie nie uszło

to waszej uwadze, kiedy tam wchodziliście... – spuentowała ponuro żona Simonsena.

Faktycznie, nie uszło. Oboje to potwierdzili.

– Oczywiście wezwałem techników i zabezpieczyłem wszystkie nagrania z zainstalowanych w okolicy kamer – dodał Arnold. – Blok Pauline jest monitorowany, ale kamery zamontowano tak, że widać je jak na dłoni, więc można ich bez problemu uniknąć. Podsumowując, nie wydaje mi się, żeby udało nam się dzięki temu dowiedzieć czegoś więcej. Chodzi mi o to, że... raczej mało prawdopodobne, by włamał się do niej przypadkowy narkoman.

Simonsen chrząknął, przyznając mu rację, po czym na chwilę zapadła cisza. Przerwała ją Anna Mia, najwyraźniej doszła do wniosku, że przyszła kolej na nią. Zabrała zatem głos i krótko przedstawiła życiorys Juli Denissen, bazując na faktach, które do tej pory udało im się ustalić.

Juli urodziła się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku we Frederiksværk. Jej rodzice mieli dwoje dzieci, a ona była tym młodszym z rodzeństwa. Rodzina nie dawała jej oparcia, matka i ojciec pili. Mimo to bez większych problemów ukończyła naukę i zaraz potem zdała w lokalnej szkole średniej wyższy egzamin przygotowawczy. W dwa tysiące czwartym roku wyszła za mąż, po czym kupili razem z mężem mieszkanie, w którym mieszkała aż do śmierci. Rok po ślubie Denissenom urodziła się córka, a zaraz potem się rozwiedli. Jeśli chodzi o karierę zawodową, Juli pracowała w kilku miejscach, lecz nigdzie nie zabawiła zbyt długo. Była między innymi nauczycielką na zastępstwo w szkole podstawowej, dorywczo opiekunką w żłobku i kelnerką. Zdarzały się też okresy, gdy nie miała żadnego zatrudnienia i pobierała zasiłek dla bezrobotnych. W dwa tysiące ósmym roku jej opiekun z ramienia gminy poniekąd zmusił ją, by wzięła udział w szkoleniu zawodowym w technikum we Frederiksværk i zdobyła zawód asystentki dietetyka. Sama Juli marzyła o tym, żeby zostać kiedyś architektką.

– Tak więc nic podejrzanego – ciągnęła rozemocjonowana Anna Mia. – Nic, co mogłoby zwrócić czyjąś uwagę... Pozornie zwyczajne nudne życie. Ale tylko pozornie... Zabierzecie, proszę, na moment swoje filiżanki? –

Wyjęła z torby cztery duże zdjęcia, rozwinęła je i rozłożyła na stoliku kawowym.

Miały format A3, były dosyć ostre i wszystkie przedstawiały mieszkanie Juli Denissen.

– Analizując te fotki, odkryłam coś niezwykle spójnego, pewien stały element... I mocno mnie to zaskoczyło. Domyślcie się co?

Simonsen, który słuchając obu raportów – najpierw Arnolda, a później córki – niewiele się odzywał, teraz automatycznie wyprostował się na sofie i z zaciekawieniem nadstawił uszu. Poprosił o chwilę ciszy, bo musiał coś przemyśleć. Gdy najwyraźniej już to zrobił, odpowiedział Annie Mii:

– W tej robocie... jeśli ktoś znajdzie coś istotnego, to po prostu informuje o tym pozostałych, zamiast budować sceniczne napięcie. Poza tym pracujemy zespołowo. Mówi się zatem: „my odkryliśmy”, a nie: „ja odkryłam”.

Dziewczyna się zapowietrzyła i spojrzała na ojca. Potem przeniosła wzrok na Hrabiankę, której mimika wyraźnie sugerowała, że zgadza się z mężem. Zapadła niezręczna cisza, lecz Arnold wyratował nową partnerkę z opresji, zwracając się najpierw do niej, a później do swojego szefa:

– Twój tato ma rację, musisz się jeszcze sporo nauczyć. Nie obrażaj się! Bierzesz udział w dochodzeniu w sprawie morderstwa, więc to zobowiązuje. A teraz posłuchaj, co odkryliśmy, Simon. I daj nam odczuć, że jesteś choć trochę dumny, bo naprawdę na to zasłużyliśmy.

Anna Mia zebrała się w sobie i zaczęła swój wywód, wskazując na rozłożone na stole zdjęcia:

– Na biurku Juli stała designerska lampa stołowa Louis Poulsen PH 3/2, warta około sześciu tysięcy koron. Na parapecie miała ozdobną doniczkę z Królewskiej Fabryki Porcelany, szacunkowo: cztery tysiące koron, a na biblioteczce empirowy francuski zegar kominkowy, który musiał kosztować przynajmniej dziesięć tysięcy koron. W przedpokoju leżał dywan perski z prowincji Bachtari. Nie dostaniesz takiego za mniej niż osiem tysięcy koron, ale to nie wszystko. Teraz prawdziwy hit... – Anna Mia odszukała zdjęcie na swojej komórce. – Proszę! Pozycja *Baśnie dla dzieci* Hansa Christiana Andersena – pierwsze wydanie, a w nim między innymi *Księż-*

niczka na ziarnku grochu i *Nowe szaty cesarza*, w idealnym stanie, jak sami widzicie. Naturalnie z dedykacją od samego autora. Rozmawiałam z pracownikiem domu aukcyjnego Bruun Rasmussen, który oszacował wartość tej książki, aczkolwiek bardzo ostrożnie, na przynajmniej sto tysięcy koron!

– Byłaś w Bruun Rasmussen, żeby to wycenili? – spytała Hrabianka.

Oczywiście, że nie... Skonsultowała się z nimi przez wideorozmowę. Żona Simonsena poczuła się nagle jak zacofany dinozaur. No przecież... Jakżeby inaczej? Nie mogła już chyba zadać głupszego pytania.

– Juli Denissen mogła pracować na czarno w pobliskim sklepie z serami, niewykluczone też, że od czasu do czasu posprzątała komuś mieszkanie, ale niemożliwe, by było ją stać na takie rzeczy. Można się naturalnie upierać, że po prostu miała dobry gust, lecz to nie czyni tych przedmiotów tańszymi. Bez wątplenia jest tego więcej. Przejrzeliśmy na razie jedynie zdjęcia jej mieszkania, i to nie do końca. *Baśnie* Andersena znaleźliśmy w piwnicy u Pauline, więc to akurat przyszło łatwo – podsumowała Anna Mia.

– A co z jej ubraniami? – chciała wiedzieć Hrabianka. – Znam takich, co potrafią wydawać na ciuchy fortunę.

Tu jednak córka Simonsena zaprzeczyła. Juli nosiła tanie ubrania, w które prawdopodobnie zaopatrywała się w miejscowym dyskoncie Kvickly. To samo dotyczyło jej dziecka. W każdym razie wszystko na to właśnie wskazywało.

– Ale chcielibyśmy bardzo, żebyś pozwolił nam wybrać się do Frederiksværk i odwiedzić jej bank – dodała po chwili. – Moglibyśmy tam jutro pojechać, tato?

Simonsen nie uważał bynajmniej, że przekazane przez nich informacje były mało interesujące. Poznał Juli Denissen osobiście, kiedy przyszła do komendy w związku z porwaniem Pauline Berg. Pamiętał, że szwankował jej wtedy telefon komórkowy i twierdziła, że nie stać ją na nowy. Nie wyglądała mu zatem na posiadaczkę wartych tysiące koron ręcznie tkanych dywanów i bardzo chciał się dowiedzieć, co tu jest grane. Niemniej jednak spytał:

– A nie mieliście przypadkiem lecieć do Pragi? Co powie Oliver?

– Powie to, co powinien powiedzieć, jeśli naprawdę mnie kocha; że skoro to dla mnie takie ważne i chcę wam pomóc, to możemy przełożyć urlop.

Arnold skwitował sucho, że to dobrze. W końcu młode pokolenie rządzi się swoimi prawami... Simonsen zaś spytał:

– A czy ty na pewno chcesz tracić czas na sprawę Denissen, Klavs? Mogę przydzielić ją kilku miejscowym funkcjonariuszom. Może to lepszy pomysł, co?

Jutlandczyk miał wątpliwości, co zresztą otwarcie przyznał. Hrabianka też była sceptyczna, Anna Mia nie skomentowała. Simonsen bił się przez chwilę z myślami, zanim ostatecznie podjął decyzję.

– Wybierz sobie jutro kilku ludzi i niech sprawdzą absolutnie wszystko, co dotyczy Juli: jej finanse, dane z telefonu, maile, kalendarze, MacBooka, konto na Facebooku, przyjaciół, kolegów i koleżanki ze szkoły, nauczycieli, chłopaków, kochanków, byłych mężów, rodzinę. A ty dopilnuj, żeby niczego nie pominęli – polecił. – Jeśli stwierdzisz, że Anna Mia może ci się przydać, możesz ją w to zaangażować, jeśli nie...

– Na pewno mi się przyda – przerwał mu Arnold.

– Super, czyli idzie z tobą. Ale jeśli znajdziesz świadków, którzy twoim zdaniem mogą okazać się istotni w sprawie, weźmiesz ze sobą jakiegoś bardziej doświadczonego kolegę. A ty, młoda damo – zwrócił się do córki – raportujesz do Klavsa i tylko do Klavsa i trzymasz się z daleka od wydziału zabójstw, bo inaczej będzie z tego cała masa nieporozumień. A teraz, skoro już wiemy, co kto robi, chciałem tylko powiedzieć, że odwaliliście kawał dobrej roboty. Właśnie takiego zaangażowania oczekuję od swojego zespołu.

Arnold uśmiechnął się nieskromnie. On wywiązał się dziś ze swoich obowiązków tak, jak to robi na co dzień – ani lepiej, ani gorzej. Anna Mia zaś promieniała, bo dokładnie tego tak bardzo pragnęła: uznania ojca na płaszczyźnie zawodowej. Simonsen stwierdził, że pochwała jej się bezsprzecznie należy; córka pomogła mu nawet bardziej, niż sama zdawała sobie z tego sprawę. Otóż nagle doznał olśnienia i odnalazł odpowiedź na

dręczące go od samego rana pytanie. Kilka lat wcześniej ktoś inny wyraził zdziwienie sprawą Juli Denissen, a konkretnie protokołem sekcji zwłok, który poza jednym szczegółem wydawał się równie zwyczajny i niezajmujący jak całe jej życie. To był zaledwie ułamek sekundy... Pamiętał jednak dobrze, jak ówczesny profesor i lekarz medycyny sądowej Arthur Elvang, wyraźnie czymś poirytowany, potrząsał głową, studiując raport z sekcji zwłok w Instytucie Medycyny Sądowej. Wniosek nasuwał się zatem sam... coś tam było nie tak. Wtedy Simonsen nie dociekał co, ale wiedział, że tym razem będzie inaczej.

Rozdział 10

Środa, 25 sierpnia 2010 roku, komenda policji

Simonsen, skoro była taka potrzeba, postanowił wystąpić w telewizji i ogłosił, że poszukuje świadków, którzy byli w okolicach mostu Batterbroen w niedzielę około godziny dziewiątej rano. Chwilę potem w wydziale zabójstw rozdzwoniły się telefony. Złączeni głęboką nienawiścią do mordercy dzieci Duńczycy stanęli na wysokości zadania. Wszyscy chcieli pomóc policji w jak najszybszym schwytaniu sprawcy. Zdecydowana większość zgłoszeń nie wniosła jednak absolutnie nic do śledztwa. Wiele osób dzwoniło tylko po to, żeby zeznać, że nic nie widzieli, a spora część znajdowała się zbyt daleko od niesławnego ostatniego mostu na trasie wycieczkowca, by móc cokolwiek zobaczyć. Inni, bez wątpienia w dobrej wierze, przekazywali funkcjonariuszom swoje sugestie, które miały okazać się przydatne, ale w ogóle nie pomogły w rozwiązaniu sprawy. Jeszcze inni donosili, że zabójcą był ich sąsiad, zięć lub listonosz...

Odsianie zgłoszeń istotnych od tych zupełnie bezużytecznych zajęło im dobre półtora dnia. Ostatecznie jednak wyłonili zaledwie dwie poszlaki, aczkolwiek dość kluczowe. Kilka niepowiązanych ze sobą nawzajem osób twierdziło mianowicie, że widziało w okolicy karetkę pogotowia, co było dość osobliwe, bo z pozoru nijak się miało do mężczyzny na moście. Simonsen uznał, że warto to sprawdzić, i polecił Anice Buch, młodej funkcjonariuszce, która odwiedziła go dwa dni wcześniej, by się dowiedziała, skąd był ten ambulans i z jakiego powodu go wezwano.

Zasięgnął na jej temat języka, a to, co usłyszał bardzo mu się spodobało. Jej współpracownicy i przełożeni uważali ją za pracowitą, zdolną i wnikliwą policjantkę, która przy tym potrafi się rozpychać łokciami. Ten

ostatni szczegół specjalnie Simonsena nie zmartwił, lubił ambitnych ludzi. Poza tym dziewczyna nie pochodziła z Danii.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku przyjechała tu wraz z matką – wysoko postawioną urzędniczką jugosłowiańskiej policji bezpieczeństwa, która ostatecznie popadła w polityczną niełaskę – z nieistniejącej już Jugosławii. Matka wyszła za mąż za Duńczyka. Mężczyzna adoptował jej córkę, kiedy dziewczynka miała jedenaście lat. W związku z tym dziecku zmieniono też imię z Danica na Anica i nadano mu nazwisko adopcyjnego ojca. Po roku dziewczynka uzyskała duńskie obywatelstwo.

Druga poszlaka była bardziej obiecująca: pewna starsza kobieta zeznała, iż była na spacerze z psem w okolicach Bastionu Królowej Charlotte Amalie, na końcu ulicy Refshalevej, mniej więcej dwieście metrów od mostu Batteribroen. Około godziny dziewiętej, może kwadrans po, dokładnej godziny nie pamiętała, zauważyła samochód jadący z wyspy Frederiksholm na wyspę Nyholm. Zatrzymał się on na moście i wysiadł z niego jakiś mężczyzna, a w czasie, gdy wysiadał, minęło go inne auto. Nie znała się na samochodach i nigdy nie umiała rozpoznać marki. Zwykle w pamięć zapadał jej tylko kolor. To auto miało jednak z boku naklejkę, reklamę lub coś w tym stylu. Staruszka nie wiedziała, czego reklama ta dotyczyła. Człowieka na moście też nie potrafiła opisać bardziej szczegółowo, powiedziała tylko, że był wysoki i solidnie zbudowany oraz że miał na plecach mały turystyczny plecak. Te szczątkowe informacje niewiele wносиły do śledztwa, ale po zestawieniu z wynikami działań zespołu do spraw ruchu pojazdów okazały się bezcenne.

Sekcja ta postawiła sobie bardzo ambitny cel. Należący do niej ludzie mieli za zadanie zidentyfikować wszystkie samochody, które w niedzielę, dwudziestego drugiego sierpnia między godziną siódmą rano a jedenastą wjechały na wyspę Nyholm lub ją opuściły. Stanowiło to nie lada wyzwanie. Nikt też nie oczekiwał, że zdołają odtworzyć ruch pojazdów w stu procentach. Istniała bowiem możliwość dostania się na wyspę lub wyjechania z niej z ominięciem kamer monitoringu. Wystarczyło wybrać okrężną, z pozoru nieuzasadnioną logicznie trasę. Pracę śledczych utrudniała do-

datkowo słaba ostrość obrazu wielu kluczowych dla sprawy nagrań. Dotyczyło to między innymi filmów z kamer zainstalowanych przy bankomacie na rogu ulic Prinsessegade i Refshalevej. Na ich podstawie udało się co prawda określić kolor i kształt auta, ale jego markę trzeba już było zgadywać.

Odsianie samochodów z naklejką na boku okazało się natomiast dla odmiany dziecinnie proste. Już po chwili Simonsen siedział, wpatrując się w zdjęcia trzech oklejonych pojazdów, które poruszały się tamtego feralnego poranka po wyspie Nyholm. Jednym z nich był autobus stołecznych linii HT, więc z miejsca go odrzucił. Spośród dwóch pozostałych jeden okazał się służbowym autem należącym do firmy zajmującej się sprzedażą ładunków drewnianych i ten również nieszczerze zainteresował szefa wydziału zabójstw. Obstawiał więc ostatni wóz... srebrnego forda S-Maxa, na którego boku widniał plakat wyborczy jednego z kandydatów na posła. Wybory do duńskiego parlamentu zgodnie z ustawą zasadniczą miały się odbyć dopiero za rok, ale wszyscy twierdzili, że równie dobrze władze mogą je ogłosić w każdej chwili. Zdjęcie pokazano potem świadkowi, to jest starszej pani z pieskiem, która bez chwili zastanowienia potwierdziła, że właśnie to auto widziała na moście. Policja skontaktowała się zatem z rzeczonym politykiem, a ten poinformował, że pojazd należy do jego brata. Podał funkcjonariuszom jego imię, nazwisko i adres. W następnej kolejności zadzwonili więc niezwłocznie do właściciela samochodu. Mężczyzna zeznał, że oklejony plakatem wyborczym srebrny ford S-Max istotnie jest jego własnością, ale zdecydowanie zaprzeczył, jakoby był tamtego ranka na wyspie Nyholm. Musiało więc dojść do jakiegoś nieporozumienia. To zaś wydało się policji podejrzane.

Simonsen, gdy już streszczono mu rozmowę z właścicielem forda, ponownie wyjął zdjęcie i położył je na stole. Obok kierowcy siedziała najprawdopodobniej – na co wskazywała fryzura – jakaś kobieta, zasłaniając tym samym jego twarz. Rysów pasażerki kamery niestety też nie zarejestrowały, bo odwróciła ona głowę. Dłoń miała wysuniętą w charakterystyczny sposób, co sugerowało, że gestykulowała, rozmawiając z kierowcą.

Simonsen zapisał nazwisko i adres mężczyzny na odwrocie fotografii, po czym ją zwinął i skierował kroki w stronę biura Pedersena.

Arne wyglądał na zadowolonego i zaczął mówić, jeszcze zanim jego szef zdążył usiąść. Technikom udało się porównać materiał DNA zabezpieczony z balustrady mostu Batteribroen z materiałem wyizolowanym z próbki pobranej z jednego z siedzeń w rufowej części statku. Nie uzyskano jednak tak wysokiego podobieństwa, jakiego należałoby się spodziewać. Poza tym próbka DNA pochodząca z wycieczkowca miała niepełny profil. Ale jakkolwiek by na to patrzeć, to, co mieli, mogło stanowić cenną poszlakę w postępowaniu sądowym. Co ciekawsze, na poprzeczce balustrady znaleziono nadający się do analizy odcisk palca. Morderca najpewniej zostawił go tam, gdy się na niej zawiesił, by następnie zeskoczyć na pokład wycieczkowca. Ów odcisk nie figurował niestety w policyjnej bazie danych.

Simonsen czuł rosnącą satysfakcję. A to jeszcze nie był koniec dobrych informacji. Nurkowie zdołali bowiem wyłowić w porcie już dwa telefony komórkowe. Zadanie to nie należało bynajmniej do łatwych. Basen portowy miał jakieś dziesięć metrów głębokości, dno pokrywały piasek i muł. Nurkowie musieli się zatem poruszać dosłownie po omacku, a do tej pory przeczesali zaledwie połowę całego akwenu. Za to technicy twierdzili, że do końca dnia powinni odczytać dane ze znalezionej sprzętu.

– I to jeszcze nie wszystko... – ciągnął Pedersen. – Zespół techniczny ustalił, co potwierdziły również przeprowadzone sekcje zwłok, że zabójca użył noża taktycznego, a Kurt Melsing skontaktował się z FBI w Waszyngtonie i Szwedzkim Krajowym Laboratorium Kryminalistycznym w Linköping. Pracownicy obu laboratoriów posiadają specjalistyczną wiedzę w zakresie tego rodzaju broni i na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. W przypadku tego typu badań zwykle otrzymujemy obszerną listę wszelkich możliwych noży, lecz tu było inaczej. Otóż zarówno w Szwecji, jak i w USA obstawiają, że sprawca użył modelu NR-40, radzieckiego noża bojowego z czasów drugiej wojny światowej. To bardzo charakterystyczne narzędzie. Między rękojeścią a ostrzem występuje szczególna osłona w kształcie litery S. Od innych podobnych osłon różni się ona tym, że jest

wygięta w stronę krawędzi ostrza, a nie w przeciwnym kierunku. Odcisk takiej właśnie osłony stwierdzono u dwóch ofiar, jako że morderca, dźgając je, wbił nóż do samego końca. Te spostrzeżenia w połączeniu ze środnicą sztyletu, którą ustalono na podstawie oceny zadanych ran, pozwoliły specjalistom ustalić, jakiej broni użyto. Nóż pochodził z Fabryki Narzędzi Zlatoust, w skrócie ZIK, w górach Ural. – Arne zaczął z wielkim entuzjazmem rozprawiać o wspomnianej osłonie: – Otóż sowieccy żołnierze zwykle chwyтали ten nóż...

Simonsen przerwał mu, kręcąc głową. Chciał w porę powstrzymać nadzbyt rozwlekły wywód.

– Czyli mówisz, że jest szczególny? – podsumował.

– Bez dwóch zdań. Zgodnie z raportem Melsinga to dziś prawdziwy unikat, klasa sama w sobie, niespotykany egzemplarz dla pasjonatów. Ale przyszło mi coś do głowy, Simon. Nasz morderca świetnie pływa, ma rzadko spotykany nóż bojowy, do tego jest bardzo zwinny i zna się na walce wręcz. To może być zawodowy żołnierz...

Inspektor nie skomentował hipotezy Pedersena, lecz spytał:

– A co z tym małym Japończykiem?

– Jest w Tokio, postaram się jutro dowiedzieć czegoś więcej. Ale zdaje się, że masz dla mnie jakieś nowe zadanie, co?

Arne wskazał na kartkę, którą jego szef nadal trzymał w dłoni. Simonsen krótko wyjaśnił, o co chodzi.

– Mógłbyś do niego podjechać dziś wieczorem? – zakończył.

Pedersen skinął głową, zrobi to z przyjemnością.

Rozdział 11

Środa, 25 sierpnia 2010 roku, Ballerup

Pedersen odwiedził właściciela srebrnego forda S-Maxa w jego domu mieszczącym się przy ulicy Rydtoften. Było to spokojne willowe osiedle położone między obwodnicą Ring 4 a lasem państwowym Hareskoven. Arne najpierw próbował przekonać mężczyznę, że postąpi rozsądnie, jeśli będzie współpracować z policją. Facet miał około czterdziestki i w zaistniałych okolicznościach czuł się wyraźnie nieswojo. Usiedli razem na tarasie, po czym Pedersen pokazał swojemu rozmówcy zdjęcie z kamery monitoringu.

– Kim jest kobieta, która siedzi obok pana? Powie mi pan czy nie?

Pedersen już dawno się zorientował, że to będzie kolejny klasyczny przypadek... Sytuacja, w której istnieją jakieś tajne powiązania, lecz za żadne skarby nie można ich wyjawić; gdy nawet osoby zazwyczaj wykazujące się trzeźwym osądem i kierujące zdrowym rozsądkiem odmawiają przyjęcia postawy obywatelskiej. Reakcja mężczyzny tylko potwierdziła teorię funkcjonariusza. Właściciel forda zaledwie rzucił okiem na fotkę, po czym nieco nerwowo łypnął w stronę domu; zapewne w obawie, że wyjdzie z niego żona. Po chwili jednak odwrócił zdjęcie z powrotem w kierunku Arnego.

– Gwarantujemy najwyższą dyskrecję. Policja nie ma żadnego interesu w tym, by grzebać w pana prywatnych sprawach. Potrzebuję tylko kilku informacji i zaraz sobie pójdę – rzucił Pedersen pojednawczo.

Facet pokręcił głową.

– To nie moje auto i nie mam nic do powiedzenia. – Uderzył dłonią w stół ogrodowy, aczkolwiek nieco bez przekonania.

– Czy oczekuje pan również, że uwierzę, że nigdy nie miał pan na samochodzie takiej reklamy? Byłem w garażu i widziałem, że ją pan usunął... – zagaił policjant z udawanym zdziwieniem.

Mężczyzna w końcu zaczął mówić. Plącząc się w zeznaniach, wyjaśnił, że faktycznie pozbył się naklejki, ale to zupełny przypadek. Poza tym zapewnił, że ma alibi, niepodważalne. Był z zawodu rehabilitantem i od piątku do niedzieli uczestniczył w konferencji w Slagelse. Nie mógł zatem być jednocześnie w Christianshavn. Pedersen mu nie przerywał. Kiedy jego rozmówca nareszcie zamilkł, funkcjonariusz, nie owijając w bawełnę, powiedział:

– Jestem zmęczony, a teraz na dodatek wściekły. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa piętnastorga dzieci i naprawdę mam masę roboty. Tymczasem siedzę tu i marnuję swój cenny czas na słuchanie i rozbieranie na części pierwsze tych pana farmazonów. Zgadza się, że był pan na sympozjum chiropraktyków w centrum konferencyjnym w Trelleborgu od godziny trzynastej w piątek. Wyjechał pan jednak stamtąd w sobotę koło czwartej, a do domu wrócił dopiero dzień później, czyli w niedzielę, w porze lunchu.

Pedersen zaangażował trzech funkcjonariuszy, żeby sprawdzili alibi właściciela forda, i bardzo szybko udało im się je obalić. W pierwotnej wersji była to zapewne bajeczka dla żony, a nie dla policji. Dodatkowo ze spół do spraw ruchu pojazdów przekazał zastępcy szefa wydziału nadzwyczaj wyraźne zdjęcie przodu auta. Pochodziło ono wprawdzie z kamery zainstalowanej dość daleko od mostu Batteribroen, a mianowicie przy autostradzie E20, ale w tym przypadku miało to drugorzędne znaczenie. Obok kierowcy siedziała bardzo ładna młoda kobieta, a może raczej dziewczyna. Reszty nietrudno się było domyślić. Arne wysłał kilkoro ludzi do hotelu Galion, jedyne go na wyspie Nyholm, i to był strzał w dziesiątkę. Mieli tam mnóstwo zdjęć.

– Tak więc na tym zdjęciu jest pan i jakaś dziewczyna. Chciałbym się dowiedzieć, kim jest. Jechali państwo razem autostradą E20 w stronę Kopenhagi w niedzielę o dziesiątej piętnaście. Potem spędzili razem noc w hotelu Galion, usytuowanym kawałek za halami, w których budowano

kutry torpedowe. Pan i pana towarzyszka mieszkaliście w pokoju numer sześćdziesiąt cztery, a zameldowaliście się, podając się za ojca i córkę, Ole i Pia Jensenowie z Platanvej w Køge. Mało to oryginalne, nawiasem mówiąc. Tak czy inaczej, tu mam państwa zdjęcia z hotelowego lobby, wykonane zaraz po przyjeździe. O... A tu godzinę później, jak idziecie na kolację. Muszę przyznać, że ma pan dość zażyłą relację z córką, i to w sposób raczej mało akceptowalny społecznie, jeśli mogę się tak wyrazić. Ale to oczywiście nie moja sprawa... Dalej... Wymeldowali się państwo około dziewiątej rano, płacąc tysiąc sześćset pięćdziesiąt pięć koron należącą do pana kartą kredytową. To było częściowo za sam pokój, a częściowo za pozycje z oferty minibaru, z którego obficie korzystaliście. Po dziesięciu minutach wróciliście, bo mała Pia zapomniała torebki. No... A tutaj tankuje pan benzynę na stacji przy ulicy Amager Strandvej. To wprowadzie czarno-białe zdjęcie, ale numery rejestracyjne widać jak na dłoni.

Mężczyzna zapadł się w siebie, jego oczy wyraźnie błyszczały, lecz nadal się nie poddawał:

– Te zdjęcia to jakiś fotomontaż, w ogóle wszystko sfabrykowaliście. Nie zamierzam z panem rozmawiać ani chwili dłużej. Do widzenia.

Pedersen nie ruszył się z miejsca. Liczył na to, że facet zmięknie, nic takiego się jednak nie stało.

– Słuchaj, koleś... Skończmy już z tym, co? Naprawdę wydaje ci się, że to jakaś pieprzona zabawa? Jeśli zaraz mi nie powiesz, jak nazywa się ta laska, i nie zeznasz, co widziałeś na moście Batteribroen, to jutro w porannych wiadomościach ogłoszę, że jest poszukiwana, a twoje brudne sprawki też wyjdą wtedy na jaw! – wrzasnął teatralnie, nie bawiąc się w grzecznościowe konwenanse.

I to złamało właściciela forda. Pedersen wiedział o tym, jeszcze zanim ten zaczął mówić. Na początku próbował jeszcze trochę kręcić:

– Nie zauważyliśmy na moście nic szczególnego. Jakiś samochód zjechał na pobocze, po czym wysiadł z niego nieznany mi mężczyzna. Później minąłem ten wóz, ale nie potrafimy go opisać i nie pamiętamy, jak wyglądał ten człowiek. W przeciwnym razie na pewno byśmy to zgłosili.

– Imię i nazwisko dziewczyny! Jej adres i numer telefonu. Teraz!

Facet pociągnął nosem, po czym z wielkim trudem wycedził:

– Emilie... Emilie Damgaard.

Podał też numer komórki, który najwyraźniej znał na pamięć. Peder-
sen nie miał litości:

– Ile lat ma ta twoja Emilie?

– Piętnaście...

– To masz szczęście. I mieszka... gdzie?

To był ostatni cios... Mężczyzna ukrył w dłoniach twarz i oparł łokcie
na stole.

– Jest córką mojego sąsiada. Da mi pan już spokój?

Arne nie miał jednak takiego zamiaru. Maglował faceta tak długo, aż
nabrał stuprocentowej pewności, że ten na pewno nie ma już nic więcej
do powiedzenia.

Rozdział 12

Czwartek, 26 sierpnia 2010 roku, gmina Halsnæs

Dla Anny Mii kilka minionych dni okazało się niezwykle owocnym czasem. Promieniowała, debiutując w roli policjantki kryminalnej, a jej znakomity nastrój udzielał się Arnoldowi. Ponad wszelką wątpliwość miała wrodzony talent dochodzeniowo-śledczy, a oprócz tego prawdziwą smykałkę do zarządzania. Nie minęło nawet pół dnia, a podlegli Jutlandczykowi funkcjonariusze, którym polecono rozłożyć na czynniki pierwsze życie Juli Denissen, pracowali również dla panny Simonsen. I jedno było pewne: to, że cieszyła się u nich tak wielkim szacunkiem i posłuchem, nie miało nic wspólnego z tym, że była córką swojego ojca. W szeregach stołecznej policji takie mechanizmy nie działały, wręcz przeciwnie. Zaliczyła też naturalnie kilka typowych dla nowicjuszek wpadek, niemniej jednak brała sobie mocno do serca wszelkie rady i uwagi swojego mentora, i nie zdarzyło się, by dwa razy popełniła ten sam błąd.

Przez ostatnie trzy doby Arnold i Anna Mia pracowali w hotelu Frederiksværk, gdzie udostępniono im niewielką, lecz nadzwyczaj funkcjonalną salkę konferencyjną. Takie rozwiązanie uznali za najpraktyczniejsze, jako że zdecydowana większość osób, z którymi mieli rozmawiać, mieszkała w gminie Halsnæs. Poza tym nie musieli za to płacić, więc nikt nie mógł im zarzucić, że trwonią pieniądze duńskich podatników. Gdy tylko właścicielka hotelu dowiedziała się, w jakiej sprawie toczy się śledztwo, kategorycznie odmówiła przyjęcia jakiegokolwiek zapłaty. Co więcej, zadbała nawet o to, by nie zabrakło im kawy, napojów gazowanych i owoców. Musieli tylko obiecać, że schwytają zwyrodnialca, który zamordował te wszystkie biedne japońskie dzieci.

Ich wysiłki w okamgnieniu przyniosły rezultaty. Dość szybko zdołali wnikliwie prześwietlić życie Juli Denissen, przy czym dwie rzeczy okazały się szczególnie godne uwagi. Po pierwsze, wszystko wskazywało na to, że kobieta była dość spontaniczna. Potrafiła w jednej chwili dać się porwać jakiejś idei lub myśli i przez kolejnych kilka dni, tygodni, a sporadycznie nawet miesięcy, wręcz fanatycznie za nią podążać, aż do czasu, gdy jej zapal nieco przygasł. Przy czym najczęściej wiązało się to z nową fascynacją, dla której niemal natychmiast porzucała poprzednią. Wielokrotnie porywała się na projekty, o których zupełnie nie miała pojęcia i które przekraczały jej możliwości, mimo to ani odrobinę jej to nie zrażało. Nierzadko udawało jej się także zarazić swoim entuzjazmem inne osoby w najbliższym otoczeniu, tylko po to, żeby po chwili samej się wycofać. Dla znajomych, przyjaciół i kochanków stanowiła inspirację. Ją samą zaś taki stan rzeczy musiał w mniejszym lub większym stopniu wyniszczać, bo zdominowało to całe jej życie. Nigdy nie doprowadzała niczego do końca, miała na koncie całą masę nieudanych przedsięwzięć i paliła za sobą wszystkie mosty.

– To wiele mówi o jej osobowości. Jedynym stałym punktem zaczepienia, który widzę, była dla niej córka – podsumowała Anna Mia.

Arnold ograniczył się do skinienia głową na znak, że się z nią zgadza. Siedział właśnie i jadł pochodzące z dostaw hotelowych jabłko, a córka Simonsena ciągnęła:

– Nagle postanawia, że napiszą z przyjaciółką książkę dla dzieci, która będzie miała całe czterysta stron, lecz już za parę tygodni stwierdza, że lepiej zająć się produkcją napojów gazowanych i otworzyć coś na kształt Halsnæs Bryghus, małej lokalnej warzelnii w Hundested, ale dwa miesiące później dla odmiany chce się zająć mapowaniem zanieczyszczenia w jeziorze Arresø. To się nazywa życie z rozmachem!... A z jej podstarzałymi lowelasami sprawa przedstawiała się dość podobnie.

Juli Denissen wyróżniała się bowiem jeszcze inną cechą, w związku z którą odbiegała od powszechnie przyjętych norm. Prowadziła nadzwyczaj bogate życie seksualne i często zmieniała partnerów. Wszyscy byli od niej znacznie starsi, to jest w przedziale wiekowym od czterdziestu pięciu

do sześćdziesięciu lat. Ponadto mieli zasobne portfele, a przynajmniej dwóch można było, bez krzty przesady, zaliczyć do bardzo zamożnych.

Przez ostatnie dwa dni funkcjonariusze zdołali namierzyć każdego kochanka Juli. Na marginesie trzeba dodać, że nie było to szczególnie trudne. Otóż Borup przeszukał MacBooka kobiety i zdobył login oraz hasło do jej poczty elektronicznej. Legalność tego występku można by, oględnie rzecz ujmując, zakwestionować, ale Anna Mia bez większego problemu namówiła młodego informatyka, żeby to zrobił. Gdy jednak komputerowy geniusz udostępnił im wynik swojej pracy w postaci korespondencji mailowej Juli Denissen z okresu prawie czterech długich lat do dnia jej tragicznej śmierci, zachowali to z Arnoldem tylko dla siebie. Dysponując nazwiskami i adresami mailowymi przygodnych partnerów kobiety, mogli z łatwością odnaleźć ich adresy zameldowania, a zatem również ich wszelkie dane.

Od czasu rozwodu, do którego doszło jesienią dwa tysiące piątego roku, do dnia jej śmierci, latem w dwa tysiące ósmym roku, Juli Denissen spotykała się z jedenastoma mężczyznami. Jej związki trwały z reguły od dwóch do trzech miesięcy. Po tym czasie miała w zwyczaju rzucać swoich kochanków, których zresztą szybko zastępowała kimś nowym. Jak się okazało, sporo informacji na temat sponsorów swojej klientki posiadała kobieta będąca jej doradczynią finansową. W banku jednak nie puściła pary z ust. Wręcz przeciwnie, na cały głos, tak, by na pewno usłyszeli to wszyscy jej współpracownicy, żarliwie zapewniała, że nie wolno jej ujawniać absolutnie żadnych poufnych informacji dotyczących klientów, bez względu na to, czy żywych, czy też martwych; jak również, że w takich sprawach należy się bezsprzecznie kontaktować z zarządem. Później jednak, gdy już skończyła pracę, założyła ciemne okulary, postawiła kołnierz płaszcza, by nikt jej nie rozpoznał, i udała się do hotelu. Tam pokazała, że jest jedną z największych plotkar w okolicy i prawdziwą kopalnią bezcennych dla policji informacji:

– Wiadomo, że nie wypada źle mówić o zmarłych, ale trudno znaleźć w tym mieście faceta, z którym nie spała... Każdy, kto miał oczy, widział, że co tydzień miała nowego amanta. I niech mi państwo wierzą, niejeden

płacił za nią rachunki, jeśli tylko ich o to poprosiła, a to jeszcze nie wszystko. W razie czego, nie wiecie państwo tego ode mnie, ale pożyczkę, którą zaciągnęła, żeby mieć wkład własny na mieszkanie, w całości spłacił właściciel restauracji w Melby. Szast-prast i po zadłużeniu nie został nawet ślad, a była jednocześnie na zasiłku, ale – jak widać – nie stanowiło to dla niej problemu. Rok później to samo stało się z kredytem na samochód. Spłacił go pewien pośrednik obrotu nieruchomościami. Mieszka w centrum miasta, żonaty i dzieciaty... Poza tym nie uwierzycie, ale jest członkiem...

Buzia jej się nie zamykała, a Annie Mii udawało się zaledwie od czasu do czasu wtrącić: „Nie do wiary!...” albo „O Boże... nie, to nie może być prawda”. Chwytała się przy tym za głowę, a na jej twarzy malowało się autentyczne wzburzenie. Arnold tymczasem robił notatki. Po jakiejś godzinie, gdy zdołali już uporządkować informacje i mieli szerszy ogląd sprawy, córka Simonsena podsumowała:

– Handlarz drewnem, radiolog, właściciel restauracji, wysoko postawiony urzędnik, pośrednik obrotu nieruchomościami, dyrygent, sprzedawca samochodów. Juli, jak widać, nie posiadała sprecyzowanych upodobań. Przy czym jedno zawsze się zgadzało; wszyscy mieli grube portfele. Myślę, że dobrze by było wysłać do każdego z nich kogoś z policji kryminalnej. Niech ich wypytają, jak to wszystko wyglądało z ich strony. Może w ten sposób dowiemy się czegoś ciekawego. Ale to muszą być mężczyźni i najlepiej w słuźnym wieku, bo tacy wzbudzają większe zaufanie. No wiesz... facet chętniej zwierzy się drugiemu facetowi. Tyle że w przypadku tych żonatyh trzeba by coś pozmyślać, na przykład, że chodzi o jakieś niejasności dotyczące ubezpieczenia auta, to na bank się sprawdzi. I chyba najlepiej, żebyś to ty ich odpowiednio poinstruował.

– Tym złomiarzem z Ølsted, który był karany, zajmiemy się sami. A jeśli chodzi o ostatniego na liście, lub raczej wdowę po nim, wolałbym zabrać ze sobą kogoś z większym doświadczeniem niż twoje – odparł Arnold.

– Bo spotykał się z Juli w tym czasie, kiedy zmarła? O to ci chodzi? – spytała Anna Mia, starając się ukryć rozczarowanie.

– W rzeczy samej. Jak i o to, że nie wiem do końca, czego szukam, ani czy w ogóle czegoś szukam. Dlatego potrzebuję bardziej profesjonalnego wsparcia. Nie zmienia to faktu, że nam obojgu udało się uzyskać odpowiedź na najważniejsze pytanie, mianowicie: skąd Juli Denissen miała te wszystkie drogie przedmioty. Ustaliliśmy też razem, czy coś ją łączyło z Jonasem Zieglerem, który znalazł ją martwą. Nic na to nie wskazuje. Można zatem powiedzieć, że jesteśmy całkiem blisko celu, gotowi sporządzić raport.

Córka Simonsena się z nim zgodziła. Wybierali się właśnie do portu na lunch.

– Sprzedawca samochodów, co o nim wiesz? – spytał Arnold bez żadnych wstępów w drodze do auta.

Jego młoda towarzyszka na chwilę się zawahała.

– Dwa wyroki za defraudację i oszustwo ubezpieczeniowe, odpowiednio w dziewięćdziesiątym ósmym, a potem w dwa tysiące czwartym roku, do tego wyrok za gwałt w dwa tysiące ósmym roku. Spędził wtedy półtora roku w więzieniu. Był też podejrzany o paserstwo.

– I do niego planujesz wysłać jakiegoś podstarzałego policjanta, w pojedynkę?

Anna Mia zakłęła w duchu, wściekła na siebie samą.

– Tak właśnie pomyślałam...

– Oszalałaś.

Nie odpowiedziała.

– Jesteś rezerwową policjantką kryminalną dopiero od trzech dni – dodał po chwili pojednawczo Arnold. – Nie wydaje ci się, że nie powinnaś sobie stawiać poprzeczki tak wysoko? Masz talent, z czego sama doskonale zdajesz sobie sprawę, ale czarować raczej nie potrafisz.

Rozdział 13

Czwartek, 26 sierpnia 2010 roku, Nyholm, wyspa Amager

Z nieruchomości mieszczącej się przy ulicy Kongebrovej 2 na wyspie Nyholm jak na dłoni było widać most Batteribroen, z którego zabójca w niedzielę dwudziestego drugiego sierpnia około wpół do dziesiątej rano zeskoczył na pokład statku wycieczkowego. Na posesji stał czteroskrzydłowy budynek z wewnętrznym dziedzińcem, a na nim znajdowało się sześć miejsc postojowych zarezerwowanych dla trzech firm, które posiadały tu swoje lokale. Oprócz tego piaskownica i drabinki do wspinania dla mieszkających tam dzieci.

Anica Buch stała przed bramą prowadzącą na dziedziniec. Gmach, który nazwano Pałacem Petera Willemoesa, wzniesiono w dziewiętnastym wieku jako budynek administracyjny na potrzeby duńskiej floty, a podwórzec pełnił pierwotnie funkcję wjazdu na posesję. Gdy Simonsen dzień wcześniej polecił funkcjonariuszce zbadać sprawę ambulansu, ta wręcz nie posiadała się z radości. Jej praca przyniosła zaś bardzo pozytywne rezultaty, bez wątpienia z korzyścią nie tylko dla całego śledztwa, lecz także dla niej samej, w czym Anica osobiście upatrywała największą wartość.

Tak jak się spodziewała, karetkę nietrudno było namierzyć. Do dyspozytorni zadzwoniono w niedzielę rano, za dwanaście dziesiąta, a pogotowie wezwano na adres, pod którym obecnie znajdowała się policjantka. Na dziedzińcu znaleziono rannego mężczyznę. Do zdarzenia doszło zatem już po tym, jak morderca dostał się na pokład wycieczkowca, co początkowo niezmiernie Anicę rozdrażniło. Niemniej jednak dokładnie zbadała sprawę, jak się później okazało, bardzo słusznie. Gdy ratownicy dotarli na miejsce za pięć dziesiąta, poszkodowany leżał w piaskownicy i głośno jęczał. Obok niego siedział dozorca. To on zadzwonił pod sto dwanaście.

Rannym mężczyzną okazał się natomiast Kim Steensen. Prowadził on niewielką firmę telemarketingową, która zajmowała pomieszczenia na drugim piętrze południowego skrzydła dworu. I chociaż był dość mocno poturbowany – najwyraźniej ktoś spuścił mu solidny łomot – nie chciał wsiąść do karetki, więc ekipa ratunkowa wróciła z miejsca wezwania bez pacjenta. Poszkodowany nie zamierzał również zgłaszać pobicia. Dozorca pomógł mu zatem wejść po schodach na piętro, gdzie mieściło się jego biuro. Po chwili z góry zszedł też jeden z jego pracowników, a później przyjechał po niego przyjaciel.

Buch próbowała odtworzyć bieg wydarzeń. Stróż zeznał, że widział przez okienko piwniczne, jak Kim Steensen wysiada z auta. Nagle podbiegł do niego mężczyzna w rockowych ciuchach i go zaatakował. Dlatego też dozorca zadzwonił na pogotowie. W przerwie między kolejnymi ciosami sprawca wykrzykiwał coś do Steensena. Mówił o jakichś dziewczynach, którym ten ma zapłacić w ciągu godziny.

Anica poszperała więc trochę, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o ofercie napaści. Okazało się, że to dość barwna postać. Ogólnie rzecz biorąc, facet żył z oszustw i defraudacji. Teraz prowadził firmę telemarketingową. Zatrudniał dziewięciu młodych ludzi, którzy siedzieli i wydzwaniaли gdzie popadnie, starając się sprzedać żarówki energooszczędne. W rzeczywistości był to chiński badziew o mocno naciąganych specyfikacjach, a nabierały się na to głównie osoby starsze.

Policjantka miała teorię, że napastnik się ukrył i czekał, aż Kim Steensen podjedzie. Mógł przyczaić się gdzieś na dziedzińcu lub na ulicy, niedaleko wjazdu. Dzięki temu zyskał jakieś sześć sekund na to, by wślizgnąć się na posesję po tym, jak jego ofiara otworzy bramę pilotem. Problem polegał jednak na tym, że na ulicy nie było żadnych miejsc nadających się na kryjówkę. No chyba że rocker dostał się na klatkę schodową pod numerem 2b, która znajdowała się z lewej strony, przy samej bramie. Jeżeli tak, musiał albo mieć klucz, albo pretekst, by tam wejść, jako że przy drzwiach wejściowych zainstalowany był domofon. Buch przesłuchiwała zatem po kolei wszystkich mieszkańców, a gdy doszła do trzeciego piętra, miała już odpowiedź. Emerytowany nauczyciel pamiętał bowiem dokładnie, jak

w niedzielę rano obudził go jakiś roznosiciel gazet, co niezmiernie go zirytowało.

Wszystko się zgadzało. Z okna klatki schodowej na pierwszym piętrze był doskonały widok na całą Danneskjold-Samsøes Allé, z której musiała wyjechać granatowa skoda octavia należąca do Steensena. Napastnik miał więc mnóstwo czasu, by zejść na dół, poczekać przy drzwiach, aż auto będzie mijało bramę, a potem wślizgnąć się za nim na dziedziniec. Uwadze młodej policjantki nie uszedł jednak pewien istotny szczegół... Chodziło o to, że osoba obserwująca ulicę z tamtego konkretnego miejsca musiała też mieć w zasięgu wzroku most Batteribroen, dokładnie w chwili, gdy stał na nim zabójca. Nie było innej możliwości.

Anica zdawała sobie sprawę z tego, że nie powinna już dłużej działać w pojedynkę. Dlatego zadzwoniła do komendy i poprosiła, by połączono ją z Simonsenem. Już po krótkiej chwili usłyszała pod drugiej stronie głos zastępcy szefa wydziału zabójstw.

Pedersenowi trudno się było skoncentrować na raporcie Aniki. Dosłownie przed momentem między nim a Simonsenem doszło do drobnej sprzeczki. Szef się wściekł, bo musiał przełożyć swoją wizytę w domu opieki u emerytowanego lekarza medycyny sądowej Arthura Elvanga. Nagle się okazało, że trzeba się zająć ważniejszymi sprawami, sprawami, na które Arne nie miał żadnego wpływu. Tak czy inaczej, Simonsen wyładował złość właśnie na nim.

Gdy Anica skończyła mówić, Pedersen postanowił osobiście się do niej pofatygować.

Kiedy jakieś dwadzieścia minut później przybył na miejsce, dziewczyna stała i czekała na niego przed wejściem do pałacu. Jeszcze raz przedstawiła mu w skrócie wyniki swojego śledztwa, pokazując po kolei wszystkie kluczowe punkty. Zakończyli na pierwszym piętrze, gdzie zgodnie z teorią Aniki napastnik czekał na klatce schodowej na Steensena.

Arne długo stał i patrzył przez okno. Most Batteribroen znajdował się dokładnie przed nim, zatem młoda policjantka wysnuła słuszny wniosek. Anica stała za Pedersenem i nie odzywała się ani słowem.

– Zdjęłaś odciski palców z parapetu? – zapytał.

Oczywiście, że to zrobiła. Przy czym tylko odciski palców i materiał DNA. Nie zdjęła odcisków spodu podeszwy buta ani nie wezwała specjalistów, bo ze względu na swoją rangę zwyczajnie nie była do tego uprawniona.

– I co udało ci się ustalić?

– Zabezpieczyliśmy dość sporo bardzo wyraźnych odcisków, które mogła zostawić jedna i ta sama osoba, przy czym nie miałam jeszcze czasu, żeby dokładnie im się przyjrzeć.

Arne Pedersen słuchał, raz po raz potakując głową. Wyglądało na to, że młoda funkcjonariuszka zrobiła wszystko po kolei zgodnie ze sztuką.

– Chcę, żeby te odciski zostały jak najszybciej zbadane. Wezwę technika – powiedział, gdy już schodzili na dół.

Później udali się do firmy Steensena. Właściciela nie zastali, ale dość szybko dowiedzieli się, że szef w niedzielę przed południem w biurze zjawił się nieźle poturbowany i polecił, żeby bliźniaczkom, które były u nich zatrudnione do czerwca tego roku, wypłacono zaległe wynagrodzenie. Podkreślił, że przelew musi zostać wykonany natychmiast. Pracownicy Steensena oczywiście podali policjantom adres rzeczonych siostr, po czym Buch i Pedersen opuścili lokal. Cała wizyta zajęła im niecałe pięć minut.

Z bliźniaczkami nie poszło niestety równie łatwo. Były studentkami i zajmowały mieszkanie mieszczące się pół kilometra od Pałacu Petera Willemoesa. Jedna z nich miała akurat grypę. Leżała na sofie i wyglądała nader marnie. Druga zaś w poczuciu solidarności odpuściła sobie tego dnia zajęcia na uczelni i została w domu, żeby doglądać siostry. Żadna z nich nie wykazywała chęci współpracy.

– Mężczyzna ubrany jak rocker, który pobił Kima Steensena, by wymusić na nim wypłacenie paniom wynagrodzenia, wiedział, kiedy jego ofiara zjawi się w pracy, a tę informację otrzymał właśnie od pań. Innymi słowy, jesteście panie współwinne popełnieniu przestępstwa polegającego na użyciu ostrej przemocy i wymuszeniu. To w zupełności wystarczy, żeby dostać wyrok w zawieszeniu, a następnie figurować w rejestrze karnym – przeczytała z kartki Anica, a potem dodała mniej oficjalnie: – Podsumo-

wując, tkwicie po same uszy w gównie. Chyba że zapomnimy o waszym udziale... Ale to wymaga współpracy z waszej strony.

Arne Pedersen dorzucił kilka słów od siebie, po czym wstał, a na odchodnym powiedział jeszcze z naciskiem:

– Chodź, Anica, nic tu po nas. Nie mam ochoty tu siedzieć i ceregielić się z dwoma smarkulami, które zupełnie nie pojmują, że chodzi o piętnaścioro martwych dzieci. Wezwiemy patrol i po prostu dowiozą je do komendy. Dla nas tak będzie o wiele łatwiej.

Pierwsza odezwała się bliźniaczka chora na gripę. Zachrypniętym głosem zeznała, że zostały oszukane. Firma nie wypłaciła im należnego wynagrodzenia, w związku z czym poskarżyły się wujkowi, który ma bliskie powiązania z Hells Angels. Miała na myśli międzynarodowy klub motocyklowy. Krewny obiecał im pomoc, przy czym nie określił, w jaki sposób. Jakkolwiek by na to spojrzeć, on sam nie mógł odpowiadać za pobicie, bo w dwa tysiące trzecim roku miał wypadek samochodowy i od tej pory porusza się na wózku inwalidzkim. Anica Buch wyjęła notes i długopis.

– A ten wujek nazywa się...?

Gdy wracali do auta, Pedersen dostał SMS-a. Odciski palców zdjęte z klatki schodowej sprawdzono w Automatycznym Systemie Identyfikacji Daktyloskopijnej i okazało się, że policja ma je w swojej bazie. Przesłano im dwa nazwiska. Wsiedli do samochodu, ale Pedersen nie włączył silnika.

– I co teraz? – spytała Anica.

– Skontaktujemy się z komisariatem w Karlslunde. Może oni będą mogli nam jakoś pomóc.

– Masz na myśli oddział specjalny Øst?

Arne potwierdził. Oddział Øst był specjalistyczną jednostką powołaną do walki ze zorganizowanymi grupami przestępczymi w rejonie na wschód od Wielkiego Beltu. Funkcjonariusze z tej sekcji posiadali wyjątkowo dużą wiedzę na temat środowiska rockersów.

Wszystkie elementy układanki nagle zaczęły do siebie pasować: napastnik miał najniższy status hang-arounda, czyli dosłownie „pałętającego się”, a marzyło mu się, by pewnego dnia awansować na prospecta, starają-

cego się o członkostwo w klubie. Wujek bliźniaczek należał kiedyś do Hells Angels i był częstym bywalcem w klubowym lokalu mieszczącym się przy ulicy Svanevej w północno-zachodniej dzielnicy. Reszty można się było łatwo domyślić.

– Co robimy? – spytała ponownie Anica.

Pedersen przez chwilę siedział zadumany, po czym odparł:

– Sprawca będzie skłonny do współpracy, jeśli poprosi go o to klub... A myślę, że na to akurat możemy liczyć. Wielu członków HA też ma dzieci. Więcej na razie nie musisz wiedzieć. Oprócz tego, że na pewno o tobie nie zapomnimy. Obaj z Simonem bardzo doceniamy twój wkład w tę sprawę.

Rozdział 14

Czwartek, 26 sierpnia 2010 roku, komenda policji

Uzgodniono, że Emilie Damgaard, sąsiadkę kęgarza z Ballerup, który niemalże doprowadził Pedersena do białej gorączki, zanim wreszcie zdradził, kim jest jego kochanka, przesłucha Hrabianka. Z uwagi na okoliczności uznali, że jako bądź co bądź dojrzała kobieta najbardziej się do tego nadaje. Przy czym ani ona sama, ani Pedersen nie zapytali Simonsena o zdanie. Umówiła się z dziewczyną – nawiasem mówiąc, właśnie zdała do pierwszej klasy szkoły średniej w Borupgaard – że wpadnie do komisarjatu. Później funkcjonariuszka zadzwoniła do matki Emilie, ponieważ zgodnie z prawem miała obowiązek ją powiadomić o przesłuchaniu córki w charakterze świadka, albo zanim się odbędzie, albo już po nim. Hrabianka wolała pierwszą opcję, bo nie chciała angażować w sprawę pracownika opieki społecznej. Oszczędziła jednak kobiecie zbędnych detali i miała nadzieję, że nastolatka przyjdzie sama.

Zeznania dziewczyny mogły mieć kluczowe znaczenie dla dochodzenia, więc Hrabianka sumiennie przygotowała się do przesłuchania. Na początku śledztwa czuła, że opuściła ją cała energia, ale teraz znów miała jej w sobie całe pokłady. Wiedziała, że to dzięki Simonowi. Jej mąż dał wszystkim wzorowy przykład... Przez kilka dni chodziła przygnębiona, nie mogąc się otrząsnąć po śmierci Pauline, a teraz nareszcie potrafiła się ponownie skoncentrować na pracy. Odnosiła wrażenie, że Arne i Klavs na początku również nie umieli wejść w swoje role. Pewnie tak jak i ona winili się za to, że nigdy nie brali na poważnie ani Berg, ani jej dochodzenia w sprawie śmierci Juli.

Hrabianka wypożyczyła forda S-Maxa, czyli auto tej samej marki co samochód rehabilitanta. Następnie wynajęła kamerzystę, który zajął miejsce

pasażera i nakręcił ultrakrótki film. Nagranie zaczynało się na parkingu hotelu Galion, a kończyło dwie minuty i dwanaście sekund później, kiedy to wóz skręcił w prawo w ulicę Kongebrovej i minął Pałac Willemoesa, po tym, jak po raz trzeci pokonał most Batteribroen, bo Emilie Damgaard zapomniała torebki. Przy czym to drugi przejazd miał się odbyć w decydującym momencie i tu Hrabianka otrzymała niewielką pomoc z dwóch różnych źródeł. Jak można się było domyślić, zespół do spraw ruchu pojazdów szczególnie dużo uwagi poświęcił autu, z którego około pięć po dziewiątej wysiadł na moście Batteribroen pasażer i które w międzyczasie ominęły rehabilitant i Emilie. Funkcjonariusze ustalili, że chodzi o granatowy lub czarny czterodrzwiowy samochód jednej z nowszych marek, i sporządzili długą listę możliwych modeli, ta jednak do niczego się Hrabiance nie przydała.

Przeszukanie dna w obszarze portowym Nordhavn celem wydobycia ewentualnych telefonów komórkowych lub kamer wideo przyniosło za to efekty. Po kilku dniach mozolnej pracy nurkowie wyłowili trzy komórki należące do małych Japończyków, a na jednym z aparatów znaleziono film nagrany w chwili, gdy wycieczkowiec odbił na wysokości wyspy Frederiksholm i przyjął kurs na Zelandię. Na znajdującym się około stu metrów dalej moście Batteribroen wyraźnie było widać jakąś postać. Początkowo stała, opierając się o balustradę, zwrócona twarzą w stronę kamery, lecz zaledwie dwie sekundy później zniknęła z pola widzenia, zupełnie jakby zasłoniła ją linia jezdnia. Na podstawie klitek filmów technikowi udało się ustalić wzrost tego człowieka: miał jakiś metr osiemdziesiąt osiem. Jeśli zaś chodzi o pozostałe szczegóły jego fizjonomii, nagranie niewiele wniosło do sprawy. Z tej odległości nie sposób było nawet określić koloru ubrania.

Hrabianka strzeliła w ciemno: jadąc mostem Batteribroen, wyprzedziła czarną toyotę yaris, z której w tym samym czasie wysiadł ubrany w nierzucający się w oczy sposób funkcjonariusz odpowiedniego wzrostu.

Ostatniej informacji dostarczył jej Pedersen po przesłuchaniu rehabilitanta. Mężczyzna nie pamiętał wprawdzie wiele z tego, co wydarzyło się, gdy znajdował się na moście, ale był pewien, że słuchał wtedy w aucie ko-

mercyjnej stacji radiowej Radio 80, w której przez całą dobę nadają reklamy i wiadomości oraz grają pop. Hrabianka zdobyła więc nagranie z porannej audycji kanału Radio 80 i na podstawie nagrań z kamery monitoringu zainstalowanej na parkingu hotelu Galion zsynchronizowała dźwięk ze swoim kilkuklatkowym filmem. Przynajmniej w teorii... Teraz zaklinała rzeczywistość, by cały trud, który sobie zadała, pomógł odświeżyć pamięć Emilie. Często zdarzało się, że zaprezentowanie nagrania dawało lepsze rezultaty niż obchód miejsca zdarzenia, gdyż świadek miał dzięki temu więcej czasu do namysłu. Funkcjonariuszka zdawała sobie jednak sprawę z tego, że jeśli film nie spełni swojej funkcji, trzeba będzie przejść do planu B, czyli zabrać dziewczynę na most.

Hrabianka słusznie założyła, że nastolatka przyjdzie do komendy bez matki. Gdy już dotarła na miejsce, policjantka zaprowadziła ją do gabinetu swojego męża, gdzie zamierzała wyświetlić Emilie nagranie na wielkiej plazmie wiszącej w przyległym do biura pomieszczeniu. Na twarzy dziewczyny gościł czarujący, zupełnie niewymuszony uśmiech, zupełnie jakby cała sytuacja ani odrobinę jej nie stresowała. Hrabianka pomyślała, że już samo patrzenie na nią sprawiało człowiekowi przyjemność.

– No dobrze... Na początek powiedz mi, proszę, kilka słów o sobie – poinstruowała tytułem wstępu.

Emilie posłusznie się przedstawiła i pokrótce opisała swój związek z sąsiadem.

Hrabianka odetchnęła z ulgą. Nie musiała wywierać na dziewczynie żadnej presji, gdyż ta z własnej inicjatywy opowiedziała wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Mogły zatem spokojnie przejść do filmu.

Po obejrzeniu nagrania Emilie poprosiła Hrabiankę, by odtworzyła je jeszcze raz.

Coś się nie zgadzało... Nie potrafiła powiedzieć co, ale była tego stuprocentowo pewna.

Za drugim razem doznała olśnienia.

– To nie tak... Ten kawałek, uwielbiam go, nawiasem mówiąc, tyle że za szybko się zaczyna. Puścili go, jak wracaliśmy do hotelu i skręcaliśmy

za róg, jeszcze przed wjazdem na most. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Potrafi pani to zmienić?

Okazało się, że Hrabianka z tym akurat umie sobie poradzić. Obraz i dźwięk nagrała osobno, bo choć знаła moment rozpoczęcia nagrania, nie wiedziała, jak szybko jechało auto. To Malte zasugerował, że brak tu spójności, w związku z czym pokazał jej, jak zmienić prędkość odtwarzania w przypadku konieczności zmodyfikowania prędkości jazdy. Próbowaly cztery razy, aż w końcu Emilie uznała, że efekt jest w pełni satysfakcjonujący. I nagle jakby wpadła w trans.

– Tak... i teraz wszystko się zgadza – rzuciła zamyślona, nucąc dobrze sobie znaną melodię. – Ale to ładne... – W pewnej chwili jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wróciła do rzeczywistości i niemalże krzyknęła: – Zrobiłam głośniej, kiedy wjechaliśmy na most... A ona zaczynała właśnie refren, czy jak to się tam nazywa, to znaczy Céline Dion, śpiewała włośno, a ja razem z nią. Ale Casper po chwili trochę ściszył, a to dlatego, że jadące przed nami auto nagle zjechało na pobocze i wysiadł z niego jakiś facet. Casper musiał hamować i strasznie się wkurzył. Pamiętam, jak zaklął: „Głupia cipa! Kto ci dał prawo jazdy?!”. Możemy to puścić jeszcze raz, a potem podgłośnić, jak będziemy już na moście, i znowu ściszyć, zanim wyminie ten wóz?

Hrabianka spełniła prośbę nastolatki. Emilie Damgaard śpiewała teraz zaskakująco silnym i czystym głosem w duecie z władającą sopranem lirycznym Céline Dion. *Near, far, wherever you are, I believe that the heart does go on.* Jednocześnie kołysała się w rytm sączących się w tle miękkich dźwięków skrzypiec. *Once more you open the door,* uniosła ręce, zupełnie jakby dyrygowała orkiestrą, i całkowicie zatraciła się w muzyce... *and you're here in my heart, and my heart will go on and on.* Ale w samym środku zwrotki zamilkła.

– Spojrzał na mnie, to znaczy, nasze oczy się spotkały, teraz pamiętam dokładnie, miał ciemne włosy spięte w kucyk... Nie był młody, raczej tak po czterdzieście, wysoki, bardzo wysoki... i szczupły, ale dobrze zbudowany. Z plecakiem na plecach. Widzę go, wyraźnie dostrzegam jego twarz – powiedziała następnie szczerze zdumiona.

Hrabianka uśmiechnęła się w duchu.

– Myślisz, że do jutra go nie zapomnisz? – spytała.

– Nie ma takiej opcji. Mam go teraz przed oczami, jakby to było wczoraj.

– A czy mogłabyś tu znowu przyjść i wspólnie z innym świadkiem pomóc naszemu rysownikowi w sporządzeniu portretu pamięciowego?

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– A mam jakiś wybór?

– Zasadniczo nie, ale możemy po ciebie podjechać, a potem odwieźć do domu. Jeśli chcesz, zadzwonimy też do szkoły i poprosimy, żeby zwolnili cię z lekcji.

Ustały wobec tego, o której spotkają się następnego dnia. Wychodząc, Emilie zagaiła:

– Czy Casper rzeczywiście nie chciał wam o mnie powiedzieć, chociaż miał świadomość, że mogę się przydać jako świadek?

Uchwyciła spojrzenie Hrabianki i znalazła w jej oczach odpowiedź, chociaż ta próbowała się wymigać od odpowiedzi:

– Tego nie mogę ci powiedzieć. Przesłuchanie Caspera nie dotyczy ciebie, a twoje nie ma nic wspólnego z nim.

Oczy Emilie Damgaard pociemniały ze złości.

– Dupek... – rzuciła gniewnie.

Hrabianka nie mogła się z nią nie zgodzić.

Rozdział 15

Piątek, 27 sierpnia 2010 roku, Hjortekær

Simonsen postanowił wysłać Hrabiankę wraz z funkcjonariuszem z posterunku w Glostrup do Japonii. Mieli tam przesłuchać chłopca, który przeżył niedzielną masakrę w Nordhavn.

Niektórym mogło się nie podobać, że wybrał właśnie swoją żonę. Każdy przecież chętnie spędziłby pięć dni w Kraju Kwitnącej Wiśni, do tego w czasie pracy i na koszt Skarbu Państwa. Ale szefa wydziału zabójstw nie interesowało, jak to zostanie odebrane. On przydzielał swoim ludziom zadania. Z samego rana Hrabianka pojechała zatem na lotnisko. Nie miał niestety czasu, by ją tam zawieźć, a teraz już za nią tęsknił, co niezmiernie go irytowało. Też coś... Zupełnie jakby bez niej nie potrafił normalnie funkcjonować.

Dom Pogodnej Starości pod Białym Łabędziem był malowniczo położony, nieopodal ogrodu zoologicznego. Należące do niego zabudowania wzniesiono wokół starego, otynkowanego na biało murowanego dworu. Dach pokrywała czarna glazurowana dachówka, która połyskiwała nawet w pochmurny dzień. Po obu stronach willi znajdowały się dwupiętrowe przybudówki utrzymane w tym samym stylu architektonicznym co główny gmach, by odpowiednio się z nim komponować. Wokół budynku rozciągał się piękny, zadbany ogród, a na jego terenie ogromne wrażenie robiły schludnie przycięte trawniki, ścieżki żwirowe i całe mnóstwo ławek. Simonsen pomyślał, że pewnie trzeba mieć niezłą emeryturę, by móc tu zamieszkać. Arthur Elvang bez dwóch zdań zasługiwał jednak na najlepsze. Zapracował sobie na to wieloletnią służbą.

A pracował dłużej i ciężiej niż ktokolwiek inny, kogo Simonsen znał.

Administracja domu opieki znajdowała się w budynku głównym. Stamtąd jedna z opiekunek zaprowadziła szefa wydziału zabójstw do pokoju emerytowanego profesora. Najpierw dwa razy głośno zapukała, po czym otworzyła drzwi i poinformowała donośnym głosem, że starszy pan ma gościa – znajomego z policji. Siedzący w fotelu staruszek się wzdrygnął i Simonsen pomyślał, że pewnie go obudzili. Następnie kobieta wyjaśniła, jakkolwiek niepotrzebnie, że profesor źle widzi. Funkcjonariusz wszedł do środka, położył przyniesiony ze sobą bukiet kwiatów, który wydał mu się nagle co najmniej nie na miejscu, na komodzie i przez chwilę nie mógł się zdecydować, czy wypada usiąść, zanim się przedstawi. Końców stwierdził, że lepiej będzie, jak przywita się na stojąco.

Arthur Elvang nigdy, w całej swojej wyjątkowo długiej karierze, nie starał się nikogo zadowolić. Wręcz przeciwnie, w środowisku zawodowym cieszył się raczej złą sławą. Był powszechnie znany ze swojego szorstkiego i nieokrzesanego sposobu bycia, który szczególnie manifestował się w relacjach z osobami wysoko postawionymi. I tylko swoim niekwestionowanym kompetencjom, a na przestrzeni ostatnich kilku lat również szerokiemu międzynarodowemu uznaniu, zawdzięczał to, że jego otoczenie tolerowało lub przynajmniej musiało jakoś znosić jego osobliwe zachowanie. Simonsen był jednym z tych, którym profesor porządnie dał się we znaki.

Elvang stracił wzrok i był tak wychudzony, że kości niemalże przebijały mu skórę. To wydawało się niewiarygodne, że w takim stanie w ogóle można żyć. Inspektor się przedstawił, ale profesor nie zareagował. Policjant dodał więc:

– Mam do ciebie kilka ważnych pytań...

Tym samym zdołał wreszcie nawiązać kontakt ze staruszką, który cienkim, acz wyraźnym głosem odparł:

– Ja do ciebie też mam jedno... Jak za jakiś czas w końcu mnie pocho-
wają, obiecujesz, że dasz mi już święty spokój?

Simonsen usiadł naprzeciwko niego i nie bardzo wiedział, jak zacząć.

– Bardzo przytulne miejsce... – rzucił z pewnym wahaniem w głosie.

Profesor, wyraźnie poirytowany, spojrzął na niego niewidzącymi oczami.

– Doprawdy cudowne! W szczególności uwielbiam, jak ten szurnięty babsztyl, którego miałeś właśnie okazję poznać, wydziera się do mnie jakieś dziesięć razy dziennie, bo wydaje jej się, że jak ktoś nie widzi, to pewnie też nie słyszy. Któregoś dnia zejść przez nią z tego świata! Zawału można dostać za każdym razem, jak tu wchodzi...

Zaproponował następnie, żeby wyszli do ogrodu. Simonsen nie zaprotestował. Jeśli staruszek wołał porozmawiać na świeżym powietrzu, nie zamierzał go od tego odwozić. Podtrzymywał profesora, gdy szli korytarem.

– Jeśli zamkniesz tę krzykaczkę na kilka miesięcy, jestem skłonny pomóc ci we wszystkim, o co tylko poprosisz – zapewnił Elvang.

Simonsen się zaśmiał, choć nie miał do końca pewności, czy staruszek rzeczywiście żartował.

Usiedli na ławce przed budynkiem. Promienie słońca przebijały się gdziegdzie przez chmury i było przyjemnie ciepło. Profesor mówił z ożywieniem. Jakkolwiek by na to patrzeć, jego umysł najwyraźniej wciąż działał bez zarzutu. Simonsen poczuł, jak powoli narasta w nim znana mu już niepewność. Odkąd sięgał pamięcią, jego relacja z Elvangiem nigdy nie należała do łatwych. Pocięszało go tylko to, że nie był w tym osamotniony. Ostrożnie zadał pierwsze pytanie – w zasadzie po to, by zaspokoić własną ciekawość:

– Kiedy parę lat temu poprosiłem cię o pomoc, twierdziłeś, że w szpitalu w Hillerød jest coś takiego jak oddział medycyny sądowej.

Zastanawiał się, czy staruszek w ogóle pamięta jeszcze ten epizod. Okazało się jednak, że doskonale wie, o czym mowa.

– Chodziło o tę młodą Berg i jej teorie spiskowe, które próbowałeś obalić? I martwą kobietę z północnej Zelandii?

Simonsen potwierdził skinieniem głowy. W wielkim skrócie to właśnie miał na myśli.

– Jej krewni przekazali wam wtedy listę... dziesięć faktów, które ich zdaniem policja ukryła przed opinią publiczną, czy coś równie idiotycz-

nego? Jednym z punktów było miejsce wykonania sekcji zwłok.

Teoria Simonsena okazała się z grubsza słuszna: Elvang wolał stworzyć fikcyjny oddział medycyny sądowej, zamiast wdawać się w zawile wyjaśnienia dotyczące patologa Hansa Arnego Tholstrupa i jego prywatnych problemów. Było to wprawdzie nieetyczne, ale na pewno łatwiejsze i bardziej wiarygodne. To, że staruszek dobrze wiedział, jak było naprawdę, pozostawało zupełnie inną sprawą. Profesor znowu przejrzał przyniesioną przez Simonsena listę, po czym nie omieszkał dodać kilku słów prawdy o żonie rzezonego lekarza sądowego:

– Else kurwiła się na prawo i lewo, a Hans Arne, jako jedyna osoba w całym instytucie, o niczym nie wiedział. Tak czy inaczej, była lepszym patologiem sądowym niż ten żaloszny idiota. Powiedz... jesteś w stanie dojrzeć, czy na pierwszym piętrze budynku po lewej stronie widać kogoś w oknie?

Simonsen spojrział w tamtym kierunku, ale nikogo tam nie było.

– W takim razie bądź tak miły i przynieś mi garść śliwek z rosnącego pod oknem drzewka, dobrze? Kto by pomyślał, że ty też uwierzyłeś w te bzdury o Hillerød. W głowie się nie mieści...

Policjant zerwał pięć śliwek, bo tylko tyle był w stanie dosięgnąć. Rozglądał się przy tym nerwowo dookoła i czuł się trochę, jakby znowu miał dziesięć lat i chodził do podstawówki. Była to szwedzka śliwa opal, a owoce wyglądały nadzwyczaj smakowicie.

Gdy tylko wrócił ze swoją zdobyczą, profesor z miejsca zatopił zęby w pierwszej śliwce. Zajadał ją z wielkim apetytem, mlaskając raz po raz, a ciemnożółty sok ciekł mu po brodzie. Następnie wytarł usta rękawem i zabrał się za kolejny owoc. Simonsen skorzystał więc z okazji, by w międzyczasie wyłożyć mu, z czym właściwie do niego dziś przyszedł. Otóż, gdy poprzednio poprosił Elvanga o przysługę, ten, przeglądając protokół sekcji zwłok Juli Denissen dla snującej teorii spiskowej samozwańczej grupy dochodzeniowej, nagle zmarł, wyraźnie zaskoczony jednym z fragmentów raportu. W żaden sposób tego nie skomentował, ale nie ulegało wątpliwości, że coś mocno go zdziwiło. Simonsen obawiał się, że jego wywód o zamierzonych czasach na niewiele się zda, lecz ku jego ogrom-

nemu zdumieniu staruszek dobrze pamiętał ten incydent. Właśnie przeżuwał trzecią śliwkę i trudno było zrozumieć, co mówi, więc szef wydziału zabójstw musiał go poprosić, by powtórzył:

– Mówiłem, że w związku z tym raportem zaangażowano dwoje studentów, a ci znaleźli w pochwie zmarłej kolagenazę i karnozynę. To właśnie wydało mi się dość osobliwe, i to mówiąc bardzo oględnie... – odparł Elvang.

– Mógłbyś to trochę rozwinąć?

Staruszek wyjaśnił zatem, o co chodziło. To, że pobieraniem próbek – w tym często próbek nasienia z odbytu, pochwy i jamy ustnej – zajmują się studenci w ramach specjalizacji, nie jest niczym niezwykłym. Wyników tego rodzaju badań nie ujmuje się natomiast w protokole sekcji zwłok i to, że sporządzony przez nich raport w ogóle został do niego załączony, musiało być wynikiem pomyłki. Profesor znał takie przypadki i wiedział, że w pośpiechu robi się różne rzeczy. Prawdopodobnie podczas badania materiału pobranego z pochwy denatki jedną z tych młodych osób zdziwił wygląd jakichś komórek. Postanowiono więc wykonać analizę chemiczną. Ale coś im musiało po drodze nie wyjść, bo na zdrowy rozum te dwie substancje nie powinny się znaleźć w ciele zmarłej. Stąd też jego zdumienie.

– A co to jest ta karnozyna i... to drugie, o czym wspomniałeś? – spytał Simonsen.

– Kolagenaza jest enzymem, a karnozyna to białko. Jedno i drugie należy do substancji występujących między innymi w śluzie ślimaka.

Simonsen spojrzał na niego osłupiały.

– Nie rozumiem... Chodzi ci o śluz pochodzący od ślimaka?

– Nie, od renifera!... Przecież mówię, że od ślimaka.

– Jeśli wynik analizy jest prawidłowy, oznacza to, że ktoś umieścił ślimaka w pochwie denatki?

– W rzeczy samej. Albo sama go sobie tam włożyła... Raczej wątpię, żeby włożyła tam z własnej woli.

– A czy to mogło u niej spowodować atak paniki? To znaczy wzrost poziomu adrenaliny, czy jak to się tam nazywa? I tym samym wywołać krwo-

tok śródmózgowy?

– Nie mam pojęcia. Nie jestem jasnowidzem. Zaczynj zadawać jakieś sensowne pytania albo zostaw mnie już w spokoju.

Simonsen schował na później jedną ze śliwek, które jeszcze mu zostały, a zaraz potem wstał i oddalił się o jakieś dziesięć kroków, żeby profesor nie mógł go usłyszeć.

Zadzwoił do Arnolda i zapytał, czy Juli Denissen miała jakieś fobie. Jutlandczyk nie potrafił z marszu odpowiedzieć na to pytanie, ale stwierdził, że łatwo to sprawdzić, i obiecał się odezwać, jak tylko będzie coś wiedział. Zanim się jednak rozłączył, przekazał szefowi dobrą wiadomość: po żmudnych poszukiwaniach nurkom udało się wreszcie wyłowić z dna cieśniny Bomløbet narzędzie zbrodni. Faktycznie był to radziecki nóż bojowy pochodzący z czasów drugiej wojny światowej. Został już przekazany technikom i w ciągu doby powinno ostatecznie się potwierdzić, czy ofiary zostały zadżgane właśnie nim.

Simonsen zjadł śliwkę, która okazała się nadzwyczaj soczysta, po czym, nie spiesząc się specjalnie, skierował się w stronę profesora. Ledwie zdążył usiąść, a usłyszał sygnał przychodzącej wiadomości. SMS przysłała Anna Mia. Jego podejrzenia się potwierdziły: Denissen panicznie bała się ślimaków. Jej przyjaciółka twierdzi, że Juli wybuchała płaczem, gdy tylko jakiegoś zobaczyła.

– A... jesteś. Myślałem, że sobie poszedłeś. Gdzie moja ostatnia śliwka? – spytał Elvang.

Rozdział 16

Piątek, 27 sierpnia 2010 roku, Frederiksværk

– Widzę trzy możliwości. Albo jeden z kochanków, którego rzuciła, postanowił się na niej zemścić. Albo ewentualnie żona jednego z kochanków chciała ją skrzywdzić lub przestraszyć. Albo coś jeszcze zupełnie innego...

Anna Mia wprost tryskała entuzjazmem i nie zniechęcił jej nawet sarkastyczny komentarz Arnolda, że w pełni się zgadza z opcją numer trzy. Pedersen, który uczestniczył w przesłuchaniu na prośbę Jutlandczyka, parsknął śmiechem.

Szli właśnie przesłuchać ostatniego świadka we Frederiksværk, to jest wdowę po mężczyźnie spotykającym się z Juli Denissen w okresie, gdy doszło do tragedii.

– Czyli Pauline jednak miała rację, że coś się w związku ze śmiercią Juli nie zgadzało. Trudno mi to pojąć, kiedy pomyślę, ile razy odsyłaliśmy ją z kwitkiem – powiedział Pedersen.

Simonsen opowiedział im o swojej wizycie u Elvanga oraz o tym, co potwierdzono następnie w Instytucie Medycyny Sądowej. Otóż próbka pobrana z pochwy młodej kobiety nadal była tam przechowywana, w związku z czym niezwłocznie poddano ją ponownej analizie. Tym samym uzyskali ostateczny dowód... Pauline Berg słusznie podejrzewała, że na dawnym poligonie wojskowym Melby Overdrev dziesiątego lipca dwa tysiące ósmego roku popełniono morderstwo.

– Jakkolwiek by na to patrzeć, oznacza to tylko tyle i aż tyle, że to przesłuchanie jest jeszcze ważniejsze, niż przypuszczaliśmy. A co się stało, już się nie odstanie... – skwitował Arnold.

Nikt tego nie skomentował, a Anna Mia zmieniła temat:

– Który z was przekonał mojego ojca, żebym mogła dziś uczestniczyć w przesłuchaniu?

– Nie będziesz w nim uczestniczyć, tylko się przysłuchiwać, bo masz się uczyć – odparł Jutlandczyk. – A twojego taty nie trzeba było specjalnie namawiać. Ale na tym koniec, jedziesz na urlop. I nawet nie próbuj do niego dzwonić i molestować go o to, żeby...

– Nie twoja sprawa, o czym rozmawiam ze swoim ojcem – rzuciła zaczepnie Anna Mia, przerywając Arnoldowi.

Ten jednak dokończył niewzruszonym głosem:

– ...molestować go o to, żeby pozwolił ci nadal brać udział w śledztwie. Świetnie się spisałaś, ale to by było na tyle.

Jego podopieczna koniec końców się poddała, mrucząc pod nosem:

– Okej, okej...

– Słuchaj... wiem, że studiujesz prawo. Powiedz: ile lat więzienia grozi osobie, która stoi za śmiercią Juli Denissen? – zainteresował się nagle Pedersen.

Annę Mię zaskoczyła ta nagła zmiana tematu i musiała chwilę pomyśleć, zanim odpowiedziała:

– Jej śmierć była następstwem czynu, którego sprawca nie mógł przewidzieć, zatem nie mówimy tu o zabójstwie, bo nie zostało popełnione umyślnie. To było raczej zastosowanie przymusu, za co grozi maksymalnie dwa lata, a do tego prawdopodobnie jeszcze więzienie ofiary; tu mamy karę do czterech lat pozbawienia wolności. Przy czym, jak wiadomo, w Danii nie obowiązuje zasada pełnej kumulacji kar jednostkowych, więc myślę, że łącznie trzy do czterech lat, ale raczej cztery niż trzy. Poza tym okolicznościami obciążającymi będą naruszenie nietykalności cielesnej i obecność dziecka.

– Cztery lata. Niezbyt wiele, a i tak pewnie wyjdzie maksymalnie po trzech.

– Ta... Można tak przypuszczać. Ale jest coś jeszcze: możemy teraz dostać sądowe upoważnienie do przeszukania poczty elektronicznej Juli, tak

więc treść jej korespondencji mailowej zostanie upubliczniona, jeśli mogą się tak wyrazić.

Pedersen wiedział, że wydział zabójstw już nad tym pracuje.

– To świetna wiadomość – rzucił mimo to.

Wdowa przyjęła ich w pokoju dziennym. Miała około pięćdziesiątki i wszystko wskazywało na to, że zmarły małżonek zostawił jej całkiem spory majątek. Luksusowo urządzonej dom wyraźnie świadczył o dostatku, w którym żyła, i miało się nieodparte wrażenie, że chciała, by właśnie tak to odbierano. „Prowincjonalny przepych, wszystko pretensjonalne i na pokaz”, pomyślała Anna Mia, siadając na wskazanym przez gospodynię wymyślnie rzeźbionym renesansowym krześle, które było tak samo brzydkie, jak przypuszczalnie musiało być drogie. Kobieta nazywała się Ella von Eggert. Prawo do używania przyimka „von” przed nazwiskiem nabyła niecały rok wcześniej, zaraz po śmierci męża, Madsa Eggerta. Był wziętym architektem i obrotnym biznesmenem, jedynym właścicielem biura projektowego w Birkerød. Firma zatrudniała ponad czterdziestu pracowników i zgodnie ze sprawozdaniami podatkowymi osiągała roczny przychód w wysokości przeszło pięciu milionów koron, zależnie od tego, ile akurat udało się z niej wycisnąć. Eggertowie pobrali się w dziewięćdziesiątym ósmym roku, a zanim to nastąpiło, kobieta była krótko sekretarką swojego przysłego męża. Po ślubie przeprowadziła się do willi Eggerta w miejscowości Frederiksværk. Mężczyzna wychował się w tym mieście i spędził tam praktycznie całe swoje życie, poza okresem studiów. Para nie miała dzieci, a w lipcu dwa tysiące dziewiętego roku Mads zginął tragicznie w wypadku samochodowym, jadąc rano do pracy. Wjeżdżając w zakręt, stracił panowanie nad swoim sportowym maserati grancabrio. Samochód był jego oczkiem w głowie. Sprowadził go z Włoch, zanim jeszcze wszedł do sprzedaży. Auto zjechało z drogi i dachowało, a on został przez nie przygnieciony.

Arnold wyjawiał wdowie powód wizyty. Z należnym szacunkiem, ale też nie owijając specjalnie w bawełnę, wyjaśnił, że jej mąż miał romans z Juli Denissen, zanim ta zmarła. Policja chciała więc wiedzieć, czy Ella von Eggert posiada jakiegokolwiek informacje na temat owego związku. Niestety

wdowa nie potrafiła im pomóc. Nie zaprzeczyła wprawdzie w żaden sposób temu, że mąż ją zdradzał, ale nic więcej o tym nie wiedziała.

– Nie wydaje się pani zaskoczona faktem, że pani małżonek spotykał się z inną kobietą... – zauważył funkcjonariusz.

Ella von Eggert demonstracyjnie westchnęła, po czym przyznała, że faktycznie nie jest to dla niej żadną niespodzianką. Jej mąż miał na sumieniu kilka skoków w bok, ale nigdy nie było to nic poważnego i zawsze potem udawało im się wszystko jakoś posklejać.

– Kilka... Ma pani na myśli dwa?

– Może trzy... To znaczy, przynajmniej z tego, co mi wiadomo. Ale to było bardzo dawno temu, dokładnie w dwa tysiące pierwszym roku, i jeszcze raz, kilka lat wcześniej. Zresztą, czy to naprawdę takie ważne? Jak już mówiłam, udało nam się z tym uporać. Te kobiety nic dla niego nie znały.

Arnold pomyślał, że wdowa ma rację.

– Mads był nadzwyczaj kontaktowym człowiekiem. Naturę trudno oszukać... – dodała Ella.

– Wiemy, że w maju w dwa tysiące ósmym roku pani mąż podarował swojej kochance bardzo drogą książkę, wartą przynajmniej sto tysięcy koron. O tym też nic pani nie wiadomo?

Ella von Eggert zamyśliła się na chwilę, a zaraz potem ponownie zaprzeczyła.

– Zupełnie nic! Jak już mówiłam, nie znałam tej dziewczyny. Nawet jeśli Mads chciał wydać na nią trochę pieniędzy, to była jego wola – rzuciła niemalże oskarżycielsko.

Pedersen pokazał wdowie zdjęcie Juli Denissen. Potrząsnęła głową, mówiąc, że niestety nigdy jej nie widziała. Jonasa Zieglera również nie rozpoznała.

– Te trzy romanse, o których pani wiedziała... zdarzyły się w okresie od dwa tysiące pierwszego do dwa tysiące trzeciego roku, prawda? – zagaił Arne.

Ella potwierdziła skinieniem głowy, zupełnie nie pojmując, czemu policjant o to pyta.

– A w jakim wieku były kochanki pani męża?

– Mniej więcej w moim, tak mi się przynajmniej wydaje. To znaczy... Jedna z nich może trochę młodsza... Po co wam te informacje?

O to samo pytał wcześniej Arnold.

– To my zadajemy pytania, a pani na nie odpowiada. Nie odwrotnie... – odparł dość impulsywnie Pedersen.

Magłowali ją jeszcze dobre pół godziny, ale przesłuchanie utknęło w martwym punkcie.

W pewnym momencie zwyczajnie wyczerpały im się pytania.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Anna Mia zawołała triumfalnie:

– Kłamie jak z nut! Dobrze znała Juli Denissen. Mówiła o niej „dziewczyna”, zwróciliście na to uwagę? Gdyby tak nie było i gdyby nie wiedziała, że Juli była o wiele młodsza niż pozostałe kochanki męża, nie użyłaby takiego sformułowania... Tymczasem inne określała jako „kobiety”, nie „dziewczyny”!

Pedersen ją pochwalił. To była słuszna uwaga. Szli przez chwilę w milczeniu, po czym Anna Mia dodała:

– Przecież sam słyszałeś... Dlatego właśnie sformułowałeś pytanie w taki, a nie inny sposób, prawda, Arne?

– Spisałaś się na medal – skwitował Jutlandczyk.

Część II

Leśniczy

Rozdział 17

Poniedziałek, 30 sierpnia 2010 roku, komenda policji

Pedersen, Arnold i Simonsen zaczęli dzień pracy od dogłębnej analizy okoliczności śmierci Juli Denissen.

Rozłożyli na podłodze ogromną mapę skompilowaną specjalnie dla nich przez Borupa na podstawie zrzutów ekranu z Google Earth. Plan przedstawiał las Melby Overdrev, a oni usadowili się wokół niego, każdy na swoim krześle, żeby odtworzyć przebieg zdarzenia. Jonas Ziegler od początku utrzymywał, że pracował w lesie, gdy usłyszał płacz dziecka. Poszedł więc w kierunku, z którego dochodził głos, i tam znalazł martwą kobietę. Zeznanie to nie brzmiało do końca wiarygodnie z uwagi na odległość, co wielokrotnie podkreślała Pauline. Teraz można było przyjąć, że leśniczy usłyszał krzyk Juli, a nie szlochanie jej małej córki.

– O ile Ziegler sam nie brał w tym udziału... Bo należy założyć, że Juli Denissen albo została w jakiś sposób unieruchomiona, albo napastników było kilku – zauważył Pedersen.

Był jeszcze nietypowy element w postaci kurtki kobiety. Zabrała ją ze sobą, mimo że był środek lipca. Zatem wszystko wskazywało na to, że wybierała się raczej na spacer po plaży, gdzie wiało i mogło być nieco chłodniej, a nie na osłonięte przez wydmy tereny.

– Nasuwa się tu zatem przypuszczenie, że została uprowadzona wraz z dzieckiem, gdy tylko wysiadły z samochodu. Możliwe, że specjalnie się nie broniła, właśnie z uwagi na małą... – kontynuował.

Pedersen skinął głową, ale bez wielkiego przekonania. Simonsen wymruczał coś pod nosem... Ogólnie rzecz ujmując, chwilowo utknęli w martwym punkcie. Jaki to miało związek z ich dzisiejszym dochodzeniem, jeśli w ogóle jakiś miało?

– Nie tylko osoba Zieglera łączy ze sobą te zabójstwa... – rzucił inspektor. – Nie zapominajcie, że w zeszłą niedzielę ktoś włamał się do mieszkania Pauline i ukradł jej teczkę. Tak czy inaczej, nic więcej nie mamy.

Zarządził, że należy się uważnie przyjrzeć otoczeniu Juli, w tym zwłaszcza jej kochankom, a zadanie to przydzielił Pedersenowi i Arnoldowi – mimo że ten ostatni już raz się tym zajmował, wspólnie z Anną Mią.

– Przede wszystkim spróbujcie przycisnąć jeszcze trochę wdowę po Eggercie. Podczas pierwszego przesłuchania nie powiedziała nam nic interesującego – polecił Simonsen. Po czym dodał z lekką nutką ironii: – Poza tym mamy teraz legalny dostęp do poczty elektronicznej Denissen. Czy coś nam to da, nie wiem. Jakkolwiek by na to patrzeć, mamy tam ponad siedemset maili, więc muszę zlecić komuś, żeby je wszystkie dokładnie przeanalizował i usystematyzował. Nie wydaje wam się, że to idealne zadanie dla Aniki Buch?

To było pytanie retoryczne, niemniej jednak zirytowało Pedersena, który dobrze wiedział, do czego zmierza Simon. Od początku śledztwa był przeciwny angażowaniu przez Simonsena osób z zewnątrz, które w mniemaniu szefa wydziału świetnie się do tego nadawały; bez względu na ich staż czy też udokumentowane kompetencje. I chociaż jedną z nich był właśnie Arnold, Pedersen nie wytrzymał:

– Chryste... Simonie. To przecież nowicjuszka. Tymczasem ty próbujesz robić z niej nie wiadomo jaką specjalistkę! Nie możesz tego zlecić komuś z naszych ludzi?

Arnold nie odezwał się ani słowem, co było zupełnie zrozumiałe, a Simonsen stanowczo uciął temat:

– Daj jej szansę, Arne. Najwyżej jej podziękujesz, jeśli się nie sprawdzi.

Następny punkt spotkania wymagał równie wielkiej mapy, a wymiana tej pierwszej na tę drugą trwała bez mała dłużej niż omówienie każdej z nich. Tym razem chodziło o dwa szczegóły, o których Hrabianka dowiedziała się od japońskiego chłopca. Mężczyzna, który zamordował dorosłych pasażerów wycieczkowca, skoczył do wody tyłem. Ponadto opuścił statek później, niż początkowo zakładano. Zgodnie z zeznaniami małego

Japończyka stało się to długo po tym, jak ich nauczycielka w panice rzucała się do wody. Jednocześnie sporo czasu upłynęło, zanim dopłynął prom. Wszystko wskazywało zatem na to, że sprawca opuścił pokład na wysokości wejścia do portu, tuż przed basenem portowym. Uzyskane informacje nie pozostawiały wątpliwości co do tego, że morderca był świetnym pływakiem. Takich osób jest jednak, jak powszechnie wiadomo, na pęczki. Pytanie brzmiało więc raczej, jaki maksymalny dystans mógł ewentualnie pokonać, zanim wyszedł na ląd. Aby się tego dowiedzieć, policja zasięgnęła fachowej opinii profesjonalnych nurków i płetwonurków wojskowych. Niestety wszyscy oni zgodnie orzekli, że możliwości jest całkiem sporo, a na pewno zdecydowanie za dużo, by warto było iść tym tropem. Arnold zwinął mapę, a Pedersen rzucił:

– Jak na razie mamy jedynie portret pamięciowy, ale może przyniesie to jakiś skutek...

Emilie Damgaard i młody rocker, który pobił Kima Steensena, spędzili całą niedzielę z rysownikiem policyjnym, starając się odtworzyć wizerunek sprawcy. Po długich dyskusjach i licznych poprawkach wynik ich molarnej pracy okazał się szczególnie przydatny, czytelny i sugestywny. Simonsen powiesił rysunek na tablicy korkowej w swoim biurze i teraz wraz z Pedersenem i Arnoldem wpatrywali się w niego, nie mogąc oderwać wzroku.

Sportretowany mężczyzna miał koło pięćdziesiątki. Jego twarz była wyrazista, z mocno zarysowanymi kością czołową i szczęką oraz wydatnymi kośćmi policzkowymi. Miał duży, spłaszczony nos, jaki widuje się często u bokserów, i głęboko osadzone ciemne oczy. Wzrok stanowczy i spokojny, ale nie wrogi. Czarne włosy spięte były w sięgający mu do ramion kucyk, a lekko cofnięta linia włosów oraz zmarszczki na czole i wokół ust świadczyły o tym, że nie był już pierwszej młodości. Miał pełne usta, a na brodzie i nad górną wargą jednodniowy zarost. Ogólnie rzecz biorąc, wyglądał wypisz wymaluj jak wódz plemienia z epoki kamienia łupanego.

– Kiedy zamierzasz to upublicznić? – zainteresował się Arnold.

– Nasz rysownik przygotował siedem innych portretów przedstawiających przypadkowych mężczyzn i wszystkie osiem mają pokazać japoń-

skiemu chłopcu – wyjaśnił Simonsen. – Na razie nie mamy odpowiedzi, ale mogą ją przysłać w każdej chwili.

Zaledwie dwie godziny później przyszła wiadomość z Japonii. Mały Japończyk rozpoznał człowieka na portrecie pamięciowym...

Rozdział 18

Czwartek, 2 września 2010 roku, Valby

– Twój brat jest gliniarzem, prawda?

Nauczycielka ze Szkoły Podstawowej imienia Sørensa Kierkegaarda zatrzymała się przed ojcem jednego z uczniów i potwierdziła, że faktycznie tak jest.

– Wiem, kto zamordował tych ludzi na wycieczkowcu. A zbrodnię popełniono z użyciem noża Ka-Bar lub NR-40. O tym akurat wiadomo bardzo niewiele...

Kobieta zaniemówiła. W pierwszym momencie pomyślała, że to jakiś ponury żart, ale gdy doszło do niej, że mężczyzna mówi poważnie, ogarnęła ją złość.

– Jeśli posiadasz jakieś informacje, sugeruję, żebyś jak najszybciej zgłosił to policji.

– Nie ma mowy! Nie chcę, żeby ktokolwiek to rejestrował. Zadzwoń do brata i powiedz mu, że chodzi o model Ka-Bar albo NR-40, i nie zapomnij mu przekazać, że znam zabójcę, ale bądź tak miła i nie podawaj mojego nazwiska. W razie czego, czekam w bibliotece.

– A co to jest Ka-Bar i NR-40?

– Ka-Bar to skrót od angielskiej frazy *Kill a Bear*, czyli „Zabij niedźwiedzia”, chodzi o amerykańską markę noży. NR-40 to z kolei radziecki nóż bojowy wyprodukowany po raz pierwszy w czterdziestym roku. Skrót NR oznacza *noż razwiedzika*, czyli „nóż zwiadowcy”. Ale to zasadniczo bez znaczenia. Powiedz po prostu, że chodzi o Ka-Bar albo NR-40, tylko tyle.

Hrabianka dotarła do szkoły niecałe dwie godziny po rozmowie mężczyzny z nauczycielką. Kiedy do Pedersena zadzwoniła jego siostra, był akurat we Frederiksværk, więc natychmiast powiadomił o całym zajściu

Simonsena. On również uznał, że to godne uwagi. Pomyślał, że może w końcu nastąpi przełom, którego tak bardzo potrzebował. Opublikowanie portretu pamięciowego bynajmniej nie przyniosło oczekiwanych przez wydział zabójstw rezultatów. Zgłosiła się zaledwie garstka osób. Policja coraz bardziej skłaniała się więc ku wersji, że mordercą jest obcokrajowiec, który przebywał w Danii tylko przez krótki czas. W kontekście samego dochodzenia była to fatalna informacja. Z istotnych poszlak mieli mianowicie tylko ten portret pamięciowy. Pedersen i Arnold, którzy usiłowali namierzyć oprawcę Juli Denissen we Frederiksværk, utknęli w martwym punkcie. Działania podległego Hrabiance zespołu do spraw ruchu pojazdów jak dotąd również nie wniosły do sprawy niczego istotnego. Ograniczanie liczby modeli odpowiadających pojazdowi, z którego wysiadł na moście zabójca, szło im dość średnio, i to mówiąc bardzo oględnie. Obiektywnie należało stwierdzić, że również na tym polu nie mieli postępów w śledztwie.

Hrabianka przesłuchiwała mężczyznę w szkolnej bibliotece. Jego zeznania były jasne i zrozumiałe. Był weteranem z Afganistanu i często widywał się z innymi byłymi żołnierzami w specjalnym ośrodku mieszczącym się przy Vesterbrogade, gdzie trochę pomagał jako wolontariusz. Tam właśnie podsłuchiwał rozmowę dwóch kombatantów z Bałkanów. Twierdzili oni, że człowiek na portrecie pamięciowym przypomina jednego z ich byłych towarzyszy. To znaczy, że może on obecnie wyglądać dokładnie tak jak mężczyzna z opublikowanego przez policję rysunku.

– Mówili też o dwóch należących do niego dawno temu nożach; że jeśli osoba z portretu to faktycznie on, to na statku użył zapewne jednego z nich.

Mężczyzna położył na stole kartkę i przesunął ją w stronę Hrabianki, mówiąc:

– To nazwiska tych dwóch facetów. Ale ostrzegam, raczej nie będą mieli ochoty współpracować z duńskimi władzami. Zbyt wiele razy się już na nich zawiedli. Poza tym bardzo zależy mi na tym, żeby się nie dowiedzieli, że wie to pani ode mnie.

Policjantka poczuła ukłucie rozczarowania. Spodziewała się czegoś więcej...

– A czemu chce pan pozostać anonimowy? – zainteresowała się.

– Nie ufam państwu.

– Wobec tego mógł pan po prostu napisać maila albo zadzwonić i się nie przedstawiać.

– Tak właśnie zrobiłem, ale jak widać, nie przyniosło to większych rezultatów. I dlatego teraz po prostu proszę, żeby nie notowała pani nigdzie, jak się nazywam.

Hrabanek nie chciała nic obiecywać, ale przyszło jej do głowy, że w tej chwili tożsamość świadka nie jest szczególnie istotna. A może nawet nie ma żadnego znaczenia.

– A czy pana znajomi wymienili nazwisko tego mężczyzny? – spytała.

Rozmówca zaprzeczył. Nie, to znaczy nic takiego nie zarejestrował, ale...

– Nazywali go „Polakiem”.

Tak. Trzy razy usłyszał, że tak właśnie o nim mówili.

– Bo pochodzi z Polski?

– Pojęcia nie mam. Polacy z reguły pochodzą z Polski, nie? Ale, jak już mówiłem, nie wiem.

Hrabanek powtórzyła to słowo wyraźnie i powoli, zupełnie jakby je smakowała.

– Polak...

Może koniec końców był to całkiem niezły trop.

Rozdział 19

Wtorek, 7 września 2010 roku, dzielnica Vesterbro

Przy stole w kantynie siedział jakiś nowy. Niewysoki, około sześćdziesięciu pięciu lat. Przynajmniej tyle Simonsen mu na oko dawał. Mężczyzna był barczysty, mocno zbudowany i żyłasty. Nie mówił zbyt dużo, ale policjant miał nieodparte wrażenie, że nieznajomy chciałby mu o czymś opowiedzieć. Najwyraźniej jednak nie potrafił przezwyciężyć nieufności wobec, bądź co bądź, obcego człowieka. Kiedy inspektor na niego patrzył, tamten odwracał wzrok i wbijał spojrzenie w stół. Obserwował natomiast bacznie funkcjonariusza, gdy ten udawał, że go ignoruje.

Simonsen spędzał w ośrodku dla weteranów czwarty dzień i zdecydowanie mu się tu nie podobało. Nie żeby przychodzące tu osoby były w jakiś sposób nieprzyjemne. Wręcz przeciwnie.

Początkowo kombatanci trzymali się na dystans, ale teraz się przed nim otworzyli. Martwiło go raczej to, czego musiał potem wysłuchiwać. Niezliczona liczba historii o oszustwach i podwójnych standardach sprawiła, że poczuł się niezmiernie przygnębiony i... no tak, musiał to przyznać: było mu wstyd za własny kraj.

Ośrodek, który nie posiadał żadnej oficjalnej nazwy, mieścił się w dwóch połączonych ze sobą mieszkaniach na parterze, skąd schodziło się schodami do piwnicy. Tam zaś znajdowało się dziewięć różnych pomieszczeń rozciągających się prawie na całą długość bloku.

Kombatanci mogli tu uprawiać różnego rodzaju aktywności: skorzystać z sali telewizyjnej, gdzie często wyświetlano filmy, zagrać w bilard lub w lotki czy też poćwiczyć w salce treningowej wyposażonej w rozmaite sprzęty. Były tam pokój do osobistych rozmów i pomieszczenie z komputerem, na którym weterani głównie grali. Stworzenie tego miejsca sfinanso-

wano ze środków prywatnych, co w dużym stopniu tłumaczyło jego popularność. Gros kombatantów wołało przychodzić tutaj niż do publicznych, lepiej zorganizowanych placówek zarządzanych przez Ministerstwo Obrony Narodowej i gminę. Nie było tu żadnej uporządkowanej struktury, choć kilku bywalców nieoficjalnie pełniło funkcję przywódców. Z utrzymaniem ośrodka nie było problemów, jako że nie musieli płacić za czynsz, prąd ani za wodę. Właścicielka nieruchomości miała syna, który doznał w Afganistanie stałego kalectwa. Wspierała więc finansowo weteranów, bo jej dorosłe dziecko najlepiej czuło się właśnie w ich towarzystwie. Poza tym dwa znajdujące się nieopodal hotele chętnie dzieliły się z bywalcami ośrodka nadwyżkami jedzenia ze swoich restauracji. Od czasu do czasu odwiedzali ich też pochodzący z różnych środowisk wolontariusze, zawsze chętni, by pomóc, gdy zaszła taka potrzeba. Wśród nich znaleźli się między innymi psychiatra będący lekarzem rezydentem w szpitalu w Glostrup i niewyobrażalnie bogaty handlarz dziełami sztuki, do którego należały cztery znaczące galerie w mieście. Przychodzili również pracownicy socjalni i jeden starszy funkcjonariusz policji z Roskilde, którego Simonsen bardzo dobrze znał. Placówka działała przez całą dobę i wszyscy weterani byli tu mile widziani.

Gdy Hrabianka wróciła ze szkoły, w której pracowała siostra Peder-sena, z informacją o dwóch bałkańskich kombatantach wspominających w swoich rozmowach kilkakrotnie o Polaku, Simonsen odnalazł obu w ośrodku i ich przesłuchał. Niestety, odpowiadając mu półsłówkami i kręcąc głowami, obaj zaprzeczyli, jakoby kiedykolwiek słyszeli o owym Polaku. Tym bardziej więc nie mogli o nim rozmawiać. Portret pamięciowy, który inspektor im pokazał, znali doskonale z telewizji, ale jeśli chodzi o rzeczonygo mężczyznę, nie mieli pojęcia, kto to. Zatem wszystko na „nie”... Simonsen od początku zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu na nich naciskać. Przeprowadził już w życiu wystarczająco dużo przesłuchań, by wiedzieć, że nic to nie pomoże. Nie należeli do osób, na których można wyrzucić jakikolwiek nacisk. Ustalony wstępnie profil sprawcy faktycznie mógł wskazywać na byłego żołnierza. Znajomość narzędzia zbrodni stanowiła z kolei przekonujący dowód na to, że ktoś wiedział coś,

czego bardzo nie chciał ujawnić. Poza tym Simonsen był pewien, że ci dwaj niechętni do współpracy świadkowie nie mówią mu prawdy.

Kolejnym logicznym posunięciem było porównanie sztucznie odmłodzonego wizerunku zabójcy z dokumentami uzyskanymi z TFA, czyli Centralnego Archiwum Sił Zbrojnych Królestwa Danii w Ballerup, w którym przechowywane były dane osobowe zmarłych pracowników.

Simonsen jednak zwlekał z rozpoczęciem pracy. Wiedział, że będzie to wymagać znacznych nakładów, a nie miał żadnej gwarancji, że przedsięwzięte działania przyniosą oczekiwane rezultaty. Pozostało mu jeszcze sprawdzić, czy któryś z bywalców ośrodka dla weteranów nie postanowi w końcu podzielić się z nim swoją wiedzą. Jeśli faktycznie mu na tym zależało, musiał być widoczny, to znaczy regularnie się tam pojawiać, żeby ciągle przypominać komбатantom, że potrzebuje ich pomocy.

Na ścianie jednego z pomieszczeń powiesił portret pamięciowy sprawcy i jak dotąd nikt nie próbował go usunąć. „To dobry znak”, pomyślał.

Drugiego dnia rozmawiał z psychiatrą. Nie kryjąc autentycznego zdziwienia, zapytał go, dlaczego przychodzący do placówki ludzie tak bardzo nie chcą ułatwić policji śledztwa. A był przekonany, że jest wśród nich ktoś, kto mógłby to zrobić, gdyby tylko chciał. Lekarz uśmiechnął się sztywno, ciężko wzdychając. Najwyraźniej było wiele aspektów, których Simonsen zupełnie nie pojmował. Rezydent wyjaśnił mu wszystko później, kiedy po południu usiedli razem przy kawie, i wskazał przy tym palcem trzech zupełnie przypadkowych bywalców ośrodka.

– To jest Jens. Stracił obie nogi i jedną rękę w wyniku wybuchu bomby przydrożnej w afgańskiej prowincji Helmand. Przez długie lata walczył o porządne protezy i w końcu udało mu się je zdobyć. Kiedy jest w dobrej formie, jeździ na rehabilitację w szpitalu królewskim. Jeśli mu się poszczęści, gmina przyzna mu też któregoś dnia karnisze z napędem elektrycznym i specjalne sztuczce, dzięki którym łatwiej mu będzie samodzielnie jeść. Zawsze należy mieć nadzieję, chociaż osobiście szczerze wątpię, że kiedykolwiek do tego dojdzie. Ale, jakkolwiek by na to patrzeć, to jeden z tych, którzy zwycięsko wyszli z naprawdę patowej sytuacji. Ma wpraw-

dzie gorsze dni, na przykład, kiedy nagle zaczyna go swędzieć stopa, której nie ma. Wtedy bardzo cierpi i z reguły zostaje w domu.

Jak można było coś takiego skomentować? Simonsen starał się przybrać współczujący wyraz twarzy.

– A ten tam to Steven. Marzy o tym, żeby wrócić do Afganistanu, by ponownie przydzielono mu jakieś zadanie. Chciałby znowu być wśród swoich kompanów, bo czuje, że właśnie tam jest jego miejsce. Na wojnie stracił obie nogi, zostały mu same kikuty. Już trzy lata wyklóca się z Siłami Zbrojnymi Królestwa Danii i urzędem gminy, żeby mu sfinansowali zakup protezy sportowej. Ale na takie luksusy niestety nie ma środków. Nigdy też nie zobaczy już afgańskiej ziemi i wiedzą o tym wszyscy oprócz niego samego. Czasem nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu, a kiedy ktoś się przypadkiem z tego zaśmieje, Steven później przez wiele dni chodzi przygnębiony. Do tego parę miesięcy po jego powrocie do kraju rzuciła go dziewczyna. Mocno to przeżył, więc rzadko bywa w domu. Większość czasu spędza właśnie tu, a nierzadko nawet tutaj nocuje.

Policjant z posępną miną skinął głową na znak, że słucha.

– Gdzie spojrzeć, widać tylko zło, śmierć, oszustwa i złamane obietnice. A pamiętaj, że to, co widzisz, to tylko fasada – ciągnął dalej psychiatra, najwyraźniej nie przejmując się milczeniem swojego rozmówcy. – W tym kontekście pan i te pana japońskie dzieci to po prostu, jakby to ująć... po prostu jeszcze jedno zdarzenie; poniekąd na dokładkę do wszystkich innych okropieństw...

– Dobra. Chyba już rozumiem, co ma pan na myśli.

– Myślę, że nie... Po prostu nie podoba się panu to, o czym mówię. Ten tutaj też ma na imię Jens. Jest weteranem z Bałkanów i, jeśli wierzyć jego słowom, od czasu, gdy wrócił do domu piętnaście lat temu, jego życie przypomina istny koszmar. Miewa ataki agresji i napady paniki. Szczegóły diagnozy pewnie nieszczególnie pana interesują, ale powiem przykładowo, że panicznie boi się korzystać z toalety. Okresami pije lub bierze kokainę. Gdy zaś odwiedza go córka, co zawsze odbywa się w ośrodku, przez wiele tygodni przed jej wizytą o niczym innym nie mówi. Potem natomiast często zupełnie się załamuje, gdy ta już musi wrócić do swojego ży-

cia. Czuje, że ją zawiódł, lecz to nieprawda. To jego zawiódł własny kraj, czego on niestety zupełnie nie dostrzega. Ma za sobą niejedną próbę samobójczą i kto wie... może któregoś dnia w końcu odbierze sobie życie. Nie on pierwszy i nie ostatni... A wcześniejszej emerytury też mu nie przyznali. Mamy dwie opasłe teczki z aktami jego sprawy. Niestety nadal nierozstrzygniętej.

Simonsen postanowił jednak wtrącić coś od siebie:

– Muszę namierzyć masowego mordercę... A chyba nikt normalny nie godzi się na zabijanie innych ludzi ani też nie jest mu to obojętne, prawda?

Lekarz zignorował uwagę szefa wydziału zabójstw.

– Większość przychodzących tu osób wierzy w Danię, we flagę narodową, w honor, przyjaźń i dawne cnoty; w to, że złożonej przysięgi nie można łamać i że zawsze należy pomagać swoim kompanom, jeśli tylko ma się taką możliwość. Nie ufają natomiast biurokratom, kanapowym generałom, politykom, a tak naprawdę całemu społeczeństwu; społeczeństwu, za które walczyli i które potem obojętnie odwróciło się do nich plecami, gdy już wrócili do domu i potrzebowali pomocy. Chcę panu coś pokazać...

Obrócił się i ze stosu papierów leżących za nim na stole wyciągnął gazetę. Na stronie tytułowej znalazła się rubryka poświęcona zabitemu żołnierzowi z Afganistanu. Poniżej zaś zamieszczono dwa razy obszerniejszy artykuł z nagłówkiem: *Kompendium wiedzy na temat skutecznego zwalczania roztoczy.*

– Komuś, kto stracił towarzysza, ciężko się patrzy na coś takiego. Nikt też specjalnie się tu nie ucieszył, jak się okazało, że minister obrony wygłosił na pogrzebie jednego z żołnierzy dokładnie tę samą przemowę co wcześniej przy okazji pochówku innego. Przecież można po prostu zrobić kopiuj-wklej, po co się niepotrzebnie trudzić? Kiedy zginie nieprzyjaciel, wszyscy siłą się na oryginalność. A naszym poległym żołnierzom należy się tylko wytarta formułka – podsumował.

Simonsen poczuł, że musi zaczerpnąć świeżego powietrza, więc zrobił sobie krótki spacer. Gdy wrócił do ośrodka, lekarz jeszcze tam był.

– Sugeruje pan zatem, że tracę czas?

Jego rozmówca zapalił papierosa, po czym odpowiedział:

– Wcale tak nie uważam. Na pewno w końcu znajdzie pan to, czego szuka, ale wszystko wymaga czasu. Jak pan stąd wychodzi, dużo o panu rozmawiają... Powinien pan nadal wpadać raz na jakiś czas, kiedy tylko znajdzie pan wolną chwilę. Także później, jak już uzyska pan potrzebne informacje. Niewykluczone, że pan też może im jakoś pomóc. Proszę pamiętać: walczyli między innymi za pana.

Simonsen skurczył się w sobie. Nie podobała mu się ta koncepcja. Słowa psychiatry go dotknęły, bo w głębi duszy dobrze wiedział, że najchętniej odszedłby jak najdalej stąd, a z czasem zapomniał, że to miejsce w ogóle istnieje. Nie chciał rozpamiętywać losów tych nieszczęśników ani tego, że jego kraj naprawdę uczestniczył w wojnie. Gdyby tylko mógł, wymazałby to wszystko z pamięci, tak jak większość społeczeństwa.

Musiał jednak jakoś z tego wybrnąć, więc rzucił niezobowiązująco:

– Możliwe, że tak właśnie zrobię. Ale czy na pewno jest tu ktoś, kto posiada istotne informacje?

Lekarz odwrócił się na pięcie i bez słowa skierował kroki do drzwi. Ale po chwili najwyraźniej zmienił zdanie i ponownie obrócił się w stronę Simonsena.

– Tak. Jest taki ktoś – odparł, po czym wyszedł.

Niedługo potem nastąpił przełom... Policjant stał właśnie w kuchni i parzył sobie kawę. Nagle podszedł do niego nowy bywalec ośrodka, którego widział w porze lunchu.

– Bjørn Lauritzen – rzucił, jak zwykle unikając kontaktu wzrokowego. – W dziewięćdziesiątym piątym roku wysłano go do Bośni. To on jest na waszym portrecie pamięciowym.

– Bjørn Lauritzen to Polak?

Określenie „Polak” zdążyło się tak głęboko zakorzenić w podświadomości Simonsena, że dopiero kiedy zadał to pytanie, zreflektował się, że może nie ma to wcale większego znaczenia.

– Tak, Polak, jeśli tak wolisz go nazywać. Ale masz problem...

- Jaki?

- Bjørn nie żyje.

Rozdział 20

Środa, 8 września 2010 roku, komenda policji

– Jak to jego akta zniknęły?

Simonsen zadał to pytanie Hrabiance takim tonem, jakby to ona osobiście była winna temu, że teczka z dokumentacją Bjørna Lauritzena zginęła z Centralnego Archiwum Sił Zbrojnych Królestwa Danii. Żona ze stoickim spokojem powtórzyła mu, co jej przekazano. Mianowicie, że część akt osobowych zaginęła w dwa tysiące pierwszym roku z związku z szeroko zakrojonym projektem IT, który miał na celu dygitalizację dokumentów. Specjaliści do spraw personalnych rozpoczęli ten projekt, lecz po pewnym czasie musieli go zarzucić. W ten sposób przepadły między innymi dokumenty Lauritzena.

– Czyli z punktu widzenia Sił Zbrojnych Królestwa Danii zasadniczo taka osoba mogła nigdy nie istnieć? – spytał Simonsen z irytacją w głosie.

– Nie do końca, bo nadal posiadają dane dotyczące jego wynagrodzenia, od samego początku aż do końca służby. Zaciągnął się w osiemdziesiątym trzecim roku, a w dwutysięcznym roku uznali go za zmarłego. Od tego czasu rentę po nim pobiera żona. Nie wiemy natomiast, czym się zajmował ani też gdzie się podziewał. Naturalnie wszystkiego można się dowiedzieć, ale trochę to potrwa i będzie wymagało większego nakładu pracy.

– Myślę, że on wcale nie umarł...

Hrabianka nie była zaskoczona jego przypuszczeniami. Nie pojmowała jednak, czemu jej mąż i zarazem szef tak się skupia na tym, by dowiedzieć się czegoś więcej o życiu Lauritzena, jeszcze zanim ustalą, że facet faktycznie nadal żyje. Mimo to poświęciła większą część swojego dnia pracy na zbieranie strzępków informacji o tym żołnierzu, czyli na robotę, która za

chwile mogła się okazać zupełną stratą czasu. Nie przekonało jej wyjaśnienie Simonsena, że chce się po prostu rzetelnie przygotować, zanim następnego dnia odwiedzą wdowę po Lauritzenie. W głębi duszy funkcjonariuszka była przekonana, że jej mąż zwyczajnie bardzo chciał, by mężczyzna nadal chodził po tym świecie, i to przekonanie stanowiło punkt wyjścia wszystkich jego działań. Tak czy inaczej, jedynym dokumentem, na którym mogli się oprzeć, okazało się niezbyt szczegółowe CV.

– Urodził się w sześćdziesiątym pierwszym roku w małej wiosce w zachodniej Jutlandii, nad zatoką Nissum Bredning – zaczęła Hrabianka. – W siedemdziesiątym dziewiątym roku świetnie zdał maturę, a dziesięć lat później wziął ślub. Jego żona jest ekspedientką w sklepie i mają dwóch synów. Ale znalazłam coś ciekawego w Bazie Marynarki Wojennej w Kong-søre...

– Był pletwonurkiem? – przerwał jej Simonsen, szczerze zaskoczony.

– Niezupełnie... W osiemdziesiątym drugim roku uczęszczał do szkoły wojskowej przygotowującej do służby w elitarniej morskiej jednostce specjalnej Frømandskorpset. W związku z tym musiał się zaciągnąć, bo inaczej by go nie przyjęli. Miał wybitne wyniki w nauce, niewielu uczniów mogło się z nim równać. Jak wiesz, wymogi są tam nadzwyczaj rygorystyczne, wręcz nieludzkie. Zaledwie koło dziesięciu osób z każdej grupy w ogóle kończy tę szkołę i faktycznie zostaje nurkami. Można zatem spokojnie powiedzieć, że był najlepszy z najlepszych. A jednak tydzień przed planowanym wstąpieniem do jednostki zrezygnował... Nikt nie wie dlaczego. Nie chciał wyjawić powodu. Rozmawiałam z wieloma oficerami, którzy dokładnie go pamiętają. Utkwił im w pamięci jako raczej mało-mówny, nieco introwertyczny i niezwykle skoncentrowany człowiek; urodzony przywódca i jak wspominał jeden z jego instruktorów walki wręcz: ktoś, kogo nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby mieć za wroga.

Simonsen chciał znać szczegóły, lecz Hrabiance nie udało się niestety nic więcej ustalić. Marzyła o tym, by wrócić już do domu. Nazajutrz czekał ją długi dzień, poza tym miała nieodparte wrażenie, że właśnie straciła całe mnóstwo swojego cennego czasu. Jej mąż myślał na głos. Wszystko się zgadza... Bjørn Lauritzen na pewno żyje. To musi być jakaś pomyłka.

W październikową noc tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku pewien człowiek zdołał się prześlizgnąć przez punkt kontroli samochodowej na moście nad Wielkim Beltem od strony Zelandii. Zaspany strażnik zauważył go na kamerach monitoringu dopiero, gdy ten dotarł niemalże do pierwszego wspornika mostu Højbro. Wartownik wezwał służby porządkowe, które przybyły na miejsce dosłownie po chwili. Gdy funkcjonariusze próbowali jednak schwytać mężczyznę, ten popełnił samobójstwo, skacząc przez barierkę do wody. Takie incydenty sporadycznie zdarzały się na moście Storebæltsforbindelsen, czym miejscowe władze oczywiście się nie chwaliły. W tym przypadku obyło się nawet bez wielkiego szumu. Jedynie w lokalnej gazecie „Korsør Posten” opublikowano krótką wzmiankę o zdarzeniu. Zwłok nigdy nie odnaleziono, co nawiasem mówiąc, nie było niczym niezwykłym. Zdarzało się, że morze wyrzucało ciała samobójców na ląd w bardzo różnych miejscach, w tym niezrządkiem po długim czasie i w znacznej odległości od mostu.

Niemniej jakaś kobieta zupełnie przypadkiem natknęła się na tę notkę prasową około pół roku później. Znała Lauritzena z czasów, gdy służył w siłach zbrojnych, a dokładnie w tę noc, kiedy doszło do samobójstwa, jadąc mostem, dostrzegła idącego poboczem człowieka. Zwolniła i do niego podjechała, a gdy opuściła szybę, żeby spytać, czy wszystko w porządku, rozpoznała żołnierza. On jednak wydawał się mocno poirytowany i udawał, że jej nie pamięta. W końcu ruszyła dalej, kiedy zobaczyła w lusterku zbliżające się auto z migającym kogutem ostrzegawczym. Nie chciała się pakować w żadne kłopoty. Z uwagi na przebieg zdarzenia i na podstawie zeznań złożonych przez nią w charakterze świadka sąd w Korsør w maju dwa tysiące pierwszego roku uznał Lauritzena za zmarłego.

Simonsen puścił Hrabiankę do domu, bo czuł, że żona bardzo tego potrzebuje. Sam zaś obiecał, że dołączy do niej w ciągu godziny. Przez kolejne sześćdziesiąt minut siedział i zadumany patrzył w sufit.

Wyszukał w internecie kilka zdjęć Lauritzena wykonanych w Bośni w latach tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt cztery i dziewięćdziesiąt pięć. W sieci zamieścili je weterani zajmujący się prowadzeniem forów dla żołnierzy oraz portali poświęconych ich służbie w byłej Jugosławii. Jedna

z fotografii przedstawiała trzech mężczyzn w mundurach maskujących. Jechali oni pomalowanym na biało czołgiem bojowym Leopard z zatkniętą na dachu i powiewającą na wietrze błękitną flagą ONZ oraz namalowaną na tylnej klapie flagą Danii. W pierwszej chwili trudno było kogokolwiek rozpoznać, bo zdjęcie zrobiono z dość dużej odległości. Z podpisu pod nim jednak wynikało, że żołnierz pośrodku to pułkownik Bjørn Lauritzen. Pojazd uwieczniono w niemalże sielankowej scenerii, którą często widzujemy na pocztówkach – na tle majestatycznej zielonej góry i z pięknym, zadbanym ogródkiem warzywnym po prawej stronie żołnierzy. Pejzaż pejzażem, ale maszyna musiała mieć imponującą siłę ognia – duńskie oddziały w Bośni bez wątpienia były porządnie uzbrojone.

Na następnym zdjęciu widniał biały jeep, a na jego pace ładunkowej siedziało trzech duńskich żołnierzy w ubraniach maskujących typu 97. Ujęcie zrobiono w chwili, gdy samochód z widocznym trudem omijał nadjeżdżający z naprzeciwka wóz konny. Pięciosobowa rodzina uciekała nim wraz z całym swym dobytkiem jak najdalej od rzezi, czystek i nieludzkich nocnych ataków na bezbronną ludność cywilną; byle tylko znaleźć się z dala od piekła, o którym dobitnie świadczyło oskarżycielskie spojrzenie woźnicy. Tym razem twarz Lauritena było widać dość wyraźnie i malowało się na niej skrajne wycieńczenie. Przy czym, gdy się porównało jego wizerunek z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku z portretem pamięciowym wykonanym szesnaście lat później, podobieństwo nie wydawało się zbyt uderzające.

Co ciekawsze, gdy Simonsen po raz pierwszy usłyszał nazwisko Lauritena, udało mu się nakłonić do zwierzeń kilku bałkańskich kombatanów z ośrodka przy Vesterbrogade. Ci zaś utrzymywali, że spotkali swojego byłego dowódcę na pogrzebie jednego z kompanów, który odebrał sobie życie. Lauritzen nie wszedł wtedy do kaplicy, ale na pewno był przy grobie, gdy opuszczano do niego trumnę, choć trzymał się nieco z dala od pozostałych żałobników. Niemniej jednak przywitali się z nim skinieniem głowy i nie mieli wątpliwości, że to właśnie on, choć od momentu, gdy walczyli razem w Bośni, bardzo się zmienił. Przypominał dzikusa; zupełnie jakby przeniósł się do obecnych czasów z epoki kamienia łupanego.

Nie wydawał się natomiast szczególnie zniszczony, a jego oczy emanowały takim samym spokojem jak wtedy, gdy służyli pod jego komendą. Poza tym przypominał mężczyznę z policyjnego portretu pamięciowego. Smutna uroczystość, o której mówili, odbyła się w dwa tysiące szóstym roku, ale dwaj świadkowie nie mieli absolutnie żadnych wątpliwości: uczestniczył w niej Bjørn Lauritzen, choćby wszystkie sądy na świecie uznały go za zmarłego.

O tym właśnie dumiał Simonsen, siedząc w swoim biurze i wpatrując się w sufit. Ale nie tylko... Gdy Hrabianka złożyła mu raport, szef wydziału dostrzegł bowiem jeszcze jeden cokolwiek niepokojący szczegół.

Siły Zbrojne Królestwa Danii straciły akta Bjørna Lauritzena. Takie rzeczy czasem się zdarzają. Następnie jakaś kobieta ze środowiska wojskowego rozpoznała go na moście nad Wielkim Bełtem i to na podstawie jej zeznań stwierdzono, że mężczyzna nie żyje. Też całkiem możliwe... Ludzie nie są przecież nieomylni. Niekiedy biorą obcych za swoich starych znajomych. To mógł być zatem przypadek.

Dla Simonsena był to jednak o jeden przypadek za dużo.

Rozdział 21

Czwartek, 9 września 2010 roku, Skørping

Od ostatniej wyprawy Simonsena i Hrabianki na Jutlandię minęło sporo czasu i każde z nich z niecierpliwością oczekiwało wyjazdu. Pragnęli chwili wytchnienia od codziennej pracy i czasu na długie intymne rozmowy... Chcieli się pozachwycać pięknem rozpoczynającej się właśnie nieśmiało jesieni i poprzyglądać żniwom, które miały się już ku końcowi. Przynajmniej na to liczyli, jednak rzeczywistość nieco ich rozczarowała. Pogoda okazała się dość przygnębiająca. Niebo zasnuwały szare chmury, raz po raz padało, a Simonsen zdecydowanie potrzebował snu. Jechali właśnie autem, a on tylko co chwilę potakiwał i bezskutecznie starał się podtrzymać rozmowę z żoną. W końcu Hrabianka zjechała na pobocze, jeszcze zanim dotarli do Korsør, i nieznoszącym sprzeciwu tonem kazała mężowi przesiąść się do tyłu. Stwierdziła, że dla nich obojga lepiej będzie, jeśli naprawdę się zdrzemnie, zamiast przysypiać na przednim siedzeniu. Simon nawet nie zaprotestował, a gdy zatrzymała się pod stojącą przy autostradzie kafejką, żeby chwilę odpocząć, zjeść coś i wypić filiżankę kawy, nie mogła go dobudzić. Pozwoliła mu więc spać dalej i puściła sobie audiobooka, żeby jakoś zabić czas. Ocknął się dopiero w Arden, skąd mieli zaledwie dziesięć kilometrów do celu podróży.

Na policjantów z Kopenhagi czekali już Rikke Lauritzen, wdowa po Bjørnie, oraz ich najstarszy syn. Pani Lauritzen nie odznaczała się niczym szczególnym. Ot kobieta średniego wzrostu, blond włosy, zniszczona, nieco poszarzała cera... „Swoją drogą, jeśli wziąć pod uwagę aurę, może nie ma się czemu dziwić”, pomyślała Hrabianka, idąc za gospodynią prowadzącą ich właśnie w kierunku nakrytego stolika kawowego w jadalni. Syn, który, co z miejsca podkreśliła, gdy tylko na podjeździe wymienili

uściski dłoni, miał uczestniczyć w przesłuchaniu, okazał się wyrosniętym osiemnastolatkiem o szczerym wyrazie twarzy i spokojnym usposobieniu, jakie spotyka się przeważnie u osób nieco starszych. Zajął miejsce obok matki i od czasu do czasu dyskretnie gładził ją po ramieniu, widząc, że jest cała w nerwach. Od niego zaś bił anielski spokój. Pogawędzili przez chwilę o pogodzie i o tym, jak policjantom minęła podróż ze stolicy, po czym Hrabianka przeszła do rzeczy. Wcześniej uzgodnili, że to Simonsen zacznie przesłuchanie. Teraz jednak oboje czuli, że to ona wzbudza w kobiecie większe zaufanie.

Funkcjonariuszka wyłożyła zatem powód ich wizyty: otóż policja ma wątpliwości co do tego, czy mąż pani Lauritzen faktycznie zginął. A ponadto podejrzewają, że może on stać za zabójstwem kilku osób, do którego doszło w Kopenhadze w niedzielę, dwudziestego drugiego sierpnia. Kobieta z miejsca załapała się łzami... Przepraszała za swoje zachowanie. Obiecywała sobie przecież, że weźmie się garść. Ale to, co powiedzieli, było takie okropne. Stwierdziła, że muszą jej dać trochę czasu, żeby mogła się uspokoić. Rozumiała naturalnie, że to dopiero początek przesłuchania, ale... Zanim zdążyli odpowiedzieć, odezwał się jej syn. Zapewnił matkę, że poczekają tak długo, jak to będzie konieczne.

– Może zaczęliśmy od złej strony... – ciągnęła spokojnym głosem Hrabianka. – Z Centralnego Archiwum Sił Zbrojnych Królestwa Danii zniknęła spora część akt pani męża, w związku z czym mamy wielkie dziury w jego życiorysie. Gdyby zechciała nam pani pomóc uzupełnić te luki, byłibyśmy bardzo zobowiązani.

Po raz kolejny głos zabrał syn:

– Mama na pewno może i chce wam udzielić potrzebnych informacji, tylko po co ma to robić, jeśli ojciec nie żyje? Czy nie powinniście najpierw tego ustalić?

Hrabiance przeszło przez myśl, że wyjął jej to z ust. To samo zarzucała mężowi jeszcze dzień wcześniej. Pospieszyła z wyjaśnieniem – acz mało entuzjastycznym, bo poniekąd sama nie wierzyła w to, co mówi. Młody człowiek tylko pokręcił głową w odpowiedzi. W pewnej chwili pani Lauritzen wyszeptła niemalże bezgłośnie:

– Bjørn żyje...

Wszyscy znieruchomieli... Simonsen od razu chciał się dowiedzieć czegoś więcej, ale wdowa ignorowała jego pytania. Z głową wtuloną w pierś syna wymachiwała dłońmi w geście protestu, zupełnie jakby się broniła przed fizycznym atakiem. Inspektor spojrzał pytająco na żonę, która prawie niezauważalnie skinęła głową. Zdarzało się czasem, że jeden z funkcjonariuszy wzbudzał w świadku lęk, podczas gdy przed drugim osoba ta była skłonna się otworzyć. Niekiedy sytuację taką można było wykorzystać, z kolei w innych przypadkach, jak na przykład tu, stanowiło to utrudnienie.

– Myślę, że nie jesteś tu już potrzebny... Jeśli więc masz coś do załatwienia w Ålborgu, spokojnie poradzę sobie sama – rzuciła Hrabianka do męża.

Gdy Simonsen wyszedł, cała trójka zgodnie stwierdziła, że najlepiej będzie, jeśli zaczną od militarnej przeszłości rzekomo zmarłego, a dopiero później przejdą do trudniejszych tematów. Wdowa przyniosła teczkę z dokumentami i w ciągu pół godziny wspólnymi siłami kawałek po kawałku odtworzyli całą karierę wojskową Lauritzena. To było konkretne, pragmatyczne zadanie, które nie wymagało żadnych głębszych dyskusji, więc kobieta powoli się uspokajała. Niewykluczone też, że pomogła nieobecność Simonsena. Tak czy inaczej, teraz udzielała rzeczowych informacji, trzymając emocje na wodzy. Chłopak również dawał z siebie wszystko, próbując wraz z Hrabianką doprecyzować daty poszczególnych zdarzeń.

1981 – obowiązkowa służba wojskowa, rekrut – dziewięć miesięcy, koszarzy Pułku Huzarów Gwardii w Slagelse.

1982–1985 – szkoła dla pletwonurków w Bazie Marynarki Wojennej w Kongsøre. Nagle przerywa naukę, jeszcze przed jej ukończeniem.

1985–1988 – zatrudnienie w K35, koszarach Pułku Huzarów Gwardii w Slagelse, eskadra wywiadowcza.

1988–1990 – przyjęcie do szkoły oficerskiej i szkolenie w koszarach w Farum, uzyskanie stopnia porucznika, kurs na instruktora walki wręcz i kurs czołgisty.

1990–1992 – porucznik w obozie wojskowym w Oksbøl, dowódca plutonu czołgów.

1992 – pierwsza misja w Bośni, sześć miesięcy.

Na czas oddelegowania z przyczyn politycznych mianowany na stopień starszego porucznika, po powrocie automatycznie wrócił do stopnia porucznika. Komendant plutonu składającego się z trzech do pięciu czołgów oraz dowódca czołgu.

Po powrocie do kraju odznaczony przez Siły Zbrojne Królestwa Danii medalem za odwagę w związku z wykazanymi podczas misji męstwem i walecznością.

1992–1995 – starszy porucznik w obozie wojskowym w Oksbøl, okazjonalnie wypożyczany elitarnej morskiej jednostce specjalnej Frømandskorpset w charakterze instruktora walki wręcz.

1995 – ponowne oddelegowanie do Bośni, sześć miesięcy.

Poza tym w 1995 roku:

Awans na stopień pułkownika, również z przyczyn politycznych. Przy czym po powrocie do kraju pozostał w randze pułkownika. Obejmuje stanowisko dowódcy kompanii, często osobiście uczestniczy w bojowych patrolach rozpoznawczych.

Odesłany do domu przed zakończeniem misji – z nieznanego powodu. Mistrz Danii w pięcioboju wojskowym w latach 1988, 1990, 1991 i 1994, złoty medal na mistrzostwach Skandynawii w 1993 roku oraz srebrny medal na mistrzostwach świata w Brazylii w 1994 roku.

– I nie ma pani pojęcia, czemu Bjørn wrócił do domu wcześniej, niż planował? – zainteresowała się Hrabianka.

Rikke Lauritzen potrząsnęła głową. Nigdy o tym nie wspominał. Ona sama próbowała go na początku wypytywać, ale szybko dała sobie spokój. Najwyraźniej nie chciał poruszać tego tematu, podobnie zresztą jak wielu innych. Gros wydarzeń z Bośni zachował tylko dla siebie.

– Nie podoba mi się, że mówi pani o moim ojcu „Bjørn”. W ogóle go pani nie znała – rzucił syn kobiety.

Hrabianka przeprosiła, po czym spytała:

– Wiemy, że pani mąż dostawał z Sił Zbrojnych Królestwa Danii wynagrodzenie jeszcze przez dwa lata po powrocie do kraju, zupełnie jakby nadal był oddelegowany na misję. Może mi to pani wyjaśnić?

Pokręciła głową. Zapewniła, że bardzo chciałyby pomóc, ale niestety nic jej o tym nie wiadomo. Na kolejne pytanie, czemu jej mążzonek w ogóle otrzymywał żołd do momentu, gdy oficjalnie uznano go za zmarłego, również nie potrafiła odpowiedzieć. Pieniądze regularnie przychodziły, a ona nie dociekała dlaczego.

– A czy mogłaby mi pani opowiedzieć, jak układało się wasze życie po powrocie męża do domu? To znaczy latem dziewięćdziesiątego piątego roku.

Wdowa przez chwilę siedziała w milczeniu, wpatrując się w przestrzeń, po czym odrzekła smutno:

– W ogóle się nie układało... Albo raczej, początkowo wyglądało to bardzo źle, a na koniec już tragicznie. Victor miał wtedy trzy lata, a ja byłam w zaawansowanej ciąży z Emilem, a więc... miałam naprawdę sporo na głowie, a Bjørn absolutnie w niczym mi nie pomagał. Zamknął się w sobie i prawie się do mnie nie odzywał. Zasadniczo rozmawiał ze mną tylko nocami, mam na myśli, kiedy budziły go koszmary, a ja starałam się go uspokoić. Zdarzało się to zwykle kilka razy w ciągu jednej nocy, w najgorszych przypadkach nawet częściej. Dnie spędzał głównie na tarasie albo robił sobie przebieżki po lesie. Było mu źle, bardzo źle, a ja miałam wrażenie, że z upływem czasu jego stan jeszcze się pogarsza, zamiast polepszać. Victora zupełnie ignorował, mnie zresztą przez większość czasu też.

– Nie szukała pani pomocy?

– Owszem, szukałam... Zwracałam się do urzędu gminy i do Sił Zbrojnych Królestwa Danii. Za każdym razem spotykałam się z ich strony z troską i empatią, tyle że nic się nie działo. Dostałam jedynie kilka pism, które okazały się całkowicie bezużyteczne. Próbowalam także wysłać Bjørna na terapię, niestety bez powodzenia. Milczał jak zakłęty. Równie dobrze mogłabym mówić do ściany. Nie chciał też, żebym go dotykała. Pozwalał mi na to tylko nocą, gdy potrzebował mojego pocieszenia. Był wtedy jak dziecko...

– Alkohol, narkotyki, jakieś inne używki?

Zaprzeczyła ruchem głowy, nic z tych rzeczy.

– Jego wycieczki do lasu stawały się stopniowo coraz dłuższe – ciągnęła dalej. – We wrześniu dziewięćdziesiątego piątego roku wracał do domu już tylko na noc, a niekiedy zdarzało mu się nawet nocować poza nim. Ja tymczasem odchodziłam od zmysłów ze zmartwienia. Bałam się o niego, o nasze małżeństwo, ale przede wszystkim o dzieci, Victora i Emila, którego wciąż nosiłam pod sercem. Przerazało mnie to, że nie jestem w stanie w żaden sposób dotrzeć do męża. Raz wyznał mi, że sam sobie nie ufa. Obawiał się, że któregoś dnia dojdzie do tego, że po prostu nas zabije... Tak właśnie powiedział, że w końcu nas zabije. Sama pani więc rozumie, że umierałam ze strachu. Trudno mi to wytłumaczyć, ale odnosiłam wrażenie, że przestało mu zależeć na życiu, nie tylko swoim własnym, ale też innych. Podczas misji w Bośni w jego głowie coś się bezpowrotnie popsuło.

Zamilkła, ale Hrabianka drążyła dalej:

– Gdzie w takim razie mieszkał?

– Chyba po prostu w lesie... Coraz rzadziej zjawiał się w domu, a gdy już urodziłam Emila, w zasadzie w ogóle przestał przychodzić. Początkowo zostawiałam mu na tarasie siatki z jedzeniem, które często zwyczajnie znikwały, choć on nawet nie zamienił ze mną słowa. Kładłam tam też pieniądze, ale prawie nigdy ich nie brał. Z reguły znajdowałam je rano w tym samym miejscu.

– W ogóle państwo ze sobą nie rozmawialiście?

– Nie powiedziałabym, że w ogóle... Zdarzało się, że nagle, ni z tego, ni z owego, zaczynał się czuć lepiej. Przypominam sobie też, co mi kiedyś powiedział; że nie jest w stanie przebywać w czterech ścianach ani spędzać czasu z ludźmi.

– Zatem znosił jedynie swoje własne towarzystwo?

– Tak bym to właśnie ujęła...

– A czy wie pani, co ze sobą zabrał?

Kobieta zmarszczyła brwi, a następnie powoli, jakby z pewnym wahaniem, wymieniła kilka zupełnie nieistotnych dla sprawy przedmiotów: szczoteczka do zębów, akcesoria do golenia, ciepłe buty, śpiwór... Tak naprawdę wziął dużo rzeczy, ale w przypadku większości z nich wdowa nie miała pewności. Całość przypominała wróżenie z fusów. Hrabianka nie chciała jednak przerywać pani Lauritzen. Siedziała i skrzętnie notowała. Na koniec zadała pytanie, do którego zasadniczo przez cały czas zmierziała:

– Miał ze sobą jakąś broń?

Kobieta zamrużyła powiekami, na co syn napomniął ją, mówiąc tylko:

– Mamo...

Nic więcej, a jednak pomogło.

– Dwa noże... bojowe, z czasów służby wojskowej, o ile mi wiadomo.

Hrabianka pokazała jej zdjęcie, pytając, czy przedstawia ono jeden z nich. Kobieta potwierdziła skinieniem głowy, obdarzywszy funkcjonariuszkę zbolalym spojrzeniem. Tak, należał do Bjørna. Hrabianka postanowiła pominąć kolejne, nasuwające się samo pytanie, dlaczego pani Lauritzen sama nie zgłosiła się na policję... Zamiast tego spytała:

– Ale pani wie, że mąż żyje, tak?

Wiedziała... Zjawił się nagle, pół roku po tym, jak oficjalnie uznano go zmarłego. Któregoś dnia odwiozła Victora na zajęcia z harcerstwa, a gdy wróciła do domu, Bjørn siedział na tarasie. Objęła go i długo trwali w uścisku, nie mówiąc ani słowa. Później powiedział jej zwięźle, że ma się dobrze, ale rzadko bywa na Jutlandii. Przeważnie pomieszkiwał w różnych miejscach na Zelandii, a niekiedy też w Szwecji. Nie wyjawiał żonie, gdzie

dokładnie, ale raczej nie miała wątpliwości, że ukrywał się w lasach. Ujawnił się, bo chciał, żeby wiedziała, że wcale nie umarł. Potem znowu sobie poszedł, więc to by było na tyle. Można jedynie dodać, że był w świetnej formie fizycznej, żyłasty i umięśniony. Poprosił ją o szklankę wody i bochenek chleba razowego. Nic więcej nie chciał. O dzieci nawet nie zapytał.

Hrabianka ostrożnie dopytywała dalej, ale kobieta miała rację. Faktycznie nie było już więcej nic, co mogłaby jej opowiedzieć. Zatem jeśli chodzi o ten konkretny wątek, na tym musiały zakończyć. Policjantka wiedziała, że wdowa zostanie za jakiś czas przesłuchana ponownie, lecz nie chciała teraz o tym wspominać. Pozostały dwa pytania i Hrabianka przez chwilę się wahała. Pani Lauritzen jednak nagle wstała i przyniosła cały stos listów, które mąż pisał do niej z Bośni i które, jak twierdziła, chętnie przekaze do wglądu policji. Hrabianka podziękowała, włożyła listy do torby, po czym pokazała wdowie portret pamięciowy. Kobieta niemal od razu zamachała nerwowo rękoma w geście sprzeciwu. Znała ten wizerunek wystarczająco dobrze.

– Czy może pani to schować? Proszę... – rzuciła błagalnym tonem.

Hrabianka posłusznie zwinęła rysunek, a Rikke Lauritzen niemalże wyszeptwała:

– Wygląda jak on... Może niezupełnie, ale tak... To niestety Bjørn. Szkoda, że nikt mu nie pomógł, kiedy najbardziej tego potrzebował.

Jej rozmówczyni w pełni się z nią zgodziła. Faktycznie, ktoś powinien był wyciągnąć do niego pomocną dłoń, co do tego nie było żadnych wątpliwości.

– W osiemdziesiątym drugim roku pani mąż odszedł ze szkoły wojskowej przygotowującej do służby w elitarniej morskiej jednostce specjalnej Frømandskorpset. Wydarzyło się to zaledwie dzień przed planowanym ukończeniem nauki. Czy wie pani, dlaczego to zrobił? – zapytała.

Kobieta skinęła głową, wiedziała. Nienawidził tego miejsca za te wszystkie upokorzenia, które musiał tam znosić. Mimo to chciał pokazać, że jest w stanie ukończyć naukę, jeśli tylko będzie chciał. To był z jego strony pewnego rodzaju protest. To wyjaśnienie wydało się Hrabiance

w pełni przekonujące – tak właśnie obstawiali ludzie z wydziału zabójstw. Następnie wyjęła opakowanie patyczków higienicznych i dwie małe foliowe torebki.

– Muszę pobrać od pani i pani syna materiał DNA, mam nadzieję, że się państwo zgodzicie.

– A jeśli nie? – spytał chłopak.

– To będę musiała tu wrócić z nakazem sądowym, ale wolałabym tego uniknąć.

Młody pokręcił głową. Co za absurd... Nie popełnili żadnego przestępstwa, więc z jakiego tytułu sędzia mógłby zarządzić pobranie od nich próbek DNA? Poza tym domyślał się, że chyba chodzi tylko o niego, a nie o jego matkę. Czy Hrabianka naprawdę brała go za kompletnego idiotę?

– Mam też ze sobą kilka zdjęć dzieci, które również nic złego nie zrobiły, a mimo to zginęły, zanim zdążyły dorosnąć... – powiedziała policjantka spokojnym tonem.

– Dlatego, że mój tata nie otrzymał pomocy, której potrzebował i do której miał prawo...

– Tak.

Pani Lauritzen otworzyła usta jako pierwsza, a syn poszedł za jej przykładem.

Rozdział 22

Czwartek, 9 września 2010 roku, Liseleje

– Mamo, pokazują leśnika... – wykrzyknął chłopiec ożywionym triumfującym głosem, wskazując palcem na telewizor.

Chciał, żeby mama sama zobaczyła, że wcale sobie tego nie wymyślił, że leśnik naprawdę istnieje. Niedawno skończył pięć lat, toteż gdy tylko wizerunek mężczyzny zniknął z ekranu, stracił zainteresowanie nadawanym programem i wrócił do zabawy helikopterem z klocków Lego. Miał ważniejsze rzeczy na głowie. Trzeba było przecież zabrać do szpitala jedną minifigurkę, która właśnie prawie utopiła się w misce z wodą. Jego matka poczuła jednak nagle przypływ niepokoju...

– Dlaczego tak mówisz? – Zadała to pytanie nieco ostrzejszym niż zwykle tonem, co chłopiec z miejsca wyczuł.

– Bo tak jest... – odpowiedział więc posępnie.

Temat leśnika przerabiali już niejednokrotnie. Przy czym rodzice dość sceptycznie odnosili się do opowieści synów o tajemniczym, przypominającym trolla człowieku, który od czasu do czasu zjawiał się w lesie. Chłopcy twierdzili, że ten pan był w gruncie rzeczy bardzo miły. Pokazywał im rzekomo, jak budować świetne kryjówki, i uczył ich śledzenia zwierząt po ich tropach. Tak naprawdę jednak leśnik nie istniał, był dziecięcym urojeniem, więc gdy tylko o nim wspominali, ojciec się unosił i srogo ich upominał. Mówił, że to nie jest temat do żartów i że w ten sposób straszą matkę. A jeśli nie potrafią odróżnić fikcji od rzeczywistości, to oznacza tylko tyle, że są za mali, żeby bawić się w lesie bez opieki. Koniec kropka. Temat należy uznać za zamknięty. Była to poważna groźba, gdyż chłopcy uwielbiali las, nie znali lepszego placu zabaw. Przestali więc opowiadać o leśniku, skoro mama nie chciała o tym słuchać. No chyba że byli

sami... Wtedy najmłodszy prawie zawsze zapominał o zakazie ojca i starszego brata.

Mieszkali w starej leśniczówce położonej dobry kilometr drogi od miejscowości Liseleje, w samym środku lasu Liseleje Plantage. Dzieciaki zatem od małego bawiły się w lesie, który otaczał dom praktycznie z każdej strony. Dziś jednak obaj chłopcy zostali w domu, bo padało. Ich auto było akurat u mechanika, bo ojciec musiał wymienić w nim olej, więc mama pozwoliła im zostać w leśniczówce. Nieczęsto się to zdarzało. Ale dzisiaj postanowiła wybrać zaległe nadgodziny. Zamiast jechać z dziećmi na rowerach do szkoły i z powrotem, wolała zrobić całej trójce wolne. Mąż jej przyklasnął i sam zdecydował popracować z domu. Stała właśnie i prasowała, zerkając od czasu do czasu na ekran telewizora. Nadawali właśnie powtórkę programu z poprzedniego dnia, w którym podsumowano dotychczasowe działania policji w związku z zabójstwami na statku wycieczkowym. Dlatego też ponownie pokazano portret pamięciowy domniemanego zabójcy. Kobieta wyłączyła żelazko, odstawiła je, po czym uruchomiła stojący na biurku za jej plecami komputer. Wyszukała wizerunek sprawcy i wyświetliła go na ekranie. Maluch uważnie śledził każdy jej ruch, zastanawiając się, czy nie powiedział przypadkiem czegoś, czego nie powinien był mówić. Matka pogłaskała go czule po głowie. Następnie zwołała jego brata i ich ojca.

Starszy syn miał dziesięć lat, zatem należało przyjąć, że pochodzące od niego informacje są zdecydowanie rzetelniejsze. Potwierdził słowa małego. To właśnie był leśnik, ale przecież mieli o nim nie wspominać. Rodzicie wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia i zgodnie stwierdzili, że zakaz właśnie przestał obowiązywać. Teraz chcą usłyszeć o tym człowieku wszystko, co chłopcy tylko są w stanie sobie przypomnieć. Dzieci zaczęły więc mówić...

Spotykali go sporadycznie w lesie. Ukrywał się tam i zawsze, gdy próbowali go szukać na własną rękę, wracali do domu z niczym. Pojawiał się tylko wtedy, gdy sam chciał, by mu towarzyszyli. Zdarzało się to głównie zimą, bo latem kręciło się tu za dużo ludzi, a on nie lubił obcych. Miał też królika, ale to nie było zimą. Starszy chłopiec sprostował, że to wcale nie

był królik, tylko mały zajaczek. Młodszy opowiadał dalej. Pozwalał im gła-
skać króliczka i obiecał, że go nie zje. Tak czy inaczej, spotykali go raczej
zimą, niemalże tylko wtedy...

– A kiedy ten leśnik zabiera was ze sobą, to gdzie się wybieracie? – spy-
tała matka, starając się zachować spokój.

– Nigdzie. Chodzimy po prostu po lesie, tam, gdzie rozstawia pułapki.
Albo zwyczajnie sobie siedzimy, a on opowiada nam o tym, jak sam był
mały, albo o roślinach czy o zwierzętach. Tak, wie strasznie dużo o zwie-
rzętach, o drzewach też.

– Czy zdarza się, że was dotyka? – zapytał ojciec z powagą w głosie.

Otrzymał najlepszą odpowiedź, jaką mógł sobie wymarzyć: niepo-
mierne zdumienie w oczach swoich synów. Jak to dotyka? Po chwili młod-
szy syn, który bardzo chciał wtrącić coś od siebie, rzucił:

– Raz przeniósł mnie przez strumień, kiedy byłem jeszcze mały.

– A ma jakiś dom? Odwiedzaliście go gdzieś? – dążyła dalej kobieta.

– Nocuje w bunkrze przy plaży, ale nie chciał, żebyśmy tam wchodzili,
więc go posłuchaliśmy – odparł starszy. – Widujemy go tylko w lesie.

– Skoro nie byliście w bunkrze, to skąd wiecie, że faktycznie tam
mieszka?

Starszy chłopiec pokręcił głową. Nie potrafił odpowiedzieć na to pyta-
nie.

– Bo tak jest – stwierdził mały.

Później rodzice powiedzieli dzieciom, żeby poszły pobawić się
w swoim pokoju, oni zaś z ożywieniem dyskutowali. Kobieta chciała na-
tychmiast zgłosić wszystko na policję, lecz jej mąż uważał, że nie powinni
działać pochopnie. Przecież nie mają pewności, że chłopcy sobie tego nie
wymyślili. W takim wypadku tylko się skompromitują. Ostatecznie usta-
lili, że mężczyzna pojedzie rowerem w miejsce, w którym stoi bunkier. Był
to opuszczony skład amunicji należący niegdyś do poligonu w Melby,
gdzie do dwa tysiące trzeciego roku odbywały się szkolenia wojskowe.
Chciał się upewnić, czy dzieci mówią prawdę. Na początek namęczył się
okrutnie z kłódką, którą ostatecznie rozbił kamieniem. Następnie otwo-

rzył zardzewiałe stalowe drzwi, a to, co zobaczył w najdalszym końcu pomieszczenia, niezbitcie wskazywało no to, że chłopcy nic sobie nie zmyślili. Znalazł tam mianowicie stertę poskładanych niemalże pedantycznie koców i worków ze śmieciami; obok stały puszkę po konserwach, o ile wzrok go nie mylił, głównie puste, plastikowy kanister z wodą i książki wyglądające na takie kupione za bezcen w sklepie z używanymi rzeczami. Na ścianie wisiała zaś fotografia nieznanego mu kobiety. Zrobił komórką kilka zdjęć, po czym wyszedł na zewnątrz i zadzwonił na policję.

Nie minęły nawet dwie godziny, a Arnold już przeszukiwał bunkier. Za nim stał mężczyzna, który ich zawiadomił. Jutlandczyk wezwał techników policyjnych, po czym pojechał z ojcem rodziny do leśniczówki, żeby przesłuchać obu chłopców. Malcy opowiedzieli mu zasadniczo to samo, co cztery godziny wcześniej usłyszeli ich rodzice. A dodatkowo jeszcze coś... Otóż funkcjonariusz bardzo chciał wiedzieć, co dzieci miały na myśli, mówiąc, że leśnik bywał w lesie głównie zimą. Czy widzieli go tam także latem? A jeśli tak, to którego roku? Starszy nie był pewien. Tego lata na pewno go nie było, ale może rok temu albo jeszcze wcześniej... Ale dostał od niego prezent urodzinowy i miał go nadal. Pobiegł do swojego pokoju, gdzie przez dobrą chwilę szukał czegoś w skupieniu. Następnie wrócił, niosąc niewielką drewnianą płaskorzeźbę. Już na pierwszy rzut oka wyglądała na pracochłonne rękodzieło. Był to artystycznie wyryty mityczny wąż Midgårdsorm, który wił się, opasując cały świat. Drzeworyt wykonany został prawdopodobnie z dębiny, na co wskazywały jasny odcień drewna i zagęszczenie włókien. Arnold się zadumał.

Z tyłu widniały dwie skrzyżowane flagi oraz napis: „Na osiem lat”.

– Ile masz lat? – spytał chłopca Arnold.

– Dziesięć.

– A kiedy masz urodziny?

– Szóstego lipca... – odparła matka.

Policjant pomyślał, że wszystko się zgadza: Bjørn Lauritzen – bo co do tego, że właśnie o nim była mowa – nie miał już absolutnie żadnych wątpliwości, był w Liseleje szóstego lipca dwa tysiące ósmego roku, a cztery

dni później niecałe dwa kilometry stamtąd doszło do napaści na Juli Denissen.

– Czy mogę pożyczyć twój podarek, jeśli obiecuję, że dostaniesz go z powrotem? – zwrócił się uprzejmym tonem do dziecka.

Malec się zamyślił, a po chwili odparł:

– Niestety nie... Należy do mnie.

Rozdział 23

Piątek, 10 września 2010 roku, komenda policji

Do zabójstwa doszło, jak to zwykle bywa, w najmniej odpowiednim momencie, a Simonsen musiał przestrzegać zasad, które sam ustalił. Otóż zawsze, gdy popełnione zostało morderstwo – co stało się właśnie dzisiejszej nocy w dzielnicy Bellahøj – na miejsce zdarzenia udawał się osobiście lub wysyłał tam Pedersena. Młoda samotna matka od dobrego roku miała prześladowcę, który zmienił jej życie w piekło. Niestety, kobieta zawodowo zajmowała się elektryką i w przyływie skrajnej desperacji postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Podłączyła prąd pod wysokim napięciem z kuchenki elektrycznej do swojej skrzynki na listy i zostawiła urządzenie włączone na noc. Wymontowała natomiast wyłącznik różnicowoprądowy i wszystkie bezpieczniki w mieszkaniu. Jej patent zadziałał, przy czym, niefortunnie, aż za dobrze. Dręczyciel, który zamierzał właśnie zostawić jej kolejny nienawistny list, został porażony prądem o napięciu trzystu osiemdziesięciu woltów. Gdy kobieta rano zorientowała się, co właśnie zrobiła, zostawiła dziecko u sąsiadki z dołu, a sama rozplynęła się w powietrzu.

Simonsen spojrzął na zegarek. Wstępnie uzgodnił z Pedersenem, że omówią wspólnie sprawę masakry na wycieczkowcu. Już miał wybrać na komórce jego numer, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i zamiast tego postanowił jeszcze raz ułożyć sobie wszystko w głowie:

W poniedziałek dowiedzą się, czy DNA Bjørna Lauritzena odpowiada profilowi próbki zabezpieczonej z balustrady na moście Batteribroen. Przy czym rozpatrywał to bardziej jako formalność, bo tak naprawdę nie miał żadnych wątpliwości, że badanie wykaże zgodność. Wiedział już przecież, że odciski palców zdjęte z puszek po konserwach znalezionych w opusz-

czonym składzie na amunicję na plaży w Liseleje odpowiadają tym pochodzącym z mostu. Bjørn Lauritzen był zabójcą, tu nie mogło być mowy o pomyłce.

Rozmawiał z ludźmi, którzy trochę się na tym znają. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że w duńskich lasach mieszka w przybliżeniu od trzydziestu do pięćdziesięciu pustelników. Ludzie ci utrzymują się przy życiu dzięki zastawianiu pułapek na leśne zwierzęta, żywią się roślinami, a w sezonie zimowym często uzupełniają swoją dietę, szperając nocami w pojemnikach na odpady poustawianych pod sklepami spożywczymi. Ich wspólną cechą jest to, że rzadko są to osoby nadużywające alkoholu czy narkotyków. W przeciwnym razie nie byłiby w stanie codziennie zdobyć pożywienia, bez którego nie da się przeżyć. Chodziły słuchy, że wielu z tych samotników to weterani, którzy tak naprawdę nigdy nie otrząsnęli się po doświadczeniach wojny i nie potrafili się odnaleźć w cywilizowanym świecie. „Jest jeszcze jedna kwestia dodatkowo utrudniająca sprawę”, pomyślał Simonsen. Pustelnicy mają przecież w zwyczaju przenoszenie się z miejsca na miejsce, często zależnie od zmieniających się pór roku. Podsumowując, szanse policji na wytropienie Lauritzena przedstawiały się bardzo mizernie. Chyba że zdołają uzyskać więcej informacji na temat ewentualnych innych kryjówek zabójcy. Szef wydziału zabójstw nie miał jednak pojęcia, kto mógłby mu takowych udzielić.

Jeśli zaś chodzi o napaść na Juli Denissen, tu sprawy miały się zdecydowanie lepiej. Przez cały czas utrzymywał, że śmierć tej młodej dziewczyny była w taki czy inny sposób powiązana z zabójstwami na wycieczkowcu. Teraz natomiast mógł już wziąć za pewnik, że Lauritzen mniej więcej w tym samym czasie co Juli znajdował się niemalże w tym samym miejscu co ona.

Poza tym Anica Buch złożyła mu raport dotyczący korespondencji mailowej Juli Denissen, do której policja uzyskała już oficjalnie dostęp. W dwóch mailach napisanych zimą dwa tysiące szóstego roku kobieta wyjaśniała swój paniczny lęk przed ślimakami swojemu ówczesnemu ko-chankowi, który prowadził prywatną praktykę lekarską w miejscowości Skævinge. Jej fobię potwierdzili też inni świadkowie, więc wszelkie dalsze

dociekania w tej sprawie były zbędne. Tymczasem Simonsena zaintrygowało inne odkrycie Aniki.

Otóż stwierdziła ona, że ktoś włamał się na konto Juli i wykasował całą pocztę przychodzącą oraz wychodzącą do jej ostatniego partnera, Madsa Eggerta. Przy czym dwie strony, które funkcjonariuszka Buch poświęciła swoim własnym domysłom odnośnie do tego, nie wniosły do sprawy niczego konstruktywnego. Inspektor postanowił więc ponownie przesłuchać Ellę von Eggert, wdowę z Frederiksværk. Stwierdził jednak, że tym razem pomówi z nią sam.

Zostały jeszcze listy napisane z Bośni przez Bjørna Lauritzena do żony. Po zestawieniu ich treści z informacjami znalezionymi w internecie oraz uzyskanymi od kombatanatów z ośrodka przy Vesterbrogade Simonsen wiedział już dość sporo na temat tego, z którymi żołnierzami Lauritzen w głównej mierze trzymał się w Bośni. Byli to przede wszystkim członkowie kampanii DANSQN wchodzącej w skład szwedzko-duńsko-norweskiego batalionu NORDBAT 2, z którymi służył na Bałkanach przez ostatnich kilka miesięcy, zanim odesłano go do domu. Inspektor uznał, że to właśnie będzie kolejny krok. Musiał się dowiedzieć, co wydarzyło się w Bośni, dlaczego Lauritzen wrócił do domu wcześniej, niż planował, oraz czemu przez prawie dwa lata od powrotu do kraju wypłacano mu żołd, zupełnie jakby nadal przebywał na misji. Nie wspominając już o tym, że jego płaca podstawowa odpowiadała wynagrodzeniu pułkownika. W archiwalnych dokumentach płacowych przekazanych przez Siły Zbrojne Królestwa Danii Lauritzen figurował początkowo jako konsultant. Nikt jednak nie potrafił wyjaśnić, jakiego rodzaju konsultacji udzielał. Do tego mało prawdopodobne wydawało się, że będąc w stanie, który opisała funkcjonariuszom jego żona, mógł pełnić przypisane do tego stanowiska funkcje.

Nagle do biura Simonsena wpadł z impetem Pedersen, wrywając go tym samym z rozmyślań:

– Wybacz, Simonie, trochę mi się przeciągnęło, ale dobra wiadomość jest taka, że znaleźliśmy tę wariatkę. Zatrzymała się u przyjaciółki na Fionii i udało nam się ją namówić, żeby sama zgłosiła się na posterunek

w Bogense. Szalona laska! Nie mogła się zdecydować na jakieś mniej ostateczne rozwiązanie?

Inspektor wymamrotał coś niezrozumiale, starając się wrócić do rzeczywistości, chociaż nie było to łatwe zadanie.

– Mam nadzieję, że ci z Folketingu pewnego dnia w końcu pójda po rozum do głowy i zdecydowanie zaostrzą karę grożącą tym pozbawionym serca i rozumu natrętom za złamanie sądowego zakazu zbliżania się. Tylu ludzi przeżywa z tego powodu prawdziwy koszmar!

– Racja. Miejmy też nadzieję, że pomysł tej pani elektryk nie zainspirowuje tych, którzy przeżywają to co ona...

Trudny było się z tym nie zgodzić. Po chwili skupili się wyłącznie na Bjørnie Lauritzenie, a głównie na tym, jakie mieli szanse, by go schwytać. Wiedzieli, że przed nimi nie lada wyzwanie.

– Nie ma pewności, że w ogóle będziemy mogli go o cokolwiek oskarżyć. Może być zupełnie niepoczytalny po tym, co przeszedł w Bośni. Nie należy o tym zapominać – rzucił Simonsen z nutką niepewności w głosie, zupełnie jakby sam wątpił w swoje słowa.

To zastrzeżenie zaskoczyło Pedersena. Po pierwsze, ta kwestia nie miała zasadniczo żadnego znaczenia, w każdym razie na pewno nie dla wyjaśnienia sprawy. A jak już przyjdzie co do czego, to przecież sąd przyjrzy się wszystkim okolicznościom. Po drugie, nie przypominał sobie, by jego szef kiedykolwiek wcześniej usprawiedliwiał poważne zbrodnie przeszłością sprawcy. Unikając spojrzenia Simonsena, bąknął coś wymijająco, by nie dać mu odczuć, że się z nim nie zgadza.

Inspektor się otrząsnął i ponownie przeszedł do konkretów:

– Idź do siebie i odwołaj wszystko, co masz na dziś zaplanowane. Chcę, żebyście odwiedzili z Klavsem tych wszystkich facetów i dowiedzieli się, jak Lauritzen zachowywał się w Bośni. – Podał Pedersenowi jakąś kartkę i wstał z zamiarem udania się na lunch. Pomyślał, że jeśli się pospieszy, zdąży zjeść w ośrodku przy Vesterbrogade.

Rozdział 24

Piątek, 10 września 2010 roku, ulica Esplanaden, Kopenhaga

– Miałem brata. Malowaliśmy razem na mieście, no wiesz, robiliśmy graffiti na budynkach, pociągach, ulicach, wszędzie. Był koniec lat osiemdziesiątych, czas naszej młodości. Pewnej nocy mój braciak spadł. To znaczy... Nie z wysoka – maksymalnie z dwóch metrów. Powinien był co najwyżej złamać nogę, a on się zabił. Umarł na moich oczach, a ja nie mogłem zupełnie nic zrobić. Byliśmy bliźniakami, więc można powiedzieć, że straciłem część samego siebie. Przez wiele lat włóczyłem się bez celu, czułem się potwornie, piłem, paliłem haszysz i podróżowałem po świecie...

Pedersen pozwolił mężczyźnie mówić, chociaż jego życie w okresie przed Bośnią niespecjalnie go interesowało. Ale najwidoczniej od tego weteran postanowił zacząć, a najważniejsze było to, że w ogóle chciał z nim rozmawiać.

Siedzieli w salce konferencyjnej mieszczącej się na trzecim piętrze budynku przy ulicy Esplanaden, w stołecznej siedzibie głównej filii A.P. Møller Mærsk, gdzie były żołnierz zajmował obecnie stanowisko menedżera do spraw rozwoju. „Wszystkiego bym się spodziewał, tylko nie tego”, pomyślał Pedersen, podczas gdy jego świadek zatopił się we wspomnieniach. Jego opowieść w przedziwny sposób kontrastowała z tym, jak stylowo się prezentował. Idealnie skrojony ciemnoszary garnitur, który musiał kosztować fortunę, do tego jeszcze ten wystrój wnętrza – funkcjonalny, a zarazem efektowny – gdziekolwiek spojrzeć, nienaganny perfekcjonizm; wszystko to jakby nagle przestało istnieć z chwilą, gdy mężczyzna cofnął się w czasie. Opowiadał o tym, jak wstąpił do sił zbrojnych, i o tym, jak w końcu postawiło go to na nogi. Później zgłosił się do służby na misji w Bośni. To było wiosną dziewięćdziesiątego piątego roku.

– Nie wiem, od czego zacząć, jeśli chodzi o Bjørna. To nie takie proste... Ale może w pierwszej kolejności należy powiedzieć, że był urodzonym przywódcą i cieszył się wielkim szacunkiem u wszystkich swoich podwładnych. Pod jego skrzydłami czuliśmy się bezpieczni, więc bez słowa sprzeciwu wykonywaliśmy każdy jego rozkaz, jeśli już jakiś wydał, z reguły bowiem po prostu wspólnie wszystko uzgadnialiśmy. Przy czym nie mam żadnych wątpliwości, że nawet gdyby odgórnie nie mianowano go dowódcą, zostałby nim wybrany, i to jednogłośnie – jeśli oczywiście ktoś dałby nam wybór. Bjørn zawsze bardzo się o nas troszczył. Krótko mówiąc, na co dzień przesympatyczny człowiek! Bez dwóch zdań. Za to, gdy wymagała tego sytuacja, potrafił być najskuteczniejszym i najbardziej bezlitosnym żołnierzem, jakiego kiedykolwiek znałem. Był zarówno miękki, jak i cholernie twardy, albo jak dzień i noc, jak pan woli. Niemniej jednak, kiedy było trzeba, stawał się bezwzględny samcem alfa i mówił do nas w taki sposób, że nikt, powtarzam, nikt, nie śmiał mu się sprzeciwić. Tylko jego słowa docierały do tej całej hałasty, kiedy siedzieliśmy, bądź co bądź, na beczce prochu. Wystarczyło spędzić tam zaledwie parę dni, by się zorientować, że to, do czego upoważnili nas politycy w Kopenhadze, a w zasadzie w całej Europie, siedząc przy swoich biurkach, było jednym wielkim nieporozumieniem. Mówiono o operacjach zapewniających i przywracających pokój, ale to nie miało żadnego znaczenia; bo tam nie było żadnego pokoju, tam panowała wojna. My natomiast musieliśmy niemalże uzyskać pisemne zezwolenie z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zanim mogliśmy chociażby skierować lufę karabinu w stronę jakiegoś Bośniaka. Te pieprzone Zasady podejmowania działań przy użyciu siły miały prawie tysiąc stron. Mówię panu, można tam było znaleźć dyspozycje dotyczące autentycznie wszystkiego, a zwłaszcza tego, czego nie wolno nam było robić. Ale jedynymi, którzy naprawdę pojmowali, co się dzieje, byli Amerykanie. Ich startujące z lotniskowców myśliwce i oczywiście samoloty wywiadowcze – których nikt nigdy nie widział, ale wiedzieliśmy, że tam są – całkowicie opanowały przestrzeń powietrzną. Przy czym nawet Amerykanie byli początkowo ostrożni... cywilizowani, można to tak ująć. Oni też mieli nadzieję na pokojowe rozwiązanie konfliktu. To znaczy,

chyba że wysłędzili akurat rakiety SAM, no wie pan, te cholerne pociski ziemia–powietrze, rosyjskie dziadostwo, do którego dorwali się Serbowie, niestety szalenie skuteczne. Tak czy inaczej, gdy tylko Amerykanie nabrali podejrzeń, że w danym miejscu mogą się znajdować takie rakiety, bombardowali te tereny bez litości. Serbom, którzy zajmowali się odpalaniem tychże pocisków, pewnie nie było do śmiechu. Musieli mieć na względzie, że ich dni mogą być policzone... Widział pan kiedyś mapę etniczną Bałkanów z tamtego okresu?

Pedersen przytaknął. Faktycznie, widział tę mapę, ale...

– Chorwaci, Serbowie, Muzułmanie... całość wygląda jak dywan patchworkowy, w którym te trzy grupy przeplatają się ze sobą nawzajem we wszystkich możliwych kierunkach, tak że po chwili trudno się zorientować, co jest gdzie. Nas natomiast wysłano w jedno z najgorszych miejsc, mianowicie do wsi Ljubičevac, liczącej najwyżej dwadzieścia domów padającej w ruinę dziury zlokalizowanej blisko granicy strefy holenderskiej. Osada położona była pod lasem, który ciągnął się aż do Srebrenicy. To właśnie tam latem dziewięćdziesiątego piątego roku doszło do ludobójstwa. Zbudowaliśmy punkt obserwacyjny, małego domek zrobiony z worków z piaskiem. Nazywaliśmy go swoim małym Dannevirke.

Nazwa nawiązywała oczywiście do średniowiecznych duńskich umocnień na Półwyspie Jutlandzkim.

– To znaczy, może to mało oryginalne, ale właśnie tam spędziliśmy większość czasu, kiedy akurat nie patrolowaliśmy okolicy ani nie mieliśmy do wykonania żadnych rozkazów w Tuzli czy w innych miastach. Często tam też nocowaliśmy. Bjørn Lauritzen był naszym naczelnym dowódcą i naprawdę nam się przyfariło, że go mieliśmy. Jeśli wziąć pod uwagę jego stopień, równie dobrze mógł zostać w bazie batalionu w Tuzli, gdzie było bezpiecznie i komfortowo. On jednak nalegał, by posyłano go tam, gdzie będzie się mógł przysłużyć sprawie, a jego zwierzchnicy najpewniej z radością się go pozbyli. W końcu słychać z tego, że zawsze otwarcie mówił, co myśli, i to bez względu na to, z kim rozmawiał, a to nie wszystkim się podobało. Bjørn towarzyszył nam na co dzień i potrafił załagodzić wszelkie spięcia. Na swój własny sposób dbał o to, by w obozie panował

pokój, a może raczej sprawiedliwość... Mógłbym przytoczyć całe mnóstwo różnych historii, kiedy to po swojemu rozwiązywał zaistniałe między nami spory. Interesuje to pana? Bo jeśli tak, chętnie coś panu opowiem. Naprawdę jest z czego wybierać.

Pedersen potwierdził skinieniem głowy, dając swojemu rozmówcy do zrozumienia, że z przyjemnością posłucha. Mężczyzna rozwiązał krawat i rzucił go na swoje biurko, rozpiął kilka guzików koszuli, po czym mówił dalej:

– W odległej o parę kilometrów miejscowości znajdowało się targowisko. Nie pamiętam, jak nazywała się ta miejscina, bo na tych wszystkich bośniackich nazwach można było sobie język połamać. Często jednak wybieraliśmy się tam, żeby się rozejrzeć i zaznaczyć swoją obecność, głównie w środy i soboty, bo wtedy na targu panował największy ruch. Sprzedawano tam przede wszystkim owoce i warzywa, a do tego całe mnóstwo innego chłamu, który większość Duńczyków z miejsca wyrzuciłaby do śmieci. Miejscowa ludność żyła w ubóstwie, a przynajmniej lwia jej część. Ale wracając do tematu, na rynku nierzadko dochodziło do zamieszek. W szczególności Muzułmanki nie mogły w spokoju prowadzić swoich stoisk. Serbki nagminnie je szykanowały, wyzywały i popychały. Niekiedy zdarzało się nawet, że jakiś serbski chuligan obrzucał je kamieniami. I może mi pan wierzyć lub nie, ale to naprawdę nie były żarty... Niektóre kamienie miały wielkość pięści, a ciskano je z odległości zaledwie kilku metrów. Któregoś dnia widziałem, jak kilkuletnia dziewczynka oberwała w głowę. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby przeżyła. Z czasem zorientowaliśmy się, że wszystkie awantury i ataki prowokowała stara serbska czarownica siedząca zwykle gdzieś na obrzeżach placu, skąd miała świetny widok na całe targowisko i zarządzała swoimi prozelitami. Początkowo Bjørn próbował z nią rozmawiać i przy okazji ją ostrzegać, ale nie przyniosło to absolutnie żadnego rezultatu. Pewnej soboty wziął więc ze sobą tęgi kij i po prostu spuścił babie manto. Stłukł podłą staruchę tak solidnie, że jej biadolenie niesło się echem po całej okolicy, mimo że, jakkolwiek by na to patrzeć, musiała mieć blisko siedemdziesiąt lat. To jednak najwyraźniej pomogło, bo od tej pory na targu nie dochodziło już do żad-

nych burd. Od tego czasu wystarczyła obecność jednego z nas, by wszyscy bez wyjątku zachowywali się jak na potańcówce w szkółce niedzielnej. Bjørnowi naturalnie nie uszło to na sucho. Po mieście rozniosła się wieść, że skatował bezbronną staruszkę, a to była zaledwie część pomówień. Wszyscy zdawali sobie zatem sprawę z tego, że prędzej czy później przyjdzie mu za to zapłacić. Pamiętam też incydent z benzyną. To było dość brutalne, a że sam w tym zajściu uczestniczyłem, mogę z całą pewnością potwierdzić, że zdarzyło się naprawdę. Nasze ciężarówki często zatrzymywali serbscy żołnierze, którzy potem kradli przewożone przez nie towary. Tego dnia, o którym myślę, Serbowie przywłaszczyli sobie cały ładunek przeznaczonej dla nas benzyny. My zaś doskonale wiedzieliśmy, kto za tym stoi i gdzie obecnie znajdują się nasze kanistry z paliwem. Przy czym, kiedy próbowaliśmy poruszyć ten temat z serbskimi żołdakami, ci śmiali nam się w żywe oczy albo obiecywali nam różne rzeczy, lecz w zasadzie nigdy się z tego nie wywiązywali. Bjørn wpadł w furję, zupełnie jakby ktoś obrabował go osobiście. Wsiadł więc do czołgu i pojechał się rozprawić ze złodziejami. Mnie zaś zabrał ze sobą. Ten czołg... to był leopord. Widział pan pewnie kiedyś, jak wyglądają. To potężne, siejące spustoszenie maszyny. Kiedy wkraczają do akcji, kończą się żarty. Pamięta pan szalonego, okrutnego podpułkownika Kilgore'ego z filmu *Czas Apokalipsy*? Jak zamontował na swoich śmigłowcach szturmowych głośniki, z których podczas ataku na cały regulator leciała *Walkiria* Wagnera? Bjørn wykorzystał ten patent. Zamocował na masce czołgu dwa gigantycznie megafony, z których puścił bicie zegara na wieży ratusza w Kopenhadze, do tego złowieszczo zapętlone. Dźwięk rozbrzmiewał tak donośnie i złowroźnie, jakby niebo się zarwało i runęło na ziemię. Nie uwierzyłby pan, takie to było przerażające! Wjechaliśmy tak z impetem do pobliskiego obozu, w którym stacjonowało serbskie wojsko, a na miejscu skierowaliśmy się do baraku oficerskiego, tak że działo czołgowe dosłownie wbiło się przez okno do środka i przeszło na wylot przez drewnianą ścianę po drugiej stronie. Bjørn natomiast na całe gardło ryknął do megafonu: „Banda kutafonów!”, czym niemal zupełnie ogłuszył znajdujących się w środku oficerów. Bez kitu!... W panice wypadli z łoskotem na podwórze, totalnie zdezoriento-

wani. Jedni przyciskali dłoń do uszu, inni krwawili z nosa. Bjørn złapał za kołnierz najwyższego rangą żołnierza i zmusił go, by ten odczytał na głos angielski tekst z kartki, którą Lauritzen miał przy sobie. „Nasza benzyna, macie godzinę”. Przekaz był jasny i klarowny, a niecałe dwadzieścia minut później Serbowie, kajając się i raz po raz przepraszając, zwrócili nam skradzione paliwo. Od tej pory salutowali Bjørnowi za każdym razem, kiedy go zobaczyli. Nie przestali nawet wtedy, gdy do nich dotarło, że ten zupełnie to ignoruje. Jeśli dobrze pamiętam, właśnie temu epizodowi zawdzięczał swój przydomek.

– Chodzi pana o „Polaka”?

– Nie, nie... Tak nazywali go tylko Duńczycy. Zresztą, bardzo niewielu mówiło o nim w ten sposób, większość po prostu używała jego imienia. Ale wśród miejscowych faktycznie zyskał ksywkę „Szalony Polak”. A dlaczego Polak? Serbowie po prostu pomylili duńską flagę z polską. Przy czym nawet określenie „szalony” miało tu pozytywny wydźwięk i świadczyło o szacunku, którym go darzyli; po części dlatego, że słynął z nieobliczalnych wybryków, na które nikt inny nigdy by się nie zdobył, a po części dlatego, że wzbudzał we wszystkich wokół paniczny strach, nie tylko wśród samych Serbów. Poza tym po powrocie zadzwonił do bazy z pretensjami, że dostał o jeden granat za mało i ma w dupie to, że ktoś u nich nie potrafi liczyć. To znaczy, mieliśmy naturalnie obowiązek zgłaszać dosłownie wszystko i ze wszystkiego się rozliczać. Tak czy inaczej, w tym wypadku mu się upiekło i niech pan sobie wyobrazi, że w ciągu kilku dni dostarczono nam brakujący granat. Tak więc kasa znowu się zgadzała.

Zamilkł na chwilę, a Pedersen spytał:

– Czy to właśnie z powodu tych incydentów kazano mu wracać do domu? Mężczyzna nie odpowiedział.

– Proszę mi wybaczyć mój język... Na co dzień tak nie mówię – rzucił zamiast tego.

– Nawet nie zwróciłem na to uwagi, tak że proszę się w ogóle nie przejmować. Ale jak pan sądzi: czy Bjørn Lauritzen został odesłany do kraju, bo zachowywał się tak, jak pan opowiada?

- I tak, i nie. To znaczy, były gorsze rzeczy... o wiele gorsze. Tyle że wtedy, gdy go odprawili, byłem akurat na urlopie, więc dokładnie nie wiem, o co poszło.

- A te gorsze rzeczy... Może pan to jakoś rozwinąć?

Znowu minęło trochę czasu, zanim odpowiedział. Po chwili jednak znowu zaczął mówić:

- W okolicy, za którą byliśmy odpowiedzialni, działała masa serbskich bojówek, nieregularnych oddziałów o przeróżnych absurdalnych nazwach. Wszystkie te szajki miały jedną wspólną cechę: stosowały wyjątkowo bestialskie praktyki. Otóż bez litości wyrzywały wszystkie muzułmańskie rodziny, dom za domem. Dopuszczali się najbardziej nieludzkich czynów, jakie można sobie wyobrazić. Mordowali mężczyzn, kobiety, osoby starsze, młodzież, dzieci i nie mieli absolutnie żadnych skrupułów. Niekiedy wywozili swoje ofiary do lasu, a wtedy nocą słyszeliśmy ich krzyki. Siali spustoszenie, gdziekolwiek się zjawili, a rezultaty ich samosądów widziałem na własne oczy. Wolałbym nie wchodzić w szczegóły i też nie wydaje mi się, żeby była taka potrzeba... Ale często się zastanawiałem, jak to możliwe, że wyszedłem z tego bez uszczerbku na psychice, podczas gdy tak wielu moich druhów po powrocie do domu zupełnie się załamało. Czy mam po prostu grubszą skórę niż inni i dlatego nocami nie dręcą mnie koszmary? Te wszystkie myśli i wspomnienia są przecież takie przerażające...

- Każdy z nas reaguje inaczej... Jest pan taki, jaki jest, i absolutnie nie powinien pan sobie niczego wyrzucać.

- Może i ma pan rację... Tak czy inaczej, którejś nocy po tym, jak trzy muzułmańskie rodziny zostały spalone żywcem, Bjørn nagle zniknął. Wrócił do obozu dopiero nad ranem i wiele osób widziało, że jego ubranie było umazane krwią. Kilka dni później doszły do nas słuchy, że zamordowano sześciu członków jednej z szajek. Czterem oprawcom, w tym przywódcy bandy, ktoś we śnie poderżnął gardła. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym z Bjørnem, ale wszyscy wiedzieli, że to był on. No i oczywiście nikt nie miał wątpliwości, że ci zwyrodnialcy zasłużyli na swój los. Później był pewien major... tym razem chodziło już o oddział regularnej serbskiej ar-

mii. Otóż facet słynął ze szczególnego okrucieństwa. Któregoś ranka znaleziono go w rowie. Ktoś zaszlachtował go nożem. Przy czym nie mieliśmy dowodów na to, że za tym też stał Bjørn...

– Ale tak pan przypuszcza?

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości... To był on. W miarę jak pogłoski te zaczęły docierać do bazy batalionu, pozycja Bjørna słabła. A proszę pamiętać, że każdy, z wyjątkiem Amerykańców, robił wszystko, żeby tylko nie sprowokować Serbów. Wysłali więc na miejsce prokuratora wojskowego z Kopenhagi – kapitalną laskę o nieskazitelnej przeszłości zawodowej, zarówno u nas, jak i w Stanach. Polecono jej, żeby przyjrzała się zachowaniu Bjørna i na podstawie własnych obserwacji oceniła sprawę. Zakładałam, że musiała też mieć wykształcenie psychologiczne.

– Podjęli takie kroki dlatego, że Lauritzen dopuścił się tak brutalnych czynów?

– Tak... Można to tak ująć. Przy czym zdaniem dowództwa w Tuzli, nie mówiąc już o sztabie w Kopenhadze, były to jedynie pomówienia, wysane z palca plotki. Nie mogli mu przedstawić żadnych konkretnych zarzutów. Poza tym jeszcze raz podkreślę to, o czym wspomniałem na samym początku: Bjørn zasadniczo nigdy nie stosował przemocy. Uciekał się do niej wyłącznie wtedy, gdy wszystkie inne środki zawiodły, ale nigdy w pierwszej kolejności. Kiedyś widziałem, jak uderzył go pewien norweski żołnierz, i to naprawdę mocno, zupełnie bez powodu. Koleś najwyraźniej miał jakieś problemy psychiczne. Bjørn mógł go sprać na kwaśne jabłko albo zgłosić ten incydent. Tymczasem nie zrobił zupełnie nic. Po prostu odszedł, chociaż z jego ucha płynęła strużka krwi.

– No dobrze, ale nie od razu odesłano go do kraju.

– Nie, nie... W zasadzie wręcz przeciwnie. To znaczy, wszyscy myśleliśmy, że będzie go przesłuchiwać jakaś wredna hetera i że zostanie wezwany do Tuzli. Ale bardzo się myliliśmy. Pani mecenas, którą do nas skierowano... Hmm... jak by to ująć? Była naprawdę niezłą sztuką. W żaden sposób się też nie wywyższała. Wypożyczyła jeepa i sama przyjechała do obozu, bez eskorty ani nic z tych rzeczy. Ani się obejrzeliśmy, a Bjørn totalnie ją zauroczył, czego kompletnie nie potrafiła ukryć. Zadurzyła się

w nim bez pamięci i widzieli to absolutnie wszyscy. Oczywiście po okolicy momentalnie rozeszły się różnego rodzaju pikantne plotki. Na przykład, że przeleciał ją na czołgu, bo często jeździli razem leopardem. Osobiście myślę, że niewiele było w tym prawdy. Nie wydaje mi się, żeby Bjørn należał do facetów, którzy zdradzają swoje żony. A w Danii miał przecież rodzinę. Niektórzy twierdzili też, że znał atrakcyjną panią prokurator już wcześniej. Ale, jakkolwiek by na to patrzeć, nie powinno nas to być w ogóle obchodzić. Zresztą, za jakiś czas kobieta wróciła do Kopenhagi, gdzie następnie sporządziła raport, na podstawie którego oddalono wszelkie zarzuty i zdementowano pomówienia pod adresem Bjørna.

– Ale potem wróciła, prawda? Wie pan może dlaczego?

– Zgadza się. Po kilku miesiącach przyleciała znowu i nikt nie miał pojęcia, po co. Mogliśmy się jedynie domyślać, że po prostu chciała się z nim jeszcze raz zobaczyć, zwłaszcza że w międzyczasie nic nowego nie przeskrobał. To znaczy nic, co w jego przypadku odbiegałoby od normy... Ale ja akurat zacząłem urlop, kiedy ponownie zjawiała się w obozie, więc za wiele panu na ten temat nie powiem.

– A pamięta pan może, jak się nazywała?

– Jasne, że tak. Irene Gallagher.

Rozdział 25

Poniedziałek, 13 września 2010 roku, las Lorup w Slagelse

Szopa stała na skraju lasu i trzeba było podejść odpowiednio blisko, żeby w ogóle ją wypatrzyć. Dlatego też Pedersen nie od razu do niej dotarł, choć otrzymał nadzwyczaj precyzyjne namiary. Mężczyzna, który w niej mieszkał, nazywał się Ole Nysted i prawie w ogóle nie utrzymywał kontaktów ze światem zewnętrznym. To jednak nieszczególnie zaskoczyło komisarza z wydziału zabójstw. Na przestrzeni ostatnich kilku dni poznał wielu weteranów z Bośni, którzy także od wszystkiego i od wszystkich się izolowali. Niemniej jednak nieco zdziwiło go to, że Nysted nie dość, że zupełnie nic nie wiedział o masakrze na wycieczkowcu, to jeszcze nie wykazał absolutnie żadnego zainteresowania, gdy policjant mu o niej opowiedział.

Na jego domostwo składały się jedno duże pomieszczenie ze spartańsko urządzonej kącikiem kuchennym w jednym końcu i sofą, pełniącą również funkcję łóżka, w drugim. Pośrodku izby stał piec z rurą kominową wyprowadzoną przez nieocieploną w żaden sposób drewnianą ścianę, z całą pewnością niespełniającą żadnych wymogów w zakresie bezpieczeństwa przeciwpożarowego. Nysted miał tam kilka szaf, poustawianych zupełnie przypadkowo w miejscach, w których akurat było wolne miejsce. Rzędy pustych butelek po wódce na stole obok kanapy i na parapiecie jedyne okna w pomieszczeniu świadczyły zaś niezbitcie o tym, że facet bynajmniej nie wylewał za kołnierz. Chociaż teraz, gdy Pedersen z nim rozmawiał, wydawał się, jeśli nie zupełnie trzeźwy, to jedynie nieco podchmielony. Ku wielkiemu zdziwieniu komisarza Ole Nysted prezentował się wyjątkowo schludnie. Jego ubrania wyglądały wprawdzie na znośzone, ale na pewno nie były brudne. Oprócz tego był starannie ogolony i miał czyste paznokcie. Pedersen chciał go spytać, skąd bierze wodę, ale

się rozmyślił. Sprowadzały go tu o wiele ważniejsze sprawy. W pierwszej chwili Ole nie sprawiał wrażenia człowieka szczególnie chętnego do zwierzeń, ale później się otworzył i zaczął opowiadać o swojej służbie w Bośni.

Początkowo były żołnierz nie powiedział nic, czego policja nie ustaliłaby już wcześniej. Choć jego zeznania dopełniły sylwetkę podejrzanego. Mimo to Pedersen słuchał cierpliwie, raz po raz wtrącając słowo czy dwa, żeby naprowadzić świadka na odpowiedni tor. Zasadniczo jednak pozwolił mu mówić i starał się nie przerywać. Dopiero po dobrej godzinie, gdy Nysted stwierdził, że nie ma już nic do powiedzenia i nie pamięta nic, co mogłoby mieć znaczenie w sprawie, Pedersen zadał mu pierwsze konkretne pytanie:

– Trzynasty lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku. Chciałbym, żeby mi pan opowiedział, co się wtedy wydarzyło...

Ole pokręcił głową, przy czym trudno było się zorientować, czy w ogóle sobie tej daty nie przypomina, czy też nie chce do tego wracać. „Oby chodziło o to pierwsze”, pomyślał Pedersen, po czym na wszelki wypadek krótko nakreślił swojemu rozmówcy, o co mu chodzi:

– Od samego rana siedział pan z dziewięcioma innymi żołnierzami w waszej prowizorycznej fortecy, którą nazwaliście małym Dannevirke. To było podczas trzydniowej masakry w Srebrenicy, kiedy to głównie w okalających miasto lasach wymordowano tysiące cywili usiłujących zbiec przez góry do Tuzli. Panowie zaś mieli ze swojego obozowiska świetny widok na jeden z lasów. Wiem, że regularnie obserwowaliście ten obszar przez lornetki, przy czym nie podejmowaliście żadnych innych kroków. No może z wyjątkiem przewiezienia w bezpieczne miejsce garstki uchodźców, którzy jakimś cudem zdołali do was dotrzeć. W pewnym momencie Lauritzena poinformowano przez radio o tym, że z Tuzli jedzie do niego jeepem prokuratorka wojskowa Irene Gallagher. Zaraz potem pan i Bjørn wsiedliście do leoparda i opuściliście posterunek obserwacyjny. Mamy na to niezbite dowody, nie wiem tylko, czemu stamtąd odjechaliście i dokąd się udaliście. Pomijając już to, że skierowaliście się w stronę strefy holenderskiej, w której, mówiąc ogólnie, nie mieliście czego szukać.

– To był bardzo zły dzień. Wolalbym do tego nie wracać – odpowiedział ledwie słyszalnym szeptem.

Pedersen musiał porządnie wytyżać słuch, mimo że siedzieli tak blisko siebie

– Niestety nie ma pan wyboru...

– I tu się pan myli... Jest dokładnie na odwrót. Bo bez względu na to, jakich gróźb pan użyje, będzie to niczym w porównaniu z... w porównaniu z tym, co się wtedy stało.

– Czy opuściliście obóz dlatego, że jechała do was Irene Gallagher? Czy Bjørn Lauritzen się jej obawiał?

Minęło kilka sekund, zanim Nysted zrozumiał pytanie. Gdy wreszcie pojął, co sugeruje policjant, wybuchnął gromkim, pogardliwym śmiechem.

– Że niby Bjørn miałby się jej bać? On nie bał się nikogo ani niczego.

– Więc to nie dlatego oddzieliliście się od reszty?

– Zupełnie nie dlatego.

– A wie pan, czego prokuratorka Gallagher mogła chcieć od Lauritzena?

– Pojęcia nie mam... Sam pan może ją o to zapytać. Wszyscy gadali, że mają romans, więc może zwyczajnie chciała się z nim zobaczyć. Ale w tym wszystkim jej przybycie było naprawdę mało istotne...

– A co w takim razie było istotne?

Nysted pochylił głowę i przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w pustkę. Pedersen opowiedział mu o tym, co wie od innego weterana. Mianowicie, że pojechali wtedy do jakiegoś domu, a Irene Gallagher, po tym, jak w końcu dotarła na miejsce, ruszyła za nimi. Nysted w żaden sposób nie odniósł się do tych informacji, ale też niczego nie zdementował.

– Czy Gallagher faktycznie tam po was przyjechała? – spytał ponownie komisarz.

Mężczyzna pokręcił głową. Nie, nic z tych rzeczy. Tak naprawdę nigdy się z nią w Bośni nie spotkał, ani tamtego dnia, ani później. Tylko o niej słyszał.

– Pozostali żołnierze zostali wezwani z powrotem do Tuzli pół godziny po tym, jak pan i Bjørn opuściliście punkt obserwacyjny. Czy wie pan dlaczego?

W odpowiedzi weteran wykonał trudny do zinterpretowania gest, zupełnie jakby chciał powiedzieć, że to też całkowicie bez znaczenia. Nagle zerwał się z miejsca, tak zaskakująco żwawo, że Pedersen przez moment czuł się niepewnie. Nysted wyjął z szafy, stojącej przy przeciwległej ścianie chaty, butelkę sznapsa i dwa pokale. Nakrętka ustąpiła z charakterystycznym dźwiękiem, co świadczyło o tym, że butelka nie była napoczęta. Mężczyzna usiadł z powrotem na sofie, rozlał trunek do szklanek, napełniając obie do połowy, po czym uniósł dłoń do toastu. Pedersen żywo zaprotestował, był na służbie, a w dodatku przyjechał autem. Szybko się jednak zorientował, że gospodarz nie przyjmuje odmowy. Poza tym coś mu podpowiadało, że jeśli chce wyciągnąć z tego faceta coś więcej, nie ma wyjścia, musi się z nim napić. Nysted wychylił swoją szklankę do dna, zupełnie jakby była w niej woda. Policjant pociągnął z kolei mniejszy, acz i tak solidny łyk, zastanawiając się przy tym, jak wyjaśni w wydziale zabójstw, że w związku z bądź co bądź banalnym przesłuchaniem świadka musiał się przed południem napić wódki. Nysted ponownie nalał sznapsa, tym razem tylko sobie, po czym zaczął mówić drżącym, stłumionym głosem:

– To było gospodarstwo, nie dom... Wypatrzyliśmy je przez lornetki i postanowiliśmy tam pojechać, bo dzielił nas od tego miejsca jakiś kilometr, może dwa. Potem jeździliśmy po lesie, w tę i z powrotem, korytem strumienia, a może to była rzeka czy coś podobnego. Tak czy inaczej, miała najwyżej dziesięć do dwudziestu centymetrów głębokości, ale nasz leopold dawał radę. W drodze powrotnej zabraliśmy ze sobą pięć osób, trzech mężczyzn i dwóch chłopców. Jestem pewien, że uratowaliśmy im życie.

Weteran najwyraźniej zaczął swoją opowieść od końca i Pedersen musiał się uzbroić w cierpliwość. Widać było, że jego rozmówca zbliża się powoli do kulminacyjnego punktu tej historii, bo raz po raz wychylał kolejny porządny łyk wódki, uniósłszy pokal. Komisarz posłusznie szedł za jego

przykładem, w pełni świadomy, że raczej nie będzie już mógł prowadzić samochodu. Ale nareszcie się doczekał... Początkowo były to strzępki informacji, między którymi następowały dłuższe przerwy, zupełnie jakby Nysted musiał zebrać się w sobie, by mówić dalej. Stopniowo jednak jego opowieść nabierała tempa i stała się spójniejsza.

– Bjørn spytał, czy z nim pojedę. Oczywiście powiedziałem, że bardzo chętnie. Udaliśmy się więc do tego obojścia. Znajdowało się ono nieco niżej niż nasze obozowisko – w dolinie. A może było zupełnie na odwrót i leżało na wzniesieniu? Nie pamiętam dokładnie, ale wiem, że przez lornetkę mieliśmy dobry widok na całe gospodarstwo. Bjørn nie wyjaśnił mi w żaden sposób, po co tam jedziemy, ale widziałem, że jest wściekły i że bardzo mu się tam spieszy. Gdy tylko dotarliśmy na miejsce i zatrzymaliśmy się na dziedzińcu przed dwuskrzydłowym budynkiem, Bjørn wyskoczył z czołgu i rzucił się w kierunku jednego z domów. – Weteran mówił dalej, łykając niekiedy solidny haust sznapsa i pilnując, żeby Pedersen też się przypadkiem nie ociągał: – Po pewnym czasie wyłonił się stamtąd, prowadząc przed sobą grupkę mężczyzn. Było to ośmiu obdartych typów w przypadkowo dobranych mundurach, jeden bardziej odrażający od drugiego. Dwóch najstarszych na oko dobijało do pięćdziesiątki, a najmłodszy miał najwyżej osiemnaście lat. Losowa zbieranina największych bandytów, milicjantów, których Serbowie wysyłali do brudnej roboty i którzy siali postrach wśród kobiet i dzieci. Poza tym jednak działali chaotycznie i zupełnie nie nadawali się do walki. Bjørn najwyraźniej złamał jednemu z nich nos; tykowany oprych w okularach zakrywał dłońmi gębę i zawodził jak kot. Gestem kazał im wszystkim ustawić się pod ścianą, po czym dokładnie przeszukał każdego z nich, by się upewnić, że nie mają przy sobie broni. Oni zaś wykonywali jego niewerbalne polecenia bez słowa sprzeciwu. Później przekazał zbirów mnie. Powiedział, że mogę ich powystrzelać, jeśli nie będą się zachowywać, jak należy, lub jeśli po prostu najdzie mnie taka ochota; użył dokładnie takich słów i wiem, że nie żartował. On sam z kolei znowu wszedł do chaty. Wsiadłem więc do czołgu i wycelowałem w tę bandę lufę karabinu maszynowego, nie do końca wiedząc, o co właściwie chodzi. Słońce paliło niemiłosiernie, typy patrzyły na mnie

spode łba, a do tego ten nieznośny, ogłuszający dźwięk cykad. Musi pan wiedzieć, że nienawidzę tych przebrzydłych robali, których nigdy nie widać, a mimo to robią tyle hałasu. To ich cykanie rozsadza czaszkę, w jakiś przedziwny sposób sprawia, że po chwili człowiek nic nie widzi i nie jest w stanie myśleć. Cholerne lato i ten pieprzony kraj... – Obniżył głos o oktawę i znowu zaczął się trochę zacinać: – Po chwili na dziedzińcu wyszła jakaś dziewczyna. Podeszła do mnie powoli, na zupełnie sztywnych nogach, zupełnie jakby szła na szczydlach... albo niczym staruszka, która zapomniała laski. Zatrzymała się przed czołgiem, spojrzała na mnie i powiedziała po serbsku: Taj blesav Poljak. „Ten szalony Polak”. Nic więcej, tylko to. Ale duński podobno też znała.

– Szalony Polak, chodziło jej o Bjørna Lauritzena?

– Tak, to jego miała na myśli. Najpierw myślałem, że to mnie tak nazwała, ale później zrozumiałem, że się myliłem. Powtórzyła to jeszcze raz, głośno i wyraźnie, po czym zamilkła i zamarła bez ruchu. – Nysted usiadł wygodniej na sofie i zacisnął palce obu dłoni na podłokietniku. – Ta wojna była jednym wielkim absurdem. Przyjechaliśmy do Bośni świetnie wyszkoleni i uzbrojeni po zęby, a nie mogliśmy zrobić dosłownie nic. Tych niesławnych paramilitarnych band o idiotycznych, niepoważnie brzmiących nazwach nie działało tam znowu tak dużo... Poza tym to było po prostu stado wynaturzonych wieprzy, które mogliśmy wyróżnić w pień w jedno popołudnie, gdyby tylko nam na to pozwolili. A powinni byli nam pozwolić! Te padalce sobie na to zasłużyły, wszyscy razem i każdy z osobna. Tymczasem znaleźliśmy się w samym środku jakiejś koszmarnej farsy. Te wszystkie wytarte międzynarodowe frazesy o bezpiecznych strefach, podczas gdy tak naprawdę kule świstały nam nad głowami i baliśmy się wejść do lasu. Te bzdurne odgórne rozkazy, zgodnie z którymi mieliśmy strzec pokoju, podczas gdy na naszych oczach dopuszczano się tam ludobójstwa, cała ta służbowa hierarchia, w której każdy, gdy tylko mógł, uchylał się od odpowiedzialności... I ta dziewczyna, która stała przede mną w podartej sukience, a której po kostkach spływała krew. Ja pierdołę... miała najwyżej trzynaście lat! Nie tak powinno być. Gdyby nie wojna, ta mała...

Zamilkł i siedział, wpatrując się w pustkę przed sobą, zupełnie jakby nagle stracił kontakt z rzeczywistością. Pedersen podał mu rękę. Mężczyzna przyjął dodający otuchy gest. Przez chwilę jeszcze zbierał siły, po czym zaczął mówić dalej:

– Musiałem się naprawdę mocno powstrzymać, żeby nie wystrzelać tych bandziorów, wszystkich ośmiu, jednego po drugim. Oni zaś byli tego świadomi, widziałem w ich oczach autentyczne przerażenie. Wystarczyło zaledwie nacisnąć spust, by karabin posłusznie zaczął oddawać strzał za strzałem. Ot krótka seria, od lewej do prawej, na wysokości brzucha... a leżeliby tam wszyscy co do jednego, krzycząc wniebogłosy i rozpaczliwie próbując utrzymać na miejscu swoje bebechy. Do końca życia będę żałował, że tego nie zrobiłem. Byłem jednak zbyt dobrze wyszkolony, zbyt posłuszny i cywilizowany... I po co to wszystko, pytam. – Ponownie zamilkł.

– Może zrobimy przerwę, co? – spytał z wahaniem komisarz. – Może napijemy się jeszcze, zanim zacznie pan mówić dalej...

Potrząsnął głową i cofnął dłoń. Koniec końców stuknęli się jednak znowu szklankami.

– I co było dalej? – spytał Pedersen, żeby zachęcić swojego rozmówcę.

– W zasadzie nic... W pewnym sensie trzymaliśmy się nawzajem w szachu. Dziewczyna panicznie bała się tych bandytów, oni trzęśli portkami przede mną, mnie zaś obleciał strach na widok tej nastolatki. A stało się tak dlatego, że nie miałem pojęcia, co z nią począć, chociaż byłem dorosły i powinienem był to wiedzieć... Przecież wysłano mnie do tego cholernego kraju z Danii między innymi po to, żebym właśnie tam, na tym przeklętym podwórku, pomógł temu biednemu dziecku. Ja natomiast potrafiłem jedynie czekać na powrót Bjørna. To było przerażające! Patrzyłem na nią, a dłonie drżały mi tak mocno, że z trudem trzymałem broń, kiedy zaś spojrzałem na tych oprychów... Sam pan wie, już o tym wspominałem.

Wychylił kolejny haust wódki, a Pedersen znów poszedł za jego przykładem. Tak naprawdę wcale nie musiał tego robić, ale zwyczajnie po ludzku miał ochotę. I tak był już porządnie wcięty, więc jeden łyk mniej czy więcej nie robił tu wielkiej różnicy.

– Dziś nie potrafię powiedzieć, czy Bjørn wrócił po dwóch minutach, czy po godzinie. Ja miałem wrażenie, że trwało to całą wieczność. Najpierw pobił jednego z nich, po czym puścił go wolno. Ten pierwszy był zaledwie podrostkiem, po nim przyszła kolej na należących do szajki mężczyzn. Z początku skrępował im ręce za plecami za pomocą plastikowej zaciskowej taśmy, no wie pan, to były takie prowizoryczne kajdanki... A później zagonił ich wszystkich pod ścianę domu i kazał im, żeby usiedli na bruku oparci o mur. W tym samym momencie z chaty wychynęło kilka kobiet. Po chwili jednak znowu zniknęły w środku i już tam zostały. Myślę, że bały się Bjørna. Podobnie jak ci faceci... Strach niemalże ich paraliżował i bez słowa wykonywali każde polecenie Lauritzena. Ja zresztą też, tyle że w moim wypadku nie wynikało to z lęku. Posadził ich wszystkich na ziemi, po czym związał im nogi znaną w domu liną, którą uprzednio pociął na odpowiednio długie kawałki. Skrępował ich w taki sposób, że każdy z nich miał jedną nogę związaną z nogą siedzącego obok kolegi. Użył do tego solidnych węzłów, więc gdyby chcieli wstać, mogliby to zrobić tylko razem. Na sam koniec nasypał im wszystkim do oczu żwiru. Działał metodycznie i konsekwentnie... Najpierw wytrwale rozwierał każdemu z nich powieki, a potem z premedytacją ciskał im w oczy garść szutru. Gdy już skończył, mogli już w zasadzie jedynie siedzieć tam, gdzie siedzieli, i o to właśnie chodziło. Później ruszyliśmy w stronę lasu i przejechaliśmy korytem rzeczonym, podczas gdy z zamontowanych na czołgu głośników rozbrzmiewało na cały regulator bicie ratuszowego zegara. Udało nam się ocalić życie kilku uchodźcom, ale na całe szczęście nie spotkaliśmy po drodze żadnych serbskich żołnierzy. „Bjørn ich zastrzelił”, pomyślałem... Wyraźnie widziałem, że był właśnie w tym „szczególnym” nastroju.

Komisarz wyciągnął rękę, żeby zabrać swój dyktafon ze stojącego przed nimi wąskiego stolika kawowego. Wódka już porządnie uderzyła mu do głowy, więc zatrzymanie nagrywania okazało się niełatwym zadaniem. Te diabelskie małe przyciski najwyraźniej nie chciały z nim współpracować i operacja dopiero po kilku podejściach zakończyła się sukcesem. Miał w sumie jeszcze kilka podsumowujących pytań, ale stwierdził, że

będą musiały poczekać do następnego razu. A nie miał żadnych wątpliwości, że prędzej czy później trzeba będzie przesłuchać Olego ponownie.

Z pewnym ociąganiem zapewnił mężczyznę, że jeszcze go odwiedzi, a ten nie zaprotestował.

Odparł, że nie ma nic przeciwko i że Pedersen zawsze jest u niego mile widziany.

– Trochę mi teraz głupio, że śmiałem się z Irene. Jest całkiem w porządku... – dodał po chwili.

– Irene Galga? – Sam dobrze słyszał, że źle wymówił nazwisko, ale nie podjął wysiłku, by to sprostować. Tak czy inaczej, Nysted przytaknął.

– Jest pan z nią na „ty”? – zapytał Arne.

– Taak... Pomagają mi czasem z Bjørnem.

Policjant nadstawił uszu. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że to, co właśnie usłyszał, jest niezwykle ważne. Jednocześnie niestety nie był w stanie sensownie pociągnąć tematu. Zupełnie nie mógł się skoncentrować i najbardziej na świecie marzył o tym, żeby wyjść na zewnątrz i zaczerpnąć świeżego powietrza. Mimo to rzucił mało entuzjastycznie:

– Zapewniał pan, że nigdy jej nie spotkał. To jak w końcu było?

– Powiedziałem, że nie widziałem jej nigdy w Bośni, i to się zgadza. Spotkaliśmy się dopiero później, po moim powrocie do kraju. Bjørn któregoś dnia wpadł do mnie z wizytą i przyprowadził ją ze sobą.

– Odwiedzają pana Irene i Bjørn?

– Ummm... Tyle że najczęściej przychodzą osobno. Poza tym zjawiają się tu niezmiernie rzadko, najwyżej raz do roku. Zasadniczo nie przepadam za gośćmi...

Pedersen wstał, dość mocno się zataczając, i powtórzył, że wkrótce chciałby jeszcze raz z Nystedem pomówić.

– Im szybciej, tym lepiej – dodał.

– Może pan wpaść w piątek, czy to za późno?

Komisarz odparł, że tak będzie idealnie i wobec tego są umówieni.

– Niech pan powie... czy Bjørn zrobił coś złego? – odezwał się Nysted, gdy jego gość stał już w drzwiach.

Rozdział 26

Wtorek, 14 września 2010 roku, las Lorup w Slagelse

Dwoje młodych ludzi, trzymając się za ręce, niespiesznie wędrowało skrytymi w leśnej głuszy drózkami, którymi mało kto się przechadzał. Czuliłym szeptem zapewniali się nawzajem, że są sobie przeznaczeni; zupełnie jakby wierzyli, że słowa mogą odmienić ich los. Gdy już dotarli do najgłębszego zakątka lasu, gdzie mogli być pewni, że nikt ich nie zobaczy, zaczęli się całować – powoli i nieco powściągliwie, żeby przypadkiem się nie zapomnieć i nie dotrzeć do punktu, z którego nie ma już odwrotu. Zgodnie stwierdzili, że z uwagi na okoliczności tak będzie najlepiej, a przynajmniej ona tak stwierdziła.

Poznali się dwa lata wcześniej w wiosce Sørbymagle nieopodal Slagelse, gdzie przy głównej drodze prowadzącej do Næstved mieściła się szkoła publiczna. Chłopak był tam pomocnikiem szkolnego konserwatora, dziewczynę zaś przeniesiono ze szkoły średniej w Slagelse. Nawiasem mówiąc, uzyskiwała tam świetne wyniki w nauce, ale ściągnęli ją na prowincję w charakterze nauczycielki wspomagającej, gdyż jej młodszy brat, który uczęszczał do drugiej klasy, miał trudności w szkole. Byli Romami, a mały – jedynym chłopcem wśród czworga rodzeństwa. Rodzicom zależało więc na tym, by to właśnie on zdobył porządne wykształcenie, nie starsza córka. Zatem, choć przeokrutnie ją to nudziło, dziewczyna przez długie godziny śleczyła u boku brata, pilnując, żeby słuchał, co mówią nauczyciele, zachowywał się, jak należy, i na bieżąco przyswajał materiał. Ale nawet nie próbowała skarżyć się ojcu. Dobrze wiedziała, że to nic nie zmieni. Tylko podczas przerw, kiedy mały bawił się z kolegami, miała trochę czasu dla siebie. I właśnie wtedy go poznała...

Jeśli wierzyć w miłość od pierwszego wejrzenia, to tak właśnie było w ich wypadku. Chłopak szybko nauczył się więc tak organizować swoją pracę, żeby w przerwach zawsze mieć coś do zrobienia na placu zabaw dla najmłodszych albo przynajmniej w jego okolicach. Natomiast sam konserwator, poczciwy starszy pan, bynajmniej nie był ślepy i pomagał młodemu, co rusz wyznaczając mu nowe zadania w miejscach, w których mógł spotkać swoją wybrankę: „Bądź tak miły i zgarnij rozsypany piasek z powrotem do piaskownicy” albo „Idź i zobacz, czy z drabinkami wszystko w porządku” lub „Pozbieraj, proszę, śmieci z tarasu klas pierwszej i drugiej”. Wszystko trwało dobrych kilka miesięcy i dla obojga był to cudowny czas. Niestety dzieciak opowiedział w domu o fascynacji swojej starszej siostry, przy tym nie omieszkał napomknąć, że dziewczyna coraz częściej spóźnia się na jego lekcje. Toteż rodzice z miejsca zabrali ją z Sørbymagle, a trzy miesiące później wydali za czterdziestotrzyletniego mężczyznę z Helsingør. Jej mąż był przyjacielem rodziny, porządnym facetem, jak zapewniał ją ojciec, gdy już powziął tę decyzję. Zamieszkali w Snekkersten i niebawem miało się urodzić ich pierwsze dziecko, chociaż minęło sporo czasu, zanim dziewczyna zaszła w ciążę.

Raz w miesiącu odwiedzała jednak rodzinne miasto, żeby zobaczyć się z rodzicami i rodzeństwem. I właśnie wtedy się widywali. Przeważnie spędzali razem kilka godzin, nigdy więcej; tylko gdy ojciec był w pracy, udawało jej się przekonać matkę, by mogła pójść sama na spacer. Spotykali się w umówionym miejscu w głębi lasu, gdzie ukryci przed ciekawskimi spojrzeniami mogli się sobą nawzajem nacieszyć. I tak było również w ten piękny jesienny dzień... Szli leśną ścieżką ze splecionymi dłońmi, a różnokolorowe liście, które pokrywały ziemię niczym gęsty dywan, szeleściły im pod stopami.

– Zobaczymy się w przyszłym miesiącu? – spytał nieśmiało chłopak.

Ustalili, że podczas swoich potajemnych schadzek nie będą poruszać trudnych tematów. Po co marnować czas na uzalanie się nad swoim losem? To mogli przecież robić osobno. Ale tego pytania nie dało się uniknąć i zawsze zadawał je on, choć za każdym razem bał się odpowiedzi... Jak zwykle zapewniła go, że napisze do niego, kiedy tylko ustalą termin ko-

lejnej wizyty w domu, a on odetchnął z wyraźną ulgą. Nagle dziewczyna zamarła.

– Ktoś tu idzie – wyszeptwała.

Chłopak zbagatelizował to spostrzeżenie. Był przekonany, że nikogo tam nie ma. Kto miałby się zapuszczać tak głęboko w las? Uspokoił ją, mówiąc, że nie ma powodów do niepokoju. Po chwili jednak urwał w pół słowa, bo sam usłyszał kroki gdzieś przed nimi. Jego ukochana miała rację. Pociągnął ją za rękę i ukryli się za korzeniem wielkiego przewróconego drzewa. Z drogi nie było ich widać, więc mogli spokojnie poczekać, aż ten ktoś ich minie.

Tym kimś okazała się kobieta w średnim wieku, nie za wysoka, szczupła, a może raczej chuda. Jej sprężysty chód wyraźnie świadczył o tym, że dbała o kondycję fizyczną. Jej ładną twarz o regularnych rysach okalały lekko kręcone jasne włosy, które sięgały mniej więcej do ramion. Miała na sobie czerwoną kurtkę typu softshell i jasnoniebieskie spodnie robocze marki Bridgewater. Na pierwszy rzut oka można by stwierdzić, że pracuje przy odbywającej się gdzieś w okolicy wycince drzew. Nie wyglądało na to, że po prostu przechadza się po lesie. Raczej zmierzała w konkretne miejsce, co w leśnej głuszy wydawało się nieco dziwne. W jednej ręce trzymała skrzynkę z narzędziami, a w drugiej dwie pomalowane na szaro płyty.

Gdy kobieta już ich minęła i nieco się oddaliła, chłopak wyciągnął komórki i nagrał ją od tyłu.

– Po co to zrobiłeś? – zainteresowała się dziewczyna.

– Bo to podejrzane, że włóczy się po lesie na pełnym odludziu, i to ze skrzynką narzędziową, nie uważasz? Co ona tu robi?

– Za nic nie możemy się ujawnić, dobrze o tym wiesz, prawda? – odparła dziewczyna z nutką niepokoju w głosie. – Może zbiera grzyby? Chociaż raczej stać ją na to, żeby po prostu je kupić, zamiast latać po lesie i ich szukać.

– Czyli ją znasz?

– I tak, i nie... To znaczy, nie osobiście, ale to żona właściciela delikatesów, no wiesz, tego sklepu spożywczego koło stacji benzynowej. Kiedyś

tam sprzątałam, a ona czasem przyjeżdżała po męża, jeśli akurat był na miejscu.

Rozdział 27

Wtorek, 14 września 2010 roku, komenda policji

Pedersena męczył straszliwy kac. Rano, a w zasadzie gdzieś do południa, czuł się po prostu fatalnie. Nie mógł się skoncentrować i wyrzucał sobie całkowity brak profesjonalizmu. Chociaż miał z tyłu głowy, że przecież normalnie nie pił na służbie. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy w całej karierze. Zresztą wymagała tego sytuacja – tak przynajmniej sobie powtarzał, tyle że całe zajście trudno było później wyjaśnić. Poza tym niepomniernie go zirytowała reakcja żony i dzieci, gdy wrócił do domu. Patrzyli na niego z dezaprobatą i bił od nich chłód, zupełnie jakby zobaczyli alkoholika! Ich zachowanie było rażąco niewspółmierne do tego, co tak naprawdę się wydarzyło, i Arne czuł, że absolutnie sobie na to nie zasłużył. Co innego, gdyby co drugi dzień dawał w pracy w palnik... Tymczasem zdarzyło się to po raz pierwszy i prawdopodobnie ostatni. Zaboląła go szczególnie oschłość ze strony chłopców. Byli już na tyle duzi, że powinni mieć własne zdanie, a nie solidaryzować się z nadąsaną, zawsze nieomylną matką. Gdy tylko coś poszło nie po jej myśli, momentalnie, jak amen w pacierzu, wpadała we wściekłość; jeśli nie z konkretnego powodu, to na wszelki wypadek. Tak przynajmniej widział to Pedersen.

Jedyną okoliczność łagodzącą stanowiła aprobata ze strony Simon-sena. Poprzedniego dnia komisarz zadzwonił bowiem do swojego szefa z auta, bo oczywiście nie zamierzał wsiadać za kółko w stanie upojenia alkoholowego, i nieco bełkocząc, wyjaśnił mu, co zaszło. Ten zaś zachował się nadzwyczaj wyrozumiale i z miejsca wysłał po niego wóz patrolowy, którym następnie odwieziono go do domu. O ile dobrze pamiętał, jechali jego własnym samochodem, a przynajmniej tak mu się wydawało, bo większość drogi przespał. Jedno wiedział na pewno: ktoś dostarczył go

wraz z autem pod wskazany adres i to nie on był kierowcą. Dziś rano natomiast Simonsen niemalże się o niego troszczył, co zupełnie nie leżało w naturze szefa. „Chciałbym, żeby było dokładnie na odwrót”, rozmyślał Pedersen. To rodzina powinna była okazać mu zrozumienie, w pracy wcale tego nie oczekiwał. Gdy się tak nad tym zastanawiał, przed oczami stanęła mu Pauline Berg... Mieli przelotny romans, który później przerodził się w głęboką przyjaźń. Na przestrzeni ostatnich paru lat mocno się jednak od niej oddalił... Zebrał się w sobie i wciąż jeszcze chwiejnym krokiem ruszył w kierunku biura Simonsena. Tam opadł ciężko na wolne krzesło, starając się nie pokazywać, jak bardzo mu niedobrze. Miał złożyć pozostałym członkom zespołu szczegółowy raport z wczorajszego przesłuchania. Arnold i Hrabianka już tam byli, oboje irytująco rześcy i gotowi, by wysłuchać sprawozdania kolegi z wydziału.

Najpierw opowiedział o tym, jak Bjørn Lauritzen wybrał się czołgiem do gospodarstwa w dolinie, i o Irene Gallagher, która po chwili zjawiała się w obozie, po czym z miejsca pojechała za porucznikiem. O dziwo, poszło mu o wiele lepiej, niż się początkowo obawiał. Później opowiedział o wizycie w leśnej chacie weterana. Wszyscy słuchali z zaciekawieniem i nikt mu nie przerywał; nawet gdy raz po raz sięgał po przyniesioną ze sobą butelkę wody, żeby upić z niej łyk.

– Zamierzam odwiedzić go ponownie w piątek. Nie zdążyłem poruszyć kilku istotnych spraw – rzucił na zakończenie.

Arnold uśmiechnął się z przekąsem. „Czyżby ktoś miał ochotę napić się jeszcze trochę wódki?”, pomyślał. Informacja najwyraźniej rozeszła się w komendzie niczym świeże bułeczki...

Parę puścili pewnie funkcjonariusze, którzy odwieźli Pedersena do domu, bo sam Simonsen nikomu nic nie powiedział. Przy czym uśmiech szybko znikł z twarzy Jutlandczyka, bo na reakcję komendanta nie trzeba było długo czekać. Do tej pory niewiele się odzywał. Siedział zatopiony w swoich własnych myślach. Teraz jednak zmierzył Arnolda gniewnym spojrzeniem.

– Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek w moim wydziale naśmiewał się z kombatantów. Poza tym nie chcę słyszeć żadnych docinków pod adre-

sem Arnego tylko dlatego, że dla dobra śledztwa spoufalił się ze świadkiem. Nie mam wątpliwości co do tego, że w celu wydobycia z niego niezbędnych informacji trzeba było wypić z nim najpierw wiadro wódki. Nawiasem mówiąc, chętnie zakupię na piątek jeszcze kilka butelek na rachunek państwa, jeśli będzie taka potrzeba. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno, Klavs?

Z twarzy Arnolda dało się wyczytać, że jaśniej chyba nie można było... Tym samym atmosfera momentalnie zgęstniała i zapadła pełna napięcia cisza, której nikt jakoś nie miał ochoty przerwać. Sytuację uratował sam Simonsen, widząc błagalne spojrzenie Hrabianki.

– Przepraszam, trochę mnie poniosło. Ale ostatnimi czasy doświadczyłem tylu okropieństw... usłyszałem z ust byłych duńskich żołnierzy tak wiele potwornych historii o tym, jak bardzo zawiedli się na naszym państwie, że... aż trudno w to uwierzyć. Nie wiedziałem, że dzieją się u nas takie rzeczy. Chciałbyś coś jeszcze dodać, Arne? Jakies szczegóły, coś, co może wcześniej pominąłeś, jakieś osobiste refleksje, cokolwiek?

Pedersen, który nareszcie nie musiał ukrywać swojego nieszczęsnego stanu, odetchnął z wyraźną ulgą. Westchnął głośno i złapał się za głowę. Pozostali parsknęli gromkim śmiechem.

– Trudno o jakiegokolwiek trafne refleksje, kiedy ma się we krwi prawie dwa promile, ale jedna rzecz bez wątpienia mnie zaintrygowała. Początkowo, zanim Nysted zaczął mówić nieco spójniej, wyrzucał z siebie jedynie niepowiązane ze sobą zdania... albo raczej strzępki informacji. Dotyczyły głównie dziewczyny, która wyszła na podwórze, tej, która została zgwałcona. To znaczy, w środku, w domu też były jakieś kobiety, ale... rozumiecie, do czego zmierzam? – spytał. Przesunął wzrokiem po twarzach swoich kolegów, po czym ciągnął dalej: – Gdy o niej mówił, na jego twarzy malował się największy ból. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Te pierwsze wzmianki to był poniekąd strumień świadomości... Coś na kształt wstępu do właściwej historii... W każdym razie wspomniał wtedy o tym, że dziewczyna mówiła po duńsku, albo może raczej też po duńsku, to znaczy i po duńsku, i po serbsku.

– Była Dunką? – spytała zaskoczona Hrabianka.

– Nysted powiedział jedynie, że znała duński. Nie wiem, czy pochodziła z Danii, tego już nie doprecyzował. Przy czym, jeszcze raz zaznaczam, to były zaledwie luźne wspomnienia, więc równie dobrze mógł to być jego wymysł, koszarne urojenie... Choć oczywiście warto to sprawdzić.

Wszyscy się z nim zgodzili, ale chwilowo nikt nie wiedział, jak się do tego zabrać.

Pierwszy odezwał się Arnold, chcąc najwyraźniej podsumować raport Pedersena:

– Czyli prokuratorka wojskowa Irene Gallagher przekonuje dowództwo główne w Kopenhadze, by wysłali ją z powrotem do Bośni. Żeby jakoś to uzasadnić, sprzedaje im bajeczkę, że koniecznie musi jeszcze raz przesłuchać Bjørna Lauritzena. Inni świadkowie twierdzą natomiast, że była to zupełnie prywatna podróż podczas jej urlopu. Tak czy inaczej, leci tam trzynastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku. Lauritzen należy wtedy do szwedzko-duńsko-norweskiego batalionu NORDBAT 2. To jednostka, która ma za zadanie nadzorować strefę bezpieczeństwa stworzoną przez ONZ wokół miasta Tuzla celem zapewnienia ochrony bośniackim Muzułmanom. Bjørn nie przebywa jednak w tym czasie w samej Tuzli tylko na posterunku obserwacyjnym we wsi Ljubičevac, który Duńczycy nazywają między sobą małym Dannevirke. Ta niewielka prowizoryczna forteca znajduje się jakieś trzydzieści kilometrów na południowy wschód od Tuzli, nieopodal holenderskiej strefy bezpieczeństwa stworzonej w Srebrenicy. Ma tam pod swoim dowództwem dwunastu żołnierzy – choć niektórzy twierdzą, że tylko dziesięciu – i do dyspozycji dwa, może trzy czołgi. Nadażacie?

Hrabianka zapewniła go w imieniu wszystkich obecnych, że jak najbardziej, więc Jutlandczyk kontynuował:

– Wszystko wskazuje na to, że spotkanie Gallagher z Lauritzenem miało jednak charakter prywatny. Przy czym niewykluczone, że prokuratorka przyjechała pod pretekstem wykonywania obowiązków służbowych. Tak naprawdę zwyczajnie zadurzyła się w Bjørnie, możliwe, że z wzajemnością, choć tego jeszcze nie wiemy...

– A czy mamy pewność, że nie były to po prostu rozpuszczane przez żołnierzy plotki? – zapytał Simonsen. – To znaczy, chodzi mi o tę słabość Gallagher do Lauritzena.

Arnold potwierdził gestem dłoni, że taka możliwość rzeczywiście istnieje, po czym mówił dalej:

– Prokuratorka wypożycza w Tuzli jeepa i jedzie do punktu obserwacyjnego. Zupełnie przypadkowo zjawia się dokładnie w chwili, gdy w górach i lasach wokół Srebrenicy dochodzi do ludobójstwa. Wojska bośniackich Serbów pod dowództwem generała Ratki Mladicia przejmują bazę batalionu holenderskiego w Potocari, po czym tysiące Muzułmanów, głównie mężczyzn i chłopców, ucieka do lasu i za wszelką cenę usiłuje dotrzeć do Tuzli. Wielu z nich nigdy tam nie dociera, a siedem tysięcy osób pada ofiarą największej zbrodni wojennej, jaka zdarzyła się w Europie od czasów drugiej wojny światowej. Przy czym rozmiary tej masakry wychodzą na jaw dopiero o wiele później. Część uciekinierów zostaje schwytana przez Serbów, a potem stracona, inni giną od pocisków moździerzowych i pod ostrzałem artyleryjskim. Duńscy żołnierze słyszą i widzą z posterunku obserwacyjnego, co dzieje się w lesie... Powietrze raz po raz rozdzierają błyski wystrzałów armatnich i huki odpalanych pocisków. – Arnold przerwał i przesunął wzrokiem po twarzach swoich kolegów. – Tak to mniej więcej wyglądało – dodał.

– Świetnie ci idzie, kontynuuj... – zachęcił go Simonsen.

Arnold mówił zatem dalej. Zasadniczo powtórzył niemalże słowo w słowo wszystko, co wcześniej powiedział Pedersen, ale najwyraźniej nikomu to nie przeszkadzało. Gdy już skończył, szef wydziału zabójstw wtrącił poniekąd uzupełniająco:

– O ile nam w tej chwili wiadomo, Irene Gallagher koniec końców nie spotkała się z Lauritzenem podczas swojej drugiej wizyty w Bośni. Wróciła do Tuzli długo przed tym, zanim Bjørn dotarł swoim czołgiem z powrotem na posterunek obserwacyjny, zabierając po drodze garstkę uchodźców. Tam zastał swoich żołnierzy, którzy czekali już na niego w dwóch pozostałych czołgach, gotowi do drogi. Dostali rozkaz powrotu do miasta, ale zwlekali z jego wykonaniem, bo nie chcieli ruszyć bez dowódcy.

– Hmm... ale dlaczego ona na niego nie poczekała? – zaciekała się Hrabianka. – Na logikę tak właśnie powinna była zrobić, skoro już poruszyła niebo i ziemię, żeby się z nim zobaczyć.

Na to pytanie nikt nie znał odpowiedzi.

– Na drugi dzień albo dwa dni później, co do tego nie ma pewności, Lauritzen stawia się w bazie plutonu na wezwanie przełożonego – ciągnął Simonsen. – Tam dowiaduje się, że w trybie pilnym odsyłają go do domu, ale nikt nie stawia mu żadnych formalnych zarzutów. W każdym razie przez wiele lat po powrocie do Danii otrzymuje regularnie wynagrodzenie, a siły zbrojne najwyraźniej nie oczekują od niego niczego w zamian. O ile zamysł nie jest taki, że po prostu ma się w żaden sposób nie wychylać. A ten weteran z leśnego baraku – tak, wiem, nazywa się Ole Nysted, muszą to sobie wbić do głowy – jego również wycofują z plutonu i odsyłają do kraju. Przy czym nie da się od niego wyciągnąć, co było tego powodem. Pytanie brzmi zatem: dlaczego? Co wydarzyło się tamtego feralnego dnia w Bośni, w co zamieszani byli Bjørn i Irene?

– Musiało to być coś naprawdę strasznego, skoro bez chwili zastanowienia odsunęli Bjørna od misji... – dodała Hrabianka w zadumie. – Jak na razie prokuratorka Gallagher jest jedyną osobą, którą możemy jakoś powiązać z Lauritzenem. A ty co o tym wszystkim sądzisz, Simonie?

Jej mąż długo milczał; tak długo, że zapadła niezręczna cisza. Po chwili jednak powoli, jakby ważąc słowa, odparł:

– Wydaje mi się, że Gallagher jest zamieszana w sprawę masakry na wycieczkowcu. Myślę, że to ona siedziała za kierownicą i wysadziła Lauritzena na moście Batteribroen. Ale czy miało to coś wspólnego z wydarzeniami w Bośni, co do tego nie mam pewności... Poza tym przypuszczam, że ta kobieta dobrze wie, gdzie w tej chwili przebywa Bjørn.

– Czyli bierzemy ją w obroty, tak? Albo raczej: kiedy bierzemy ją w obroty? – chciał wiedzieć Pedersen.

Jego szef w zamyśleniu pokiwał głową, dając pozostałym do zrozumienia, że tego jeszcze nie wie, po czym wyjaśnił:

– Jeszcze nie teraz. Najpierw muszą się o niej jak najwięcej dowiedzieć, sam się tym zajmę, a gdybym jednak potrzebował waszej pomocy,

na pewno dam znać. Oprócz tego zależy mi na tym, żeby nikt spoza naszego kręgu nie dowiedział się, że interesuje nas prokuratorka Irene Gallagher. Powiedziałem wprawdzie: „Zależy mi”, ale tak naprawdę to po prostu jest rozkaz...

– Służby wywiadowcze? – zapytał Arnold z lekkim wahaniem w głosie.

– Tak. Wszystko na to wskazuje. Niewykluczone, że nasze własne i inne.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że za tymi morderstwami może stać Duńska Służba Wywiadu Obronnego albo Policyjna Służba Wywiadowcza? Albo inne organy specjalne?

– Oczywiście, że nie. Nie jestem paranoikiem. Obawiam się jedynie, że Gallagher może być nadzwyczaj trudno namierzyć, tylko tyle... albo aż tyle.

Hrabiance zaświtała nagle w głowie pewna niepokojąca myśl, więc po prostu musiała zadać to pytanie:

– Ale nie wykorzystasz Borupa do niczego, co mogłoby go narazić na odpowiedzialność karną, prawda, Simonie? To znaczy... wszyscy mamy świadomość, co potrafi... No wiecie, to istny informatyczny magik, który włamie się do każdej bazy danych, choć nie zawsze jest to do końca zgodne z literą prawa. Niekiedy również na własną rękę, to znaczy, nie konkretnie dla nas. Niemniej jednak są pewne kartoteki, do których absolutnie nie wolno...

Simonsen przerwał żonie w pół zdania i zapewnił ją, że w ogóle nie wtajemniczył jeszcze Maltego w sprawę Gallagher. Zaznaczył jednak, że nieznaczące obejście prawa oraz pewne nagięcie obowiązującego w wydziale imperatywnego kodeksu etycznego w pewnym momencie może się okazać konieczne.

– Pogadam z nim, jak już skończymy spotkanie, naturalnie bez wchodzenia w zbędne szczegóły – westchnęła Hrabianka z rezygnacją.

Wszyscy uznali to za rozsądne rozwiązanie. Grzebiąc w niektórych bazach danych, można sobie napytać biedy...

Rozdział 28

Środa, 15 września 2010 roku, Frederiksværk

– To się nazywa nękanie! To jest najzwyczajniej w świecie nielegalne...

Ella von Eggert była wściekła. Stała w progu z zaciśniętymi pięściami, wyraźnie sygnalizując, że absolutnie nie ma zamiaru wpuścić Simonsena i Hrabianki do domu.

– Przesłuchaliście mnie już dwa razy! A ja nawet nie znam tej podfruwajki, z którą kurwił się mój mąż. Ile razy mam to powtarzać, żeby w końcu to do was dotarło? – wykrzykiwała, kipiąc gniewem.

Inspektor, który nie potrafił już kryć irytacji, odpowiedział jeszcze raz:

– Ta dziewczyna, którą określiła pani „podfruwajką”, nazywała się Juli Denissen. Tak się składa, że nie żyje i osierociła dwuletnią córeczkę, więc mogłaby pani okazać jej odrobinę szacunku...

– Czy możemy wejść i spokojnie o tym porozmawiać? – wtrąciła pojednawczo Hrabianka.

Niewiele to jednak pomogło.

– Idźcie sobie! I tak was nie wpuszczę...

Ella von Eggert nie dała się namówić na spokojną rozmowę. Sytuacja wydawała się patowa... Aż w pewnym momencie Simonsen po prostu odepchnął kobietę i wszedł do środka. Gdy już znalazł się w domu, chwycił ją bezceremonialnie za ramię i pociągnął za sobą.

– Dobra... Cieszę się, że jednak poszła pani po rozum do głowy – rzucił.

Wdowa się opierała, ale inspektor nie zwracał uwagi na jej protesty. Kiedy dotarli do pokoju dziennego, Simonsen pchnął ją na stojące obok stołu krzesło, sam zaś zajął miejsce naprzeciwko niej. Hrabianka zamknęła drzwi wejściowe i z lekkim wahaniem podążyła za nimi, nie do

końca przekonana o tym, że jej mąż postąpił słusznie. Powinni ją zabrać do komendy... Ale co się stało, już się nie odstanie. Usiadła przy drugim końcu stołu.

Pani von Eggert płakała z bezsilności.

– Nie macie prawa... tyle akurat wiem. I możecie mi wierzyć lub nie, ale złożę na was skargę! Poza tym to niesprawiedliwe, że jestem tu zupełnie sama, a was jest dwoje i chcecie mnie przesłuchać po raz trzeci.

Hrabianka pospieszyła z odpowiedzią, zanim jej mąż zdążył otworzyć usta:

– Może pani zadzwonić do swojego adwokata... Bo na pewno ma pani adwokata, prawda? Przysługuje pani prawo do obrony, więc proszę śmiało się z nim skontaktować. Poczekamy, aż się zjawi.

Simonsen obrzucił żonę gniewnym spojrzeniem. W swoim scenariuszu nie przewidział bynajmniej udziału obrońcy w przesłuchaniu. Hrabianka natomiast pomyślała, że mogą wykorzystać czas oczekiwania, choć zasadniczo właśnie zapewniła wdowę, że będzie dokładnie na odwrót. Szybko jednak okazało się, że nie ma to większego znaczenia, bo kobieta zrezygnowanym głosem odrzuciła tę propozycję:

– Nie, dziękuję. Miejmy to już po prostu za sobą, dobrze? I tak nic nie wiem, więc raczej szybko stąd wyjdziecie.

Oboje funkcjonariusze przyjęli to z ogromnym zdumieniem; byli więcej niż pewni, że będzie chciała skorzystać z prawa do adwokata.

Rankiem tego samego dnia przesłuchanie Elli von Eggert zmieniło status ze sprawy, którą należy się zająć w wolnej chwili, na zadanie o najwyższym priorytecie. A wszystko dzięki samemu Simonsenowi. Starając się zgromadzić niezbędne informacje na temat Irene Gallagher, co – nawiasem mówiąc – okazało się zdecydowanie bardziej skomplikowane, niż sobie to pierwotnie wyobrażał, zupełnie przypadkiem natknął się na wzmiankę o jej młodszej siostrze. Dane pochodziły z sześćdziesiątego piątego roku, a odnalazł je w rejestrze mieszkańców Vangede, gdzie mieszkali rodzice Irene i gdzie spędziła ona część swojego dzieciństwa. Jej siostra miała na imię Ella, a to nie było szczególnie popularne imię żeńskie, przynajmniej nie dla kogoś z jej rocznika. Inspektor był przekonany, że zetknął

się z nim całkiem niedawno w związku z prowadzonym obecnie dochodzeniem. Początkowo nie mógł sobie przypomnieć, o kogo chodziło, ale Borup odświeżył mu pamięć i wszystko bardzo szybko się wyjaśniło: Ella von Eggert i Irene Gallagher były siostrami i jako dzieci obie nosiły nazwisko Egeskov. Później starsza z nich wyszła za mąż za pochodzącego z Nowej Zelandii Jamesa Gallaghera, a młodsza – za wziętego architekta Madsa Eggerta.

Informacja o tym, że te dwie kobiety łączą więzy krwi, stanowiła brakujący element układanki Simonsena: Juli Denissen ma romans z Madsem Eggertem, Ella von Eggert dowiaduje się, że mąż ją zdradza, i prosi Irene Gallagher o pomoc. Siostra namawia Bjørna Lauritzena, żeby nastraszył kochankę jej szwagra. Cel zostaje osiągnięty, tyle że Denissen przy okazji niespodziewanie traci życie. Później owładnięta obsesją aspirantka Pauline Berg niestrudzenie usiłuje udowodnić, że młoda kobieta jednak została zamordowana. W związku z tym miesiącami nachodzi leśniczego Jonasa Zieglera, który musiał być świadkiem napaści. Dlatego też Lauritzen, najprawdopodobniej w porozumieniu z Gallagher, postanawia pozbyć się obojga. I stąd właśnie rzeźnia na łodzi...

Zostało jeszcze naturalnie wiele niewyjaśnionych kwestii... A najbardziej uderzający był zupełny brak logiki. Jeśli bowiem wziąć pod uwagę, że Lauritzen nie zabił Juli umyślnie, to, czego dopuścił się na wycieczkowcu, było nieludzkie, a tym samym zupełnie niewspółmierne do tego, co się wcześniej wydarzyło. Niemniej jednak wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że te dwie sprawy były ze sobą powiązane właśnie w ten sposób. Reasumując, okazało się, że zeznania Elli von Eggert mogą mieć o wiele większe znaczenie, niż wcześniej zakładano.

Niestety, początkowo wyglądało na to, że Ella ani myśli pomóc policji pchnąć śledztwo do przodu. Pierwsza godzina przesłuchania nie wniosła do sprawy zupełnie nic. Wdowa uparcie powtarzała swoje wcześniejsze zeznania, czyli w wielkim skrócie, że absolutnie nic nie wie. Simonsen próbował jej grozić. Najpierw pokazał kobiecie zdjęcia przedstawiające zmasakrowane ciała małych Japończyków, ale to nie zrobiło na niej żadnego wrażenia. „To faktycznie przerażające, ale co ona ma z tym współ-

nego? Przecież to nie ona zamordowała te dzieci...” Mówiła to całkowicie zimnym i beznamiętnym głosem, więc nietrudno było się zorientować, że niewiele ją obchodził los tych niewinnych istot. Za to konsekwentnie obstawała przy tym, że ona sama nie ma przecież żadnego związku ze sprawą. Następnie inspektor postanowił się uciec do starego wypróbowanego fortelu: jeśli nadal będzie stawiać opór, ludzie z wydziału zabójstw zrobią z niej wroga publicznego numer jeden, to jest rozgłoszą, że jest kanałią zatajającą przed kryminalnymi istotne informacje dotyczące tragicznej sprawy, na której rozwiązaniu zależy w tym kraju dosłownie wszystkim. I co na to powiedzą jej sąsiedzi? To jednak też niewiele pomogło.

– Nie dbam o to – rzuciła z pogardą wdowa, niemalże wypluwając z siebie słowa. Wyglądało na to, że naprawdę tak myśli.

Simonsenowi został w rękawie już tylko jeden as... Bez zbędnych wstępów poinformował ją, że sąd może ją uznać za współwinną śmierci Juli Denissen. A za to zapłaci srogą cenę, współudział w morderstwie... Spędzi za kratkami przynajmniej osiem lat, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. W takim wypadku musi ją zabrać do komendy i zastosować wobec niej areszt, na początek na cztery tygodnie. W zasadzie może na tym zakończyć... a ona pójdzie i się spakuje, tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Skoro nie chce współpracować z policją, nie ma wyjścia. Kobieta posłała mu rozbawiony, a zarazem pogardliwy uśmiech. On zaś w tej samej chwili przyznał w duchu, że chyba nie docenił jej możliwości.

– Podoba mi się pana tok rozumowania... Jeśli zdecyduję się z wami współpracować, jak pan to ujął, to będziecie tak wspaniałomyślni i darujecie mi te osiem lat więzienia. To takie trochę naciąganie przepisów, prawda? To znaczy, chyba sam pan nie wierzy w to, co mówi, co? A tak poza tym wszystkim, przecież współpracuję wzorowo: po prostu nie wiem już nic więcej oprócz tego, co wcześniej powiedziałam – odparła, zachowując stoicki spokój.

Po wysłuchaniu tego potoku słów Simonsen spojrział na Hrabiankę z całkowitą rezygnacją. Skończyły mu się pomysły. Jego żona nie zamierzała się jednak poddać. Podczas gdy on na próżno starał się nakłonić wdowę, by zaczęła mówić, funkcjonariuszka przysłuchiwała się rozmowie

i bacznie obserwowała reakcje kobiety. Najbardziej zastanawiające było to, że tak zdecydowanie odmówiła wezwania adwokata...

Policjantka spojrzała Elli von Eggert prosto w oczy i powiedziała:

– Ten pani prawnik... Bo jestem przekonana, że pani go ma, nie zna się pewnie za bardzo na procedurach ani na prawie karnym, co? Zgaduję, że jest bardziej specem od prawa spółek, finansów, rachunkowości i ogólnie pieniędzy, mam rację? Ale jeśli się mylę, to proszę mnie wyprowadzić z błędu...

To był strzał na ślepo, ale najwyraźniej trafiła w sedno. Pani von Eggert drgnęła powieka.

– Czego chcecie od mojego prawnika? – wysyczała.

– Zasadniczo w ogóle nas nie obchodzi, ale widzę, że bardzo pani nie chce, żebyśmy się z nim spotkali. Mniemam, że policja i pracujący dla pani adwokat to z jakichś nieznanych nam powodów totalna mieszanka wybuchowa. No więc tak sobie siedzę i się zastanawiam, o co może chodzić... Cholera wie, może pani i pani zmarły mąż odłożyliście coś gdzieś na czarną godzinę... No wie pani, tak żeby uniknąć opodatkowania w Danii. Na przykład w San Marino, na Kajmanach, na wyspie Man albo po prostu w Szwajcarii. Jest trochę różnych możliwości. A ja obstawiam, że pani prawnik skutecznie pani w tym pomaga, bez wątpienia w zamian za pokaźne honorarium, wiem co nieco o takich jak on...

Wdowa gwałtownie się zarumieniła. Nie odpowiedziała, ale wyraźnie nie w smak jej było, że rozmowa zesła na takie, a nie inne tory.

– To teraz proszę uważnie posłuchać. – Hrabianka nie zamierzała odpuścić. – Dajemy pani pięć minut na zastanowienie. Przy czym, jeśli podejmie pani złą decyzję, w drodze powrotnej zadzwonię do urzędu skarbowego, a oni przyślą tu trzech starszych audytorów, którzy porządnie przetrzepią i panią, i pana mecenasa. Obejrzą z obu stron każdą koronę, na którą choćby spojrzeliście, i jeśli w waszych rachunkach są jakiegokolwiek nieprawidłowości, oni na pewno je znajdą, tego może być pani pewna. Problem polega jednak na tym – a problem będzie mieć konkretnie właśnie pani – że gdy machina już ruszy, czyli skarbówka dobierze wam się

do skóry, nie będę mogła zrobić absolutnie nic, żeby to zatrzymać. Tak więc teraz czas na pani ruch... My czekamy.

Funkcjonariuszka spojrzała na zegarek, ale wdowa najwyraźniej nie potrzebowała całych pięciu minut. Wystarczyło pięć sekund.

– Nie wiem nic o morderstwach popełnionych na tym waszym statku, absolutnie nic. I musicie mi w końcu uwierzyć, bo to najprawdziwsza prawda – rzuciła zgaszonym tonem.

– W takim razie o czym pani jednak coś wie?

Kobieta westchnęła, wstała z krzesła i podeszła do kredensu, z którego wyjęła butelkę białego wina i nadal stojąc do policjantów plecami, nalała sobie kieliszek. Simonsen skorzystał z okazji, żeby włączyć dyktafon i położyć go na stole. Wdowa wróciła na swoje miejsce i zaczęła mówić zgnębnym głosem:

– Od dłuższego czasu domyślałam się, że Mads ma romans z Juli, ale nie miałam na to dowodów. Dlatego ściągnęłam z internetu specjalny program szpiegowski i zainstalowałam go na laptopie męża. Trzy tygodnie później zdobyłam hasło do poczty elektronicznej obojga. Kiedy przeczytałam ich maile, najpierw przestraszyłam się nie na żarty. Mads zupełnie stracił dla niej głowę. Pisał, że przy niej czuje się znowu młody, i takie tam... Ta cała słodycz szczerze przyprawiała mnie o mdłości. Wyglądało na to, że mój mąż był gotów ode mnie odejść – i to dla takiej siksy! I co ja bym wtedy sama zrobiła?

Simonsen uderzył dłonią w blat stołu.

– Dziękujemy za ten cały rzewny wstęp, ale proszę sobie darować i trzymać się faktów...

– W porządku. Tak zresztą pewnie będzie najrozsądniej. Tak czy inaczej, zwierzyłam się swojej siostrze Irene. Zawsze mi pomagała, gdy wpadałam w jakieś większe tarapaty. Ona z kolei zadzwoniła najpierw do... do Juli. Rozmawiała z nią parę razy i prosiła, by ucięła znajomość z Madsem, ale ta dziewczucha była zimna jak ryba i zupełnie obojętna. Myślę, że tak naprawdę po prostu go kochała, ale Irene w żadnym razie nie uważała tego za okoliczność łagodzącą. Powiedziała, że wobec tego ktoś musi pogadać

z tą małąlatą osobiście i dać jej nauczkę, żeby na przyszłość trzymała się z daleka od żonatych facetów.

– To znaczy nastraszyć ją?

– Tak, właśnie tak. A ja pomyślałam, że to dobry plan. Niestety ja też miałam w tym swój udział. Z korespondencji mailowej dowiedziałam się, że Juli umówiła się z Madsem na spacer w Melby. Miała zabrać ze sobą córkę. Dzień przed planowanym spotkaniem z adresu kochanki wysłałam do męża wiadomość, w którym napisałam w jej imieniu, że musi odwołać randkę, bo rozchorowało jej się dziecko. To był pomysł Irene. Dzięki temu wiedziałyśmy już, gdzie będzie mogła porozmawiać z dziewczyną na osobności. Wieczorem siostra zadzwoniła i powiedziała, że problem został rozwiązany, ale pod żadnym pozorem nie możemy więcej o tym wspominać, ani w rozmowie telefonicznej, ani w jakichkolwiek innych okolicznościach. Dopiero po pewnym czasie dowiedziałam się, że Juli nie żyje. Napisałi o tym w lokalnej gazecie... Przy czym ja już wcześniej czułam, że coś jest nie tak, bo Mads przez kilka dni był w totalnej rozsypce. Widziałam po nim, że chodzi o coś więcej; że to nie było zwykłe zerwanie. Ale nie miałam co do tego pewności, a spytać go przecież nie mogłam...

– Nie zapomniała pani przypadkiem o jednym małym, lecz istotnym szczególe? Doskonale pani wiedziała, w jaki sposób można wymusić na Juli absolutnie wszystko, prawda? – wycedził Simonsen lodowatym głosem.

Ella von Eggert spuściła wzrok, najwyraźniej zawstydzona swoim występkiem.

– Czy będę miała z tego powodu jakieś problemy? – spytała cicho.

– Już je pani ma. Jak pani siostra miała wystraszyć Juli?

– Nienawidziłam jej z całego serca...

– Kurwa! Mów. – Simonsen przestał się bawić w konwenanse.

– Ślimaki... Panicznie bała się ślimaków, miała fobię, czy jak to się tam nazywa. Dowiedziałam się o tym z jednego z jej maili, który z Madsem akurat nie miał nic wspólnego. I powiedziałam o tym Irene.

– Miała ją zaszantażować za pomocą ślimaka? Czy ja, kurwa, dobrze słyszę?

Kobieta przytaknęła, a Hrabianka, obawiając się, że mąż zaraz eksploduje ze złości, co byłoby wysoce nieprofesjonalne, postanowiła wkroczyć do akcji.

– Czy to Irene napadła na Juli Denissen? – spytała bezceremonialnie.

– Nie mam pojęcia. Nigdy więcej do tego nie wracałyśmy, ale nie wydaje mi się, żeby mogła to zrobić sama... Raczej poprosiła kogoś o pomoc. Ma dużo różnych znajomych.

– Takich, którzy wiedzą, jak wystraszyć młodą kobietę na śmierć? Śmiało, proszę nazywać rzeczy po imieniu... – rzucił inspektor, który najwyraźniej starał się znowu przejąć pałeczkę.

Ale pani von Eggert zignorowała jego uwagę, a Hrabianka z miejsca spytała:

– A wie pani może, kto jej pomagał?

– Nie wiem. I nie chcę wiedzieć...

– Zupełnie nic pani nie świta?

Kobieta pokręciła głową i zapewniła, że niestety nie może im pomóc.

– A czy siostra czasem pożyczka od pani auto? – Policjantka postanowiła zmienić temat.

Pani von Eggert zaprzeczyła. Powiedziała, że Irene ma swój samochód, więc nigdy nie było takiej potrzeby.

– Więc nie jeździła nim dwudziestego drugiego sierpnia tego roku? Jest pani tego pewna?

– Byłam wtedy na weekend w Berlinie. Pojechałam tam pociągiem i wróciłam do domu dopiero we wtorek, to znaczy... Jestem prawie pewna, że siostra nie korzystała z mojego wozu, ale nie mogę tego zagwarantować... – Urwała.

Hrabianka zaś poszła za ciosem i spytała, czy Gallagher ma klucze do jej domu, a tym samym również dostęp do kluczyka do auta. Wdowa ociągała się z odpowiedzią, lecz koniec końców przytaknęła.

– Zatem w weekend siostra mogła bez problemu skorzystać z pani wozu, tak? – podsumował Simonsen.

– Mogła... Ale obstawiam, że raczej tego nie zrobiła.

– Potrzebujemy więc kluczyki do auta. Technicy muszą się im przyjrzeć. Nie ma pani chyba nic przeciwko?

– Naturalnie, że nie mam, ale właśnie przedwczoraj skradziono mi samochód, więc będziecie musieli poczekać, aż się znajdzie – odparła.

Następnie uraczyła ich długą i zawiłą historią o tym, jak dosłownie na kilka sekund wyszła z auta, żeby wrzucić list do skrzynki, a jakichś dwóch smarkaczy, korzystając z okazji, nim odjechało. Trudno było stwierdzić, czy kłamie, czy też mówi prawdę.

– Zgłosiła to pani? – spytała Hrabianka.

– Oczywiście.

Simonsen pomyślał, że musi niezwłocznie zadzwonić do komisariatu we Frederikssund i poprosić, żeby w trybie pilnym zajęli się wyjaśnieniem sprawy rzekomej kradzieży. Nic więcej nie mógł w tej kwestii zrobić.

Przez kolejną godzinę na próżno usiłowali się dowiedzieć czegoś więcej. A gdy do nich dotarło, że kobieta najwyraźniej powiedziała im już wszystko, co wie, dali sobie spokój. Kiedy zbierali się do wyjścia, Ella von Eggert spytała ostrożnie:

– Myślicie, że Irene miała coś wspólnego z tą masakrą na wycieczkowcu? – Nie otrzymawszy odpowiedzi, dodała niemalże błagalnym głosem: – Co się teraz ze mną stanie?

Na to funkcjonariusze również nie odpowiedzieli. Prawda była taka, że najpewniej nie stanie się zupełnie nic. Tego natomiast żadne z nich nie miało jej teraz ochoty mówić.

Rozdział 29

Czwartek, 16 września 2010 roku, Søllerød

Był ciepły wieczór, więc Konrad Simonsen rozsiadł się na tarasie z plikiem dokumentów, laptopem i kuflem zimnego piwa, zasłużonego po ciężkim dniu pracy. Hrabianka oglądała w salonie telewizję, a zmieniające się na ekranie obrazy rzucały niebiesko-białe światło, które odbijało się w szybie drzwi wejściowych. Inspektor czuł, jak wzbiera w nim irytacja. Zamierzał już nawet zaciągnąć zasłonę, lecz po chwili zrezygnował. Nie chciał, by żona pomyślała, że nie chce jej towarzystwa, bo było dokładnie na odwrót. Ze zmęczenia nie mógł się skupić na tym, co czytał. Raz po raz kiwał bezwiednie głową, a czasem przerywał lekturę i popadał w głęboką zadumę. Po chwili zaś stwierdzał, że to, co czyta, w ogóle nie ma sensu... Ot zlepek faktów zmieszanych z zupełnie nieistotnymi szczegółami, nieskładna płatanina jawy i snu. Od wczesnego ranka usilnie próbował sensownie uporządkować informacje o Irene Gallagher, ale szło mu średnio... W życiorysie podejrzanej nadal było bardzo dużo luk.

Gallagher urodziła się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku i do ukończenia osiemnastego roku życia mieszkała z rodziną w Vandegede. Potem dostała się na prawo na Uniwersytecie w Kopenhadze i wywodziła się z domu. Oboje rodzice mieli wyższe wykształcenie. Matka wykładała termodynamikę, a ojciec był odnoszącym sukcesy dyplomata. Zwieńczeniem jego kariery okazała się funkcja ambasadora Danii przy NATO, którą pełnił przez cztery lata, a przez kolejne sześć lat piastował stanowisko ambasadora w Waszyngtonie. Rodzina żyła w dostatku, bo nie dość, że oboje rodzice Irene dobrze zarabiali, to jeszcze jej dziadek prowadził sporą firmę stolarsko-ciesielską. Dziewczyna dorabiała tam zresztą regularnie, gdy jeszcze chodziła do szkoły średniej, bo chciała mieć własne

pieniądze. W siedemdziesiątym dziewiątym roku świetnie zdała maturę, a cztery lata później ukończyła studia prawnicze, osiągając równie imponujące wyniki. W osiemdziesiątym piątym roku odbyła w koszarach w Høvelte ochotniczą służbę wojskową, a zaraz potem dostała pracę w Generalnym Dowództwie Obrony. W wieku trzydziestu czterech lat wyszła za mąż za Jamesa Gallaghera, Nowozelandczyka mającego pozwolenie na stały pobyt w Danii. Jej mąż posiadał sto procent udziałów w sieci delikatesów na duńskiej wyspie Zelandii, które cieszyły się popularnością głównie na obszarach wiejskich. James Gallagher zaczerpnął pomysł na biznes z Nowej Zelandii, gdzie jego rodzina prowadziła kilkaset punktów handlowych tego typu. Markety te wyróżniał godny naśladowania model gospodarki magazynowej i finansowej. Państwo Gallagherowie zamieszkali w Næstved i nie doczekali się potomstwa. W dwa tysiące siódmym roku Irene odeszła z wojska i – jak można było stwierdzić na podstawie dostępnych informacji podatkowych – od trzech lat nie pracowała zarobkowo. Poza tym Simonsen wiedział, że jeździ czerwonym audi locus, podczas gdy jej młodsza siostra miała białego opla corsę. Ten drugi samochód bez dwóch zdań przypominał auto, z którego Bjørn Lauritzen wysiadł na moście Batteribroen. Niestety równie dobrze mógł to być wóz niemal każdej innej marki. W każdym razie policja uznała, że opla powinni zbadać technicy, kiedy tylko samochód się znajdzie.

Simonsen potarł zmęczone oczy, a gdy ponownie je otworzył, zobaczył przed sobą Hrabiankę. Pograżony w myślach, nie słyszał jej kroków. Spojrzała na niego z troską i pogłaskała go czule po głowie.

– A może poszedłbyś dziś wcześniej do łóżka i w końcu porządnie się wyspał, co?

Ujął dłoń żony i siedział tak przez chwilę, trzymając ją za rękę. Po chwili jednak zwolnił uścisk.

– Niestety, jeszcze nie mogę... Spodziewam się gościa.

– O tej godzinie? Czy to ta Gallagher tak cię dręczy?

W końcu mógł się komuś wyzalić. Harował jak wół cały boży dzień, a mimo to wciąż nie miał kompletu informacji. Nikt nie wiedział, co ko-

bieta robiła między osiemdziesiątym szóstym a dwa tysiące siódmym rokiem.

– Siły Zbrojne Królestwa Danii odmówiły jakiegokolwiek pomocy, bo jej akta są poufne. A gdy, oczywiście nie bez trudu, zdołałem w końcu ubłagać Komendanta Głównego Policji, żeby postarał się o nie niezależnie, jego również odprawili z kwitkiem – odparł.

– A nie masz jakichś własnych źródeł? Znasz przecież kilku wysoko postawionych urzędników państwowych.

Do nich oczywiście też zwrócił się o pomoc, ale otrzymał dokładnie taką samą odpowiedź. Do teczki Irene Gallagher nikt nie miał dostępu, wszelkie dokumenty dotyczące jej służby w siłach obronnych były ściśle tajne.

– Nic z tego... Tak naprawdę wszyscy radzili mi zasadniczo, żebym w ogóle odpuścił sobie tę sprawę.

– Może mają rację...

Jakkolwiek by na to patrzeć, utknęli w martwym punkcie. Choćby dlatego, że Simonsen nie miał pojęcia, jak inaczej popchnąć to dochodzenie do przodu. No może poza spotkaniem z mężczyzną, który miał go lada moment odwiedzić. Chociaż już nawet z tą wizytą wiązał coraz mniejsze nadzieje.

– Ale światelko w tunelu pojawiło się gdzie indziej... – rzucił Simonsen, zmieniając temat. – Malte wyszperał coś ciekawego... Coś, co wcześniej najwyraźniej umknęło naszej uwadze. Chodzi o Jonasa Zieglera, no wiesz, faceta, który został zamordowany razem z Pauline.

– Naprawdę nie musisz mi wyjaśniać, o kogo chodzi, nie wiem, czy pamiętasz, ale nie ty jeden pracujesz nad tą sprawą... Co z nim?

– Pracował w delikatesach w Tune, czytaj: był zatrudniony u Irene Gallagher i jej męża. Zmienił pracę dwa miesiące po całym zająciu w Melby Overdrev, mimo że nie miał żadnego doświadczenia w handlu ani odpowiednich kwalifikacji. Co więcej, otrzymywał wyższe wynagrodzenie niż pozostali pracownicy marketu, to jest w skali miesiąca blisko dwa tysiące koron więcej niż inni.

– Czyli Irene Gallagher oferuje Zieglerowi pracę w zamian za milczenie w sprawie napaści na Juli? Dzięki temu ma go jednocześnie na oku. Pauline nie przestaje go jednak nękać i w końcu domyśla się, że Irene miała swój udział w całej tej sprawie. Wtedy kobieta namawia Zieglera, by ten umówił się z policjantką na spotkanie. Pauline zaś proponuje rejs po kanałach Kopenhagi i na wycieczkowcu oboje zostają zamordowani. Właśnie tak to widzisz, Simonie, prawda?

Simonsen potwierdził skinieniem głowy. Istotnie, jego zdaniem tak to mniej więcej musiało wyglądać. Dlatego też będzie trzeba przeanalizować billingi Zieglera i sprawdzić, czy kontaktował się z Gallagher. Nasuwało się tu jednak zasadnicze pytanie... Kto przy zdrowych zmysłach decyduje się zatuszować bądź co bądź niewielkie przewinienie, jakim jest napaść, zlecając podwójne zabójstwo, a tym samym pakując się bez wątpienia w poważne tarapaty? Nie miało to żadnego sensu i mogło przynieść jedynie rezultat przeciwny do zamierzonego.

– Motyw musiał być zupełnie inny... i jestem pewien, że to miało coś wspólnego z Bośnią. Tymczasem nie jestem w stanie dowiedzieć się absolutnie niczego o karierze zawodowej Gallagher. Nie mówiąc już o tym, co robiła w byłej Jugosławii – dodał.

– Miejmy zatem nadzieję, że pomoże nam twój tajemniczy gość – rzuciła Hrabianka z nutką optymizmu w głosie. – Gdzie zamierzasz go przyjąć?

Simonsen pomyślał, że najlepiej będzie, jak usiądą w przybudówce. Kiedy pracował z domu, często właśnie tam odbywał spotkania. Lubił to miejsce. Sam je nawet pomalował – poniekąd w ramach terapii po operacji serca, którą przeszedł kilka dobrych lat temu.

– Okej. W takim razie zaparzę wam świeżą kawę i herbatę i wszystko tam zaniosę. Ale błagam cię, nie zarwij z tej okazji nocy. W przeciwnym razie wyłączę twój budzik, żebyś jutro rano mógł się w końcu wyspać. To tak tylko dla twojej wiadomości... – Pocałowała go i weszła z powrotem do domu.

Szef Policyjnej Służby Wywiadowczej był w podobnym wieku co Simonsen. Miał mocną budowę ciała i pełne policzki; już na pierwszy rzut oka było widać, że lubi dobrze zjeść. Najbardziej jednak wyróżniał go niemalże zupełny brak mimiki. Zawsze chłodny i zdystansowany, z kamiennym wyrazem twarzy. Uśmiechał się z reguły tylko wtedy, gdy cieszył się z czyjegoś niepowodzenia. Na przestrzeni wielu lat spędzonych w policji Simonsenowi zdarzało się z nim współpracować; czasem nawet bardzo blisko, ale z reguły na odległość. Osobiście w zasadzie się nie znali, ale z biegiem czasu, w miarę jak obaj coraz bardziej zbliżali się do schyłku swojej kariery, wytworzyło się między nimi swoiste poczucie milczącej solidarności. Zupełnie jakby wierzyli, że trzymając się razem, zdołają się przeciwstawić tym wszystkim młodym i wprowadzanym przez nich nowym porządkom... chociaż jeszcze przez chwilę, zanim młodzież, co przecież nieuniknione, w końcu ich zastąpi.

Simonsen przywitał swojego gościa na tarasie, ściskając mu dłoń, która nawiasem mówiąc, okazała się miękka i wilgotna, co zupełnie nie pasowało do jej właściciela. Inspektor nie słyszał, żeby ktoś podjechał pod dom i pomyślał, że jego kolega musiał zaparkować kilka ulic dalej, co specjalnie go zresztą nie zdziwiło – nikt nie powinien wiedzieć, z kim się spotyka szef wywiadu. Przeszli razem do przybudówki, gdzie mężczyzna nalał sobie kawy i ostentacyjnie zapalił papierosa, nie spytawszy nawet gospodarza o pozwolenie. Simonsen przesunął w jego stronę swój własny talerzyk pod filiżankę, żeby ten mógł użyć go jako popielniczki. Następnie bez zbędnych wstępów przeszedł do konkretów. Opowiedział o swoich bolączkach związanych z Irene Gallagher, po czym zreferował, czego udało mu się dowiedzieć, jak również czego nadal nie wie. Szef Policyjnej Służby Wywiadowczej słuchał uważnie, nie przerywając. Siedział z przymkniętymi powiekami, zupełnie jakby pogrążony w półśnie. Simonsen wiedział jednak dobrze, że to tylko pozory. Gdy skończył mówić, tamten zagaił:

– Twierdzisz, że wysłano ją do Bośni w charakterze prokuratorki wojskowej... Powiedz mi coś więcej.

– Znasz ją?

– Nie, ale znałem bardzo dobrze jej ojca, Adama Egeskova. To był zaufany w sobie, arogancki dupek, ale zdolny i błyskotliwy jak mało kto. Przypuszczam, że jego nazwisko otworzyło przed córką wiele przydatnych w karierze drzwi...

– Co konkretnie masz na myśli?

Gość Simonsena pokręcił głową na znak, że wszystko w swoim czasie.

– Najpierw Bośnia, Simonie – zarządził władczym głosem.

Szef wydziału zabójstw poprawił się na krześle i starając się ukryć irytację, opowiedział o tym, jak prokuratorka Gallagher odwiedziła Bjørna Lauritzena ponownie w dziewięćdziesiątym piątym roku, po czym pułkownik w trybie pilnym został odesłany do kraju. Gdy skończył, jego gość spytał o kilka szczegółów, jednak na większość pytań Simonsen nie potrafił odpowiedzieć. Mężczyzna przez chwilę siedział w milczeniu i wyraźnie nad czymś rozmyślał, po czym oświadczył beznamiętnym głosem:

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc, sam jednak będę się trzymał w cieniu. Czasem rzucę ci jakąś wskazówkę, podpowiedź, coś w ten deseń... Ale nie oczekuj, że osobiście podejmę jakiegokolwiek bezpośrednie kroki. Tego zrobić nie mogę, bo nie mam w tej sprawie absolutnie żadnych kompetencji. A teraz wróćmy do twojego raportu dotyczącego wydarzeń w Bośni, bo to się w ogóle kupy nie trzyma. Byłem tam swego czasu i prokuratorzy wojskowi raczej tak nie działają. Powiedziałbym nawet, że wygląda to zupełnie inaczej, ale...

Zaczął coś mamrotać sam do siebie, z początku niepewnie, jakby z wahaniem... Jednocześnie żywo gestykulował swoimi pulchnymi dłońmi, zapatrzony w pustkę. Wydawało się, że w ogóle nie zauważa Simonsena.

– ...to znaczy, co do Amerykańców, tu nie mam żadnych wątpliwości. Nie mogło raczej chodzić o nikogo innego, ale z tym latem dziewięćdziesiątego piątego roku... tu mi coś nie pasuje... to było podczas operacji pokojowej UNPROFOR prowadzonej naturalnie przez ONZ, a Stany Zjednoczone wspierały podejmowane w ramach misji działania, jednak w niej nie uczestniczyły. Zatem nie ma możliwości, że pozwoliliby, żeby ktoś niebędący Amerykaninem... to w ogóle nie wchodzi w rachubę, absolutnie... Dopiero później, pod koniec dziewięćdziesiątego piątego roku i w dzie-

więćdziesiątym szóstym roku. I to było w związku z misjami sił NATO, IFOR, a później SFOR, ale nie w okresie, o którym mówisz... to najzwyczajniej w świecie wykluczone.

Nagle jego twarz momentalnie się rozjaśniła, po czym ponownie przybrała swoją standardową niezgłębioną minę. Zdecydowanym ruchem wyjął z kieszeni na piersi komórkę, zupełnie jakby już rozwikłał zagadkę, i zapytał:

– A próbowałeś się może dowiedzieć, gdzie Adam, to znaczy jej ojciec, był w chwili, gdy jego córka przyszła na świat? Chodzi mi o to, że dość wcześnie zaczął karierę, i nie ma nic dziwnego w tym, że... – Zawiesił głos.

Simonsen natomiast pokręcił przecząco głową, nie do końca pojmując, do czego zmierza jego gość. Niestety zupełnie nie przyszło mu to do głowy. Szef wywiadu sprawdził coś w swoim telefonie, po czym znowu zaczął myśleć na głos:

– Na pewno znajdę to na oficjalnej stronie Ministerstwa Spraw Zagranicznych. To znaczy, tacy jak on lubią chwalić się swoimi... albo... czekaj, czekaj... No i proszę, mamy to. Ha! Wiedziałem: od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego do sześćdziesiątego drugiego roku oddelegowany do Konsulatu Generalnego w Nowym Jorku. Muszę tylko znaleźć bezpieczną linię i zestawić to z jej paszportem lub nieważnym już prawem jazdy, jeśli takie miała. Przecież wojsko nie ma prawa zastrzegać archiwalnych dokumentów policyjnych. W najgorszym wypadku zawsze możesz sprawdzić w księdze parafialnej w jej gminie zamieszkania. – Jego grube palce, które ledwie mieściły się na dotykowej klawiaturze, tańczyły teraz po ekranie komórki z perfekcją godną prawdziwego wirtuoza. Po chwili podniósł wzrok i odwrócił telefon w stronę Simonsena. – Miejsce urodzenia: Nowy Jork. W osiemdziesiątym ósmym wyrabiała sobie nowy paszport.

– Co oznacza, że jest obywatelką USA?

– Tak, właśnie tak. Wszystkie dzieci, które urodzą się na amerykańskiej ziemi, automatycznie otrzymują obywatelstwo, a sami Amerykańcy mają zupełnie gdzieś, czy takie osoby są przy okazji również obywatelami innych krajów, czy też nie. Z ich punktu widzenia po prostu są Amerykanami, no chyba że oficjalnie zrzekną się obywatelstwa za zgodą amerykań-

skich władz. Jest wprawdzie kilka odstępstw, ale dotyczą one dzieci wysoko postawionych dyplomatów, a ojciec Gallagher jeszcze nim wtedy nie był. Odbynał raczej jedynie staż w ramach wolontariatu.

– Czyli Irene Gallagher pracowała dla Amerykańców w charakterze... oficera wywiadu?

– Taa, można to tak ująć, chociaż nie ma pewnie większego znaczenia, jak to nazwiesz. Ale... tak. Myślę, że pracowała dla naszego potężnego sojusznika, przy czym bez wątpienia również dla duńskiego wywiadu. Z praktycznego punktu widzenia jedno nie przeczy drugiemu. Z jednej strony Wojskowa Służba Wywiadowcza, to jest FE, a z drugiej amerykańska Agencja Wywiadowcza Departamentu Obrony. I mamy świetnie do siebie pasujący komplet. Wszak zawsze blisko współpracowaliśmy z Amerykanami; między innymi dlatego, że interesuje ich, jakie statki przepływają przez nasze cieśniny. I dotyczy to zarówno jednostek nawodnych, jak i – a może nawet szczególnie – okrętów podwodnych. I to rzuca na całą sprawę kompletnie inne światło... bo jeśli pójdziemy tym tropem, logiczne staje się, że chciała uzupełnić zdobyte w Danii wykształcenie prawnicze studiami magisterskimi na amerykańskiej uczelni, i to pewnie nie byle jakiej, tylko jednej z najbardziej prestiżowych; na przykład Harvard albo Yale, może Princeton lub Chicago, ale do tego jeszcze wrócimy. Najpierw są dwie rzeczy, które musisz zrozumieć i przyjąć do wiadomości.

Po pierwsze, Simonsen musiał się pogodzić z faktem, że nie dostanie się do archiwów Wojskowej Służby Wywiadowczej, żeby wydobyć z nich dane Gallagher. Jakkolwiek by próbował, i tak mu się to nie uda. Jedyne, co by w ten sposób osiągnął, to cała masa niepotrzebnego szumu, którego jego gość, nawiasem mówiąc, również bardzo chciałby uniknąć. Poza tym szef wywiadu zaznaczył, że jeśli jego gospodarz zamierza snuć jakieś idiotyczne teorie spiskowe, choćby że za tymi jego zabójstwami na wycieczkowcu stoi amerykański albo też duński wywiad, to on z miejsca mówi: „Nie, dziękuję”, bo to oznacza tylko tyle, że trwoni swój cenny czas.

Zamilkł na chwilę, a zaraz potem mówił dalej:

– Niewykluczone, że służby ją chronią... Mogą nawet działać przeciwko tobie, jeśli mają wystarczający powód. Wywiad jednak nigdy nie po-

sunąby się tak daleko. Na pewno nie są zainteresowani mordowaniem duńskich obywateli, tak to nie działa. A jeżeli nawet mieliby motyw, na pewno nie zrobiliby tego tak nieumiejętnie. Więc jeśli Irene Gallagher jest zamieszana w tę sprawę, to działała na własną rękę i w swoim własnym interesie.

Simonsen zgodził się z tokiem rozumowania swojego gościa. Brzmiało to rozsądnie, a przede wszystkim widać było, że facet wie, o czym mówi.

– Ale co teraz? – spytał na zakończenie. – Wspominałeś o jakichś wskazówkach czy też podpowiedziach... – doprecyzował.

– Które już ode mnie dostałeś, ale okej, znam pewną kobietę, która... specjalizuje się w wyszukiwaniu informacji o ludziach w USA. Ma odpowiednie uprawnienia i wie, w co nie należy wtykać nosa i kiedy trzeba odpuścić. Porozmawiam z nią jutro, spytam, czy jest skłonna nam pomóc, a jeśli się zgodzi, skontaktuję was ze sobą. Przy czym moja znajoma dość wysoko się ceni. Szacuję, że weźmie za swoje usługi jakieś dwadzieścia tysięcy koron, i nie dostaniesz na to rachunku. Dodatkowo nie masz żadnej gwarancji, że zdobędzie odpowiednie informacje. Nie wiadomo też, ile zdoła się dowiedzieć. Czasem jest to niewiele, a czasem udaje jej się ustalić więcej szczegółów. Tak czy inaczej, cena się nie zmienia. Brzmi dobrze?

Simonsen skinął głową, a szef wywiadu spojrział na zegarek, co wyraźnie sugerowało, że czas na niego. Gospodarz musiał się jednak dowiedzieć czegoś jeszcze...

– Powiedz, czemu właściwie mi pomagasz. Odezwałem się do ciebie poniekąd w akcie desperacji i zasadniczo w ogóle nie wierzyłem w to, że będziesz chciał o tym rozmawiać.

Mężczyzna odchrząknął bezwiednie.

– Doszły mnie słuchy, że traktujesz naszych weteranów z godnym podziwu szacunkiem.

Simonsen spojrział na niego z niekrytym zdumieniem.

– I to jest powód? Bo zachowuję się, jak należy?

Początkowo nie otrzymał odpowiedzi. Jego gość zamachał jedynie swoją pulchną dłonią, zupełnie jakby odganiał natrętnego komara. Nagle

jednak jego oczy pociemniały z nienawiści i wyrzucił z siebie niemal jednym tchem:

– Gedsted, Fårdrup, Spjald, Frøbjerg, Sprove, Stillebæk i inne pipidówki – większość z nas nawet nie wie, gdzie to jest. To właśnie stamtąd pochodzą... Wszyscy ci, którzy w dzieciństwie słabo radzili sobie z nauką, ci, którzy w erze globalizacji nie są w stanie znaleźć fizycznej pracy. To właśnie ich wysyłamy, żeby wypełniali tak zwane międzynarodowe zobowiązania Danii. Zapewniam cię, że na misje wojskowe nie wysyłają bynajmniej młodych Duńczyków mówiących płynnie po angielsku i popijających cortado w ogródkach wielkomiejskich kafejek. Ci akurat są na tyle łośbcy, że wiedzą, jak się od tego wywinąć. Tyle że kiedy taki dzielny żołnierz z przedmieścia wróci już do kraju, gdzie załamie się nerwowo, bo to, co przeszedł, okaleczyło go psychicznie, co wtedy z narodowymi zobowiązaniami naszego kraju? Taa... wówczas jest z nimi niestety trochę gorzej. Bo to przecież kosztuje... Ale witamy ich wszystkich z otwartymi ramionami i pozwalamy im wrócić do zapadłych dziur, w których mieszkali i w których teraz będą sobie cichutko płakać w poduszkę. Obyśmy tylko sami tego nie słyszeli. Sztab generalny, biurokraci, politycy, wszyscy razem do kupy: czerwoni, zieloni, żółci i niebiescy... – Szef wywiadu wstał z krzesła. – ...banda patafianów, gdziekolwiek spojrzeć – dodał na zakończenie ostrym głosem.

Rozdział 30

Piątek, 17 września 2010 roku, las Lorup w Slagelse

Tego przedpołudnia, gdy Pedersen udał się ponownie do lasu Lorup, w którym mieszkał Ole Nysted, słońce właśnie zaczynało się przebijać przez chmury po porannej mżawce, a knieje tętniły życiem: wszelkie ptactwo, zające, myszy i insekty... Po drodze udało mu się nawet dostrzec dwa daniela. Pasły się, strzygąc bojaźliwie uszami, skryte częściowo za rozległym jeżynowym zagajnikiem, przez który biegła ścieżynka z wioski Kirkerup, gdy już minęło się strumyk. Nieczęsto je widywał, więc przycupnął obok i przez dłuższą chwilę przyglądał się tym majestatycznym zwierzętom, aż spłoszył je jakiś szelest i w mig zniknęły w zaroślach, sadząc długie, płynne susy. Gdy komisarz ponownie ruszył w drogę, było mu jakos lżej na sercu. Ponure myśli, które mu dotąd towarzyszyły, z miejsca się rozwiały, choć jakkolwiek by na to patrzeć, trochę się obawiał tego dnia. Dostał przecież z wydziału zabójstw milczące przyzwolenie na to, by znów napić się z weteranem, jeśli tylko w ten sposób zdoła go skłonić do mówienia. Jemu zaś nieszczególnie uśmiechał się kolejny kac gigant, zaledwie kilka dni po tym, jak nareszcie doszedł do siebie po poprzednim razie. Na wszelki wypadek wolał się jednak na to przygotować. Otóż zapowiedział w domu, że może się zdarzyć, że wróci dopiero następnego dnia. Więc, zakładając najgorszy wariant, przenocuje najwyżej w hotelu na koszt policji. Nie próbował tego żonie w żaden sposób wyjaśniać, a ona nie spytała. Przyjęła tę informację do wiadomości i jakby nigdy nic kontynuowała swoją poranną rutynę. Ostatnimi czasy tak bardzo tęsknił za Pauline Berg... Gdyby tylko mógł cofnąć się w czasie o cztery lata i naprawić swój błąd... Wszystko potoczyłoby się inaczej. Wtedy jednak zabrakło mu odwagi.

Ole Nysted siedział na tej samej brudnej sofie, na której Pedersen zostawił go ostatnio, wychodząc. Nie wyglądał zbyt dobrze. Był blady i wpatrywał się w pustkę błyszczącymi, szeroko otwartymi oczami, jak człowiek, który za dużo pije, a za mało śpi. Na stole przed nim stały dwie butelki mocnego piwa Bjørnebryg, jedna pusta, a druga jeszcze w połowie pełna. Obok spoczywała prawa noga weterana, na której miał opatrunek domowej roboty – owinał stopę szczelnie gazetami, a następnie zabezpieczył je jasnoróżową reklamówką. Pedersen, który najpierw uprzejmie zapukał do drzwi, po czym z braku odpowiedzi pozwolił sobie wejść do środka, przywitał się ze świadkiem, gdy ten podniósł wzrok.

– To dziś już mamy piątek? Byłem przekonany, że to dopiero jutro... W każdym razie mógł pan sobie darować tę wyprawę. Lepiej, żebym trzymał głowę na kłódkę, wszystkim wyjdzie to na zdrowie. Nie ma potrzeby grzebać w starych sprawach – powiedział Nysted.

Komisarz zignorował tę uwagę i zapytał o stopę, bo tak było najłatwiej.

– Co się stało? Przewrócił się pan?

– Rąbałem drewno na opał. Ale to nic takiego, za kilka tygodni dojdę do siebie.

– A co z wodą i jedzeniem, mogę panu jakoś pomóc?

Weteran pokręcił głową. Zapewnił, że ma wszystko, czego potrzebuje, niemniej miło, że pyta.

– Nie mam ochoty na towarzystwo. Znowu każe mi pan wracać do rzeczy, o których wolałbym zapomnieć... Wyciąga pan ze mnie wszystko, co chciałbym raczej zepchnąć gdzieś w najdalsze zakątki umysłu i zupełnie wyrzucić z pamięci – dodał po chwili.

Pedersen zajął miejsce na drugim końcu sofy. Czuł się trochę jak nieproszony gość... i wtedy znowu pomyślał o Pauline Berg. To pomogło.

– Mam tylko parę dodatkowych pytań... zaraz potem sobie pójdę – rzucił pojednawczo.

To było wierutne kłamstwo. Otóż miał całe mnóstwo pytań, i to porządnie usystematyzowanych, w przeciwieństwie do zeszłego razu.

Nysted pociągnął łyk piwa, westchnął ciężko, po czym wskazując na stojącą w drugim kącie pokoju szafę, powiedział:

– Tam... Prawe drzwiczki. Podaj mi szklankę i butelkę whisky, a jeśli faktycznie chcesz się tu na coś przydać, nanieś mi najpierw naręczę drewna, jest ułożone w stertę za domem. Gdybyś wolał nie ubłócić sobie butów, możesz pożyczyć moje drewniaki, znajdziesz je przy wejściu. Później masz piętnaście minut, nie dłużej. – Zwyczajnie darował sobie mówienie przez „pan”.

Pedersen posłusznie przyniósł drewno na opał. Drewniaki sobie odpuścił, odrobina błota na butach jakoś go nie przeraziła. Następnie podszedł do stojącego za pomarańczową zasłonką kredensu i odsunął jedną jej część. Drzwiczki do kredensu gospodarz najwyraźniej zrobił sam: wywiercił w każdym z frontów około dziesięciocentymetrowy otwór, uchwyt stanowiła zaś zamocowana od wewnątrz okrągła metalowa rurka – było to najwidoczniej tymczasowe rozwiązanie. Policjant pociągnął za uchwyt, niestety bez skutku.

– Są zamknięte.

Ole Nysted spojrział na niego, nieco zbity z tropu, po czym wskazał na przeciwny róg.

– Tam... chodziło mi o lewą stronę, przepraszam.

Tym razem się udało. Komisarz wyjął butelkę i szkło, a potem zaciągnął kotarę. Sam tym razem grzecznie, acz zdecydowanie odmówił trunku, co gospodarz na szczęście przyjął bez słowa komentarza. Mężczyzna nalał sobie pełną szklankę whisky i pociągnął solidny łyk.

– No, pytaj... Widzę, że inaczej nie zostawisz mnie w spokoju... – wymamrotał.

– Młoda dziewczyna, którą widział pan na dziedzińcu, ta, która została zgwałcona...

– To w zasadzie była jeszcze dziewczynka, ale o co chodzi? – przerwał mu Nysted.

– W poniedziałek twierdził pan, że ta mała mówiła po duńsku. Rozmawialiście ze sobą w tym języku?

– W ogóle z nią nie gadałem. Powiedziała do mnie raptem kilka słów, ale po serbsku.

– W takim razie czemu przypuszcza pan, że była Dunką?

– Nie przypuszczam, a wiem.

– Okej, okej... Ale skąd ta pewność?

– Bo rozmawiała po duńsku z Bjørnem, kiedy już wyszedł na podwórko.

– Z Bjørnem Lauritzenem?

– Tak, z Lauritzenem, a z kim innym, do kurwy nędzy?

Ciałem Nysteda zaczęły nagle ni z tego, ni z owego wstrząsać niekontrolowane dreszcze, zupełnie jak w gorączce. Pedersen podał mu szklankę. Tamten chwycił ją obiema dłońmi, po czym jednym haustem wychylił whisky do dna. Już po chwili przestał się trząść.

– Cały świat ma mnie w dupie, więc i ja mam w dupie świat – powiedział.

W jego głosie nie słychać było nawet żalu... Ot po prostu obiektywne stwierdzenie. „W pewnym sensie ma rację”, pomyślał Pedersen.

– Jest dobrze tak, jak jest. Niczego sobie nie wyrzucam, ale te krzyki, ten skowyt, nieustannie go słyszę... nie radzę sobie z tym. Rozumiesz, że sobie nie radzę?!

– Czy to dziewczyna krzyczała? To jej głos słyszy pan w głowie?

Zdumiony weteran pokręcił głową. Ta mała nie krzyczała w ogóle. Po co miałyby to robić? Przecież było już po wszystkim... Ona zwyczajnie tam stała, to chyba nie tak trudno zrozumieć. Nagle niespodziewanie poderwał się z miejsca i rzucił się na policjanta. Złapał go za ramię i z całej siły wbił w nie zęby. Pedersen poczuł piekielny ból. Po części z rozmysłem, a po części w przyływie adrenaliny wyrwał się napastnikowi i skoczył na równe nogi. Nysted rozbił o blat stołu butelkę po piwie, po czym z błyskiem szaleństwa w oku zamachnął się na komisarza tą drugą flaszką, w której nadal było jeszcze trochę trunku. Niemalże go trafił, lecz Arne w ostatniej chwili cofnął się o kolejny krok.

– Wynoś się stąd, sukinsynu! Wracaj do piekła, gdzie twoje miejsce! Wszyscy jesteście tacy sami... – wrzeszczał stary żołnierz przeraźliwie.

Pedersen czym prędzej oddalił się bez słowa sprzeciwu. Cóż innego mu pozostało...

„Chyba nigdy wcześniej żadne przesłuchanie nie poszło mi tak fatalnie”, pomyślał. A do tego przydałoby się jeszcze zajechać na oddział ratunkowy i zaszczerpić się na tężec. Ruszył przed siebie, przeklinając pod nosem i trzymając się za bolące ramię.

Rozdział 31

Sobota, 18 września 2010 roku, Bispebjerg

Pogrzeb Pauline Berg miał się odbyć w kościele Grundtviga w kopenhaskiej dzielnicy Bispebjerg, nieopodal miejsca, gdzie przyszła na świat, dorastała i jako dziecko chodziła do szkoły. Od masakry na łodzi minął już prawie miesiąc... Miesiąc, podczas którego rodziny czterech ofiar, w tym bliscy Pauline, z rosnącą niecierpliwością domagali się od policji wydania zwłok swoich krewnych. Chcieli nareszcie mieć to za sobą... Ich prośby przekazywano komendantce, która odczekała i zgodziła się informować wszem wobec, że to zwlekanie to jej decyzja. Tak naprawdę jednak stał za tym Simonsen. Szef wydziału zabójstw uważał zasadniczo, że ciała ofiar morderstwa nie należy się pozbywać z prosektorium zbyt szybko. Nigdy bowiem nie da się przewidzieć, jak rozwinie się śledztwo. Raz w karierze zdarzyło mu się nawet dokonać ekshumacji z uwagi na konieczność wykonania kolejnych badań. Zdecydowanie nie chciał tego ponownie przeżywać, zwłaszcza że tym razem chodziło o Pauline Berg. Przy czym w tym konkretnym wypadku scenariusz z wydobywaniem zwłok wydawał się raczej mało prawdopodobny. Tak więc po upływie trzech tygodni komendantka, nie mając odwagi zwrócić się bezpośrednio do Simonsena, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa odprawiłby ją z kwitkiem, zręczając, że miesza się w nie swoje sprawy, dyskretnie zasugerowała Hrabiance, że to już chyba najwyższy czas... Dwa dni później ciała zostały wydane rodzinom.

Simonsenowie, Pedersen i Anna Mia, która właśnie wróciła z urlopu, jechali razem do kościoła samochodem Hrabianki. Córka Simona i Arne siedzieli z tyłu, a Hrabianka prowadziła.

Miała wygłosić okolicznościowe przemówienie, więc założyła mundur, co dla wszystkich oprócz jej męża było nie lada zaskoczeniem. Tylko Simonsen widział ją wcześniej w takim wydaniu.

Jako że mieli jeszcze trochę czasu, Pedersen zrelacjonował swojemu szefowi przebieg niefortunnego przesłuchania, które odbyło się dzień wcześniej.

Simonsen nie wydawał się szczególnie zainteresowany. Można było odnieść wrażenie, że słucha tylko jednym uchem... Po chwili jednak, gdy przejechali już kawałek drogi w milczeniu, ni stąd, ni zowąd oznajmił, że na kilka tygodni wypożyczy Anicę Buch, by ta zbadała sprawę dziewczyny z Bośni. Jeśli ta mała faktycznie mówiła po duńsku, powinno udać się ją jakoś namierzyć.

– Coś jeszcze, Arne? – spytał inspektor, nie odwracając nawet głowy.

To było w zasadzie wszystko... poza jednym, choć może mało istotnym szczegółem...

– Zauważyłem, że część produktów w szafie Nysteda kupiona została w sieci Dagligkæden, to znaczy, w jednym z tych małych sklepików należących do męża Irene Gallagher. A takie delikatesy znajdują się niecałe cztery kilometry od jego baraku. Może Gallagher mu pomaga? – zastanawiał się głośno Pedersen.

Z odpowiedzią pospieszyła Anna Mia:

– I może pomaga też Lauritzenowi. Jeśli tak, wiemy... to znaczy wy wiecie przynajmniej, gdzie szukać, bo tych marketów nie jest znowu aż tak dużo. Jak myślisz, tato?

Simonsen nie zdążył odpowiedzieć, bo Hrabianka rzuciła ostro:

– Nie chcę słyszeć ani słowa więcej na temat śledztwa, dopóki nie wrócimy do komendy! Przynajmniej nie w moim samochodzie.

Żadne z pozostałej trójki nie miało odwagi się jej sprzeciwić. Poniekąd miała rację, choć jakkolwiek by na to patrzeć, miło było pogawędzić o czymś innym niż czekająca ich uroczystość pogrzebowa.

Kościół pękał w szwach. Wielu funkcjonariuszy przybyło tu dziś, by pożegnać Pauline. Jej rodzina i znajomi również stawili się licznie, choć

w porównaniu do mundurowych stanowili zdecydowaną mniejszość. Był to budynek okazałych rozmiarów. Mimo to ludzie tłoczyli się w kruchcie, a nawet na schodach przy wejściu. Simonsen i jego żona mieli miejsca siedzące, lecz Pedersen i Anna Mia musieli stać. Komisarz wiedział jednak, że musi się jak najszybciej oddalić od córki szefa i wmieścić w tłum, gdzieś pomiędzy osoby, których nie zna. Bał się, że zacznie płakać... Nie tylko dyskretnie otrze spływającą mu po policzku łzę. To byłoby przecież całkiem na miejscu. Czuł raczej, że może się zupełnie rozkleić... A gdy już zacznie płakać, nie zdoła przestać. Zacisnął zęby i pomyślał, że za godzinę będzie już po wszystkim.

Tak więc przez większą część ceremonii Pedersen stał z mocno zaciśniętymi szczękami, starając się być myślami zupełnie gdzie indziej, co wychodziło mu raz lepiej, a raz gorzej. Zaśpiewał tylko jeden znany mu z dzieciństwa psalm. Z kolei podczas przemowy Hrabianki, której słowa rozbrzmiewały w kruchcie upiornym echem, wyliczał w pamięci wszystko, co tylko przyszło mu do głowy: kolejne nazwy miesięcy, rośliny, duńskie miasta na Fionii i na Bornholmie, niemieckie przymiotniki wymagające użycia biernika. A może to były przysłowki? Kto by spamiętał takie bzdury; później dla odmiany te w celowniku, których nauczył się wiele lat temu, lecz nigdy nie miał okazji użyć w praktyce, jako że rzadko mówił w tym języku. Gdy wreszcie przy dźwiękach marszu żałobnego przeszli obok niego z trumną, pochylił głowę, kierując wzrok w zupełnie inną stronę.

Kościół Grundtviga stopniowo pustoszał, w miarę jak wszyscy skierowali się za sunącym powoli karawanem do oddalonej o kilkaset metrów kaplicy na cmentarzu Bispebjerg Kirkegård, gdzie ciało aspirantki Berg miało zostać skremowane. Pedersen dołączył do kolumny żałobników jako jeden z ostatnich. Przed kaplicą, zachowując jednak odpowiednią odległość, na krótką chwilę złożył ręce, żeby pożegnać się z Pauline, choć dobiegający zewsząd szmer ściszonych rozmów niepomrotnie go irytował. Tytu funkcjonariuszy przyszło tu dziś, by towarzyszyć jej w ostatniej podróży... I ta nazwa: Kapela Tańca... Stwierdził, że wyjątkowo pasuje... „Pauline tak bardzo lubiła tańczyć”, rozmyślał. Raptem poczuł, jak

wzbiera w nim gniew, co, o dziwo, przyjął z wyraźną ulgą. Wolał już to niż bezsilność i żal. Złość łatwiej jest kontrolować.

W pewnej chwili ktoś położył mu dłoń na ramieniu, więc się odwrócił. Stał za nim Arnold.

– Złapiemy go, tę sukę Gallagher też. Tylko poczekaj... Nie mam jeszcze pojęcia jak, ale dobierzemy im się do tyłków, choćby nie wiem co! – wyrzucił z siebie jednym tchem Pedersen, kipiąc z wściekłości.

Momentalnie poczuł na sobie zdumione spojrzenia tłoczących się wokół ludzi. Najwyraźniej powiedział to głośniej, niż zamierzał.

– Ciszej... Przecież tu aż się roi od dziennikarzy! Chociaż chyba już za późno... – zganiał go Jutlandczyk.

Uczestnicy ceremonii pogrzebowej zaczęli stopniowo opuszczać cmentarz. Bliscy Pauline stali przy bramie i żegnali przybyłych uściskiem dłoni. Żałobnicy składali im kondolencje, padało też wiele krzepiących słów... To wszystko zaś wymagało czasu, więc kolejka bardzo mozolnie posuwała się do przodu. Pedersen stał, zatopiony w ponurych myślach, czekając, aż przyjdzie jego kolej.

Nagle spojrzął bezwiednie przed siebie i... doznał autentycznego szoku. To było niczym grom z jasnego nieba! Nogi zaczęły mu drżeć tak mocno, że ledwie zdołał na nich ustać. Zupełnie osłupiały wycofał się rakiem i udało mu się zająć miejsce na samym końcu ogonka, dzięki czemu kupił sobie odrobinę czasu. Ponownie zerknął przed siebie i znów ją zobaczył! Pauline Berg stała obok swoich rodziców i żegnała uściskiem dłoni kolejnych żałobników. W jej oczach malowały się powaga i cierpienie. Zrazem jednak była tak obłędnie piękna, tak pełna życia... zupełnie jak wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy.

Bez względu na to, jak bardzo mogło się to wydać karygodne i absurdalne, nie mógł się oprzeć jednej myśli:

To zupełnie jakby dostać od życia drugą szansę, podarek... sposobność naprawienia popełnionych krzywd i błędów. Zostanie na stypie, choć wcale tego nie planował. Trudno. Pozostali najwyżej wrócą do komendy bez niego.

Podszedł do bliskich zmarłej jako ostatni. Najpierw podał rękę jej ojcu, mówiąc, jak niezmiernie mu przykro z powodu ich straty, a później ten sam banalny frazes powtórzył, żegnając się z matką. Na koniec przyszła kolej na nią. Uścisnęła jego dłoń niebywale mocno jak na kogoś, kto właśnie pożegnał w ten sam sposób dobre kilkaset osób. Następnie drugą dłonią przykryła jego rękę i na chwilę ją przytrzymała. Jej dotyk był miękki i łagodny, lecz zarazem zdecydowany.

– To ty jesteś Arne Pedersen?

Potwierdził skinieniem głowy, zdając sobie sprawę, że głos również należał do Pauline.

– Moja starsza siostra dużo o tobie opowiadała. Byłeś dla niej bardzo ważny... – powiedziała.

Rozdział 32

Poniedziałek, 20 września 2010 roku, Næstved

Dom, pod którym się zatrzymali, znajdował się w północnej części Næstved, nieopodal centrum miasta, a zarazem przy samym parku Rådmandshaven. Był to obszar chroniony, który przecinała rzeka Suså. Kiedyś mieściła się tu szkoła wiejska, później zaś budynek został całkowicie odrestaurowany. Simonsen z Pedersenem wysiedli z auta, a potem przez dłuższą chwilę stali i podziwiali efektowną budowlę. Dwupiętrowa nieruchomość posiadała przyczółek i zachwycała klasycznymi oknami drewnianymi Dannebrog. Pokryty czerwoną dachówką dach wyglądał na świeżo położony, a fasadę zdobiły biegnące po murze między przeszkleńiami pędy zadbanych czerwonych i żółtych róż pnących. Dom był po prostu piękny.

Drzwi otworzyła im sama Irene Gallagher, która następnie z niewymuszonym uśmiechem zaprosiła ich do środka.

– Konrad Simonsen i Arne Pedersen, szef wydziału zabójstw i jego zastępca we własnej osobie. To naprawdę wy. Wejdźcie – powiedziała na powitanie.

Mówiła powoli i powściągliwie, jakby ważyła każde słowo. Funkcjonariusze podążyli za gospodynią, która poprowadziła ich korytarzem do biura. Gdy już tam dotarli, sama usiadła za biurkiem z regulowanym blatem, gościom zaś wskazała dłonią krzesła po drugiej stronie. Zanim jeszcze zdążyli porządnie się rozsiąść, otworzyły się drzwi i do środka wsunął głowę jakiś mężczyzna. Spytał Gallagher, jak długo według niej potrwa to spotkanie i czy będzie gotowa za godzinę. Miał około czterdziestu pięciu lat i mówił łamaną duńszczyzną. Odpowiedź nie padła od razu.

– Napijcie się panowie czegoś? Herbaty, kawy, czegoś zimnego?

Funkcjonariusze pokręcili głowami, niczego nie potrzebowali.

– Myślicie, że wyrobimy się w godzinę? Mamy coś do załatwienia i bardzo nie chcielibyśmy tego przekładać.

Pedersen potwierdził, że godzina jak najbardziej wystarczy, co Gallagher powtórzyła następnie zupełnie niepotrzebnie swojemu mężowi. Simonsen pomyślał, że mogli się tak wcześniej umówić; tak to mianowicie wyglądało. Ale swoją drogą nie bardzo wiedział, co mogłoby nimi kierować. Wyjął z kieszeni dyktafon, włączył go i postawił na biurku, po czym spojrzął na swojego towarzysza, dając mu tym samym do zrozumienia, że może zaczynać.

– Sądząc po stojącej na trawniku tabliczce, chcecie państwo sprzedać dom, prawda? Czy mogłaby nam pani zdradzić, dokąd zamierzacie się przeprowadzić? – spytał Pedersen.

Gallagher nie odpowiedziała. Po chwili beznamiętnie sięgnęła po stojący przed sobą dyktafon Simonsena, wyłączyła go i powiedziała:

– Niezmiernie mi przykro, ale darujmy sobie to nagrywanie. Zbyt wiele razy w życiu doświadczyłam już podobnych manipulacji, choć przyznam, że nigdy ze strony policji. Najlepiej niech sobie tu leży koło mnie, żebym była pewna, że nie włączycie go panowie znowu. – Zamilkła, by zaraz ponownie przeprosić, po czym udzieliła odpowiedzi: – Wystawiliśmy na sprzedaż zarówno ten dom, jak i oba swoje domki letniskowe, bo zamierzamy na stałe zamieszkać w Nowej Zelandii, gdzie mąż ma rodzinę. On z tego samego powodu sprzedaje swoje markety i nawet mamy już potencjalnego nabywcę. Jeśli chcą panowie wiedzieć na ten temat coś jeszcze... proszę śmiało pytać. Przy czym szczegóły w tym zakresie zna raczej mój mąż. Mam go poprosić?

Simonsen zaprzeczył ruchem głowy.

– Gdzie pani była w niedzielę dwudziestego drugiego sierpnia, rano i przed południem? – spytał bez zbędnych wstępów.

– Byłam w domu. I uprzedzając kolejne pytanie: tak, mój mąż może to potwierdzić. Późno wstaliśmy z łóżka, a potem pracowałam w ogrodzie. Następnie zjedliśmy razem lunch; mąż przygotował pasztet z boczkiem na

ciepło, węgorka, jajecznicy i pulpeciki cielęce – często sobie tak w niedzielę dogadzamy, kiedy tylko jest na to czas.

– A czy ktoś może poświadczyć, że faktycznie tu państwo byli?

– Niestety nie. Chociaż może i tak... Pamiętam, że zadzwoniłam z komórki do siostry, która spędzała akurat weekend w Berlinie, tyle że ona nie odebrała. Ale pewnie możecie to sprawdzić. Nie mam nic przeciwko, żeby policja przejrzała moje billingi.

– Niestety w ten sposób upewnimy się jedynie co do tego, że był tu pani telefon. Co nie musi się tyczyć pani.

Odrzuciła dłonie wnętrzem do góry i uniosła ręce w geście udawanej bezradności.

– Wszystko się zgadza, ale tylko tak mogę panom pomóc.

– Skoro mówimy o pani siostrze... – Teraz pałeczkę przejął Pedersen. – Jeździ białą corsą, prawda? Pożycza pani od niej czasem auto? – chciał wiedzieć.

Kobieta zaprzeczyła. Nie przypominała sobie raczej, żeby coś takiego kiedykolwiek się wydarzyło... No może raz czy dwa...

– Ona jednak utrzymuje, że miała pani jej wóz przez weekend, to jest od piątku dwudziestego do poniedziałku dwudziestego trzeciego sierpnia. Jak to pani wyjaśni?

Było to naturalnie wierutne kłamstwo. Ella von Eggert nigdy nic takiego nie powiedziała.

Irene Gallagher wyraźnie się zdumiała. Zmarszczyła czoło i zacisnęła powieki. Simonsen musiał przyznać, że zagrała nadzwyczaj przekonująco.

– Moja siostra się myli. Dlaczego miałabym pożyczać jej samochód, skoro mam własny? Który zresztą wolę zdecydowanie bardziej niż opła corsę... – odparła po chwili, acz cicho, zupełnie jakby sama poczuła, że to nie jest zbyt wyszukany argument.

Pedersen parsknął nieco teatralnym, ironicznym śmiechem, pokręcił głową i powiedział:

– Wyobrażałem sobie, że będzie pani bardziej... hmm... jak by to powiedzieć?... Przekonująca? To znaczy, proszę wybaczyć, ale zważając na

pani doprawdy imponujące wykształcenie, pozycję społeczną i fakt, że pani ojciec był szanowanym dyplomata, naprawdę muszę powiedzieć, że mocno się na pani zawiodłem.

Wszyscy troje dobrze wiedzieli, że to prowokacja... Niemniej jednak Simonsen pomyślał, że jego kolega najwyraźniej stracił wyczucie – jego prowokacyjny komentarz można było odebrać jako sygnał totalnego braku ogłady, a nie wyrafinowaną taktykę przesłuchania. Obrzucił Pedersena zdziwionym spojrzeniem. Może faktycznie Arne zbyt emocjonalnie podchodził do tej sprawy. Ku zdumieniu inspektora Irene odparła jednak z serdecznym uśmiechem:

– Przykro mi, jeśli faktycznie tak jest. To pewnie dlatego, że trochę się jednak denerwuję. W końcu niecodziennie przesłuchuje mnie policja...

Tak naprawdę nie denerwowała się ani odrobinę – o czym doskonale wiedzieli i ona sama, i jej goście.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że powiedział pan tak, żeby wytrącić mnie z równowagi. Mam też świadomość, że po prostu wykonuje pan swoją pracę – dodała po chwili, co wcale nie zaskoczyło policjantów, którzy zdążyli ją już przejrzeć na wylot.

Simonsen położył przed prokuratorką fotografię.

– Proszę. To pani zdjęcie zrobione w niedzielę dwudziestego drugiego sierpnia o godzinie dziewiątej trzydzieści sześć rano na moście Christiansbro, a dokładnie pod Overgaden oven Vandet na wysokości Muzeum Marynarki Wojennej. Jedzie pani w kierunku południowo-zachodnim, w stronę ulicy Torvegade, gdzie można następnie odbić albo na wyspę Amager, albo na Kopenhagę. Jak widać, prowadzi pani corsę swojej siostry. Jak nam to pani wyjaśni?

Chwyciła fotografię i przez dłuższą chwilę uważnie się jej przyglądała. Zdjęcie było mocno powiększone i przez to bardzo niewyraźne. Przyjrzawszy się z bliska swojej podobiznie, Irene westchnęła z ulgą, co nie uszło uwadze funkcjonariuszy.

– Powiem tylko tyle, że to auto zaledwie przypomina wóz mojej siostry, a osoba za kierownicą może i odrobinę wygląda jak ja, sądząc po włosach

i kształcie nosa, ale jako że byłam wtedy w Næstved, tę możliwość można z góry wykluczyć – oznajmiła.

I z tym obaj musieli się zgodzić. Zdjęcie było tak ziarniste, że faktycznie nie sposób było nic na jego podstawie udowodnić. Prokuratorka przesunęła fotografię z powrotem w stronę Simonsena.

– Mówi pani coś może nazwisko Lauritzen? – Pedersen zmienił temat.

Skinęła głową, żeby potwierdzić, że tak, zna tego człowieka.

– Spotkała go pani w dziewięćdziesiątym drugim roku podczas jego pierwszej misji w Bośni? I potem jeszcze raz, w dziewięćdziesiątym piątym, kiedy wysłano go tam po raz drugi? Czy tak?

Długo siedziała w milczeniu, lecz w końcu odparła:

– Bardzo mi przykro... i dobrze wiem, że to zabrzmi, jakbym miała coś na sumieniu, ale... wszystko, powtarzam, wszystko bez wyjątku, co ma związek z moją działalnością na usługach państwa, to poufne dane. Zatem o cokolwiek mnie panowie spytacie, ja ani tego nie potwierdzę, ani nie zaprzeczę. Czyli ogólnie rzecz biorąc, nijak tego nie skomentuję. Nie wolno mi, bo gdybym to zrobiła, złamałabym prawo. Jeśli chcecie, żebym zeznała w charakterze świadka, może to się wyłącznie odbyć pod auspicjami Sił Zbrojnych Królestwa Danii, najpewniej w Cytadeli w Kopenhadze. A nawet wtedy odpowiem na pytanie tylko, jeżeli uzyskam na to wcześniej pisemną zgodę podpisaną przez odpowiedniego pełnomocnika zarówno duńskich sił zbrojnych, jak i innych pracodawców, którym w danym okresie świadczyłam pracę.

– To znaczy Amerykanów?

– Nie skomentuję tego.

Simonsen pomyślał cierpko, że Gallagher nie mogła się wyrazić jaśniej. Niestety zdawał sobie sprawę z tego, że prawo było po jej stronie, więc zasadniczo nie miał już ruchu.

– W maju dwutysięcznego roku zgłosiła pani policji, że około dwa lata wcześniej spotkała Bjørna Lauritzena na moście nad Wielkim Bełtem. To na podstawie pani zeznań uznano tego człowieka za zmarłego. Przy czym wielu świadków twierdziło później, że widziało go żywego.

– Mogłam się oczywiście pomylić. Mijałam tego człowieka w środku nocy i było ciemno, więc nie można tego wykluczyć. Ale dałabym sobie rękę uciąć, że to był Bjørn...

Nagle ciszę przerwał donośny staroświecki dzwonek stojącego na biurku telefonu stacjonarnego. Kobieta odebrała, przez chwilę słuchała w milczeniu, po czym momentalnie zbladła i patrząc na Simonsena szeroko otwartymi oczami, powiedziała:

– Tak... Jest tutaj. Tak, oczywiście, zaraz mu przekażę. – Odłożyła słuchawkę i wyszeptła do głębi coś poruszona: – Proszę włączyć swój telefon...

Inspektor posłusznie zrobił, jak kazała. Na pytanie, kto będzie do niego dzwonić, prokuratorka odparła jedynie roztrzęsionym głosem:

– Proszę odebrać.

Po chwili komórka zawibrowała i policjant odebrał. Ktoś zapytał go o nazwisko... Odpowiedział, po czym spytano o dane jego córki. Podał je, acz z rosnącym niepokojem.

– Czy mogę wiedzieć, z kim rozmawiam? – zapytał zniecierpliwiony.

Odpowiedź niemalże zwała go z nóg...

– Kontaktujemy się z oddziału ratunkowego szpitala królewskiego. Proszę się nie rozłączać, ordynator chce z panem rozmawiać.

W jednej chwili wypadł z pomieszczenia, minął korytarz, po czym wybiegł z budynku. Serce waliło mu jak młotem i trzęsły mu się ręce.

Niezdolny do wykonania żadnego ruchu, stał, przyciskając do ucha komórkę... gotów usłyszeć najgorsze; po drugiej stronie słyhać było jednak tylko ciszę. Nikt się nie odezwał, nawet gdy następnie sam usiłował odzwonić. Czekał i czekał, wydawało mu się, że całą wieczność, aż w końcu, chcąc nie chcąc, musiał się rozłączyć. Cały rozgorączkowany wybrał numer swojej córki, a kiedy usłyszał radosne: „Cześć, tato! Możemy pogadać trochę później? Bo spieszę się na wykład”, poczuł, jak uchodzi z niego całe napięcie. Musiał przysiąc na schodach, żeby dojść do siebie. Gdy już względnie się otrząsnął, po raz kolejny spróbował się połączyć z numerem, z którego do niego dzwoniło – niestety bezskutecznie. Następnie wybrał numer szpitala królewskiego, gdzie recepcjonistka poin-

formowała go, że nikt od nich się z nim nie kontaktował. W końcu zadzwonił do Hrabianki i opowiedział jej o całym zajściu. Wysłuchał jednym uchem jej słów pełnych współczucia, po czym poprosił, żeby natychmiast skontaktowała się z jego operatorem sieci komórkowej i poleciła, by zlokalizowali ten cholerny telefon i dowiedzieli się, do kogo należy numer. Podyktował go żonie dwa razy, po czym się rozłączył.

Gdy Simonsen wrócił do biura Irene Gallagher, panowała tam już zupełnie inna atmosfera niż przedtem. Naprzeciw krzesła, na którym wcześniej siedział, gospodyni postawiła na biurku butelkę koniaku i szklanekę. Powitała go jednak ostrym głosem:

– Usłyszałam, że to ze szpitala, i naprawdę mam nadzieję, że nic poważnego się nie stało. Tak czy inaczej, proszę się napić, jeśli ma pan ochotę. Chociaż, szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy ta cała akcja nie została zainscenizowana, żeby mógł się pan spokojnie rozejrzeć po moim domu. I nie życzę sobie, żeby się pan więcej po nim beze mnie kręcił...

Inspektor uprzejmie odmówił, po czym Pedersen zreferował mu, o czym rozmawiali, kiedy go nie było. Gallagher rzekomo nie znała Pauline Berg. A ponadto nic jej nie mówiło imię i nazwisko Jonas Ziegler, i nie miała naturalnie nic wspólnego z jego zatrudnieniem w delikatesach męża. Ton głosu Arnego nie pozostawiał jednak żadnych wątpliwości co do tego, że nie wierzy w ani jedno słowo przesłuchiwanej kobiety.

– Proszę sobie darować ten sarkazm... – warknęła Gallagher.

Pedersen zignorował jej komentarz i mówił dalej:

– Poinformowałam panią Gallagher ze szczegółami o tym, do czego koniec końców przyznała się jej siostra. Mianowicie, że poprosiła ją, by ta skutecznie zniechęciła Juli Denissen do spotkań z jej nieżyjącym już mężem, Madsem Eggertem. Pani Gallagher potwierdziła zeznania Elli von Eggert. Faktycznie prowadziły takie rozmowy, przy czym twierdzi, że nigdy nie posunęła się dalej i nie wprowadziła swoich słów w czyn. Mówiła tak tylko po to, żeby udobruchać siostrę, choć sama nie była co do tego pomysłu przekonana.

– A wspomniałeś też może o tym, co stało się z Juli Denissen? – spytał Simonsen.

Komisarz zaprzeczył, jeszcze do tego nie doszli.

– Otóż latem dwa tysiące ósmego roku ta kobieta padła w Melby Overdrev ofiarą bestialskiej napaści, na skutek której zmarła – poinformował szef wydziału zabójstw beznamiętnym głosem.

– W takim razie można powiedzieć, że problem poniekąd rozwiązał się sam... I pewnie dlatego moja siostra nigdy więcej nie wracała już do tego tematu – skwitowała Gallagher niemalże beztrąsko. – Zmieniając temat, chyba już czas na panów. Czy macie może jeszcze jakieś pytania, zanim skończymy?

Pedersen pochylił się nad biurkiem i uchwycił jej spojrzenie.

– Minęło zaledwie czterdzieści minut, a umówiliśmy się na godzinę.

– Aha... No to zarządzam koniec tej wizyty. Chciałabym się już z panami pożegnać, a w szczególności z panem, panie komisarzu.

– Możemy panią zabrać ze sobą do komendy...

– Proszę bardzo; jednak nic to panom nie da. Zmarnujecie tylko za równo swój, jak i mój cenny czas.

– Czy ktoś ci już kiedyś powiedział, jaką jesteś podłą mendą? – rzucił na koniec bez ceregieli.

Uśmiechnęła się oziębło.

– Słyszałam to nie raz... i to od osób znacznie wyżej postawionych od pana.

Dopiero gdy zostawili za sobą Næstved i wjechali na autostradę prowadzącą do Kopenhagi, Pedersen rzucił:

– Głupi babsztyl... Łatwo z nią nie będzie.

– Co tam się w ogóle wydarzyło, kiedy wyszedłem? Sprowokowałaś ją jakoś? – zainteresował się Simonsen. – Przecież już to przerabialiśmy i widziałeś, że wszystko spływa po niej jak po kaczce.

– Wcale jej nie sprowokowałem... Nic z tych rzeczy. Tyle że gdy wyszedłem, nagle zaczęła zachowywać się zupełnie inaczej i opowiadać jakieś farmazony. Zupełnie nie wiem dlaczego... A tak w ogóle, kto do ciebie dzwonił?

– Daj mi chwilę, zaraz ci wszystko opowiem. Muszę tylko trochę ochłónąć. Czyli twierdzisz, że nie zrobiłeś nic, co mogłoby wytrącić naszą prokuratorkę z równowagi?

– Nie do wiary... No przecież mówię, że nie.

Jechali w milczeniu, a gdy minęli Køge, Simonsen opowiedział Pederse-
nowi o tym, co się stało. Gdy tylko skończył mówić, przyszedł SMS od
Hrabianki. Przeczytał go i pokręcił głową z rezygnacją, po czym odczytał
go na głos swojemu zastępcy:

– „Dzwoniono do ciebie z karty prepaid, przy czym nie wiadomo, do
kogo należy ten numer. Wykonano z niego tylko dwa połączenia: do Galla-
gher i ciebie. Jeśli chodzi o lokalizację... Ludzie z tego kolosa telekomuni-
kacyjnego TDC twierdzą, że telefon wykonano prawdopodobnie z ko-
mendy”.

Rozdział 33

Środa, 22 września 2010 roku, puszcza na północnej Zelandii

Jesienią, a często również zimą, Bjørn Lauritzen mieszkał na południowo-wschodnim krańcu lasu Store Hestehave na półwyspie Jungshoved. Osiedlił się nieopodal zatoki Stege między ścianą zagajnika a rozciągającą się aż do plaży łąką. Postawił sobie dom w miejscu, gdzie tuż przy krawędzi puszczy, częściowo ukryty wśród drzew, ciągnął się wiekowy kamienny mur. Dokładnie tam, gdzie ściana zakręcała za głazem wysokości człowieka. Tu miał szansę uniknąć ciekawskich spojrzeń przechodniów, zakładając, że w ogóle ktoś zapaści się tak głęboko w dzicz. Ściany jego nędznej chatki stanowiła obłożona torfem prowizoryczna konstrukcja wykonana z wbitych stabilnie w ziemię pni młodych brzoź. Dach zaś składał się z ułożonych na przemian warstw wikliny i worków foliowych. Całość była szczelnie powiązana dętkami rowerowymi, które luzowały się nieco podczas burzy, ale jeszcze nigdy nie puściły. Od wewnątrz Lauritzen wyłożył swoją pieczarę gazetami i wojskowymi pelerynami przeciwdeszczowymi. W środku spędzał zasadniczo tylko noce, bo większą część dnia przeznaczal na swój rytuał treningowy, a jeśli było wystarczająco ciepło, pływał też w zatoce. Niekiedy zaś po prostu siedział, nie myśląc o niczym szczególnym, i przyglądał się, jak natura żyje własnym życiem; raz drogą szedł żuk, innym razem zachwyił go piękny kwiat. Zdarzało mu się spotkać jeża z młodymi czy usłyszeć bażanta, który spłoszony nagłym szelestem, łopocząc skrzydłami, umykał wśród konarów drzew. Czuł się tu dobrze... wiódł uczciwe i spokojne życie, a właśnie na tym najbardziej mu zależało. Kiedy nachodziła go ochota, strugał z drewna małe pocieszne figurki, zwykle przedstawiające trolle, które następnie chował w różnych miejscach w lesie, po czym cieszył się jak dziecko, gdy po roku którąś

z nich znalazł. Pożywienie zdobywał, zastawiając w gęstwinie pułapki, lub wybierał się nocą do delikatesów Dagligkæden przy drodze do Præstø. Miał klucz do bramy na tyłach sklepu, gdzie stał kontener na przeterminowane i uszkodzone towary. Wracał więc zawsze do lasu z wypełnionym po brzegi plecakiem. Wodę czerpał z leśnego jeziora. Miał też lustro, nożyczki, mydło, nóż i kamień szlifierski. Spał w polarowym śpiworze, a gdy zimą chwycił porządny mróz, okrywał się dodatkowo pozszywanymi owczymi skórami. Niczego mu nie brakowało.

Rzadko widywał innych ludzi... Tak naprawdę miał tylko dwie osoby, z którymi utrzymywał względnie regularny kontakt. Jedną z nich była Irene Gallagher, znajoma z dawnych czasów. Raz i drugi pomogli sobie nawzajem. W jaki sposób, o tym wolał zapomnieć, ale właśnie to ich łączyło – w potrzebie jedno dawało drugiemu oparcie. Wspomnienie masakry na wycieczkowcu wyparł już dawno. Wymazał je z pamięci wraz z innymi okropieństwami, których przyszło mu w życiu doświadczyć.

Drugą osobą, z którą od czasu do czasu się widywał, była Gry. Gry tak jak i on potrafiła nieraz przycupnąć i po prostu siedzieć bez ruchu, w zupełnym milczeniu, przypatrując mu się z zaciekawieniem, zupełnie jakby za każdym razem, gdy się widzieli, odkrywała w nim coś nowego. W końcu jednak budził się jej pies i ciągnął ją za sobą, bo był głodny i chciał wracać do domu. Gry wносиła do życia Bjørna wiele radości, więc gdy przez jakiś czas się u niego nie pojawiała, zaczynał nasłuchiwać jej kroków na leśnej ściółce lub charakterystycznego odgłosu, jaki wydawała obroza jej pupila. Nadstawiał uszu za każdym razem, gdy tylko usłyszał jakiś szelest. Odwiedziła go tego jesiennego dnia, przy czym tym razem udało jej się zaskoczyć przyjaciela. Gdy go ujrzała, chrząknęła z nutką niezadowolenia w głosie, uklękła i delikatnie trąciła go ramieniem. Ale on nawet się nie poruszył. Siedział tylko i wpatrywał się w nią tępym, nieobecny wzrokiem. Nieśmiało włożyła palec w dziurkę na jego czole, lecz nawet to nie pomogło. Koniec końców dała więc sobie spokój i zaczęła zrywać źdźbła trawy. Rzuciła je na wiatr, a później śmiała się radośnie, gdy spadały jej na głowę.

Po powrocie do domu matka zaczęła wypytywać o krew na jej ubraniu, toteż, chcąc nie chcąc, musiała pokazać, gdzie ukrywa się jej znajomy. Gdy zbliżały się do ściany lasu, zaczęła z siebie wydawać przenikliwe gniewne pomruki, od których matkę przechodziły ciarki.

Mniej więcej w tym samym czasie leśną dróżką jechał miejskim rowe-rem towarowym typu long-john pewien emeryt. Wiózł sprawunki dla we-terana, który mieszkał w lesie Lorup. Mężczyzna ten najął się w delikatesach Dagligkæden jako tak zwany pracownik od wszystkiego. Dorabiał sobie w ten sposób do emerytury, a jednocześnie mógł jakoś spożytkować wolny czas, którego miał aż nadto. Nie był tam wprawdzie formalnie zatrudniony – dostawał sto koron za godzinę, a wynagrodzenie wypłacano mu w gotówce, w każdy poniedziałek – ale wszystko odbywało się uczciwie. Emeryt sam podliczał przepracowane godziny, a właściciel zawsze płacił mu na czas. Darzyli się wzajemnie zaufaniem. Miał bardzo szeroki i zmienny zakres obowiązków. Zamiatął chodnik przed marketem, a zimą, gdy napadało śniegu, odśnieżał cały teren. Raz na jakiś czas mył frontowe okna wystawowe, gdy te porządnie się zabrudziły. W każdą sobotę froterował wszystkie podłogi, a w razie potrzeby podejmował się też rozmaitych drobnych napraw. Wieczorami pomagał niekiedy układać towary na półkach, jeśli danego dnia w sklepie panował duży ruch i stały personel nie miał już na to czasu. Woził również sprawunki Nystedowi i właśnie tę robotę lubił najbardziej. Przypominało mu to czasy, gdy jako młody chłopak na tym samym rowerze dostarczał miastowym świeże wiejskie mleko. Odwiedzał weterana co dwa tygodnie, przy czym sporą część towarów stanowiły zawsze trunki: piwo, wino i wódka. Rozliczali się w gotówce, ale jeśli był akurat koniec miesiąca i Nystedowi zabrakło pieniędzy, dostawca patrzył na ewentualny dług przez palce. To było odgórne polecenie. Po prostu udawał, że na wszystko wystarczyło i oczywiście nie upominał się o zaległości przy następnej okazji, gdy samotnik dostał już rentę. Właściciel sklepu pocieszną łamaną duńszczyzną wyjaśnił swojemu zleceniobiorcy, że to błędne koło. Emeryt uważał, że to ze strony szefa ładny gest. Sam był swego czasu gwardzistą, pełnił wartę przed pałacem Amalienborg w służbie ówczesnego regenta Królestwa Danii. Był to cieszący się poparciem ca-

łego narodu władca, który mimo swojej wysokiej rangi potrafił, przechodząc obok, zatrzymać się i uciąć sobie pogawędkę z wartownikiem, gdy akurat nie wzywały go pilne obowiązki. Od tego czasu pracownik delikatesów solidaryzował się poniekąd z innymi byłymi żołnierzami. Stary weteran był wprawdzie straconym dla świata alkoholikiem, lecz miał gest i dobre serce. Potrafił nawet odpalić starszemu panu puszkę piwa w podzięcie, gdy ten przywiózł mu sprawunki.

Emeryt zaparkował rower i chwycił pierwszą skrzynkę piwa z zamiarem zanieśienia jej na tyły szopy. Stawiając ją pod stosem drewna opałowego, spostrzegł, że ktoś obwiązał wylot przewodu kominowego odpowiedzialnego za odprowadzanie spalin z pieca foliowym workiem. Worek był zabezpieczony mocną gumką. Dopiero wtedy do jego nozdrzy dotarł ten zapach – mdła woń dymu i sadzy. Nacisnął klamkę drzwi wejściowych i poczuł go jeszcze wyraźniej, choć w chacie nie widać było dymu, a w piecu nie palił się ogień. Nysted siedział na sofie, a na stoliku przed nim stały dwie puste butelki, jedna po taniej whisky, a druga po wódce Aalborg Jubilæums Akvavit. Miał czerwoną twarz i wpatrywał się w sufit wytrzeszczonymi, nieruchomymi oczyma. Dostawca pomyślał, że to z całą pewnością tlenek węgla... już to kiedyś widział.

Rozdział 34

Piątek, 24 września 2010 roku, Komenda Główna Policji

Komendant Główny Policji był zdenerwowany. Jeszcze przed rozpoczęciem zebrania u nasady nosa i na skroniach pod linią włosów wystąpiły mu kropelki potu, co wyraźnie świadczyło o tym, że nie czuje się w zaistniałej sytuacji zbyt komfortowo. Natomiast siedzący przy stole konferencyjnym ubrany w nienaganny drogi garnitur przedstawiciel Ministerstwa Sprawiedliwości wydawał się zupełnie niewzruszony. „Jest młody i hardy”, pomyślał Simonsen, przyglądając się, jak ten dla zabicia czasu ze znużoną miną sprawdza maile. Gdy wszedł, zadufany w sobie młody człowiek zaledwie podniósł wzrok i powiedział „dzień dobry”, jednak nie podał szefowi wydziału zabójstw ręki. W przeciwieństwie do komendanta, który mimo całego ambarasu przywitał się z Simonsenem wyjątkowo serdecznie. Wskazał mu wolne miejsce, odsunął krzesło i poinformował, że może się poczęstować kawą, herbatą lub wodą – zupełnie jakby policjant był niewidomy i potrzebował instruktażu. Tymczasem cztery termosy, dwa białe i dwa czerwone, oraz kilka butelek napojów gazowanych stało na stole, niecałe pół metra od niego. Inspektor podziękował, a jego szef spojrzał na zegarek i powiedział:

– Zaprosiliśmy też prokuratorkę, tę nową, zapomniałem, jak się nazywa. Tak czy inaczej, powinna tu być lada moment.

– Kirsten Hansen – rzucił facet z Ministerstwa Sprawiedliwości z wyczuwalną nutką pogardy w głosie. To przecież niewiarygodne, że można nosić tak pospolite imię i nazwisko...

Po dziesięciu minutach, które wydawały się trwać wieczność, zjawiała się prokuratorka. Powitała wszystkich obecnych uprzejmie, acz formalnie,

po czym usiadła, nie przeprasząc za spóźnienie. Nie życzyła sobie nic do picia.

Miała pod czterdziestkę, była atrakcyjna i elegancka, co zapewne rzucało się w oczy jako pierwsze. Jednocześnie jej zachowawczy styl ubierania się: ciemnozielona ołówkowa spódnica, biała bluzka, czarny blezer i jedwabna apaszka, wyraźnie wskazywał na to, że usilnie stara się sprawiać wrażenie oficjalnej i poważnej.

– W takim razie mogę już chyba zaczynać – powiedział komendant.

Ledwie jednak otworzył usta, gdy Kirsten Hansen mu przerwała:

– Proszę wybaczyć, nie dosłyszałam, z którego wydziału Ministerstwa Sprawiedliwości pan jest – zwróciła się do mężczyzny w garniturze.

„Nienawiść od pierwszego wejrzenia”, pomyślał Simonsen, czując, jak powietrze niemalże gęstnieje od wzajemnej niechęci między tymi dwójgiem.

– Prawo karne – odparł tamten antypatycznym, lekceważącym głosem.

– Ma pan na myśli sekcję prawa karnego podlegającą pod Wydział Prawa Policyjnego i Karnego, prawda? Dziękuję, już wszystko jasne.

Zignorowała jego „Tak, właśnie tak” i spojrzała wyczekująco na komendanta, dając mu do zrozumienia, że może mówić dalej. Komendant przeszedł zatem do rzeczy. To znaczy, jękając się i zacinając, wyjaśnił, że wydział zabójstw odnalazł mordercę z wycieczkowca. To biedny weteran, który niestety właśnie został zastrzelony, ale tę sprawę, z całą pewnością niemającą nic wspólnego z pozostałymi morderstwami, można bez wątplenia przekazać do rozstrzygnięcia miejscowemu okręgowi, czyli policji południowej Jutlandii. Zaznaczył, że jest oczywiście świadomy tego, że nie wyjaśniono jeszcze wszystkich aspektów tego incydentu, ale to nie pierwszy taki przypadek. Podsumowując, stwierdził, że z korzyścią dla wszystkich będzie, jeśli jak najszybciej zakończą to dochodzenie... Żeby ludzie wiedzieli, że to koniec.

Simonsen nie wierzył własnym uszom.

– Czy ja dobrze rozumiem, że zamierzacie zamknąć moje śledztwo? To właśnie próbujesz powiedzieć? – zapytał z niedowierzaniem.

– Czasem trzeba spojrzeć na pewne rzeczy bardziej całościowo... – próbował wyjaśnić Komendant Główny Policji

– Czyli nakazujesz mi zamknąć tę sprawę?

– Nie, nie, to nie tak. To nie jest rozkaz... To znaczy, zależy mi na tym, żeby ludzie z wydziału zabójstw zrobili to sami, z własnej woli... byle nastąpiło to w ciągu najbliższych kilku dni.

Simonsen się zamyślił, po czym starając się ze wszystkich sił zachować spokój, odparł:

– W porządku. Umowa stoi. Ale myślę, że wobec tego powinienem zadzwonić do Steffena i poprosić, żeby natychmiast się tu zjawił.

Jego szef obdarzył go zdumionym spojrzeniem. Steffena? Jakiego Steffena? Czyżby przeoczył kogoś, zwołując to zebranie?

– No wie pan komendant... Przedstawiciela Konfederacji Związków Zawodowych Policji. Bo kiedy zwykli funkcjonariusze na terenie całego kraju usłyszą, co się tutaj nawyprawiało, wpadną w szał. Trzeba się więc zastanowić, jak w takim układzie opanujemy tę sytuację. A będzie niezła awantura i gwarantuję, że to się nie rozejdzie po kościach – pospieszyl z wyjaśnieniem Simonsen.

Komendant Główny Policji wziął tę sugestię na poważnie. Zawsze rozsądniej jest, by wszystkie strony usiadły przy stole i spokojnie, zachowując rozwagę, omówiły zaistniałe problemy... Brzmiało to o wiele lepiej niż przepychanki z rozjuszonymi policjantami. Inspektor przypuścił kolejny atak:

– Czy sam skontaktuje się pan z Ministerstwem Spraw Zagranicznych w sprawie reakcji Japonii na to, że zamykamy śledztwo?

Zwierzchnik policji wyraźnie pobladł i złapał się za głowę. Naciski z jednej strony można jeszcze jakoś znieść, ale presja z obu stron to najgorsze, co może się zdarzyć. Jego stres osiągnął właśnie apogeum. Trzeba było posłuchać żony i udać, że jest chory i musi dziś zostać w domu. Wtedy ktoś inny poprowadziłby za niego to spotkanie...

– Dość już tych bredni – wtrącił się nagle facet z ministerstwa. – Podejrzewa pan, panie inspektorze, że była prokuratorka policyjna Sił Zbrojnych Królestwa Danii Irene Gallagher jest w jakiś sposób zamieszana

w sprawę. Ale o ile mi wiadomo, nie jest pan w stanie przedstawić jej żadnych zarzutów – zwrócił się bezpośrednio do Simonsena.

Szef wydziału zabójstw zaprotestował, ale nieco markotnie:

– Mamy kilka dowodów, między innymi nagranie z kamer monitoringu, i jestem pewien, że zdobędziemy ich więcej.

Facet się zachnął i wyjął dwa zdjęcia z leżącej przed nim plastikowej teczki. Jedno przedstawiało Irene Gallagher na moście Christiansbro za kierownicą samochodu należącego do siostry. Na drugim również widniała prokuratorka, przy czym ścięta na krótko, jakby przed chwilą wyszła od fryzjera. W tym wydaniu nie przypominała już tak bardzo kobiety w aucie. Fryzura jednak robiła różnicę...

– Musi pan mieć bardzo bujną wyobraźnię, skoro jest pan w stanie stwierdzić, że to ona na podstawie totalnie rozmytego zdjęcia.

– Skąd pan to ma?

– Z akt pańskiego śledztwa... Może niewiele panu o tym wiadomo, panie inspektorze, ale nie wszyscy pana podwładni są, jak by to ująć, tak optymistycznie nastawieni do całej sprawy jak pan. Przyznam otwarcie... Liczyłem na to, że uda nam się to załatwić w bardziej cywilizowany sposób. Tak czy inaczej... chyba pan nie zaprzeczy, że nie ma nawet nic, co mogłoby posłużyć za podstawę wydania nakazu przeszukania? A może się mylę?

Niestety Simonsen nie mógł się z tym nie zgodzić.

– Poza tym wygląda na to, że pana dochodzenie w sprawie Gallagher, oględnie mówiąc, stoi w sprzeczności z pewnymi poufnymi danymi, które, jeśli wyjdą na jaw, mogą zaszkodzić bezpieczeństwu państwa – ciągnął dalej gość z ministerstwa. – O czym zresztą dowiedział się pan już trzy miesiące temu! Mimo to ponownie molestuje pan wojsko o te dane, a nawet zaangażował pan w tę sprawę swoich ludzi. I robi pan to wszystko, choć dobrze pan wie, że obowiązują pewne procedury i że w takiej sytuacji policja ma obowiązek przynajmniej poinformować moje ministerstwo; a tak naprawdę to nie ma pan prawa podejmować żadnych kroków bez naszego pośrednictwa!

– Co ma pan na myśli, mówiąc, że skontaktowałem się z siłami zbrojnymi trzy miesiące temu? Wtedy przecież nawet nie wiedziałem jeszcze o istnieniu... eee... niech pan poczeka. Kto dokładnie zwrócił się do wojska o wydanie dokumentów?

Mężczyzna zaczął nerwowo przetrząsać teczkę, nazwisko funkcjonariusza najwyraźniej wypadło mu z głowy. Minęło trochę czasu, zanim w końcu znalazł to, czego szukał.

– Aspirantka Pauline Berg z pańskiego wydziału zabójstw, trzy, powtarzam: trzy razy! Po raz pierwszy w połowie maja tego roku. Ta cała Berg nagabywała też samą Gallagher, żeby wydusić z niej tajemnice wojskowe. To absolutnie niedopuszczalne, ale sądząc po pana reakcji, najwyraźniej nic pan o tym nie wiedział, więc może czas najwyższy, żeby zrobił pan porządek ze swoimi ludźmi! Koniec tematu. Reasumując, daję panu i prokuratorce czas do przyszłego wtorku włącznie. Jeśli do tego momentu nie zostanie wniesiony akt oskarżenia, zamykacie śledztwo, koniec dyskusji.

– Nie! – To Kirsten Hansen po raz pierwszy włączyła się do rozmowy. Przesłanie było jednak jasne.

Facet z ministerstwa zerknął na nią lekko zbity z tropu.

– Jak to „nie”? Za kogo pani się ma?

Prokuratorka odpowiedziała mu beznamiętnym głosem, lecz z jej oczu bez trudu można było wyczytać, co o nim myśli:

– Za nikogo... Może jedynie za osobę, która po zakończeniu tego spotkania wróci do swojego biura i sporządzi z niego szczegółowy raport. Następnie wniesie do Prokuratora Generalnego oficjalną skargę na pewnego pracownika Ministerstwa Sprawiedliwości, który jawnie nadużywa swoich uprawnień. Na wszelki wypadek prześlę też kopię do prezesa Sądu Najwyższego, żeby również wiedział, co jest na rzeczy. Mianowicie, że dopuszcza się pan naruszeń i zachowuje się po prostu karygodnie. W naszym kraju nie bez powodu obowiązuje trójpodział władzy. Dzięki temu można jakoś przytemperować takich jak pan. A jeśli chodzi o bezpieczeństwo państwowe, załączam pozdrowienia dla całego pańskiego ministerstwa. Może pan przekazać, że mam wojskowe służby wywiadowcze w głębokim poważaniu. A nasi obywatele będą mogli spać spokojnie tylko pod

warunkiem, że schwytamy wszystkich zwyrodnialców, przedstawimy im zarzuty, postawimy ich przed sądem, a następnie wymierzimy sprawiedliwość. Poza tym, jak już przekazujemy sobie nawzajem pozdrowienia i nie tylko, może pan również nadmienić, że następnym razem, kiedy będą chcieli pogawędzić ze mną o moich aktach oskarżenia, życzę sobie, żeby oddelegowali do tego przynajmniej naczelnika wydziału.

Wysłannik ministerstwa z miejsca zalał się rumieńcem wstydu, a Simonsen postanowił skorzystać z okazji i zaoferować prokuratorce swoje wsparcie:

– Jeśli pani chce, chętnie pomogę przygotować ten raport. Myślę, że trzeba go dopracować w najmniejszych szczegółach. Tylko musimy bardzo uważać, żeby nie wyciekł do prasy... Gdyby do tego doszło, należy się liczyć z tym, że opinia publiczna dosłownie wymiecie całą kadrę kierowniczą niższego szczebla od Ministerstwa Sprawiedliwości po zespół terenowy Urzędu do spraw Weterynarii i Żywności na Bornholmie.

Kirsten Hansen przyjęła oferowaną pomoc, po czym wstała i rzuciła:

– Chodź, Simonie, czas na nas. To znaczy, wybacz, ale chyba mogę tak do ciebie mówić? W końcu wszyscy cię tak nazywają...

Simonsen się z nią zgodził. I naturalnie, że mogła się tak do niego zwracać. Uśmiechnęła się do niego, a potem jeszcze raz, gdy szarmancko przytrzymał przed nią drzwi.

– Jeszcze oboje za to bekniecie! – zawołał za nimi gość z ministerstwa z miną obrażonego dziecka.

Komendant Główny Policji, który nie mógł się do końca zdecydować, czy powinien wstać, czy pozostać na swoim miejscu, postanowił koniec końców wybrać rozwiązanie pośrednie, to jest na kilka sekund zawisł nad krzesłem, po czym ponownie usiadł.

– No cóż... Dobrze, że jednak doszliśmy do porozumienia – wymamrotał.

Rozdział 35

Środa, 29 września 2010 roku, komenda policji

Prokuratorka Hansen i Simonsen udali się razem do Wydziału do spraw Przesłuchań Konstytucyjnych Kopenhaskiego Sądu Miejskiego. Było to wysoce nieprzepisowe. Prokurator zwykle nie zjawiał się tam osobiście, a Simonsen jako przedstawiciel policji nie miał tam zasadniczo nic do roboty. Sędzia jednak w ogóle tego nie skomentował. Wręcz przeciwnie, wydawał się niepomernie znudzony, więc gdy tylko weszli, jego usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Hansen poinformowała krótko, z czym przychodzą, po czym użyła wszelkich możliwych argumentów, by uprosić wydanie nakazu przeszukania domu Irene Gallagher, jej obu domków letniskowych, jak również samochodu jej siostry, Elli von Eggert, który – nawiasem mówiąc – znalazł się ostatecznie na parkingu w Hillerød. Niestety, zamiast do wydziału techniki kryminalistycznej w celu przeprowadzenia badania, czego Simonsen wyraźnie sobie zażyczył, odwieziono go z powrotem właścicielce. Ewidentne i jakże irytujące zaniechanie... Po przedstawieniu, jakkolwiek by na to patrzeć, mało merytorycznych przesłanek faktycznych do podjęcia takich, a nie innych kroków prokuratorka opowiedziała o wpływowych, pozostających w cieniu organach, które chronią podejrzaną przed standardowym działaniem wymiaru sprawiedliwości.

Sędzia słuchał z wyraźnym zainteresowaniem. Gdy już skończyła, oznajmił, że z uwagi na korzyści dla społeczeństwa należy czasem spojrzeć na prawo w nieco szerszej perspektywie, po czym bez chwili wahania złożył swój podpis na wszystkich nakazach przeszukania.

Simonsen rozdzielił zadania pomiędzy swoich najbliższych współpracowników. Pedersen miał się zająć domem Gallagher w Næstved, gdzie raz złożył jej już wizytę, Hrabiance przydzielił należącą do podejrzaney

checzę w Gilleleje i opła corsę Elli von Eggert, Arnoldowi zaś przypadło przeszukanie drugiego domku letniskowego kobiety, który znajdował się w miejscowości Marienlyst na wyspie Falster. Sam szef wydziału zabójstw nie miał szans włączyć się do akcji, choć miał nieprzeparłą ochotę wybrać się razem ze swoim zastępcą do Næstved. Niestety, mógł o tym jedynie pomarzyć. Oprócz przeszukań nadzorował jeszcze działania jednostek policji okręgu południowej Zelandii, które w pocie czoła badały okoliczności śmierci albo morderstwa Nysteda, jak również ewidentnego zabójstwa Bjørna Lauritzena. Co ciekawe, Komendant Główny Policji bez mrugnięcia okiem zgodził się na to, żeby to właśnie Simonsen kierował akcją. Mogło to jednak wynikać z faktu, że szef wydziału zabójstw przedstawił mu to jako rozwiązanie kompromisowe. Jako że miał pełne ręce roboty, w dzień trudno mu było wyściubić nos poza komendę, więc po prostu zaakceptował obecny stan rzeczy i postanowił się zapoznać z treścią dokumentów, które dostarczono mu w brązowej kopercie wraz z poranną pocztą.

Na odwrocie nie było danych nadawcy, a na przodzie ktoś starannie wykaligrafował drukowanymi literami jego nazwisko. W środku inspektor znalazł trzy kartki formatu A4, na których wynotowano wiele faktów z życia Irene Gallagher. Zostały one przedstawione w kolejności chronologicznej, przy czym dotyczyły jedynie niektórych etapów w jej karierze. W raporcie wciąż było kilka luk, ale okazał się niezwykle zajmujący. Wyłaniał się z niego obraz Gallagher jako urzędniczki wywiadu na usługach zarówno amerykańskich, jak i Sił Zbrojnych Królestwa Danii.

Sprawozdanie otwierała uwaga o tym, że Gallagher miała poniekąd dwie ścieżki zawodowe oraz wykształciła się w dwóch różnych kierunkach. Specjalizowała się bowiem w doradztwie prawnym z zakresu prawa wojskowego, a do tego ukończyła studia operacyjno-wywiadowcze – co było rzadko spotykane, ale nie skrajnie osobliwe. Pod koniec lat osiemdziesiątych, a dokładnie do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, uczęszczała na National Intelligence University w Waszyngtonie. Ukończyła tam *intelligence studies* ze specjalizacją w zakresie państw bałtyckich, przy czym program nauczania oprócz priorytetowych przed-

miotów wojskowych obejmował również standardowe specjalistyczne umiejętności wywiadowcze, takie jak: operacje pod przykryciem, włamania, używanie broni, walka wręcz, zarządzanie agentami i inne. Z całą pewnością została przydzielona do działań operacyjnych za granicą dwukrotnie – w Polsce w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku w czasie prezydentury Wojciecha Jaruzelskiego oraz w Bośni w latach kolejno dziewięćdziesiąt dwa, dziewięćdziesiąt cztery i dziewięćdziesiąt pięć. Przy czym później najprawdopodobniej wysyłano ją również w inne miejsca. W latach od dziewięćdziesiąt dwa do dziewięćdziesiąt cztery odbywała służbę wraz z jedną z jedenastu amerykańskich lotnikowcowych grup bojowych w roli doradczynie prawnej głównego dowódcy. Była to IV Flota Stanów Zjednoczonych, która prowadziła działania na Morzu Śródziemnym, a której port macierzysty mieścił się we włoskim mieście Gaeta. Tę samą funkcję pełniła w latach dwa tysiące jeden i dwa tysiące dwa, tym razem dla II Floty, której bazą było miasto Norfolk w stanie Virginia; ta przeprowadzała operacje na Oceanie Atlantyckim. Latem dwa tysiące drugiego roku stała się najwyraźniej główną łączniczką między amerykańskim a duńskim wywiadem. Jeśli chodzi o języki, oprócz duńskiego i angielskiego mówiła też płynnie po francusku, mandaryńsku, polsku i rosyjsku, a do tego w stopniu komunikatywnym znała fiński.

Simonsen pomyślał, że trudno się do tego w jakikolwiek sposób odnieść. Wisienką na torcie były jednak trzy ostatnie, zdecydowanie konkretniejsze, acz niepowiązane ze sobą wzmianki. Autor sprawozdania zastrzegł tu wyraźnie, że pochodzą one tylko z jednego źródła. Po pierwsze, wszystko wskazywało na to, że Gallagher interesowała się Bjørnem Lauritzenem prywatnie, jako że drugą podróż do Bośni, to jest w lipcu dziewięćdziesiątego piątego roku, odbyła podczas urlopu i z własnej inicjatywy – choć oczywiście mogła jednocześnie wypełniać zadania służbowe. Aczkolwiek przyleciała do Tuzli, po czym pojechała rzeczonym jeepem dalej w ściśle określonym celu; chciała się zobaczyć z duńskim pułkownikiem.

Druga z informacji była o wiele bardziej rzeczowa: otóż wiosną dwa tysiące szóstego roku Irene Gallagher w Ambasadzie USA w Kopenhadze oficjalnie zrzekła się amerykańskiego obywatelstwa. Podobno autor raportu

posiadał na to dwa dowody i zaręczał, że faktycznie tak się stało. Na potwierdzenie trzeciej wzmianki, według której kobieta podobno przez cztery ostatnie lata swojej pracy w Służbach Zbrojnych Królestwa Danii konsekwentnie odmawiała jakichkolwiek wizyt w Stanach Zjednoczonych, co kłóciło się z jej zadaniami służbowymi jako łączniczki i co finalnie doprowadziło do tego, że za porozumieniem stron odeszła z wojska, było za to zdecydowanie mniej argumentów.

Simonsen przeczytał całość jeszcze raz, po czym udał się na lunch, a po powrocie przestudiował wszystko ponownie. Następnie wezwał do siebie Anicę Buch, która siedziała dwa biura dalej, w gabinecie należącym niegdyś do aspirantki Berg. Młoda policjantka usiłowała namierzyć sławną dziewczynę z dziedzina z Bośni, która według nieżyjącego już Ny-steda mówiła po duńsku. Niestety Anica nie miała jeszcze żadnych nowych poszlak. Była też na tyle szczerą, że bez owijania w bawełnę zakomunikowała swojemu tymczasowemu zwierzchnikowi, że nieprędko przedstawi mu rezultaty swoich starań.

– Ale jeśli ta dziewczyna żyje i jest Dunką, może pan być pewien, że ją znajdzie – dodała po chwili z młodzieńczą brawurą.

Szef wydziału zabójstw obrzucił ją zamyślonym spojrzeniem... Mimo swojego niewątpliwego talentu śledczego i niezachwianego zaangażowania była trochę jak dziecko. Skomentował więc jej żarliwość i optymizm, zapewniając, że nie ma żadnych wątpliwości, że tak właśnie będzie, po czy dał jej do zrozumienia, że może odejść.

Po wyjściu policjantki Simonsen mógł już w zasadzie tylko czekać... czekać na dobre wieści dotyczące rozpoczętych przeszukań lub ewentualnie dochodzenia w sprawie ostatnich dwóch zabójstw, którym kierował. Niecierpliwił się i nie mógł się skoncentrować na innej pracy, choć czekała na niego masa zadań. Chociażby rachunki wydziałowe, z którymi jak zwykle był, ogłędnie mówiąc, nieco do tyłu.

Pierwsza dobra wiadomość nadeszła około piątej po południu. Otóż zadzwonili z wydziału techniki kryminalistycznej, żeby powiedzieć, że technicy zbadali już auto Elli von Eggert. Samochód został wprawdzie gruntownie wyczyszczony, ale na nakrętce sześciokątnej między szyną fotela

pasażera a podłużnicą znaleźli włos należący do Bjørna Lauritzena – można to było łatwo zweryfikować. Inspektor nie zdążył jeszcze ochłonać, a przekazano mu kolejne dwie przełomowe informacje. Najpierw odebrał telefon od Pedersena, który cały w euforii wykrzyczał do słuchawki, że po pierwsze na prawej dłoni i na rękawie jednej z kurtek Gallagher stwierdzono ślady prochu, a po drugie funkcjonariusze przeszukujący jej dom znaleźli w wiadrze z solą drogową zapakowany w reklamówkę pistolet. Był to ruger mark I 22LR, z którego wedle wszelkich podejrzeń mógł zostać zastrzelony Lauritzen. Broń przesłano do laboratorium. Trzeba było wykonać porównanie balistyczne z nabojem wyjętym z czaszki Bjørna przez lekarzy sądowych. Pedersen obstawiał, że wynik powinni dostać za jakieś trzy-cztery godziny.

Kiedy kwadrans po dziesiątej wieczorem zadzwonił Kurt Melsing, Simonsen siedział akurat w swoim gabinecie z prokuratorką Hansen. Poprosił ją, by razem poczekali na wieści z laboratorium, żeby móc na gorąco omówić dalszy plan działania – zależnie od tego, co stwierdzą technicy. Teraz szef wydziału zabójstw słuchał z zapartym tchem: Lauritzen został zastrzelony z pistoletu, który policja znalazła w garażu Irene Gallagher, na co posiadano niepodważalne dowody. To jednak nie było wszystko: z broni zdjęto odciski palców dwóch różnych osób. Te pierwsze, pochodzące z lufy, nie zostały jeszcze zidentyfikowane, a te z rękojeści należały do Irene Gallagher. Poza tym uzupełniające badania DNA wykazały, że faktycznie miała ona ten pistolet w ręku.

Simonsen i Hansen zaczęli wiwatować. Gdy emocje już opadły, usiedli, by nakreślić dalszy kierunek śledztwa, po czym uznali, że są co do niego absolutnie zgodni. Półtorej godziny później była prokuratorka wojskowa Sił Zbrojnych Królestwa Danii Irene Gallagher została aresztowana w swoim domu w Næstved pod wieloma zarzutami: morderstwa byłego pułkownika Bjørna Lauritzena, do którego doszło dwudziestego drugiego września dwa tysiące dziesiątego roku w lesie Store Hestehave w Jungshoved, współudziału w zabójstwach aspirantki policji Pauline Berg, pracownika delikatesów Jonasa Zieglera, studentki Cariny Hastrup i sternika Theisa Lunda Mikkelsena dwudziestego drugiego sierpnia tego samego roku

u wejścia do portu między wyspami Amager a Zelandią, na wysokości nabrzeża Søndre Tolbod w Kopenhadze, oraz nieumyślnego pozbawienia życia nauczycielki szkoły podstawowej Yuumy Kawahary i jej uczniów – tu prokuratorka Hansen nakazała, by ze względów etycznych podać imiona i nazwiska wszystkich dzieci – i w końcu współudziału w bestialskim akcie przemocy wobec studentki Juli Denissen, którego padła ofiarą dziesiątego lipca dwa tysiące ósmego roku na dawnym poligonie wojskowym Melby Overdrev w gminie Halsnæs.

Podejrzana w żaden sposób nie odniosła się do przedstawionych zarzutów ani nie stawiała oporu, gdy funkcjonariusze zakuli ją w kajdanki i poprowadzili do radiowozu.

Część III

Proces sądowy

Rozdział 36

Piątek, 1 października 2010 roku, plac Højbro, Kopenhaga

Życie Christoffera Brincha było niekończącym się pasmem sukcesów. Dobrze radził sobie w szkole, a potem świetnie zdał maturę i dostał się na prawo na Uniwersytecie w Kopenhadze. W siedemdziesiątym trzecim roku uzyskał stopień magistra jako najlepszy student ze swojego rocznika, a kolejne trzy lata spędził w rodzinnej miejscowości Holbæk, gdzie najął się jako aplikant adwokacki w najbardziej prestiżowej kancelarii w mieście. W siedemdziesiątym siódmym roku sam został adwokatem, po czym zaciągnął u rodziców drobną pożyczkę i wrócił do stolicy, gdzie udało mu się wynająć niewielki lokal mieszczący się na placu Højbro. Tu otworzył własną kancelarię specjalizującą się w prawie spółek i prawie podatkowym. Interes kręcił się znakomicie. Brinch miał przyjazne usposobienie i nie lubił obnosić się ze swoimi sukcesami. Jednocześnie sprawiał dość osobliwe wrażenie; poruszał się bowiem zamasyżcie i nieco niezdarne, trochę jak Pinokio z teatru lalek, zupełnie jakby Stwórca niespecjalnie się przyłożył, powołując go na ten świat. A ci, którzy go nie znali, dopiero po dłuższej chwili orientowali się, że jest niewiarygodnie bystry. Jego potencjalni klienci, do których nierzadko należeli dyrektorowie lub inni przedstawiciele kardy kierowniczej, przyglądali mu się wtedy spod zmrużonych powiek, rozważając, czy nie dać by mu się wykazać w jakiejś pomniejszej sprawie... Było w nim mianowicie coś niezwykle przekonującego – rzetelność i szczerść. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku kupił piętro, na którym początkowo mieściła się jego kancelaria, a pięć lat później był już właścicielem całego budynku. Zatrudniał wtedy ponad trzydzieści osób, w tym czterech studentów prawa, których osobiście wyselekcjonował spośród grona najlepiej zapowiadających się słuchaczy i którzy pracu-

jąc dla niego, mogli łączyć naukę ze stopniowym niespiesznym wdrażaniem się w pracę adwokata. Na pomysł, by zaangażować studentów, wpadł sam. Szukał długoterminowych rozwiązań i był pewien, że w przyszłości zyska dzięki temu zdolnych i lojalnych pracowników. Jak się później okazało, miał absolutną rację. No może poza jedną praktykantką, z którą się dla odmiany ożenił. Byli razem szczęśliwi, doczekali się trójki dzieci i nigdy nie przestali się nawzajem kochać. On niezmiennie adorował żonę, a ona bardzo o niego dbała. Kiedy on brał na siebie zbyt dużo obowiązków, ona z miejsca to zauważała i wkraczała do akcji. Potrafiła wyciągnąć go z kancelarii niemalże za ucho bez względu na to, w jak ważnym spotkaniu akurat uczestniczył.

– Nie może być tak, że Christoffer ma aż tyle na głowie! – uskarżała się przy tym głośno. – Nie jest już przecież taki młody... Cokolwiek się dzieje, ktoś musi na razie zastąpić mojego męża, bo ten wróci do pracy dopiero w poniedziałek. I to najwcześniej!

A po powrocie do domu robiła mu karczemną awanturę. Zarzekała się, że nie dopuści do tego, żeby ojciec jej dzieci zszedł na zawał. Co to to nie! I niech nawet nie próbuje się z nią o to kłócić. Nie myśli przecież chyba, że jest nieśmiertelny?! Brinch wziął to sobie do serca i koniec końców znalazł współników. Tak więc odpowiedzialność za zarządzanie podzieliła się między partnerów. Nie stało się to nagle, lecz w rezultacie stopniowych zmian, a spółka Brinch & Partnerzy bynajmniej nie straciła przez to statusu jednej z wiodących kopenhaskich kancelarii specjalizujących się w prawie handlowym.

W dwa tysiące pierwszym roku Brinch skończył pięćdziesiąt lat i przy tej okazji odbył poważną rozmowę z żoną. Chodziło o to, że zapragnął poświęcić ostatni okres kariery zawodowej swojej niespełnionej miłości... a było nią prawo karne. Miał wprawdzie świadomość, że nie jest to zbyt dochodowe zajęcie, ale z uwagi na dobrą sytuację finansową w ogóle nie musiał się tym przejmować. Żona poparła jego plan, a jego współnicy okazali się wyrozumiali, choć za jego plecami szeptali między sobą, że projekt ma nikłe szanse na powodzenie. Adwokat nie zajmował się przecież prawem karnym od czasu ukończenia studiów. Nie wzięli jednakże pod

uwagę, jak piekielnie utalentowany jest ich partner... Koniec końców Christoffer Brinch w zawrotnie krótkim czasie stał się szczególnie rozchwytywanym obrońcą. Co więcej, cieszył się też ogromnym uznaniem w prawniczym świecie: inni adwokaci prosili go o radę, gdy sami nie wiedzieli, jak rozwiązać jakiś problem, gdyż miał opinię najlepszego z najlepszych. Nastąpiły dla niego dobre czasy, niewykluczone nawet, że najlepsze w całej jego karierze. Przyjmował tylko te sprawy, które go w jakiś sposób zaintrygowały. Nigdy przy tym nie brał na swoje barki zbyt dużo. Dzięki temu zawsze miał czas, żeby udać się na przechadzkę po biurach, pomóc trochę tu, trochę tam, czy też poplirtować z młodymi dziewczynami, gdy naszła go na to ochota. Nigdy w życiu nie był szczęśliwszy. Największą zaś radość sprawiało mu to, gdy jeden z praktykantów, których nadal regularnie zatrudniał zgodnie ze swoją pierwotną koncepcją, potrzebował pomocy w związku z pracą egzaminacyjną. Był wtedy w stanie poruszyć niebo i ziemię i spędzić w swoim gabinecie długie godziny, by dopracować wszystko w najmniejszych szczegółach. A gdy stwierdził, że przydałby mu się jeden ze starych podręczników, potrafił nawet wysłać taksówkę do biblioteki uniwersyteckiej. Na drugi dzień oddawał studentowi gotową pracę, zupełnie jakby to była błahostka, ot po prostu siadł i naskrobał coś naprędce na kolanie... i może ta jego pisanina jakimś trafem okaże się pomocna. Rezultat był zawsze taki sam: młody człowiek musiał iść na uczelnię i prosić o nowy temat pracy, by uniknąć nierzetelności naukowej. Studentów zatrudnionych w spółce Brinch & Partnerzy obowiązywał surowy zakaz pokazywania swoich prac Christofferowi Brinchowi.

Nie było tak, że Irene Gallagher osobiście poprosiła Brincha, by ją reprezentował. Wyszło to zasadniczo od jednego z jej byłych współpracowników z Sił Zbrojnych Królestwa Danii. Zwrócił się on w tej sprawie do emerytowanego sędziego, który był swego czasu nauczycielem największej sławy wśród adwokatów. Sędzia ten sam pofatygował się na plac Højbro. Tam w telegraficznym skrócie wyjaśnił Brinchowi, z czym do niego przychodzi, podczas gdy ten raz po raz kiwał głową, jakby cały czas ważył argumenty za i przeciw. Zanim starszy pan wyszedł, Gallagher miała już

swojego obrońcę. Adwokat uznał bowiem, że sprawa jest na tyle frapująca, że warto się nią zająć.

Christoffer Brinch po raz pierwszy spotkał się ze swoją klientką w zakładzie karnym Vestre Fængsel, gdzie objęto ją tymczasowym aresztem. Gdy strażnik wprowadził go do izolatki, kobieta wstała i podali sobie ręce. Następnie usiedli obok siebie na jej pryczy. Cella była ciasna i spartańsko urządzona: stały tam więzienne łóżko, na którym właśnie siedzieli, obok stół i krzesło, a w dalszej części pokoju szafa na ubrania i regał. Światło słoneczne wpadało do środka jedynie przez małe, umieszczone wysoko zakratowane okienko. Były tam też drzwi prowadzące do łazienki i toalety, a w obu pomieszczeniach gołe ściany, pomalowane na stonowany odcień żółci.

– Może na początek powinniśmy się bliżej poznać? Ja mogę zacząć, jeśli sobie pani życzy... – rzucił Brinch tytułem wstępu.

Irene Gallagher przerwała mu jednak, zanim zdążył ponownie otworzyć usta:

– Nie ma takiej potrzeby. Dobrze wiem, kim pan jest. I nie bez powodu zależało mi na tym, żeby właśnie pan, a nie kto inny, mnie reprezentował.

– Hmm... Dziękuję za słowa uznania. Tyle że ja nie wiem zbyt wiele o pani...

Spełniła jego prośbę i krótko opowiedziała o swoim życiu, a gdy już skończyła, wyjaśniła mu gwoli ścisłości, dlaczego nie może wyjawić więcej szczegółów dotyczących swojej służby.

– Tak samo będzie zresztą w sądzie. Sędzia z pewnością zostanie o tym poinformowany i po prostu nie pozwoli, żeby pewne tematy były poruszane, i... niech pan powie, czy może pan przestać kiwać głową? Wygląda to trochę idiotycznie...

– Taki mam nawyk, musi pani przywyknąć. A pani zawsze jest taka bezpośrednia?

– Może nie zawsze, ale przeważnie tak.

– Podoba mi się to. Spróbuję też taki być. A jeśli chodzi o te szczegóły dotyczące pani kariery, o których nie wolno pani mówić, czy jest to coś, co mogłoby działać na pani niekorzyść.

Gallagher zaprzeczyła, nie, nic z tych rzeczy.

– Muszę przyznać, że mnie pani zadziwia... Moi wszyscy dotychczasowi klienci przebywający w areszcie tymczasowym zawsze zaczynali od pytania, kiedy będą mogli wyjść na wolność. A do tego każdy z nich gorliwie zapewniał mnie o swojej niewinności, bez względu na to, czy faktycznie był niewinny, czy też nie. Pani natomiast przyjmuje wszystko z niewiarogodnym spokojem, mimo że, jakkolwiek by na to patrzeć, jest pani podejrzana o dopuszczenie się dość poważnych przestępstw – powiedział Brinch.

– Przyjmuję to ze spokojem, bo wiem, że moje emocje nic tu nie zmieniają... A poza wszystkim wyszkolono mnie, bym nie wpadała w panikę, cokolwiek by się działo. Do tego sama jestem przecież prawniczką i mam świadomość, że do momentu wydania aktu oskarżenia nic szczególnego się nie wydarzy, to zaś może trochę potrwać. Tak naprawdę oboje wiemy, że najprawdopodobniej spędzę tu kolejne cztery tygodnie.

Brinch nie mógł się z tym nie zgodzić. Takie były procedury.

– A zastanawiała się pani może nad linią obrony? – spytał.

– Owszem. Przede wszystkim chciałabym coś raz na zawsze ustalić. Gdy już rozpocznie się proces, nie może pan zapomnieć, że jest moim rzecznikiem, bez względu na to, czy będzie się pan ze mną zgadzał, czy też nie.

– Hmm... Do tego właśnie sprowadza się chyba rola obrońcy, prawda? Ale chciałem się raczej dowiedzieć, jak zamierza się pani odnieść do postawionych pani zarzutów.

– Zamierzam utrzymywać, że zgromadzony przez policję materiał dowodowy jest zmanipulowany i sfabrykowany, i tego właśnie musimy dowieść przed sądem. Co jest zresztą najprawdziwszą prawdą, choć wiem, że trudno w to uwierzyć.

Teraz Brinch potrzebował chwili do namysłu.

– No cóż... spróbujemy się zatem tego trzymać – powiedział, gdy już ułożył sobie wszystko w głowie. – Zarzut nieumyślnego spowodowania śmierci dzieci bez wątplenia zostanie oddalony. Byłoby tak nawet w przypadku Bjørna Lauritzena. Brakuje tu związku przyczynowo-skutkowego

i przewidywalności. To samo dotyczy moim zdaniem japońskiej nauczycielki, chociaż to może być sprawa dyskusyjna. Od oskarżenia o współudział w bestialskim akcie przemocy przeciw młodej dziewczynie na północnej Zelandii też raczej zdołamy panią wybronić. Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób prokuratura mogłaby udowodnić pani zaangażowanie w tę sprawę. Jeśli chodzi o pozostałe wykroczenia, jak sama pani mówi, poczekamy, zobaczymy. Ale ogólnie rzecz biorąc, zakładam, że ma pani świadomość, że zaproponowana przez panią linia obrony to niemalże najgorszy z możliwych pomysłów.

– Absolutnie zdaję sobie z tego sprawę, ale... to znaczy, pewnie i tak nie ma pan nawet ochoty słuchać moich zapewnień o tym, że wcale nie zrobiłam tego, o co mnie oskarżają...

– Wcale nie. Chętnie wysłucham.

– Niestety skłamałam podczas przesłuchania przez policję, ale nie miałam wyjścia. Wyjaśnię to panu później... zasadniczo sporo muszę panu jeszcze wyjaśnić.

– Jasne, wrócimy zatem do tego.

– Miał pan kiedyś w swojej karierze klienta, który wbrew wszelkiej logice uparcie twierdził, że jest niewinny?

– Żeby to raz...

– I jak potoczyły się ich sprawy?

– Zostali skazani.

– Okej. Ale uważa pan, że słusznie?

– Raczej tak.

– W takim razie ja jestem wyjątkiem. Bo jeśli faktycznie dostanę wyrok, będzie to rażące nadużycie władzy sądowniczej. Dowody przeciwko mnie naprawdę zostały zmanipulowane i mam nadzieję, że krok po kroku zdołam pana o tym przekonać. Bo tak rzeczywiście było. I musimy poprowadzić moją obronę dokładnie tak, jak powiedziałam.

– Oczywiście... Jeśli właśnie tego sobie pani życzy, nie podlega to dyskusji.

Brinch pomyślał, że kobieta koniec końców pewnie i tak spędzi resztę życia za kratkami.

Rozdział 37

Sobota, 2 października 2010 roku, plac Izraela, Kopenhaga

Sięgnęła dłonią ponad blatem stołu i położyła ją na jego dłoni. Trwało to zaledwie moment. Ot spontaniczny wyraz entuzjazmu rozbudzonego jakąś myślą. Po chwili cofnęła rękę. Zdał sobie sprawę z tego, że po raz pierwszy się dotknęli, no może poza kilkoma uściskami dłoni, które się przecież nie liczyły. Rozpierało go szczęście, inaczej chyba nie potrafił tego nazwać. Jednym haustem dopił zimną już kawę. Była słaba i nijaka w smaku. Dziewczyna nachyliła się nad stołem, oparła łokcie o jego oblat, splotła palce i położyła na nich głowę. Zadała mu pytanie i czekała, aż zdecyduje się na nie odpowiedzieć. Wyglądała obłudnie pięknie.

– Możesz powtórzyć to, co przed chwilą powiedziałaś? Bo zabrzmiało to podejrzanie... – wyksztusił w końcu Pedersen.

Louise Berg uśmiechnęła się słodko, acz odrobinę zaczepnie, po czym spełniła jego prośbę:

– Mówię, że znam pewne miejsce w pobliżu, gdzie możemy dobrze zjeść, i to zupełnie za darmo, jeśli się trochę wysilimy. I... oczywiście, że moja propozycja jest podejrzana. To jak? Wchodzisz w to?

Trudno było odmówić. Zapłacili, każde po czterdzieści koron – absurdalnie wyśrubowaną cenę, bo tak naprawdę to, co im podano, nie było warte nawet pięciu koron. Nalegała, by podzielić rachunek na pół. Wyjęła więc portmonetkę, odliczyła monety i położyła je przed sobą, po czym wyjaśniła, że taką ma zasadę. W końcu jeszcze się za dobrze nie znają...

Z pozorów nic nieznaczące słowo sprawiło, że nagle po raz pierwszy od dawna poczuł w piersi falę gorąca, która rozlała się w dół po jego ciele. „Zupełnie straciłem dla niej głowę”, pomyślał. Momentalnie przywołał się

do porządku. Nie chciał, by zrobiło się niezręcznie. Bez przeszkód mógłby być jej ojcem. Poza tym nie miał jej prawie nic do zaoferowania.

Na krytym targu miejskim na placu Izraela trwała rekonstrukcja. Miejsce to miało się przeobrazić w kulinarną mekkę oferującą najbardziej wyszukane specjały... Prawdziwy raj dla próżniaków, jak głosił napis na tablicy reklamowej ustawionej przed terenem budowy. Przy czym już teraz można było poczuć przedsmak tej istnej uczyty dla smakoszy, jako że wielu handlarzy w każdą sobotę, od maja do października, rozstawiało tu swoje stoiska w samym środku remontowego rozgardiaszu. Louise wzięła go pod ramię i objaśniła mu reguły gry:

– Nie musisz absolutnie nic kupować. To wszystko jest niewiarygodnie pyszne, ale też niebotycznie drogie. Chodzi raczej o to, żeby sobie wyobrazić, że rzeczywiście mógłbyś tu coś nabyć. Co ważne, tu nie ma miejsca na pośpiech... wszystko wymaga czasu. Dobrze jest zadawać pytania... No wiesz, ci wszyscy straganiarze, to znaczy właściciele poszczególnych straganów, są dumni ze swoich wyrobów, więc łatwo nawiązać z nimi rozmowę.

Pociągnęła go w kierunku stoiska z kielbasami, spojrzała z zaciekawieniem na wyłożone towary, po czym skosztowała jedną z małych porcji wędliny przygotowanych na talerzyku do degustacji. Powoli przeżuwała delikates z miną prawdziwej znawczyni, po czym rzuciła:

– Bardzo dobra, dobrze uwędzona... i nie za pikantna. Spróbuj.

Pedersen posłusznie poszedł za jej przykładem, podczas gdy ona wypytywała właściciela kramiku o kraj pochodzenia produktu i o to, czy jest ekologiczny.

Kręcili się po targu dobre pół godziny, gawędząc głównie o jedzeniu, co było tematem neutralnym i bezpiecznym. Na przykład, co najbardziej lubią jeść zależnie od pory roku. Louise przyznała się, że nigdy nie próbowała trufli... ani kawioru, a on? Wrześniowe słońce stało wysoko na niebie i nawet lekko przygrzewało. Ona, śmiejąc się, przywarła do niego na krótką chwilę i wsparła czoło na jego ramieniu, a ich cienie stopiły się w jedno. Pedersen poczuł ciepło na sercu, gdy to zobaczył.

Na koniec wstąpili do kafejki przy Vendersgade na lampkę czerwonego wina i nagle zrobiło się jakoś nieswojo. Twarz Louise spoważniała.

– Ta kobieta, którą aresztowaliście... Zostanie skazana? – zapytała.

Odpowiedział najszczerzej, jak tylko mógł:

– Na ten moment trudno powiedzieć... Ale raczej liczyłbym się z tym, że część zarzutów zostanie niestety oddalona. Jeśli chodzi o śmierć małych Japończyków i ich nauczycielki, za to na pewną jej nie skazą, natomiast w kwestii Juli Denissen... to znaczy, zakładam, że wiesz, kto to.

– No pewnie... Pauline przez ostatnie dwa lata swojego życia nie mówiła o niczym innym.

– Okej, tak więc bardzo wątpię, by poszła za to siedzieć. Później mamy sprawę masakry na wycieczkowcu, której ofiarą padła twoja siostra i trzy inne osoby. Nawet tu nie ma stuprocentowej pewności, że się nie wywinie. Nadal brakuje nam kilku dowodów lub poważnych poszlak, ale zakładam, że niebawem je zdobędziemy. Na dodatek wciąż nie ustaliliśmy motywu... I nie wydaje mi się, by w tym wypadku miał nastąpić jakikolwiek przełom. To zasadniczo mało prawdopodobne... Zostało jeszcze morderstwo Bjørna Lauritzena, to znaczy faceta, który zabił twoją siostrę. Za to na pewno ją zamkną, bez dwóch zdań. Chociaż wczoraj straciliśmy kluczowy dowód. Otóż po tym, jak ją aresztowaliśmy, na jej ubraniu oraz prawej dłoni znaleziono ślady prochu. Ona jednak utrzymywała, że należy do związku strzeleckiego w Næstved i była ostatnio na strzelnicy, co niestety okazało się prawdą, chociaż niewątpliwie coś tu śmierdzi.

W oczach Louise Berg stanęły łzy. Pedersen czuł, że lepiej będzie, jak po prostu da jej czas... Czekał więc w milczeniu, aż kobieta dojdzie do siebie.

– Gdy Pauline mieszkała w domu w Reersø, kochała się w tobie bez pamięci. Równie dobrze mogłeś z nią tam zamieszkać. Wiedziałeś o tym? – spytała po chwili.

Odpowiedział zgodnie z prawdą, że owszem, zdawał sobie z tego sprawę, lecz nie miał serca zostawiać dzieci.

– Wiem, że dla ciebie to niewyobrażalna strata, ale wiedz, że mi też strasznie brakuje twojej siostry – dodał po chwili. – Teraz, gdy już jej

z nami nie ma, myślę o niej jak o kimś, kim była, zanim... zanim zachorowała. Dokonałem złego wyboru, ale za późno to zrozumiałem. Teraz twoja kolej, opowiedz mi coś o sobie. Nie wiem nawet, czym się zajmujesz.

Była recepcjonistką i pracowała w First Hotel Østerport. Dzieliła niewielkie mieszkanie z przyjaciółką, ale wkrótce chciała to zmienić. Tyle że w stolicy trudno było znaleźć lokum, za które nie żądano by fortuny. Nie wykluczała, że wprowadzi się do apartamentu Pauline w Rødovre, ale jeszcze nie była pewna, czy będzie ją na to stać. Poza tym wciąż sobie nie odpowiedziała, czy faktycznie chciałaby tam mieszkać.

– W tym pokręconym czasie, gdy była rozchwiana emocjonalnie, moja siostra sypiała z wieloma różnymi mężczyznami. W każdy weekend miała innego, a czasem nawet dwóch w jednym tygodniu, naprawdę nie przesadzam. Czy ty też należałeś do ich grona? – spytała.

– Nie.

– A Jutlandczyk? Nie mogę sobie przypomnieć, jak się nazywa.

– Masz na myśli Klavsa Arnolda? Nie. Nie wydaje mi się, żeby spotykał się z twoją siostrą.

Kiwnęła smutno głową.

– Cieszę się. Teraz ty... Ostatnie pytanie, a potem zmykam.

Musiał to wiedzieć... Nie było już odwrotu, bez względu na to, jak Louise na to zareaguje.

– Masz kogoś?

Widać było, że czekała na to właśnie pytanie.

– To chyba trochę zbyt osobiste... – odparła neutralnie.

„Fatalne zakończenie”, pomyślał. Ale wiedział, że jeśli teraz zacznie przeproszać lub się tłumaczyć, tylko pogorszy i tak już patową sytuację. Złapał spojrzeniem kelnera, po czym uregulowali rachunek po połowie, tak jak poprzednim razem. Louise wstała.

– Zadzwoń... – rzuciła na odchodnym.

Rozdział 38

Niedziela, 3 października 2010 roku, Muzeum Thorvaldsena

Dwóch mężczyzn stało i przyglądało się posagowi.

– Co widzisz? – zapytał Simonsena Helmer Hammer.

Inspektor zaśmiał się lekceważąco. Opera, balet, sztuki plastyczne, rzeźba, orkiestra symfoniczna, wiersze, długo by wymieniać... wszystkie te wyszukane dziedziny kultury i jeszcze parę innych zupełnie do niego nie przemawiały. Zdecydowanie wolał obejrzeć w telewizji wyścig kolarski lub dobry amerykański film. Nie mówiąc już o partii szachów...

– Widzę golasa w rzymskim hełmie. Właśnie obdarł ze skóry owcę, a teraz stoi wsparty o stertę ubrań do prania.

Hammer chwycił się teatralnie za głowę. To on wpadł na pomysł, żeby poszli do Muzeum Thorvaldsena. Jakżeby inaczej. Simonsen mógł zaproponować co najwyżej spacer lub knajpkę.

– Rzeźba, o której wypowiedasz się z taką pogardą, to jedno z najwybitniejszych dzieł europejskiego neoklasycyzmu, ignorancie. Ten golas, jak go nazywasz, symbolizuje wiarę w wolność człowieka i nadzieję pokładaną w naszych zachodnich demokracjach przedstawicielskich. Tak, tak... Poza tym to baran, ale daruję sobie dłuższy wywód, bo wiem, że cię to nie interesuje.

Simonsen ponownie spojrział na posąg, chcąc dać mu jeszcze jedną szansę, lecz nadal nie widział tam żadnej demokracji.

– Ma absurdalnie małego futka...

– Okej, teraz już przegiąłeś. Nie dość, że nie rozumiesz sztuki, to jeszcze nie masz za grosz oglądy. Chodź, usiądziemy w muzealnej kawiarni, a ja przyjdę tu kiedyś sam, żeby obejrzeć ich zbiory.

Hammer zajmował wysokie stanowisko w Kancelarii Premiera, jego bezpośrednim przełożonym był szef gabinetu politycznego ministra. Dzięki swojej pracy posiadał wyjątkowy wgląd w to, co działo się w kręgach państwowej administracji, a jednocześnie trzymał rękę na pulsie, jeśli chodzi o wydarzenia ze świata polityki. Kierował departamentem polityki wewnętrznej.

Wraz z upływem lat mężczyźni zaprzyjaźnili się ze sobą i choć stosunkowo rzadko się widywali, raz na jakiś czas wyświadczali sobie wzajemnie przysługi. Dzień wcześniej Hammer zadzwonił do Simonsena. Doszły go bowiem słuchy, że szefowi wydziału zabójstw przydałaby się półgodzinna pogawędka z kimś, komu może ufać.

Gdy dotarli do kafejki, usadowili się przy stoliku stojącym w najzajaciszej części lokalu. Kawiarnia była niemalże pusta, więc mogli swobodnie porozmawiać.

– Ty dla odmiany wyglądasz na wypoczętego – rzucił inspektor. – Jesteś na urlopie? Czy może ilość pracy w Kancelarii Premiera nareszcie osiągnęła jakiś akceptowalny poziom?

Hammer zaprzeczył ruchem głowy. Nic z tych rzeczy. Zwyczajnie ustąpił ze stanowiska, przy czym nie zostało to jeszcze podane do publicznej wiadomości. Simonsen spojrział na niego szczerze zdumiony, ten zaś wyjaśnił, że od dawna rozważał przyjęcie posady ambasadora w jakimś przyjemnym ciepłym kraju, ale jego rodzina nie chciała wyjechać z Danii. Jego natomiast zupełnie nie interesowały inne oferty pracy, które mu nieoficjalnie podsuwano.

– Jasny gwint... I co ty będziesz teraz robić? – zaciekawiał się szef wydziału zabójstw.

– Znasz może Proroka z Købmagergade?

Simonsen dobrze go znał. Prorok miał przed sobą obiecującą karierę w Ministerstwie Finansów, jednak nagle, ni z tego, ni z owego, załamał się nerwowo. Gdy już wyzdrowiał, podjął się mało obciążającej psychicznie pracy w Mennicy Królewskiej, gdzie przydzielono mu niewielkie przytulne biuro przy ulicy Købmagergade nad siedzibą Muzeum Poczty i Telekomunikacji. Siedział sobie tam i nie robił praktycznie nic do momentu,

gdy osiągnął wiek emerytalny. Z czasem sam wymyślił sobie zawód. Stał się mianowicie doradcą dla wszystkich w kręgach administracji publicznej, zarówno wysoko, jak i niżej postawionych. Pomagał każdemu, kto potrzebował się z nim w tej czy innej kwestii skonsultować. A że posiadał rozległą wiedzę w zakresie biurokracji na szczeblu ministerstw i agencji państwowych, udzielał naprawdę fachowych rad. Hrabianka raz nawet skorzystała z jego usług.

– Założyłem wspólnie z nim niewielką firmę konsultingową – ciągnął dalej Hammer. – Będziemy się mieścić na Bredgade.

– No dobrze, ale komu będziecie udzielać konsultacji?

Były szef departamentu polityki wewnętrznej się uśmiechnął.

– Wszystkim, którzy będą potrzebować porady i którzy nam za to zapłacą.

Simonsen pomyślał, że to przepis na gwarantowany sukces, bo na pewno znajdzie się wielu, nie mówiąc już o lobbystach, którzy będą chcieli skorzystać z wiedzy tych dwóch fachowców.

– W takim razie cieszę się, że jeszcze jesteś na państwowym garnuszku. Bo na mnie nic nie zarobisz – zażartował.

I to był sygnał do zmiany tematu. Obaj poprawili się na krzesłach i mentalnie spowaźnieli.

– Mam ci krótko omówić przebieg swojego śledztwa? – zapytał Simonson.

– Nie ma takiej potrzeby, Simonie. Uciałem już sobie pogawędkę z naszym wspólnym znajomym, który cię niedawno odwiedził, i myślę, że wiem wszystko, co potrzebuję wiedzieć. Natomiast... jest kilka spraw, które ja chętnie wyłożę tobie. W tej chwili podejrzewasz, że coś, coś co wydarzyło się w Bośni w połowie lat dziewięćdziesiątych i w czym brali udział Irene Gallagher oraz Bjørn Lauritzen, ma kluczowe znaczenie dla twojego dochodzenia. Ale gdy zwracasz się o pomoc do Sił Zbrojnych Królestwa Danii, a dokładnie Wojskowej Służby Wywiadowczej, czyli FE, walisz głową w mur. Otóż oni wcale nie chcą ci w niczym pomagać, wręcz przeciwnie, ale do tego jeszcze wrócę. Ich niechęć do współpracy wynika najprawdopodobniej z tego, że dane Gallagher są z tej czy innej przyczyny

objęte tajemnicą wojskową, bez względu na stopień poufności. Załóżmy, że tak faktycznie jest, brzmi to logicznie. Istnieją zatem pewne informacje, które nie mogą ujrzeć światła dziennego, ale w takim wypadku musisz uzmysłowić sobie dwie rzeczy: po pierwsze, o tym czymś wie wobec tego bardzo wąski krąg osób, najpewniej dwie lub trzy – wszystkie w szeregach sił zbrojnych. A po drugie: jeśli ktoś w ogóle jest w stanie skłonić wojsko do współpracy z tobą, to mogą tego dokonać minister obrony, minister sprawiedliwości lub premier. Żaden z nich jednak tego nie robi, a przynajmniej nie z własnej woli. Oni nie chcą nic wiedzieć o tej sprawie, a odpowiedni ludzie w podległych im ministerstwach są o tym świetnie poinformowani. W związku z tym urzędnicy robią, co w ich mocy, żeby do ich przełożonych nie docierały żadne niepożądane wieści.

Simonsen po prostu musiał mu przerwać:

– To absolutnie niedopuszczalne. Dobrze, że ten cały demokratyczny golas tego nie słyszy, bo zapadłby się ze wstydu!

– I tu masz rację. Fakt, że Dania to zachodnia demokracja ze zdecydowanie najgorszym systemem społecznej kontroli nad służbami wywiadowczymi, nie podlega dyskusji. Przy czym tu i teraz nijak nie jesteśmy w stanie tego zmienić.

Simonsen potarł czoło wierzchem dłoni. Nie podobało mu się to, co właśnie usłyszał. Ale mimo wszystko był wdzięczny, że przyjaciel powiedział mu prawdę.

– Użyłeś sformułowania „wręcz przeciwnie”, powiedziałaś, że FE wcale nie chce mi w niczym pomagać, wręcz przeciwnie. O co ci chodziło? – spytał.

– O to, że oni za wszelką cenę starają się udaremnić twoje działania. A to dlatego, że siłom zbrojnym zależy na tym, żeby Gallagher została uniewinniona i wyemigrowała do Nowej Zelandii. A może dlatego, że ty i ta... nowa prokuratorka, Kirsten Hansen, jeśli dobrze pamiętam, nieźle wkurwiliście FE, a przy okazji również całą masę wysoko postawionych osób z Ministerstwa Sprawiedliwości. Mamy tu zatem do czynienia ze zwyczajną walką o władzę, ot po prostu, żeby zaznaczyć swoją pozycję. To

znany mechanizm. Niewykluczone też, że chodzi o jedno i drugie. Osobiście obstawiam tę ostatnią opcję.

– Jakimi metodami utrudniają mi śledztwo?

– Na ten moment przez rozpuszczanie pogłosek. Tak, wiem, nie brzmi to zbyt groźnie. W rzeczywistości jednak może naprawdę poważnie zaszkodzić. Musisz pamiętać, że agenci FE zjedli na tym zęby. Zadbali już o to, by wszyscy w policji wiedzieli, że każdy, kto z ramienia wojska pomoże w tej konkretnej sprawie, zostanie hojnie wynagrodzony. No wiesz... w siłach zbrojnych i Wojskowej Służbie Wywiadowczej są świetne perspektywy zawodowe. To ostatnie szczególnie irytuje naszego wspólnego znajomego, bo wpływa na jego ludzi. Poza tym bynajmniej nie ma ochoty angażować się w żaden sposób w konflikt między wydziałem zabójstw a FE. Ale niewiele jest w stanie na to poradzić...

Simonsen poczerwieniał i nabrzmiały mu żyły na czole.

– Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz? – spytał, starając się opanować falę wzbierającej złości.

– Daj spokój, Simonie... Czasami zachowujesz się tak, jakbyś całe swoje życie był wyłącznie szefem. Pomyśl tylko. Jesteś młody i ambitny, a po komendzie rozeszła się fama, że współpraca z FE może się na dłuższą metę opłacić. I co robisz? Biegiesz w podskokach do swojego przełożonego, czyli w tym przypadku do samego siebie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli, i raportujesz, że właśnie słyszałeś, jak w kantinej pracowniczej szeptali o tym i tamtym? Oczywiście, że nie. Inni również tego nie robią.

Simonsen pomyślał, że w zasadzie doskonale to rozumie, uspokoił się i zapytał:

– Co w takim razie powinienem zrobić? Co mi radzisz?

– No cóż, mam pewien plan. Musisz przypuścić na nich atak, Simonie; zastosować wszelkie możliwe formy nacisku i jeszcze więcej. To jedyny sposób. Nie oznacza to, że ich archiwa nagle staną przed tobą otworem, bo tak nie będzie. Ale przekonają się, że nie mogą ci się tak bezkarnie przeciwstawiać. Może nawet zmienią strategię, bo dotrze do nich, że lepiej się zanadto nie wychylać. Wpadną w furję i będą cię traktować jak wroga, przynajmniej przez jakiś czas, ale... no tak, w zasadzie można po-

wiedzieć, że to już się dzieje. A ci z FE są pamiętliwi. Jakkolwiek by na parcie, prędzej czy później będą próbowali cię zniszczyć. I z tego musisz sobie zdawać sprawę.

– Zniszczyć?

– Pozbawić cię stanowiska, może również zastraszyć, ale to też nie będzie trwało wiecznie. Przy czym nikt się nie odważy zrobić ci fizycznej krzywdy, o to nie musisz się martwić.

– Wcale się nie martwię i podoba mi się wizja ataku, jak to nazwałeś.

– Wspaniale. W takim razie słuchaj uważnie. Przygotujesz uzasadniony wniosek, ale taki, co do którego z góry wiesz, że zostanie odrzucony. A w tym wniosku napiszesz, że... – Hammer, żywo gestykulując, nakreślił policjantowi swój plan.

Rozdział 39

Poniedziałek, 4 października 2010 roku, wydział techniki kryminalistycznej

Hrabianka lubiła odwiedzać wydział techniki kryminalistycznej w Vanløse. Dobrze się tu czuła, a poza tym przepadała za szefem tej jednostki, Kurtem Melsingiem, który nawiasem mówiąc, cieszył się ogólną sympatią otoczenia.

Melsing przywitał się z policjantką. Wiedział, że się do niego wybiera, choć nie znał powodu wizyty. Hrabianka wyjaśniła: ma dla niego sekwencję wideo, bardzo krótką, bo trwa zaledwie sekundę. Niemniej jednak niezwykle ciekawą, bo widać na niej Irene Gallagher i przypuszczalnie również Bjørna Lauritzena w godzinach popołudniowych w niedzielę dwudziestego drugiego sierpnia. Melsing poprowadził ją do swojego biurka, na którym stał włączony komputer, mrucząc pod nosem:

– Dobra robota, bardzo dobra...

Hrabianka wiedziała, że słowa uznania z ust Melsinga to nie byle co. Potwierdziła skinieniem głowy. Bez dwóch zdań to może być przełom w sprawie.

Zdobyła to nagranie wcześniej tego samego dnia: do komendy zadzwonił jakiś bezrobotny ojciec i zeznał, że ma ultrakrótki filmik pokazujący Irene Gallagher w towarzystwie jakiegoś mężczyzny na plaży Charlottenlund tego samego dnia, w którym zginęły japońskie dzieci. Na oficerze dyżurnym początkowo nie zrobiło to wielkiego wrażenia. Szczerze mówiąc, w pierwszej chwili pomyślał, że to jakiś bluff. Po aresztowaniu Gallagher w prasie zawrzało i zaczęła do nich napływać cała masa zgłoszeń; było ich tyle, że na kilka dni trzeba było nawet wyznaczyć kilku funkcjonariuszy do obsługi centrali telefonicznej. Mieli oni za zadanie przełączać do wy-

działu zabójstw wszystkie osoby, które twierdziły, że posiadają istotne informacje w sprawie. Potocznie nazywali to rozwiązanie służą. W wypadku dużej liczby telefonów angażowano do obsługi od trzech do czterech policjantów, a gdy liczba powiadomień spadała, nie potrzebowali już tylu rąk do pracy. Niestety lwia część przyjętych przez służę zgłoszeń okazywała się zupełnie bezużyteczna. Funkcjonariusz pomyślał zatem, że i w tym przypadku nie będzie inaczej. Koniec końców uzgodnili jednak, że mężczyzna prześle nagranie do komendy, a policja skontaktuje się z nim, jeśli przekazane przez niego informacje okażą się interesujące. Co zaskakujące, właśnie tak się stało, co do czego po obejrzeniu tej sekwencji nikt w wydziale zabójstw nie miał żadnych wątpliwości... O zdobyczy natychmiast powiadomiono Simonsena. On zaś zadzwonił do Hrabianki, która tego dnia miała pojawić się w komendzie nieco później. Poprosił żonę, żeby pojechała do pracy okrężną drogą i złożyła wizytę na Ryvangs Allé w dzielnicy Østerbro, gdzie mieszkał właściciel nagrania.

Hrabianka dotarła pod wskazany adres i przesłuchiwała mężczyznę. Zznał, że jest rozwiedziony i co dwa tygodnie zajmuje się w weekend trojgiem swoich dzieci. Miał je u siebie również w niedzielę dwudziestego drugiego sierpnia. Tego dnia pojechał z dziećmi autobusem na plażę Charlottenlund, bo bardzo lubiły się tam bawić. Nad morzem nie zastali zbyt dużo ludzi, bo nie było przesadnie upalnie. Niemniej w niewielkiej odległości od nich usadowiła się na piasku jakaś kobieta w średnim wieku. Miała ze sobą dużą plecioną torbę plażową i patrzyła na cieśninę Sund przez lornetkę. Nie robiła w zasadzie nic innego. Od czasu do czasu machała tylko pociechom świadka. Nie potrafił powiedzieć, jak długo tam siedziała, ale wydaje mu się, że najwyżej godzinę. Nagle od strony cieśniny podpłynął do brzegu jakiś mężczyzna, na oko pięćdziesięcioletni. Kobieta zaś, gdy tylko go zobaczyła, zrzuciła buty i skarpetki, po czym podbiegła do krawędzi wody z dwoma dużymi ręcznikami pod pachą i przewieszoną przez ramię torbą. Następnie podała pływakowi jeden z ręczników, a ten zarzucił go sobie na głowę i zaczął nim wycierać włosy. Drugim ręcznikiem okryła mu ramiona i poprowadziła go w głąb plaży. On nadal wycierał sobie głowę, w związku z czym nie było widać jego twa-

rzy. Po drodze chwyciła swoje rzeczy, po czym oboje opuścili plażę i udali się na parking.

– To wszystko działo się bardzo szybko, szybciej nawet, niż zdołałem o tym opowiedzieć, więc nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek oprócz mnie w ogóle zwrócił na nich uwagę. Poza tym nie było w tym nic nadzwyczajnego. Jakiś facet najwyraźniej postanowił przepłynąć dłuższy dystans. Nikt mu przecież nie zabroni... – zeznał mężczyzna.

Hrabianka potwierdziła skinieniem głowy, a świadek mówił dalej:

– Jednocześnie, a może chwilę wcześniej, wyjąłem kamerę, żeby sfilmować dwoje najstarszych dzieci na tle zamku z piasku, który właśnie zbudowali. Chłopcy też chcieli nagrać swoje wideo, więc każdy z nich po kolei nakręcił krótką sekwencję. Bawili się tak przez moment, aż nagle najmłodsza, dwulatka, też zapragnęła zostać filmowcem. Niestety, okazało się, że wykracza to jeszcze poza jej możliwości. Coś tam wprawdzie nagrała, ale trzymała kamerę totalnie przypadkowo, zupełnie nie pojmując, że obiektyw należy skierować na filmowany obiekt.

Wczoraj ojciec oglądał nagrania dzieci, a w szczególności to wykonane przez córeczkę, na swoim komputerze. Mała nakręciła głównie piasek i niebo, ale uchwyciła też przez sekundę stojącą na brzegu Irene Gallagher w chwili, gdy mężczyzna wychodził z wody. Świadek sprawdził godzinę nagrania: dwadzieścia dwie minuty po dwunastej. Od razu się zorientował, że to kobieta ze zdjęć, które krążyły w sieci, mimo że sąd wydał zakaz publikowania danych osobowych i wizerunku osób podejrzanych. Ale ten zakaz chyba jego w tej konkretnej sytuacji nie obowiązywał, prawda? Chciał tylko znaleźć jej fotografię, żeby się upewnić. Hrabianka go uspokoiła, zapewniając, że nie zrobił nic nagannego. Co więcej, można powiedzieć, że spisał się na medal.

Melsing obejrzał film kilka razy, co zajęło mu raptem chwilę. Później zaś przeanalizował nagranie klatka po klatce, co również nie zabrało dużo czasu. Asystował mu jeden z jego pracowników.

– Może spróbujemy go zmierzyć, a potem wkleić go martwego, żeby zobaczyć, czy się zgadza. Ta nowa, Elise, może się tym zająć – zasugerował Melsing, zwracając się do swojego podwładnego.

Ten przystępniejszym językiem objaśnił Hrabiance, co ma na myśli jego szef.

– Na podstawie nagrania możemy określić wzrost faceta z plaży i porównać go ze wzrostem Bjørna Lauritzena; ewentualnie wkleić do tego kadru jego podobiznę utrwaloną na zdjęciach z sekcji zwłok. Można też zrobić więcej fotek pod odpowiednim kątem, ciało tego weterana nadal leży przecież w kostnicy. Nie zyskamy w ten sposób stuprocentowej pewności, ale gdyby miało się okazać, że to wcale nie Lauritzen, jesteśmy w stanie w ten sposób stwierdzić. Zlecimy to zadanie naszej nowej koleżance, świetnie sobie radzi z obróbką obrazu. Pracowała między innymi przez dwa lata jako animatorka dla koncernu Disney, a żeby się tam dostać, trzeba mieć naprawdę nie byle jakie kwalifikacje. – Mężczyzna zawiesił głós, by po chwili dodać: – To może być kluczowa poszlaka.

Hrabianka nie mogła się z nim nie zgodzić.

– Tak... Miejmy taką nadzieję. Bardzo jej potrzebujemy...

Rozdział 40

Czwartek, 7 października 2010 roku, komenda policji

– Nie możesz tu sobie tak po prostu stać i jęczeć! I nie wpuszczę cię tylko dlatego, że chcesz sobie uciąć pogawędkę z Konradem Simonsenem – powiedział twardo portier z komendy. – Nie tak to u nas działa. Nikt nie wpada sobie na komisariat z ulicy, żeby pogadać z tym czy tamtym.

Młody człowiek próbował wziąć się w garść. Łatwo się rozklejał. Tak już miał i tyle. Potrafił się rozplakać nawet na smutnym filmie. Tym razem jednak był ku temu powód – absolutnie nie godził się z tym, co się stało. Wytarł nos w rękaw koszuli i spróbował jeszcze raz:

– Jak mógł być tak podły, by nazwać ją oszustką i kryminalistką?! Chcieliśmy tylko pomóc. Nie wiedzieliśmy, że to nagranie jest nielegalne. I teraz ona umiera ze strachu, że tamten wygada wszystko jej mężowi.

Poirytowany pracownik pokręcił głową z rezygnacją, lepiej niech ten szczeniak sobie już pójdzie, temat zamknięty.

– Poczekaj chwilę... – powiedział ktoś spokojnym, miękkim i kojącym głosem.

Zarówno chłopak, jak i portier obrócili głowy i zobaczyli Klavsa Arnolda. Jutlandczyk do nich podszedł.

– Zajmę się nim, chętnie posłucham, co ma do powiedzenia.

Portier wrócił do swojej służbówki, myśląc, że w zasadzie jest mu wszystko jedno, a Arnold poprowadził młodzieńca na otoczony kolumnami wewnętrzny dziedziniec przed wejściem do komendy.

– Usiądź i mów. Nigdzie się nie spieszę.

Chłopak usadowił się pod jednym z filarów i próbował opanować emocje.

Arnold powoli wyciągnął z tego młodego człowieka wszystko, co leżało mu na sercu. Mieszkał w Slagelse i najwyraźniej kochał się w jakiejś zamężnej Romce, z którą od czasu do czasu chodził na spacer. Podczas jednej ze schadzki spotkali w lesie Lorup Irene Gallagher. Kobieta szła ścieżką, trzymając w ręku skrzynkę z narzędziami, a pod pachą jakieś płyty. Nie widziała ich, po prostu przeszła obok, a gdy tylko ich minęła, chłopak nagrał ją swoją komórką. Później dowiedzieli się, że Gallagher jest podejrzana o współudział w masakrze na wycieczkowcu i inne występki, więc postanowili powiadomić o filmiku policję. Zadzwonili do komendy z jego domu, przy czym włączyli tryb głośnomówiący – oboje nie do końca pewni, czy ich zgłoszenie w ogóle może się okazać pomocne. Opowiedzieli wszystko referentowi ze służby, po czym przełączono ich do Simonsena. Ten zaś potraktował ich bardzo niegrzecznie. Zwymyślał dziewczynę od najgorszych, twierdząc, że zarówno ona, jak i jej rodzina to półświatek, pasożyty żerujące na duńskim społeczeństwie... A co najgorsze: zagroził, że opowie mężowi dziewczyny, że ta przyprawia mu rogi, chociaż wyraźnie poprosili, żeby go w to nie mieszać. Chłopaka zaś nastraszył, że fotografowanie bądź nagrywanie kogoś z ukrycia jest czynem karalnym, po czym kazał mu skasować filmik. Ta rozmowa zupełnie wytrąciła ich oboje z równowagi, nie wiedzieli, co mają robić. Ostatecznie ustalili, że on wsiądzie do pociągu i pojedzie do stolicy, żeby pomówić osobiście z szefem wydziału zabójstw.

– A skąd w ogóle wiedzieliście, że podejrzana w sprawie wycieczkowca nazywa się Irene Gallagher? – spytał Arnold, wciąż jeszcze z nutką niedowierzania w głosie.

– Jak to skąd? Przecież całe miasto o tym wie. Ludzie nie mówią ostatnio o niczym innym – odparł zdumiony młodzieniec.

Arnold poprowadził chłopaka do swojego biura. Po drodze wsunął głowę do gabinetu Simonsena, trzymając młodego przed sobą jak jakiś tobołek.

– Rozmawiałeś może z dwojgiem młodych ludzi, którzy twierdzili, że widzieli w lesie Irene Gallagher?

Inspektor spojrział na niego, marszcząc brwi.

– Nie przypominam sobie. A mieliśmy takie zgłoszenie?

– Czy poznajesz ten głos? To z nim rozmawiałeś? – spytał Arnold młodzieńca.

Chłopak pokręcił przecząco głową. Nie, tamten brzmiał zupełnie inaczej.

Usłyszawszy to, Jutlandczyk wyciągnął go ponownie na korytarz, zaprowadził do siebie i kazał tam poczekać. Po chwili wrócił w towarzystwie Maltego Borupa.

– Daj, proszę, Maltemu swoją komórkę.

Młody człowiek posłuchał.

– Nagrywałeś jakieś filmy od czasu, kiedy skasowałeś tamten nakręcony w lesie?

Chłopak zaprzeczył. Głos Arnolda był teraz ostry jak brzytwa. Wyrażnie było słycać, że jest podminowany.

– Odzyskaj to nagranie, Malte. Chcę je zobaczyć, jak tylko skończysz. Po drodze znajdź Pedersena i niech przyjdzie do mojego gabinetu bez względu na to, gdzie jest i co robi. Pospiesz się!

Nie minęło nawet pięć minut, a student już był z powrotem. Towarzyszył mu Pedersen. Wspólnie odtworzyli film na laptopie Borupa i nikt nie miał wątpliwości: to była Irene Gallagher. Arnold wyciągnął z portfela czterysta koron i zwrócił się do chłopaka:

– Jesteśmy zmuszeni zatrzymać twoją komórkę, a ty niestety musisz wracać do domu, bo... zaistniała pewna niecierpiąca zwłoki sytuacja. Pożyczymy ci inny telefon i zadzwonię do ciebie jeszcze dziś wieczorem. A swojej przyjaciółce powiedz, że będziemy chcieli jak najszybciej porozmawiać z wami obojgiem. Ale w żadnym razie nie będziemy o tym informować nikogo poza wami. I przyjmijcie, proszę, nasze przeprosiny. Przykro nam z powodu tego, co się wydarzyło, to było karygodne nieporozumienie. Masz, to na bilet na pociąg i coś do jedzenia po drodze. Malte, odprowadź, proszę, tego młodego człowieka do wyjścia, a potem od razu tu do nas wracaj.

Arnold opowiedział o wszystkim Pedersenowi, który z miejsca zrozumiał powagę sytuacji.

– Znam dobre osiem lat funkcjonariusza mającego dziś dyżur na służbie i dam sobie rękę uciąć, że on nie przełączałby nikogo w złej wierze. To możemy z góry wykluczyć. Ale mogą siedzieć i podsłuchiwać... i przechwytywać rozmowy, które mogą dla nich być niewygodne – powiedział w zadumie.

Gdy Borup wrócił, obaj niemalże na niego napadli.

– W jaki sposób można zmanipulować centralę telefoniczną?

Student namyślał się przez chwilę, po czym odparł:

– Taka centrala z technicznego punktu widzenia obejmuje dwie części. IVR, czyli interaktywny serwer głosowy, który jest odpowiedzialny za samo przekierowanie rozmowy, i tak zwany frontend, który pracownik centrali obsługuje na komputerze lub smartfonie. Czyli osoba fizyczna steruje aplikacją, aplikacja steruje serwerem IVR, a serwer połączeniami. Gdyby zatem chciał zmanipulować ten system, trzeba by było albo się do niego włamać, albo wprowadzić zmiany w aplikacji bądź w serwerze IVR. Pierwsze rozwiązanie jest najłatwiejsze – może to zrobić każdy dobry programista. Jeśli chodzi o drugą możliwość, to tutaj sprawy się komplikują i trzeba być naprawdę ekspertem. Przy czym praktycznie niemożliwe jest określenie fizycznej lokalizacji telefonu, na który zostało przekierowane połączenie.

– Czyli mówisz, że to ostatnie wymaga wiedzy eksperckiej? – zainteresował się Arnold.

– Bez dwóch zdań. Ale jeśli mówimy o FE, to mają u siebie w Centrum Cyberbezpieczeństwa kilku z najlepszych hakerów w Danii.

Pedersen udał się do służby, żeby odpowiednio poinstruować dyżurującego tam funkcjonariusza, Borup pobiegł po dwie pary słuchawek i aparat telefoniczny, a Jutlandczyk szykował się do aktorskiego popisu. Kwadrans później wszyscy byli gotowi. Zanim Arnold wybrał numer, Pedersen zamknął drzwi biura na klucz. Klavs połączył się ze służą, zgłosił, co miał zgłosić, po czym pracownik centrali powiedział, że łączy rozmowę z Simonsenem. Wszyscy trzej czekali z zapartym tchem. Po chwili telefon

odebrał jakiś mężczyzna, który szorstkim głosem – ewidentnie nienależącym do ich szefa – powiedział: „Konrad Simonsen”.

– Czy dodzwoniłem się do Konrada Simonsena, to znaczy szefa wydziału zabójstw? – spytał Arnold.

– Tak, przy telefonie. Kto mówi?

– Kaj, Kaj z Bønsvig, już cztery razy gadałem z glin... to znaczy z policją. I co? Gównu robicie w mojej sprawie!

– Czy mogę prosić o pana nazwisko, adres i numer telefonu?

– Te wszystkie dane dostali ci pajace, z którymi musiałem się użerać, żeby wreszcie się z panem połączyć. Mam już tego naprawdę serdecznie dosyć! Przecież chcę wam w końcu wyświadczyć pierdoloną przysługę!

– Jaką przysługę? Potrzebuję spisać pana dane.

– A taką, że wiem, gdzie ta cała Gallagher zaparkowała wóz swojego męża, kiedy w zeszłym tygodniu szła zlikwidować zwyrodnialca, co zamordował te wszystkie dzieci. Jeszcze widać ślady opon, poszedłem tam niedawno specjalnie, że sprawdzić. Aż cud, że jeszcze nie zmył ich deszcz, podczas gdy wy siedzicie sobie w komendzie i pierdziecie w stołki.

Nastąpiła cisza, po czym nieznamy głos zapytał:

– Gdzie są te ślady?

– Jak się jedzie ulicą Bønsvigvej w stronę morza, to chwilę później... dwa pomarańczowe stożki drogowe... Szlag by to trafił... coś z prądem, kurwa... Słyszysz mnie pan jeszcze?... To chyba gniazdko... Pół godziny.

Gdy Jutlandczyk się rozłączył, Pedersen nie potrafił ukryć podziwu:

– Nie no... To był prawdziwy majstersztyk! Gdzie się tego nauczyłeś?

Arnold trafił do kosza na śmieci kulką zmiętego papieru, którą szeleścił do telefonu pod koniec rozmowy. Potem wstał i założył kurtkę.

– To długa historia... Kiedyś zrobiliśmy sobie z kumplami taką konkurencję, ale o tym opowiem wam kiedy indziej. Lepiej się pospieszmy, żeby mieć przewagę czasową. Po drodze skontaktujemy się z policją okręgu południowej Zelandii. Malte, za godzinę ktoś musi się zająć tym całym serwerem IVR, żeby znowu działał, jak należy. I trzeba go później na bieżąco monitorować, czy jak to się tam nazywa w cyberprzestrzeni.

- Może powinniśmy najpierw wtajemniczyć Simona? - zasugerował Pedersen.

Arnold żywo zaprotestował.

- Ma spotkanie z prokuratorką. Zadzwońmy do niego z auta, jak już wróci do biura. A teraz ruchy, panowie, ruchy.

Rozdział 41

Czwartek 7 października 2010 roku, las Store Hestehave w Jungshoved

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że ktoś nas obserwuje, prawda?

Arnold zadał to pytanie lekceważącym tonem i uśmiechnął się pod nosem, a zaraz potem zauważył, że Pedersen momentalnie zeszywniał i zaczął się podejrzliwie rozglądać po lesie.

– Co masz na myśli? – spytał.

Nikogo nie zauważył. Jutlandczyk wskazał na stojący przed nimi wielki klon, na którym w otworze po uschniętej gałęzi wyryta była podobizna trolla. Arne odetchnął z ulgą.

– Jesteś nienormalny...

Arnold znowu się zaśmiał.

Policjanci siedzieli na przewróconym pniu buka, skąd nie było ich widać, podczas gdy sami mieli świetny widok na biegnącą jakieś dwadzieścia metrów od nich leśną drogę. Była dość wąska, dwa jadące z naprzeciwka auta ledwo mogły się tam wyminąć. Wcześniej przejechali tamtędy własnym autem, zostawiając na rozmokłej ziemi prowadzące do lasu wyraźne ślady opon. Oznaczyli to miejsce dwoma stożkami drogowymi, które pożyczili z miejscowego komisariatu policji, po czym zaparkowali samochód dobre pięćset metrów dalej. Następnie wrócili na miejsce na piechotę i znaleźli sobie kryjówkę, w której obecnie siedzieli.

– Chyba nie jesteś wielkim miłośnikiem przyrody, co, Arne?

Pedersen pokręcił głową, lekko urażony. Po chwili jednak pomyślał, że jego kolega ma absolutną rację. Zawsze potwornie się nudził, gdy znalazł się z dala od... jak by to ująć, od wszystkiego. I nawet jeśli zachwyił się jakimś pięknym drzewem w kolorach jesieni, to już później ciężko mu było wpaść w podobny zachwyt nad kolejnym, które wyglądało przecież

kropka w kropkę jak to pierwsze. Chciał zmienić temat, ale Arnold mu przerwał:

– Szszz... Chyba coś się będzie działo...

Jutlandczyk zamilkł i wyteżył słuch. Naraz Pedersen też coś usłyszał. Nadjeżdżał jakiś samochód. Po chwili go zobaczyli: był to srebrny mercedes. W środku siedziały z przodu dwie osoby. Auto zatrzymało się w miejscu, w którym ukrywało się dwóch policjantów, po czym wysiadł z niego jakiś mężczyzna. Podniósł z ziemi patyk i odsunął nim na bok stożki. Wtedy ten drugi przejechał kilka razy w tę i z powrotem po zostawionych przez policjantów śladach, a facet z patykiem zdeptał butami świeże odciski bieżnika. Obaj nieznajomi byli zwałistej postury.

Arnold wyskoczył na drogę.

– Serwus! – rzucił tubalnym głosem w charakterystycznym jutlandzkim dialekcie, podchodząc do auta niedbałym krokiem.

Pedersen również wychynął z kryjówki i stał tam teraz z komórką przy uchu.

Mężczyźni zareagowali szybko, lecz bez paniki. Kierowca wyciągnął rękę nad fotelem pasażera i otworzył koledze drzwi, a tamten dopadł do samochodu kilkoma długimi susami i zajął miejsce obok kierowcy. Ten zaś odjechał jakieś pięćdziesiąt metrów w tył, po czym zdecydowanym ruchem zawrócił i wrzucił jedynkę. Nie ujechał jednak daleko, bo zza zakrętu wyłoniły się już dwa radiowozy. Ten, który jechał jako drugi, zrównał się następnie z pierwszym, żeby skutecznie odciąć zbiegom drogę ucieczki, i oba auta się zatrzymały. Droga za ich plecami również została już zabezpieczona i po chwili wokół zaroilo się od umundurowanych funkcjonariuszy. Facet trzymający wcześniej w ręku kij wysiadł z samochodu. Pedersen podszedł do niego i powiedział:

– Jeśli masz ochotę pobiegać po lesie z psem, to koledzy, zdaje się, jakieś ze sobą mają...

Mężczyzna obrzucił go wrogim spojrzeniem i warknął:

– Co tu się, kurwa, wyprawia?

– Paragraf dwadzieścia dwa, nikt nie może tu bezkarnie jeździć po lesie. – Mówiąc to, gestem dłoni zatrzymał zbliżających się do niego mundu-

rowych. Byli już na tyle blisko, na ile powinni. Następnie dodał: – Chcę zobaczyć wasze prawa jazdy. Musimy wam zrobić kilka zdjęć. I potrzebujemy zdjęcia samochodu. Teraz pytanie... Wolicie panowie załatwić wszystko na miejscu? Tak byłoby zdecydowanie najprościej. Czy może chcecie się przejechać na posterunek policji w Præstø? Dla mnie bez różnicy... Ale na wszelki wypadek ostrzegam: mają tam dziś spory ruch, więc nie zdziwi mnie, jeśli wypuszczą panów dopiero jutro rano. Więc może panowie tajniacy jednak posłuchają głosu rozsądku i zaczną współpracować, co?

Rozdział 42

Piątek, 8 października 2010 roku, komisariat policji w Helsingør

Hrabianka nie po raz pierwszy wezwała kogoś na przesłuchanie pod pretekstem, że był on świadkiem rzekomego wypadku drogowego, by zataić prawdziwy powód przed żoną lub mężem, ewentualnie partnerem lub partnerką tejże osoby. Ludzie mają przed sobą tajemnice, tak to już w życiu bywa, a zadaniem kryminalnych nie jest bynajmniej mieszanie się w drobne zdrady i intrygi między obywatelami, o ile nie jest to konieczne. Swoją drogą czasem oczywiście wykorzystywano takie okoliczności, by skłonić niechętnych do zeznań świadków do mówienia. Wtedy jednak obowiązywały inne zasady gry, poza tym tego rodzaju groźby w rzeczywistości rzadko spełniano.

Hrabianka wynajęła lokal od policji w Helsingør i tam właśnie zaprosiła oboje młodych ludzi – chłopaka ze Slagelse, który dzień wcześniej był w komendzie, i Romkę z Helsingør.

Policjantka na wstępie zapewniła dziewczynę, że w tej chwili absolutnie nie musi się obawiać, że ktoś ją zdekonspiruje, jeśli można to tak ująć. Młody mężczyzna od razu jednak się ożywił. „Jest o wiele bystrzejszy niż ta mała”, pomyślała Hrabianka.

– Co ma pani na myśli, mówiąc „w tej chwili”?

Funkcjonariuszka musiała zatem wytłumaczyć, o co jej chodziło, choć szczerze mówiąc, najchętniej by tego nie robiła. Nie chciała straszyć tych dzieciaków ponurymi scenariuszami, które najprawdopodobniej nigdy się nie urzeczywistnią. Spojrzała na dziewczynę, po czym wyjaśniła belferskim tonem:

– Jeśli oboje lub jedno z was zostanie wezwane na rozprawę, będziecie zeznawać pod przysięgą. Ja, będąc świadkiem w takiej czy innej sprawie,

również miałabym obowiązek mówić prawdę i tylko prawdę. W takiej sytuacji ani obrońca, ani oskarżyciel czy też sędzia nie pochylił się nad tym, że nie chcesz, żeby twój mąż się o czymś dowiedział. Tak to niestety wygląda i nic na to nie poradzisz.

Romka, która w ciągu ostatniej doby najwyraźniej gruntownie sobie wszystko przemyślała, odparła spokojnie, a zarazem smutno:

– Nie żebym się obawiała, że mnie pobije albo gdzieś zamknie. Gazety rozpisują się o takich przypadkach... Mój mąż nigdy by się do czegoś takiego nie posunął, on taki nie jest. To dobry człowiek. Ciężko pracuje i jest mi w pewien sposób bliski. Ale nigdy nie powinnam była za niego wychodzić. – Przegubem dłoni otarła spływającą po policzku łzę i mówiła dalej, zwracając się bezpośrednio do Hrabianki. Może zależało jej na tym, żeby policjantka zrozumiała przesłanie. – Mogę naturalnie się z nim rozwieść albo po prostu od niego odejść i nikt mnie za to nie ukarze, przynajmniej nie fizycznie. Lecz wtedy moja rodzina by się ode mnie odwróciła, a tego bym nie zniosła. Ale wystarczy już o mnie... miejmy to już za sobą. Chcę jak najszybciej wrócić do domu.

Przesłuchanie potrwało niecałe dziesięć minut. Chłopak powtórzył zeznania, które Arnold odebrał od niego wcześniej w komendzie. Ona zaś zgadzała się ze wszystkim, co mówił jej ukochany, ale sama nie dodała nic od siebie. W zasadzie wszystko zostało już powiedziane: czternastego września o godzinie piętnastej dwadzieścia dwie widzieli, jak Irene Gallagher idzie ścieżką przez las Lorup, trzymając w ręku dwie szare płyty, a pod pachą skrzynkę z narzędziami. On sfilmował kobietę od tyłu, kiedy już ich minęła, przy czym całe nagranie trwało może dziesięć sekund. Nic więcej się nie wydarzyło. Hrabianka mimo wszystko nie ustępowała – na tym między innymi polega praca śledczych. Choć w obecnych okolicznościach było to trochę jak próba wyciśnięcia wody z kamienia.

– A wiecie, do czego mogła być potrzebna Gallagher ta skrzynka?... Może macie jakieś przypuszczenie, hipotezę, coś, co po prostu zaświtało wam w głowie, nawet jeśli miałyby to zabrzmieć zupełnie absurdalnie. Cokolwiek...

Oboje potrzęsnęli głowami. Tak samo zareagowali, gdy zapytała o dwie szare płyty.

Policjantka głowiła się nad jakimś genialnym pytaniem, w szczególności o te płyty, niestety na próżno. Przerabiali to już w wydziale zabójstw... Urządzili istną burzę mózgow, by wspólnie dojść do tego, na co komu takie płyty. Nic jednak sensownego, ani też w tym przypadku bezsensownego, nie wymyślili. Nikt nie miał pojęcia, o co tu może chodzić. Wszyscy natomiast byli zgodni co do tego, że Gallagher szła do Olego Nysteda, który przecież mieszkał całkiem niedaleko. Ani w jego szopie, ani w jej pobliżu nie znaleziono jednak niczego, co mogłoby choć odrobinę przypominać rzeczony szare płyty. Hrabianka wybrała się tam nawet z samego rana, żeby to sprawdzić, i jedno było pewne jak amen w pacierzu: płyt ani widu, ani słyhu. Simonsen wydał jednocześnie polecenie, by ponownie przeszukano dom Gallagher, niestety również bezskutecznie. Gdy policjantka wróciła do komendy, znowu omówili sprawę i w sumie zaczęli nawet poważnie rozważać przeczesanie całego lasu. To jednak zakrawało na karkołomne przedsięwzięcie – a przy tym odrobinę historyczne, jeśli się wzięło pod uwagę, że chodziło raptem o dwie płyty...

Hrabianka postanowiła spróbować po raz ostatni. Wcześniej wybrała z nagranych przez chłopaka filmiku kadr, na którym znalazły się lewa ręka Gallagher i niesione przez nią płyty. Obraz został maksymalnie powiększony, a technik dodatkowo wyostrzył płyty w stosunku do tego, jak wyglądały na nagraniu. Gdy już skończył, przyszedł do żony Simonsena i z dumą zaprezentował jej efekt swoich starań. Niemniej jednak później, w ferworze przesłuchania, zapomniała, że ma je ze sobą.

– Spójrzcie na to. To powiększony kadr z waszego nagrania. Te płyty widać tu o wiele wyraźniej. I nie ma żadnych wątpliwości, że Irene Gallagher faktycznie je niosła. A te płyty musiały jej być do czegoś potrzebne... – rzuciła najoptymistyczniejszym tonem, na jaki było ją stać.

Obróciła wydrukowaną fotografię i przesunęła ją po blacie stołu w stronę młodych ludzi, nie zaprzatając sobie głowy tym, jaka to popieprzona taktyka... Zupełnie jakby dawać komuś zbiór zadań z kluczem.

- Przyjrzyjcie się uważnie temu zdjęciu. Może jednak... nie wiem... z czymś wam się to w końcu skojarzy.

Młodzi ludzie posłusznie spojrzeli na fotografię, starając się z całych sił rozwikłać skrytą za nią zagadkę.

- Nie rozumiem... - odezwał się w końcu chłopak. - Przecież to zwykłe szare płyty! Skąd mamy niby wiedzieć, do czego były jej potrzebne?

Na to Hrabianka też nie potrafiła odpowiedzieć.

Rozdział 43

Poniedziałek, 11 października 2010 roku, komenda policji

Z upływem lat Simonsen miał coraz większy szacunek do swojej bezpośredniej przełożonej, zarówno prywatnie, jak i na gruncie zawodowym. Była lojalna wobec swoich pracowników i nie mieszała się zbyt w jego służbowe dyspozycje. Do tego wszystkiego miała niespotykaną cechę: otóż zarażała swoje otoczenie werwą i optymizmem, co doskonale rekompensowało jej niekiedy rozbrajającą naiwność.

Simonsen został właśnie wezwany na poranne zebranie, podczas którego komendantka chciała podsumować sprawę zabójstw na wycieczkowcu, i postanowił zabrać ze sobą swojego zastępcę. Pedersena łączyła zaś z panią komendantką zażyłość: Gurli i Arne – jak zaczęto ich nazywać jeszcze w czasie, gdy Simonsen dochodził do siebie po operacji serca. Takich relacji komendantka nie miała w wydziale z nikim innym, nawet ze swoimi dwoma sekretarkami.

Gdy zjawili się u niej o umówionej godzinie, wyszła im naprzeciw i przywitała się z nimi bez mała serdecznie. Później wskazała im drogę do swojego biura, gdzie zobaczyli nakryty stół, a na nim chleb domowej roboty, który upiekła dla nich własnoręcznie tego samego ranka. Poczuli się niemal wzruszeni, to była właśnie cała ona. Podczas jedzenia nie rozmawiali o pracy, zupełnie jakby to wcześniej wspólnie ustalili. Niemniej jednak policjanci raz po raz wymieniali między sobą spojrzenia. Ich szefowa wyglądała jakoś inaczej. Nie mieli co do tego żadnych wątpliwości, choć żaden z nich nie znał się zbyt na modzie damskiej. Była jednak ubrana nadzwyczaj poprawnie, to znaczy dokładnie tak, jak należałoby się spodziewać po kobiecie na jej stanowisku i w jej wieku. Przy czym zwykle wybierała zupełnie inne stroje. Słyszała z niewiarygodnie ekscentrycznego

stylu ubierania się. Potrafiła na przykład łączyć ze sobą kolory, które absolutnie do siebie nie pasowały, lub ni z tego, ni z owego wystąpić w zenującym outficie à la uczennica, o czym potem długo jeszcze szeptano po korytarzach komendy. Niestety wydział do spraw pracy i mediów wdrożył ostatnio wewnętrzne szkolenia z zarządzania i wizerunku medialnego. Tam zaś doradcy medialni wcisnęli komendantkę w normalne wizerunkowe ramy i utemperowali jej styl, by wpasowała się w obowiązujący kanon i wyglądała jak każda inna kobieta na kierowniczym stanowisku. Niepowetowana strata...

Po śniadaniu szefowa przeszła do rzeczy bez owijania w bawełnę:

– Doszły mnie słuchy, że wydział zabójstw toczy otwartą wojnę z FE. Możecie mi wyjaśnić, o co dokładnie chodzi?

Pedersen pomyślał, że to jeszcze nic w porównaniu z tym, co dopiero planowali. Jego szef i partner zarazem opowiedział mu piętnaście minut wcześniej o strategii, którą Helmer Hammer przedstawił w Muzeum Thorvaldsena. Choć Simonsen wahał się jeszcze, czy na pewno należy obrać taki właśnie kierunek działania. To, że zmanipulowano ich wydziałową centralę telefoniczną, stanowiło ze strony służb wywiadowczych jawną próbę zniszczenia istotnych w ich mniemaniu dowodów w sprawie o zabójstwo, ale postanowił przemyśleć tę sprawę przez weekend, zanim zrobi coś, co doprowadzi do eskalacji konfliktu. Przy czym nawet Hrabianka stwierdziła, że ta zagrywka ze strony FE była absolutnie niewybaczalna. On zaś musiał przyznać, że zasadniczo nie ma wyboru... Chyba że chce pozwolić na to, by jego wydział trzymała w ryzach organizacja w praktyce niepodlegająca demokratycznej kontroli i najwyraźniej kierująca się swoim własnym kodeksem etycznym, będącym całkowitym przeciwieństwem zasad, zgodnie z którymi powinno funkcjonować państwo prawa.

– Napisałem wniosek do Ministerstwa Sprawiedliwości – powiedział. – Zostawię ci go za chwilę z prośbą o przekazanie do Komendanta Głównego Policji, ewentualnie ze swoimi komentarzami. Najpierw jednak muszę ci opowiedzieć o kilku incydentach, które wydarzyły się w zeszły czwartek, i zorganizowanej „kampanii dezinformacyjnej”, trwającej już od kilku tygodni. Może powinienem był porozmawiać z tobą wcześniej, ale

miałem na głowie trzy różne śledztwa. Dlatego też informuję cię o tym dopiero teraz.

Następnie wspólnie z Pedersenem nakreślili komendantce całą sprawę. Ona zaś słuchała uważnie, nie przerywając. Kiedy skończyli, powiedziała posępnie:

– Gdybyście opowiedzieli mi o tym pięć lat temu, uznałabym, że to na pewno kłamstwo. Ale po całej długiej serii skandali, do których doszło w siłach zbrojnych, na przestrzeni ostatnich kilku lat, jakoś wcale nie jestem zaskoczona. Pokaż mi to pismo, Simonie.

Simonsen wspiał się na wyżyny swoich możliwości, a ponadto skorzystał z fachowej pomocy prokuratorki Hansen. Pierwsze dwie strony wniosku do Ministra Sprawiedliwości zawierały przekonujące argumenty przemawiające za tym, by na potrzeby śledztwa wszczętego w sprawie masakry na wycieczkowcu ujawnić informacje dotyczące działalności Irene Gallagher w Bośni w dziewięćdziesiątym piątym roku. Szef wydziału zabójstw nie omieszkał nadmienić, że dane te posiada jego zdaniem FE, przy czym służby nie chcą ich przekazać. Poza tym Simonsen domagał się przesłania listy wszystkich pracowników Sił Zbrojnych Królestwa Danii, którzy albo współpracowali z Gallagher we wspomnianym okresie, albo też z uwagi na pełnioną funkcję mogą posiadać wiedzę o tym, co tam wtedy robiła. Takiej listy jednak wojsko również nie było skłonne sporządzić, nie mówiąc już o jej ujawnieniu. W związku z powyższym policja apelowała do Ministra Sprawiedliwości, by ten użył swoich wpływów i zobowiązał siły zbrojne do spełnienia przedmiotowego postulatu.

Komendantka przeczytała pismo dwukrotnie, po czym spytała Simon-sena:

– Ktoś ci pomagał?

– A co? Zwykle nie potrafię się składnie wyrażać?

– Nie, nie... nie to miałam na myśli. Ale powiedz: kto to napisał?

– Kirsten Hansen, nasza nowa prokuratorka. W każdym razie większa część jest jej autorstwa.

– Hmm, tak mi się właśnie wydawało. Ale jeśli wierzysz w to, że komendant główny przesłał to ministrowi sprawiedliwości, to chyba zupełnie

postradałeś zmysły. On tego nigdy nie zrobi, nie ma się co łudzić. Na dodatek pojechał właśnie z żoną na urlop we włoskie Alpy, gdzie mają spędzić dwa tygodnie w górskiej chacie w Courmayeur. Słyszałam, że to niezwykle malownicze miejsce, tyle że niestety kompletnie bez zasięgu. Natomiast jego zastępca na bank nie kiwnie nawet palcem w sprawie twojego wniosku, zanim miłośnik gór nie wróci do domu. To znaczy, jeśli w ogóle im to prześlę, bo szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiem, czemu miałabym to zrobić. Co o tym myślisz, Arne? Dlaczego mielibyśmy wypowiadać FE wojnę, która nie... no chyba że... grrr, niech cię diabli, Simonie...

Nagle zrozumiała. Zaczerpnęła głęboko powietrza i powiedziała:

– Pozwolimy, by to wyciekło do prasy...

Pedersen w zamyśleniu wpatrywał się w coś za oknem. „Życie to nie bajka, Peppo...” Simonsen w żaden sposób nie skomentował jej pomysłu, tylko poinformował:

– Jutro wezwę na przesłuchanie szefa obrony, jego zastępcę i naczelnika FE. Zaczniemy od nich, zanim zidentyfikujemy innych, niższych rangą pracowników sił zbrojnych, z którymi pracowała Gallagher.

– Tylko co w ten sposób wskóracie? – spytała roztropnie komendantka. – Oprócz tego, że ich rozjuszycie... Mam wprawdzie świadomość, że do tego właśnie zmierzacie, ale śledztwo nie posunie się dzięki temu ani o krok.

– Brakuje nam motywu działania Irene Gallagher... takiego, który będzie nie do podważenia, gdy postawią ją przed sądem – wyjaśnił Pedersen. – Jesteśmy jednak przekonani, że to wszystko jest jakoś związane z jej pobyt w Bośni. A nie dowiemy się, o co chodzi, jeśli nie skłonimy kogoś w szeregach sił zbrojnych do mówienia. Gdyby chociaż dali nam jakieś wskazówki, podpowiedzi... uchylili rąbka tajemnicy, a wtedy już byśmy dotarli po nitce do kłębka. Mamy również nadzieję na to, że jeśli przesłuchamy całą tę horde, bez względu na to, kto ostatecznie do niej należy, być może jedna osoba się wyłamie i nam pomoże, zupełnie anonimowo.

– To bardzo nikła nadzieja, nie przeczę, ale jedyna, jaką w tej chwili mamy. No chyba że masz lepszy pomysł – dodał szef wydziału.

Komendantka zaprzeczyła.

– Ministerstwo Sprawiedliwości wpadnie w szal – rzuciła sucho.

– A prasa obsmaruje Ministerstwo Sprawiedliwości – podsumował Simonsen.

Zapadła cisza. Obaj funkcjonariusze spoglądali wyczekująco na swoją szefową, podczas gdy ona patrzyła w pustkę przed sobą. Następnie przeczytała wniosek jeszcze raz i pokręciła z rezygnacją głową.

– Przygotuj, proszę, Hrabiankę na to, że jak mnie zwolnią i nie będzie mnie stać na jedzenie, to – już dziś zapowiadam – trzy razy w tygodniu będę się stołować u was w Søllerød... – zwróciła się do szefa wydziału zabójstw.

Rozdział 44

Wtorek, 12 października 2010 roku, komenda policji

Anica Buch zaczęła od streszczenia:

– Trzynastego lipca dziewięćdziesiątego piątego roku pułkownik Bjørn Lauritzen przebywa wraz z dziewięcioma duńskimi żołnierzami na posterunku obserwacyjnym na obrzeżach wsi Ljubičevac. Lauritzen widzi przez lornetkę, że kilku serbskich milicjantów więzi w jednym z domów w dolinie grupkę bośniackich Muzułmanek. Jedzie tam więc czołgiem razem z Olem Nystedem. Po dotarciu na miejsce pułkownik wyprowadza bandytów z budynku i każe im ustawić się w szeregu na dziedzińcu. Następnie zmusza ich, żeby usiedli na ziemi, i na chwilę ich oślepia, sypiąc im w oczy żwir, krępuje im ręce z tyłu, po czym każdemu zawiązuje nogę z nogą sąsiada. Później wsiada do swojego leoparda i odjeżdża, by korytem strumienia udać się do lasu, gdzie właśnie dochodzi do ludobójstwa, które potem nazwano masakrą w Srebrenicy. Serbscy żołnierze mordują tam bestialsko muzułmańskich mężczyzn i chłopców. Po kilku godzinach Lauritzen wraca na posterunek obserwacyjny, wioząc ze sobą kilku uchodźców, których zdołał uratować. Jednocześnie przyjeżdża tam jeepem z Tuzli łączniczka albo ewentualnie prokuratorka wojskowa Irene Gallagher. Dowiedziawszy się, że nie zastała pułkownika, z miejsca jedzie do doliny, lecz już go tam nie znajduje. Wraca więc z powrotem do żołnierzy z oddziału Lauritzena. Pułkownik zaś spotyka we wspomnianym domu dziewczynę, która mówi zarówno po duńsku, jak i po serbsku. Padła ona ofiarą gwałtu, jak pozostałe więzione tam kobiety. To właśnie jej tożsamość miałam ustalić...

Buch była wyraźnie zdenerwowana, ale wprowadzenie poszło jej dobrze. W zeszły piątek złożyła raport i ustnie poinformowała Simonsena, że

udało jej się wyjaśnić, kim była dziewczyna z dziedzińca w Bośni. Niestety już nie żyła... Szef wydziału zabójstw poprosił jednak, by funkcjonariuszka przedstawiła skrótowo wyniki swojego dochodzenia, w związku z czym wszyscy zgromadzili się teraz w jego biurowym aneksie. Obecni byli: sam Simonsen, Hrabianka, Pedersen i Arnold, a Borup wyświetlał slajdy na telewizorze z płaskim ekranem.

Anica pociągnęła łyk wody, po czym wskazała na mapę, na której zaznaczone były punkt obserwacyjny i rzeżone gospodarstwo.

– W tym momencie ten obszar należy do Bośni i Hercegowiny. Postępku obserwacyjnego już tam nie ma, co rozumie się samo przez się. Przy czym samego domu czy też obejścia, jakkolwiek by to nazwać, też nie widać. Możliwe, że budynek został zniszczony przez serbskie oddziały, które strzelały do uchodźców z dział armatnich i moździerzy. Choć bardziej prawdopodobne jest, że spalili go spacyfikowani przez Lauritzena bandyci, gdy już ich uwolniono lub ewentualnie sami zdołali się oswobodzić. Wszak Serbowie obrócili w popiół wiele domów w tej okolicy.

Skinęła głową w stronę Borupa, który przeszedł do kolejnego slajdu, to jest do wizerunku młodej Bośniaczki. Miała ciemne włosy i brązowe oczy, aparat ortodontyczny i dołeczki w policzkach. Była to typowa szkolna fotografia, wykonana profesjonalnie, acz bez polotu – ot taśmowa robota.

– Nazywała się Jelena Khrobic – powiedziała Anica. – To jej ostatnie zdjęcie, jakie udało mi się zdobyć. Ma na nim dziesięć lat i chodzi do piątej klasy. Fotografia pochodzi z dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Jej rodzina mieszkała w Randers i miała prawo stałego pobytu w Danii. Ojciec pracował w magazynie, a mama była sprzątaczką. Jelena miała też starszego brata, który uczęszczał do szkoły średniej. Latem dziewięćdziesiątego piątego roku wybrali się całą rodziną do Bośni, by odwiedzić tam dziadków ze strony matki. Mieszkali oni w miejscowości Bratunac położonej dziesięć kilometrów od Srebrenicy. Żadne z nich nie wróciło do domu żywe...

Następnie opowiedziała o tym, jak rodzina dziewczyny została schwytana podczas wojny, po przejęciu przez serbskich żołnierzy holenderskiej strefy bezpieczeństwa stworzonej w Srebrenicy. Ojca i brata Jeleny za-

strzelono w otaczających miasto lasach, a ją i jej matkę wraz z wieloma kobietami pojмали serbscy milicjanci. Serbowie wzięli je w opuszczonym gospodarstwie nieopodal wioski Ljubičevac, tam, gdzie duńscy żołnierze mieli swój posterunek obserwacyjny. I brutalnie je gwałcili do czasu, gdy zjawił się Bjørn Lauritzen i je uwolnił. Później wszystkie udały się piechotą do Tuzli, gdzie ONZ utworzyła inną strefę bezpieczeństwa. Po drodze przyłączyli się do nich również inni uchodźcy i w rezultacie zebrali się jakieś pięćdziesiąt osób, w tym wielu małych chłopców, których z racji wieku Serbowie najwyraźniej nie zamierzali mordować. Pech chciał, że wieczorem na południe od miasta Gerska kolumnę uciekinierów wyprzedzały dwie ciężarówki wiozące serbskich żołnierzy i kilku z nich ostrzelało uchodźców z karabinów maszynowych, ot po prostu, w geście czystego okrucieństwa. Dwadzieścia dwie osoby zginęły na miejscu, w tym matka Jeleny Khrobic. Sama dziewczyna została poważnie ranna i inne kobiety musiały ją nieść. Niestety nie minęła godzina, a nastolatka wykrwawiła się na śmierć w wyniku odniesionych ran.

– O tragedii tej opowiedzieli dziennikarzom gazety „Dnevni Avaz”, co oznacza „Głos Dnia”, naoczni świadkowie, a więc Bośniaczki, które ją przeżyły – ciągnęła dalej Buch. – Artykuł ukazał się w niedzielnym wydaniu tego dziennika z dwudziestego pierwszego maja dwutysięcznego roku. Załączyłam do swojego raportu kopię publikacji wraz z tłumaczeniem. Jeśli chodzi o Jelenę Khrobic, znalazłam tam taką oto wzmiankę. – Wzięła do ręki kartkę papieru i przeczytała na głos: – „Czterech z siedmiu rannych uchodźców zmarło później. Należała do nich między innymi młoda dziewczyna, która mieszkała w Danii, ale przyjechała do Bośni odwiedzić rodzinę”. I to by było na tyle. – Anica dobrnęła do końca raportu, a Malte włączył telewizor.

– Może i na tyle, ale nigdzie nie idziesz. Chcielibyśmy wiedzieć, jak udało ci się zdobyć te wszystkie informacje. Chętnie posłuchamy też o wszystkich ślepych uliczkach, w które po drodze zabrnęłaś. Ale usiądź już, proszę, a ja dla odmiany sobie postoję i rozprostuję nogi – rzucił Simonsen.

Anica zaprotestowała, nie było takiej potrzeby. Niemniej jednak po chwili usiadła, jako że miejsce i tak się zwolniło. Opowiedziała o tym, jak początkowo bezskutecznie przeszukiwała ewidencję ludności i inne oficjalne bazy danych, po czym obdzwoniła wszystkie pomniejsze jugosłowiańskie stowarzyszenia na terenie całego kraju i rozesała maile wszędzie, gdzie się dało. Niestety też nadaremnie. Później zaczęła studiować materiały dostępne w sieci: między innymi raport Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze – czyli sprawozdanie holenderskiego rządu poświęcone wydarzeniom w Srebrenicy z dziewięćdziesiątego piątego roku, oficjalne dokumenty batalionu Dutchbat, a więc holenderskich sił ONZ-etu, jak też inne raporty. To niestety również nie przyniosło żadnych rezultatów. Na koniec policjantka postanowiła skorzystać z Facebooka, gdzie odszukała i poprosiła o radę dosłownie wszystkich, którzy mieli cokolwiek wspólnego z byłą Jugosławią. Nie pytała ich oczywiście, czy znają dziewczynę, a jedynie, czy mogliby jej podpowiedzieć, jak może ją odszukać. I tak się złożyło, że pewien mężczyzna dał Anice cenną wskazówkę. Zasugerował mianowicie, że skoro Jelena przyjechała do Bośni tylko w odwiedziny, jej rodzina na pewno starała się za wszelką cenę wrócić z powrotem do Danii. Naturalne wydawało się zatem, że skontaktowali się z Ambasadą Danii w Belgradzie.

– Bardzo bym chciała móc się wam teraz pochwalić, że sama na to wpadłam, jednak niestety nie przyszło mi to do głowy, chociaż to takie oczywiste. Tak czy inaczej, to był świetny trop. Ustaliłam, że w tym okresie nie istniała już ambasada w Belgradzie, która byłaby akredytowana w Bośni, gdyż odpowiedzialność za stosunki z naszym krajem przejęła ambasada w Wiedniu. Ambasador jest obecnie na emeryturze i mieszka w Hellerup, więc wybrałam się tam, żeby z nim porozmawiać. Okazało się, że przypomina sobie rodzinę, która latem dziewięćdziesiątego piątego roku zwróciła się do nich o pomoc w powrocie do Danii. Niestety, jako że żadne z nich nie było obywatelem naszego kraju, a ambasada miała nawał pracy z innymi sprawami konsularnymi w Bośni i ogólnie poniekąd związane ręce, całkiem niewykluczone, że ich prośba o wsparcie wylądowała na samym końcu listy priorytetów. Ambasada nie zarejestrowała tego zgłosze-

nia, a on nie pamiętał nazwiska. Za to utkwilo mu w pamieci, gdzie mieszkali: mianowicie w Randers, gdzie on sam sie urodzil. Potem obdzwonilam wszystkie szkoly z pytaniem, czy w jednej ze starszych klas, to jest rocznikow, ktore rozpoczely nauke w sierpniu dziewiecdziesiatego piatego roku, nie bylo u nich przypadkiem uczennicy z Bośni, ktora z niewiadomych przyczyn przestala tam uczesczaczac. Jedna z placowek potwierdzila, ze mieli u siebie taka dziewczynę. W ten sposob zdobyłam imię i nazwisko i dowiedziałam się, że cała rodzina nagle zniknęła. Skontaktowałam się wobec tego z gminą Randers, bo założyłam, że musieli w którymś momencie dokonać podziału masy spadkowej, a jeśli tak było, to zapewne doszli do tego, że rodzina ta miała krewnych w Bośni. Tak oto udało mi się odszukać babcię Jeleny Khrobic. To ona mi o wszystkim opowiedziała, a ponadto przesłała wspomniany artykuł.

Nastala cisza. Simonsen pochwalil mloda policjantkę, rozgladajac się przy tym po gabinecie, by uchwycić spojrzenia pozostalych.

– Gdzie mam się stawić jutro rano? – spytala niepewnie Anica.

– Tutaj – odparla zdecydowanym głosem Hrabianka.

Rozdział 45

Wtorek, 12 października 2010 roku, zakład karny Vestre Fængsel

Wraz z upływem czasu Christoffer Brinch miał o swojej klientce coraz lepsze zdanie. Irene Gallagher zdecydowanie zyskiwała przy bliższym poznaniu. Z początku wydawała mu się zbyt opanowana, niekiedy arogancka i wyrachowana. Jak mówią, pierwsze wrażenie bywa mylne... W miarę, jak dowiadywał się o niej coraz więcej, docierało do niego, że za jej bezpośrednim sposobem bycia kryły się lęk i niepewność. Tak naprawdę pod wieloma względami była wrażliwą istotą. Poza tym miał poważne wątpliwości co do tego, czy zgromadzone przeciwko niej dowody faktycznie zostały sfabrykowane przez policję, jak kobieta konsekwentnie utrzymywała. To, co wcześniej uznawał za coś zupełnie nie do pomyślenia, nagle stało się godnym rozważenia wariantem, który jak najbardziej dopuszczał, jakkolwiek szalone mogłoby się to wydawać. To była jego czwarta wizyta w areszcie. Za każdym razem przynosił swojej klientce książki, same arcydzieła, wszystkie angielskojęzyczne. Najbardziej interesowały ją publikacje historyczne poświęcone działaniom wojennym, od bitwy pod Kurskiem w czterdziestym trzecim roku do zwycięstwa Hannibala nad Rzymianami pod Kannami kilkaset lat przed Chrystusem. Pochłaniała książki w niemal rekordowym tempie – na podstawie tego, jak często musiał donosić jej nowe pozycje, szacował, że była w stanie przeczytać ponad czterysta stron dziennie. No chyba że przeglądała je tylko pobieżnie, przy czym nic na to nie wskazywało. Często dzieliła się z nim tym, czego dowiedziała się od ich ostatniego spotkania, a gdy dociekał szczegółów, bez problemu odpowiadała na wszystkie jego pytania. Był to pewnego rodzaju small talk w jej wydaniu. Kiedy strażnik więzienny wpuścił Brincha do celi, Gallagher jak zwykle leżała na swojej pryczy zatopiona w lekturze.

Podniosła wzrok, uśmiechnęła się, wyraźnie zadowolona z jego wizyty, po czym spytała:

– Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli doczytam ten rozdział do końca, czy bardzo się panu spieszy?

– Nigdzie się nie spieszę. Tak że proszę sobie mną nie zawracać głowy...

Położył na małym stoliku przyniesione ze sobą książki. Tym razem były to biografia Maksymiliana Robespierre'a, ocena bitwy pod Gettysburgiem z punktu widzenia techniki wojskowej oraz dwutomowa powieść, której akcja toczyła się w czasie wojny Dwóch Róż. Kiedy już skończyła rozdział, podziękowała swojemu prawnikowi za nowe lektury, po czym wskazała na ośmiusetstronicowe dzieło poświęcone Stalinowi, które właśnie odłożyła.

– Pod koniec lat dwudziestych Stalin mieszkał ze swoją młodą żoną i garstką najbardziej wpływowych członków biura politycznego wraz z rodzinami na Kremlu, dosłownie drzwi w drzwi. Dzieciaki biegały samopas po wszystkich biurach i mieszkaniach, a zajmował się nimi ten, kto akurat miał na to czas i ochotę. Stworzyli tam wioskę, swoisty kolektyw, w którym panowały entuzjazm i idealizm. Czasy nie sprzyjały jednak ekstrawagancji, a kadra kierownicza wyższego szczebla, w tym sam Stalin, nie zarabiali więcej – to znaczy, nie chcieli zarabiać więcej – niż zwykły rosyjski pracownik. I to bez względu na to, że od każdego z nich zależało, dosłownie rzecz ujmując, życie, a zdecydowanie częściej śmierć, milionów ludzi. Więc na koniec miesiąca u nikogo się specjalnie nie przelewało, pieniądze się kończyły, jedzenie zaś było drogie. W związku z tym musieli od siebie nawzajem pożyczać. Pięć rubli tu, dziesięć rubli tam. Żeby tylko móc przyszykować dla całej rodziny garnek zupy na kolację. A warto nadmienić, że mówimy o politykach, którzy dzień w dzień uśmiercali tysiące Rosjan, ścierali ich na miazgę, dopóki nie stracono ich w imię rewolucji. Czyż to nie zadziwiające?

Brinch nie wiedział, jak to skomentować. W każdym razie na pewno nie użyłby w tym kontekście słowa „zadziwiające”. Z miejsca wyczuła, że się z nią nie zgadza, po czym stwierdziła:

– Zdecydowana większość Duńczyków ma zupełnie wypaczony stosunek do życia i śmierci. Traktują to wszystko zbyt poważnie...

– Co ma pani na myśli?

– Nie wiem... może tak to odbieram, bo z czasem stałam się zbyt cyniczna. To zboczenie zawodowe, zresztą nieważne.

– Nie, nie... proszę mówić. Chętnie posłucham.

Irene zaczęła swoją opowieść:

– Pamiętam pewne wydarzenie z młodości. Otóż dwóch Chińczyków miało zostać zastrzelonych. Zatrzymano ich za przemyt narkotyków, a w kraju, w którym do tego doszło, groziła za to kara śmierci przez natychmiastowe rozstrzelanie – o czym ci dwaj przemytnicy dobrze wiedzieli. Jako że pozostała im najwyżej minuta życia, zaczęli ze sobą rozmawiać. Rozprawiali o jedzeniu, a dokładnie o tym, jak przyrządza się hóngtáng... no tak, trudno to sensownie przełożyć, ale jest to pewnego rodzaju chiński barszcz pochodzący z prowincji Heilongjiang. W każdym razie obaj upierali się przy swoim: jeden twierdził, że danie to przygotowuje się na bazie czerwonej kapusty. Drugi zaś utrzymywał, że to wierutna bzdura. Robi się je z buraków. Ten pierwszy mówił, że trzeba dodać liść laurowy, a drugi, że absolutnie nie – potrawa nabrałaby wtedy zupełnie innego smaku. I tak dyskutowali sobie w najlepsze, nie przestali nawet wtedy, gdy dowódca pułku stanął za nimi i odbezpieczył pistolet. Pierwszy z nich dostał kulkę w głowę, ale jego przyjaciel nadal mówił, tyle że do leżących przed sobą zwłok. Zamilkł dopiero w chwili, gdy sam został zastrzelony... Żyjemy, umieramy, to wszystko bez znaczenia. „Życie jest cenne” i takie tam brednie... Tak naprawdę nasz żywot nie jest wart zbyt wiele: pif-paf i już nas nie ma, w czym problem?

Podczas wygłaszania tego monologu Gallagher wyraźnie się ożywiła. Teraz jej twarz znów przybrała standardowy niezgłębiony wyraz.

– Niewielu ludzi ma za sobą takie przeżycia jak pani – podsumował Brinch.

– Też prawda, czasami zupełnie o tym zapominam. À propos kiepskiej pamięci... Właśnie mi się przypomniało, że chciałam pana przeprosić; no

wie pan, za to, że podczas naszego pierwszego spotkania nazwałam pana idiotą. Nie jest pan idiotą, to po prostu cała ja, zniechęcam do siebie ludzi.

Brinch się uśmiechnął.

– Powiedziała pani tylko, że wyglądam trochę idiotycznie... Tak czy inaczej, nie ma sprawy.

– Czy dostał pan już i przeczytał ten raport, o którym ostatnio rozmawialiśmy? – zmieniła temat.

– Tak, zapoznałem się z nim. Ale mam nadzieję, że nie oczekuje pani, że oczernię przypadkowego funkcjonariusza z wydziału zabójstw. To nam naprawdę w niczym nie pomoże. Poza tym sędzia i tak na to nie pozwoli.

– Tyle że to nie jest po prostu przypadkowy policjant... I owszem, chciałabym, żeby nauczył się pan kluczowych fragmentów na pamięć. Nic nie robi takiego wrażenia na ławie przysięgłych jak obrońca, który po mistrzowsku żongluje faktami, omawiając je z głowy. Ale proszę skorzystać z moich sugestii tylko wtedy, jeśli sam uzna je pan za właściwe.

– Brzmi rozsądnie, zatem... umowa stoi. Przy czym potrzebne nam są racjonalne przesłanki – w przeciwnym razie sporządzony przez panią raport jest bezużyteczny.

– Myślę, że dostanie pan swoje przesłanki, gdy już rozpocznie się sprawa...

Brinch miał co do tego poważne wątpliwości, lecz zachował je dla siebie. Zamiast tego spytał:

– Zastanawia mnie, gdzie nauczyła się pani gromadzenia informacji na temat innych ludzi. I skąd pani w ogóle wiedziała, że takie, a nie inne dane mogą się okazać przydatne? Obstawiam, że zaczęła pani pisać to sprawozdanie jeszcze na długo przed aresztowaniem...

– Tego ostatniego nie mogę panu wyjawić, bo złamałabym prawo. Musi panu wystarczyć, że mam wielu przyjaciół... tu i tam. Proszę mnie jednak nie pytać gdzie, bo nie chcę pana okłamywać. Zdradzę panu natomiast, gdzie nauczyłam się gromadzenia danych. Otóż wyszkolono mnie wiele lat temu w absolutnie niezwykłym miejscu, o którym pewnie nawet pan nie słyszał, mianowicie w hrabstwie Fairfax.

Brinch zdjął okulary i włożył je do kieszeni marynarki. Bez szkieł na nosie widział ją bardzo niewyraźnie, lecz był to zamierzony efekt. Skrzyżował ręce na piersi i powiedział:

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, bardzo chciałbym pani bronić. Zastanawiam się jednak, czy tutaj nie przydałby się bardziej adwokat posiadający poświadczenie bezpieczeństwa, taki, z którym byłoby pani łatwiej rozmawiać. Proszę, żeby to pani rozważyła dla swojego własnego dobra.

Gallagher wyciągnęła rękę i położyła mu dłoń na ramieniu. W jej głosie po raz pierwszy dało się wyczuć niepokój.

– To znaczy, że mi nie pomożesz? W pewnym sensie mam tylko ciebie...

Z miejsca się wycofał:

– Nie to miałem na myśli, oczywiście, że pani pomożę.

Cofnęła dłoń i odetchnęła z ulgą.

– Cieszę się, Christofferze...

Rozdział 46

Czwartek, 14 października 2010 roku, Søllerød

– Obawiam się, że ktoś nas obserwuje, Simonie... – rzuciła Hrabianka, siłąc się na bez troski ton, choć to, co właśnie odkryła, było, łagodnie mówiąc, osobliwe.

Rezultat jej starań okazał się jednak mierny. Stała przy oknie w pokoju dziennym i wyglądała na drogę. Był wczesny ranek i nie zrobiło się jeszcze całkiem jasno. Simonsen jadł śniadanie przy kuchennym stole.

– Halo, jesteś tam? – zawołała do niego, podnosząc głos.

Inspektor potwierdził. Już dawno zauważył zaparkowane przed domem auto.

Hrabianka weszła do kuchni.

– Jak długo już tam stoją i czemu ja nic o tym nie wiem?

Jej mąż odłożył łyżkę. Jadł właśnie owsiankę z winogronami i cynamonem, swoje ulubione danie będące stałą pozycją w domowym menu Simonsenów.

– Nie ruszyli się stąd przez całą noc... To czysta prowokacja, więc najlepiej będzie, jak ich zignorujemy.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz zrobić nic głupiego...

– Pewnie, że nie. Właśnie to usiłuję ci powiedzieć: po prostu udawajmy, że ich tam w ogóle nie ma. Nie mogą tak przecież wiecznie siedzieć i się na nas gapić.

Hrabianka przyznała mężowi rację. Na pewno w końcu im się znudzi. Tak czy inaczej, zmarkotniała. Bardzo jej się to nie podobało.

– Sprowokowałeś ich tymi wczorajszymi przesłuchaniami. Nie jestem pewna, czy postąpiłeś słusznie. Może ciebie to nie wzrusza, ale ja bynajmniej nie czuję się komfortowo... Ewidentnie próbują nas zastraszyć...

Dzień wcześniej trzem najwyższym postawionym oficielom z FE doręczono pisemne wezwanie na przesłuchanie. Mieli się stawić w komendzie pod rygorem przymusowego doprowadzenia przez policję. To był wyraźny sygnał, że wydział zabójstw sam decyduje o tym, kogo chce przesłuchać, a tylko bardzo nieliczne osoby w państwie chroni immunitet. Pracownicy Sił Zbrojnych Królestwa Danii najwyraźniej do nich nie należeli. Simonsen miał świadomość, że ich zeznania nie posuną śledztwa do przodu – liczył się z tym, że nie będą mogli albo też chcieli mu pomóc. Zamierzał jednak odplacić się służbom zawiązaniem za niedopuszczalny incydent w lesie Store Hestehave, a dobrze wiedział, że przesłuchanie będzie dla nich wielkim upokorzeniem. Pismo do ministerstwa to jedno, a osobisty rewanż – drugie.

Hrabianka usiadła obok Simonsena z gazetą i filiżanką herbaty.

– Nie widziałaś gdzie może mojego dyktafonu? – spytał. – Nie mogę go nigdzie znaleźć.

Jego żona zaprzeczyła, lecz bez wielkiego zaangażowania. Nagminnie gubił swoje urządzenie, a ono zawsze wcześniej czy później samo się znajdowało.

– Hmm... To dziwne, bo szukałem już dosłownie wszędzie, ale...

Przerwał. Nagle przyszło mu do głowy coś, o czym na śmierć zapomniał, choć myślał o tym przez większą część minionego wieczoru.

– A co z dziennikiem „Dagbladet”? Wspominałaś coś o tym, że mają ci go przywieźć w nocy taksówką...

Zadbał o to, by informacja o jego wniosku do ministerstwa wyciekła do prasy, i był ciekaw, czy gazeta faktycznie zamieści odpowiednią wzmiankę. Gdyby tak się stało, chciał wiedzieć, jak dużo miejsca jej poświęcono. Poprzedniej nocy dość wcześnie poszedł spać, bo oczy same mu się zamykały. Hrabianka natomiast dłużej była na nogach. Powinna była zatem odebrać przesyłkę.

– A jak ci się wydaje, co właśnie czytam?

Dopiero wtedy spostrzegł, że to, co żona trzyma w ręku, nie jest jej zwykłą poranną gazetą.

– Może więc coś byś powiedziała?... Albo po prostu daj mi zobaczyć. Piszą coś o tym?!

I owszem. „Dagbladet” stanął na wysokości zadania, zamieszczając w środku porannego wydania obszerny, bo aż trzystronicowy reportaż, opatrzony w dodatku dużym zdjęciem szefa wydziału zabójstw. Wydzwięk artykułu był nader korzystny dla policji. Jego autorzy zupełnie nie pojmowali, jak tajemnice sił zbrojnych mogą utrudniać śledztwo w sprawie dotyczącej bestialskiego zabójstwa piętnaściorga dzieci. Hrabianka przerzucała kolejno strony gazety.

– Wzmianka o sprawie jest też na pierwszej stronie! A tego już nam nie odpuszczają, Simonie, o nie... Posłuchaj tylko zakończenia: „Pytanie jest proste: Czy chcesz żyć w kraju, w którym tajne organizacje wojskowe w sposób niekontrolowany chronią morderców, umyślnie udaremniają śledztwo policyjne i podcierają sobie tyłki duńską konstytucją? I wszystko to, notabene, za twoje pieniądze! Jeśli tak, mamy dla ciebie dobrą wiadomość, bo właśnie w takim kraju teraz żyjesz. Jeśli nie, musimy mówić jednym głosem; i to głosem donośnym, by usłyszano nas aż na wyspie Slotsholmen, gdzie za grubymi murami ma siedzibę Ministerstwo Sprawiedliwości. A jak wszyscy dobrze wiemy, słuchają oni z reguły tylko i wyłącznie swoich wazeliniarzy i klakierów. My w »Dagbladet« nie mamy żadnych wątpliwości. Mówimy zdecydowane »NIE!«. A ty?”

Simonsen wprost nie posiadał się z radości. Dzięki jasnemu stanowiisku dziennikarzy ministerstwo zostanie przyparte do muru. Koniec końców będą musieli pomóc policji!

Ale Hrabianka wyraźnie nie podzielała entuzjazmu męża.

– Uważaj, żeby te twoje pobożne życzenia nie przysłoniły ci zdrowego osądu, Simonie. „Dagbladet” nie ma żadnego stanowiska, albo raczej: ma takie stanowisko, jakie w danym momencie zagwarantuje mu największą sprzedaż...

Kobieta zebrała się do wyjścia, a Simonsen odprowadził ją do auta i poczekał przy bramie, aż odjedzie. Nie prosiła go wprawdzie o to, ale czuł, że to doceni. Mężczyźni w samochodzie zaparkowanym po drugiej stronie drogi przyglądali im się ze stoickim spokojem – niczego innego się

zresztą nie spodziewał. Z trudem oparł się pokusie, by pokazać im środkowy palec. Zamiast tego ruszył w kierunku domu. Tam z wielką niechęcią zasiadł do rozliczeń wydziałowych, z którymi – pod naciskiem komendantki – postanowił się wreszcie rozprawić. Nienawidził tej roboty i zazwyczaj zajmował się tym w domu, gdzie nikt mu nie przeszkadzał albo raczej: gdzie pozwalał, by przeszkadzało mu wszystko i wszyscy, byle tylko nie musiał ślęczeć nad tymi cholernymi rachunkami.

Koło południa auto z tajniakami odjechało, ale pół godziny później już było z powrotem, tym razem jednak z nową ekipą; Simonsen stwierdził z rozbawieniem, że obaj panowie mają brody. Zapisał to sobie, choć w zasadzie nie miał pojęcia, po co to robi. Po chwili zadzwonił Pedersen z nowinkami na temat Gallagher. Otóż komisarz wraz z kilkoma innymi funkcjonariuszami odkryli, że w dniu popełnienia morderstwa na wycieczkowcu podejrzana koło dziesiątej rano zjawiała się w kafejce Kirkebageren przy ulicy Elvindsvej. Lokal ten znajdował się naprzeciwko kościoła Wybawiciela w Charlottenlund.

Spędziła tam jakieś trzy kwadranse, popijając kawę, czytała grubą księżkę o Bismarcku, to znaczy o pancerniku, a nie Żelaznym Kanclerzu.

W wiadomościach o trzynastej lokalny kanał informacyjny nadał wywiad z ministrem sprawiedliwości. Przeciek dotyczący wniosku skierowanego do ministerstwa przez wydział zabójstw i artykuł opublikowany na łamach dziennika „Dagbladet” od rana były tematem numer jeden we wszystkich mediach. I prawie wszyscy – a wśród nich bardziej postępowi politycy opozycji, uczestnicy debaty społecznej, były szef wywiadu i komentatorzy polityczny – byli zgodni co do tego, że minister sprawiedliwości nie ma wyjścia i będzie musiał spełnić postulaty policji. Simonsen nie był jednak taki pewien, czy faktycznie do tego dojdzie, a to z uwagi na wypowiedź premiera. Kilku dziennikarzy, którzy chcieli poznać jego stanowisko w sprawie sensacyjnej publikacji w „Dagbladet”, przydybało go pod pałacem Christiansborg. Jak się można było spodziewać, odmówił wszelkich komentarzy, odsyłając ich do ministra sprawiedliwości. Zaraz jednak dodał, że pewne kwestie nie bez powodu mają charakter poufny. Gdyby założyć, że ta niby niefrasobliwa uwaga premiera została w rzeczywistości

pieczołowicie zaplanowana, nie wróżyłoby to nic dobrego, jeśli chodzi o przychyłność ministra wobec wydziału zabójstw.

Jak się okazało, założenie było słuszne. Minister sprawiedliwości faktycznie pojawił się w studiu, przy czym z miejsca odmówił wkraczania w kompetencje Sił Zbrojnych Królestwa Danii i FE, jeśli chodzi o odmowę ujawnienia informacji dotyczących Irene Gallagher. „Nie bez powodu pewne kwestie mają charakter poufny” – powtórzył sumiennie słowa szefa rządu. Poza tym używał bardzo ogólnikowych zwrotów. Oznajmił, że do wiadomej sprawy odniesie się dopiero w chwili, gdy otrzyma oficjalne oświadczenie od kierownictwa policji. Jak na razie jest to po prostu jakieś dochodzenie, o którym rozpisuje się dziennik „Dagbladet”. On zaś oczekuje konkretów. Tu jednak popełnił karygodny błąd – niemalże bezpośrednio zarzucił bowiem kadrze kierowniczej policji, że mają bałagan w papierach, skoro informacje wyciekły do prasy. „Ogólnie rzecz biorąc, minister sprawiał wrażenie kompetentnego i wyszedł z tego całego z twarzą”, pomyślał Simonsen. Jednocześnie przyznał sam przed sobą, że najprawdopodobniej przegrał potyczkę, którą sam sprowokował. Jedyne, co osiągnął, to hałas i zamieszanie.

Wściekły wyłączył telewizor i wrócił do swoich rachunków. Niedługo potem przyszedł długo wyczekiwany mail od zastępcy Komendanta Głównego Policji, który najwyraźniej wpadł w istny szał. Doniesiono mu mianowicie, że według ministra sprawiedliwości z podległego mu wydziału wyciekają do prasy ważne dokumenty. Dlatego też przekazał wniosek, nie czekając, aż jego przełożony wróci z urlopu. Lecz nie miało to już praktycznie żadnego znaczenia. Postulaty Simonsena zostaną odrzucone, nie było co do tego najmniejszych wątpliwości.

Rozdział 47

Piątek, 15 października 2010 roku, Cytadela, Kopenhaga

Simonsen nie po raz pierwszy wybierał się do Cytadeli. Bywał tam często zarówno zawodowo, podczas wykonania obowiązków służbowych, jak i prywatnie, gdy on i matka Anny Mii byli młodzi i świeżo zakochani. Mieszkali w tamtym czasie w dzielnicy Østerbro i w niedzielne popołudnia wybierali się nieraz do Cytadeli, gdzie podziwiali piękną architekturę i przechadzali się wijącymi się wzdłuż porośniętych trawą wałów ścieżkami, które prowadziły do pięciu bastionów. Twierdzę wzniósł na początku siedemnastego wieku król Christian IV, a w tysiąc osiemset siódmym roku, podczas bombardowania Kopenhagi, Duńczycy bronili się tam zaciekle przed siłami brytyjskimi. W Cytadeli więziono wielu prominentów, między innymi Johanna Struenseego, idealistę, który nieco za wcześnie zaczął szerzyć w Danii ideę liberalizmu, a do tego trochę za bardzo spoufalił się z duńską królową.

Simonsen zostawił auto na parkingu pod Muzeum Wolności i skierował swoje kroki w stronę placu Kościelnego, który otaczały północne i południowe skrzydło budynku. Na wschód znajdował się kościół Cytadela, a od strony zachodniej – Dom Komendanta, w którym jeszcze niedawno mieszkał i miał swoją siedzibę szef obrony, będący najwyższym dowódcą wojskowym w kraju. Kilka lat temu ustąpił jednak ze stanowiska i od tego czasu budynek stał pusty.

Na placu Kościelnym z reguły panował spokój. Choć sama Cytadela stanowiła formalnie teren wojskowy, którego strzegła garstka strażników z Duńskiej Gwardii Królewskiej, skwer był uporządkowany i przyjazny dla spacerowiczów, przypominał bardziej park niż twierdzę.

„Od każdej reguły są jednak wyjątki”, pomyślał Simonsen, rozglądając się wokół, by zyskać ogłęd sytuacji. „Porządek” to było ostatnie słowo, jakie przyszłoby mu do głowy. „Chaos” znacznie lepiej oddawał obecny stan rzeczy.

Pod Domem Komendanta zebrała się spora grupka dziennikarzy, a kilka ekip reporterów nagrywało już relacje dla telewizji. Na samym środku placu stały trzy wozy strażackie, a między nimi widać było pozostałości ogniska – niewielkiego wprawdzie, ale że wszystkie pobliskie obiekty znajdowały się pod ochroną konserwatora budynków, strażacy z Østerbro woleli nie ryzykować. Na skwerze roilo się od pracowników biurowych, lecz nie brakowało też wojskowych; wszyscy poirytowani i wyraźnie wstrząśnięci. Do tego, co szczególnie trafiło w czuły punkt inspektora, większość okien Domu Komendanta stała otworem, a z każdego z nich wychylały się po dwie, trzy głowy. Młodzi żołnierze spoglądali na skwer spokojnym wzrokiem, totalnie niewzruszeni panującą na zewnątrz wrzawą. Zupełnie jakby próbowali powiedzieć, że nieraz do nich strzelano, że zdarzało im się wyjechać na patrol, nie wiedząc, kiedy i gdzie wybuchnie kolejna bomba przydrożna, że przeżyli niejedyną atak rakietowy, krótko mówiąc: byli na wojnie, więc bez względu na to, jak i czym ich zaatakują, oni nie boją się już niczego. Jeśli ktoś chce się z nimi bić, są zwarci i gotowi, jeśli nie, też okej, dla nich bez różnicy.

– Słyszałeś już, jak się tu dostali?

Simonsen się odwrócił. Stał za nim starszy funkcjonariusz policji, którego znał. Potrząsnął głową, nie, nie miał pojęcia.

– Najpierw pomogli sobie nawzajem wspiąć się na wysokość okien, potem rozbili kilka szyb, otworzyli jeden czy drugi lufcik i wczłógali się do środka – zaczął wyjaśniać znajomy. – Jednocześnie w odległości dziesięciu metrów od nich stało kilkunastu gwardzistów, którzy grozili otwarciem ognia. Mają broń naładowaną ostrą amunicją i nikt nie mógłby im nic zarzucić, gdyby zaczęli strzelać. Wszak mają do tego prawo. A wiesz, co zrobili wtedy weterani? Absolutnie nic. Całkowicie ignorowali strażników, nawet kiedy oddali kilka strzałów ostrzegawczych. W końcu gwardziści odpuścili. Nie mieli wyjścia, mogli ewentualnie na serio zacząć do nich

strzelać. Tego jednak nie zrobili, po prostu stamtąd odeszli, wszyscy oprócz komendanta straży. Ten wpadł w furję i porządnie ich obsztorcował, stał tam i wydzierał się wniebogłosy, ale sam również nie posunął się do tego, by oddać strzał. Zresztą na niego też kombatanci w ogóle nie zwracali uwagi, więc w końcu całkiem ochrypl i także sobie poszedł. Trzeba być twardzielem, żeby nic sobie nie robić z mundurowego z automatem w rękę, za pomocą którego – jak dobrze wiesz – można rozwalić człowieka na pół, zanim zdąży mrugnąć.

– A skąd ten ogień? – spytał Simonsen.

– Rozpalili ognisko i ciskali w płomienie swoje medale.

– Czego chcieli? Przedstawili jakieś żądania czy coś w tym stylu?

– Myślałem, że dowiem się tego od ciebie. To znaczy... nie jest tak, że to ty koordynowałeś tę akcję?

Starszy pan najwyraźniej był dobrze poinformowany. Faktycznie, jakąś godzinę temu do Simonsena zadzwonił jeden z weteranów z ośrodka z informacją, że zamierzają wesprzeć go w walce z siłami zbrojnymi. Przy czym nie zdradził mu żadnych szczegółów.

– Nie. Nie miałem z tym nic wspólnego – odparł. – Wiesz może, o co im dokładnie chodziło?

– Rozjuszyło ich to, co ujawnił dziennik „Dagbladet”, ale nie mają żadnych konkretnych żądań.

– Rozmawiałeś z nimi?

– Tak. Jakiś czas temu poszedłem do nich, żeby ich upomnieć, że to budynek o historycznej wartości, więc lepiej niech tam niczego nie zdemolują.

Szef wydziału zabójstw chciał wiedzieć, jak funkcjonariusz dostał się do środka.

– Normalnie, drzwiami – odparł znajomy. – Wpuścili mnie bez większego problemu, ale też nie stanowiłem dla nich żadnego bezpośredniego zagrożenia. Raczej nie wyrzuciłbym ich stamtąd w pojedynkę. Ale sami sobie pójdą za jakąś godzinę. Tak mi powiedzieli i myślę, że tak właśnie będzie. No... To teraz już wszystko wiesz. Powiedziałem to tylko tobie.

– Dlaczego tylko mnie?

– Bo idziesz na spotkanie z szefem obrony, który jest obecnie zły jak osa, niestety głównie na ciebie. Zobaczysz się też z dowódcą akcji, czyli moim przełożonym, i, nie uwierzysz, cieszącym się uznaniem całego narodu ministrem sprawiedliwości. W zasadzie to właśnie zamierzałem ci powiedzieć. Czekają na ciebie wszyscy w Magazynie Południowym. Przy czym, prasa nie wie, że minister tu jest, a on sam chyba woli, żeby tak właśnie pozostało. Po prostu już tu wcześniej był, zupełnie przypadkowo; jego zięć, który służył w Kabulu w Afganistanie, miał zostać odznaczony medalem za zasługi, więc minister chciał być obecny na ceremonii. Ale wracając do twojego pytania: powiedziałem o tym tylko tobie, bo wyszedłem z założenia, że te informacje mogą ci się przydać. Jak też dlatego, że zdecydowana większość z nas, policjantów, trzyma z tobą, a nie z FE. Tak samo zresztą jak weterani. I lwia część mediów.

– To nie jest moja osobista batalia przeciwko siłom zbrojnym...

Funkcjonariusz się uśmiechnął. Bez względu na to, czy szef wydziału zabójstw naprawdę wierzył w to, co mówił, czy nie, wszyscy i tak wiedzieli swoje. Później opowiedział mu o tym, jak w komendzie Station City na wieść o zamieszkach i nielegalnym wtargnięciu przez kombatantów do samego centrum dowodzenia sił zbrojnych, czyli do Cytadeli, ogłoszono alarm, w związku z czym dowództwo zarządziło rozpoczęcie szeroko zakrojonej operacji. Naprędce zgromadzono prawie stu funkcjonariuszy w mundurach bojowych, zaopatrzonych w gaz łzawiący i ogólnie w pełnym rynsztunku. Załadowali ich do czterech autobusów i niezliczonej liczby radiowozów, po czym całą kolumną ruszyli na sygnale na miejsce zdarzenia.

– Niestety mój szef i trzech innych kolegów się pomylili, sam wiesz, komunikacja czasem zawodzi, nieraz to już przerabialiśmy – ciągnął znajomy Simonsena, teraz już zanosząc się śmiechem. – W każdym razie cała ta karawana zamiast do Cytadeli ruszyła na sygnale na ulicę Kastelsvej. Teraz stoją wszyscy pod ambasadą Nikaragui i czekają na dalsze rozkazy, bo jak na razie minister sprawiedliwości zabronił im tu przyjeżdżać.

Chciałby w miarę możliwości rozwiązać ten problem bez używania przemocy.

W Magazynie Południowym mieściła się obecnie Biblioteka Sił Zbrojnych posiadająca w swoich zbiorach literaturę specjalistyczną poświęconą wszystkim trzem siłom zbrojnym, czyli wojsku lądowemu, marynarce wojennej i siłom powietrznym. Była to placówka publiczna, niemniej prawie nikt z niej nie korzystał. Mężczyzna poprowadził Simonsena przez czytelnię do pomieszczenia w głębi, w którym na co dzień oprawiano i naprawiano książki. Przytrzymał mu drzwi, ale sam nie wszedł. W środku siedziały trzy osoby: minister sprawiedliwości, szef obrony i dowódca kopenhaskich służb porządkowych. Atmosfera była wyraźnie napięta. „Nie trzeba być psychologiem, żeby wiedzieć, że coś wisi w powietrzu”, pomyślał Simonsen, po czym zajął miejsce przy małym stoliku, wokół którego siedzieli już pozostali. Nie przywitali się z nim zbyt wylewnie, szef obrony skinął mu oficjalnie głową, a zwierzchnik resortu rzucił:

– Dobrze, że pan jest. – Co również niewiele miało wspólnego z wylewnością.

Tylko dowódca akcji, który z pewnością chciał pokazać, po czyjej stronie, ożywił się i rzucił:

– Hej, Simonie.

Simonsen spojrział na ministra, bo wyszedł z założenia, że to właśnie on go wezwał. Ten rzeczowo nakreślił mu sytuację, po czym, wskazując na niego palcem, zapytał:

– Czy to pan, panie inspektorze, jest odpowiedzialny za cały ten burdel?

Kierownik wydziału zabójstw odpowiedział zgodnie z prawdą, że nie ma z tym nic wspólnego, co nie zmienia faktu, że ci, którzy za tym stoją, chcieli mu zapewne w ten sposób pomóc.

– Ale to pan pozwolił, żeby ten pański cholerny wniosek do mojego ministerstwa wyciekł do prasy, prawda?

– Zgadza się.

– Wiedziałem! – zawołał triumfująco szef obrony, na co minister z miejsca posłał mu gniewne spojrzenie.

Sam skomentował tę informację jedynie nosowym „hmm”, po czym zapytał:

– Może pan ich poprosić, żeby opuścili Cytadelę?

Simonsen czekał na to pytanie, więc miał w głowie gotową odpowiedź:

– A jaką mamy alternatywę?

– Jak to: jaką mamy alternatywę?

– Możemy ich zignorować i poczekać, aż zgłodnieją i sami sobie pójdą. Jakkolwiek by na to patrzeć, to po prostu pusty gmach, więc chyba nie wyrażają tam żadnych szkód...

Celowo dobierał słowa tak, żeby sprowokować szefa obrony. I osiągnął swój cel. Mężczyzna, gotując się ze złości, wrzasnął:

– Po prostu pusty gmach? Czyś pan na głowę upadł?! Mówimy o Domu Komendanta w Cytadeli! Czy pan sobie w ogóle zdaje sprawę...

– Cisza! – przerwał mu minister głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Poczerwieniały na twarzy szef obrony zamilkł. Minister zaś spojrział na Simonsena, a ten powiedział:

– Okej, pójdę z nimi porozmawiać, o ile w ogóle otworzą mi drzwi. Ale jeśli opuszczą Cytadelę z własnej woli, muszę mieć pewność, że nie zostaną spisani i nikt nie będzie ich później ścigać. Potrzebuję dobrej karty przetargowej. Poza tym są dwa problemy. Po pierwsze: czy pańscy ludzie na pewno posłuchają rozkazu? – zwrócił się inspektor do dowódcy akcji, ale szef obrony znowu się wtrącił:

– To teren wojskowy! I mam już po dziurki w nosie tych pogaduszek. Jeśli policja nie usunie intruzów z naszej siedziby, i to zaraz, to wezwę inne służby, które bez wątplenia sobie z tym poradzą, bez względu na to, jak wy, panowie, we trzech się na to zapatrujecie!

To były niebezpieczne słowa... Minister, słysząc je, zniżył głos, po czym wycedził powoli i wyraźnie:

– Nie zrobi pan tego. Wszystko będzie się odbywać zgodnie z moimi rozkazami. A już z pewnością nie podejmie pan żadnych kroków, jeśli panu tego stanowczo zakazę.

– Ale ja nie podlegam pańskim rozkazom.

– Nie, ale mogę zadzwonić do kogoś, komu pan bez dwóch zdań podlega. Tyle że ta osoba raczej nie będzie zadowolona z tego, że mieszamy ją w swoje sprawy, więc wolałbym tego uniknąć. Myślę, że pan też, bo jeśli ten ktoś się dowie, że nie uznaje pan przysługującego rządowi prawa do rozstrzygnięcia tej kwestii, bez wątpienia zostanie pan zawieszony w trybie natychmiastowym i wysłany na tymczasowy urlop.

Szef obrony po raz kolejny się wycofał, burknąwszy pod nosem, że minister najwyraźniej opacznie go zrozumiał.

– Moi ludzie wprawdzie z wielką niechęcią, ale oczywiście wkroczą do akcji, zwłaszcza jeśli będzie wiadomo, że nie ma szans na negocjacje – rzucił ponuro dowódca akcji.

Minister skinął głową.

– Doskonale.

– Wspomniał pan, panie inspektorze, o dwóch problemach. Jaki jest ten drugi? – zwrócił się następnie do Simonsena.

– No więc, jeśli usuniemy ich stąd siłą, może to być strzał w kolano, bo przed budynkiem aż roi się od dziennikarzy. Czyli przez następne trzy dni w wiadomościach będą pokazywać brutalne zdjęcia, a nie trzeba być spin doktorem, żeby wiedzieć, że raczej wolałby pan tego uniknąć. Dlatego też sugeruję, żeby gwardziści wyprosili stąd wszystkich dziennikarzy.

Szef obrony żywo zaprotestował:

– ...co w oczach prasy rzuci możliwie najgorsze światło na siły zbrojne. Wykluczone, poza tym to zadanie policji. Zresztą, nie spieszy się. Zaczekajmy, aż się wyjaśni, czy ci awanturnicy są skłonni opuścić gmach dobrowolnie.

Dowódca akcji bardzo się obruszył:

– Nie ma mowy. Moi ludzie są tu po to, żeby w razie potrzeby wyprowadzić stąd nieproszonych gości, a nie żeby pilnować porządku publicznego. To bez dwóch zdań leży w gestii wojska. Koniec tych bzdur!

Simonsen pomyślał, że jego kolega po fachu ma tupet. Nie każdy odważyłby się zwrócić do głównego dowódcy sił zbrojnych w tak bezceremo-

nialny sposób. Minister jednak w żaden sposób tego nie skomentował. Zamiast tego polecił szefowi obrony:

– Proszę kazać strażnikom usunąć z Cytadeli prasę, ale niech nie biorą ze sobą broni, bo nie ma takiej potrzeby. A zaraz potem pan ma spróbować wejść do budynku – powiedział już do szefa wydziału zabójstw. – I oczekuję, że dołoży pan wszelkich starań, żeby uwolnić gmach od intruzów.

Pół godziny później wszyscy czterej spotkali się ponownie. Simonsen bez problemu dostał się do Domu Komendanta, gdzie okazało się, że weterani właśnie szykują się do wyjścia. Nic nie było zniszczone, odłamki szkła pochodzące z rozbitych szyb okiennych zostały zamiecione, owinięte gazetami i wrzucone do pojemnika na odpady papierowe, a na parapecie leżały pięćsetkoronowe banknoty, które kombatanci zostawili na pokrycie kosztów niezbędnych napraw. Ci, z którymi inspektor rozmawiał, nie chcieli mu zdradzić, co przeprowadzona przez nich akcja miała właściwie na celu. Niemniej dowiedział się, że w środowisku weteranów podniosła się wrzawa. Wszyscy byli oburzeni tym, że FE najwyraźniej chroni kobietę, która zmanipulowała i wykorzystała Bjørna Lauritzena. Podczas gdy pułkownik, jak zresztą wielu innych, nie otrzymał od państwa pomocy, mimo że ta pomoc bezsprzecznie mu się należała. Simonsen tak właśnie przypuszczał. Jako że wszystko zostało już powiedziane, ostatnie dziesięć minut przed wyjściem z budynku poświęcił na rozmowę z mężczyzną, którego znał z ośrodka w dzielnicy Vesterbro. Rozprawiali o szachach.

Simonsen krótko zrelacjonował przebieg swoich pertraktacji z kombatantami, nieco naciągając przy tym rzeczywistość. Zupełnie jakby nie była to beztraska pogawędka, a prawdziwy majstersztyk negocjacji. Pozostali wysłuchali go bez większego zainteresowania, gdyż to, jak tego dokonał, było dla nich w zasadzie bez znaczenia. Najważniejsze, że weterani opuścili budynek. Tym samym spotkanie dobiegło końca. Szef obrony niemalże pędem rzucił się do drzwi, a zaraz po nim wyszedł dowódca akcji.

– Pojedzie pan ze mną, podwozę pana do komendy. Jeśli jest pan tutaj swoim autem, to niech ktoś po nie przyjedzie – rzucił minister, gdy już zostali sami.

W drodze na parking obaj milczeli. Dopiero gdy opuścili teren Cytadeli, minister powiedział:

– Teraz proszę uważnie posłuchać, panie inspektorze, bo to, co powiem, nie podlega żadnej dyskusji. Zasadniczo to mój ukłon w pana stronę, jako że był dziś pan wobec mnie szczery, choć pewnie zostanie to odebrane inaczej...

– Zamieniam się w słuch.

– Ten pański cholerny wniosek zostanie odrzucony. Ani ja, ani żaden inny polityk nie będziemy grzebać w poufnych archiwach FE, a już zwłaszcza w sytuacji, gdy utajnione dane dotyczą innych mocarstw. Są naturalnie obrońcy zasad i eksperci prawni, którzy się z tym nie zgadzają, lecz zdecydowana większość społeczeństwa albo nie ma na ten temat zdania, albo popiera to, że zarówno policja, jak i wojsko w pewnych okolicznościach mają prawo, a nawet obowiązek nie informować opinii publicznej o swoich działaniach. Tak czy inaczej, zostawię panu pewną furtkę, ale do tego jeszcze wrócimy. Najpierw jednak: pan odstąpi od przesłuchania szefów FE, bo to czysta prowokacja, a FE skończy z szykanowaniem pańskiej osoby. O to ostatnie zadbam osobiście. Ale proszę pamiętać, jeśli wytnie mi pan jeszcze jeden taki numer, to pana odwołam, panie inspektorze, choć wiem, że będzie to ze sobą niosło nieprzyjemne konsekwencje. No... Czyli wszystko jasne. A więc, zgoda?

Simonsen potwierdził skinieniem głowy. Cóż innego mógł zrobić?

– A co z presją, którą wywiera na mnie pana ministerstwo? Nie mówiąc już o Kirsten Hansen? – Szef wydziału zabójstw celowo zmienił temat.

– To było uchybienie, za które przepraszam i które więcej się nie powtórzy. Ale czy nie przyszło panu do głowy, że może z korzyścią dla naszego kraju byłoby, gdyby Irene Gallagher zabrała stąd swoje manatki i przeniosła się do Nowej Zelandii, czy gdzie ona się tam wybierała? Zdarza się, że przestępcy pozostają na wolności, wie pan o tym lepiej niż ktokolwiek inny. A w jej przypadku wszyscy by na tym zyskali...

– Nie zyskałoby na tym na pewno moje poczucie sprawiedliwości – zaprotestował Simonsen. – Poza tym zamordowała jedną z moich podwład-

nych. Proszę o tym nie zapominać. Apeluję tu do pana jako do człowieka, a nie szefa resortu.

Przejechali kilka przecznic w całkowitej ciszy, widocznie minister musiał przetrwać słowa inspektora. Najwyraźniej jednak postanowił przemilczeć tę uwagę, bo wrócił do swojej, jak sam to określił, „furtki”.

– Zadbam o to, żeby odpowiedni pracownicy sił zbrojnych posiadający wiedzę o służbie Gallagher w Bośni przejrzyli archiwa i rozważyli, czy są tam jakiegokolwiek istotne dane, które nie zostały utajnione i które można tym samym przekazać policji. Wiem, że to nic wielkiego, ale tyle jestem w stanie zaoferować. Co pan na to, panie inspektorze?

– Że to faktycznie bardzo niewiele... a może nawet zupełnie nic.

Minister sprawiedliwości się uśmiechnął, po czym odparł:

– Pewnie ma pan rację. Ale w ten sposób przynajmniej będzie pan mógł z czystym sumieniem powiedzieć, że zrobił pan wszystko, co w pana mocy.

Rozdział 48

Niedziela, 17 października 2010 roku, Teatr Królewski, Kopenhaga

– Gdzie i na kiedy się z nim umówiłaś?

Hrabianka ostentacyjnie zacisnęła wargi i potrząsnęła głową. Simonsen nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

– No nie... Mnie chyba możesz powiedzieć o wszystkim! Dowiedziałaś się, kto to?

Jego żona znowu pokręciła głową, tym razem już z irytacją.

– Kurwa, Hrabianko, gramy przecież w tej samej drużynie!

– Nie, akurat w tym wypadku tak nie jest. Chwilowo należę do drużyny, której właśnie przysięgłam na wszystkie świętości, że nie powiem nikomu ani słowa. I zamierzam dotrzymać obietnicy.

Simonsen właśnie doczekał się przełomu w sprawie, na który tak bardzo liczył. Otóż zadzwonił do niego szef Policyjnej Służby Wywiadowczej i poinformował go, że zna pewnego oficera z FE skłonnego przekazać inspektorowi cenne informacje dotyczące pobytu Irene Gallagher i Bjørna Lauritzena w Bośni w połowie lat dziewięćdziesiątych. Szef wywiadu osobiście ręczył za tego mężczyznę, nie mogło być mowy o jakiegokolwiek dezinformacji. Przy czym zastrzegł, że albo spotkanie odbędzie się na jego warunkach, albo nie odbędzie się w ogóle. Poza tym chce rozmawiać tylko i wyłącznie z Hrabianką, inaczej nic z tego. Była jedyną osobą, której ufał.

Simonsen podał żonie telefon.

– A możesz mi chociaż wyjawić, kiedy się spotkacie?

– Dziś po południu. I przestań mnie już zadzierać!

W Królewskim Teatrze Dramatycznym mieściło się siedemnaście sal kinowych, a film, na który Hrabianka kupiła bilet, wyświetlano w jednej z mniejszych. Gdy już do niej dotarła, znalazła swoje miejsce, w ostatnim

rzędzie, dwa miejsca w głąb, i usiadła. Do rozpoczęcia projekcji został kwadrans, więc wyjęła z torby książkę i zatopiła się w lekturze. Dziesięć minut później usłyszała za swoimi plecami męski głos:

– Proszę się nie odwracać, wołę, żeby nie widziała pani mojej twarzy.

Policjantka odpowiedziała cicho, lecz wyraźnie:

– Nie zamierzam się odwracać, nie ma pan powodu do obaw.

– Nagrywa pani naszą rozmowę?

– Nie, niczego nie nagrywam. Chciał pan rozmawiać akurat ze mną, bo podobno mi ufa, a ja nie zawiodę pańskiego zaufania. Kiedy już dam komuś słowo, zawsze go dotrzymuję.

Czuła, że jej zapewnienia sprawiły, że mężczyzna się rozluźnił, jego oddech znacznie się uspokoił. Powiedział jej, że robiąc to, co właśnie robi, ryzykuje swoją karierę, a może nawet wolność, na co Hrabianka odparła, że bardzo to docenia. Później podkreślił, że zna prawdę, z tym że nie całą. Policjantka skinęła głową na znak, że rozumie, po czym nieznamy zaczął mówić:

– Irene Gallagher była oficerem amerykańskiego wywiadu, miała stopień majora marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, jednocześnie pracowała też dla nas...

– Czyli dla FE? Przepraszam, że przerywam, ale chcę uniknąć wszelkich nieporozumień w tej kwestii.

– W porządku. Tak, dla FE. W związku z tym obie agencje wywiadowcze wypłacały jej wynagrodzenie. Do Bośni nie wysłano jej wcale w charakterze prokuratora wojskowej – do czego zapewne sami już doszliście. Tak naprawdę miała nawiązać kontakt z siłami ONZ-etu i przekonać możliwie jak największą liczbę dowódców plutonów wojsk nordyckich, polskich i holenderskich, by niezwłocznie raportowali Amerykanom, jeśli oni lub ich ludzie zauważą gdzieś serbskie pociski ziemia-powietrze. Serbowie korzystali z systemu opracowanego przez Rosjan, który w NATO nazywano SA-6 Gainful. Było to bardzo skuteczne rozwiązanie pozwalające na równoczesne kierowanie trzech różnych pocisków. W ten sposób zestrzelono między innymi w dziewięćdziesiątym piątym roku amerykański samolot F-16. Tak więc w większości przypadków, gdy tylko Amerykanie na-

mierzyli miejsce, w którym znajdowały się te rakiety, bez litości je bombardowali. Najczęściej odpalali w tym celu pociski manewrujące albo z powietrza, albo z amerykańskich okrętów wojennych na Adriatyku. Zdarzało się też, głównie w początkowej fazie konfliktu, że rakiety były przez nich jedynie rejestrowane.

– Czyli Irene Gallagher rekrutowała Bjørna Lauritzena?

– Tak, i wydarzyło się to już w dziewięćdziesiątym drugim roku, to jest podczas jego pierwszej misji. Dodatkowo zakochali się w sobie, a po powrocie spotykali się też w Danii, między innymi w Ålborgu i Skanderborgu. Zaszła z nim nawet w ciążę, ale koniec końców zdecydowała się na aborcję. Zabieg przeprowadzono w szpitalu w Ålborgu w listopadzie tego samego roku.

– To znaczy, że w dziewięćdziesiątym piątym roku znali się już do-
brych kilka lat?

– Zgadza się. I myślę, że nieprzypadkowo akurat ją wysłali wtedy, żeby go skontrolowała. Obstawiam, że sama zadbała o to, żeby tam polecieć, ale to już tylko moje przypuszczenia.

– Najbardziej interesuje nas właśnie ostatni pobyt Gallagher w Bośni...

– Jeśli chodzi o to, że wypożyczyła w Tuzli jeepa i pojechała na posterunek obserwacyjny, żeby się z nim zobaczyć, kierowały nią pobudki natury prywatnej. Chyba że Amerykanie przy okazji coś jej zlecili, ale szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby tak było.

Hrabiance przyszło do głowy, że z uwagi na to, jak niewiele wydział zabójstw wie na temat działań Gallagher i Lauritzena w Bośni, siedzący za nią mężczyzna udzielił jej właśnie cennych informacji. Choć, ogólnie rzecz biorąc, nie wносиło to do sprawy absolutnie nic.

– Dziękuję za pomoc – powiedziała, mimo że miała mieszane uczucia.

– Mam jeszcze kilka interesujących szczegółów. Po pierwsze, musicie wiedzieć, że nie istnieją żadne akta dotyczące tego, co Gallagher robiła w byłej Jugosławii czy też innych miejscach. Jeśli takie akta w ogóle kiedyś gdzieś były, to dawno zostały zniszczone. Jeśli zaś chodzi o ostatni dzień misji Lauritzena i Nysteda, najprawdopodobniej nikt nigdy nie sporządził

o tym sprawozdania na piśmie; do dowództwa w Kopenhadze raportowano wtedy wyłącznie ustnie.

Hrabianka skinieniem głowy potwierdziła, że rozumie, po chwili jednak spytała:

– Czy usiłuje mi pan właśnie powiedzieć, że to, co wydarzyło się tamtego feralnego popołudnia z udziałem Nysteda i jego dowódcy, było w istocie ważne?

– Tak, właśnie tak, najpewniej o to w tym wszystkim chodzi. Ale niech mnie pani nie pyta, co wtedy zaszło, bo nie wiem. Mogę jedynie zgadywać, że tego dnia, gdy wybrali się czołgiem do lasu, w którym Serbowie właśnie bestialsko mordowali muzułmańskich mężczyzn i chłopców, musieli się dopuścić skrajnie nagannych czynów. Przypuszczalnie zrobili coś, co duński wywiad, chcąc nie chcąc, musiał utajnić. Pojechali korytem strumienia, tyle wiem. I mieli tam wystarczająco dużą przestrzeń umożliwiającą manewrowanie czołgiem. Domyślam się zatem, że zlikwidowali w tym lesie całą masę serbskich żołnierzy. Ale to jedynie hipoteza. Jedno wiem na pewno: dzień później w ekspresowym tempie odesłano ich z powrotem do Danii, w tym Lauritzena aż do domu w północnej Jutlandii. Przy czym po powrocie do kraju obaj zachowali swoje stopnie przydzielane zwykle żołnierzom na czas operacji za granicą, co nijak się ma do tego, w jaki sposób odsunięto ich od misji. Musiała to więc być jakaś forma przekupstwa, żeby trzymali języki za zębami.

– Skąd pan ma te informacje? – zaciekała się Hrabianka.

– Tego nie musi pani wiedzieć.

– A dlaczego FE pomaga Irene Gallagher, kto wydał takie polecenie?

– Sekretariat zarządzający, to znaczy sam szef, chociaż myślę, że on akurat szczerze nienawidzi tej kobiety. Ale z logicznego punktu widzenia lepiej będzie, gdy ulotni się wraz z mężem do Nowej Zelandii, niż gdy zostanie skazana i będzie siedzieć w więzieniu w Danii. Obstawiam, że ona po prostu za dużo wie...

– Czyli FE nie wierzy w to, że Gallagher dostanie wyrok?

– Nie, i wydaje mi się, że tu mamy rację...

– A wie pan może, czy faktycznie jest winna?

– Myślę, że jest, ale to tylko teoria. Widziałem w swojej karierze tyle... brudnych sztuczek, że niczego już nie jestem pewien. Często rzeczy nie są takimi, jakimi się wydają. Co do jednego nie mam jednak żadnych wątpliwości. Mianowicie FE absolutnie nie maczało palców w zabójstwach na wycieczkowcu. My tak nie działamy i nikt nigdy nie zatwierdziłby takiej operacji.

Hrabianka sięgnęła przez ramię i nie odwracając się, podała mężczyźnie wizytówkę.

– To mój prywatny numer telefonu. Zadzwoń pan do mnie znowu za jakiś tydzień? To znaczy, jeśli dowie się pan czegoś więcej.

Ale nikt nie odebrał od niej wizytówki.

– Jest pan tam jeszcze? – spytała po chwili, żeby się upewnić. Odwróciła głowę.

Mężczyzna rozpląnął się w powietrzu.

Rozdział 49

Poniedziałek, 1 listopada 2010 roku, Sąd Rejonowy w Kopenhadze

Za porozumieniem obrońcy Christoffera Brincha występującego w imieniu podejrzanej, oskarżyciela, to jest Prokuratora Generalnego, prokuratorki Kirsten Hansen i Sądu Rejonowego w Kopenhadze proces przeciwko Irene Gallagher przyspieszono na tyle, na ile było to wykonalne i na ile można było dowieść, że jest to z punktu prawnego zasadne. Wszystkim stronom zależało na możliwie niezwłocznym rozstrzygnięciu sprawy. Brinch miał zatem zaledwie tydzień na zapoznanie się z aktem oskarżenia, co było zasadniczo bez znaczenia, gdyż Irene Gallagher niezmiennie upierała się przy swojej strategii obrony. Ta zaś zasadzała się na domniemaniu, że policja zmanipulowała dowody. Jeśli chodzi o świadków, uznała, że nie ma potrzeby kogokolwiek wzywać.

Rozprawa odbyła się z udziałem ławy przysięgłych: zasiadało w niej dziewięciu ławników, w tym trzy kobiety i sześciu mężczyzn, wszyscy w wielu okołoemerytalnym. Siedzieli na prawo od stołu sędziowskiego z poważnymi wyrazami twarzy. Sędzina – kobieta w średnim wieku – znana była w odpowiednich kręgach z oschłego i oficjalnego stylu bycia, jak również ze swoich powściągliwości i chłodu wobec pozostałych uczestników procesu. O ile inne posiedzenia stołecznego sądu rejonowego odbywały się zwykle może nie w pogodnej, ale bądź co bądź dość luźnej atmosferze, o tyle jej spraw w ogóle to nie dotyczyło. Dodatkowo słynęła z niezmierniej aktywności na sali rozpraw: potrafiła przykładowo przerwać tok wypowiedzi świadka, jeśli uznała to za zasadne, podczas gdy innym sędziom sądu rejonowego raczej się to nie zdarzało.

Na sali nie było ani jednego wolnego krzesła. Połowa miejsc zarezerwowana została dla mediów, część dla członków rodzin ofiar masakry na

wycieczkowcu, dwa dla policji, a reszta dla ewentualnej publiczności, to jest dla tych najwytrwalszych, których nie zraziła długa kolejka.

Sędzina stanęła w drzwiach, po czym podeszła do stołu sędziowskiego i zajęła swoje miejsce. Ruchem dłoni zasygnalizowała, że inni również mogą usiąść. Następnie tytułem wstępu nadmieniła, że przedmiotowa sprawa może dotyczyć pewnych kwestii, których przez wzgląd na bezpieczeństwo nie należy upubliczniać. W związku z tym może w pewnym momencie zarządzić, że część rozprawy odbędzie się za zamkniętymi drzwiami, jak też wyłączyć jawność rozprawy. Zastrzegła ponadto, że na poruszanie owych wątków zezwoli wyłącznie, jeżeli uzna, że miały one bezpośredni i oczywisty wpływ na sprawę. Podkreśliła przy tym, że nie dopuści żadnych informacji kontekstowych o charakterze ogólnym. Później oddała głos oskarżycielowi.

Prokuratorka odczytała akt oskarżenia, po czym Irene Gallagher oświadczyła publicznie, że nie popełniła żadnego z zarzucanych jej czynów. Następnie Hansen omówiła ze szczegółami wszystkie zarzuty, co zajęło jej dobre pół godziny. Jeśli chodzi o pierwotnie zarzucany podejrzanej czyn, oskarżycielka publiczna odstąpiła od oskarżenia o nieumyślne pozabawienie życia japońskiej nauczycielki i jej piętnaściorga uczniów, podtrzymała natomiast zarzut dotyczący współudziału w bestialskim akcie przemocy wobec studentki Juli Denissen, do którego doszło latem dwa tysiące ósmego roku. Wiedziała, że wobec tego w dalszym toku postępowania będzie można podnieść, że motywem zabójstw była chęć zatuszowania okoliczności napaści na tę młodą kobietę. Zdawała sobie sprawę, że to niewiele, ale tylko tyle teraz miała. Co się zaś tyczyło Olego Nysteda, weterana, który zmarł w swojej leśnej chacie na skutek zatrucia się tlenkiem węgla, policji nie udało się ustalić, czy nie było to samobójstwo. Zatem tu prokuratura nie wносиła oskarżenia.

Gdy Hansen skończyła mówić, sędzina oddała głos Brinchowi, teraz to on miał się odnieść do zarzutów. Adwokat wstał i zwrócił się do ławy przysięgłych:

– Moja klientka utrzymuje, że wszystkie zgłoszone przeciwko niej dowody są fałszywe i zostały sfabrykowane przez policję kryminalną, a do

kładnie stołeczny wydział zabójstw, celem doprowadzenia do wydania przez sąd błędnego wyroku. Obrona chciałaby w związku z powyższym przedstawić w toku postępowania rzeczony nieprawdziwe dowody.

Brinch usiadł, a sędzina zapytała wyraźnie zaskoczona:

– I to już wszystko?

– Nie.

– Czy pouczył pan oskarżoną o ryzyku związanym z taką linią obrony?

– Tak, naturalnie.

– To, powiedziałabym, dość niekonwencjonalne...

– Mam pełną świadomość swoich czynów! – zawołała Irene Gallagher.

– Na sali rozpraw obowiązuje bezwzględny zakaz zabierania głosu bez zezwolenia sądu! – skarciła ją natychmiast sędzina.

Zmierzyła oskarżoną surowym spojrzeniem, aż ta w końcu z nadąsaną miną kiwnęła głową na znak, że rozumie. Sędzina uznała następnie linię obrony, kwitując to wzruszeniem ramion, po czym zarządziła dziesięciominutową przerwę na rozprostowanie nóg. Była palaczką.

Arnold podszedł na korytarzu do prokuratorki Hansen. Simonsen zdecydował, że na rozprawie powinien być obecny ktoś z wydziału zabójstw. A jako że on sam został wezwany w charakterze świadka, nie mógł uczestniczyć w procesie do czasu, aż złoży zeznania. W związku z tym przez pierwszą połowę postępowania miał go reprezentować Arnold lub Pedersen.

– Ta jej strategia to czyste samobójstwo, ale dla nas to akurat lepiej. Wygląda na to, że pójdzie o wiele łatwiej, niż myślałam – rzuciła prokuratorka.

– Czyli jednak martwiła się pani o wynik?

– Nie, jeśli chodzi o zabójstwo Lauritzena, ten zarzut jest nie do odparcia, ale morderstwa na wycieczkowcu... hmm... Z jednej strony tu jedynym solidnym dowodem, jakim dysponuję, pozostaje nagranie z plaży Charlottenlund, a z drugiej, jeśli Brinch został zmuszony, by zbić wszystkie nasze dowody, podnosząc, że wydział zabójstw je sfabrykował, to praktycznie już wygraliśmy. Żaden przysięgły w naszym kraju tego nie kupi.

Gdy wrócili do sali rozpraw, prokuratorka Hansen skrupulatnie omówiła okoliczności śmierci Juli Denissen, co zajęło jej trochę czasu. Uważała przy tym, by nie narzucać swoich wniosków, gdyż była to niezwykle złożona sprawa. Dlatego też w ramach krótkich podsumowań na bieżąco streszczała to, co już zostało powiedziane, a do tego powtarzała te same informacje, pokazując sądowi zdjęcia i mapy poglądowe. Brinch ani razu nie zgłosił sprzeciwu; wręcz odwrotnie, ciągle kiwał głową na znak, że zgadza się z przedstawionym przez nią przebiegiem wydarzeń.

Gdy prokuratorka skończyła mówić, sędzina, spoglądając na zegarek, stwierdziła, że przed porą lunchu zdążą jeszcze przesłuchać pierwszego świadka. Następnie strażnik sądowy wezwał na salę rozpraw Ellę von Eggert i wskazał jej drogę do znajdującej się na środku pomieszczenia mównicy. Sędzina pouczyła kobietę o tym, że nie musi zeznawać w sprawie swojej siostry, ale jeśli jednak będzie chciała złożyć zeznania, ma obowiązek mówić prawdę pod rygorem odpowiedzialności karnej.

– Od miesiąca czekam, żeby móc tu przyjść i żeby prawda w końcu ujrzała światło dzienne! Wprost nie mogłam się doczekać, aż opowiem, jak policja mnie okłamała, zmusiła, żeby złożyła podpis na fałszywych zeznaniach, a do tego jeszcze kierowała pod moim adresem nikczemne groźby. Tak więc bardzo chętnie złożę dziś zeznania – odparła pani Eggert z oburzeniem w głosie.

– Dobrze. Ale proszę pamiętać, że za poświadczenie nieprawdy grozi kara pozbawienia wolności do czterech lat – przypomniała sędzina.

– Ja nie kłamię, to kryminalni kłamią. Wszyscy łąą jak psy.

Prokuratorka Hansen podała pani Eggert kartkę z jej zeznaniami.

– Proszę przeczytać na głos pierwsze dziesięć linijek tekstu.

– Nie ma mowy. Nie występuję tu w charakterze konferansjerki, a poza tym to wszystko, co zostało tam napisane, to stek bzdurnych wymysłów sfabrykowanych przez policję.

Hansen rzuciła sędzinie błagalne spojrzenie, ale ta tylko wzruszyła ramionami. Nie może zmusić świadka, by cokolwiek odczytał. Jeśli kobieta nie chce, prokuratorka musi zrobić to sama.

– Moja siostra ma rację, policja faktycznie zniekształciła jej zeznania – szepnęła Brinchowi w międzyczasie do ucha Gallagher. – Trzeba wystąpić o przedłożenie pliku dźwiękowego, żeby można było porównać go z tym, co jest na papierze.

Jej obrońca skinął głową na znak, że to świetny pomysł.

Prokuratorka Hansen odczytała zeznania, po czym spytała Ellę von Eggert:

– Czy to pani podpis?

– Zmusili mnie, żebym to podpisała! Nigdy nic takiego nie powiedziałam.

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Czy to pani podpis?

– Mój, do diabła, ale i tak nie jest w tym wypadku ważny...

Sędzina upomniała świadka, że w sądzie zabrania się używania przekleństw, po czym oddała głos Brinchowi. Ten poprosił kobietę przy mównicy o wyjaśnienie własnymi słowami, co dokładnie w jej odczuciu wydarzyło się podczas policyjnego przesłuchania. Ella von Eggert opowiedziała zatem o tym, jak szef wydziału zabójstw Konrad Simonsen i sierżantka policji kryminalnej Nathalie von Rosen w środę piętnastego września wbrew jej woli wtargnęli do jej domu i wymusili na niej, by doniosła na własną siostrę.

– Pokazywali mi między innymi całe mnóstwo przerażających zdjęć tych biednych zamordowanych japońskich dzieci. To było nie do wytrzymania... W którymś momencie wreszcie dali mi spokój, ale jakiś tydzień później, dokładnie dwudziestego czwartego września, odwiedził mnie zastępca szefa wydziału zabójstw Arne Pedersen. Oświadczył, że spisał moje zeznania w charakterze świadka na podstawie nagrania dźwiękowego pochodzącego z pierwszego przesłuchania, a ja mam obowiązek się pod nimi podpisać. Zachowywał się bardzo niesympatycznie, w zasadzie bezpośrednio mi groził, więc co miałam zrobić? Podpisałam.

Następnie opowiedziała, jak Pedersen przeszukał jej samochód, który dopiero co jej odwieziono po tym, jak został skradziony. Czuła się już wtedy tak zastraszona, że temu też nie miała odwagi się sprzeciwić. Później policjant sobie poszedł.

– Czy zeznanie w charakterze świadka, które złożyła pani w obecności szefa wydziału zabójstw Simonsena i sierżantki von Rosen zostało przez funkcjonariuszy nagrane?

– Tak.

– I jest pani tego absolutnie pewna?

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Brinch odwrócił się w stronę sędziny i zasugerował:

– Sąd mógłby zobowiązać policję do przedłożenia kasety. Dzięki temu będzie można stwierdzić, kto mówi prawdę.

Sędzina się zamyśliła, po czym wskazała na Arnolda i poprosiła go, by wstał.

– Widzę, że pan reprezentuje dziś policję. Chciałabym zatem wiedzieć, czy rzeczony przesłuchanie faktycznie zostało nagrane.

– Tak, wysoki sądzie. Tak właśnie było.

– A czy możecie przedłożyć przedmiotową kasety?

– Oczywiście. Osobiście zadbam o to, żeby dostarczono ją tu w ciągu najbliższej pół godziny.

– Proszę zatem tak zrobić. W międzyczasie zarządzam przerwę na lunch. A pani, pani Eggert – zwróciła się do świadka – ma nie opuszczać gmachu sądu, chyba że w asyście strażnika sądowego.

Gallagher wróciła do celi w towarzystwie swojego obrońcy. Strażnik podążał za nimi, acz w dyskretnej odległości.

– Teraz, kiedy policja już przyzna się do tego, że nie mogą znaleźć tej kasety, chciałabym, żeby w jakiś sposób zaakcentował pan stwierdzenie mojej siostry, że zastępca Simonsena przeszukał jej auto – rzuciła oskarżona. – Chcę, żeby ława przysięgłych dobrze to sobie zapamiętała.

– Myślałem, że to nagranie ma potwierdzić, że pani siostra mówi prawdę – rzucił zaskoczony Brinch. – Chyba o to pani chodziło, prawda?

– I potwierdzi... chociaż nie bezpośrednio.

– A jeśli kryminalni znajdą tę taśmę?

– Nie znajdą.

I miała rację. Wydział zabójstw nie był w stanie odszukać pliku dźwiękowego, czy raczej należałoby powiedzieć: żadnego z dwóch egzemplarzy, które wcześniej posiadali. Jeden z nich zachowano na pendrivie, na który oryginalny plik został skopiowany z dyktafonu Simonsena i który po sporządzeniu raportu z przesłuchania świadka umieszczono w sejfie. Sejf ten stał zaś w biurze Hrabianki, choć nikt już nie pamiętał dlaczego. Tak czy inaczej, urządzenie zaginęło, ktoś musiał je stamtąd zabrać, nie było innego wytłumaczenia. Druga kopia znajdowała się natomiast na samym dyktafonie. Nagranie musiało nadal na nim być z tego prostego powodu, że Simonsen nigdy go nie skasował. Niestety szef wydziału zabójstw również od wielu dni nie mógł znaleźć swojego sprzętu. A kiedy w końcu wspólnie z Arnoldem podjęli próbę rekonstrukcji przebiegu wydarzeń, by ustalić, kiedy widział urządzenie po raz ostatni, uświadomił sobie nagle, że stało się to podczas przesłuchania Gallagher, gdy ta je wyłączyła i poprosiła, żeby zostało na biurku.

Zawstydzona prokuratorka Hansen musiała zatem poinformować sędzinę o tym, że policja nie może znaleźć pendrive'a z nagraniem, co ta oznajmiła podczas rozprawy, po wznowieniu obrad. Przysięgli mogli więc sami zdecydować, której ze stron wierzą, przy czym nie powinni przywiązywać zbyt dużej wagi do żadnego ze stwierdzeń.

Później Brinch miał sposobność dokończyć przesłuchanie Elli von Eggert. Korzystając z okazji, poprosił kobietę, by jeszcze raz opowiedziała o tym, jak Arne Pedersen przeszukał jej samochód, czemu prokuratorka się nie sprzeciwiła. Gdy obrońca Gallagher nie miał już więcej pytań, sędzina postanowiła zamknąć posiedzenie. Była wściekła. Ten cały epizod z udziałem Elli von Eggert to był jeden wielki bajzel, ona zaś uwielbiała porządek, zwłaszcza podczas swoich rozpraw.

Rozdział 50

Czwartek, 4 listopada 2010 roku, Sąd Rejonowy w Kopenhadze

Mimo dość niefortunnego początku prokuratorka Hansen podczas kolejnych posiedzeń poczyniła istotne postępy. Zdołała się mianowicie powołać na całe mnóstwo powiązań między Irene Gallagher a Bjørnem Lauritzenem. Zwłaszcza informacja, że kobieta złożyła fałszywe zawiadomienie o śmierci Lauritzena, do której rzekomo miało dość na moście nad Wielkim Beltem w październiku dziewięćdziesiątego ósmego roku, zrobiła na ławnikach ogromne wrażenie; dało się to wyczytać z ich twarzy. Brinch nie próbował w żaden sposób dementować składanych przez świadków zeznań; jego klientka uznała, że są one bez znaczenia, i poprosiła, by w ogóle ich nie komentował. Ponadto sędzina wyraziła zgodę na to, by Hansen podniosła, acz bez wchodzenia w zbędne szczegóły, że oskarżona i Bjørn Lauritzen pracowali razem w Bośni w połowie lat dziewięćdziesiątych, a więc znali się jeszcze z tego okresu. Brinch nawet wtedy nie wniósł sprzeciwu... Następnie prokuratorka nadzwyczaj skrupulatnie i sugestywnie naświetliła ławie przysięgłych, że sprawcą zabójstw z niedzieli dwudziestego drugiego sierpnia był nie kto inny, a właśnie Bjørn Lauritzen. Tu dowody były bezsporne, w związku z czym sędzina pouczyła przysięgłych o tym, że winę Lauritzena należy uznać za fakt. Brinch tę uwagę również skwitował milczeniem. Do mównicy podchodzili kolejni świadkowie, a obrońca nie miał do nich żadnych pytań, ani też nie zgłaszał żadnych uwag. Ale gdy przyszła kolej na technika kryminalistyki, który dokonał oględzin samochodu Elli von Eggert, Brinch nagle się ożywił i oznajmił, że chce go przesłuchać, co wszyscy obecni przyjęli z niemałym zaskoczeniem. Mężczyzna zeznał, że pod nakrętką mocującą fotel pasażera znaleziono włos, który mógł należeć do Bjørna Lauritzena. I tu okazało się, że

Brinch ma w zanadrzu kilka miażdżących kontrargumentów, na które naprowadziła go wcześniej jego klientka. Wziął do ręki sporządzony przez świadka raport i wymachując nim w powietrzu, zapytał:

– Z pańskiego raportu wynika, że w samochodzie Elli von Eggert stwierdzono obecność śladowych ilości tlenu cynku... Czy może pan najprościej, jak potrafi, wyjaśnić sądowi, co to za substancja?

– Otóż związek ten występuje w wielu różnych postaciach, ale to, co znaleźliśmy w aucie, miało formę drobnego białego proszku... w dość dużej ilości.

– A gdzie to dokładnie znaleźliście? Może pan naturalnie zerknąć do raportu, jeśli pan nie pamięta.

– Nie ma takiej potrzeby... Pamiętam doskonale. Ten proszek był w kilku różnych miejscach: na desce rozdzielczej, w przedniej i tylnej części szyberdachu, na mocowaniu pasa bezpieczeństwa i jeszcze na klamce wewnętrznej, wszystko po stronie pasażera.

– Proszę powiedzieć, do czego używa się tlenu cynku.

– Z tego, co wiem, ta substancja ma wiele różnych zastosowań. Na pewno służy między innymi do wykrywania odcisków palców na ciemnych powierzchniach; na jasnych stosuje się tlenek żelaza, bo jest czerwony.

– A samochód Elli von Eggert ma jasne czy ciemne wnętrze?

– Ciemne.

– Rozumiem... Twierdzi pan zatem, że tlenek cynku w postaci proszku powinien być na wyposażeniu każdego funkcjonariusza policji kryminalnej?

– Zgadza się.

– A jaka była pana pierwsza myśl, gdy odkrył pan tę substancję we wskazanych wcześniej miejscach?

– Pomyślałem, że zanim przekazano nam to auto do badania, ktoś zdejmował tam odciski palców.

– Ale nie wspomniał pan o tym w swoim raporcie?

– Oczywiście, że nie. To nie leży w zakresie moich kompetencji. Ale powiedziałbym o tym policjantom, gdyby chcieli poznać moją opinię.

– A ktoś pana o to pytał?

– Nie.

Brinch na chwilę zamilkł, by dać ławnikom czas na przyswojenie informacji. Następnie wskazał na wiszący w rogu sali rozpraw duży telewizor z płaskim ekranem. Wyświetlono na nim nadzwyczaj ostre zdjęcie przedstawiające owinięty wokół nakrętki czarny włos, zahaczony o ową nakrętkę mniej więcej w połowie swojej długości.

– Wiemy, że ten włos należy do Bjørna Lauritzena, tego obrona w żaden sposób nie kwestionuje. Ale zastanawia mnie coś innego; otóż... i tu proszę wybaczyć moje dyletanctwo... czy pana zdaniem to normalne, że włos, który najwyraźniej spadł komuś z głowy, sam z siebie ułożył się tak, jak tu widzimy? – zapytał.

Technik wahał się przez moment, po czym odparł:

– Hmm... No nie. To znaczy, to, co pan sugeruje, jest mało prawdopodobne.

– Mógłby pan to rozwinąć?

– Chodzi mi o to, że włos raczej nigdy nie spada tak jak na zdjęciu, jak też naturalnie sam z siebie nie wciska się pod nakrętkę. Ale to, że znalazł się tam, gdzie się znalazł, można z pewnością wyjaśnić na kilka sposobów.

– Więc to normalne?

– Wręcz przeciwnie, dość niespotykane, ale może się tak zdarzyć.

– A czy ten włos mógł tak leżeć dlatego, że ktoś celowo go tam podłożył?

– Tak, oczywiście... To się rozumie samo przez się.

Brinch poprosił strażnika, który obsługiwał telewizor, żeby powiększył i wyostrzył obraz. Chciał obejrzeć mieszek włosowy. Po chwili powiedział:

– W swoim raporcie napisał pan, cytując: „Ciemnobrązowy włos o długości około ośmiu centymetrów wyrwany z głowy mężczyzny rasy kaukaskiej razem z mieszkem włosowym”. Czy potrafi pan wyjaśnić sądowi, jak można stwierdzić, czy włos wypadł sam z siebie, czy też został wyrwany?

– Otóż istnieje tu zasadnicza różnica, w telegraficznym skrócie: każdy włos ma fazę wzrostu i fazę spoczynku, a włosy wypadają nam w fazie spoczynku. Te, które wypadną samoistnie, mają lekko zaokrąglony, maczugowaty mieszek włosowy. Natomiast włos wyrwany, szczególnie w fazie wzrostu, charakteryzuje się z reguły tym, że widać na nim pozostałości skóry głowy.

– Reasumując, ten tutaj nie wypadł sam z siebie, a został wyrwany?

– Tak, bez wątplenia. Dlatego właśnie wyraźnie napisałem: „wyrwany z głowy”.

– No tak... Ale nie wydaje mi się, żeby policja jakoś szczególnie się nad tym pochyliła. A proszę mi jeszcze powiedzieć: czy z czysto technicznego punktu widzenia można odróżnić włos wyrwany żyjącemu człowiekowi od włosa pochodzącego z głowy mężczyzny, który nie tak dawno zmarł? Na przykład dwa dni wcześniej?

– Nie wydaje mi się, żeby było to możliwe. Ale pewności nie mam.

– To znaczy, że ten włos równie dobrze mógł zostać pozyskany podczas sekcji Bjørna Lauritzena, przykładowo przez funkcjonariusza, który...

– Myślę, że wystarczy już tych spekulacji. Ma pan do świadka jeszcze jakieś pytania? – przerwała sędzina ostro.

Brinch przeprosił, po czym oświadczył, że owszem, ma jeszcze jedno:

– Na podstawie pańskiego doświadczenia w zakresie badań kryminalistycznych... uważa pan, że bardziej prawdopodobne jest to, że rzeczony włos został celowo umieszczony tam, gdzie go pan znalazł, czy też raczej wylądował tam sam?

– Trudno odpowiedzieć ze stuprocentową pewnością – odparł technik wymijająco. Wyraźnie było widać, że to pytanie jest mu bardzo nie w smak.

– obrońca nie pyta o to, czego pan jest lub nie jest pewien. Chce tylko usłyszeć, którą wersję uważa pan za bardziej prawdopodobną. Mnie również to interesuje – przywołała sędzina świadka do porządku.

Mężczyzna potrzebował chwili namysłu. Zmarszczył czoło i wyjął wargi. Trudno było stwierdzić, czy zbiera się właśnie na odwagę, by stawić

czoła przedstawicielce wymiaru sprawiedliwości, czy też zastanawia się nad odpowiedzią.

– Uważam, że bardziej prawdopodobne jest to, że rzeczony włos został celowo umieszczony tam, gdzie go znalazłem. I powinienem był to wyraźnie zaznaczyć w swoim raporcie, tyle że tak naprawdę dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę. Przykro mi... – wyrzucił z siebie w końcu.

Rozdział 51

Piątek, 5 listopada 2010 roku, Sąd Rejonowy w Kopenhadze

Gallagher po raz pierwszy od początku procesu poprosiła Brincha, by postarał się w miarę możliwości skutecznie obalić zeznania świadka. Jednocześnie nie udzieliła mu żadnych konkretnych instrukcji, co i jak ma mówić. Chodziło o przesłuchanie techniczki fotografii kryminalistycznej, która dokonała ekspertyzy nagrania z plaży Charlottenlund; tego, na którym Gallagher podbiega do wychodzącego z wody mężczyzny, uznanego przez prokuraturę za Bjørna Lauritzena. Brinch obiecał zrobić, co w jego mocy.

– Chce pan wiedzieć, czy to faktycznie był Lauritzen? Czy woli pan raczej nie posiadać takich informacji? – spytała oskarżona.

– A jeśli to nie był on... czy możemy wezwać mężczyznę z tego filmu? Tak byłoby naturalnie najlepiej – odparł prawnik.

– Niestety... Tego zrobić nie możemy.

– W takim razie myślę, że wolę nie widzieć.

– Ten ktoś mnie oszukał, dlatego właśnie tam na niego czekałam. Ale skłamałam w tej sprawie, gdy przesłuchiwała mnie policja. Wiem, nie powinnam była tego robić – powiedziała z pewnym wahaniem.

Widać było, że jest jej szczerze przykro, i Brinch przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy jej nie objąć, zamiast tego powiedział w końcu:

– Jestem pani obrońcą, a nie oskarżycielem. Nie musi mi więc pani już nic więcej wyjaśniać.

Zapukał w drzwi celi, by strażnik go wypuścić.

Techniczka była wyraźnie przejęta. Nigdy wcześniej nie była wzywana w charakterze świadka, więc prokuratorka Hansen musiała ją uspokajać, a niekiedy powtarzać zadane już raz pytanie. Sędzina zaś dwukrotnie upo-

mniała ją, by mówiła nieco głośniej. Przy czym mimo widocznego zażenowania nikt nie ośmieliłby się zakwestionować jej kompetencji. Zrobiła Lauritzenowi wiele pośmiertnych zdjęć. Na niektórych fotografiach jego ramiona ułożone były dokładnie w ten sam sposób co ręce mężczyzny na nagraniu z plaży. Później zaś poskładała, pomniejszyła, ułożyła pod odpowiednim kątem i zmontowała poszczególne elementy. Tym sposobem uzyskała sylwetkę, którą następnie nałożyła na kadr z filmu. Oba zdjęcia zaskakująco się ze sobą zgadzały, toteż porównanie wypadło nadzwyczaj przekonująco. Ale techniczka nie chciała wyciągać pochopnych wniosków. Jej badanie dowiodło jedynie, że nie można wykluczyć, że człowiek na nagraniu to Bjørn Lauritzen. Przy czym mógł to być równie dobrze każdy inny mężczyzna o podobnej do niego budowie ciała. Kolejne spostrzeżenie dotyczyło wzrostu człowieka na plaży, który wykonująca analizę kobieta określiła po części na podstawie wzrostu Irene Gallagher, a po części w odniesieniu do widocznego w tle masztu flagowego. Tu zasadniczo nie miała żadnych wątpliwości: mężczyzna mierzył dokładnie metr osiemdziesiąt siedem, a właśnie takiego wzrostu był zgodnie z raportem z sekcji zwłok Bjørn Lauritzen.

Gdy to powiedziała, na sali rozpraw zapadła pełna napięcia cisza, a Kurt Melsing, szczerze przerażony szef techniczki, zaczął ze swojego miejsca wśród publiczności wykonywać pojednawcze, uspokajające gesty, próbując nieco utemperować świadka. Za to sędzina niemalże eksplodowała. Rzuciła Melsingowi gromiące spojrzenie mówiące, że jego zachowanie będzie miało przykre konsekwencje. Zeznająca kobieta otworzyła natomiast usta z zamiarem zmodyfikowania swojej wcześniejszej wypowiedzi, ale sędzina poprosiła ją, żeby zamilkła. Sąd usłyszał już wszystko, co chciał usłyszeć, i nie było potrzeby, by zmieniała złożone już raz zeznania. Świadek był teraz do dyspozycji obrony.

Brinch dobrze się przygotował. Zaczął od najbardziej oczywistych pytań:

– Ile zdjęć różnych mężczyzn można by z podobnym rezultatem nałożyć na zdjęcie, które pokazała pani wcześniej sądowi? Śmiało, może pani spróbować oszacować...

- Dużo – oceniła techniczka.
- Jakies kilkaset?
- Nie, myślę, że więcej.
- No tak... pewnie miliony, gdyby tak wziąć pod uwagę wszystkich ludzi na świecie. Zgadza się?
- Przypuszczam, że tak. A przynajmniej coś koło tego...
- A ilu Duńczyków mierzy metr osiemdziesiąt siedem?
- Tego nie wiem.

- Otóż według Duńskiego Urzędu Statystycznego blisko sto tysięcy. Czyli dziesiątki tysięcy innych osób płci męskiej mogło być nieznanym mężczyzną na nagraniu z plaży, nie tylko Bjørn Lauritzen. Ale chętnie dowiem się czegoś więcej na temat tego, jakimi metodami określiła pani wzrost tego człowieka z nagrania. Zaznaczyła pani przed sądem, że to nad wyraz precyzyjne wyliczenia. Chciałbym wiedzieć, jak bardzo...

Kobieta opowiedziała o tym, jak przeprowadziła przynajmniej dziesięć badań kontrolnych przy użyciu tego samego aparatu w telefonie komórkowym, na tej samej plaży, z tej samej odległości i...

- Niemniej takie badania zawsze są obarczone pewnym ryzykiem błędnego pomiaru... – wszedł jej w słowo Brinch. – Ale skoro jest pani tak wysoce przekonana o nieomyślności swoich obliczeń, należy mniemać, że w tym wypadku jest to poniżej jednej dziesiątej procenta. To ponadprzeciętnie wysoki stopień pewności!

Techniczka się namyśliła, po czym odpowiedziała:

- Hmm... poniżej jednej dziesiątej na pewno nie...
- No dobrze, to przyjmijmy pięć dziesiątych procenta, to jest wartość pięć razy większa.
- Z tym akurat mogę się zgodzić.
- Czyli maksymalnie pół procenta.
- Tak, maksymalnie pół procenta.

- Zapamiętajmy to sobie. Teraz... Zdaję sobie sprawę, że nie ma pani medycznego wykształcenia, niemniej pewnie pani wiadomo, że człowiek jest wieczorem nieco niższy niż z samego rana? Ma to związek z tym, że

nasze kręgi i dyski naszego kręgosłupa lekko się spłaszczają w ciągu dnia, po czym wybrzuszają się z powrotem w nocy, kiedy leżymy na płasko. W przypadku mężczyzny wzrostu Bjørna Lauritzena różnica między pomiarem porannym a wieczornym może wynieść jakieś półtora centymetra.

Twarz kobiety poczerwieniała, a Brinch ciągnął dalej:

– Zgodnie z protokołem sekcji zwłok Lauritzen został zamordowany wieczorem, w momencie, gdy szykował się już do spania. Kręgosłup człowieka nie zmienia swojej długości po jego śmierci, więc wiemy, że mierzył wtedy metr osiemdziesiąt siedem, jak zresztą podała pani w swoim raporcie. Oznacza to jednak, że na plaży Charlottenlund chwilę po dwunastej w południe – jeśli oczywiście założymy, że faktycznie tam był – miał jakieś metr osiemdziesiąt osiem... A może nawet ciut więcej, jako że płynął wcześniej nieprzerwanie przez trzy godziny, co nie powoduje spłaszczania się kręgów. Nie wiem, czy potrafi pani sprawnie liczyć w pamięci, ale... czy na podstawie poczynionych obserwacji jest pani w stanie ponownie zapewnić sąd, że tajemniczym mężczyzną z nagrania mógł być Bjørn Lauritzen?

– Naturalnie mogłam się pomylić w odniesieniu do miejsc po przecinku, podałam przecież wzrost w zaokrągleniu do pełnych centymetrów.

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

Techniczka nadaremnie próbowała uchwycić spojrzenie sędziny.

– A czy mogłabym spróbować wyjaśnić to wszystko od początku, tyle że z uwzględnieniem miejsc po przecinku? Jestem pewna, że to one wprowadzają tu element dezorientacji.

– Brzmi to tak, jakby bardzo chciała pani dowieść, że to jednak był Lauritzen... – nie odpuszczał Brinch. – Tak czy inaczej, ponawiam pytanie: czy na podstawie poczynionych przez panią obliczeń i przy założeniu, że to, co powiedziałem o różnicy we wzroście człowieka zależnie od pory dnia, jest prawdą, można przyjąć, że mężczyzna na nagraniu to przypuszczalnie Bjørn Lauritzen?

Techniczka wciągnęła głęboko powietrze, po czym odparła ledwie słyszalnym głosem:

- Nie. Nie można tego przyjąć...
- Głośniej, tak żeby przysięgli słyszeli – warknęła niemalże sędzina.
- Nie, nie ma żadnej pewności co do tego, że to był Bjørn Lauritzen.

Rozdział 52

Wtorek, 9 listopada 2010 roku, Sąd Rejonowy w Kopenhadze

Simonsen był wzywany na rozprawy sądowe już wiele razy, więc doskonale znał obowiązujące w sądzie rejonowym procedury. Jako że prokuratorka Hansen zaczęła od kwestii o charakterze formalnym, to jest pytała o jego imię i nazwisko, zajmowane stanowisko i inne dane, miał trochę czasu, by przyjrzeć się pewnej osobie z publiczności, którą od jakiegoś czasu interesował się wydział zabójstw.

Był to mężczyzna w wieku około trzydziestu lat, średniego wzrostu, o proporcjonalnej sylwetce. Miał obcięte na jeża jasne włosy, błyszczące niebieskie oczy i nieco dziecięce rysy twarzy. Od początku procesu nie opuścił ani jednej rozprawy. Co więcej, wyglądało na to, że strażnicy sądowi ewidentnie dbali o to, by zawsze miał miejsce siedzące. Przy czym nijak nie można się było dowiedzieć dlaczego. To odgórne polecenie, twierdzili pracownicy sądu rejonowego. Nie chcieli jednak zdradzić żadnych szczegółów, ale niewykluczone, że zwyczajnie sami nic więcej nie wiedzieli. Arnold i Pedersen rozważali nawet, by posiedzieć facetowi na ogonie, ale Simonsen się na to nie zgodził. Nie zamierzał trwonić zasobów policji tylko po to, by zaspokoić zwykłą ciekawość.

– Inspektorze... Czy pan w ogóle słyszy, co do pana mówię?

To prokuratorka Hansen wyrwała go z zamyślenia. Kilka osób na sali zachichotało, nawet sędzina się uśmiechnęła, prosząc świadka o większe skupienie. Simonsen przeprosił. Jednocześnie uchwycił jednak łaskawe spojrzenie mówiące: „Masz moje rozgrzeszenie, ale żeby to było ostatni raz”. Hansen postanowiła powtórzyć pytanie:

– Oskarżona Irene Gallagher znała zarówno Bjørna Lauritzena, jak i Olego Nysteda. Obaj byli weteranami i wiedli samotnicze życie. Czy

mógłby pan wymienić dowody, które ten fakt potwierdzają? Przy czym proszę się ograniczyć do terytorium Danii... – Wypowiadając ostatnie zdanie, oskarżycielka spojrzała wymownie na sędzinę.

Maglowała Simonsena niestrudzenie, zadając mu takie i inne pytania, aż do pory lunchu, a po drodze dała mu jedynie kilka zwyczajowo przyjętych dziesięciominutowych przerw na złapanie oddechu. W końcu nikt już nie miał wątpliwości, że Irene Gallagher znała wspomnianych dwóch mężczyzn i dbała o to, by jej mąż regularnie zaopatrywał ich w niezbędne wiktuały pochodzące z prowadzonych przez niego delikatesów. Jak też, że kobieta od czasu do czasu odwiedzała Lauritzena i Nysteda – nawet jeśli dochodziło do tego niezmiernie rzadko.

Później zaś stało się to, co było nieuniknione: otóż prokuratorka Hansen zapytała o wydarzenia w Bośni latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku... Gdy tylko wspomniała jednak nazwę tego kraju, sędzina jej przerwała i poleciła, by pozostała część rozprawy odbyła się za zamkniętymi drzwiami. Publiczność została poproszona o opuszczenie sali, a gdy wyszli, sędzina powtórzyła to, co mówiła na samym początku procesu. Hansen potwierdziła, że rozumie. Nie miała wyjścia; ewentualne protesty z jej strony nie zrobiłyby na przysięgłych dobrego wrażenia.

– Co dokładnie łączyło Bjørna Lauritzena i Olego Nysteda podczas ich wspólnej misji w Bośni? – spytała Simonsena.

Szef wydziału zabójstw wyjaśnił, po czym prokuratorka zadała kolejne pytanie:

– Wiadomo, że obaj zostali przez siły zbrojne odesłani do kraju w trybie natychmiastowym w związku z incydentem, który wydarzył się trzynastego lipca dziewięćdziesiątego piątego roku i w który zamieszana była również oskarżona Irene Gallagher. Czy mógłby pan nam o tym opowiedzieć?

Simonsen zreferował wszystko, co wiedział, nadmieniając przy okazji, że wojsko odmawia wszelkiej współpracy w przedmiotowym zakresie.

Sędzina przybrała skwaszony wyraz twarzy, jej zwykle dość łagodne rysy wyraźnie się zaostrzyły, lecz nie odezwała się jeszcze ani słowem.

– Siły Zbrojne Królestwa Danii wysłały Irene Gallagher do Bośni w charakterze prokuratora wojskowej, przy czym pełniła ona jednocześnie także inną funkcję. Kim dokładnie była? – ciągnęła dalej Hansen.

– Oficerem wywiadu i majorem w...

Sędzina użyła młotka. Jego stukot odbił się wyjątkowo donośnym echem po całej sali sądowej.

– Wystarczy – rzuciła ostro. – Czy policja posiada jakiegokolwiek bezpośrednie i możliwe do zweryfikowania dowody na to, że wydarzenia, do których doszło w Bośni w dziewięćdziesiątym piątym roku, mają znaczenie w odniesieniu do zarzutów przeciwko pani Gallagher, którym się obecnie zajmujemy?

Takich dowodów Simonsen niestety nie posiadał. Pani sędzia zarządziła zatem przerwę na lunch.

Brinch przeczytał otrzymany od swojej klientki raport bardzo uważnie i znał większą jego część na pamięć. Po przerwie oświadczył, że ma do szefa wydziału zabójstw kilka pytań dotyczących jego zastępcy, Arnego Pedersena. Sędzina ruchem ręki zasygnalizowała, że może zaczynać.

– Co może pan powiedzieć o relacjach Pedersena z zamordowaną aspirantką Pauline Berg? – spytał obrońca.

Szef wydziału zabójstw opisał stosunki między funkcjonariuszami, ale użył do tego nadzwyczaj ogólnikowych i zasadniczo niewiele mówiących sformułowań.

– Jednak... o ile mi wiadomo, tych dwoje przez pewien okres łączyła bliższa zażyłość, wykraczająca poza relacje zawodowe. Mam rację?

– Zgadza się. W dwa tysiące szóstym roku Pedersen nawiązał z nią nieco bardziej poufale... to znaczy, miał z nią romans.

– Jak długo się spotykali?

– Przez jakiś rok, przynajmniej tak mi się wydaje.

– No dobrze... Jest jeszcze coś: jesienią dwa tysiące siódmego roku Pauline Berg została porwana przez jakiegoś chorego umysłowo mężczyznę. Ludzie z pańskiego wydziału zdołali go w pewnym momencie namierzyć, jednak nie chciał go pan aresztować w obawie, że nie wyjawি, gdzie

przetrzymuje swoją ofiarę. Pewnej nocy porywacz nocował w jednym ze stołecznych hoteli. Wiem, że był pan wtedy razem ze swoim zastępcą w komendzie. Ale proszę powiedzieć: czy komisarz Pedersen był zaangażowany w tę sprawę?

– Nie. Został od niej odsunięty.

– Dlaczego?

– Bo to, co zdarzyło się Pauline Berg, zaburzyło jego równowagę psychiczną.

– Hmm... Niemniej jednak podjął tej nocy pewne kroki, prawda? Czy może pan opisać, co dokładnie zrobił?

Simonsen westchnął, po czym odparł:

– Arne Pedersen udał się do hotelu na własną rękę.

– W jakim celu?

– Żeby przycisnąć porywacza i zmusić go, by powiedział, gdzie przetrzymuje aspirantkę Berg.

– Przycisnąć, w jakim sensie?

– Fizycznie...

– Miał przy sobie broń?

– Tak, pałkę policyjną i szczyryk.

– Rozumiem. Na całe szczęście udaremniliście jego samozwańczą akcję, ale jak pan myśli... czy w innym wypadku użyłby przeciw porywaczowi wskazanych narzędzi?

– Skąd niby mam to wiedzieć?

– Taki miał w końcu zamiar, czyż nie?

– Pewnie tak.

– Aha... Mam jeszcze jedno pytanie odnośnie do pańskiego zastępcy... Czy wiadomo panu coś na temat groźby, która padła z ust komisarza Pedersena, zapewne w porywie złości, w sobotę osiemnastego września? Stało się to na cmentarzu, zaraz po pogrzebie Pauline Berg. Wzmianka o tym ukazała się następnie w trzech różnych gazetach. Co więcej, wypowiedź funkcjonariusza przytoczono na łamach każdej z nich dokładnie w tym samym brzmieniu.

– Tak, wiem o tym. Omówiłem z Pedersenem tę kwestię i zwróciłem mu uwagę, że było to z jego strony wyjątkowo nierozsądne.

– „Złapiemy go, tę sukę Gallagher też. Tylko poczekaj... Nie mam jeszcze pojęcia jak, ale dobierzemy im się do tyłków, choćby nie wiem co!” I taką deklarację nazywa pan po prostu „wyjątkowo nierozsądną”?

– Przyznaję, że tu, na sali rozpraw, ta wypowiedź brzmi o wiele gorzej. Ale nie należy zapominać, że została wyrwana z kontekstu.

– „Nie mam jeszcze pojęcia jak, ale dobierzemy im się do tyłków, choćby nie wiem co!” Nie wydaje się panu, panie inspektorze, że to mówi samo za siebie?

Simonsen postanowił nie komentować tej uwagi w żaden sposób, a Brinch na to nie naciskał. Zamiast tego przeszedł do ostatniego pytania:

– W poniedziałek dwudziestego września przesłuchał pan Irene Gallagher w jej domu w Næstved wspólnie ze swoim zastępcą, zgadza się?

– Tak, tak właśnie było.

– Czy był pan obecny podczas całego przesłuchania, czy komisarz Pedersen w pewnym momencie został z moją klientką sam?

– Faktycznie, tak się właśnie zdarzyło. Ktoś do mnie zadzwonił, więc musiałem na chwilę wyjść na zewnątrz.

– A jak długo pana nie było?

– Dziesięć minut, może kwadrans. Nie potrafię dokładnie powiedzieć.

– A z kim pan rozmawiał?

Simonsen opowiedział, jak ktoś najwyraźniej usiłował go nastraszyć, sugerując, że jego córka miała wypadek.

– A próbował pan później namierzyć telefon, z którego wykonano to połączenie? – spytał obrońca.

– Owszem.

– Z jakim rezultatem?

– Prawdopodobnie dzwoniło do mnie z komendy, ale nic więcej nie udało nam się ustalić.

– A czy dopuszcza pan możliwość, że ktoś zadzwonił z posterunku policji po to, żeby wyciągnąć pana z pomieszczenia, w którym odbywało się

przesłuchanie, i tym samym spowodować, że Pedersen i Irene Gallagher zostaną na chwilę sam na sam?

– Oczywiście nie można wykluczyć takiego scenariusza. Podobnie zresztą jak wielu innych...

Brinch podziękował Simonsenowi, nie miał więcej pytań.

– Jakies wnioski? – spytała sędzina.

– Na ten moment nie. Może później... Z uwagi na przyjętą przez nas linię obrony ważne było jednak ustalenie, czy moja klientka i zastępca szefa wydziału zabójstw Arne Pedersen podczas przesłuchania zostali w pewnym momencie sami.

Sędzina skinęła głową, a Brinch pomyślał, że musi być równie skosternowana jak on – też nie miał pojęcia, dlaczego to niby takie istotne.

Rozprawa dobiegła końca.

Po chwili do Simonsena podszedł siedzący wcześniej wśród publiczności Pedersen. Był wyraźnie wstrząśnięty.

– Co tu się, kurwa, wyprawia, Simonie?

Na to jego szef niestety sam nie znał odpowiedzi.

– Najpierw ta historyjka w zeszłym tygodniu, że niby podłożyłem dowody w aucie jej siostry. Co za absurd! Ja nawet nie stałem obok tego samochodu... Zresztą wtedy nie mieliśmy jeszcze nakazu – rzucił komisarz.

Simonsen położył mu dłoń na ramieniu, chcąc go uspokoić.

– Arne... Przerabialiśmy to już jakieś dziesięć razy. Nikt nie wierzy w to, że byłbyś zdolny podłożyć jakiegokolwiek dowody. Poza tym wszyscy wiedzą, że dobrowolnie podpisała się pod swoimi zeznaniami.

Pedersen nie dał się jednak przekonać.

– A dziś jeszcze to! Mam już serdecznie dość. Robią wszystko, żeby mnie oczernić – wykrzyczał niemalże.

– Posłuchaj... Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko wziąć to na klatę. Opanuj się, Arne, nie możesz tu stać i się wydierać, to naprawdę nie najlepszy pomysł.

Pedersen pomyślał, że jego szef ma rację. Musi wziąć się w garść.

– Jedziesz do komendy? Muszę z kimś pogadać – rzucił już względnie spokojnie.

– Dobra, w takim razie pojedę. Ale najpierw muszę...

Simonsen przerwał w pół zdania, bo nagle wślizgnęła się między nich jakaś młoda kobieta, która zaraz potem zarzuciła Pedersenowi ramiona na szyję i czule go pocałowała.

Tą kobietą była Louise Berg.

Rozdział 53

Wtorek, 9 listopada 2010 roku, Kopenhaga

Arnold czekał przed gmachem Sądu Rejonowego w Kopenhadze, aż skończy się rozprawa. Postanowił wziąć sprawę nieznanego mężczyzny, który uważnie śledził przebieg całego postępowania, w swoje ręce. Rozumiał oczywiście, że jego szef nie chce angażować stosunkowo skromnych sił, którymi dysponował wydział zabójstw, tylko po to, by ustalić tożsamość tego człowieka. Ale przecież Simonsen nie mógł zabronić swoim podwładnym, w tym przykładowo jemu samemu, dyskretnego śledzenia tego faceta w czasie wolnym od pracy... Ot po prostu, żeby się dowiedzieć, dokąd pójdzie po rozprawie. A właśnie to Jutlandczyk postanowił tego późnego popołudnia ustalić.

Miał nadzieję, że mężczyzna zaparkował auto gdzieś w pobliżu. Dzięki temu będzie mógł spisać numer rejestracyjny. Tak byłoby zdecydowanie najłatwiej. Niestety, człowiek ten najwyraźniej nie miał samochodu. Po wyjściu z sądu niespiesznie udał się pieszo w kierunku placu Kongens Nytorv, oglądając okna wystawowe mijanych po drodze sklepów. Arnold szedł jakieś dwadzieścia metrów za nim, a za każdym razem, gdy tamten przystawał, policjant wycofywał się na schody prowadzące do tej czy innej posesji albo zatrzymywał się na przystanku autobusowym. Mężczyzna dotarł na plac Kongens Nytorv, przeciął go i podążył dalej ulicą Store Kongensgade, nadal wyraźnie zrelaksowany i zaciekawiony ulicznymi butikami. Nagle jednak zniknął, rozpląnął się w powietrzu, zupełnie jakby założył czapkę niewidkę. Policjant różnym krokiem ruszył do przodu, zatrzymał się i zaczął rozglądać wokół. Niestety nadaremnie. Wzruszył więc ramionami i pomyślał, że przynajmniej spróbował. Najwyżej powtórzy to jeszcze któregoś dnia, jeśli będzie miał czas i ochotę. Obrócił się, by się

udać w drogę powrotną, lecz nagle podskoczył. Przed nim stał cel jego obserwacji z ustami rozciągniętymi w szerokim uśmiechu. Arnold potrzebował kilku sekund, żeby dojść do siebie, po czym wyjął legitymację policyjną i rzucił:

– Znajduje się pan w strefie przeszukań. Ma pan przy sobie jakiś dokument tożsamości? Mogę zobaczyć?

Słyszając to, facet uśmiechnął się jeszcze szerzej, wyglądał na szczerze ubawionego. Nie był jednak w żaden sposób nieprzychylny, więc twarz policjanta również się rozjaśniła.

– Oczywiście, że mam – powiedział nieznajomy.

Następnie wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza paszport – czarną książeczkę z białym napisem: „DIPLOMATIC PASSPORT United States of America”.

Arnold wyciągnął rękę, ale facet był zdecydowanie szybszy, bo cofnął dłoń.

– Jeśli zamierza pan podjąć jakiekolwiek dalsze kroki, musi pan, zdaje się, postępować zgodnie z określoną procedurą. Mam rację?

Niestety miał rację...

– Zgadza się. I dobrze o tym wiem, proszę wybaczyć... – odparł ostrożnie Jutlandczyk. – Ale może mi pan chociaż powiedzieć, jak się nazywa? Tak zupełnie dobrowolnie. Z chęcią dowiedziałbym się również, dlaczego tak sumiennie uczestniczy pan we wszystkich rozprawach przeciwko Irene Gallagher. Zastanawiało nas to... albo raczej, mnie to zastanawiało.

Mężczyzna potrząsnął głową z miną wyrażającą ubolewanie.

– Jeszcze nie teraz. Może trochę później, kiedy sąd wyda wyrok w sprawie. Wtedy sobie pogadamy. W razie czego, wie pan, gdzie mnie szukać, prawda?... – Ponownie się zaśmiał, obrócił się na pięcie i po chwili już go nie było.

Rozdział 54

Czwartek, 11 listopada 2010 roku, Sąd Rejonowy w Kopenhadze

– Jak już zostanie oczyszczona z zarzutów, może dasz się któregoś dnia zaprosić na kolację w ramach podziękowania za swoją pierwszorzędną robotę?

Brinch nie odpowiedział. Siedzieli razem w celi Gallagher i jedli – sąd zarządził przerwę na lunch. Połknął przeżuwany kęs i odparł:

– Mam mieszane uczucia. Czy jesteś absolutnie pewna, że wiesz, co robisz? – spytał.

Od jakiegoś czasu mówili sobie na ty.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

– Z etycznego punktu widzenia to co najmniej naganne. Bardzo mi się to nie podoba...

– Mnie też się nie podoba to, co zrobiła policja, żeby mnie oczernić, i mam chyba prawo do możliwie jak najlepszej obrony, prawda?

Brinch się zawahał, choć sam dobrze wiedział, że nie powinien, po czym przytaknął głową. Uśmiechnęła się, lecz on nie odwzajemnił uśmiechu. Zamiast tego przeprosił ją i wstał. Potrzebował wyjść na chwilę na świeże powietrze i pobyć sam ze sobą, zanim wróci na salę rozpraw. Gdy znalazł się już na placu Nytorv, podszedł do niewielkiego wzniesienia, na którym stał niegdyś przęgierz miejski. W dawnych czasach chłostano przy nim drobnych przestępców i prostytutki. „Symbol jawnego uciemienia... a nie sprawiedliwości”, pomyślał smutno, po czym nagle przyszło mu do głowy, że właśnie dotarł do schyłku swojej kariery. Najpierw przez wiele lat chodziło głównie o pieniądze, potem zaś – właśnie o sprawiedliwość, o to, że mógł choć w niewielkim stopniu przyczynić się do tego, żeby jego kraj można było nazywać państwem prawa. Ale teraz koniec

z tym, po tej sprawie jego stopa już nigdy nie postanie w sali sądowej, a przynajmniej on, Christoffer Brinch, już nigdy nie zdecyduje się wystąpić w roli obrońcy. Uwikłał się w pajęczą sieć utkaną przez swoją własną klientkę, został zmanipulowany i rozgrywano nim jak pionkiem w grze, co pojął niestety zdecydowanie za późno. Musiał zatem wrócić tam i dokończyć swoją brudną robotę. Nie może się już przecież wycofać... Splunął na bruk, nie robił tego od czasów dzieciństwa.

Po wznowieniu rozprawy technik kryminalistyczny opowiedział o bójstwie Bjørna Lauritzena. Określił datę i godzinę zgonu, po czym wyjaśnił:

– Najpierw strzelono mu w tył głowy, kiedy siedział na skrzynce, przy czym zaraz potem sprawca oddał drugi strzał, tym razem prosto w czoło. Użył lekkiej broni – nie stwierdzono otworów wylotowych. W czaszce de-nata znaleziono natomiast dwa naboje kalibru 5,6 milimetra.

Następnie mężczyzna omówił szczegółowo, pod jakim kątem oraz z jakiej odległości przypuszczalnie padły strzały, co zajęło mu dłuższą chwilę. Gdy już skończył, prokuratorka Hansen zadała technikowi kilka ogólnych uzupełniających pytań, a Brinch w ogóle odstąpił od przesłuchania.

Kolejnym świadkiem był techniczka. Zeznała ona, że podczas przeszukiwania garażu Irene Gallagher znaleziono w nim pistolet. Broń znajdowała się w reklamówce ukrytej w wiadrze z solą drogową. Był to ruger mark I 22LR wyprodukowany przez firmę Sturm, Ruger & Co z siedzibą w Connecticut w USA; model ten pojawił się w sprzedaży w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku. Celownik pistoletu został zdemonstrowany. Wykonane badania balistyczne samej broni i wyjętych z czaszki Lauritzena nabojów potwierdziły następnie, że zginął on właśnie od strzału z tego pistoletu. Poza tym z narzędzia zbrodni zdjęto odciski palców i materiał DNA dwóch różnych osób. Pierwsze, pochodzące z lufy, nie zostały zidentyfikowane, bo nie figurowały w policyjnej bazie danych. Natomiast odciski i materiał DNA pozyskane z rękojeści należały do Irene Gallagher. Później techniczka przeszła do wspomnianej torebki foliowej. Był to woreczek do mrożenia żywności, jakie sprzedają w sieci Fakta. Podała, w której dokładnie fabryce wyprodukowano to opakowanie, a do tego nadmieniła, że

dzięki badaniom molekularnym udało jej się określić, że ta konkretna partia woreczków była w sprzedaży w sklepach na terenie Kopenhagi. Na koniec zeznała, że umiejscowienie odcisków palców na rolce oraz odciski dłoni na torebce wskazują, że zostawiono je podczas jej odrywania. Odcisków nie udało się zidentyfikować, ale z uwagi na rozmiar można założyć, że należą one najprawdopodobniej do dziecka. To wszystko, kobieta nie miała już nic do dodania. Teraz świadka mógł przesłuchać Brinch.

– Jeśli chodzi o te niezidentyfikowane odciski palców zdjęte z pistoletu, czy można zaryzykować stwierdzenie, że osoba, która je zostawiła, podała broń innej osobie lufą skierowaną do siebie? – zapytał.

– Jak najbardziej. Wszystko właśnie na to wskazuje.

– A czy te odciski zostawiono przed tym, jak po raz ostatni oddano z tego pistoletu strzał, czy później? Jeśli w ogóle można to określić...

– Naturalnie, że można. Zostawiono je przed oddaniem strzału.

– A czy ze spustu zdjęto jakiegokolwiek ślady?

– Nie, żadnych.

– I ani trochę to pani nie zdziwiło?

– Może trochę.

– A czy na rękojści stwierdzono także odcisk palca wskazującego?

– Tak.

– Który powinien spoczywać na spuście, czy mam rację?

– Nie można się z tym nie zgodzić.

– No dobrze. Załóżmy, że ktoś faktycznie zostawił te niezidentyfikowane odciski w chwili przekazywania pistoletu... czy te pozostawione na rękojści broni mogą należeć do osoby, która wzięła go potem do ręki?

– Tak, to całkiem możliwe. A w zasadzie nawet bardzo prawdopodobne. Otóż w pewnym momencie porównywaliśmy ślady zdjęte z lufy z odciskami palców Lauritzena, bo przyszło nam do głowy, że może to on podał zabójcy broń, ale się nie zgadzały.

Brinch podziękował technicze i zwrócił się twarzą w stronę sędziny, po czym powiedział głośno i powoli:

- Moja klientka twierdzi, że podczas przesłuchania w jej domu w Næstved zastępca szefa wydziału zabójstw Arne Pedersen, korzystając z tego, że – jak już wcześniej ustalono – został z nią na chwilę sam na sam, podał jej przedmiotowy pistolet z pytaniem, czy go poznaje. Pani Gallagher wzięła broń do ręki, przyjrzała się jej, po czym zaprzeczyła, w związku z czym komisarz schował pistolet z powrotem do przyniesionej ze sobą teczki. Moja klientka podnosi wobec tego, że odciski palców zdjęte z lufy należą do zastępcy szefa wydziału zabójstw. Nie zostało to jednak stwierdzone w drodze porównania z policyjną bazą danych, jako że sam komisarz Pedersen lub inni działający w zмовie z nim pracownicy usunęli stamtąd jego odciski. Ponadto moja klientka przypuszcza, że odciski znalezione na torebce, w której leżała broń, mogły zostawić dzieci komisarza. Występując w charakterze obrońcy Irene Gallagher, wnoszę, by sąd zweryfikował przedmiotowe twierdzenia; niemniej jednak należy zlecić to organowi, który będzie niezależny od policji w Kopenhadze. Chciałbym również, by porównania dokonano w mojej obecności, ewentualnie w obecności bezstronnej osoby wyznaczonej przez sąd.

Na sali rozpraw zapadła grobowa cisza. Wszyscy wstrzymali oddech; siedzieli jak sparaliżowani i analizowali w głowach słowa Brincha. Nawet sędzina wyglądała, jakby wpadła w trans, w końcu się jednak otrząsnęła i dla pewności spytała:

- Wnioskuje, że obrońca zdaje sobie sprawę z wagi takich zarzutów?

- W pełni... Już je jednak podniosłem, na wyraźną prośbę mojej klientki. Przy czym można je łatwo zweryfikować, co już zresztą...

- Tak, zrozumiałam. I nie mam wyboru – odparła sędzina. - Zarządzam zatem trzygodzinną przerwę, w czasie której poproszę, by zweryfikowano te absurdalne pomówienia. Spotkamy się tu ponownie o piątej po południu. Sprawa jest zbyt paląca, by czekać z rozstrzygnięciem do rana.

Rozprawę wznowiono dokładnie o siedemnastej, a sędzina wyglądała jak burzowa chmura, z której za chwilę uderzy piorun, gdy obwieszczała zgromadzonym na sali, co ustalono: po pierwsze, że odciski palców Arnego Pedersena rzeczywiście zostały usunięte z policyjnego rejestru daktyloskopijnego, a po drugie, że zgadzały się z odciskami zdjętymi z lufy pi-

stoletu, z którego zastrzelono Bjørna Lauritzena. Dodatkowo ślad pozostawiony na foliowej torebce należał do jednego z jego bliźniaków; nie sposób było wprawdzie określić którego, ale nie miało to zasadniczo żadnego znaczenia. Sędzina ciągnęła dalej, teraz zwracając się do prokuratorki Hansen:

– Z uwagi na powyższe sąd wzywa prokuraturę do wycofania zarzutów przeciwko pani Gallagher.

Hansen skinęła głową. Nie miała innego wyjścia, jak tylko się zgodzić. Sędzina oświadczyła zatem, że sprawę uważa za zamkniętą, po czym poinformowała Irene Gallagher, że jest wolna.

* * *

Jakieś pół godziny później Brinch zamknął się w swoim biurze. Kilka osób czekało w kancelarii na jego powrót z sądu, by pogratulować mu sukcesu. Przeszedł jednak obok nich bez słowa. Później wyjął z szafy butelkę koniaku. Wyszarpnął korek i pociągnął solidny haust. Po jakimś czasie, gdy alkohol zaczął działać, pościągał ze ściany za swoim biurkiem wszystkie pięknie oprawione dyplomy i odznaczenia i zaczął nimi ciskać w ekran komputera, nie przestając pić. Potem przez dłuższą chwilę siłował się z regalem, aż w końcu udało mu się go przewrócić. Jego współpracownicy, zaniepokojeni hałasem, wpadli do jego gabinetu, by zaraz się jednak wycofać.

– Wynocha! Idźcie wszyscy do diabła! Won z mojego biura! – krzyczał rozjuszony Brinch.

Jeden z partnerów zadzwonił więc do jego żony z informacją, że mąż wpadł w szał, dlatego proszą, żeby jak najszybciej przyjechała. Pani Brinch przyjęła tę wiadomość ze stoickim spokojem; uważnie wysłuchała, co mieli do powiedzenia, po czym stwierdziła, że jeśli Christoffer niszczy własne rzeczy, to nic nikomu do tego. Jeśli się upił, to pewnie dlatego, że poczuł taką potrzebę. Niemniej jednak będzie wdzięczna, jeśli ktoś odwiezie go do domu albo wezwie mu taksówkę, kiedy już w końcu się uspokoi.

Część IV

Dom w Bośni

Rozdział 55

Piątek, 12 listopada 2010 roku, komenda policji

– ...do trzech lat więzienia za zmanipulowanie materiału dowodowego, a do tego może dojść zarzut zabójstwa Bjørna Lauritzena. – Komendant Główny Policji bezbarwnym głosem wyliczał kolejne zarzuty oraz konsekwencje, które mogą dotknąć Arnego Pedersena.

Komendantka, po której widać było, że poprzedniej nocy raczej niewiele spała, słuchała go z kamienną, pobladłą twarzą. Spotkanie odbywało się w jej biurze. Sekretarka głównego komendanta, przemiła kobieta, wszyscy w komendzie lubili ją i szanowali, występowała w charakterze protokolantki. Miała błyszczące oczy, które raz po raz wycierała przyniesioną ze sobą chusteczką. Hrabianka wprawdzie niezaproszona, mimo to zjawiła się razem z mężem – przeciwko czemu nikt nie zaprotestował – ki-piała ze złości. Miała zmrużone powieki i wargi zaciśnięte w wąską kreskę, a jej ruchy były nerwowe i gwałtowne, zupełnie jakby buzujący w niej gniew poniekąd ograniczał ich zakres. Tylko Simonsen wydawał się przyjmować sytuację ze spokojem.

– Powołałem specjalny zespół, w którego skład wejdzie dwóch doświadczonych funkcjonariuszy z policji kryminalnej z Aarhus oraz dwóch z policyjnej służby wywiadowczej – kontynuował ich główny zwierzchnik. – Przeprowadzą oni w sprawie przeciwko Pedersenowi szczegółowe śledztwo. Do waszej wiadomości, najprawdopodobniej zostaną mu postawione zarzuty i trafi do tymczasowego aresztu jeszcze dziś po południu, najpewniej będzie przebywał w izolacji, tego nie musisz zamieszczać w protokole, Margrete. Powołałem też inną grupę specjalną, ta przyjrzy się wszystkim jego dochodzeniom, to znaczy... z prawnego punktu widzenia to będzie istna apokalipsa, prawdziwy koszmar, nawet nie wiem jak...

Nie zdołał dokończyć zdania, bo Hrabianka nagle pochyliła się nad stołem i chwyciła kartkę, którą się posiłkował, trzymając ją przed sobą niczym tarczę. Zgniotła ją, po czym szybkim ruchem cisnęła nią o podłogę. Później nienawistnym głosem – mocno kontrastującym z jej raczej łagodnym usposobieniem, co sprawiało, że nawet Simonsen rozdziawił usta – zawołała:

– Niech się panu nie wydaje, że ujdzie to panu na sucho! Jeśli za jakieś parę tygodni okaże się, że te żałosne zarzuty zostały sfabrykowane, osobiście postaram się o to, żeby odpowiednio obsmarowano pana w prasie! Tak, żeby wyszedł pan na zupełnie niekompetentnego i niełojalnego wobec swoich podwładnych. A wtedy wszystkie media w kraju zażądają pańskiej dymisji szybciej, niż zdąży pan powiedzieć „były komendant”.

Główny zwierzchnik poczerwieniał na twarzy, a u nasady nosa wystąpiły mu kropelki potu. Jąkając się i z trudem wyrzucając z siebie słowa, wykrzyczał:

– Czy mi się wydaje, czy pani mi grozi, sierżantko?!

– Dobrze się panu wydaje, panie komendancie. To właśnie robię! I zapewniam pana, że to nie są czcze pogrózki.

– Do diabła, Hrabianko, musimy coś zatem wymyślić. Nie mam pojęcia co... Ale coś, co nie... coś, na co wszyscy będziemy skłonni przystać.

Przerażony rozglądał się po gabinecie niczym zwierzę w potrzasku. Wyraźnie nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć... Jego sekretarka zwróciła się do Hrabianki:

– Czy naprawdę myśli pani, że takie zachowanie coś tu pomoże? Moim zdaniem nie bardzo...

Policjantka odrobinę się wyciszyła, jednak nie zamierzała nikogo przepraszać. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, do akcji wkroczyła komendantka. Na przestrzeni ostatnich kilku lat zdecydowanie rozwinęła skrzydła; na swój własny, nieco osobliwy sposób z każdym dniem zyskiwała coraz większe uznanie wśród pracowników.

– Poprowadzę to zebranie za pana, panie komendancie. Myślę, że przekazał mi pan wszystkie niezbędne informacje. W zasadzie powinnam była

to zasugerować, a może nawet tego zażądać, podczas naszej wcześniejszej rozmowy – powiedziała spokojnym głosem.

Spojrzała na sekretarkę wzrokiem mówiącym, że zajmie się również protokołem, po czym wstała, zanim ktokolwiek zdążył jej odpowiedzieć, i otworzyła drzwi do biura. Główny komendant wyglądał jak tonący, któremu ktoś nagle rzuca koło ratunkowe.

– Tak. Tak będzie zdecydowanie najlepiej, bardziej bezpośrednio... i na odpowiednim szczeblu – wymamrotał z ulgą, kierując się ku wyjściu.

Asystentka zebrała ze stołu jego papiery.

– Dziękuję, bardzo dziękuję... – rzuciła, a następnie skinęła komendantce głową i prędko pobiegła za swoim szefem.

Gdy główny komendant i jego sekretarka opuścili biuro, komendantka zamknęła drzwi i wróciła na swoje miejsce. Po drodze położyła na chwilę dłoń na ramieniu Simonsena. Gdyby chodziło o kogoś innego, ten gest mógłby wydać się zbyt matkujący i zupełnie nie na miejscu, ale nie w jej przypadku. Ona taka nie była, o czym oboje dobrze wiedzieli.

– Pozwólcie, że nie będę owijać w bawełnę... Simonie, jeśli uznasz, że nie powinnam podejmować kroków, które wam za chwilę nakreślę, po prostu to powiedz, a wtedy ich zaniecham. W konsekwencji zostanę naturalnie zwolniona, mówi się trudno. Poważnie się zastanawiam, czy sama nie powinnam odmówić wykonania wydanych mi poleceń. Przy czym nie wydaje mi się, by komukolwiek było to na zdrowie, a już na pewno nie przysłuży się Arnemu. Ale to również twoja decyzja, nie tylko moja...

Simonsen i Hrabianka skinęli głowami na znak, że rozumieją.

– Zatem, opcje są następujące, Simonie... Możesz przejść na emeryturę. Jeśli to zrobisz, będę dla ciebie miała bardzo intratną propozycję. Możesz się też upierać i zostać, po czym ja zawieszę cię tu i teraz, na czas nieokreślony, ale z zachowaniem pełnego wynagrodzenia. Jeśli chodzi o was oboje, a zasadniczo o cały wydział zabójstw, obowiązuje was kategoryczny zakaz komentowania tej sprawy w mediach. Ty zaś, Simonie, nie masz prawa rozmawiać o tym absolutnie z nikim. Co do ostatniego punktu, nie mam pewności, czy zgodnie z układem zbiorowym pracy i obowiązującym prawem do wolności wypowiedzi można w ogóle taki za-

kaz nałożyć, ale też nie zawracałam sobie szczególnie głowy sprawdzaniem tego. Wysłałam z założenia, że mamy większe problemy. Teraz twoja kolej...

Obie kobiety spojrzały na Simonsena. Wyglądał na zupełnie niewzruszonego.

– Nie ma mowy, żebym przeszedł na emeryturę dlatego, że ktoś tego ode mnie oczekuje – odpowiedział bez chwili namysłu. – A co do scenariusza, w którym ty zostaniesz odwołana, tu absolutnie się zgadzam, nikomu się to nie przysłuży.

Komendantka odetchnęła z wyraźną ulgą, co dziwne, bynajmniej nie dlatego, że zachowa swoje stanowisko.

– Właśnie to najbardziej chciałam usłyszeć. Oczywiście dostaniesz to też na piśmie. Czy chcesz, żebym powtórzyła, że zostajesz zawieszony... No wiesz, żeby dopełnić formalności?

Simonsen nie chciał jej tego utrudniać.

– Nie ma takiej potrzeby... Zrozumiałem. Zanim stąd dziś wyjdę, zostawię na biurku swoją legitymację.

– Możesz zabrać ze sobą tylko rzeczy osobiste. Tak naprawdę powinienam ci do tego przydzielić funkcjonariusza, ale tego nie zrobię, bo jest mi wszystko jedno, co ze sobą weźmiesz. Wybacz, ale musiałam to powiedzieć. Hrabianko, zadbam o to, żeby dyskretnie przekazano ci klucze do biura Simona, bo domyślam się, że mimo wszystkich tych restrykcji nie skończyliście jeszcze z rzeczoną sprawą, prawda? – spytała komendantka.

– Możesz być pewna, że nie – odparła Hrabianka nieprzejednanym głosem.

Simonsen się podniósł, lecz jego szefowa zaprotestowała:

– Usiądź, Simonie.

Policjant ponownie usadowił się na krześle.

– Wychodzę z założenia, że nie ja jedna analizuję od wczoraj z każdej strony sytuację, w której znalazł się Arne. To znaczy, chyba nikt z nas nie wierzy w to, że Pedersen mógłby zachować się tak bezmyślnie i użyć woreczka foliowego przyniesionego z własnego domu... albo zostawić swoje

odciski palców na pistolecie, który rzekomo podłożył w garażu Irene Gallagher jako fałszywy dowód! Nawet najbardziej nierozgarnięty policjant kryminalny by tego nie przeoczył... A Arne jest w policji już grubo ponad dwadzieścia lat! Nie ma możliwości, żeby popełnił tak elementarny błąd, nawet gdyby rzeczywiście miał złe zamiary. Poza tym to, że niby usunął swoje odciski z naszego rejestru daktyloskopijnego, w ogóle nie trzyma się kupy. Mógł przecież po prostu ich nie zostawiać. Ten cały zespół specjalny też nie widzi tu żadnej logiki, przy czym nie wiedzą jeszcze, jak inaczej można to wytłumaczyć. Ja również nie mam pojęcia jak... Ale mimo wszystko nie mogą udawać, że na tym cholernym pistolecie nie było odcisku palca Pedersena, bo tak się składa, że niestety był. – Posłała Simonse-nowi błagalne spojrzenie.

– Powiedz mi... Po co w ogóle rozkładasz na czynniki pierwsze sprawy, na których zupełnie się nie znasz? – zapytał.

Komendantka lekko się zarumieniła, po czym spytała niemalże potulnie:

– Ale ty też nie wierzysz, że Arne byłby do tego zdolny, prawda?

– Nie. Pedersen jest niewinny. Coś jeszcze?

Jego szefowa pokręciła głową.

– Zadzwoń do tego mazgaja i go przeproszę. Wiem, to nie jego wina – rzuciła Hrabianka, wychodząc.

Simonsen miał jeszcze jedną uwagę:

– Zadbaj, proszę, o to, żeby Arne został umieszczony w celi w komyndzie, bez względu na to, kogo będziesz w tym celu musiała postawić pod ścianą. I ma tam być sam! Sama wiesz, jak inni więźniowie traktują aresztowanych funkcjonariuszy...

Rozdział 56

Piątek, 12 listopada 2010 roku, Søllerød

U Simonsenów panowała przygnębiająca atmosfera. Hrabianka zamówiła jedzenie z dostawą do domu. Wybrała drogą restaurację, czego później pożałowała. Wydało jej się to zupełnie nie na miejscu... zupełnie jakby było co świętować. Ale jakkolwiek by na to patrzeć, chciała w ten sposób przekazać, że łączy ich coś więcej niż tylko praca i że koniec końców nic wielkiego się nie stało, bywają przecież w życiu gorsze rzeczy. Niestety umiarkowanie jej się to udało. Wykwintne dania nikogo szczególnie nie zachwyciły. Jedli w milczeniu, każde pochylone nad swoim talerzem. Towarzyszył im Kurt Melsing. W zasadzie nikt go nie zaprosił, wpadł ot tak, sam z siebie. Hrabianka cieszyła się jednak z wizyty kolegi; wyglądało na to, że jej mąż właśnie z nim najlepiej się dogadywał na płaszczyźnie zawodowej. Choć pod względem charakterów skrajnie się od siebie różnili, obaj stali na czele wydziałów specjalnych, a do tego obaj cieszyli się wśród współpracowników ogromnym uznaniem z uwagi na swój niekwestionowany profesjonalizm. Przy czym Melsing – który notabene nigdy nie należał do szczególnie rozmownych – był podczas całego posiłku, jak również podczas całego spotkania, jeszcze bardziej milczący niż zwykle. Simonsen natomiast sprawiał wrażenie, jakby dopiero co wrócił z ekspedycji na Księżyc. Nie dość, że w ogóle nie był w stanie aktywnie uczestniczyć w rozmowie, to jeszcze każde pytanie trzeba było zadać dwukrotnie.

– Przepraszam, możesz powtórzyć?... – rzucał w roztargnieniu, zupełnie jakby właśnie się obudził. W pewnym momencie Melsing postanowił skomentować sytuację kolegi, i to w sposób boleśnie szczery:

– Nie dziwię się, że cię zawiesili, Simonie. Nie mieli wyboru, na ich miejscu zrobiłbym dokładnie to samo.

Hrabianka zaprotestowała, jej mąż wręcz przeciwnie.

– Oczywiście... nie mogli postąpić inaczej. Ale to naprawdę drugopłanowa sprawa. Nie ma sensu zawracać sobie tym głowy – odparł Simonsen, po czym ponownie zapadł w letarg.

Hrabianka jako gospodyni wychodziła z siebie, żeby choćby w minimalnym stopniu podtrzymać konwersację. W pewnym momencie zorientowała się jednak, że mówi zasadniczo sama do siebie, więc dała sobie spokój. A że żadnemu z panów najwyraźniej nie przeszkadzało, że poza krótkimi chwilami wypełnionymi rozmową siedzą w całkowitym milczeniu, dlatego wzięła do ręki książkę i oddała się lekturze.

Gdy około siódmej wieczorem rozległ się dzwonek do drzwi, Hrabianka zaskoczona spojrzała na zegarek. Anna Mia i Arnold mieli być mniej więcej o ósmej, czyli dopiero za godzinę. Przeszła przez korytarz, otworzyła drzwi i stanęła jak wryta. Na ganku stała ostatnia osoba, której mogłaby się spodziewać, a mianowicie Christoffer Brinch, obrońca Irene Gallagher.

Przedstawił się, wykonując lekki ukłon, po czym przeprosił, że nachodzi ich tak bez zapowiedzi. Wy tłumaczył, że bardzo chciałby jakoś pomóc... to dla niego bardzo ważne.

– Ale pomóc w czym konkretnie? – spytała podejrzliwie gospodyni.

– W związku z tą koszmarną sytuacją, w której znalazł się przeze mnie zastępca naczelnika wydziału zabójstw, Arne Pedersen.

– A w jaki niby sposób mógłby pan pomóc? Chyba już na to trochę za późno, nie uważa pan?

Tego niestety sam nie wiedział... Ale był więcej niż przekonany, że jest coś, co mógłby zrobić. Hrabianka stała w drzwiach, blokując wejście. Nie wyglądało na to, by zamierzała go wpuścić.

– Jeśli przyszedł pan tutaj po rozgrzeszenie, najlepiej będzie, jak od razu sobie pan pójdzie.

– Nie, zupełnie nie o to chodzi. Prawda jest taka, że gdyby sprawa miała zostać rozpatrzona ponownie, byłbym zmuszony działać dokładnie tak samo co wcześniej. Ale skoro ją zamknęli, zmieniły się też pewne okoliczności...

Policjantka, która była świadoma tego, że adwokat toczy właśnie wewnętrzną walkę między profesjonalizmem a etyką, po krótkiej chwili namysłu odsunęła się od drzwi.

– Dobrze, w takim razie proszę wejść – rzuciła krótko i mało życzliwie.

W salonie Brinch powtórzył wszystko, co powiedział już wcześniej Hrabiance, po czym ciągnął:

– Jak wiadomo, obrońca zobligowany jest zachować w tajemnicy wszystko, czego dowie się w związku z udzielaniem pomocy prawnej. Gdybym zatem bezprawnie ujawnił informacje dotyczące swojej klientki, groziłaby mi odpowiedzialność karna. Niemniej jednak mam niekwestionowane prawo opowiadać o fikcyjnych procesach... Gdzie adwokat ma przykładowo na imię Ib, a oskarżony Bo, i gdzie występuje cała masa innych nieistniejących osób.

Następnie szczegółowo omówił przebieg postępowania, podkreślając, że Bo przez cały czas był o kilka kroków do przodu, ponieważ z wyprzedzeniem wiedział o pewnych sprawach, o których ani policja, ani oskarżycielka nie mieli bladego pojęcia. Opowieść Brincha była gruntownie przemyślana i dało się z niej wyluskać wiele cennych informacji. Nawet Simonsen nadstawiał uszu.

– Nie wiem, jak dokładnie mógłbym wam pomóc. Ale jestem piekielnie zdolnym adwokatem, dysponuję ogromną siecią i w słusznej sprawie jestem w stanie zaangażować każdą liczbę utalentowanych prawników. Dodatkowo jestem bardzo zamożny i chętnie zainwestuję własne środki, jeśli w ten sposób mogę się przysłużyć sprawie – dodał na zakończenie Brinch.

Zapadła cisza, ale czuł, że pozostali są mu przychylni... Zupełnie jakby między wierszami dawali mu do zrozumienia, że może zostać, jeśli tylko chce.

– Napije się pan czegoś? – spytała Hrabianka.

– Hmm, wczoraj załałem się w sztok, co zdarzyło mi się po raz pierwszy od trzydziestu lat. Może szklaneczkę koniaku, jeśli pani ma... coby przegonić kaca, bo nadal mnie męczy.

Policjantka uśmiechnęła się lekko, po czym przyniosła mu lampkę złotego trunku.

– Pieniądze mamy. To akurat nie problem... – powiedziała, podając gościowi koniak.

Po chwili zjawili się Anna Mia i Arnold. Nie przyszli jednak sami, przeprowadzili ze sobą Anicę Buch i Louise Berg. Anna Mia pocałowała ojca w czoło, a Louise Berg poszła za jej przykładem – czuła, że jest mu to winna. Jako że obie przywitały się z Simonsenem tak wylewnie, Buch nie chciała się wyłamywać i również dała mu całusa. Czworo nowo przybyłych przyniosło sobie krzesła, po czym wszyscy usiedli w kręgu. Anna Mia chciała wyjaśnić, jak to się stało, że odwiedzili ich w większym składzie. Tak naprawdę to był czysty przypadek, a w zasadzie dwa różne przypadki, bo...

Hrabianka ją powstrzymała, potrząsając głową. To nie miało teraz żadnego znaczenia, najważniejsze było, że tu są, a jej ojciec, jak sama pewnie zauważyła – rzuciła wymowne spojrzenie w stronę męża – ma obecnie większe zmartwienia niż to, dlaczego przyszli.

Trzy młode kobiety z miejsca rozruszały całe towarzystwo. Nie miały w zwyczaju siedzieć i biadolić. Zamiast tego zaczęły żywo rozprawiać o tym, co mogą wspólnie w zaistniałej sytuacji zrobić. Potem przyszła kolej na wszelkie możliwe spekulacje dotyczące tego, jakiego podstępu użyła Gallagher, by Pedersen zostawił na pistolecie swoje, sławetne już, odciski palców. Analizowały kolejne scenariusze, odrzucały je, modyfikowały, po czym odtwarzały w zmienionej postaci. Po pewnym czasie przyłączyli się do nich również Hrabianka i Melsing. Później, gdy skończyły im się już pomysły, cała uwaga skupiła się na Simonsenie, który jako jedyny nie dał się wciągnąć w dyskusję i trzymał się z boku, nieobecny duchem.

– Tato... halooo, tu Ziemia! Obudź się wreszcie... Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? – zawołała Anna Mia.

Simonsen potrząsnął nieznacznie głową, po czym przebiegł wzrokiem po twarzach wszystkich obecnych, nieco zbity z tropu, zupełnie jakby dopiero zdał sobie sprawę z ich obecności.

- Lecę do Bośni, odnajdę tamten dom i dowiem się, co się tam wydarzyło - odparł.

Rozdział 57

Niedziela, 14 listopada 2010 roku, komenda policji

Pedersena umieszczono w areszcie w komendzie policji. Część więźniów przeniesiono gdzie indziej, dzięki czemu komisarz miał do swojej wyłącznej dyspozycji połowę powierzchni, jaką tam dysponowali. Poza tym że mógł się tu czuć zdecydowanie bezpieczniej, uchylony został areszt izolacyjny orzeczony wobec niego przez sąd rejonowy. Nikt więc przeciwko takiemu rozwiązaniu szczególnie nie protestował. Ani członkowie zespołu specjalnego powołanego w celu zbadania sprawy, ani prokuratura. Niewykluczone, że wszyscy nieoficjalnie sygnalizowali w ten sposób, że nie wierzą, by postawione Pedersenowi zarzuty były prawdziwe. Jednocześnie, jako że dowody mówiły same za siebie, nie mieli innego wyjścia, jak tylko zarzuty te podtrzymać. W rezultacie zarówno współpracownicy, jak i bliscy komisarza mogli odwiedzać go w areszcie w zasadzie bez żadnych ograniczeń. Naczelnik więzienia bez wahania łamał wszelkie zasady obowiązujące w wypadku aresztu izolacyjnego, bo doskonale wiedział, że jego przełożeni na pewno nie zjawią się w komendzie, żeby go skontrolować. Nikt z nich nie chciał się w tę sprawę mieszać. Poza tym zastępca szefa wydziału zabójstw dał mu słowo, że nie wykorzysta swojej uprzywilejowanej pozycji do tego, by w sposób niezgodny z prawem wpłynąć na wynik sprawy. On sam zaś nie chciał wyjść na służbistę. Uważał, że może sobie pozwolić na odrobinę zdrowego osądu, a tym samym nieznacznie nagiąć surowe zasady. Krótko mówiąc: bez względu na to, kto odwiedzał Pedersena i jak długo u niego siedział, naczelnik udawał, że o niczym nie wie. Jak też notorycznie ignorował to, że na jedynym stole w celi stale leżała komórka policjanta – no chyba że ten akurat z niej korzystał.

– Brakuje ci czegoś?

Arnold wyciągnął z kieszeni notes i stał z długopisem w dłoni, patrząc pytająco na Pedersena. Arne zaprzeczył. Nie. Ma tu wszystko, czego potrzebuje.

– Gdyby coś jednak przyszło ci do głowy, możesz śmiało dzwonić, o każdej porze dnia i nocy. Albo jak po prostu będziesz chciał pogadać... Masz ładowarkę do telefonu?

Zapewnił, że ma ładowarkę i na pewno się odezwie, jeśli czegoś mu będzie trzeba.

– A jeśli chcesz zaproponować, że Stella upiecze dla mnie ciasto, to daj sobie, bo to będzie czwarta blacha, którą mi dziś obiecano... – dodał Pedersen znużonym głosem.

Stella była żoną Arnolda, wiecznie zapracowaną kobietą, która raczej nie miała w zwyczaju przyrządzać dla płci przeciwnej słodkich wypieków. W jej świecie, jeśli mężczyzna miał ochotę na ciasto, równie dobrze mógł je upiec sam. A jednak Pedersen trafił w dziesiątkę... Widząc rozczarowanie malujące się na twarzy Jutlandczyka, natychmiast pożałował swoich słów:

– Przekaż jej, że z przyjemnością skosztuję jej specjałów, i niezmiernie mi miło, że o mnie pomyślała. A teraz, zamiast bawić się w pieprzonego kamerdynera, siadaj i opowiadaj, jak się sprawy mają. Wolałbym po prostu stąd wyjść, niż żeby wszyscy nade mną skakali.

Arnold zaczął od najświeższych wieści na temat podróży Simonsena, choć szczerze mówiąc, sam nie wiedział zbyt dużo. Pedersen zadał mu kilka pytań, lecz Jutlandczyk na większość z nich nie znał odpowiedzi. To jednak nie zniechęciło aresztanta, więc minęło trochę czasu, zanim Arnold mógł przejść do sedna.

– Słuchaj... Musimy teraz wspólnymi siłami dogłębnie przeanalizować każdą sytuację... wszystkie możliwe scenariusze, w tym nawet te najbardziej niedorzeczne, wszelkie okoliczności, w których mogłeś zostawić swoje odciski palców na lufie tego przekłętego gnata. A jeśli nawet początkowo nic nie wymyślimy, prześledzimy wszystko jeszcze raz, tyle że jeszcze dokładniej, a potem znowu i znowu, i tak aż do skutku... aż w końcu znajdziemy rozwiązanie. Bez względu na to, czy to będzie dziś, czy może

jutro, możliwe nawet, że za dwa tygodnie. To nie ma znaczenia. Najważniejsze, żebyśmy ostatecznie odkryli prawdę. Zatem najpierw odtworzymy to, co wydarzyło się od dnia, w którym doszło do masakry na wycieczkowcu, aż do momentu, kiedy znaleźliśmy pistolet w garażu Irene Gallagher. Mam ze sobą wydruk z twojego kalendarza, więc może zaczniemy od tego...

Arne Pedersen miał wątpliwości:

– Ale ja, jak się pewnie domyślasz, przeanalizowałem już wszystkie możliwe sytuacje... I niestety nigdzie nie mogę się doszukać tej, jak to nazywałeś, prawdy.

– Gdzieś jednak ta prawda musi być... Dlatego zaczynamy.

– Już sama myśl o tym, że ta suka najwyraźniej znalazła sposób, by dostać się do mojego domu, przyprawia mnie o dreszcze. Kręciła się po nim, oglądała moje rzeczy osobiste. To nie do pomyślenia!

– Wyobrażam sobie, że nie czujesz się z tym komfortowo... dlatego bierzmy się do roboty.

– A dlaczego powiedziałeś „najpierw”? Przecież niemożliwe, żebym zostawił te odciski palców wcześniej niż we wspomnianym przez ciebie przedziale czasowym, co?

Jutlandczyk, który również wnikliwie przemyślał wszystkie możliwe scenariusze, co nie doprowadziło go do absolutnie żadnych wniosków, zareagował gwałtownie:

– Nie chcę więcej słyszeć, że cokolwiek jest niemożliwe! Fakt, że z broni zdjęto twoje odciski palców, jest niezaprzeczalny. Więc skoro jednak do tego doszło, to na chłopski rozum było to możliwe... Ale co było, nie wróci, Arne. A my jesteśmy tu i teraz!

Następnie zabrali się za dokładne zestawienie, w którym trzeba było ująć, gdzie i z kim bywał oraz co robił zastępca szefa wydziału zabójstw na przestrzeni tych czterdziestu dni uznanych przez Arnolda za kluczowe. Szło im to bardzo powoli, mimo że Pedersen miał świetną pamięć. Jutlandczyk nalegał, by odtworzyć wszystkie szczegóły, tak precyzyjnie, jak tylko się da.

– A to twoje spotkanie skończyło się o trzynastej czy może piętnaście po? – pytał.

W odpowiedzi Pedersen tylko rozkładał ręce, czy to nie wszystko jedno? Ale Jutlandczyk był nieugięty.

– Skup się, kiedy to dokładnie było?

I tak, mozolnie posuwając się do przodu, po blisko czterech godzinach pracy jakoś dobrnęli do końca.

– To teraz wracam do swojego biura, żeby przepisać to na czysto – powiedział Arnold. – Jak już to zrobię, dostaniesz kopię, a potem jeszcze raz dokładnie ją przeczytasz, najlepiej kilka razy, i uzupełnisz o wszelkie nowe szczegóły, które przyjdą ci do głowy w tak zwanym międzyczasie. To może być cokolwiek, nawet drobne, z pozoru nieistotne spostrzeżenia... po prostu pisz. Ja zaś zajmę się tymi wszystkimi aspektami, które można zweryfikować od drugiej strony. Dzięki temu ograniczymy ryzyko pomyłek do absolutnego minimum.

Pedersen był wykończony. Leżał na swojej pryczy z głową opartą na rękach i w milczeniu patrzył na Jutlandczyka. Po chwili się odezwał:

– Czytałem kiedyś książkę o jeńcach wydrążających w czasie wojny pod barakiem tunel, by wydostać się na wolność. Podobne przypadki wydarzyły się w wielu obozach, w tym również w Horserød, gdzie rozgrywała się akcja tego opowiadania. W każdym razie puenta była taka, że główny pomysłodawca, lub – jeśli wolisz – projektant tunelu, nie potrafił się rozstać ze swoim dziełem, choć przekop był już dawno gotowy. Zamiast po prostu uciec, nieustannie go ulepszał, dodatkowo umacniał, a do tego zainstalował tam oświetlenie i wygładził ściany, żeby tunel estetycznie się prezentował; mimo że już wtedy spełniał on znakomicie swoją podstawową funkcję, to jest umożliwiał jeńcom ucieczkę z obozu.

Arnold zmarszczył czoło.

– Zamierzasz wydrążyć korytarz pod całą?

Pedersen wyciągnął spod głowy jedną dłoń i zakrył nią sobie oczy.

– Chwilami się zastanawiam, czy naprawdę jesteś taki głupi, czy tylko udajesz... To była aluzja do tej twojej pedantycznej listy, głupku!

Ten przytyk spłynął jednak po Arnoldzie jak woda po kacze.

– Biorąc pod uwagę, że jesteśmy na pierwszym piętrze, raczej trudno by ci było wydrążyć tunel... A tam, skąd pochodzę, nie używamy tych tam, jak to nazwałeś, aluzji – rzucił ospale.

To był klasyk w wykonaniu tych dwóch mężczyzn. Lubili sobie wzajemnie podokuczać i podocinać, gdy tylko nadarzała się ku temu sposobność. Niejednokrotnie po prostu z nudów, żeby podczas wspólnego zadania w terenie nie dłużył im się czas. „To w sumie miłe, że mimo okoliczności nadal mamy na takie utarczki chęć”, pomyślał Pedersen.

– Rozwodzę się. Dostałem dziś rano list od żony, zasrany list, jakby nie mogła się tu pofatygować osobiście. Ale tak już widocznie musi być... – rzucił bez zastanowienia. Nie był pewien, czy powinien zwierzać się partnerowi ze swoich prywatnych spraw.

Arnold, który właśnie szykował się do wyjścia, ponownie usiadł.

– I jak się z tym czujesz?

– Sam nie wiem, dziwnie. Ale zasadniczo nie jest mi jakoś szczególnie przykro, tak naprawdę w ogóle nie jest mi przykro. W pewnym sensie poczułem ulgę. Będzie mi tylko brakować chłopców...

– Dzieci nie znikną z twojego życia tylko dlatego, że nie będziesz już mieszkał z ich matką.

Miał całkowitą rację. Pedersen w głębi duszy wiedział, że wszystko da się jakoś poukładać.

– Zrobisz coś dla mnie? – zapytał.

Jutlandczyk przytaknął ruchem głowy, choć nie miał pojęcia, o co chodzi.

– Czy mógłbyś wpaść dziś wieczorem do moich chłopaków i powiedzieć im, że nic złego nie zrobiłem, bez względu na to, co prawdopodobnie słyszeli? Wyświadczyłbyś mi w ten sposób ogromną przysługę.

Arnold wskazał na leżącą na stole komórkę.

– Może po prostu do nich zadzwoń, co?

– Nie... Boję się, że ich matka złoży oficjalną skargę. Pamiętaj, że przebywam w areszcie izolacyjnym i nie powinienem tu mieć telefonu. Swoją

drogą, może się też okazać, że w ogóle cię nie wpuści, ale możesz chociaż spróbować... Wiesz, ona zachowuje się zupełnie irracjonalnie – jakby ten cały cyrk to była jakaś wojna podjazdowa wymierzona przeciwko niej. Ale idź już, mam do dokończenia książkę... i... dzięki, Klavs.

– Nie ma za co – wymamrotał Jutlandczyk, po czym spojrział na zegarek i powiedział:

– Długo sobie raczej nie poczytasz... za pięć minut masz kolejnego gościa.

– Jak to?

– Taa... jest dla ciebie zdecydowanie za młoda i stanowczo zbyt czarująca, Arne.

Rozdział 58

Poniedziałek, 15 listopada 2010 roku, Paryż

– No idź tam i się do niej ładnie uśmiechnij, wszyscy tak robią, jak po raz pierwszy widzą ją na żywo.

Anica Buch szturchnęła Simonsena, a ponieważ w tej samej chwili przewodniczka przywołała do siebie grupkę chińskich turystów i nie musiał się już rozpychać łokciami, podszedł do obrazu i zrobił, jak kazała.

Gdy już wychodzili, Anica rzuciła:

– Wcale mnie nie dziwi, że pracownicy muzeum tak na nią narzekają. Mają tu najcenniejsze i najpiękniejsze zbiory na świecie... Krocie nieśmiertelnych dzieł sztuki, a połowa zwiedzających od samych drzwi pędzi przez te wszystkie sale, w wielu przypadkach nawet nie rozglądając się na boki, żeby dotrzeć właśnie tu i ją zobaczyć. Stają przed malowidłem i jak dobrze pójdzie, podziwiają je przez trzy minuty, a potem kierują się do wyjścia.

– Przecież sami poumieszczali na korytarzu strzałki.

– No tak, bo gdyby tego nie zrobili, to od rana do nocy musieliby wyjaśniać kolejnym gościom, jak do niej trafić. I jak?... Robi wrażenie, co?

Simonsen potwierdził skinieniem głowy, była piękna, dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażał.

Szef wydziału zabójstw był w Paryżu po raz pierwszy. Mimo że widział już kawałek świata, w tym mieście jego noga z nieznanых przyczyn nigdy jeszcze nie powstała. Nie żeby świadomie unikał wizyty w stolicy Francji; po prostu tak się jakoś złożyło.

Przylecieli poprzedniego wieczora i prosto z lotniska udali się do małego, przytulnego hotelu mieszczącego się w dzielnicy Saint-Germain-des-

Prés, gdzie wszyscy w końcu mogli zaznać trochę spokoju po dwóch intensywnych, nad wyraz nerwowych dniach.

W zeszły piątek, kiedy Simonsen ku ogromnemu zdziwieniu zgromadzonych w jego salonie gości oświadczył, że wybiera się do Serbii, zaczęła się zaciekle walczyć o to, kto będzie mu towarzyszył. Każdy jak jeden mąż zaczął go przekonywać, że to właśnie on posiada odpowiednie cechy i kompetencje, w związku z czym to z niego będzie miał podczas swojej podróży największy pożytek. Przekrzykiwali się nawzajem i wiercili mu dziurę w brzuchu, nie biorąc nawet pod uwagę, że Simonsen sam musi zdecydować, kogo chce ze sobą zabrać. I zdecydował... bez zbędnych ceregieli, nie zważając na uczucia innych potencjalnych kandydatów:

– Poleci ze mną Kurt, a to dlatego, że musimy tam przeprowadzić wiele badań technicznych, i Anica – bo zna język. Reszta zostaje i nie chcę słyszeć żadnych sprzeciwów. To nie urlop na Bali! A jeśli zamierzacie mi tu jójczyć, przypomnijcie sobie, że nasz kolega Arne siedzi obecnie w więzieniu. My zaś wszyscy mamy pełne ręce roboty i jesteście potrzebni tu, na miejscu.

Nawet Hrabianka i Arnold przyjęły to bez słowa sprzeciwu. Tylko Anna Mia nie potrafiła ukryć rozczarowania.

– I co ja niby będę robić w domu? – spytała markotnie.

– Podtrzymywać mnie na duchu... – powiedziała Louise Berg, która najwyraźniej tego potrzebowała.

Córka Simonsena była innego zdania i powiedziała na głos to, co pozostali tylko pomyśleli:

– Bo zakochałaś się w żonatym facecie, który z powodzeniem mógłby być twoim ojcem i który za kilka tygodni na bank wyjdzie na wolność?

Dziewczyna się zaśmiała, wyuczonym ruchem odrzuciła do tyłu włosy i z uśmiechem na ustach odparła:

– Nie... Bo twój tata nie zabiera mnie ze sobą do Serbii.

Anna Mia pomyślała, że mogłaby się z nią zaprzyjaźnić, po czym z ciężkim westchnieniem pogodziła się z decyzją ojca.

Brinch również zaprotestował, przy czym na swój specyficzny, łagodny, lecz nader skuteczny sposób.

– Tylko pamiętajcie, że robicie to na własną rękę i nikt wam nie pomoże... Chodzi mi o rezerwację hoteli po drodze, kupno biletów na pociąg, na samolot, wypożyczenie auta na miejscu, a potem znalezienie jakiegoś prywatnego noclegu w wiosce Ljubičevac, a to zaledwie kilka z... jak to się teraz nazywa... problemów logistycznych, z którymi trzeba się liczyć. Poza tym wybieracie się do Bośni i Hercegowiny, nie do Serbii, a raczej do Republiki Serbskiej, po ichniemu trudno to wymówić, no chyba że jest się Serbem. Tam właśnie, przy zachodniej granicy z Serbią, leży obecnie zarówno Srebrenica, jak i wioska Ljubičevac.

– No i do tego wszystkiego jeszcze wiza – wtrącił Melsing takim głosem, jakby na samą myśl o tym już był skrajnie umęczony.

Adwokat szybko wyprowadził go jednak z błędu. Otóż Duńczycy mogą wjechać do Bośni i Hercegowiny bez wizy, pod warunkiem że ich pobyt na terytorium kraju nie będzie trwał dłużej niż dziewięćdziesiąt dni. Przy czym zasugerował, by pojechali do Paryża pociągiem, bo zapewni im to większą anonimowość. Stamtąd zaś polecą już dalej. Dodał, że jeśli dobrze pamięta, linie lotnicze Air France mają w ofercie połączenia do Sarajewa z przesiadką w Zagrzebiu.

Simonsen zaczął powoli chwytać.

– Trochę się podróżowało, co? – zagaił.

Brinch nie odpowiedział. Zamiast tego pochylił się do przodu i wyciągnął w jego stronę palec wskazujący.

– Ja zajmę się sprawami natury praktycznej, także żadne z waszej trójki nie musi zwracać sobie tym głowy. W przeciwieństwie do was dysponuję silną organizacją, a warto nadmienić, że nikt w mojej firmie, nawet nowo zatrudniony student prawa, nie ma wątpliwości co do tego, że pomoc i wsparcie w tej sprawie to rzecz absolutnie priorytetowa.

Simonsen dał się przekonać.

– Zatem jest nas czworo... Okej, niech tak będzie – westchnął.

I tak oto wszystko zostało ustalone.

Wyruszyli z Dworca Głównego w Kopenhadze wczesnym rankiem. Brinch dotrzymał słowa i zorganizował bilety; i to nie byle jakie, bo w pierwszej klasie, gdzie mieli cały przedział konferencyjny tylko dla siebie. Dodatkowo postarał się o wszelkiego rodzaju napoje i kanapki, które były na głowę te oferowane w wagonie bufetowym. Co ważniejsze, obiecał Melsingowi, że wszystko, czego może potrzebować podczas tej eskapady, będzie na niego czekało w Sarajewie, gdy już tam dotrze. Oznaczało to, że szef wydziału techniki kryminalistycznej nie musiał taszczyć ze sobą własnych materiałów, które po pierwsze były ciężkie, a po drugie mogły generować problemy podczas odprawy celnej. Przekazał więc po prostu adwokatowi listę, a ten polecił na miejsce wcześniej, i to bezpośrednim połączeniem. Najwyraźniej zakładał, że jemu akurat nikt nie będzie deptał po piętach.

Pierwszą przesiadkę mieli w Hamburgu, a kolejną w Kolonii, gdzie zjedli wczesną kolację – zimowe danie jednogarnkowe z kluskami ziemniaczanymi w restauracji z bezpośrednim widokiem na gigantyczną i niesłychanie piękną Katedrę Kolońską, która jak się okazało, znajdowała się rzut beretem od Głównego Dworca Kolejowego. Gdy już siedzieli i jedli, zadzwoniła komendantka, żeby poinformować, że oficjalnie przydzieliła Anice Buch zadanie specjalne, zatem od teraz funkcjonariuszka podlegała bezpośrednio jej i mogła bez problemu ruszać w drogę. Dziewczyna znajdowała się już wtedy wprawdzie jakieś kilkaset kilometrów od swojego miejsca pracy, ale Simonsen grzecznie podziękował. Ta mała nie miała raczej problemu z decyzywnością. Postawiła na wydział zabójstw wszystko, co miała, i to w momencie, gdy przechodzili właśnie swój największy w historii kryzys. Imponowała mu taka postawa i wiedział, że na pewno tego policjantce nie zapomni, gdy w końcu wszystko wróci do normy.

Kiedy Simonsen wyjrzał rano przez okno, ujrzał gwarną ulicę targową, na której straganiarze zaczęli już rozstawiać swoje owocowo-warzywne stoiska, a przez drzwi balkonowe dobiegały pierwsze wycia klaksonów zniecierpliwionych kierowców. Śniadanie zjedli nad Sekwaną, przy czym Melsing wrócił do hotelu, żeby się położyć. Kiepsko się czuł i bał się, że to pierwsze objawy grypy. Następnie Anica wybrała pięć rzeczy, które szef

wydziału zabójstw absolutnie musi zobaczyć, jako że po raz pierwszy w życiu był w najpiękniejszym mieście świata. W związku z tym większą część dnia spędził na zwiedzaniu Paryża, z osobistym przewodnikiem, warto nadmienić.

Ostatnim punktem na liście dziewczyny był Luwr i stamtąd wrócili już do hotelu, gdzie Simonsen miał nadzieję uciąć sobie przed kolacją drzemkę.

Nie doszło to jednak do skutku, gdyż Anica po powrocie do swojego pokoju znalazła na stojącym pod oknem stoliku jakiś list... Była to zwykła kartka formatu A4. Na niej zaś widniała wiadomość napisana czerwonymi drukowanymi literami... cyrylicą.

Rozdział 59

Wtorek, 16 listopada 2010 roku, Sarajewo

Melsing długo i uważnie przyglądał się listowi. Simonsen nie chciał mu przeszkadzać. Siedział i patrzył na chmury w dole, cierpliwie czekając, aż spec od kryminalistyki wszystko spokojnie przeanalizuje i fachowo się wypowie. Samolot podchodził już do lądowania na lotnisku w Sarajewie. W końcu szef wydziału techniki kryminalistycznej zapytał z wyraźną irytacją:

– Dlaczego pokazujesz mi to dopiero teraz?!

Simonsen spodziewał się tego pytania, lecz nie miał na nie gotowej odpowiedzi.

– Bałem się, że będziesz nalegał, żebyśmy sobie odpuścili... – odparł zupełnie szczerze.

Melsing zacisnął powieki i wycedził powoli:

– Mam nadzieję, że to był pierwszy i ostatni raz, Simonie, bo inaczej wracam do domu pierwszym samolotem... Co ty sobie w ogóle wyobrażasz?

– Przepraszam... Popełniłem wielki błąd.

– Błąd, który, mam nadzieję, nigdy więcej się nie powtórzy!

– Nigdy... Masz na to moje słowo.

– Okej, wybaczam ci zatem, a teraz jeszcze raz mi wszystko dokładnie opowiedz.

Simonsen spełnił jego prośbę, choć w zasadzie nie było nad czym się rozwodzić. Anica znalazła list poprzedniego popołudnia na stoliku w swoim pokoju hotelowym. Gdy tylko mu go pokazała, zeszli razem do recepcji i poprosili, by wezwano pokojówkę, która była odpowiedzialna za ich piętro. Dziewczyna powiedziała, że weszła do pokoju około jedenastej,

żeby posprzątać, a kartka leżała na podłodze w korytarzu. Pomyślała, że to wiadomość, którą ktoś wsunął pod drzwi, więc ją podniosła i położyła na stoliku, żeby nie umknął uwadze gości. Nie miała pojęcia, co tam było napisane, w przeciwieństwie do Aniki Buch... List był po serbsku i jasno z niego wynikało, że jeśli duńska grupa specjalna nie będzie się trzymać z dala od Bośni, ryzykują wszyscy kulkę w łeb. Melsing siedział i kiwał głową, zupełnie jakby pochwalał rzeczony pogrożki.

– Fakt, nie brzmi to zbyt wesoło – rzucił beztrzesko po chwili. – A co to za rysunek? I co oznacza napis? – spytał zaraz potem.

U dołu kartki znajdowało się swoiste logo wskazujące na nadawcę. Wyglądało, jakby ktoś nabazgrał je na kolanie: trzy słowa obrysowane niepełnym okręgiem przypominającym podkowę.

– To wilk. Tak, wiem... – wyjaśnił Simonsen. – Wygląda bardziej na kaczkę z zębami, ale podpis brzmi: „Wilki znad Driny”...

– Drina Wolves – wszedł mu w słowo Melsing. – Myślałem, że już dawno rozprawili się z tą hołotą.

– Czyli znasz tę organizację?

– To grupa paramilitarna z czasów wojny bałkańskiej, przy czym nie należy ich mylić z formacją Drina Corps, bo ta należała do regularnej serbskiej armii. A ci tutaj to główni sprawcy masakry w Srebrenicy, a ich najwyższy dowódca został następnie, o ile wiem, skazany przez Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze. Tę jednostkę tworzyła zgraja zupełnie przypadkowych serbskich psychopatów, bez żadnej wartości bojowej. Słyszeli natomiast z niebywałego wręcz okrucieństwa wobec ludności cywilnej. Mordowali, torturowali, podpalali domy, szykanowali, gwałcili i przeprowadzali czystki etniczne, a to zaledwie część okrucieństw, których się dopuścili. Ich główny cel stanowili bośniaccy Muzułmanie, ale rodziny chorwackie też nie mogły się czuć bezpieczne. Coś tu się jednak nie zgadza...

Simonsen pomyślał o tym samym... Po pierwsze, wykluczone, by służby FE w jakikolwiek sposób współpracowały z organizacją zrzeszającą zaburzonych zwyrodnialców, jaką była jednostka Drina Wolves. Po drugie, jeśli to ugrupowanie w ogóle jeszcze istniało, największym zmartwieniem

jego żyjących członków było zapewne ukrywanie się przed władzami z obawy, że zafundują im bilet w jedną stronę do Hagi. Mało prawdopodobne wydawało się zatem, że ta bojówka wciąż ma na tyle szeroki zasięg, by odkryć obecność trzech Duńczyków w Paryżu, a w tym bez problemu ich namierzyć. Co do tego akurat obaj byli zgodni.

– Ktoś wie, że lecimy do Bośni, i najwyraźniej nie jest z tego zadowolony, innego wyjaśnienia w tej chwili nie widzę – podsumował Simonsen. – Przy czym coś pewnie jest w powiedzeniu: „Pies, który dużo szczeka, nie gryzie”...

– Właśnie... A co mówi Anica?

– Boi się ich, to znaczy, tych wilków. Choć usilnie stara się nie dać tego po sobie poznać, widzę, że jest przerażona. Myślę, że pamięta ich z dawnych czasów, ale nie spytałem ją o to wprost. Chociaż... hmm... wyemigrowała z matką do Danii w dziewięćdziesiątym roku. Nie wiem nawet, czy ta organizacja wtedy istniała.

– Ale mimo wszystko chce z nami jechać... Mam nadzieję, że zapytałeś, czy nie woli w związku z tym wrócić do domu.

– Oczywiście. Powiedziała, że wprowadzie narażamy się na niebezpieczeństwo, ale jeśli ja nie zrezygnuję, to ona też nie.

Wszyscy przeszli odprawę celną bez najmniejszych problemów, także kontrola paszportowa przebiegła gładko; funkcjonariusz w okienku ledwie rzucił okiem na ich paszporty, po czym dał im znać, że mogą iść. Trochę to Simonsena zaskoczyło i z miejsca zapaliła mu się czerwona lampka... Nie dość, że kontrolerzy celni w ogóle nie zainteresowali się ich bagażem podręcznym, to jeszcze miało się wrażenie, jakby nawet nie chcieli na nich patrzeć. Coś było nie tak...

W hali przylotów czekał już na nich Brinch. Przywitał się z nimi nad wyraz serdecznie, zupełnie jakby byli starymi przyjaciółmi, którzy nie dzieli się szmat czasu. Taki już był – może odrobinę zbyt wylewny i staroświecko szarmancki. Zdążyli się do tego przyzwyczać. Melsing z miejsca upomniał się o obiecaną skrzynkę z narzędziami, chemikalia, mikroskop i porządny komputer z dobrym internetem satelitarnym. Adwokat go uspokoił. O wszystko zadbał, na zewnątrz czekało już wynajęte auto, więc

mogli ruszać. Chwycili więc ponownie swoje torby podróżne, ale zdołali przejść zaledwie kilka kroków, gdyż podeszło do nich trzech stosunkowo młodych funkcjonariuszy. Jeden z nich uprzejmie, acz zdecydowanie, poprosił ich perfekcyjną angielszczyzną, by wszyscy czworo poszli za nim. Nie mieli wyjścia, więc posłusznie spełnili jego prośbę. Dwóch pozostałych eskortowało ich z tyłu, idąc wprawdzie w dyskretnej odległości, ale nietrudno było się domyślić, co to ma na celu.

Zaprowadzili ich z powrotem do hali, gdzie odbywała się kontrola celna, stamtąd zaś do niewielkiego biura, w którym poproszono, by zajęli miejsca przy stole. Funkcjonariusz poinformował ich, że będą musieli chwilę poczekać, i przeprosił za powstałe niedogodności. Wyjaśnił, że niestety są pewne kwestie, które muszą niezwłocznie ustalić. Brinch zaczął bombardować mężczyznę pytaniami, lecz ten na żadne z nich nie odpowiedział. Wyszedł i wrócił dobre pół godziny później, tym razem z kolegą, który był niemalże jego wierną kopią, tyle że trzymał w ręku notatnik i długopis. Najwyraźniej miał pełnić funkcję protokolanta. Funkcjonariusz poprosił o ich paszporty, a ten drugi skrętnie zapisał dane każdego z nich w protokole. Kiedy dopełnił już formalności, jego kolega zapytał, po co przylecieli do Bośni i Hercegowiny. Brinch pospieszył z odpowiedzią, zanim którekolwiek z pozostałych zdążyło otworzyć usta. Utrzymywał, że odwiedzają ten malowniczy kraj w celach urlopowych: zamierzają wypocząć i nacieszyć się pięknem tutejszej natury. Funkcjonariusz chciał wiedzieć, skąd się wszyscy znają, na co adwokat bez mrugnięcia okiem zmyślił, że należą do związku brydża sportowego, który rok w rok przeznaczają cały swój zysk na podróże po Europie. To już ich czwarta wspólna podróż, przedtem byli w Portugalii, Szkocji i na Korsyce. Protokolant sumiennie wszystko notował. Gdy skończył, obaj wstali i wyszli, rzucając:

– Proszę chwilę poczekać.

Czekając na ich powrót, cała czwórka zgodnie uznała, że chyba udało im się wyjść z przesłuchania obronną ręką.

Po chwili w drzwiach stanęła jakaś kobieta. Nie miała na sobie wprawdzie munduru, ale sądząc po tym, jak rozstawiała po kątach żołnierza, który przyszedł razem z nią, nawykła do wydawania rozkazów. Bez ogró-

dek oświadczyła, że wszyscy czworo niestety będą musieli wrócić najbliższym samolotem do Paryża. To będzie dopiero za pięć godzin, ale zadba o to, by czekając na swój lot, dostali ciepły posiłek i coś do picia. Ona również mówiła płynnie po angielsku.

Oburzony Brinch gwałtownie zaprotestował. Na jakiej podstawie zamierza ich odesłać? Zawsze mu się wydawało, że Bośnia i Hercegowina to państwo demokratyczne i że mają tu rzetelny wymiar sprawiedliwości... Przerwała mu, po czym powiedziała, że słyszała o nefartownym procesie Irene Gallagher, który odbył się w Kopenhadze, oraz późniejszym aresztowaniu jednego z członków kadry kierowniczej stołecznej policji. A do tego dobrze wie, że przylecieli tu po to, żeby się dowiedzieć, co wydarzyło się na posterunku obserwacyjnym Ljubičevac i w jego najbliższej okolicy latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku w czasie toczącej się tu wojny domowej. Oni zaś piętnaście minut temu wszyscy skłamlali w odpowiedzi na pytanie, w jakim celu odwiedzają ten kraj, a zatem złamali prawo. Składanie fałszywych zeznań przed policją jest tu mianowicie karalne. I właśnie dlatego odmawiają im prawa wjazdu. Brinch zamilkł, kobieta miała rację, a jego znajomość prawa na niewiele się w tej sytuacji zdawała. Zamiast tego wyjął z wewnętrznej kieszeni gruby plik euro i wyciągnął dłoń. Może jednak jakoś się dogadają... Pani w cywilu potrząsnęła głową, niestety, nie było takiej możliwości. Dodała jeszcze, że lepiej będzie, jeśli schowa pieniądze, bo ktoś może opacznie zrozumieć jego zachowanie. Brinch wsunął banknoty do kieszeni szybciej, niż je stamtąd wydobyl.

Później funkcjonariuszka zwróciła się bezpośrednio do Aniki Buch, tym razem mówiła po bośniacku. Zaczęła jej coś wyjaśniać, żywo przy tym gestykując. Gdy już skończyły, policjantka streściła swoim towarzyszom całą wypowiedź:

– Powiedziała, że Bośniacy mają za sobą wiele traumatycznych przeżyć. Najpierw naziści podczas drugiej wojny światowej, potem Ustasze, czyli chorwackie nacjonalistyczno-terrorystyczne ugrupowanie, które wymordowało kilkadziesiąt tysięcy niewinnych Serbów, a później jeszcze mord ludności cywilnej, konkretnie Muzułmanów, którego serbska armia doko-

nała w dziewięćdziesiątym piątym roku. A to jedynie trzy spośród wszystkich innych koszmarnych wydarzeń. Przy czym to jej własna historia i historia jej rodaków... I nie godzi się na to, by ich dzieje odtwarzało czworo zupełnie przypadkowych cudzoziemców, którzy nie mają bladego pojęcia, co mogą w ten sposób rozgrzebać.

Simonsen pomyślał, że jakkolwiek by na to patrzeć, kobieta wiedziała, co mówi. Następnie zdał sobie sprawę z tego, że ich pobyt w Bośni zbliża się właśnie ku końcowi, jeszcze zanim na dobre się zaczął. Tak to przynajmniej wyglądało przez kolejne dziesięć minut, gdy każdemu z nich kazano przeczytać, a następnie podpisać decyzję o odmowie wjazdu. Nagle jednak do gabinetu wbiegł truchtem protokolant i podał kobiecie złożoną na cztery kartkę. Ta rozłożyła pismo, zapoznała się z jego treścią, po czym z miejsca zmieniła stanowisko. Bez najmniejszych oznak frustracji wyjaśniła, że najwyraźniej zaszło jakieś nieporozumienie. Powiedziała, że najmocniej przeprasza i przykro jej, że bez potrzeby zabrała im tyle cennego czasu. Zapewniła również, że mogą spokojnie kontynuować swoją podróż.

– Co to, do licha ciężkiego, było?! – zapytał Simonsena zdumiony Brinch, gdy już opuścili lotnisko.

– Taa... W sumie sam nie wiem. Przypuszczam jednak, że decydenci z FE w Kopenhadze wyczuli pismo nosem i poprosili lokalne służby o drobną przysługę.

– No tak, ale koniec końców nagle nas jednak puścili. Kto wydał taki rozkaz?

– Ktoś, kto posiada ogromną władzę – odparł Simonsen. Szczegółów nie mógł jednak zdradzić.

Rozdział 60

Wtorek, 16 listopada 2010 roku, Bośnia i Hercegowina

Okazało się, że Brinch wypożyczył land rovera. Przy czym zanim jego towarzysze wytaszczyli z budynku wszystkie swoje bagaże, zdążył już dostać mandat. „Prawdę mówiąc, bardzo słusznie”, pomyślał Simonsen. Adwokat zaparkował bowiem w taki sposób, że przodem auta zatarasował przejście dla pieszych i piesi byli zmuszeni obchodzić je łukiem. Obok samochodu stał stróż parkingowy – albo może raczej strażnik kierujący ruchem, po wyglądzie trudno było ocenić – i najwyraźniej na nich czekał. Miał wyjątkowo skwaszoną minę, ale pani w cywilu, która zaledwie kilka minut wcześniej chciała im odmówić możliwości wjazdu do kraju, na całe szczęście wyszła za nimi przed budynek. Natychmiast odprawiła mężczyznę ruchem ręki, a mandat zgmiotła w kulkę. Podziękowali jej więc za pomoc i się pożegnali. Ona zaś ciągle jeszcze tam stała i machała im, gdy odjeżdżali, co zważywszy na okoliczności, wydało im się, oględnie mówiąc, osobliwe.

Za kółkiem siedział Brinch, jako że znał już drogę. Wkrótce zostawili za sobą Sarajewo i skierowali się na północny wschód. Było mgliście, a blade promienie słońca z trudem przebijały się przez gęste szarobiałe chmury.

– Od wioski, do której się wybieramy, dzieli nas niecałe osiemdziesiąt kilometrów w linii prostej, ale im bliżej Alp Dynarskich, tym górzystszy staje się teren, a drogi zdecydowanie się pogarszają. Ostatnie szesnaście kilometrów będziemy jechać wyłącznie szutrem. Wczoraj cała podróż zajęła mi prawie trzy godziny, ale pogoda była zdecydowanie gorsza niż dziś. Jeśli zatem zdołamy dotrzeć na miejsce około drugiej... no, może wpół do trzeciej, to i tak będzie całkiem niezły czas. Za to trasa jest wyjątkowo malownicza; prowadzi wzdłuż kredowobiałych masywów wapiennych i prze-

pięknego lasu, obecnie w barwach jesieni. Założę się, że czegoś takiego jeszcze nie widzieliście. Wspomnicie moje słowa...

Simonsen postanowił się zdrzemnąć, zakładając oczywiście, że w ogóle uda mu się zasnąć. Mało go interesowały widoki za oknem, jakkolwiek imponujące by były. Anica Buch znalazła swój własny pomysł na zabicie nudy.

– Jak już będziesz miał dość, chętnie zmienię cię za kółkiem – zwróciła się do Brincha, starając się, by zabrzmiało to serdecznie.

Ten jednak odmówił. Odparł, że to miłe z jej strony, ale nie ma takiej potrzeby, zwłaszcza że on zna już przecież drogę. Tylko Melsing z zaciekawieniem przyglądał się bośniackiemu krajobrazowi. Właśnie mijali gigantyczną reklamę coca-coli, a obok na polu pasło się stado owiec.

Brinch rozdał im w pewnym momencie koperty i telefony satelitarne. W kopertach była gotówka, na wypadek gdyby jej potrzebowali.

– Tu, na prowincji, możecie zapomnieć o karcie kredytowej, nikt jej tutaj nie używa. Bośniacka waluta to „marka zamienna”, w przeliczeniu jakieś cztery korony. Jeśli chodzi o telefon, zasięg będziecie mieli praktycznie wszędzie, poza wydrążonymi w masywach górskich tunelami, tam połączenie od razu się zrywa. Zakwaterowanie z wyżywieniem mamy u bośniackich rodzin; każda z nich przyjmie po dwie osoby. Warunki dość prymitywne, ale przyzwoite. W pokojach w każdym razie jest czysto i schludnie. Mówię to w razie, gdybyście mieli jakiegokolwiek wątpliwości. Jest też naturalnie łazienka, chociaż woda nie należy do najcieplejszych – wyjaśnił.

– A jak się rozlokujemy? Jest jakiś odgórny podział? – spytała Buch.

Nad tym Brinch się nie zastanawiał, niech sami zdecydują. Melsing odwrócił głowę i spojrział na Simonsena. Ten jednak nie zareagował; udawał, że w ogóle tego nie zarejestrował.

– Ja będę mieszkał z Anicą – oświadczył komendant.

Przy czym w żaden sposób nie uzasadnił swojego decyzji. Zresztą nikt też specjalnie nie dociekał...

– Nie będę was zanudzać przydługimi wykładami – powiedział Brinch. – Tylko tak w telegraficznym skrócie... Bośnia i Hercegowina obej-

muje zasadniczo dwie jednostki administracyjne, to jest Federację Bośni i Hercegowiny, gdzie przeważają Chorwaci i bośniaccy Muzułmanie, czyli tak zwani Bośniacy, oraz Republikę Serbską zdominowaną przez Serbów. Wioska Ljubičevac znajduje się na terenie tej drugiej. Mieszka tam cztery–pięć milionów ludzi, a języki urzędowe to bośniacki, chorwacki i serbski. Wszystkie one...

Simonsen ziewnął, powinien był się domyślić. Telegraficzny skrót w wydaniu Brincha po prostu nie mógł wyglądać inaczej.

Zatrzymali się mniej więcej w połowie drogi, w Banja Luce. Było to drugie największe miasto i administracyjna stolica Republiki Serbskiej. Znaleźli tam międzynarodowy hotel, gdzie zjedli pyszny, acz z kulinarnego punktu widzenia dość nijaki lunch, a Brinch zatankował auto.

Gdy ponownie ruszyli w drogę, Anice udało się usiąść za kółkiem, co odrobinę przyspieszyło jazdę. Nie żeby była piratką drogową. Nic z tych rzeczy, prowadziła bardzo bezpiecznie. „Chodzi raczej o to, że styl jazdy adwokata jest zdecydowanie bardziej... zachowawczy”, pomyślał Simonsen, którego ta zmiana nad wyraz ucieszyła. Niestety, pół godziny później wjechali na tak fatalną drogę i w tak dziki teren, że nawet Anica musiała zwolnić do istic żółtego tempa, żeby ich land rover nie stoczył się z urwiska i nie wylądował w jednym z przepięknych jeziorzek górskich, które mijali po drodze. Szef wydziału zabójstw, który jeszcze niedawno twierdził, że nie interesuje go zbytnio malowniczy krajobraz Bośni, teraz zmienił zdanie. W miarę jak wjeżdżali coraz głębiej w góry, wszyscy jak jeden mąż – choć po pewnym czasie już porządnie wytrzęsieni – z rosnącym podziwem chłonęli magiczne widoki, z których każdy kolejny był piękniejszy od poprzedniego. Gdzie spojrzeć, aż po horyzont rozciągały się żółte jesienne wzgórza, miękko przechodzące jedno w drugie. Tu i ówdzie wyrażały strzeliste śnieżnobiałe kolosy wapienne, część z nich pokryta przypominającym wielokolorowy kapelusz liściastym kobiercem, inne zaś, a w zasadzie zdecydowana większość, zupełnie naga i złocista. Nagle wjechali w las, gdzie drzewa rosły tak gęsto, że w samochodzie zrobiło się zupełnie ciemno. Jedyne, gdy mijali wiszące nad rwącą rzeką mosty, krajobraz nieco się rozjaśniał. Wjeżdżając w tunele, których było tu całe mnó-

stwo, nigdy nie wiedzieli, co zobaczą po drugiej stronie. Kolejny las, a może bezkresne pustkowienie usiane wapiennymi skałami, jak okiem sięgnąć nieporośnięte ani jednym krzewem? Mogli też obstawiać wioskę, a w niej kilka szarych domów i wielkie stogi suszącego się siana zabezpieczone trzema długimi, zbitymi ze sobą u szczytu deskami. Należało się spodziewać dosłownie wszystkiego, tylko ludzi widywali rzadko.

Do celu dotarli koło drugiej. Otoczona lasem wioska Ljubičevac położona była na skraju gór, przy samej granicy z Serbią, a droga do niej biegła granią. Brinch wskazał im osadę z wyprzedzeniem, więc mieli czas, by przyjrzeć się jej z pewnej odległości, zanim dojadą na miejsce. Ich oczom ukazało się skupisko rozsianych zupełnie przypadkowo domów. Łącznie obejmęły były ze dwadzieścia, może dwadzieścia pięć... Niektóre z nich zbudowano z nieotynkowanej cegły, inne zaś z grubo ciosanego granitu. Większość z nich miała poblakłe od słońca dachy wykonane z pozbijanych ze sobą tujowych lub cedrowych płyt wiórowych. Nadszarpnięte zębem czasu pokrycie tu i ówdzie połatanie było stalową blachą, która w miarę zużywania się powłoki cynkowej nabierała pięknej rdzawej barwy. Dzięki temu wioska z góry prezentowała się szczególnie malowniczo. Tylko dwa lub trzy budynki miały dwa piętra. Po jednej stronie osady rozciągało się owalne pastwisko, po którym grzebiąc ryjkami w ziemi, chodziły świnie. Z tyłu zaś, po przeciwnej stronie wioski, znajdował się schludnie ogrodzony cmentarz, jedno z wielu świadectw wojny domowej. Jego rozmiar zupełnie nie współgrał z powierzchnią samego miasteczka. Innym tragicznym śladem historii był dom, w którym brakowało całej ściany szczytowej; zwęglone krokwie na poddaszu mówiły same za siebie...

– Z czego ci ludzie się utrzymują? – spytał Simonsen.

– Dobre pytanie... Myślę, że część z nich dostaje niewielką rentę, oprócz tego żyją z hodowli owiec, do tego sprzedają warzywa i owoce na targu w oddalonym o jakieś dziesięć kilometrów stąd mieście Nova Kasaba. Przy czym ta wioska tylko wydaje się taka duża, wiele obejmęły stoi pustych. Nie mam pojęcia dlaczego. Niewykluczone, że przyczyniła się do tego wojna... A może ludzie po prostu porzucili swoje domy i przenieśli się gdzieś indziej?

– A są tu w ogóle jakieś sklepy?

– Jeden, spożywczy; jest jednocześnie miejscem spotkań miejscowych. Starsi mieszkańcy wioski przesiadują przy ustawionych przed nim stołach, palą papierosy i piją wino albo grają w petankę. Sam się tam wczoraj udałem na lampkę wina. Było bardzo dobre, wręcz wyśmienite. Ale cena też nie była jaka, w przeliczeniu zapłaciłem całą koronę! Anico, skreć tu, proszę, w lewo. Chcę wam coś pokazać.

Policjantka przebyła jeszcze jakieś dwieście metrów, po czym posłusznie zjechała z głównej drogi. Brinch poprosił, żeby zatrzymała się przy ogrodzonym polu. Stał na nim osiołek i pałaszował trawę, która porastała tu ziemię małymi kępkami. Adwokat wysiadł, a pozostali poszli za jego przykładem.

– Właśnie tu nasi żołnierze mieli swój punkt obserwacyjny Ljubičevac albo małe Dannevirke, jeśli wolicie. Wczoraj poprosiłem kilku miejscowych, żeby mi pokazali, gdzie dokładnie się znajdował.

Simonsen rozejrzał się wokół. Za jego plecami aż do płotu rozciągał się las, a gdy się spojrzało w lewo, można było dojrzeć dachy najwyżej położonych domów. Budynki stały mniej więcej na tym samym poziomie, a od miejsca, w którym stali, oddzielał je niezagospodarowany pas żółtłej trawy, przez który na pierwszy rzut oka nie prowadziły żadne drogi ani ścieżki. W dole, przed sobą, inspektor miał kolejne połacie lasów łączące się z zagajnikiem, w którym się właśnie znajdowali. Droga natomiast skręcała długim łukiem, po czym kończyła się lub znikwała wśród bujnej roślinności jakiś kilometr albo dwa stamtąd. Poza domami należącymi do osady nie widział żadnych innych budynków, jedynie pastwiska na zboczach, a na nich tu i ówdzie stado owiec. Nagle Simonsen zatrzymał wzrok na ogrodzeniu stojącym niemalże przed jego nosem: część płotu zbudowana była ze stosunkowo świeżych świerkowych belek, natomiast reszta ze zmurszałego szarobiałego teraz drewna, które najlepsze lata miało już za sobą.

– Jak już się rozpakujemy, chciałbym tu z tobą wrócić – zwrócił się do Melsinga. – Musimy mieć absolutną pewność, że to było właśnie tu. Jeśli moje przypuszczenie okaże się słuszne, potrzebna nam będzie mapa tej

okolicy, taki ogólny szkic, nie musi być jakoś wybitnie dokładny. Chyba jesteście w tym dobrzy, co?

– No... nie przeceniałbym swoich umiejętności kartograficznych... Ale oczywiście mogę spróbować.

Szef wydziału zabójstw nie potrzebował nic więcej. Ot zwykły rysunek, ewentualnie uzupełniony o kilka zdjęć.

Gospodarzami Buch i Simonsena okazali się starsi państwo, małżeństwo; on żylasty i krzepki, o twarzy pokrytej plamami wątrobowymi i jasnych niebieskich oczach, ona zaś niska i tęga. Miała na sobie kwiecistą sukienkę, a na paznokciach resztki różowego lakieru. Na oko oboje około siedemdziesiątki.

– Przygotowali dla nas całe pierwsze piętro, a sami przenieśli się tymczasowo do przybudówki – wyjaśniła Simonsenowi Anica, podczas gdy kobieta wylewała z siebie istny potok słów.

Weszli do budynku, który najbardziej przypominał duński domek letniskowy z lat pięćdziesiątych, a gospodyni wskazała im schody w korytarzu za kuchnią prowadzące na piętro.

– Mamy jeden duży pokój i małą sypialnię dla gości. Ja biorę sypialnię. Pani domu sugerowała to kilka razy... tak czy inaczej, dla twojej wiadomości: rezerwuję. O szóstej jest kolacja, będzie kurczak. Pytała, czy chcemy zjeść sami, ale powiedziałam, że nie. Mam nadzieję, że jesteś tego samego zdania? – krzyknęła Anica do Simonsena, który właśnie usiłował wtaszczyć na górę swoją ciężką walizkę. Od jakiegoś czasu mówiła mu na ty.

– Oczywiście – wysapał Simonsen. Nareszcie dotarł do szczytu schodów i otworzył drzwi do dużego pokoju, więc mogła go w końcu wyminąć i wejść do środka.

– Mogę iść z wami na posterunek obserwacyjny?

– Jasne, nie mam nic przeciwko.

Dziewczyna podziękowała, a on już nie odpowiedział, tylko poszedł do siebie.

Pokój był duży i jasny, na środku stało wielkie podwójne łóżko, a w pozostałej części pomieszczenia biurko, dwie duże szafy z drewna tekowego,

które gospodarze opróżnili specjalnie dla swojego gościa, wygodny skórzany fotel obrotowy zwrócony do niego plecami, a na regale niewielki telewizor z anteną. Pomieszczenie było wysprzątane i schludne. Gospodyni zostawiła nawet na stoliku półmisek z dorodnymi czerwonymi jabłkami. Koniec końców świetnie się złożyło, że Brinch postanowił im towarzyszyć. Poza incydentem na lotnisku – z którym adwokat bądź co bądź nie miał nic wspólnego – ich pobyt w Bośni jak na razie przebiegał wzorowo.

Ledwie to pomyślał, fotel odwrócił się o pół obrotu.

Siedział na nim młody mężczyzna, którego policjant już wcześniej widział.

– Kogo my tu mamy... Szef wydziału zabójstw Konrad Simonsen we własnej osobie. Witamy w Bośni. Proszę wejść i zamknąć za sobą drzwi.

Rozdział 61

Wtorek, 16 listopada 2010 roku, Kopenhaga

Pedersen miał coraz lepsze warunki mieszkaniowe. Zwolniła się sąsiednia cela, dzięki czemu zyskał większy metraż. Dodatkowo strażnik przestał zamykać drzwi między pomieszczeniami, przy czym sierżant musiał obiecać, że będzie się przemieszczać wyłącznie między swoimi dwoma izbami. Pomysł z sąsiednią celą narodził się ze względów czysto praktycznych; urządzono tam swego rodzaju pokój przesłuchań, w którym przy stole spokojnie mogło zasiąść do pięciu osób – pod warunkiem, że nie cierpiały one na silną klaustrofobię.

Czworo doświadczonych śledczych należących do zespołu specjalnego powołanego przez Komendanta Głównego Policji celem zbadania zarzutów przeciwko Pedersenowi szybko doszło do tego samego wniosku co pozostali, włącznie z reporterami kryminalnymi. Otóż nie mieli już raczej żadnych wątpliwości, że ktoś w perfidny sposób wrobił zastępcę szefa wydziału zabójstw, skłaniając go, by zostawił swoje odciski palców na słynnej już broni, z której zginął Bjørn Lauritzen i którą znaleziono następnie w garażu Irene Gallagher podczas przeszukania jej domu. Tylko takie wyjaśnienie zdawało się mieć jakikolwiek sens – wszystkie pozostałe hipotezy zakrawały na absurd. Jakkolwiek by na to patrzeć, oczywiste było, że właśnie odkrycie odcisków policjanta na pistolecie stanowiło punkt zwrotny całej sprawy – skorzystała na tym przecież wyłącznie sama Gallagher... Takie oto wnioski wyciągnęła grupa dochodzeniowa, co dodatkowo w ściśle tajnej rozmowie potwierdzili oficerowie FE, którzy zdecydowanie zaprzeczyli, jakoby służby miały z tą sprawą cokolwiek wspólnego. Może i próbowali zniszczyć kilka dowodów przeciw swojej byłej podwładnej, nie sposób zaprzeczyć. I jak najbardziej, optowali za tym, żeby została oczysz-

czona z zarzutów i mogła wyjechać z kraju, ale w żadnym razie nie posunęliby się do tego, by w związku z zarzucanymi Gallagher czynami wrabiać w cokolwiek niewinnego człowieka. Tak że nie ponosili winy za to, co przydarzyło się zastępcy szefa wydziału zabójstw. Obaj agenci policyjnej służby wywiadowczej wchodzący w skład zespołu specjalnego byli pewni co do tego, że w tym wypadku wojskowi mówią prawdę. Wnet przekonali też do swoich racji pozostałych dwóch śledczych. Teraz pozostało już tylko wyjaśnić, w jaki sposób komisarz zostawił na pistolecie te cholerne odciski palców. Stanowiły one jedyny ślad, który miał jakikolwiek sens, i właśnie to należało dogłębnie zbadać. Agenci zaczęli więc współpracować z Arnoldem. W rezultacie Pedersen przesłuchiwany był w zasadzie nieustannie, w związku z czym zaanektowano również sąsiednią celę. W pewnym momencie aresztant miał już tego po dziurki w nosie. Powoływał się nawet na przepisy Kodeksu cywilnego:

– Jako podejrzany nie mam obowiązku zeznawać!

– Nie chrzań, tylko chodź tu do nas, Arne...

– Żądam adwokata...

– A ja żądam podwyżki, skoro nie jesteś nawet zainteresowany tym, żeby sam sobie pomóc! I pospiesz się z łaski swojej, okej? Muszę dziś odebrać młodzież ze szkoły, dobrze by było, gdybym zdążył do piątej, bo inaczej będę miał na pieńku z nauczycielami.

Do Pedersena wpadła z wizytą Hrabianka. Choć pora lunchu dawno już minęła, przyniosła ze sobą coś na ząb: trzy pyszne kanapki z golonką, które – z tego, co wiedziała – Arne uwielbiał, i piwo, gdyby miał ochotę. Jeśli nie, wzięła też wodę. Weszła do celi, dźwigając wielki kosz, zupełnie jakby wybierała się na piknik.

– Jak się miewasz? – zapytała, nakrywając do stołu.

– Bywało lepiej... Jakby mi ktoś zrobił pranie mózgu. A najgorszy ze wszystkich jest ten nieokrzesany Jutlandczyk...

– Chodziło mi raczej o rozwód.

– Aaa... Chyba jeszcze to do mnie nie dotarło. Tak zupełnie szczerze, prawie w ogóle o tym nie myślę. I nie mówię tak tylko dlatego, że nie chcę

poruszać tego tematu. Tęsknię za dziećmi, ale gdybym był wolny, brakowałoby mi ich tak samo. Co tam u Simona?

– Mamy się zdzwonić dziś wieczorem. Dam ci znać, jak tylko będę coś wiedzieć.

I w tej właśnie chwili, gdy o nim wspomnieli, zadzwonił.

Hrabianka słuchała w milczeniu. Uśmiech malujący się na jej twarzy, gdy odbierała telefon, momentalnie zniknął, najwyraźniej to nie była na niego pora. Zaniepokojony Pedersen uważnie śledził zmianę, która zaszła w jego koleżance. W pełnym skupieniu przytaknęła sześć razy z rzędu, z czego niewiele dało się jednak wywnioskować. Na zakończenie zapewniła męża, że wszystko jasne, choć nie wyglądało na to, by faktycznie tak było, po czym Simonsen się rozłączył.

– O co chodzi? – zapytał aresztant.

– Prosi, żebym skontaktowała się z amerykańską ambasadą – odparła zdumiona Hrabianka.

– Powinien był się domyślić...

– Teraz, natychmiast.

– To oczywiście, sprawa jest zapewne niecierpiąca zwłoki. Ale co dokładnie masz zrobić?

– Nie mam pojęcia. Znasz ambasadora Stanów Zjednoczonych w Danii?

Pedersen zaprzeczył. Najwyraźniej zapomnieli go zaprosić na uroczystość z okazji zaprzysiężenia tego dyplomaty...

– Nie osobiście, głupku! Chodzi mi o to, czy wiesz, jak się nazywa i jak wygląda – weszła mu w słowo Hrabianka.

Komisarz wziął do ręki jej smartfona i momentalnie wyszukał w internecie wszystkie istotne dane. Był w tym zdecydowanie bieglejszy od niej.

Okazało się, że funkcję ambasadora pełni kobieta, atrakcyjna, na oko blisko pięćdziesiątka.

– Stanowisko to obejmuje z reguły zamożny człowiek – wyjaśnił Pedersen – płęć nie gra tu roli, który miał swego czasu istotny wkład w kampanię wyborczą prezydenta, w związku z czym zostaje następnie oddelego-

wany do Danii lub innego małego kraju, poniekąd w ramach nagrody. Ale jeśli dobrze kojarzę, ona akurat jest zawodową dyplomatką, a nie zwykłą parweniuszką. Zapomniałem tylko, że mowa o kobiecie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Ale teraz już leć i dowiedz się, co jest grane. A potem do mnie zadzwoń... Bo też chcę to wiedzieć, tylko, proszę, nie zapomnij!

Niemalże wypchnął ją za drzwi, podkreślając, jak bardzo mu przykro i że to wszystko przez niego. A potem jeszcze raz ją uczulił, by koniecznie dała znać, jak tylko ustali, o co chodzi.

Zapewniła go, że się odezwie, ale wypadło jej to z głowy, jeszcze zanim wyszła z budynku.

Amerykańska ambasada w dzielnicy Østerbro należała do najlepiej strzeżonych budynków w Danii. Tego listopadowego popołudnia Hrabianka miała jednak wrażenie, jakby weszła do domu towarowego. Zaparkowała w bocznej uliczce nieopodal ambasady, przy czym zupełnie nieprzepisowo. „Jeśli nie dostanę za to mandatu, będzie to oznaczało, że ze stołeczną strażą miejską jest coś nie tak”, pomyślała. Ostatnie kilkaset metrów dzielące ją od placówki przeszła pieszo. Na zewnątrz powitało ją dwóch mężczyzn, którzy najwyraźniej tam na nią czekali. Jeden z nich spojrzał na nią pytająco i wymienił jej nazwisko, a gdy potwierdziła, poprowadzono ją do windy z pominięciem wszelkich kontroli bezpieczeństwa. Wjechali na pierwsze piętro, po czym minęli długi korytarz prowadzący do biura ambasady.

Ambasadorka przyjęła Hrabiankę nadzwyczaj serdecznie, starając się przy tym, żeby nie poczuła się niezręcznie, co – jeśli się wzięło pod uwagę sytuację – wymagało nie lada dyplomacji. Ledwie policjantka usiadła na wskazanym krześle, a już zadzwonił stojący na biurku czerwony starswiecki telefon przewodowy, po czym sekretarka przełączyła rozmowę. Ambasadorka rozmawiała przez dobrych kilka minut, a następnie podała słuchawkę Hrabiance. Po drugiej stronie usłyszała głos Simonsena, który chciał wiedzieć, gdzie jest. Odparła, że w gabinecie ambasadorki USA. Wtedy opowiedział jej o poznanym w dość osobliwych okolicznościach mężczyźnie. Człowiek ten utrzymywał, że pełni w tejże placówce funkcję attaché do spraw kultury, często bywa w biurze ambadorski i ukończył

studia na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, gdzie studiował filologię i literaturę duńską, a jego praca magisterska dotyczyła nowoczesnych ideologii politycznych u schyłku dziewiętnastego wieku. Poprosił żonę, by go sprawdziła, zadając mu kilka pytań. Już po chwili Hrabianka usłyszała w słuchawce obcy, acz miły głos; mężczyzna zapewnił ją, że jest gotowy. Rozejrzała się więc po pomieszczeniu i zapytała:

– Za biurkiem... obok portretu prezydenta Stanów Zjednoczonych wisi obraz. Co przedstawia?

Odpowiedział, cytując napis na malowidle: „4 lipca 1776 roku, II Kongres Kontynentalny. Uchwalenie Deklaracji niepodległości Stanów Zjednoczonych”, po czym objaśnił, że ma ona właśnie przed oczami jedną z blisko dwustu autentycznych kopii oryginalnej Deklaracji niepodległości. Dzieło to pochodziło z prywatnych zbiorów ambasadorki, a jego wartość rynkową szacowano na ponad trzy miliony koron. Hrabiance przyszło na myśl, że teoria Pedersena, jakoby siedząca obok niej kobieta była zawodową dyplomatką, właśnie upadła z wielkim hukiem. Podziękowała, po czym poprosiła, żeby mężczyzna opowiedział jej coś o słynnym cyklu wykładów Andreasa Brandesa: na przykład tego dotyczącego krytyki dziewiętnastowiecznych poetów. W odpowiedzi niemalże usłyszała, jak kąciki ust rozmówcy unoszą się w kurtuazyjnym uśmiechu, gdy odparł, że jest mu bardzo przykro, ale wygląda na to, że akurat ten konkretny wykład musiał najpewniej umknąć jego uwadze. Imienia Brandesa również nie poprawił.

– Dziękuję, to już wszystko. Czy może pan oddać słuchawkę mojemu mężowi? – A zaraz potem powiedziała do Simonsena: – Faktycznie musi być w jakiś sposób powiązany z ambasadą, ale raczej nie jako attaché kulturalny. A dziewiętnastowiecznej literatury duńskiej na pewno nie studiował – zawyrokowała bez chwili wahania. – I mam nadzieję, że dobrze wiesz, że ten facet tak naprawdę nie nazywa się John Doe – dodała ostrożnie, uważając, by go nie urazić, wiedziała bowiem, że inspektor wstydzi się swojego słabego angielskiego. Liczyła na to, że pamięta, że John Doe to w USA każdy facet o niezidentyfikowanej lub ukrytej tożsamości.

Rozdział 62

Wtorek, 16 listopada 2010 roku, Ljubičevac

– Czyli mi wierzysz?

Simonsen rzucił swój telefon satelitarny na łóżko. Tak, nie miał już żadnych wątpliwości. Jego gość faktycznie pracował dla Amerykanów. Przypuszczalnie pełnił nawet jakąś znaczącą funkcję. To akurat już sobie potwierdził.

– Co do reszty... może oficjalnie występujesz jako attaché do spraw kultury, ale tak naprawdę zajmujesz się czymś innym. A twoja rzekoma wiedza akademicka w zakresie literatury duńskiej to wierutne kłamstwo – rzucił.

Facet nie zaprzeczył, tylko obrzucił Simonsena lekko oskarżycielskim spojrzeniem, zupełnie jakby chciał zapytać, czy naprawdę muszą o tym rozmawiać.

– I nie nazywasz się John Doe...

Usta mężczyzny rozciągnęły się w niewymuszonym uśmiechu.

– Nie, bynajmniej...

– A więc jak naprawdę się nazywasz?

– Czy to rzeczywiście takie ważne? Mogę się nazywać tak, jak chcesz, żebym się nazywał...

Simonsen poderwał się gwałtownie. Ta wszechobecna atmosfera tajemności i niejawności zaczęła go już niepomiernie irytować. Nigdy do końca nie wiedział, co się tak naprawdę dzieje, cały czas czuł, że inni posiadają więcej informacji niż on, a jakby tego było mało, nieustannie kazano mu zgadywać, jak rzeczy faktycznie się mają, przy czym jedyne, na co mógł w takim przypadku liczyć, to częściowe potwierdzenie, czy miał rację, czy też nie. Szybkim ruchem otworzył walizkę i zaczął gorączkowo wrzucać

swoje ubrania do jednej z szafek. Przypadła mu rola naocznego świadka, widza, może nawet takiego, co to zdobył miejsce w pierwszym rzędzie; sam jednak nie uczestniczył w grze... Nie był ani szeregowym, ani generałem, jedynie żalonym gapiem, i miał już tego serdecznie dosyć.

– To powiesz mi w końcu, kurwa, jak się nazywasz? – spytał podniesionym głosem.

– John Tyler.

– Naprawdę?

– Nie...

Simonsen opróżnił walizkę, po czym wrzucił ją na szafę. „Weź się w garść, chłopie”, pomyślał. Opadł ciężko na krzesło obok rzekomego Johna Tylera i powiedział:

– W mig się orientujesz, że ktoś cię śledzi. Powiedz: czy takich umiejętności nabywa się podczas wydarzeń kulturalnych? I gdzie nauczyłeś się duńskiego? Opanowałeś nasz język niemalże do perfekcji.

– Jak już mówiłem: w Berkeley, bywałem też często w Kopenhadze.

– Okej. To idziemy dalej... Wygląda na to, że sporo o mnie wiesz, za to ja nie wiem nic o tobie. I to mi się nie podoba. Czy to ty zadbałeś o to, żeby mnie i moich towarzyszy jednak wpuszczono do kraju, mimo że najpierw prawie nas z niego wyrzucono?

– Tak.

– A w jaki sposób zdołałeś tego dokonać?

– Skontaktowałem się z człowiekiem, który zna innego człowieka, a ten wydał odpowiednie polecenie. A nie zastanawia cię bardziej, co mną kierowało?

Simonsen zignorował pytanie nieproszonego gościa, chociaż, jakkolwiek by na to patrzeć, miał rację.

– Skąd wiedziałeś, że nas zatrzymano?

– Zorientowałem się, bo długo nie wychodziliście z terminala.

– A teraz nagle siedzisz sobie spokojnie w moim pokoju i czekasz, aż się zjawię. Jak się tu dostałeś?

– Przyleciałem helikopterem.

– A jak się dowiedziałeś, że właśnie tu będziemy mieszkać?

– Śledziliśmy wczoraj tego waszego jurystę, Brincha, a później popyta-
liśmy tu i ówdzie w mieście. A nie, przepraszam, mówi się „advokat”. Tak,
oczywiście... śledziliśmy adwokata Brincha.

– Mogłem przecież wybrać inny pokój... Skąd wiedziałeś, że będę aku-
rat tutaj? Poza tym użyłeś sformułowania: „śledziliśmy”. Czyli jest was wię-
cej, tak?

– Gdybym nie zastał tu ciebie, to najwyżej uciąłbym sobie pogawędkę
z panem Melsingiem. Mówi się trudno... A, odpowiadając na twoje drugie
pytanie: tak, śledziliśmy i mówiąc „my”, miałem na myśli siebie i moich
współpracowników.

– Aha... Czyli mam nie dociekać, tak?

– Nie, dlaczego? Pytaj, jeśli chcesz.

Nagle usłyszeli skowyt psa. Simonsen wstał i wyjrzał przez okno. Jakiś
dziarski staruszek groził zwierzakowi laską. Był ubrany w szary sweter
i spodnie, a na głowie miał czarny берет. Niewykluczone, że uderzył czwo-
ronoga; wszystko na to wskazywało. Samego psa Simonsen nie widział.
Odwrócił się, by pociągnąć dalej tę nader niezręczną rozmowę.

– A teraz mi powiesz, dlaczego ciebie i amerykański wywiad tak bar-
dzo interesują Irene Gallagher oraz mój pobyt w Bośni i Hercegowinie.
W zamian zdradzę ci, po co tu przyleciałem, chociaż coś mi podpowiada,
że już to wiesz. W każdym razie później zastanowimy się wspólnie, czy
możemy sobie jakoś nawzajem pomóc – rzucił, starając się, by jego słowa
brzmiały jak najdobitniej, choć nie było to dla niego łatwe.

John Tyler się zawahał. Przez chwilę się namyślał, po czym odparł bar-
dzo powoli, zupełnie jakby sam siebie próbował przekonać, że to, co
mówi, jest słuszne.

– Opowiem ci o Irene Gallagher, ale bez wchodzenia w szczegóły. Ty
natomiast znasz pewne miejsce, którego ja nie znam... A tak się składa, że
bardzo chciałbym wiedzieć, gdzie się ono znajduje. Dlaczego to dla mnie
takie ważne – dowiesz się może później, gdy już znajdziesz to, czego szu-
kasz, i... kiedy pewna inna sprawa się wyjaśni.

– Zawsze myślałem, że tacy jak ty współpracują blisko ze swoimi kolegami z duńskiego wywiadu. Przecież możesz po prostu ich spytać, gdzie to jest. Strasznie bym się zdziwił, gdyby nie chcieli ci w tym pomóc...

– Tu się zatem zgadzamy, bo mnie właśnie bardzo dziwi, że nie chcą. Ale... wracając do Irene Gallagher...

John Tyler wyjaśnił, że Gallagher, jak Simonsen zresztą już pewnie wie, przez wiele lat służyła w – jak by to ująć – amerykańskich siłach zbrojnych, w związku z czym posiadała olbrzymią wiedzę w zakresie działań podejmowanych przez Stany Zjednoczone w różnych miejscach na świecie w ramach walki z terroryzmem międzynarodowym. Można powiedzieć, że poznała wszystkie kluczowe systemy na wylot. W dwa tysiące drugim roku zameldowała swojemu, powiedzmy, opiekunowi z... pewnej centralnej organizacji w USA, że udało jej się namierzyć wyjątkowo niebezpiecznego sabotażystę należącego do komórki Al-Kaidy w Sarajewie, który planował uprowadzić wysoko postawionego amerykańskiego urzędnika. Wiadomość tę przekazano naturalnie miejscowemu funkcjonariuszowi wywiadu, przy czym początkowo nie przedsięwzięto w tej sprawie żadnych kroków. Obowiązywał mianowicie wymóg, że informacja powinna pochodzić z dwóch niezależnych źródeł. Wkrótce jednak miejscowy wysłannik CIA otrzymał podobne zawiadomienie z Kopenhagi, w następstwie czego mężczyzna ten, dwudziestoletni bośniacki student, został przewieziony do innego kraju, gdzie miał następnie zostać przesłuchany, z tego agent nie był szczególnie dumny, ale należy nadmienić, że mieli tam zdecydowanie mniej brutalne metody przesłuchania niż w miejscu, z którego rzeczony podejrzany pochodził. Tak czy inaczej, okazało się, że młody mężczyzna nie wiedział nic o żadnej komórce Al-Kaidy, bo gdyby coś wiedział, to przecież by powiedział. Ale – o ile Tylerowi było wiadomo – chłopak ostatecznie i tak został stracony...

Tyler mówił coraz wolniej i wolniej. Zniecierpliwiony Simonsen zaczął wchodzić mu w słowo i kończyć za niego zdania:

– Czyli studenta porwano i przetransportowano z powrotem do ojczyzny, gdzie został poddany nieludzkim torturom. A kiedy już stwierdzili, że nic więcej im nie powie, to go zabili?...

– Jak już mówiłem, bynajmniej nie jestem z tego dumny... Tak czy inaczej, kilka lat później zupełnie przypadkiem usłyszałem rozmowę swoich dwóch kolegów. Wynikało z niej, że obu zgłoszeń dokonała Irene Gallagher... A do tego należy podkreślić, że koniec końców chłopak okazał się niewinny... Wprawilo to członków mojej organizacji w nie lada zdumienie. A jako że jednocześnie zapaliło nam się kilka innych czerwonych lampek – przy czym na ten moment jeszcze nie chcę o tym mówić – wszczęliśmy wewnętrzne śledztwo. Śledztwo to trwa zasadniczo do dziś... I sam też w nim uczestniczę.

– No dobrze... Ale co dokładnie cała ta rzewna opowieść ma wspólnego z tym konkretnym miejscem?

– Kiedy zacząłem rozgrzebywać tę sprawę, okazało się, że w następstwie fałszywych zarzutów przedstawionych przez Irene Gallagher chłopak, o którym była mowa, został wezwany w charakterze świadka przed Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze.

– Czy ja dobrze rozumiem, że miał składać zeznania dotyczące wydażeń, które rozegrały się w dziewięćdziesiątym piątym roku?

– Tak, ale jak mówiłem, nic się jeszcze w tej sprawie nie wydarzyło.

– A Gallagher wiedziała o tym, że go wezwano?

– Wiedziała... Tak samo jak dobrze wie, że bardzo chcielibyśmy z nią porozmawiać. Ale jak widać, ona nie ma na to ochoty.

Nawiązali wątplą nic porozumienia, przy czym Simonsen czuł, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa... W myślach ostrożnie rozważał wszystkie za i przeciw... W międzyczasie słońce zdołało się przedrzeć przez chmury i rzucało teraz jasny pas światła na przeciwległą ścianę pokoju, którą zdobiła pretensjonalna tapeta w blad różowe róże. Wezgiem łóżka przełamywało wzór.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego właściwie postanowiłeś się ujawnić. Równie dobrze mogłeś po prostu nas śledzić i poczekać, aż sami doprowadzimy cię do tego twojego miejsca... – powiedział.

– Hmm... może dlatego, że współpraca leży w naszym wspólnym interesie? Poza tym, jak widać, przejrzałeś mnie na wylot.

– No tak... Ale jeśli ci nie pomożemy, możesz sprawić, że nas stąd wyrzucą...

– Pewnie, że mogę. Tylko komu by się to przysłużyło?

– Nikomu... Tak tylko sprawdzam, czy przypadkiem mi nie grozisz.

– Groźby to najgorszy punkt wyjścia dla współpracy...

– A jeśli tej współpracy odmówię?

– Będzie to oznaczało tylko tyle, że się pomyliłem i powinienem był po prostu was śledzić, jak zresztą sam zasugerowałem.

– A co mam niby powiedzieć pozostałym?

– Prawdę, że teraz jest nas pięcioro, a nie czworo, jak dotychczas.

Simonsen wyciągnął rękę i uściśnił sobie dłońe.

– Powinniście byli uprowadzić Gallagher, a nie tego biednego chłopaka...

Po raz pierwszy od początku rozmowy w głosie Tylera dało się wyczuć głębsze emocje.

– Możesz mi wierzyć lub nie, ale poważnie to rozważaliśmy. Niestety nigdy do tego nie dojdzie.

Rozdział 63

Wtorek, 16 listopada 2010 roku, Ljubičevac

Ośla tym razem zastali gdzie indziej. Stał, żując w najlepsze trawę w odległym rogu pastwiska.

Oprócz tego wszystko było jak wcześniej i Simonsen pomyślał, że odzwierciedla to doskonale tempo życia mieszkańców wioski... jednostajne i ospałe, dzień w dzień to samo. Po chwili jednak przypomniał sobie dom bez ściany szczytowej i zrobiło mu się głupio, że patrzy na tych ludzi z góry. On, który żyje sobie jak pączek w maśle i zмага się jedynie z trywialnymi problemami dnia codziennego, nie miał bynajmniej prawa ich oceniać.

Dotarł tu chwilę temu razem z Buch, podczas gdy Melsing już dawno był na miejscu. Gdy przyszli, siedział na składanym taborecie; na kolanach położył sobie drewnianą płytę, na której rozpostarł skleione ze sobą cztery kartki formatu A4. Z miękkim ołówkiem w jednej ręce i gumką do mazania w drugiej w wielkim skupieniu pracował nad mapą, o stworzenie której poprosił go Simonsen. Właśnie kończył, a efekt jego starań robił wrażenie. Później dołączył do nich Brinch, który z miejsca taktownie przeprosił. Nie chciał się narzucać ze swoją obecnością, ale stwierdził, że skoro już tu jest... I oczywiście obiecał, że nie będzie się do niczego wtrącał. Zdawał sobie sprawę z tego, że miał jedynie zadbać o stronę logistyczną, ale tak się złożyło, że ta sprawa i jego zdążyła już porządnie zaintrygować, więc byłoby wspaniale, gdyby mu pozwolili... Tłumaczył się jak dziecko, co brzmiało odrobinę żenująco. Simonsen spojrzał na drogę, w ich stronę zbliżał się właśnie Tyler.

– Facet, którego zaraz poznacie, nazywa się John Tyler i pracuje dla amerykańskiego rządu. Mamy za sobą długą rozmowę, z której wynika, że

jego też bardzo interesuje osoba Irene Gallagher, więc od tej chwili pracujemy razem. Mówi po duńsku, a do tego zna całą masę ciekawych szczegółów, o których my nie mamy jeszcze pojęcia, więc może się okazać nadzwyczaj pomocny. Przy czym musicie wiedzieć, że nie lubi mówić zbyt wiele o sobie, dlatego im mniej pytań, tym lepiej – wyjaśnił swoim towarzyszom.

– I masz absolutną pewność, że pan Tyler jest tym, za kogo się podaje? – dociekał Melsing.

Simonsen zapewnił, że wszystko jest pod kontrolą. To właśnie szef wydziału techniki kryminalistycznej chciał usłyszeć.

– W takim razie czemu nie – rzucił, najwyraźniej skłonny przyjąć do zespołu nowego kolegę.

Lecz Anica była innego zdania.

– A mówi po serbsko-chorwacku? – spytała, nie wiedząc czemu, mocno podenerwowana.

Tego Simonsen nie wiedział, ale zawsze mogła sama zapytać o to Tylera. Jednocześnie przyszło mu do głowy, że jego młodej podwładnej chyba niespecjalnie się uśmiechało mieć w zespole równolatka, który mógł dla niej stanowić konkurencję. Była prawdziwym brylantem, acz wymagającym jeszcze długiego szlifowania. Wszystko jednak wymaga czasu...

Tyler podszedł do nich z szerokim uśmiechem na ustach, po czym wymienił ze wszystkimi uściski dłoni, przedstawiając się każdemu z osobą. Kiedy już się poznali, cofnął się o krok i przyjął wyczekującą postawę, zupełnie jakby chciał zasygnalizować, że nie należy do tych, co po dołączeniu do utworzonej już wcześniej grupy z miejsca wychodzą przed szereg i zaczynają się mądrzyć. Simonsen opowiedział Amerykaninowi w wielkim skrócie o małym Dannevirke, jak zwykł nazywać duński punkt obserwacyjny, i wyjaśnił, że ich pierwszym zadaniem jest upewnienie się, czy faktycznie znajdował się on w miejscu, w którym właśnie stoją. Melsing, który zdążył już ponownie wrócić do szkicowania swojej mapy, nie podnosząc wzroku, rzucił:

– To tu, Simonie. Ale rozumiem, że sam musisz się o tym przekonać.

Simonsen nie skomentował jego uwagi, tylko wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki zwiniętą w rulon fotografię i rozłożył ją na desce. Przedstawiła punkt obserwacyjny wiosną dziewięćdziesiątego piątego roku.

Na zdjęciu widniała ściana szczytowa posterunku. Konstrukcja mierzyła jakieś trzy metry wysokości i była zbudowana z czarnych, ciemnozielonych i białych worków z piaskiem. Ściany miały około metra grubości, zaś płaski dach składał się z kilku różnych warstw: najpierw masywne gałęzie przykryte trzema warstwami worków, później znowu gałęzie, przy czym tym razem ułożone prostopadle do spodniej warstwy, a na koniec jeszcze trzy warstwy worków. Przed budowlą stał żołnierz i prezentował ją wyrażającym dumę gestem. Miał na sobie mundur maskujący z naszytą na ramieniu duńską flagą, a na głowie beret z emblematem ONZ-etu. Zza posterunku wystawały potężne, budzące respekt działa dwóch bojowych leopardów. W tle majaczyła nieco rozmyta biała formacja skalna przypominająca kształtem odwróconą literę „w”, a na lewo, przed nią, na czterech łatwych do zidentyfikowania łagodnych wzniesieniach rozciągały się pokryte brunatną roślinnością hale.

Melsing wskazał na grubo ciosany gład granitowy, który był wkopany w pobocze kilka metrów za Simonsenem.

– Podejź tam i ukucnij, a zobaczysz, że widok jest dokładnie taki jak na zdjęciu. W tle masz przynajmniej dwa charakterystyczne punkty orientacyjne, przede wszystkim masyw wapienny, ale też linię horyzontu, którą rysuje tu łańcuch górski. Jest jeszcze kilka innych detali przykuwających moją uwagę. Ale może sam do tego dojdiesz...

Inspektor był pod ogromnym wrażeniem. Melsing zaledwie omiótł tę fotografię wzrokiem... A wcześniej widział ją tylko raz, i to kilka tygodni temu. Technik słyszał jednak z niewiarygodnej pamięci wzrokowej i jak wiadać, w tej opinii nie było ani krzty przesady.

Brinch i Anica podeszli razem z Simonsen do wspomnianego gładu, po czym wszyscy troje ukucnęli, by porównać uzyskaną w ten sposób perspektywę z tą na rzeczonym zdjęciu. Tyler natomiast, choć nikt go o to nie prosił, ustawił się tam, gdzie na fotografii z dziewięćdziesiątego piątego roku stał żołnierz, żeby mogli się lepiej zorientować w proporcjach. Po

chwili nie mieli już żadnych wątpliwości. Posterunek nazwany małym Dannevirke znajdował się właśnie tutaj. Kiedy już wrócili do miejsca, w którym siedział Melsing, Simonsen zapytał:

– A te wspomniane przez ciebie inne detale?

– Nadal jeszcze wątpisz?

– Nie, po prostu mnie zaintrygowałeś.

Szef wydziału techniki kryminalistycznej naprędce naszkicował ostatnie szczegóły w rogu mapy, po czym wstał i wskazał na wykonany w zbożu wykop.

– Jeśli żołnierze nie mieli pod ręką piasku, wypełniali worki ziemią. A tu piasku nie było na pewno... Ziemia i piasek chroniły przed kulami mniej więcej jednakowo – objaśnił. Następnie wyjął z kieszeni garść małych metalowych blaszek i pokazał je pozostałym. – Znalazłem też to... Ogólnie rzecz biorąc, nasi żołnierze zostawili tu po sobie względny porządek, ale to rzucali po prostu w trawę na skraju lasu. Leży tam tego cała masa, zebrałem tylko kilka sztuk.

Anica Buch nie była pewna, czy dobrze rozumie...

– To chyba po puszkach, co?

Melsing potwierdził:

– Tak. To aluminiowe zawlecзки od puszek.

Ludzie z wydziału zabójstw w toku śledztwa przesłuchali czternastu weteranów, którzy byli w Bośni razem z Bjørnem Lauritzenem. Simonsen przeczytał uważnie wszystkie zeznania, niektóre nawet po kilka razy, więc znał je już niemal na pamięć. Jeden z byłych żołnierzy wspominał, jak dla zabicia czasu grali na posterunku obserwacyjnym w pokera. Niestety, w konsekwencji paru żołnierzy przegrało cały swój majątek, co popsuło atmosferę w obozie. Wtedy Lauritzen zakazał im grania na prawdziwe pieniądze. Postanowili zatem używać zawleczek po puszkach. Później nosili je zresztą przez jakiś czas zawieszane na szyi jako symbol bogactwa i niezrównanych pokerowych umiejętności.

Simonsen pomyślał, że na miejscu, w Kopenhadze, Melsing miał w zwyczaju jękać się i bełkotać, tworząc zawiłe, ledwie zrozumiałe wypo-

wiedzi. Krótko mówiąc, rozmowa z nim z reguły stanowiła nie lada wyzwanie. Tu zaś mówił płynnie i swobodnie.

Przez następne dziesięć minut inspektor uważnie oglądał cały teren przez przyniesioną ze sobą lornetkę. Udało mu się zdobyć przyrząd dokładnie tej samej marki, z której sprzętu korzystał piętnaście lat wcześniej Lauritzen. Przede wszystkim próbował wypatrzeć dom... Wiedział, że obejście znajdowało się w odległości około półtora kilometra, podążając w dół zbocza; na końcu drogi, pod samą ścianą lasu. Teraz jednak nie było tam żadnych zabudowań. Mimo to Simonsen niespiesznie rozglądał się po okolicy, nie zważając na to, że pozostali stoją i czekają. Kiedy już skończył, przekazał lornetkę Melsingowi, ale ten nie skorzystał. Inni też odmówili, wziął więc do ręki sporządzoną przez technika mapę, podparł ją drewnianą płytą i zaczął wyjaśniać:

– Pojedziemy tam jutro autem. Kurt będzie pewnie potrzebował całej masy sprzętu. Umówmy się wstępnie na dziewiątą rano, okej? Ale jest jeszcze coś... I to może się okazać istotne. Otóż Bjørn Lauritzen i Ole Nysted udali się do położonego w dolinie gospodarstwa czołgiem przez las i wyjechali z niego w tym miejscu, za nami. Później zaś przyłączyli się do swoich kompanów z grupy obserwacyjnej, by po jakimś czasie wspólnie z nimi wycofać się do Tuzli. Przeprowadzając się przez las, zabrali ze sobą kilku uchodźców – kiedy wrócili do swojego małego Dannevirke, uciekinierzy siedzieli na czołgu. Również później, już w drodze do miasta, wszystkie trzy wozy bojowe wiozły uchodźców. Ale ta historia może mieć podwójne dno... Jakkolwiek by na to patrzeć, czołg nie przejedzie przez las inaczej niż wodą. A mój brak precyzji wynika z tego, że różni świadkowie opisują tę drogę nieco odmiennie. Jedni mówią, że był to strumień, inni, że rzeka, a jeszcze inni twierdzą, że jechali potokiem czy też szlakiem wodnym lub niemalże całkowicie wyschniętym korytem rzecznym. Nie wiem, która wersja jest prawdziwa, ale bardzo chciałbym to wyjaśnić.

– Nie lepiej poczekać do rana, Simonie? Za godzinę zrobi się ciemno. Może dobrym pomysłem byłoby też, żeby Anica wcześniej popytała miejscowych. Jeśli jest tu gdzieś jakiś szlak wodny, mieszkańcy na pewno o tym wiedzą – odparł Melsing.

– Chciałbym jednak wykorzystać światło dzienne. Na podstawie tego, co teraz widzimy, oraz zeznań świadków należy wnioskować, że ten ciek znajduje się gdzieś za naszymi plecami. Więc możemy tam po prostu pójść i sprawdzić, skoro i tak już tu jesteśmy. W razie czego, zawsze można to powtórzyć innego dnia...

Tyler i Melsing poszli z Simonsenem, Anicę zaś wysłali do osady, by zgodnie z sugestią szefa wydziału techniki kryminalistycznej wypytała tubylców o jakąś rzeczkę czy też potok. Brinch postanowił jej towarzyszyć. Nie miał bynajmniej ochoty szwendać się po nieznanym lesie. Po powrocie i tak mu wszystko zrelacjonują, to wystarczy.

Pozostali ruszyli przed siebie prowadzącą do lasu ścieżką, która łączyła się z drogą jakieś sto metrów przed posterunkiem obserwacyjnym. Simonsen skorzystał z okazji, by zapytać:

– Powiedz mi, Kurt... Jak to możliwe, że od kiedy tu przyjechaliśmy, mówisz... no dobra, nie będę owijał w bawełnę... mówisz jak człowiek, podczas gdy w domu niekiedy trudno się nawet domyślić, co w ogóle chcesz przekazać?

Melsing potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia. Od zawsze tak mam. Jeszcze gdy byłem dzieckiem, w szkole nikt nie był w stanie mnie zrozumieć, w związku z czym wysłali mnie na wszelkie możliwe badania. W pewnym okresie przyjmowałem nawet leki. Natomiast na placu zabaw nie miałem żadnych problemów... Z czasem przyzwyczyłem się więc, że jestem jaki jestem. Pewnie nigdy się nie dowiem, czemu tak się dzieje. To zresztą bez znaczenia. W sumie, po co mi ta wiedza?

Simonsen podziękował za szczerą i wyczerpującą odpowiedź. Tyler wtrącił, że zna kobietę, która ma podobnie, przy czym ona tylko się jąka.

Ścieżka nagle się skończyła, oni zaś żadnego potoku ani strumienia nie znaleźli... Zatrzymali się pod ścianą dość gęstego lasu i przez chwilę zastanawiali się, co robić dalej.

Tyler spojrzął na zegarek i oświadczył:

– Mamy jakieś dwadzieścia pięć minut, czyli dziesięć minut w jedną stronę, dziesięć z powrotem i pięć w zapasie. Co wy na to? Decydujcie.

Dwóch bądź co bądź starszych od niego mężczyzn uznało, że dziesięć minut to niewiele, zatem czemu nie. Tyler prowadził i pilnował czasu – zupełnie jakby wszyscy stwierdzili, że najlepiej się do tego nadaje. Posuwali się naprzód bardzo powoli, odgarniając tarasujące im drogę gałęzie drzew. Rosły tam głównie dąb kaukaski i węgierski oraz buk wschodni. Po niektórych pniach wiły się gęsto sięgające samej korony pnącza. Raz po raz mijali też porastające nagie kredowe zbocza powykręcane sosny o sękatych pokrytych naroślami konarach. Zważywszy na to, jak mało żyzne i trudne było tam podłoże, te do złudzenia przypominające trolle leśne iglaki musiały być nadzwyczaj wytrzymałe. Dno lasu pokrywały mokre, zwiedłe liście, więc trzeba było ostrożnie stawiać każdy krok, by się nie poślizgnąć na ukrytej pod nimi twardej ziemi. Simonsenowi zdarzyło się to dwukrotnie, ale obeszło się bez kontuzji. Ot prostu, dwa razy wywinął orła, po czym z lekko urażoną miną odmówił pomocy, gdy któryś z towarzyszy chciał mu podać rękę.

Nie uszli nawet stu metrów, gdy nagle drogę zagroził im szeroki potok. Wił się serpentyną przez las i miał niemalże całkowicie zarośnięte brzegi. Pełna pożółkłych liści woda płynęła tu dość wartkim strumieniem w dół grani w kierunku południowym. W miejscu, gdzie potok zakręcał, na kamieniu, w połowie ukryta za krzewem wawrzynu, stała czapla i zanurzonym w wodzie dziobem szukała pożywienia.

Simonsen przekalkulował coś naprędce w głowie, po czym powiedział:

– Bez problemu mogli przejechać tędy czołgiem, zwłaszcza latem, bo stan wody był wtedy pewnie niższy niż teraz. Mogli też z powodzeniem przedostać się przez ten zagajnik i wjechać stąd na drogę, którą wcześniej szliśmy. Rośnie tam sporo stosunkowo młodych drzew, z którymi wóz bojowy z łatwością by sobie poradził. Dziś jest już za późno, ale jutro byłoby świetnie, gdyby jakiś młody i sprawny mężczyzna zgłosił się na ochotnika i przeszedł się wzdłuż potoku aż do miejsca, w którym droga znika w lesie. Mógłby ewentualnie wyruszyć jakąś godzinę wcześniej niż pozostali...

Tyler zachichotał.

– Tylko wtedy musisz wyjaśnić temu ochotnikowi konkretnie, gdzie ma zawrócić, bo aktualnie nie jest to dla niego do końca jasne – rzucił.

Simonsen obiecał, że dokładnie go poinstruuje, skoro najwyraźniej właśnie się zgłosił. Przy czym zrobi to, kiedy już znajdą się ponownie na drodze. Tak będzie zdecydowanie łatwiej.

– Czyli to właśnie tutaj ci zwyrodnialcy dokonali mordu na miejscowej ludności... – powiedział ponurym głosem Melsing. – Nie do wiary, jak można być tak okrutnym. Ale to, że Lauritzen urządzał sobie przejażdżki po lesie czołgiem, jakoś w ogóle nie mieści mi się w głowie! Jeśli zapuścił się tu po to, by uratować życie kilku uchodźcom, to przecież więcej wskóraliby na otwartej przestrzeni. Mógł tam położyć trupem dziesiątki Serbów, którzy ostrzeliwali całe grupy uciekinierów z moździerzy. A zakładam raczej, że zdawał sobie z tego sprawę...

Simonsen był innego zdania; coś mu podpowiadało, że Lauritzenem kierowały inne, bardziej egoistyczne pobudki... Nie powiedział tego jednak głośno.

Gdy wrócili już na drogę, wręczył Tylerowi lornetkę, po czym wyjaśnił:

– Lauritzen i jego podwładny przejechali korytem tego potoku swoim czołgiem z miejsca, w którym właśnie byliśmy, do końca drogi, tam, gdzie zaczyna się las. Tyle że oczywiście w przeciwnym kierunku. Kiedyś stał tam dom, którego teraz już nie ma. I właśnie tam się jutro wybieramy, żeby się rozejrzeć.

Tyler opuścił lornetkę.

– Stał tam dom?

Simonsen potwierdził skinieniem głowy. Amerykanin momentalnie zbladł i rzucił:

– O kurwa...

Rozdział 64

Czwartek, 16 listopada 2010 roku, komenda policji

Pedersen był zawiedziony. Hrabianka najwyraźniej o nim zapomniała.

Poskarżył się nawet Arnoldowi: przecież się umówili, obiecała – i to nie raz, a kilka razy – że na pewno zadzwoni po wizycie w ambasadzie i opowie mu o tym, co tam zaszło, a w zasadzie: o co w ogóle w tym wszystkim chodzi. Tymczasem się nie odezwała, zupełnie o nim zapomniała...

Jutlandczyk nieszczęśliwie się tym przejął. Nie wiedział nic o żadnej ambasadzie, a nawet gdyby wiedział, było mu wszystko jedno, miał na głowie większe problemy. Jego żona po kolacji niemalże wyrzuciła go z domu, zapewniając, że da sobie radę z dziećmi oraz innymi sprawami natury praktycznej. Nie musi się tym w ogóle przejmować, byle tylko zrobił wszystko, co w jego mocy, by pomóc biednemu Pedersenowi, który siedzi za kratkami, mimo że jest niewinny. Biedny Pedersen był mianowicie poprzedniego wieczora tematem numer jeden nadawanego w najlepszym czasie antenowym wydania telewizyjnych wiadomości. Materiał był wyjątkowo emocjonalny i koncentrował się głównie na tym, jakie to musi być dla komisarza straszne, że w wyniku zaistniałej sytuacji dosłownie z dnia na dzień stracił pracę, a co więcej, skazano go na rozłąkę ze swoją kochającą rodziną, podczas gdy każdy, kto miał choć trochę rozumu, dobrze wiedział, że policjant ewidentnie został wrobiony. Następnie nadano krótki wywiad z jego żoną i bliźniakami. „Dzieci nie mogą wieczorem zasnąć... Trudno im się dziwić, skoro dowiedziały się, że ich tata siedzi w więzieniu”, lamentowała pani Pedersen. Następnie głos zabrał profesor prawa, który używając doniosłych sformułowań, omówił całe mnóstwo mankamentów i braków, jakie jego skromnym zdaniem występują w duń-

skim Kodeksie postępowania cywilnego. Po tym programie popularność Pedersena niesłuchanie wzrosła – szczególnie wśród przedstawicielek żeńskiej części społeczeństwa, w tym również Stelli Arnold.

– Na pewno zadzwoni później... A teraz jeszcze raz przeanalizujmy trzy istotne zdarzenia, bo mam pewną teorię, która może stanowić klucz do tej sprawy – zasugerował Jutlandczyk.

– Ale obiecała, że zadzwoni od razu, a nie później.

Arnold zignorował tę uwagę. Zamiast tego wyciągnął z okazałej sterty przyniesionych ze sobą dokumentów, która leżała na stojącym między nimi stole, cienką teczkę z papierami. Otworzył ją i spojrzał na kartkę z samego wierzchu.

Czterej funkcjonariusze należący do zespołu specjalnego i Jutlandczyk odwalili kawał ciężkiej i niezwykle metodycznej roboty. Na podstawie rekonstrukcji zdarzeń, w których Pedersen brał udział w okresie od dwudziestego drugiego sierpnia do dwudziestego dziewiątego września, po długich dyskusjach wybrali osiem sytuacji, w których ktoś mógł ich zdaniem skłonić komisarza, by ten zostawił swoje odciski palców na rugerze. Spośród rzeczonych ośmiu epizodów trzy wymagały szczególnej uwagi. I właśnie te incydenty Arnold nazwał kluczowymi zdarzeniami. Należało do nich: przesłuchanie Irene Gallagher w jej domu dwudziestego września oraz wizyty Pedersena u zmarłego obecnie Nysteda, to jest odpowiednio trzynastego i siedemnastego września – pierwsza, podczas której policjant upił się do nieprzytomności, oraz druga zakończona ugryzieniem go przez weterana.

– W takim razie może zaczniesz od tej swojej teorii? – zasugerował Pedersen.

Wiedział, jak potwornie wyczerpujące będzie dla niego ponowne odтворzenie przebiegu zdarzeń omawianych już niezliczoną ilość razy. Arnold będzie zapewne chciał, by spojrzał na sprawy z nowej perspektywy, zupełnie jakby opowiadał o tym po raz pierwszy. Najłatwiej było pójść po linii najmniejszego oporu, używać tych samych sformułowań co wcześniej, odtwarzać zdarzenia w utrwalonej już w pamięci kolejności i po prostu powtarzać w kółko to samo, nie zadając sobie trudu, by jeszcze raz

wszystko po kolei przemyśleć. Przy czym jeśli tak postąpi, będzie to totalna strata czasu, bo jego relacja nie wniesie nic nowego do sprawy.

Jutlandczyk wyłożył przyjacielowi swoją teorię:

– Jest wysoce prawdopodobne, że Irene Gallagher włamała się do twojego domu, chociaż nie wiadomo, kiedy dokładnie to się stało, a do tego weszła bezprawnie do mieszkania Pauline Berg, przypuszczalnie przed południem dwudziestego drugiego sierpnia, zanim odebrała Lauritzena z plaży Charlottenlund i odwiozła go do lasu w Jungshoved. Ale założmy, że w twoim przypadku nie zrobiła tego w momencie, gdy miała pewność, że nikogo nie ma w domu, tylko w nocy, trzynastego września, kiedy dowiedziała się od weterana Olego Nysteda, że załaził się u niego do nieprzytomności. Mogła wtedy z łatwością chwycić cię za rękę i zacisnąć twoje palce na lufie pistoletu, mając pewność, że się nie obudzisz.

Wałkowali tę możliwość przez dobry kwadrans, ale żaden z nich nie był do końca przekonany – nawet sam Arnold. Z punktu widzenia Gallagher takie posunięcie wydawało się nad wyraz ryzykowne. Za dużo rzeczy mogło pójść nie tak, a do tego było zbyt wiele niewiadomych, by mogła z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że jej plan się powiedzie. Odrzucili zatem tę ewentualność i przeszli do najtrudniejszej części zadania.

Ponownie przeanalizowali wspólnie wszystkie trzy zdarzenia. Robili to już po raz piąty, przy czym do dwóch ostatnich Arnold wprowadził tym razem pewien powiew świeżości. Otóż przyniósł ze sobą cały plik zdjęć wykonanych przez techników policyjnych w baraku Nysteda, gdy ten leżał już martwy na swojej sofie po zatruciu tlenkiem węgla. Jako że nie wykluczono, że weteran został zamordowany, technicy dali z siebie wszystko, w rezultacie czego fotografie były piekielnie ostre. Większość z nich przedstawiała naturalnie denata, ale obfotografowany z każdej strony został również jego dom. Arnold wybrał zdjęcia, które możliwie najbardziej szczegółowo przedstawiały wnętrze szopy. Liczył mianowicie na to, że zabieg ten dodatkowo ożywi i tak świetną pamięć Pedersena. Jak się okazało, nie było to wcale takie głupie... Arne faktycznie przypomniał sobie w ten sposób kilka nowych szczegółów: podczas swojej pierwszej wizyty

podniósł z podłogi popielniczkę, którą następnie niechętnie strącił ze stołu, kiedy on i Nysted byli już porządnie pijani. Za drugim razem zaś, niosąc drewno na opał, zostawił otwarte drzwi. Przy czym nie po to, by idąc z kolejną partią, nie musiał ich ponownie otwierać, tylko dlatego, że chciał wpuścić do środka trochę świeżego powietrza.

Choć nie miało to pewnie wielkiego znaczenia, Arnold pochwalił go za te nowe, acz może nieszczerólnie istotne spostrzeżenia, po czym powiedział:

– Może jutro wybierzemy się tam razem i wspólnie obejrzymy ten jego barak?... Nikt tam nic nie ruszał, formalnie to nadal „miejsce popełnienia czynu zabronionego”. Myślę, że przypomnisz sobie o wiele więcej, jak znowu tam usiądziesz.

– Chyba zapomniałeś, że jestem w areszcie izolacyjnym. Strażnicy i tak już nagięli dla mnie wszelkie możliwe przepisy, więc nie ma mowy, żebym prosił ich o więcej.

– I wcale nie musisz tego robić. Zespół specjalny zabierze cię ze sobą w celu odtworzenia przebiegu zdarzeń na miejscu zbrodni. Można to zrobić całkowicie oficjalnie, a ja nie mogę się już doczekać, aż będę mógł cię wozić po Zelandii zakutego w kajdanki.

Pedersen nie odpowiedział, bo nagle zaświtała mu w głowie pewna myśl. Wskazał na zdjęcie martwego weterana i stwierdził:

– Niewiarygodnie szybko doszedł do siebie po urazie stopy, patrz, tu nie ma już nawet bandaża. Natomiast pięć dni wcześniej, gdy go odwiedziłem, ledwie ruszał nogą.

– Hmm, racja. Że też nikt z nas wcześniej na to nie wpadł... Nie wziąłem go ze sobą, ale skoczę do biura i go przyniosę, zaraz wracam!

Jutlandczyk wstał. Miał oczywiście na myśli protokół sekcji zwłok, obaj dobrze o tym wiedzieli. Jak również obaj z miejsca się ożywili. Zupełnie jakby nagle dotarli do miejsca, w którym nigdy wcześniej nie byli.

Pędząc z powrotem do celi przesłuchań, Arnold zajrzał do raportu. Zaraz potem wpadł do celi Pedersena, niemalże krzycząc:

– Nic! Zupełnie nic o urazie stopy. Oszukał cię!

Usiedli i jeszcze raz pobieżnie przejrzeni cztery strony protokołu. Faktycznie, nie było tam żadnej wzmianki o tym, żeby Ole Nysted pięć dni przed śmiercią zranił się w nogę, rąbiąc drewno na opał. Następne pytanie nasuwało się samo... Zadał je Jutlandczyk.

– Więc czemu to wszystko miało służyć?

Choć przeanalizowali to ponownie od każdej możliwej strony – tym razem przy aktywnym udziale Pedersena, który czuł teraz przyływ euforii – niezmiennie dochodzili do tego samego; mianowicie, że policjant naniósł Nystedowi drewna, po czym na jego prośbę przyniósł z szafy butelkę whisky. Gdy już dobrnęli do końca sekwencji wydarzeń, musieli zatem powtórzyć wszystko od początku. Pedersen zaczął od epizodu z drewnem:

– Siedzę na sofie, po jego lewej stronie, a on nagle pyta, czy mógłbym w ramach pomocy nanieść mu naręczce... poczekaj, niech to szlag, mam! Już wiem! Idiota ze mnie, powinienem być do tego dojsć już dawno temu. I dlatego właśnie zdemontowała celownik. Wszystko się zgadza, to samo robią dzieciaki w lesie. Teraz wszystko składa się w logiczną całość.

Aresztowany komisarz z takim zapałem poderwał się z miejsca, że przewrócił krzesło. W tym samym momencie zadzwoniła jego komórka. Zerknął podejrzliwie na ekran telefonu, po czym odebrał, choć bynajmniej nie był to czas na pogaduszki. „To chyba Hrabianka”, pomyślał Arnold, nadstawiając uszu. Jutlandczyk starał się z całych sił uzbroić w cierpliwość, ale zupełnie nie potrafił znaleźć sobie miejsca. No dobrze... niech sobie chwilę pogadają, przecież to już i tak nic nie zmienia. Mimo to nie mógł przestać myśleć o tym, że gdyby jego przyjaciel nagle umarł, tak po prostu, znienacka – w końcu takie przypadki czasem się zdarzały – on nigdy by się nie dowiedział, w jaki sposób odciski zastępcy szefa wydziału zabójstw znalazły się na tym cholernym pistolecie. Była to przerażająca myśl...

Rozdział 65

Środa, 17 listopada 2010 roku, Ljubičevac

Simonsena obudził odgłos wystrzału. Jednym ruchem poderwał się do pozycji siedzącej, jeszcze nie do końca pewien, czy faktycznie ktoś strzelał, czy tylko mu się to przyśniło. Gdy już doszedł do siebie, wyciągnął rękę w poszukiwaniu budzika, który postawił pod ścianą, na bocznej ramie łóżka. Tarcza zegara się podświetliła, gdy go podniósł. Dochodziło wpół do piątej. Wstał i nacisnął włącznik światła, niestety bezskutecznie. Dostawy energii elektrycznej do wioski Ljubičevac nie miały nic wspólnego ze stabilnością, a przerwy zdarzały się szczególnie nocą. Brinch uświadomił im to dzień wcześniej, w drodze do Sarajewa, przy czym nikt z pozostałych nie zwrócił na to uwagi. Trochę po omacku, trochę posiłkując się światłem budzika, inspektor zdołał znaleźć swoje ubranie. Wrzucił na siebie spodnie, buty i marynarkę, koszulę oraz skarpetki sobie odpuścił. Ktoś zapukał do drzwi, więc przekręcił klucz i otworzył. Jak można się było spodziewać, stała przed nim Anica Buch, choć w ciemności widział zaledwie kontury jej sylwetki.

– Ty też słyszałeś strzał, prawda? – spytała zatrwożonym głosem.

– Chyba tak.

– Wydawało się, jakby to było gdzieś zaraz obok...

– Możliwe, idę właśnie na dół to sprawdzić.

Jej niepokój przerodził się nagle w atak paniki. Za żadne skarby tu nie zostanie, idzie z nim! Idą oboje... w żadnym wypadku nie zostawi jej samej na górze, wykluczone! Poczuł, jak palce dziewczyny zaciskają się kurczowo na jego ramieniu, więc spokojnym głosem zapewnij ją, że naturalnie nigdzie jej nie zostawi, pójdą razem, to już postanowione. Poza tym nie ma się czego bać, to na pewno nic takiego. Oswobodził rękę, a potem

założył kurtkę. Jednocześnie uświadomił sobie, że jego oczy zdążyły się w międzyczasie przyzwyczaić do ciemności. Widział już o wiele więcej.

Białe światło księżycy oświetlało ulicę, w miejscu, gdzie zaparkowali land rovera, więc można było cokolwiek dojrzeć. Obok auta stały dwie osoby. Ze wszystkich stron dobiegało wycie psów; podwórzowe burki wyraźnie się skarżyły, tej nocy coś było inaczej niż zwykle... Po chwili na ulicę wyszła też ich gospodyni. Miała na rękach dziecko, którego Simonson wcześniej nie widział. Maluch przywarł do niej i instynktownie ukrył głowę w jej piersi. Policjanci ruszyli w stronę samochodu, ale zatrzymali się w pół drogi, bo ktoś nagle wychynął zza rogu i oślepił ich silny snop światła. Jak się okazało, był to Melsing. Zatoczył latarką krąg, żeby się zorientować, po czym skierował kroki w ich stronę.

– Co się dzieje, Simonie? Słyszałem strzał...

Podeszli do auta, wokół którego zgromadziło się czterech starszych mężczyzn. Śmiali się, wskazując na samochód, i rozprawiali o czymś z ożywieniem, lecz Duńczycy naturalnie nie rozumieli, o czym. Szyba po stronie kierowcy była zbita, jedynie po obwodzie sterczały gdzieś tam fragmenty stłuczonego szkła. Melsing odepchnął gapiów i przez dziurę w oknie zaświecił latarką do wnętrza wozu, starając się oszacować szkody. Gdy skończył, zawyrokował:

– Dubeltówka, a dokładnie lupara, sądząc po rozrzucie, nie mam żadnych wątpliwości. Pojedynczy strzał z odległości trzech, może czterech metrów, jak przypuszczam. Śrut ołowiany – u nas w dziewięćdziesiątym szóstym roku zakazano jego używania ze względu na ochronę środowiska. Na moje oko 3,5 milimetra, rozmiar 3. Auto nie jest uszkodzone, poza szybą oczywiście... Tak więc śmiało możemy nim dalej jeździć. Trzeba tylko uprzątnąć odłamki szkła i śrut.

– Kto mógł coś takiego zrobić?! Nie podoba mi się to... – rzuciła Anica.

Obaj mężczyźni próbowali ją uspokoić. Co się stało, to się nie odstanie. Zamiast się zamartwiać, lepiej niech wypyta tych tu, ciekawskich, bo może wiedzą, co się wydarzyło. Buch spełniła ich prośbę, ale niczego się nie dowiedziała.

Postali tam jeszcze przez kwadrans, podobnie jak gromadka miejscowych, która zdążyła się w międzyczasie zebrać przy aucie. W zasadzie wiedzieli, że nic tam po nich, ale z jakichś niewyjaśnionych przyczyn wszyscy czuli potrzebę, by przetrwać ten incydent wspólnie. Simonsen zaczął powoli marznąć, noc była zimna, temperatura pewnie coś koło zera.

– To by było na tyle, co? Nic więcej nie wymyślimy... – powiedział.

Melsing podał mu swoją latarkę – sam miał drugą w telefonie, więc mógł bez problemu wrócić do siebie. Szef wydziału zabójstw zaczął się zastanawiać, czy i on nie ma takiej funkcji w swojej komórce. Pewnie ma, tylko nie wie, jak z niej skorzystać... Musi pamiętać, by w wolnej chwili to sprawdzić.

Oboje z Anicą udali się z powrotem do swoich pokoi. W korytarzu przekazał jej latarkę, ale w chwili, gdy każde z nich miało pójść w swoją stronę, dziewczyna rzuciła nieśmiało:

– Simon...

Nigdy wcześniej tak go nie nazywała i w jej ustach zabrzmiało to jakoś niestosownie, nieco zbyt poufale. Może dlatego, że była taka młoda, albo z uwagi na to, że stosunkowo krótko się znali. Mimo to odpowiedział życzliwie:

– Tak?

– Wiem, że zabrzmiało to głupio, ale czy mógłbyś pójść do mojej sypialni i sprawdzić, czy nikogo tam nie ma? Zanim wyszliśmy, nie zamknęłam pokoju na klucz i... tak, wiem, jestem dziwna, ale możesz to dla mnie zrobić?

Jasne, że tam pójdziesz i sprawdzi, jeszcze tego by brakowało...

Dwukrotnie obszedł powoli całe pomieszczenie, świecąc latarką w każdy możliwy kąt, a do tego na prośbę Aniki zajrzał również pod łóżko.

– Nikogo tu nie ma, możesz spokojnie iść spać – zapewnił dziewczynę.

Nie do końca ją jednak przekonał. Wiedziała, że ma rację, ale mimo to strasznie się bała. Widząc to, zaoferował, że jeszcze chwilę zostanie. W tym samym momencie zupełnie przypadkiem skierował snop światła na jej łóżko i jego wzrok padł na jakąś kartkę.

– Co to jest, Simonie?! Oni tu byli! Byli w moim pokoju...

Skuliła się pod ścianą i lamentowała, teraz już po serbsku.

Wiadomość wyglądała zupełnie jak ta zostawiona w Paryżu – napisano ją na zwykłym białym papierze formatu A4. Pismo również niczym się nie różniło: czerwone drukowane litery, cyrylicą. Jedynie podobizna wilka prezentowała się lepiej niż poprzednio. Kartka zatknięta była na wbitym w poduszkę sztylciecie o poślacanej rękojeści w kształcie smoka – na pierwszy rzut oka tani bubel.

Simonsen wyciągnął nóż i włożył go do kieszeni kurtki. Świstek owinął wokół latarki, a drugą ręką objął Anicę i pociągnął ją za sobą do swojej sypialni. Następnie pogrzebał w walizce i wyjął stamtąd butelkę rumu – otworzył ją i nalał trochę złotego trunku do specjalnego wieczka, z którego dało się pić. Dziewczyna pociągnęła dwa porządne łyki i już po chwili odrobinę się wyciszyła.

– A teraz się połóżysz i spróbujesz zasnąć. Ja usiądę obok i nigdzie się stąd nie ruszę. List przeczytamy jutro...

Anica żywo zaprotestowała. I tak już część widziała, musi doczytać do końca. Po prostu musi! Nie ma innej opcji... Inspektor się pochylił i podał jej kartkę, sam zaś skierował latarkę na sufit, by dziewczyna mogła cokolwiek zobaczyć. Siedziała tak dłuższą chwilę w milczeniu, jak sparaliżowana. Zupełnie jakby nie docierało do niej do końca to, co właśnie przeczytała. Potem wybuchnęła płaczem... Simonsen przez moment miał zamiar usiąść obok niej i ją przytulić, jednak po chwili namysłu się powstrzymał.

– Przetłumacz mi, co tam jest napisane! Chcę wiedzieć – polecił.

Anica próbowała wziąć się w garść, ale nie szło jej to najlepiej.

– „Dobierzemy ci się do tyłka, ty mużułmańska dziwko...” – wydukała. – To może niezupełnie słowo w słowo, w każdym razie chodzi o coś bestialskiego i to coś ma podtekst seksualny... – Znowu zalała się łzami, ale między jednym a drugim szlochem zdołała wreszcie dokończyć: – „Dobierzemy ci się do tyłka, ty mużułmańska dziwko! Jeszcze będziesz skamleć o śmierć”. – Kiedy doszła już do siebie, powiedziała stanowczo: – Musimy jak najszybciej wracać do domu, najlepiej jutro rano.

Simonsen próbował ją uspokoić. Tłumaczył, że lepiej poczekać na rozwój wydarzeń.

Dziewczyna zaprotestowała, tym razem rozjuszona do żywego:

– Ty naprawdę nic nie rozumiesz?! Będą mnie gwałcić i torturować, a potem mnie zabiją!

– No tak, tego byśmy nie chcieli. Ale po co od razu zakładać najbardziej ponure scenariusze?

Zgasił latarkę i już po chwili usłyszał, że oddech Aniki się uspokoił, był teraz głęboki i miarowy. Usadowił się więc w fotelu i zamknął oczy. Nagle jednak usłyszał jej głos:

– Możesz się położyć obok mnie, jeśli chcesz...

Nie odpowiedział. Zamiast tego wydał z siebie odgłos przypominający krótkie chrapnięcie, żeby pomyślała, że już śpi.

Rozdział 66

Środa, 17 listopada 2010 roku, komenda policji

Louise Berg się śmiała, a Pedersen jej wtórował. Jakoś tak miała, że zarażała innych swoją radością, on natomiast lubił śmiać się razem z nią. Odprężał się przy niej. Siedzieli z podwiniętymi nogami na pryczy w jego celi, oparci plecami o ścianę, i oglądali film na przyniesionym przez Louise MacBooku, którego postawiła na stole. Wybrała Toy Story 3, przy czym – co podkreśliła – wypożyczyła go, a nie ściągnęła nielegalnie z internetu. Nie chciała robić nic niezgodnego z prawem, kiedy się z nim spotykała, a przynajmniej na razie... Przyniosła też ze sobą coca-colę w ogromnych kubkach ze słomką i jeszcze większy pojemnik popcornu.

– Żeby było jak w prawdziwym kinie – zamruczała, dając mu całusa.

Zjadł swój popcorn, za to coli upił tylko trochę – niestety za nią nie przepadał. Dopiero co wybiło południe, a Louise zaczynała pracę o osiemnastej. Pedersen pomyślał, że areszt izolacyjny ma też swoje dobre strony, więc zmusił się, by pociągnąć jeszcze jeden łyk napoju, po czym wrzucił do ust garść prażonej kukurydzy, żeby zabić smak.

Byli w połowie filmu, kiedy zapukał strażnik i oświadczył, że państwo mają gości, przy czym najlepiej będzie, jeśli przyjmą ich w sąsiedniej komnacie. Chwilę później w drzwiach stanęli Arnold oraz dwóch oficerów policyjnej służby wywiadowczej z powołanego przez głównego komendanta zespołu specjalnego. W tyle osób ledwie się tam mieścili. Jeden z mężczyzn zwrócił się do Berg:

– Niestety, musimy na chwilę porwać Arnego... Ale może pani poczekać obok. Zajmie nam to maksymalnie godzinę.

Dziewczyna się nastroszyła, nie znosiła, gdy jakiś facet mówił jej, co ma robić. Wstała, zmierzyła oficera wzrokiem od stóp do głów, wydała

charakterystyczny nosowy dźwięk na znak dezaprobaty, po czym odwróciła głowę, lekko zadzierając nos.

– Dziękuję, ale nie skorzystam. Nie będę siedzieć sama w celi. Myślę, że nic by się nie stało, gdybyście taktownie poczekali, aż skończymy oglądać film – rzuciła niemal bezbarwnym głosem, w którym dało się wyczuć nutkę zaskoczenia.

Jej rozmówca stanął jak wryty. Posłał Pedersenowi błagalne spojrzenie, ale ten tylko się zaśmiał. Przecież nic nie poradzi...

Arnold postanowił wkroczyć do akcji. Był kiedyś bramkarzem w klubie dla młodzieży, więc znał te wszystkie dziewczęce fochy na wylot... Jedne były wiecznie nadęte, inne próbowały go kokietować, były też prowokatorki, bezbronne nimfetki, kłótlive dziunie, przemądrzałe gąski i wiele, wiele innych. Łączyło je jednak to, że żadna z nich nigdy z Jutlandczykiem nie wygrała. Z miejsca określił więc, który z typów reprezentuje młoda ukochana jego przyjaciela. Odprawił kolegów ruchem ręki, po czym stanowczo chwycił dziewczynę za łokieć, odwrócił ją twarzą w stronę drzwi, po czym delikatnie popchnął w kierunku wyjścia, nadal przytrzymując jej ramię.

– No już, sio, Louise... Wpadniesz znowu innym razem.

– Na razie, Arne, do jutra – rzuciła na odchodnym udobruchanym głosem. Lubiła Arnolda, poza tym wiedziała, że nie zawsze się wygrywa. Życie nie jest takie proste.

– Możesz mnie już puścić, troglodyto, pójdę sama. Jesteś mi winien film! I przynieś mi mojego MacBooka, będę go potrzebować.

Jeden z funkcjonariuszy ze specjalnej grupy śledczej ustawił na stole projektor i skierował go na ścianę celi. Sterował nim z komputera i cała prezentacja przebiegła nader sprawnie – zważywszy na spartańskie warunki. Arnold pełnił funkcję pośrednika: to on miał przedstawić pierwsze wyniki. Pedersen zajął najlepsze miejsce przy stole, to jest dokładnie naprzeciwko ściany, na której wyświetlały się kolejne slajdy. Jutlandczyk zaznaczył tytułem wstępu, że wszyscy, jak wiadomo, pracują w ekspresowym tempie, zwłaszcza ludzie z wydziału techniki kryminalistycznej – dlatego też niektóre wnioski należy traktować jako wstępne. To zasadniczo

czysta formalność, ale na wypadek, gdyby miały wyniknąć jakieś dalsze problemy, Pedersen musi o tym wiedzieć. Następnie poprosił, by wyświetlono pierwsze zdjęcie. Przedstawiało ono kredens Olego Nysteda ukryty za pomarańczową zasłonką.

– Tak wyglądała szafka kuchenna weterana z szopy, kiedy... – zaczął.

– Możesz, proszę, przestać tak o nim mówić? Nazywał się Ole Nysted – przerwał mu aresztowany komisarz.

– Przecież sam tak o nim mówiłeś!

– Tak, ale staram się już tego nie robić.

Arnold skinął głową, w porządku.

– Tak wyglądała szafka kuchenna Olego Nysteda, kiedy złożyłeś mu pierwszą wizytę – poprawił się. – Chociaż w zasadzie nie wiesz do końca, jak wyglądała, bo kotara była wtedy zaciągnięta. Tak czy inaczej, nadal prezentuje się ona tak samo, co zobaczymy za chwilę.

Omówił szczegółowo wygląd kredensu: był to regał z drewna tekowego, pomalowany i przykręcony do ściany baraku. Mebel ten miał ściankę działową i trzy półki po każdej ze stron. W górnej części kredensu zamocowana była linka, na której wisiały obie części kotary. Przy czym linka ta była za długa, wystawała po obu stronach szafy mniej więcej po dwadzieścia centymetrów, więc ktoś przykręcił do szczytu mebla dwa podwójne legary – skrajnie po bokach oraz na samej górze – jako wsporniki przedłużające.

– A nie mógłbyś oszczędzić nam tych wszystkich szczegółów? – poprosił Pedersen.

Jutlandczyk kontynuował, nie zważając na uwagę aresztanta:

– Te wsporniki wykonane są z drewna świerkowego, do czego jeszcze wrócimy. A zasłonki miały pewnie chronić żywność przed oparami z pieca. Raczej nie powiesił ich dlatego, że tak było ładnie. Następne zdjęcie...

Kolejny slajd przedstawiał otwór po śrubie w dużym powiększeniu.

– Takich otworów jest tam łącznie trzynaście: dwa razy po dwa po obu stronach legarów i trzy razy po trzy na każdej z trzech pionowych krawędzi.

dzi szafki – wyjaśnił Arnold. – Świadczą one o tym, że ktoś – obstawiam, że była to Irene Gallagher – zamontował za kotarą dwoje drzwiczek. Przy czym ten ktoś zrobił to z rozmysłem w taki sposób, by po zdemontowaniu pozostało tam zaledwie kilka niepozornych otworów.

Jeden z oficerów wszedł Jutlandczykowi w słowo, jego też zmęczyła drobiazgowość kolegi z wydziału zabójstw.

– Wszystkie te techniczne wyjaśnienia i dowody ujmijemy w swoim raporcie. Przechodząc do sedna sprawy: uchwyt jednej z szafek – tej, która był zamknięta – został wykonany nie z metalowej rurki, ale z lufy pistoletu. Przy czym z zewnątrz nie było tego widać, bo to charakterystyczny uchwyt w kształcie muszli – działa on tak, że przez otwór chwyta się za rurkę.

Potem głos znowu zabrał Arnold. Dość rozwlekłe wyjaśnił, że część wniosków oparta jest wprawdzie na zeznaniach Pedersena, ale ponieważ te słowa znalazły potwierdzenie w badaniach technicznych, zespół specjalny uznał je za wiarygodne.

– Przy czym oprócz tego, co wiemy od ciebie, mamy też cztery solidne dowody techniczne, albo, jeśli wolisz, mocne poszlaki wskazujące na to, że to Irene Gallagher zbudowała tę szafkę, po czym ją zdemontowała – dodał po chwili. – Przede wszystkim rodzaj pistoletu... To dość rzadki i niewielki kaliber, ale Gallagher potrzebowała rurki, która będzie stosunkowo cienka, a do tego jeszcze okrągła. Ruger 22-LR świetnie się do tego nadał. Poza tym zdemontowała celownik, by lufa mogła spokojnie imitować uchwyt. Ale najlepsze jest to, że technicy użyli mikroskopu elektronowego i stwierdzili na lufie ślady po opaskach kablowych, których Gallagher użyła do zamocowania broni wewnątrz szafki.

Oficer policyjnej służby wywiadowczej znowu wszedł mu w słowo, choć – zupełnie jak za pierwszym razem – nikt go o to nie prosił. Najwyraźniej nie należał do cierpliwych, co Pedersenowi akurat bardzo pasowało.

– Dwa pozostałe dowody mają charakter stricte techniczny i będziesz mógł się z nimi szczegółowo zapoznać. Ale mamy jeszcze wisienkę na torcie w postaci pewnego młodzieńca i jego zameężnej przyjaciółki romskiego

pochodzenia, którzy czternastego września w lesie Lorup sfotografowali Irene Gallagher ze skrzynką narzędziową w ręku i dwoma szarymi płytami pod pachą. Daty się zgadzają, płyty również – jeśli bazując na kadrze z nakręconego przez chłopaka filmu, porównamy ich gabaryty z wymiarami kredensu Nysteda. Nawet jeśli, co podkreśliła techniczka wydziałowa, niepewność pomiarowa wynosi tu jeden i cztery dziesiąte procenta.

– Naprawdę myślisz, że była w stanie zbudować tę szafkę zupełnie sama? To chyba nie takie proste... – Komisarz celowo zwrócił się do oficera służby wywiadowczej, by uniknąć kolejnego przydługiego wywodu Arnolda.

Mimo to odpowiedział mu właśnie Jutlandczyk.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Jako młoda dziewczyna przez wiele lat pomagała dziadkowi, który prowadził warsztat stolarski. Dodatkowo nie chodziło przecież o tryptyk. Wręcz przeciwnie, ta szafka miała wyglądać, jakby była domowej roboty...

Jeden z funkcjonariuszy przyniósł ze sobą cztery butelki piwa. Teraz otworzył je, nie pytając nawet, czy ktoś ma ochotę się napić. Koniec końców wszyscy czterej stuknęli się szkłem – wszyscy uradowani z wyników wspólnej pracy.

Gdy już pociągnęli parę łyków, jeden z oficerów rzucił nieśmiało, że chciałby prosić funkcjonariuszy z wydziału zabójstw o małą przysługę... Nie chciałby, żeby opacznie to zrozumieli, ale...

Był to dość długi rozbieg do – jak się wkrótce okazało – krótkiego skoku...

– Czy moglibyśmy ewentualnie przedstawić to, do czego tu wspólnie doszliśmy, jako efekt pracy zespołu specjalnego, to znaczy... bez waszego udziału? Nie żebyśmy chcieli przypisać sobie wszystkie zasługi – mam nadzieję, że nas o to nie posądzacie – chodzi tylko o to, że będzie to o wiele lepiej wyglądało, jeśli utrzymamy, że my sami znaleźliśmy rozwiązanie. Jeśli chcecie, za jakieś pół roku możemy wyjawić prawdę.

Ani Pedersen, ani Arnold nie mieli nic przeciwko. Wręcz odwrotnie, uznali, że brzmi to całkiem rozsądnie. Jeden z oficerów dopił piwo, po czym zwrócił się do komisarza:

– Za jakieś pół godziny zadzwonię do prokuratora i poproszę, żeby wycofał zarzuty... A wtedy powinni cię wypuścić z aresztu w niecałą godzinę. Ale na własną odpowiedzialność pozwalam ci już teraz opuścić tę norę i pójść na górę, do biura, jeśli tam właśnie wolisz poczekać. Bylebyś nie opuszczał komendy...

Pedersen odmówił. W biurze nie miał pryczy, a tak się składa, że przez to wszystko poczuł się właśnie strasznie zmęczony, więc w oczekiwaniu na zwolnienie chętnie utnie sobie drzemkę.

Rozdział 67

Środa, 17 listopada 2010 roku, dom w Bośni

Wspólnymi siłami usunęli z auta odłamki szkła i śrut, co zajęło im trochę czasu. W międzyczasie rozmawiali o wszystkim innym, tylko nie o feralnym strzale. Simonsen uznał, że to pewnie sprawka miejscowych wandali, z czym pozostali, to jest Buch, Melsing i Brinch, bez dyskusji się zgodzili, i więcej nie poruszali już tego tematu. Podobnie przeszli do porządku dziennego nad skierowanym do Aniki listem z pogrózkami. Ot jeszcze jeden wyglup, nic, nad czym warto by się było rozwodzić. Szef wydziału zabójstw podsumował, że mają na głowie ważniejsze rzeczy, uderzając otwartą dłońią w dach land rovera. Postanowił zrobić sobie krótką przerwę, bo poczuł ból w krzyżu. Był pewny, że jakoś poradzą sobie przez chwilę bez niego. Weźmy taką Anicę... Sprzątała auto niestrudzenie. To, że była z nich wszystkich najmłodsza i najsprawniejsza, pociągało za sobą pewne obowiązki – oświadczyli jak jeden mąż mężczyźni członkowie zespołu. Nikt nie wziął sobie specjalnie do serca jej nocnych postulatów, że powinni natychmiast wracać do Danii.

Kiedy już skończyli, wsiedli do samochodu i udali się tam, gdzie piętnaście lat temu mieścił się posterunek obserwacyjny zwanym małym Dannevirke. Simonsen chciał coś sprawdzić, ale nikt nie wiedział, o co dokładnie chodzi. Gdy dotarli do celu, tylko on wysiadł z auta. Inni zostali na swoich miejscach i obserwowali go, jak stoi i uważnie wpatruje się w krajobraz – początkowo bez lornetki, później jednak najwyraźniej postanowił z niej skorzystać. Po dłuższej chwili, która pozostałym wydawała się wiecznością, wziął do ręki telefon satelitarny i wybrał jakiś numer. Po krótkiej rozmowie rozłączył się i wrócił do auta. Siedząca za kierownicą

Buch przekręciła kluczyk w stacyjce, po czym spytała wyraźnie zaintrygowana:

– I co? Coś się wyjaśniło? Z kim rozmawiałeś?

– Mam wrażenie, że coś tu się nie zgadza... – odpowiedział wymijająco szef wydziału zabójstw.

Nie rozwinął jednak tematu, a ona nie naciskała.

Anica jechała wzdłuż górskiego grzbietu w stronę miejsca, gdzie kiedyś stał dom. Tę samą drogę przebyli piętnaście lat wcześniej Bjørn Lauritzen i Ole Nysted bojowym leopardem, a zaraz potem Irene Gallagher wypożyczonym w Tuzli jeepem. Powietrze było ostre, a niebo zasnuwane szarymi chmurami, zupełnie jak dzień wcześniej. Ale dziś nie wiało ani nie padało.

– Dalej nie pojedziemy... – rzuciła Buch, choć wszyscy zdążyli się już zorientować, że droga nagle się skończyła, a przed sobą mają ścianę lasu.

Wysiedli i rozejrzeli się wokół: po obu stronach szlaku rozciągał się obszar wielkości sześciu boisk do piłki nożnej – jak naprędce oszacował Melsing. Na wschód i północ znajdował się las, na południe zaś – potok. Na zachód ścieliła się w dół grani górską tundra... jak okiem sięgnąć bezkresne połacie jednolitej brunatnej trawy, tylko gdzieniegdzie poprząskane samotnymi krzewami. Teren, który mieli przeszukać, okazał się nadzwyczaj bujnie porośnięty. Pokrzywy, trawa, szczaw, niskie zarośla, byliny zielne o zwiedłych już kwiatach i buczyna. „Latem to wszystko musi pięknie kwitnąć”, przemknęło przez myśl Simonsenowi, wściekłemu na samego siebie, że nie ma na sobie kaloszy, które przed wyjazdem na wszelki wypadek wrzucił do walizki za namową Hrabianki. Teraz gumki stały w jego pokoju i się z niego śmiały... Nie do wiary, że mógł być aż tak bezmyślny.

Nagle podszedł do nich Tyler, który, jak się okazało, czekał na nich pod lasem. Zauważyli go jednak dopiero teraz. Zgodnie z prośbą Simonsena szedł cały czas brzegiem potoku i potwierdził, że bez wątplenia można przejechać tamtędy czołgiem, zwłaszcza w czerwcu, gdy poziom wody jest zdecydowanie niższy. Amerykanin wyglądał na wypoczętego. Szef wydziału zabójstw pomyślał, nie bez zazdrości, że młodzieniec spędził pewnie noc w luksusowym hotelu w Sarajewie, skąd następnie przyleciał heli-

kopterem – Stany Zjednoczone dbały o swoich agentów... Odciągnął go na bok i opowiedział mu w skrócie o wydarzeniach poprzedniej nocy. Tyler pokiwał głową, lecz w żaden sposób tego nie skomentował.

Dowodzenie objął Melsing. Badanie miejsca zbrodni stanowiło dla niego chleb powszedni, zatem nikt nie protestował. Poinstruował pozostałych, że teren, który zamierzają przeszukać, jest wyjątkowo rozległy, a z uwagi na bujną roślinność zajmie im to trochę czasu. Tak czy inaczej, muszą działać powoli, bez pośpiechu, a najlepiej, żeby każdy z nich znalazł sobie jakiś porządny kij. Przydzielił każdemu z osobna inny obszar, po czym rozdał gwizdki i cały plik flag do oznaczania – czerwonych chorągiewek zatkniętych na półmetrowych ostro zakończonych aluminiowych masztach.

– Stał tu dom, co oznacza, że w pierwszej kolejności szukamy pozostałości fundamentu, a nie fragmentów muru i innych podobnych rzeczy – wyjaśnił zaraz potem. – Jeśli takie znajdziecie i stwierdzicie, że mogą stanowić jakąś wskazówkę, zaznaczcie je, ale zasadniczo skupiamy się na fundamencie. Gdy natkniecie się na fundament, użyjcie gwizdka, ale tylko wtedy. Jak zabraknie wam flag, po prostu wróćcie do auta po nowy zapas. W bagażniku leży ich całe mnóstwo. Ale zanim to zrobicie, nie zapomnijcie umieścić dwóch znaczników w miejscu, do którego dotarliście. Zatem przedostatnią i ostatnią flagę zawsze wbijamy razem, chociaż wiadomo, tylko na chwilę. Nie wolno wam niczego dotykać, cokolwiek znajdziecie, zaznaczcie, ale nie podnoście. To bardzo ważne! I jeszcze raz powtarzam: nie spieszcie się... Lepiej za wolno niż za szybko.

Wspólnie skierowali się w stronę lasu, by wyszukać tam sobie kije, ale nie uszli nawet kilku kroków, gdy Brinch nagle krzyknął i stanął jak wryty, wskazując na kępę pokrzywy. Pozostali z miejsca do niego podeszli.

Na ziemi leżała ludzka czaszka... Była zbrązowiała, jej szczyt i kość czołowa zarosły mchem. Przez jeden z oczodołów pięła się w górę trawa, a żuchwa luźno zwisała. Wyglądało to dość groteskowo – zupełnie jakby sama śmierć się do nich uśmiechała.

Zapadła cisza. Lecz gdy Melsing wziął od Brincha flagę, wbił ją w ziemię w odległości kilku centymetrów od znaleziska, po czym spokojnie po-

szedł w swoją stronę, inni zrobili to samo. Wszystkim jednak udzieliła się atmosfera powagi i zadumy. Widać to było wyraźnie po tym, jak stawiali kroki. Jak gdyby dopiero w chwili, gdy znaleźli czaszkę, dotarło do nich, czym tak naprawdę się tu zajmują. Pięćdziesiąt metrów dalej, gdy zbliżali się już do ściany lasu, Tyler umieścił kolejny znacznik. Idący za nim Simonsen minął go, nie sprawdzwszy, co Amerykanin znalazł.

Za jakieś pół godziny usłyszeli dźwięk gwizdka. Użył go Melsing. Pozostali rzucili się w jego stronę, gdzie okazało się, że właśnie odkrył to, czego szukali: przed nimi stał czerwono-czarny ceglany fundament o wysokości między dwadzieścia pięć centymetrów a pół metra. Miał jednak nieregularny kształt, zupełnie jakby jakaś monstrualna dłoń chwyciła i oderwała pozostałą część budynku. Szef wydziału techniki kryminalistycznej zrobił zdjęcia do dokumentacji, podczas gdy inni nadal stali i patrzyli. Kiedy już skończył, powiedział:

– Zatem faktycznie znajdował się tu dom. Widać to wyraźnie. Parter miał powierzchnię około stu pięćdziesięciu metrów kwadratowych, dziedziniec zaś wyłożony był naturalnym kamieniem – właśnie na nim stoimy. Dalej stał prawdopodobnie jeden, a może kilka drewnianych budynków gospodarczych. Przypuszczam, że była to stodoła, do tego może jeszcze chlew lub stajnia. Powiedzcie: kto z was natknął się po drodze na jakies fragmenty muru? Duże albo małe, to nieistotne.

Tylko Brinch i Simonsen podnieśli ręce. Oni akurat badali teren najdalej od fundamentu.

– Początkowo je oznaczałem, ale potem przestałem, bo jest tam tego całe mnóstwo – rzucił adwokat.

Melsing skinął głową na znak, że wszystko się zgadza. Wyjął z kieszeni parki opakowanie patyczków higienicznych i rolkę maleńkich woreczków foliowych. Pochylił się i potarł patyczkiem boczną ścianę cegły, po czym oderwał jedną torebkę z rolki i ostrożnie włożył go do środka. Później powtórzył całą procedurę dla kolejnej cegły, używając świeżego patyczka.

– Co robisz? – spytała Buch.

Melsing podniósł wzrok. Skończył właśnie pobierać trzecią próbkę.

– Jestem raczej przekonany, że zdarzyła się tu jakaś potężna eksplozja, która rozerwała ten dom. Ale muszę się jeszcze upewnić, więc pobieram materiał do badania w kierunku pozostałości materiału wybuchowego. Przy odrobinie szczęścia może uda mi się nawet od razu określić jego rodzaj... Jeśli nie, zajmę się tym po powrocie do domu.

– Nie ma takiej potrzeby... – wszedł mu w słowo Tyler. – To PBXN-7 lub PBXN-107, mieszanina czternastoprocentowego poliakrylanu i osiemdziesięciosześciprocentowej cyklotrimetylenotrinitroaminy. Ten drugi znany jest powszechnie w Europie jako T-4.

Wszystkie oczy zwróciły się na Amerykanina, a Brinch zapytał:

– Serbskie bomby?

– Nie, trzy taktyczne pociski manewrujące Tomahawk zestrzelone nad Adriatykiem na wysokości wybrzeża Bośni z pokładu niszczyciela Utah w czwartek trzynastego lipca dziewięćdziesiątego piątego roku, pierwszy dwie minuty po trzynastej, a kolejne dwa w odstępie trzydziestu sekund od siebie.

Zamilkli jak jeden mąż. Te wszystkie użyte przez niego pojęcia techniczne, ta jego trzeźwa logistyczna precyzja... całość jakoś dziwnie nie współgrała z mrowiem porozstawianych właśnie przez nich po całym terenie flag. Co gorsza, okazało się nagle, że są dwie strony medalu. Potrzebowali chwili, by ochłonąć. Nad ich głowami zaskrzeczał jakiś ptak, ale nikt tego nie zarejestrował. Nie poruszyli się nawet, gdy z nieba zaczęły spadać wielkie krople deszczu. W końcu jednak Melsing przerwał ten zbiorowy letarg:

– To tylko przelotne opady, chodźmy do samochodu, poczekamy tam, aż się rozpuodzi.

Gdy już siedzieli w aucie, Simonsen na wpół zapytał, na wpół stwierdził:

– Czyli ten dom wyleciał w powietrze?...

Tyler potwierdził skinieniem głowy. Tak, niestety.

– Dlaczego?

– Tego nadal nie jestem pewien.

– A kiedy będziesz?

– Niedługo, coś jeszcze trzeba zbadać...

Kiedy już przestało padać, Amerykanin powiedział:

– Spróbujcie się teraz skupić na obrzeżach terenu, możecie nawet zapuścić się nieco dalej, wejść do lasu. Poszukajcie jakichś resztek... hmm... jakby pozostałości samochodu, nie wiem, osłon, płyt, siedzeń, opon... ogólnie rzecz biorąc, większych przedmiotów, głównie metalowych.

– A czemu niby mielibyśmy szukać tu jakiegoś pojazdu? – zadała pytanie Buch i skierowane ono było bezpośrednio do Tylera, ale z odpowiedzią pospieszył Simonsen:

– Nie chodzi o pojazd... w każdym razie nie tylko o niego. Interesują nas pozostałości przewoźnego pocisku ziemia–powietrze.

– Nie jednego, a siedmiu – sprostował Amerykanin. – Podała, że było ich siedem.

– Czy to tego właśnie szukałeś w lesie, kiedy przyjechaliśmy? – spytał szef wydziału zabójstw.

– Tak.

– I znalazłeś coś?

– Nie.

Po godzinie uznali poszukiwania za zakończone. Podobnie jak te, które przeprowadził wcześniej Tyler, nie przyniosły żadnych wyników.

– Oszukała was... – rzucił Simonsen.

– Na to wygląda. Zadzwoniła bezpośrednio do dowódcy lotniskowcowej grupy bojowej, pod którym służyła w charakterze doradcy prawnego, on natomiast ślepo jej ufał. Do tego jeszcze siedem pocisków w jednym miejscu – to dopiero było coś. Takich rakiet nie odpala się na porządku dziennym, choćby z tego powodu, że są piekielnie drogie. Te większe – a właśnie o takich tutaj mowa – są warte jakieś dwa miliony dolarów za sztukę.

– Ale nie zapisaliście podanych przez nią współrzędnych...

– Nie do końca tak było... Miała telefon satelitarny, jeden z pionierskich modeli, z których korzystano zwykle podczas badań terenowych.

Tak więc namierzyła pierwszy pocisk po jego sygnale, po czym w ten sam sposób zlokalizowała kolejne dwa. Czyli jak najbardziej przechwyciliśmy, albo raczej mieliśmy możliwość, żeby przechwycić współrzędne. Zostały one regulaminowo przesłane do jednostki zwiadowczej, która dzień później obfotografowała cały ten teren. To standardowa procedura. Przy czym nikt się tymi zdjęciami później nie zajął, a nawet jeśli, to na ich podstawie nie stwierdzono obecności żadnych pozostałości pocisków ziemia–powietrze. Tak że obecnie i te fotografie, i współrzędne znajdują się w jednym z naszych archiwum, których mamy sporo, naprawdę sporo... Do tego przechowujemy tam miliony różnych zdjęć, więc odnalezienie kilku konkretnych może nie graniczy z cudem, ale na pewno byłoby niewyobrażalnie pracochłonne, a tym samym kosztowne. Zbyt kosztowne, zważając na wagę sprawy Irene Gallagher. Trzeba tu dodać, że Waszyngton bynajmniej jej nie bagatelizuje...

– I nikt się temu nie dziwił?

– Ależ skąd, dziwiło się wielu. Najbardziej niewiarygodne wydawało się to, że Serbowie mieliby nagle ukryć siedem rakiet w jednym miejscu. Z reguły tak nie postępowali, co zresztą wydaje się dość logiczne. Tyle że nikt nie podjął się gruntownego zbadania tej sprawy. Aż do teraz, ma się rozumieć.

– Czyli teraz musisz tylko rozpracować, dlaczego nakierowała te pociski akurat tutaj – podsumował Simonsen.

– Czuję w kościach, że ty mi to powiesz...

– Niewykluczone... Ale poczekajmy lepiej, aż wróci Kurt. Zdaje się, że chce nam coś pokazać.

Obaj spojrzeli w stronę technika, który krążył między flagami z aparatem fotograficznym w ręku.

Gdy Melsing skończył, pokazał Tylerowi i Simonsenowi trzy wybrane miejsca, które zaznaczył dwoma flagami. Buch i Brinch nie byli zainteresowani szczegółową prezentacją znalezisk, więc kontynuowali poszukiwania na terenie pod samym lasem, którego żadne z nich wcześniej nie obešlo. Co innego znaleźć jakieś szczątki i wbić w tym miejscu maszt, a co

innego stać i się tym szczątkom uważnie przyglądać. To ostatnie zdecydowanie woleli sobie odpuścić.

Szef wydziału techniki kryminalistycznej zawołał ich, a gdy do niego podeszli, wskazał na dwie leżące równolegle w stosunku do siebie kości. Był to górny odcinek dwóch prawych kości podudzia... zupełnie czystych, bez pozostałości tkanek miękkich. Na obu dolnych końcach kości widać było nieregularną płaszczyznę złamania. Melsing założył foliowe rękawiczki i ostrożnie podniósł z ziemi odłamki, po czym wyjaśnił:

– To tutaj to złamanie zmiążdżeniowe... jakieś trzydzieści centymetrów nad piętą, doszło do niego jeszcze przed eksplozją. Wybuch w żadnym wypadku nie spowodowałby takiego urazu.

– To samo znalazłeś w pozostałych dwóch miejscach? – zainteresował się Simonsen.

– Tak, dokładnie ten sam schemat. Stopa w czymś, co przypomina wysoki but, a obok kość udowa i kolano, wszystko doszczętnie zmiążdżone. Od czasu zdarzenia musiała tu naturalnie żerować masa zwierząt, więc szczątki są porozrzucane po całej okolicy. Część z nich leży też z pewnością w lesie, ale... myślę, że Bjørn Lauritzen przejechał czołgiem po nogach tych bandziorów, po tym, jak – co już wiemy – skrępował ich ze sobą i kazał im się położyć na dziedzińcu...

– Pewnie właśnie tak zrobił... – potwierdził szef wydziału zabójstw. – Wszystko się zgadza. Ole Nysted wspominał, że prześladowały go krzyki. Nie chodziło mu jednak o dochodzące z domu zawodzenie kobiet. Twierdził, że słyszy wrzaski mężczyzn... To one nie dawały mu spokoju od powrotu do domu. Co tłumaczy też, dlaczego jeździli korytem potoku w tę i z powrotem...

– Chciał oczyścić gąsienice z krwi i mięsa... – dokończył Melsing.

Simonsen pokiwał głową, właśnie o to mu chodziło.

Na zmianę wyjaśnili wszystko Tylerowi, który nie słyszał wcześniej zeznań weterana.

– Skutecznie, a zarazem bezwzględnie zadbała o to, by zatrzeć wszelkie ślady po zbrodni, której dopuścił się jej ukochany. Zlikwidowała też wszystkich świadków – podsumował ponuro Amerykanin.

– No tak... Ale chodziło też pewnie o to, żeby Dania nie znalazła się w impasie... Domyślałam się, że ani duńskie społeczeństwo, ani serbska armia nie pochwaliby ich występku, żeby nie powiedzieć, że byłaby to największa pomyłka stulecia. W kraju podniosłyby się głosy oburzenia, Serbowie natomiast zemściliby się najpewniej na stacjonujących tu duńskich żołnierzach.

– A dlaczego Gallagher zawiadomiła dowództwo w Kopenhadze?

– Nie miała wyboru. Bjørn Lauritzen i Ole Nysted musieli jak najszybciej opuścić Bośnię, to przecież oczywiste. Po powrocie do domu podpisali pewnie jakąś umowę o zachowaniu poufności. Do tego przekupiono ich, oferując im uposażenie należne żołnierzom delegowanym, które otrzymywali jeszcze długo po tym, jak wrócili do kraju, a poza tym mogli zachować swoje stopnie, odpowiednio: starszego porucznika i pułkownika. Trzymali więc języki za zębami, co dodatkowo było w ich własnym interesie. A kilku decydentów

w szeregach FE i sił zbrojnych, którzy o wszystkim wiedzieli, miało nie jeden, a wiele powodów, by zatuszować tę sprawę... I jak widać, nadal je mają, mimo że upłynęło już piętnaście lat.

Melsing postanowił uzupełnić wywód Simonsena:

– Dla przeciętnego Duńczyka nie do pomyślenia jest, by oddelegowany duński żołnierz miał popełnić zbrodnię wojenną, a tu mowa nie o jednym, a o dwóch naraz. Jeśli to wypłynie, wsparcie dla naszej obecności w Afganistanie raczej nie wzrośnie. Nie wspominając już nawet o konsekwencjach, jakie ponieśliby niektórzy z wojskowych oficjeli. Z punktu widzenia FE najlepiej, by ta historia nigdy nie ujrzała światła dziennego.

– To co robimy? Kontynuujemy poszukiwania? – chciał wiedzieć szef wydziału zabójstw.

– Nie, fajrant na dziś – odpowiedział mu Tyler. – Jutro postaram się skrzyknąć do pomocy kilka znających się na rzeczy osób.

Wszyscy trzej ruszyli powoli w kierunku land rovera. Nadal było wiele znaków zapytania. Chociażby motyw zabójstw na wycieczkowcu. Wykluczone, by Gallagher zdecydowała się zamordować cztery osoby tylko po to, by zataić prawdę o podwójnej masakrze w Bośni. Pauline Berg może

i wiedziała za dużo – to akurat wydawało się wysoce prawdopodobne – ale musiałyby przecież jeszcze kogoś do swoich racji przekonać, i to nie posiadając żadnych twardych dowodów. Pauline stanowiła zatem problem wyłącznie dla sił zbrojnych, a nie dla Irene Gallagher i Bjørna Lauritzena. Zupełnie nie trzymało się to kupy.

Simonsen zbił argumenty Tylera:

– Lauritzenowi nie należy przypisywać żadnego motywu, to znaczy nie w standardowym tego słowa znaczeniu. Wiemy, że po powrocie do kraju zupełnie się załamał i przestało mu zależeć na życiu zarówno swoim, jak i innych. Przy czym nie on pierwszy, nie ostatni... Można by zaryzykować stwierdzenie, że w jego przypadku zaczęło się to już w Bośni, gdzie wraz z upływem czasu stawał się coraz brutalniejszy. Więc jeśli Gallagher prosiła go o to, żeby kogoś zabił, nie ma wątpliwości, że spełnił jej prośbę. Innych pobudek nie potrzebował.

– A co z samą Gallagher?

– Hmm... Tu musiało chodzić o coś innego, coś bardziej przyziemnego i osobistego. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Bo przecież ani Bjørn Lauritzen, ani Ole Nysted nie mieli bladego pojęcia o naszych pociskach – spuentował ostro Tyler. – Jechali czołgiem przez las kilka kilometrów dalej i nawet jeśli słyszeli jakieś wybuchy, co mało prawdopodobne, bo pewnie wszystko zagłuszało nastawione na cały regulator bicie ratuszowego zegara. Nie mogli wiedzieć, gdzie doszło do eksplozji ani co ją spowodowało. Później zaś nikt nie powiedział im o tym, co się tam stało. To przecież byłoby zupełnie absurdalne, więc na pewno nikt nie puścił pary z ust.

– Zgadza się. Lauritzen nie wiedział, że jego dziewczyna zamordowała kobiety, które on próbował wcześniej uratować – odparł Simonsen. – I jestem pewien, że Gallagher bardzo zależało na tym, by tak pozostało. Ale... cały czas brakuje mi jednego elementu układanki. Chodzi o coś, co dla Lauritzena znaczyło tak wiele, że nawet Gallagher nie miała nad tym władzy. Poza tym nadal jesteśmy jak dzieci me mgłę, jeśli chodzi o to, co wiedziała, a czego nie wiedziała Pauline Berg. Wielka szkoda, bo na moje oko to kluczowa kwestia.

Nagle spostrzegli, że zbliża się do nich Brinch. Adwokat biegł w ich kierunku, ciężko dysząc, a z jego twarzy dało się wyczytać, że stało się coś złego.

– O co chodzi? Gdzie się tak spieszysz? – zapytał Simonsen.

Adwokat z trudem łapał oddech, jego kondycja fizyczna pozostawiała wiele do życzenia.

– Anica zniknęła – wysapał w końcu.

Rozdział 68

Czwartek, 18 listopada 2010 roku, dom w Bośni

Tyler wcale nie przesadzał, gdy dzień wcześniej powiedział, że zorganizuje ręce do pomocy. Na terenie wokół ruin domu, który przez lata był pozostawiony samemu sobie i dzikiej przyrodzie, panowała dziś istna wrzawa. Simonsen pomyślał, że dobrze mieć supermoce. Wtedy wystarczy tylko chcieć coś zrobić, a środki zawsze się znajdują. Naprzeciw niego, tam, gdzie kończyła się droga, rozbito cztery ogromne namioty, a w nich kilkanaście osób pracowało w pocie czoła nad przydzielonymi im zadaniami. Oprócz tego przywieziono sześć wielkich baraków, które stały teraz schludnie jeden obok drugiego w drugim końcu poletka i wyglądały jak małe miasteczko. Były tu toalety, łazienki, a nawet urządzone naprędce pomieszczenia biurowe. Na zewnątrz kręciło się przynajmniej dwunastu lekarzy medycyny sądowej wraz z pomocnikami. Wszyscy mieli na sobie białe kitle i jako jedyni mogli się poruszać po całym terenie – inni musieli chodzić specjalnie ustanowionymi ścieżkami wcześniej oczyszczonymi i uznanymi za bezpieczne. Zaznaczono je później zresztą wściekle żółtą taśmą rozpiętą między wbitymi w ziemię stalowymi prętami. Alejki te krzyżowały się ze sobą w wielu miejscach, jedne były na tyle szerokie, że mogły się na nich minąć dwie masywne koparki, inne zaś wąskie – po nich poruszali się tylko ludzie. Za każdym razem, gdy lekarze znaleźli jakieś szczątki, które następnie obfotografowali i opatrywali odpowiednią dokumentacją, kości pakowano w worki na zwłoki i umieszczano w jednym z namiotów. Tam rozstawione były z kolei stoły, na których inni specjaliści wykonywali analizy DNA, a ponadto starali się ustalić płeć i wiek ofiar. Również sanitariusze transportujący zwłoki mieli pierwszeństwo – nawet największe ciężarówki i koparki ustępowały im miejsca, a kierowcy i ope-

ratorzy zatrzymywali swoje pojazdy i zdejmowali nakrycia głowy, jeśli któryś z nich miał akurat берет lub czapkę. Wszystko było świetnie zorganizowane: kawałek dalej, na drodze, stało kilku funkcjonariuszy lokalnej policji, którzy odprawiali stamtąd wszystkich ciekawskich – chyba że mieli tam oni do załatwienia jakiś niecierpiący zwłoki interes. W pobliżu kręciło się ponadto dwóch młodych mężczyzn rozdających wszystkim chętnym butelki z zimną wodą.

Melsing stał obok Simonsena i wspólnie z nim przyglądali się rozgrywającym się przed ich oczami scenom. Nie mieli nic innego do roboty, byli tu zbędni.

– Nie do wiary... – rzucił szef wydziału techniki kryminalistycznej. – I wszystko to w niecałe trzydzieści godzin! Wymienili nawet szybę w naszym samochodzie. Wprawdzie nie na oryginalną, ale dam sobie rękę uciąć, że to nie jakiś bubel kiepskiej jakości, przyleciała tu samolotem aż z Belgradu, po czym dwóch mechaników zamontowało ją w niecałe dwieście minut. To bez wątpienia korpus inżynieryjny. Ale jak ich zapytasz, skąd są, tylko się uśmiechają i potrząsają głowami. Są też tacy, co odwracają się do ciebie zadami i idą w swoją stronę. I żaden z nich nie ma na sobie munduru...

Inspektor wskazał na ruiny domu, gdzie cały zastęp żołnierzy dysponujących młotami pneumatycznymi, koparkami i ciężarówkami szykował się właśnie do wywiezienia z terenu fragmentów muru.

– Demontują cały fundament, myślę, że nie zostanie tu ani jeden kamień. Mogę się założyć, że zanim otworzą nową drogę, najpierw usuną z niej ewentualne pozostałości po budynku. Są pod tym względem niezwykle ostrożni.

– Czyli wszystkie dowody zostaną usunięte. Dobrze myślę?

– Przypuszczam, że tak.

– Wszedłem do jednego namiotu, w którym trzymają szczątki, żeby popatrzeć, jak pracują. Znają się na robocie, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Pozwolili mi się tam pokręcić, ale nie mogłem robić zdjęć. I z miejsca zabierają wszystko, co mogłoby umożliwić identyfikację zwłok... Przy czym interesują ich wyłącznie mężczyźni, nie kobiety.

W pierwszej kolejności wynoszą ubrania i buty. Potem palą je tam z tyłu, widzisz dym za ostatnim namiotem, prawda? Zmieniając temat, patrz, co wystrugałem... – Pokazał Simonsenowi autentyczny znaczek Drina Wolves: mały, okrągły, a na nim wyjący czarny wilk z jednym czerwonym okiem.

– Co chcesz z tym zrobić? – spytał szef wydziału zabójstw.

– Nic, to pamiątka. À propos, coś nowego w sprawie Aniki?

– Niestety nie... Ale dziś rano znowu przez pół godziny usiłowałem podnieść na duchu Christoffera, nadal jest mocno zmartwiony. Może ty też z nim pogadasz, co? Masz kojący wpływ na ludzi. A teraz skoczmy do namiotu restauracyjnego i wrzucimy coś na ząb, okej? Jeszcze przed spotkaniem z Johnem... Tyle że zanim tam dotrzemy, minie dobre piętnaście minut, urządzili tu istny labirynt! Albo wiesz co... Pójdziemy dookoła, tak będzie najszybciej.

– To się raczej nie uda – zawyrokował Melsing. – Wszędzie są porozstawiane tabliczki z napisem „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony” i roi się tam od usłużnych, acz stanowczych strażników. Nie ma szans, by obejść teren.

Usiedli przy stole w kontenerze numer 4, każdy z nich z filiżanką świeżo zaparzonej kawy w rękę – najlepszą, jaką pili od wielu dni. Simonsen, Melsing i Brinch po jednej stronie, a Tyler po drugiej. Inspektor postanowił zacząć, i to bez zbędnego owijania w bawełnę.

– Pozbywacie się wszystkich dowodów... Czy mógłbyś być tak uprzejmy i wyjaśnić nam, co tu się wyprawia?

Amerikanin nawet nie próbował odeprzeć zarzutów.

– A wyprawia się to, że powstanie tu ośrodek kolonijny. Położony wśród malowniczej przyrody obiekt wczasowy dla chorwackich, serbskich i bośniackich dzieci. Będą tu place zabaw, boiska do piłki nożnej, kort do tenisa, tor przeszkód oraz oczywiście sale sypialne, kuchnia, pomieszczenia wspólne i takie tam. To prezent, który mój kraj postanowił ofiarować Bośni i Hercegowinie oraz Republice Serbskiej. Gdybyście to ująć bardziej górnotnie, można by powiedzieć, że chcemy w ten sposób przekazać Serbom wyrazy uznania za trud, jaki włożyli w zbudowanie demokra-

cji zarówno tu, jak i po drugiej stronie granicy. A jeśli chodzi o niszczenie materiału dowodowego, dokładnie to robimy – całkowicie świadomie i celowo. Tyle że niewielu o tym wie...

– Ty sukinsynu... – jęknął bezradnie Melsing.

Amerykanin w ogóle nie wziął sobie jego słów do serca. Wyjaśnił otwarcie, że Stany Zjednoczone nie są zainteresowane tym, by jakiegokolwiek informacje o wydarzeniach, które rozegrały się tu wiele lat temu, ujrzały światło dzienne. Zazaczył przy tym, że jego zdaniem Danii ewentualny rozgłos również nie byłby w smak, choć to już oczywiście nie jego sprawa.

– Okej. To może inaczej... Chwila prawdy – ciągnął. – Wyobraźcie sobie, że każdy z was może oddać głos. Uważacie, że z korzyścią dla waszego kraju byłoby, gdyby to szambo wypłynęło? To pytanie zamknięte, tak czy nie? Tylko oszczędźcie mi dłuższych wywodów.

Dopiero po dobrych kilku sekundach do Duńczyków dotarło, że Tyler naprawdę oczekuje odpowiedzi – co więcej, od każdego z nich z osobna. Musieli się zatem porządnie namyśleć. Simonsen jako pierwszy odparł, że nie, a Melsing poszedł w jego ślady, choć w jego głosie dało się wyczuć gorzycz. Został już tylko Brinch:

– Po rozważeniu wszystkich za i przeciw absolutnie nie, niestety...

Amerykanin zachował się bardzo taktownie – nie dał im odczuć, że cieszy się z wygranej. Mógł równie dobrze wyrzucić w górę ręce i spytać: *So, what's the big deal?*, ale postanowił tego nie robić. Zamiast tego był gotów ich wysłuchać, a do tego pomóc na tyle, na ile będzie mógł, w granicach, które właśnie wyznaczyli. Jako pierwszy postanowił się wyzalić Brinch:

– Myśl, że Irene Gallagher cieszy się wolnością, nie daje mi spokoju. Sprawia mi to niemalże fizyczny ból... Przy czym tu nie mamy przeciwko niej żadnych dowodów, a w Danii nigdy ją za to nie skazają. Za miesiąc będzie sobie spokojnie siedziała w Wellingtonie i łapała promienie słońca, mimo że Bóg jeden wie, ile zabójstw i innych niewyjaśnionych zdarzeń ze skutkiem śmiertelnym ma na swoim koncie...

Tyler był tego samego zdania. Zagotował się ze złości tak, że cała krew odplynęła mu z twarzy. „Raczej nie blefuje”, pomyślał Simonsen. Amerykanin z trudem wydobywał z siebie słowa. To prawda, Gallagher cieszyła się wolnością... Stany na pewno chętnie wystąpiłyby o jej przekazanie, ale nigdy tego nie zrobią, nie ma nawet cienia szansy, że jakkolwiek sąd w Danii się na to zgodzi; chociażby dlatego, że w USA stanęłaby przed Trybunałem Wojskowym Marynarki Wojennej, czyli wszystko zostałoby utajnione. Więc w ostatecznym rozrachunku Gallagher nigdy nie odsiedzi dożywocia, na które w normalnych okolicznościach bezsprzecznie zostałaby skazana.

– A nie boicie się, że może któregoś dnia pójść z tym do prasy? – zapytał Melsing.

Amerykanin potrząsnął przecząco głową.

– W ogóle... Tak samo zresztą, jak nie obawiamy się, że wy to zrobicie. Już to przerabialiśmy – w tym konkretnym wypadku sama chwytliwa historia to nie wszystko. Bez oczywistych i niepodważalnych dowodów na jej poparcie żadna gazeta ani żaden program informacyjny nie odważą się tego puścić. Ale poza tym wszystkim jasne jak słońce jest, że Dania, albo raczej pewne osoby w szeregach duńskich sił zbrojnych, najchętniej wysłałyby Irene Gallagher jak najdalej stąd. Tyle że im akurat chodzi nie tyle o to, co wydarzyło się tu, w Bośni, piętnaście lat temu, ile o tę żenującą sprawę sądową w Danii. Poza tym oficjele w Kopenhadze nie są pewnie zbyt dumni z tego, że przez tyle lat ukrywali przed nami prawdę... Miała swoją kartę atutową, ale teraz to już bez znaczenia.

– A powiedz: co zrobicie ze zwłokami?

– Kobiety spróbujemy zidentyfikować, przy czym będziemy oczywiście utrzymywać, że to ofiary serbskiego ataku mózdzierzowego. Mężczyźni natomiast zostaną pochowani na chrześcijańskim cmentarzu, naturalnie anonimowo. To tyle... I niestety nie podlega to dyskusji.

Później głos zabrał Simonsen. Najpierw ostrożnie napomknął, że nie przywiezie do kraju żadnych dowodów na rozgrywające się tu zdarzenia. Rozumie doskonale, że to bez znaczenia – przecież i tak nigdy by ich nie upublicznił...

– Tak czy inaczej, czuję się trochę sfrustrowany. Na przestrzeni najbliższych kilku tygodni usiądę pewnie z paroma innymi osobami, żeby... hmm... dokonać ostatecznego podsumowania. A wtedy bardzo by mi zależało, by mieć w zanadrzu jakieś oficjalne dokumenty... – wykonał w powietrzu znak cudzysłowu – ...jakiegoś asa w rękawie, cokolwiek, coś, co bynajmniej nie ucieszy mojego oponenta...

Tyler, śmiejąc się, przerwał inspektorowi. Zrozumiał, co ma na myśli.

– Kiedy wracacie do domu? – zapytał.

– Najpewniej jutro...

– Dobrze, w takim razie postaram się, żebyście wyjechali stąd z niepozorną, acz wypełnioną treściwymi dokumentami teczuszką, w której znajdują się wszystkie najmocniejsze dowody. Ale ostrzegam – jeśli pozwolisz, by wyciekły, to będzie tak, jakbyś odbezpieczył trzymany w dłoni granat. Dostaniesz je tylko po to, żeby zamydlić oczy, komu trzeba, nic poza tym.

Ku zaskoczeniu pozostałych Brinch również miał na koniec pewną istotną uwagę.

– Myślę, że nie zaszkodzi, jeśli nasz potężny sojusznik rozpuści nieoficjalnymi kanałami wici, że właśnie posprzątał po nas w Bośni, w związku z czym Waszyngton oczekuje, że darujemy sobie publiczne pranie swoich brudów. Coś w tym stylu, tyle że z użyciem bardziej dyplomatycznych sformułowań – rzucił przewrotnie.

Tyler się zamyślił. Bez wątpienia wywarliby tym sposobem pewną presję na... osobach, które niebawem będą się przyglądać sprawie. Tak, spodobało mu się to. Powiedział, że jeśli o niego chodzi, to świetny pomysł. Obiecał też, że poruszy ten temat ze swoim przełożonym, i zobaczą, jaki będzie rezultat.

Simonsena frapowało jednak coś jeszcze. Wspomnił o tym wcześniej w rozmowie z kolegami, prosząc o ich poparcie, jeśli nadarzy się okazja, by o to spytać. Wyjaśnił wtedy, że to bardzo ważne.

– Ten Muzułmanin, który został pomyłkowo porwany w Sarajewie z powodu fałszywych oskarżeń Gallagher, a później przewieziony w inne miejsce, gdzie go następnie torturowano, to znaczy, cytując twoje słowa:

„w miejsce, gdzie mieli zdecydowanie mniej brutalne metody przesłuchania”. No więc, czy ten młody mężczyzna nie był przypadkiem kobietą i nie nazywał się Jelena Khrobic? – zapytał.

Tyler się zapowietrzył, zupełnie jakby dostał pięścią w nos. Widać było jak na dłoni i Amerykanin nie próbował nawet udawać, że jest inaczej. Chcąc za wszelką cenę uniknąć spojrzenia inspektora, uparcie wpatrywał się w sufit, tocząc wewnętrzną walkę. Siedzieli tak dłuższą chwilę w milczeniu, po czym Brinch powiedział ściszym głosem:

– Młody człowieku... Przed chwilą zadałeś nam bardzo proste, a zarazem niezwykle trudne pytanie. Żadnemu z nas nie było łatwo udzielić na nie szczerzej odpowiedzi... Teraz twoja kolej: czy państwo, które porywa i – co z tego, że rękoma innych – torturuje ludzi poza prawem i sprawiedliwością, i bez wiążącego wyroku, do czego, jak wszyscy wiemy, niejednokrotnie dochodziło w okresie po jedenastym wrześniu... to na pewno to samo państwo, które z dumą reprezentujesz? Czy też nie?

Tyler wciągnął głęboko powietrze, po czym odparł zdecydowanym głosem:

– Nie, to nie jest Ameryka, z której jestem dumny, i... tak, nazywała się Jelena Khrobic.

Rozdział 69

Czwartek, 18 listopada 2010 roku, komenda policji

Hrabianka bynajmniej nie paliła się do pracy, którą zlecił jej Simonsen. Nieprzyjemnie było inwigilować swoich kolegów, nie mówiąc już o tym, że podejrzenia wobec danej osoby mogły się okazać słuszne. A poprzedniego dnia właśnie tak się stało. Wczoraj rano w drodze do pracy odebrała telefon od męża, który opowiedział jej o pewnej sprawie, która nie dawała mu spokoju.

Chodziło o Muzułmanki trzymane w tamtym bośniackim domu. Hrabianka przytaknęła... Wiedziała, o którym domu mówi. Otóż zgodnie z artykułem zamieszczonym w gazecie „Dnevni Avaz” trzynastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku te wszystkie kobiety udały się do Tuzli, by schronić się tam przed Serbami.

– Mówisz o reportażu, który Anica Buch częściowo przetłumaczyła, a później, jakiś miesiąc temu, zreferowała nam w twoim biurze? No i o co chodzi, bo nie rozumiem? Chyba raczej wszystko było tam jasne...

Gdy jej powiedział, zamilkła. Arnold też nie wierzył własnym uszom, kiedy mu wszystko powtórzyła.

– Jak to możliwe, że żaden z duńskich żołnierzy, którzy byli w małym Dannevirke albo, jak wolisz, wiosce Ljubičevac, nie opowiedział nam o tym, co przydarzyło się tym Muzułmankom? Z domu, w którym je przetrzymywano, do jakiegokolwiek cywilizacji można było dotrzeć tylko jedną drogą, a prowadziła ona dokładnie obok duńskiego punktu obserwacyjnego.

Jutlandczyk usiłował znaleźć jakieś logiczne wytłumaczenie:

– Myślę, że wtedy już po prostu siedzieli w pozostałych dwóch czołgach, to znaczy po tym, jak Bjørn Lauritzen wziął ten trzeci i udał się do

tamtego gospodarstwa. Mieli włączone silniki i byli gotowi, by ruszyć do Tuzli, kiedy tylko wróci ich dowódca. O ile wiemy, zjawił się dopiero po jakiejś godzinie. Ale próbuję przez to powiedzieć, że z wnętrza czołgu pewnie niewiele widać. Jakkolwiek by na to patrzeć, żaden z nich nie odnotował też, że dom w dolinie wyleciał w powietrze.

Hrabianka zbiła jego argumenty:

– Może i zeznania świadków różnią się od siebie, jedni mówią o serbskich działach i moździerzach, inni tylko o dobiegających z lasu strzałach z karabinów, a jeszcze inni o atakach z powietrza... ale jakoś nie chce mi się wierzyć, że piętnaście–dwadzieścia kobiet mogło przejść niezauważonych obok dwóch czołgów w środku dnia, i to drogą o szerokości trzech metrów. Poza tym dziwi mnie, że nie poprosiły naszych żołnierzy o ochronę – w końcu po to właśnie tam byli.

Mogła być oczywiście mowa o tak zwanym zbiorowym przeoczeniu podczas składania zeznań. Statystycznie rzecz biorąc, takie przypadki się zdarzają i oboje funkcjonariusze mieli z tym już do czynienia, przy czym w tym konkretnym wypadku żadne z nich nie skłaniało się raczej ku temu wyjaśnieniu. Postanowili zatem zadzwonić do świadków, z którymi można było się skontaktować telefonicznie, i wypytać ich o te kobiety. Dwie godziny później doszli wspólnie do jednego wniosku: na tej drodze nie było wtedy żadnych kobiet. Dziesięć minut później zadzwonił Simonsen z nowymi informacjami – informacjami, które utwierdziły funkcjonariuszy wydziału zabójstw w przekonaniu, iż wysnuta przez nich konkluzja jest jak najbardziej słuszna, a zarazem uświadomiły im, że ich wszystkie dotychczasowe wysiłki były zupełnie zbędne. Dom został zniszczony przez trzy amerykańskie pociski manewrujące i wszystkie przetrzymywane tam Muzułmanki zginęły w wyniku eksplozji.

– W takim razie nasuwa się tu kilka intrygujących pytań odnośnie do rzeczonego artykułu Aniki Buch... – zauważył Jutlandczyk.

Hrabianka zdążyła już otworzyć raport Aniki, przy czym zorientowała się, że jest tam jedynie tłumaczenie, brakuje natomiast oryginalnego wyścinka z gazety.

– Niełatwo nam będzie go odnaleźć... Jakież propozycje? – spytała.

Arnold miał pewien pomysł: otóż podczas prezentacji przygotowanej dla nich przez młodą policjantkę slajdy wyświetlał nie kto inny jak Borup. Więc może... Zanim dokończył zdanie, Hrabianka była już w drodze do biura studenta. Nie minęło dziesięć minut, a wróciła, niosąc w ręku jakiś wydruk.

– To ten artykuł... albo raczej jego zdjęcie. Poprosiłam Maltego, żeby mu się przyjrzał. Wygląda na to, że potrzebujemy tłumacza, serbskiego, chorwackiego, to już nie ma większego znaczenia – ważne, żebyśmy nie musieli za długo czekać. Zajmiesz się tym, Klavs? Ja umówiłam się na lunch na mieście, ale będę z powrotem najpóźniej o drugiej.

Gdy Hrabianka wróciła, tłumaczka, młoda dziewczyna, była już na miejscu. Musieli jej dwukrotnie wyjaśnić, czego od niej oczekują, zanim zrozumiała. Mimo to wołała się jeszcze raz upewnić:

– Czyli chodzi o to, że mam państwu powiedzieć, czy oryginalny tekst zgadza się z duńskim tłumaczeniem?

Funkcjonariuszka potwierdziła skinieniem głowy. Tak, właśnie tak, nic dodać, nic ująć.

– Artykuł opowiada o strajku wśród pracowników branży remontowej w Mostarze, a imię i nazwisko Jelena Khrobiec pojawiają się w trzech miejscach – zaczęła tłumaczka – z tym że jakby zupełnie wyrwane z kontekstu. Napis pod zdjęciem głosi, że na ulicach miasta piętrzą się śmieci, ale... w sumie, sami państwo widzą...

Arnold podziękował dziewczynie za pomoc.

– Mam świadomość, że wszystko trwało jakąś minutę, ale będę musiała wysłać państwu fakturę za godzinę pracy. Inaczej w ogóle mi się to nie kalkuluje, biorąc pod uwagę dojazd i inne sprawy – powiedziała tłumaczka.

Oboje funkcjonariusze przyjęli to ze zrozumieniem.

To wszystko zdarzyło się dzień wcześniej. Teraz Hrabianka i Arnold musieli naturalnie dowiedzieć się, jakie były dalsze losy Jeleny Khrobiec, skoro jednak nie wykrwawiła się na śmierć trzynastego lipca dziewięćdziesiątego piątego roku na północ od miasta Cerska po ostrzale serbskich żołnierzy.

Zaczęli od wizyty u Borupa, gdy tylko chłopak pojawił się rano w pracy. Na ich widok student z miejsca zaczął się tłumaczyć:

– Wybaczcie, ale mogłem usiąść do tego zdjęcia w artykule dopiero wczoraj wieczorem. Obiecałem, że wcześniej odbiorę Emila, bo trochę źle się czuł i... tak to jakoś wyszło. Ale to zdjęcie bez dwóch zdań zostało zmanipulowane, a do tego na bank zrobił to amator. Sami zobaczycie. Wystarczy się dobrze przyjrzeć...

Jutlandczyk mu przerwał. Zdjęcie mogło poczekać, teraz mieli kilka pytań odnośnie do Aniki Buch. W końcu ona i Malte pracowali razem biurko w biurko, więc może będzie w stanie im pomóc.

– Czy Anica opowiadała ci coś o poszukiwaniach Jeleny Khrobic? – zapytała Hrabianka.

– Możecie już dać sobie spokój z tymi wszystkimi zagadkami? Nie do wiary... Zupełnie to do was niepodobne! Jeśli mam wam pomóc, to mówcie jak ludzie, o co chodzi – odparł Borup.

Hrabianka spojrzała na Jutlandczyka i się uśmiechnęła.

– Jak się już pewnie domyślasz, Anica Buch nas oszukała – powiedziała. – Zadała sobie wiele trudu, by odszukać informacje o Jelenie Khrobic, które jednak nie są prawdziwe – zaczęła tłumaczyć. – Tyle że zachodzimy właśnie w głowę, czemu po prostu nam nie powiedziała, że nie znalazła nic o tej dziewczynie. Tak byłoby chyba prościej, co? Ale powiedz: czy relacjonowała ci na bieżąco, jak jej idzie dochodzenie? Przypuszczam, że tak, skoro siedzieliście w jednym biurze...

Borup potwierdził. Buch faktycznie opowiadała mu o kolejnych postępkach w śledztwie... tych małych i tych dużych. Nawet go to zaintrygowało i sam zaczął być ciekaw dalszych losów tej bośniackiej Muzułmanki.

Hrabianka była zadowolona, właśnie taką odpowiedź chciała usłyszeć.

– A przypominasz sobie może waszą ostatnią rozmowę o jej dochodzeniu, zanim pojawił się temat artykułu w gazecie? – spytała.

– Nie do końca... Miałem też przecież własną robotę. Ale powiedziała mi wtedy chyba, że wie już, jak nazywała się ta dziewczyna i do której szkoły w Danii chodziła. Pokazała mi jej szkolne zdjęcie, tyle pamiętam.

– A czy bez hasła jesteś w stanie uzyskać dostęp do naszych komputerów? – spytał Arnold.

– Nigdy nie próbowałem! Simon by się wściekł.

– Ale mógłbyś, gdybyś chciał?...

– Nie no... bez hasła to niemożliwe.

– A da się odszukać hasło?

– Takich rzeczy się nie robi... To niezgodne z prawem!

Jutlandczyk, starając się ze wszystkich sił zachować spokój, zadał pytanie z innej strony:

– To może inaczej: ile czasu potrzebujesz, żeby się dostać do komputera Aniki Buch?

– Dziesięć minut, jeśli wydacie mi takie polecenie. Ale powiecie Simonowi, że działałem pod przykryciem!

Hrabianka przeszukała następnie komputer Aniki, a Arnold stos papierów leżący na jej biurku. To Jutlandczyk jako pierwszy natknął się na coś godnego uwagi.

– Patrz na to... Coś ci to mówi?

Trzymał w ręku kartkę z dwoma odręcznymi napisami: „Bx204Glo” i „Bx231Glo”. Hrabianka przyjrzała się notatkom i odparła:

– Jak najbardziej, to numery raportów Bx z Glostrup.

Zwykle, gdy policja znalazła zaginioną osobę, a osoba ta nie popełniła żadnych czynów karalnych, nie sporządzano raportów policyjnych. Wyjątek stanowili pacjenci szpitali psychiatrycznych. Ich rejestrowano za pomocą wspomnianego wyżej protokołu Bx ze względów praktycznych. Otóż najczęściej ze szpitali uciekały wielokrotnie te same osoby, które następnie zazwyczaj wracały w jedno miejsce. Dzięki rejestrowi funkcjonariuszom było więc łatwiej je odszukać.

– Zgadza się. A ten świstek leżał na wydruku jej osobliwego tłumaczenia. Może warto sprawdzić, czego dotyczą te raporty? – zasugerował Jutlandczyk.

Sprawozdania były krótkie i pochodziły z komendy policji okręgu zachodniej Kopenhagi. Oba dotyczyły tej samej osoby, tyle że opatrzone je

innymi datami. Siedemnastego kwietnia dwa tysiące siódmego roku funkcjonariusze znaleźli zbiegłą pacjentkę Jelenę Khrobic w centrum handlowym w Glostrup, drugiego sierpnia dwa tysiące siódmego roku – dokładnie to samo, włącznie z miejscem, w którym ukrywała się dziewczyna. W obu wypadkach była mowa o zupełnie niegroźnej, acz wymagającej stałej opieki kobiecie, która została następnie odwieziona do szpitala psychiatrycznego w Glostrup.

Hrabianka zadzwoniła do pewnego profesora, który należał do kadry kierowniczej tej placówki. Znała go i wiedziała, że chętnie współpracuje z policją. W sytuacji, gdy stwierdził, że przemawia za tym dobro pacjenta, bez większych oporów udzielał, jakkolwiek by na to patrzeć, poufnych informacji. W przeciwnym razie nie było szans, bo cokolwiek zdradził, bez względu na to, jak mocnych argumentów by użyli. Hrabianka połączyła się z lekarzem niemalże od razu, po czym wyjaśniła mu, że kontaktuje się z nim w sprawie Jeleny Khrobic. Profesor jej wysłuchał, potem zaś poprosił o chwilę do namysłu. Musiał najpierw rozważyć, czy jego pacjentka mogłaby skorzystać na ewentualnej rozmowie z policją. Obiecał oddzwonić, jak tylko coś ustali. I spełnił swoją obietnicę, choć nie odezwał się osobiście. Do Hrabianki zadzwoniła jakaś kobieta, która skierowała ją do Ośrodka Rehabilitacji Ofiar Tortur przy szpitalu w Gentofte, a do tego poinformowała, że policjantka może złożyć tam wizytę.

Rozdział 70

Czwartek, 18 listopada 2010 roku, Ljubičevac

Land rover był zapakowany po dach, Brinch siedział za kierownicą, a Mel-sing z tyłu. Zdjął buty i położył nogi na siedzeniu. Simonsen stał obok auta razem z Tylerem. Amerykanin trzymał w rękach jakieś pudełko.

– Jak długo jeszcze zamierzasz tu zostać? Wracasz potem do Danii... żeby znowu trochę podziałać na gruncie kulturalnym? – spytał szef wydziału zabójstw.

– Zostanę, dopóki nie uporamy się do końca ze szczątkami. Może nam to zająć dwa dni, a może też dziesięć, trudno powiedzieć. I... tak, lecę później z powrotem do Danii, ale mam nadzieję, że wcześniej pozwolą mi posiedzieć parę dni w domu.

Wręczył inspektorowi teczkę. Zapewnił przy tym, że to wszystko, czego potrzebuje. Załączył również tłumaczenie na język duński, na wypadek gdyby było potrzebne. Powiedział ponadto, że jeśli chodzi o list dyplomatyczny do decydentów w Kopenhadze, jego szef jak najbardziej się do tego pomysłu przychylił, a nawet już takie pismo wystosował.

Tyler uściskał dłoń obu mężczyznom, którzy siedzieli w samochodzie.

– Miło było was poznać – rzucił, a jego słowa zabrzmiały szczerze. Następnie zwrócił się do Simonsena: – W takim razie chyba już sobie pójdę, zanim się wszyscy porozklejamy. Wiem, że to nie moja sprawa, ale poczwiec z ciebie... narobiłem trochę głupot, wiem o tym.

– W młodości też popełniłem wielki błąd, tyle tylko, że nikt tego nigdy nie odkrył. W przeciwnym razie moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej...

Amerykanin się zaśmiał.

– Jakoś w to nie wierzę. Wy, Duńczycy, zawsze powtarzacie, że każdy zasługuje na drugą szansę, więc ty pewnie też swoją dostałeś. Do zobaczenia, Simonie, mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

– Do widzenia, też mam taką nadzieję...

Simonsen wyciągnął dłoń, lecz Amerykanin zrobił krok w przód i mocno go uściskał.

Szef wydziału zabójstw poczuł się niezręcznie, był jednak starej daty.

Kiedy Tyler odjechał, Simonsen podszedł do stojącego przy drodze pustego już domu i zawołał donośnym głosem:

– Wracasz z nami czy będziesz tu zimować? – Odczekał dziesięć sekund, a gdy nie otrzymał odpowiedzi, krzyknął jeszcze raz: – Czekamy już tylko minutę, potem wystawiam twoją walizkę. Znajdziesz ją na drodze.

Po chwili w drzwiach stanęła Anica Buch. Miała kamienny wyraz twarzy i patrzyła w ziemię, nie chcąc nawiązać kontaktu wzrokowego... Jej szef otworzył drzwi do auta, a Melsing zabrał nogi, by zrobić policjantce miejsce.

– Gdybym był twoim obrońcą, Anico, radziłbym ci zachować milczenie przez całą drogę na lotnisko Kastrup... – rzucił sucho Brinch, nie odwracając nawet głowy.

Rozdział 71

Piątek, 19 listopada 2010 roku, Ośrodek Rehabilitacji Ofiar Tortur w Gentoftie

– To na panią mówią Hrabianka?

Zaskoczona sierżantka potwierdziła, powstrzymując się przy tym od zadania naturalnie nasuwającego się pytania, a mianowicie: skąd mężczyzna o tym wie? Pomyślała, że na pewno dowie się tego we właściwym czasie, lepiej więc nie naciskać. Siedziała w kantynie pracowniczej szpitala w Gentoftie przy stoliku nieco na uboczu od reszty – zupełnie jakby specjalnie go tak ustawiono, by można tam było swobodnie rozmawiać z dala od wścibskich uszu. Człowiek, który siedział naprzeciwko niej, był psychiatrą, ordynatorem Ośrodka Rehabilitacji Ofiar Tortur, i skłamałaby, mówiąc, że Bóg obdarzył go szczególną urodą: był niski i korpulentny, o figurze gruszki. Miał zgrzytliwy głos, a gdy mówił, warkliwie wyrzucał z siebie słowa. Jego twarz była blada i spuchnięta, a rzadkie, pokryte grubą warstwą żelu włosy opadały mu na czoło, niemalże wchodząc w oczy. Lecz mimo niezbyt korzystnej aparycji było w nim coś, co wzbudzało zaufanie – trudno powiedzieć co, niemniej po krótkiej rozmowie człowiek dochodził do wniosku, że to jego dominująca cecha.

– To zadziwiające... – powiedział. – Mam przynajmniej pięć specjalnych pokoi do odwiedzin, urządzonych przez specjalistów tak, by goście czuli się tam komfortowo. Mimo to zawsze, gdy tylko jest to możliwe, ciągnę ich ze sobą do stołówki. Proszę powiedzieć... czy w ogóle wie pani coś o naszym ośrodku?

Hrabianka nie wiedziała o tym miejscu zbyt wiele, zatem ordynator skrótowo nakreślił jej historię placówki, po czym przeszedł do sedna:

– Chciałaby pani porozmawiać z jedną z moich byłych pacjentek, mianowicie z Jeleną Khrobic. Dziwi mnie to. Słyszając, że jest pani z wydziału zabójstw, pomyślałem, że powód jest zupełnie inny. W każdym razie procedura wygląda następująco: najpierw musi pani wyjaśnić, czemu chce spotkać się z Jeleną i o czym zamierza z nią pomówić. Ja następnie na podstawie pani odpowiedzi ocenię, czy to dobry pomysł, czy też nie, a gdy już to ustalę, dam pani znać. Wtedy pozostaje jeszcze kwestia, czy ona będzie się chciała spotkać z panią. Może się to wydawać zbyt rygorystyczne, ale zapewniam, że mój sposób postępowania w przypadkach takich jak ten nie ma bynajmniej stanowić utrudnienia. Chcę po prostu chronić swoich pacjentów. Ma pani ochotę na więcej kawy? Mają tu też pyszne słodkie precle...

Przyniósł termos z kawą i słodkości, po czym Hrabianka opowiedziała mu z detalami o Bjørnie Lauritzenie, Olem Nystedzie i Irene Gallagher, o tym, co wydarzyło się w Bośni w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku i w Kopenhadze w dwa tysiące dziesiątym roku. Pominęła jednak szczegóły dotyczące serbskich milicjantów, którym Lauritzen zmiażdżył czołgiem nogi. Nie wspomniała również o trzech pociskach naprowadzających, które Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych wystrzeliła z Morza Adriatyckiego.

– Dobrze wiem, co się stało w Bośni, przynajmniej z perspektywy Jeleny – powiedział lekarz. – Ale o tym dziewczyna musi opowiedzieć pani sama, kiedy się spotkacie. Nysted odwiedził ją dwukrotnie podczas pobytu w ośrodku, za każdym razem to ja odbierałem go z jego leśnej chaty, a potem odwoziłem go z powrotem do domu. To był z jego strony ładny gest, szczególnie jeśli się wzięło pod uwagę, że sam doznał po wojnie uszczerbku na psychice i wypierał pewne sprawy. Jelena chciała też porozmawiać z Irene Gallagher, ale ta odmówiła. Najbardziej jednak pragnęła zobaczyć się ponownie z Lauritzenem, z którym czuła się najbardziej związana. Niestety nie mogliśmy go namierzyć.

– A czy mogę zadać panu kilka pytań? – spytała Hrabianka. – Trochę ich mam...

– Nie. To musi poczekać. Zanim spotka się pani z moją pacjentką, są dwie sprawy, o których musi pani wiedzieć. Potrzebuję też zapewnienia, że je pani uszanuje.

Sierżantka skinęła głową na znak, że zamienia się w słuch.

– Można powiedzieć, że przypadek Jeleny to jeden z moich największych sukcesów zawodowych. Ta dziewczyna przeszła przez prawdziwe piekło, doświadczyła okropieństw, które zwykłemu człowiekowi nie mieszczą się w głowie. Pod wpływem traumatycznych przeżyć kompletnie się załamała. Dziś natomiast żyje prawie normalnie, ma się dobrze i myślę, że jest szczęśliwa. Niezwykle rzadko udaje mi się osiągnąć taki postęp u innych pacjentów. To zaś wynika przede wszystkim z tego, że Jelena jest obdarzona większą siłą ducha niż ktokolwiek inny, kogo znam. Niemniej jednak nadal odczuwa naturalnie pewne skutki wspomnianych wydarzeń. Po pierwsze, całkowicie wymazała z pamięci dwa okresy swojego życia i o nich pod żadnym pozorem nie wolno pani z nią rozmawiać, bo Bóg jeden wie, co mogłoby się stać, gdyby... zresztą, na ten moment to nieistotne. Po prostu proszę o tym bezwzględnie pamiętać.

Ordynator opowiedział następnie o tym, jak Jelena została w dwa tysiące trzecim roku porwana i przewieziona z Sarajewa do Mińska na Białorusi. Tam przez wiele miesięcy ją torturowano, aż załamała się psychicznie tak, że nikt nie był w stanie do niej dotrzeć. Jakies trzy lata później czterech duńskich lekarzy znalazło ją zupełnie przypadkiem przykutą do łóżka w szpitalu psychiatrycznym w Kijowie, około czterystu kilometrów od Mińska. Przy czym nikt, w tym ona sama, nie potrafił wyjaśnić, jakim sposobem znalazła się w mieście. Wspomniani lekarze przyjechali tam w ramach duńskiego projektu wsparcia dla ukraińskich psychiatrów, jako że ten obszar ukraińskiej medycyny mocno kulał z powodu braku środków. Gdy Jelena usłyszała, w jakim języku mówią nieznajomi, instynktownie zaśpiewała dwa wersy duńskiej piosenki dla dzieci, ku wielkiemu zaskoczeniu personelu szpitala, jako że odezwała się po raz pierwszy od czasu, gdy ją tam przywieziono. Nikt nie wiedział jeszcze wtedy, kim jest ta dziewczyna. Duńska delegacja zadbała jednak o to, by przetransportowano ją do Danii, gdzie została przyjęta na oddział psychiatryczny w Glo-

strup. Tam zaczęła powoli wracać do siebie i stopniowo odzyskiwała pamięć. Wiosną dwa tysiące siódmego roku została pacjentką oddziału, a rok później, latem, zakończyła leczenie.

O dziwo, nikt nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego Jelena Khrobit nie pamiętała również niczego albo prawie niczego, co wydarzyło się w okresie od sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku do dwa tysiące trzeciego roku, gdy została porwana. Chodziła wtedy przypuszczalnie do szkoły lub odbywała jakieś szkolenie, oprócz tego przez jakiś czas pracowała jako kelnerka. I zasadniczo w pamięci pozostało jej tylko to.

– Zwykle moi pacjenci wypierają traumatyczne wydarzenia albo przynajmniej nie są w stanie o nich opowiadać. U Jeleny było na odwrót... Oba zapomniane przez nią rozdziały życia były dla niej, moim skromnym zdaniem, dość spokojne i prozaiczne, w każdym razie w świetle tych wszystkich okropieństw, których doświadczyła. Szczerze mówiąc, nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem, ale czytałem o podobnych przypadkach, więc dziewczyna nie jest też absolutnym wyjątkiem – dodał na zakończenie lekarz.

Zamilkł, dopił kawę, po czym spojrzął na Hrabiankę, jakby czekał, aż da mu znak, że może kontynuować. Policjantka uśmiechnęła się zachęcająco, a on powiedział:

– Inną rzeczą, którą musi pani uszanować, jest to, że Jelena prowadzi dziś bardzo proste życie. Ma męża i dziecko, a teraz jeszcze jedno w drodze. Rodzina pochłania ją bez reszty – świat zewnętrzny natomiast mógłby dla niej nie istnieć. Nie ogląda telewizji, nie czyta gazet ani nie słucha radia. Przykładowo nie wie nic o zabójstwach na wycieczkowcu, śmierci Lauritzena i Nysteda czy też sprawie przeciw Gallagher, i tak ma pozostać. Codzienna egzystencja Jeleny ogranicza się do jej najbliższych, małego ogródka warzywnego i gry na pianinie, bo to właśnie czyni ją szczęśliwą. Poza tym zdołała ponownie uwierzyć w to, że świat jest dobry. Wybaczyla swoim oprawcom i przyjęła, że troje Duńczyków, których spotkała w Bośni w dziewięćdziesiątym piątym roku, pomogło jej i są oni jej przyjaciółmi. Co więcej, gdyby teraz znów doświadczyła, hmm... jak by to ująć, czegoś negatywnego, gdyby ktoś źle ją potraktował... natychmiast przeproceso-

wałaby to w głowie i doszła do wniosku, że nic takiego de facto się nie stało. Można powiedzieć, że dziewczyna widzi teraz świat wyłącznie w różowych barwach i nie należy tego zmieniać, nawet jeśli oznacza to, że od czasu do czasu trzeba sięgnąć po białe kłamstwo. To jej sposób na przeżycie i musi pani taki stan rzeczy bezwzględnie zaakceptować. Takie same warunki postawiłem Pauline.

Hrabianka zaniemówiła... Siedziała i z rozdziawioną buzią patrzyła bezmyślnie na swojego rozmówcę. Po chwili dotarło do niej, że ordynator zrobił to celowo – to znaczy niby zupełnie przypadkiem wymienił Berg, dobrze wiedząc, jak to wstrząśnie sierżantką.

Obdarzył funkcjonariuszkę życzliwym uśmiechem.

– Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać... – rzucił.

– Mam nadzieję, że ma pan dla mnie jeszcze trochę czasu... – odparła Hrabianka.

Owszem, miał. Nie czekając na zachętę, opowiedział jej następnie o tym, jak Pauline Berg skontaktowała się z nim zeszłej jesieni w tej samej sprawie co ona. Otóż chciała pomówić z Jeleną Khrobic, przy czym początkowo lekarz musiał jej odmówić.

– Była wtedy zaburzona emocjonalnie, więc nie wydawało mi się rozsądne, by się spotkały. Podczas naszej pierwszej rozmowy wałkowaliśmy ten temat w tę i z powrotem, a mówiąc precyzyjnie, zwyczajnie się o to kłóciliśmy – wyjaśnił.

Pauline wróciła do domu z pustymi rękoma, wściekła i rozzalona. Po kilku tygodniach wróciła jednak i ustalili, że odbędą cykl spotkań; nie chodziło jednak o Jelenę, a o nią samą.

– To znaczy, że nasza koleżanka się u pana leczyła? – weszła mu w słowo Hrabianka.

– Nie, nie nazwałby tego leczeniem, po prostu ze sobą rozmawialiśmy.

Widzieli się jakieś cztery–pięć razy, w październiku i w listopadzie zeszłego roku.

– Niekiedy wystarczy kilka wizyt, by pacjent poczuł się lepiej... O gruntownym leczeniu nie było w tym wypadku mowy. Chociaż porwanie odci-

snęło piętno na jej psychice, na moją pomoc czekało wtedy wiele innych osób, które przeżyły gorsze rzeczy. W idealnym świecie, w którym nigdy nie brakuje zasobów, przyjąłbym ją na pełnowymiarową terapię, ale, jak wiadomo, rzeczywistość wygląda inaczej.

Hrabianka szybko zdała sobie sprawę z tego, że lekarz wie wszystko o wydziale zabójstw, także o obsesji Pauline na punkcie nieistniejącej sprawy Juli Denissen, która koniec końców okazała się jednak prawdziwa, a do tego pociągnęła za sobą istną lawinę innych zdarzeń.

– A w jaki sposób Pauline do pana trafiła?... Albo, od czego należałoby pewnie zacząć, jak dowiedziała się o Jelenie? Wiadomo coś panu w tej kwestii?

– Tak. To wszystko wydarzyło się, można powiedzieć, przypadkowo... choć było też wynikiem jej ciężkiej pracy.

Rok wcześniej do aspirantki Berg zadzwoniła jakaś kobieta. Jak się okazało, była przyjaciółką Jonasa Zieglera, pracownika delikatesów, a wcześniej leśniczego, który stanowił dla policjantki zasadniczo jedyny punkt zaczepienia, jeśli chodzi o śmierć Juli Denissen. Ten zaś nie chciał z policjantką rozmawiać. Tak się jednak złożyło, że Jonas zostawił dziewczynę dla innej, w związku z czym ta pierwsza wpadła w szał i od tej pory myślała już tylko o tym, by go możliwie jak najdotkliwiej skrzywdzić. Między innymi postanowiła wyjawić Berg wszystko, o czym jej opowiedział, gdy jeszcze byli razem. Kiedy Lauritzen napadł na Juli Denissen w Melby Overdrev, Jonas usłyszał krzyk kobiety i poszedł w kierunku, z którego dochodził głos. Następnie ukrył się za wydumą, żeby zobaczyć, co się dzieje. Dobrze znał napastnika... Spotykał go wcześniej w lesie i wiedział, że to samotnik, który pomieszkuje w opuszczonym składzie na amunicję znajdującym się kilka kilometrów dalej, idąc wzdłuż wybrzeża. Trzy dni później zebrał się na odwagę i odwiedził pustelnika w jego bunkrze, przy czym zupełnie przypadkiem naszedł go w chwili, gdy tamten miał gościa. Leśniczy nie skierował pod jego adresem żadnych bezpośrednich gróźb ani też nie usiłował na nim niczego wymóc. Tak czy inaczej, stanęło na tym, że odwiedzająca Lauritzena kobieta złożyła Jonasowi propozycję pracy, oferując mu wyższe wynagrodzenie niż to, które dotychczas otrzy-

mywał. Miał od teraz pracować w delikatesach w miejscowości Tune. Przy czym zleceniodawczyni oczekiwała, że Ziegler zachowa w tajemnicy incydent, którego był świadkiem dwa dni wcześniej. Później były leśniczy dowiedział się, że nieznamiona nazywa się Irene Gallagher, a jej mąż jest właścicielem sieci sklepów, w których został zatrudniony.

– To był przełom w sprawie Pauline, pierwszy od początku śledztwa – ciągnął dalej lekarz. – Postanowiła zatem sama odwiedzić Lauritzena, ale go nie zastała. Znalazła jednak na ścianie bunkra zdjęcie – stronę wyrwaną z czasopisma Norweskich Sił Zbrojnych „Forsvarets Forum”. Fotografie zrobiono latem dziewięćdziesiątego piątego roku w mieście Tuzla, a przedstawiała ona rzekomo Lauritzena jadącego czołgiem, na którym siedzi ośmioro uchodźców. Pod zdjęciem podano jego nazwisko i rangę, chociaż jego samego nie było widać. Artykuł zaś traktował o ocalonej z wojennego piekła młodej Duncie, z pochodzenia Bośniaczce, Jelenie Khrobiec. Pauline zabrała to zdjęcie ze sobą.

Ordynator opowiedział później o tym, jak aspirantka Berg zaczęła następnie studiować wszystkie możliwe portale poświęcone duńskim żołnierzom w Bośni i w końcu natknęła się na wzmiankę o innym mężczyźnie, który jechał owym czołgiem. Chodziło o Olego Nysteda. W przeciwieństwie do Lauritzena Nysteda łatwo było odszukać. Otóż jakkolwiek prymitywna była jego leśna chata, przebywał w niej na stałe.

– Do zeszyłych świąt Bożego Narodzenia Berg złożyła mu trzy wizyty. W końcu jednak dowiedziała się o tym Irene Gallagher i zakazała samotnikowi się z nią spotykać. Przyznał się do tego otwarcie, gdy Pauline była u niego po raz ostatni. Do tego czasu zdążył jednak opowiedzieć aspirantce o tym, że bywał u Jeleny w Ośrodku Rehabilitacji Ofiar Tortur. Przy czym Nysted nie wiedział, gdzie mieszka Lauritzen, co z kolei interesowało Pauline najbardziej.

– Przyznam, że wszystko, co pan mówi, jest dla mnie bardzo intrygujące, ale... nie rozumiem jednej rzeczy – powiedziała Hrabianka. – Dlaczego nie zgłosił się pan do nas w charakterze świadka?

– Już dawno to zrobiłem, dzwoniłem do komendy, nie przesadzając, jakieś trzy razy, ale później sobie odpuściłem. Szef wydziału zabójstw obie-

cał, że oddzwoni do mnie osobiście, kiedy tylko znajdzie wolną chwilę, lecz nigdy do tego nie doszło.

Hrabianka nie skomentowała, choć mogła zasadnie przypuszczać, dlaczego tak się stało. Wyjaśniało to również, czemu funkcjonariusze z wydziału zabójstw nigdy wcześniej nie słyszeli o byłej dziewczynie Zieglera...

– I w końcu pozwolił pan Pauline zobaczyć się z Jeleną? – zapytała.

– Tak. Początkowo tutaj, w mojej obecności, jednak okazało się, że świetnie się ze sobą dogadują. Warto nadmienić, że wasza koleżanka przestrzegала wszystkich zasad, wykazywała się niezwykłą empatią i była bardzo ostrożna. Później spotykały się też same, myślę, że wielokrotnie, ale trudno mi oszacować, jak często i ile razy.

– A czy orientuje się pan, czemu Pauline nie opowiedziała o tym przełomie, jak to pan trafnie określił, swoim współpracownikom z wydziału? Bo tak się składa, że słowem nam o tym nie wspomniała...

– Tak, dobrze wiem czemu. Sama mi to wyjaśniła: otóż przez wiele lat nikt nie brał jej na poważnie, więc postanowiła rozwikłać sprawę Bjørna Lauritzena w pojedynkę, a potem podać wam jego głowę na srebrnym talerzu. Gwoli wyjaśnienia, próbowałem ją namówić, by zmieniła zdanie i zaangażowała was w śledztwo. Niestety, na próżno. Chciała zrobić wszystko sama. A my już chyba powoli kończymy, prawda?

– Jeśli tak pan uważa... Mam jeszcze wiele pytań, zwłaszcza gdyby okazało się, że nie pozwoli mi się pan zobaczyć z Jeleną. Ale wtedy moglibyśmy ewentualnie... to znaczy, mam na myśli z Jeleną Khrobic – mówię już o niej tak, jakbyśmy były dobrymi znajomymi.

Ordynator się podniósł, po czym oboje odnieśli tace na specjalny regał.

– Jak najbardziej, zawsze jest pani tutaj mile widziana. Proszę mi pozwolić wszystko na spokojnie przemyśleć. Zadzwonię do pani. Ale chciała pani zapytać o coś jeszcze, prawda? – powiedział.

– Tak, frapuje mnie jedna rzecz... Czego Pauline chciała od pana pacjentki?

– Taa... Miały pewien wspólny cel, choć motywy zupełnie różne.

– Obie chciały znaleźć Lauritzena?

- Tak, właśnie tak.

Rozdział 72

Sobota, 20 listopada 2010 roku, Rødovre

Mieszkanie położone było w dwupiętrowym nowoczesnym apartamentowcu obejmującym osiem klatek schodowych, w spokojnej dzielnicy zlokalizowanej między dwoma przystankami kolei miejskiej: Rødovre i Brøndby Wschód. Sto dziesięć metrów kwadratowych: salon, dwa pokoje, kuchnia, łazienka i przedpokój. Nieumeblowane.

– I co myślisz? Nadaje się dla nas? – spytała Louise Berg.

Pedersen stał przy oknie i patrzył, jak jakaś matka ostrożnie huśta swoje dziecko na placu zabaw przed domem.

– Jest idealne, niczego więcej nam nie trzeba – odparł.

– Mogę też wymienić je na mieszkanie Pauline. Tamto jest trochę większe i położone bliżej centrum, ale tu jakoś bardziej mi się podoba. Na początku będzie jedynie trochę kosztów notarialnych, ale w banku mówią, żeby się nie przejmować, bo miesięczny czynsz jest tu niższy, więc szybko mi się to zwróci. A poza tym jest nas teraz dwoje... Chociaż mam świadomość, że musisz też płacić alimenty na dzieci, może nawet w wyższej kwocie – żeby mimo waszego rozvodu niczego im nie zabrakło. Rozumiem to i szanuję.

Pedersen cieszył się, że Louise tak na to patrzy, choć w tym konkretnym przypadku nie miała racji:

– Ich matka jest biegłą rewidentką i zarabia przynajmniej o jedną trzecią więcej niż ja, więc z pewnością sobie poradzą – odrzekł.

– Czyli, można powiedzieć, że twoje bliźniaki to młodzież z klasy wyższej?

Przekomarzała się z nim, a on dobrze o tym wiedział. Mimo to poczuł ucisk w żołądku. Dzieciaki miały się tu właśnie niebawem zjawić, jemu

zaś bardzo zależało na tym, by Louise nawiązała z nimi nić porozumienia. Denerwował się... Dzieci w tym wieku bywają piekielnie uparte i zarozumiałe, jakkolwiek by się człowiek starał.

– To jak? Zamieszkamy tu razem czy nie?

Pedersen milczał. Tysiące myśli przebiegło mu przez głowę i sam nie wiedział, czemu od razu się nie zgodził, ani czego tak naprawdę w głębi duszy chce. Louise z miejsca spoważniała, zupełnie jakby go przejrzała, po czym musnęła wargami jego policzek.

– Jaja sobie robię. Daj sobie czas, Arne. Nie musisz mi teraz odpowiadać, przemyśl to na spokojnie... Ale możesz mi też powiedzieć, czego się obawiasz, i przegadamy to wspólnie.

Cóż miał jej powiedzieć?... Że czasem się zastanawia, czy za miesiąc nie okaże się przypadkiem, że na tle wszystkich jej związków ten był zaledwie nic nieznaczącą przelotną miłością? On zaś będzie sam siebie przeklinał, że na chwilę totalnie stracił rozum i uwierzył, że może stać się częścią beztroskiego życia młodej kobiety – kobiety, która z oczywistych względów była w zupełnie innym punkcie życia niż on.

– Nie powinienem tego mówić, wiem o tym... – zaczął.

Położyła mu dłoń na wargach. Przerabiali to już setki razy. Jest dla niej za stary, mógłby z powodzeniem być jej ojcem i tak dalej... Ona naprawdę rozumiała, że Arne nie jest w stanie ot tak przestawić się na inne myślenie, ale teraz nie chciała tego słuchać. Innym razem, ale nie dziś...

– Jesteśmy jak dwie połówki pomarańczy... Czuję to, a wiem, że z czasem to uczucie jeszcze przybierze na sile, jeśli rozumiesz, co mam na myśli... Nie mam żadnych wątpliwości – dodała.

– Tak!

– To znaczy?

– Tak, zamieszkamy tu razem i zobaczymy, jak się sprawy potoczą.

Momentalnie się rozpromieniła i z szelmowskim uśmiechem pół żartem, pół serio zaczęła wymieniać:

– Ale pamiętaj: podnosisz deskę, zanim zaczniesz sikać, obowiązki i koszty dzielimy na pół, no i tylko spróbuj mnie zdradzić!... A w przyszło-

ści chcę mieć dwójkę dzieci. – Spojrzała na zegarek i rzuciła: – Będą tu za dwadzieścia minut, co oznacza, że mamy chwilę czasu, żebyś opowiedział mi o Anice, obiecałeś. Wydawała się taka miła, ale jak widać, pozory mylą.

Usiedli na podłodze i oparli się plecami o ścianę, po czym Pedersen zaczął mówić. Najpierw o epizodzie w Paryżu, kiedy to policjantka przesłała list z pogrózkami do biura podróży i ostrzegła, by nie wybierali się do Bośni. Podała się w nim za funkcjonariusza milicji, który obawiał się o bezpieczeństwo podróżujących. Przy czym okazało się, że człowiek ten ustąpił ze służby piętnaście lat temu, a ponadto nigdy nie działał poza Bośnią, co zdziwiło Simonsena.

– Podejrzane wydało mu się również to, że milicjant tak pięknie kaligrafuje czerwonymi drukowanymi literami – ciągnął Arne. – Buch powtórzyła ten sam trik w Bośni. Tym razem posłużyła się groźnie wyglądającym sztyletem, który wcześniej kupiła w Paryżu. List był iście makabryczny: fikcyjni oprawcy grozili w nim, że ją zgwałcą i zabiją. Jednocześnie przepięła jednego z mieszkańców wioski, by ten w środku nocy wybił szybę w wypożyczonym przez nich land roverze.

– Hmm... tylko po co to wszystko zrobiła? Pracowała dla FE? – zapytała Louise.

– Najpewniej tak. Tyle że wojskowi nie są tacy głupi i nigdy nie spotkali się z nią osobiście. Rozmawiała z nimi jedynie kilka razy przez telefon. Raczej nie wierzyli w to, że dziewczyna cokolwiek wskóra. W każdym razie polecili jej, by w taki czy inny sposób skłoniła Simona i pozostałych do powrotu do domu.

– Ale co nią kierowało?

– Ambicja, chciwość... Obiecali jej pewnie błyskotliwą karierę w wojskowych służbach wywiadowczych, jeśli im pomoże – a ona w to uwierzyła. Postąpiła bardzo naiwnie. Ale teraz będzie najlepsze: otóż brnęła w to coraz bardziej, aż ostatecznie zrozumiała, że nie pozostaje jej nic innego, jak tylko się od nich odłączyć. Ukryła się więc w pustym domu i siedziała tam przez cały dzień, bez jedzenia ani picia, aż w końcu Simon po prostu poszedł tam i ją zawołał, gdy mieli już wracać do domu. Po jego na-

mowach wyszła. Wyobrażam sobie, że musiała wyglądać jak pies z podkulonym ogonem...

– I co z nią teraz zrobicie?

– Nie wiem, to już zależy od Simona.

– Czy to on decyduje o wszystkim w wydziale zabójstw?

– Hmm... Decyduje o tym, o czym chce decydować.

– Twój szef czasami trochę mnie onieśmiela, ale jakkolwiek by na to patrzeć, wzbudza w ludziach ogromny respekt, w dobrym tego słowa znaczeniu. Pauline też tak go odbierała. W okresie, gdy chorowała, on jeden potrafił się jej sprzeciwić. Później, kiedy już doszła do siebie, bardzo to doceniała. Myślisz, że da Anice jeszcze jedną szansę?

Pedersen odparł, że wszystko zależy od tego, co jeszcze zrobiła. Był podobno jakiś plik dźwiękowy, który należało zbadać, a ponadto inne sprawy.

– Ale ma duży potencjał i może być w przyszłości dobrą śledczą, więc szkoda byłoby ją stracić – dodał.

Przyszły bliźniaki i dziesięć minut, które zgodnie z tym, jak ustalili wcześniej ich rodzice, powinno wystarczyć, by poznali Louise Berg, przeciągnęło się do godziny. Gdy tylko weszli, dziewczyna wzięła ich pod swoje skrzydła, przy czym nie było w tym nic wymuszonego ani niezręcznego. Najpierw pokazała chłopcom ich nowy pokój. Zaznaczyła przy tym, że niestety będą mieszkać razem. Na ten moment ją i ich tatę tylko na to stać. Nic na to nie poradzi... Ale obiecała, że postawi tam swój komputer, żeby mieli na czym grać. Ma trzydziestosześciolety monitor i świetny procesor, tyle że, jeśli interesują ich te najbardziej odjazdowe gry, muszą wspólnie zainwestować w nową kartę graficzną. Ona da połowę, oni drugą połowę. Siedzieli i rozprawiali o poważnych sprawach, a Arne przysłuchiwał się temu z niekłamanym zadowoleniem.

– W takim razie, mój drogi... Możesz zawsze porozwozić gazety – tłumaczyła, by po chwili dodać: – Koniec kropka, bez pracy nie ma kołaczy.

Później grali w jadalni w minisquasha, łamiąc wszelkie możliwe zasady gry. Louise miała w torbie cztery niewielkie rakiety i małą gumową piłkę. Wszyscy chcieli wygrać i naprawdę dawali z siebie wszystko. Dziew-

czyna co rusz droczyła się z dziećmi, żeby zyskać nad nimi psychiczną przewagę:

– Ale z was leszcze, no nie do wiary!... Jak można tak beznadziejnie grać?! – pokrzykiwała.

Chłopcy zaś nie pozostawiali jej dłużni: nazywali ją „bambaryłą”. Swoją drogą ani Arne, ani ona nie mieli pojęcia, kto ich tego nauczył – albo też „cienką Louise”. Mecz pozostał jednak nierozstrzygnięty, jako że Arne nie chcący wyrzucił piłkę przez okno. Chłopcy i Louise Berg byli zgodni. Teraz ich ojciec nie ma już wyboru – musi kupić to mieszkanie.

Gdy bliźniaki wyszły, Pedersen był cały w skowronkach. Jego obawy okazały się zupełnie bezzasadne, do czego teraz otwarcie się przyznał.

– Zawsze lubiłam dzieci, a szczególnie małych rozrabiaków – powiedziała Louise. – Chodź, weźmiemy prysznic, jestem cała mokra. Poza tym, mam na ciebie ochotę... po raz pierwszy w naszym nowym domu.

– A pomyślałaś może o takim drobnym szczególe jak ręcznik?

– Mam w torbie, no chodź już...

Po kąpieli usiedli tak jak poprzednio, na podłodze, oparci plecami o ścianę. Tyle że tym razem nadzy. Patrzył na nią z podziwem.

– Jesteś taka piękna... – wyszeptał.

Złapała go za fałd skóry na brzuchu.

– Dzięki, grubasku... – Po chwili rzuciła: – Niech to szlag... Marzenia się spełniają. Wiedziałam...

– Co wiedziałaś?

– No, że jeśli będę trzymać buzię na kłódkę i nic nikomu nie powiem o tym, co wiem od Pauline o Bośni... o tych nieszczęsnych milicjantach i pociskach manewrujących, o Gallagher, Jelenie Khrobic i Lauritzenie. Tak na marginesie, wiesz, że mówili o nim Szalony Polak, prawda? No więc... po prostu czułam, że jeśli nie będę się z tym wychylać i zostawię wszystko naturalnemu biegowi wydarzeń, i mocno uwierzę, że w końcu sami do wszystkiego dojdziecie tam u siebie, w policji... to koniec końców los mnie za to nagrodzi... i jeszcze będę spijać śmietankę. Serce podpowia-

dało mi to od śmierci Pauline. Tak już czasem mam i prawie nigdy się nie mylę...

Pocałowała go namiętnie, a on odwzajemnił pocałunek. Później siedział przez dłuższą chwilę zatopiony we własnych myślach, po czym poprosił cicho:

– Powtórz to, co przed chwilą powiedziałaś, Louise...

Rozdział 73

Niedziela, 21 listopada 2010 roku, Birkerød

Rodzice długo odkładali na tę podróż. Tak samo długo ona i jej brat się na nią cieszyli. Jelena Khrobic po raz pierwszy była za granicą – no, może z wyjątkiem wycieczki do Flensburga w piątej klasie. Zresztą okazało się, że to miasto wygląda kropka w kropkę jak Randers, do tego jeszcze cały czas padało. Tego ranka, gdy całą rodziną ruszyli w drogę, świeciło słońce, a mieszkańcy miasta dekorowali właśnie główną ulicę. Wieczorem miała się tu odbyć uroczystość podniesienia na maszt flagi państwowej. Widok czterech brzuchatych osiłków w niebieskich uniformach z logo gminy, którzy zdejmują białe ciężkie maszty z samochodu ciężarowego, po czym, maszerując pewnym krokiem, niosą je aż do miejsca, gdzie znajdują się specjalne otwory, a następnie wspólnymi siłami podnoszą je do pionu, na zawsze wyrył jej się w pamięci. Często o tym myślała przez te jedenaście lat, które musiały upłynąć, by nareszcie mogła wrócić do domu. Było to dla niej ucieśnienie Danii...

Ze względu na koszty zdecydowali się na podróż autokarem. Hamburg, Berlin, Praga, Wiedeń, Zagrzeb, Tuzla; te zapierające dech w piersiach miasta, egzotyczne krajobrazy, niezrozumiałe języki, nieznanne przysmaki... Chłonęła to wszystko całą sobą i już nie mogła się doczekać, aż po powrocie opowie o swoich wrażeniach przyjaciółkom. Z Tuzli pojechali do miejscowości Bratunac, gdzie ich podróż miała dobiec końca. Tam mianowicie mieszkali jej dziadkowie. Po drodze mijali wielu żołnierzy, co rodziców trochę zmartwiło. Przed wyjazdem długo rozważali, czy aby na pewno rozsądne jest, by właśnie teraz odwiedzać ojczyznę. Inni Bośniacy byli tu jednak z wizytą mimo zamieszek. Twierdzili, że o ile nie mieszasz się zbytnio w sprawy miejscowych i nie szukasz guza, zasadniczo nic ci

nie grozi. A jak już dojadą na miejsce, to w ogóle mogą być spokojni. Matka i ojciec urodzili się tam, a potem dorastali. Chodzili do szkoły i z Serbami, i Chorwatami, z wieloma z nich do dziś się przyjaźnili. W Bratunac byli bezpieczni...

Przywieźli ze sobą całą masę prezentów. Niby nic wielkiego, lecz rodzinie podarki sprawiły wielką radość. Któregoś dnia babcia zabrała Jelene na rynek. Za tydzień miało się odbyć wesele, jeden z jej kuzynów się żenił, więc wszystkie kobiety w rodzinie miały pełne ręce roboty. Dziewczyna pomagała, przy czym tylko mogła. Pewnej nocy wojna dotarła jednak i do Bratunac. Dwie muzułmańskie rodziny zostały spalone w nocy w swoich domach. A dzień później inny kuzyn Jeleny napadł razem z kolegami na serbskiego nauczyciela. Powiesili nieszczęśnika w oknie, podczas gdy jego żona i córki błagały oprawców, by darowali mu życie. Ślub został odwołany. W sercach ludzi rozgorzała nienawiść... wszyscy byli przerażeni.

Jelena przerwała, sięgnęła do wózka i poprawiła kołderkę, pod którą spała jej córeczka ze smoczkiem w otwartej buzi. Ostrożnie zabrała małego smoczka i włożyła go do kieszeni. Hrabianka skorzystała z okazji, żeby się rozejrzeć. Szły wzdłuż lasu Bistrup Hegn. Policjantka знаła to miejsce bardzo dobrze, lecz po raz ostatni była tu lata temu. Zerknęła na Jelene, przy czym ukradkiem, zupełnie jakby patrzenie na kogoś karano mandatem.

Miała przed sobą filigranową kobietę średniego wzrostu, o wąskich biodrach, drobnych ramionach i małych piersiach, która poruszała się szybko i zwinnie niczym ptak skubiący ziarna zbóż. Miała wydatny, lekko zakrzywiony na grzbiecie nos, jaki widuje się często u kobiet na Bałkanach, oczy o głębokiej ciemnej barwie i delikatne rysy twarzy. Długie czarne włosy upięła na czubku głowy srebrną kłamrą w niedbały kok. Jelena mówiła dalej. Jej głos był czysty, a zarazem pełen żalu; zupełnie jakby spóźniła się na kawę z przyjaciółką i rozpaczliwie próbowała się usprawiedliwić.

Uciekli do Srebrenicy. *Sigurna zona, slobodna zona, tampon zonaalle* – państwo w państwie, strefy bezpieczne, wszyscy tylko o nich mówili, a Srebrenica była jedną z nich. Wiedzieli, że tam będzie ich chronić ONZ, a holenderscy żołnierze nie pozwolą ich skrzywdzić. Niestety, dwa dni

później kontrolę nad miastem przejęła serbska armia. Zapędzono ich do hali fabrycznej wraz z innymi muzułmańskimi rodzinami. Po jakimś czasie Serbowie zabrali jej brata i ojca. Widziała ich wtedy po raz ostatni... Spały razem z matką ściśnięte, na twardej cementowej posadzce. Była głodna, lecz nie śmiała pytać o jedzenie. Nie miała też odwagi dociekać, co stanie się z jej ojcem i bratem... Bo cóż jej mama mogła na to odpowiedzieć? Co mogła zrobić? Następnego przedpołudnia przyszło kilku mężczyzn. Wybrali jakieś piętnaście, może dwadzieścia spośród wszystkich Muzułmanek, w tym ją i matkę, po czym zapakowali je na ciężarówki. Byli niechlujnie ubrani w zupełnie przypadkowe mundury, niektórzy w ogóle w cywilu. Budzili jednak o wiele większe przerażenie niż żołnierze, z którymi miały do czynienia dzień wcześniej. Po godzinie jazdy dotarli do opuszczonego domu pod lasem, tu zaś czekali już ich kumple, którzy wyglądali podobnie jak tamci.

Położyli ją na stole i gwałcili na zmianę. Inni trzymali jej matkę. Ta krzyczała i usiłowała się oswobodzić, niestety nadaremnie. Później przyszła kolej na nią. Gdy skończyli, zabili ją na oczach Jeleny. Mężczyzna, który to zrobił, był z zawodu kowalem. Miał silne dłonie o kościstych palcach, pokrzywionych po latach pracy. Udusił ją gołymi rękoma tylko po to, by pokazać kolegom, że potrafi. Pozostali się śmiali, że niezły żartowniś z tego kowala. Potem rzucili się na pozostałe kobiety, a gdy już zrobili swoje, z nudów sięgnęli po noże.

Nagle do chaty wpadł Bjørn Lauritzen. Wyważył drzwi kopniakiem z takim impetem, że jeden z zawiasów puścił, a skrzydło zawisło na drugim. Na zewnątrz stał jego czołg, potężna maszyna, z którą nie mieli żadnych szans... wpadli w panikę. Próbowali naprędce ukryć kobiety w pokoju w głębi domu i zakryć dywanem największe ślady krwi, nie zdążyli jednak tego zrobić, bo on już był w salonie. Groźnym głosem zapytał po angielsku, który to dowódca: *Leader, boss, who?*, dziesięć różnych palców wskazało na mężczyznę w średnim wieku... Był to kucharz z hotelu Royal w Srebrenicy, ojciec czworga dzieci, na co dzień pracowity i pobożny. Lauritzen rozplątał mu brzuch, a wnętrzności rzucił na podłogę. Jeśli jeszcze chwilę wcześniej któryś z nich zamierzał stawiać Duńczykowi opór, teraz

stracili wszelką nadzieję. Wyprowadził ich wszystkich na dziedziniec, najmłodszemu sprawił porządne manto i puścił go wolno, pozostałym zaś skrupował nogi i związał jednego z drugim, a następnie nasypał im do oczu żwiru i kazał siedzieć na gołej ziemi pod ścianą.

– Później wrócił do środka – mówiła dalej Jelena. – Wielokrotnie na próżno namawiał kobiety, żeby wyszły. Nie chciały, bały się go. Postąpiły bardzo niemądrze, ale skąd miały wiedzieć, że mogą mu zaufać?... Ja wolałam być na zewnątrz, nie byłam w stanie zostać w tym pokoju, bo tam leżała moja matka.

– A rozmawiałaś z Bjørnem Lauritzenem?

– Tak... Trochę. Nie był zbyt rozmowny, powiedział do mnie raptem kilka słów. Za to przyniósł mi świeżą bieliznę – nie mam pojęcia, skąd ją wytrzasnął, a później zaniósł mnie za dom, żebym mogła się umyć. Bolało mnie, jak próbowałam chodzić, ale on powiedział, że dojdę do siebie. Potem po raz ostatni wrócił do środka. Słyszałam, jak prosi kobiety, by z nim poszły. Niestety bez skutku...

W końcu Lauritzen wsiadł do czołgu i wyglądało na to, że zamierza odjechać. Po chwili jednak zawrócił, dodał gazu i przejechał po nogach leżących na dziedzińcu mężczyzn, miażdżąc im doszczętnie wszystkie kości. To wszystko rozegrało się w ułamku sekundy. Następnie leopard wspiął się na niewielką skarpę i zniknął w gęstwinie lasu. Już po chwili wśród drzew rozległo się złowieszcze monotonne bicie zegara. Okaleczeni oprawcy nie-ludzko zawodzili i wili się z bólu. Pełzali w konwulsjach, chwytając się kurczowo jeden drugiego. Chwilę później nadjechała jeepem Irene Gallagher. Jelena zobaczyła na aucie flagę Danii, więc odezwała się do nieznajomej po duńsku. Wskazała na rannych i powiedziała, że się wykrwawiają, jeśli nikt im nie pomoże... Poprosiła też, by ktoś zajął się Muzułmankami, które zostały w domu.

– Kobieta zadzwoniła po pogotowie i zapewniła, że niebawem przyjedzie karetka. Ja zaś miałam wejść do środka i tam poczekać. „Wszystko będzie dobrze”, powtarzała. Dała mi swój naszyjnik, najpierw do ręki, lecz po chwili się rozmyśliła i założyła mi go na szyję. Niestety, zgubiłam poda-

rek w samolocie, ale przesłano mi go paczką do Glostrup, gdy byłam chora. Nie wiem, kto to zrobił, ale noszę tę biżuterię do dziś...

Cała rozpromieniona pokazała Hrabiance naszyjnik, połączony łańcuszek ze stylizowanym srebrnym wisiorkiem w kształcie motyla, po czym wzięła na ręce córeczkę. Dziewczynka właśnie się obudziła, więc usiadła na pobliskiej ławce, by Jelena mogła nakarmić małą piersią. Jednocześnie ciągnęła swoją opowieść.

Spełniła prośbę Gallagher i weszła do domu. Przez okno zobaczyła, jak kobieta zawraca i odjeżdża, jednak zapomniała swojego telefonu. Jelena wyszła zatem na podwórze i zaczęła krzyczeć, by wróciła, ale auto było już daleko. Zaczęła więc iść. Poruszała się bardzo powoli, bo każdy krok sprawiał jej nieludzki ból. Nie wiedziała dokładnie, dokąd zmierza... chciała tylko znaleźć się jak najdalej stamtąd, uciec od zmasakrowanych mężczyzn, którzy nadal zawodzili przeraźliwie na dziedzińcu, i od tego koszmarnego domu. Potykając się, mozolnie brnęła przed siebie w pełnym słońcu. Dziesięć minut później Serbowie wysadzili oboje w powietrze. Wyraźnie słyszała, jak pociski jeden po drugim ze świstem przesywają powietrze nad wierzchołkami drzew. „Dobrze, że mama już nie żyje”, pomyślała wtedy. Gdy uszła już kawałek drogi, zobaczyła przed sobą domek zbudowany z worków. Byli tam duńscy żołnierze. Duńczycy dali jej wodę i jakieś białe tabletki, nalegali, by je wzięła. Później nadjechał też Bjørn Lauritzen, po czym wszyscy żołnierze razem z grupką uchodźców ruszyli do Tuzli. Przez jakiś czas jechała czołgiem razem z Lauritzenem. Pocałował ją w czoło i nazwał małą księżniczką. Równocześnie starał się ukryć, że płacze...

– A powiedziałaś mu, że dom został zbombardowany? – spytała Hrabianka.

– Nie... Okłamałam go. Nie chciałam, by się dowiedział, co się stało. Nie zasługiwał na to... Powiedziałam, że pozostałe kobiety poszły w stronę Tuzli. My też jechaliśmy właśnie tam. Drogą tą szło tego dnia wielu ludzi, ale mnie się udało. Jechałam czołgiem. Tak też myślałam przez kolejnych kilka tygodni... to znaczy, że szczęściara ze mnie i nie powinnam się skarżyć. Miałam Bjørna, Olego i Irene, podczas gdy wielu moich rodaków stra-

ciło wszystkich. Gdy się szło na spacer do lasu, można się było natknąć na dziewczyny w podobnym wieku co ja, które powiesiły się na szaliku. Po prostu tak sobie wisały pośród leśnej gęstwiny. Ja nie chciałam podzielić ich losu, nie miałam do tego prawa. Nie teraz, gdy nowi przyjaciele tyle już zrobili, by mnie uratować.

Posadziła dziecko w wózku, podpierając mu plecki i zabezpieczając je po bokach kołderką. Następnie zaczęła się rozglądać za smoczką. Hrabianka wskazała na kieszeń.

– No tak... głupia ja – rzuciła z uśmiechem, oblizała smoczek, po czym włożyła go małej do buzi. Ruszyły dalej chodnikiem, a dziewczyna kontynuowała.

Porwano ją w biały dzień, na ulicy w Sarajewie. Nagle z obu stron podeszło do niej dwóch mężczyzn. Chwycili ją i wciągnęli do jakiegoś samochodu, który w tej samej chwili zatrzymał się przy krawężniku. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że ledwo się spostrzegła, a auto już jechało dalej. Zakneblowali ją chusteczką, na głowę zarzucili ciemny płócienny worek. Potem zaś wcisnęli ją między przedni a tylny rząd siedzeń.

Przywieźli ją do jakiegoś mieszkania, gdzie, w jakiej dzielnicy, nie miała pojęcia. Tam przez całą noc przesłuchiwali ją trzej Amerykanie. Pytali o osoby, których nie знаła, i wydarzenia, o których nigdy wcześniej nie słyszała. Nad ranem odmówiła współpracy. Amerykanie zaczęli więc głośno roztrząsać, co z nią zrobić, zupełnie jakby dziewczyny tam nie było. Dwóch młodszych nie uważało, jakoby należało podejmować jakieś dalsze kroki. Przede wszystkim dlatego, że ich podejrzana była kobietą – co nie było bynajmniej zasadnym argumentem. Najwięcej jednak do powiedzenia miał najstarszy z nich. Pięć tygodni wcześniej w mieście Jbala położonym na południe od Bagdadu zginęło czterech żołnierzy piechoty morskiej. Jedną z ofiar był jego młodszy brat, a zamachowcem samobójcą – kobieta. Nie miał więc ani krzty współczucia dla tej małej arabskiej terrorystycznej gnidy, która myślała, że się wyłga, konsekwentnie wszystkiemu zaprzeczając. Przekonał do swoich racji dwóch pozostałych. Rankiem czwartego stycznia dwa tysiące trzeciego roku na lotnisku w Sarajewie do samolotu specjalnego przeznaczenia wsadzili Jelenę. Był to

amerykański samolot dyspozycyjny Gulfstream III, sygnał wywoławczy: N829MG, tak zwany The Torture Jet, czyli odrzutowiec tortur.

Gdy tylko wylądowali na Białorusi, zaczęto ją przesłuchiwać. W Mińsku zadano jej te same pytania, które słyszała już w Sarajewie. Przesłuchanie prowadziło czterech mężczyzn. Mówili po angielsku, arabsku, rosyjsku i białorusku. Bośniacki znali bardzo słabo, toteż Jelena nie do końca rozumiała, co do niej mówią. Pobili ją więc dotkliwie, lecz to nie poprawiło jej umiejętności językowych. Potem zawołali kolejnego przesłuchującego, ten z kolei mówił po niemiecku i również ją pobił. Krzyczała i płakała, ale oni tylko się śmiali i maglowali ją dalej. Przez dwie godziny na zmianę ją katowali i przepytывali. Na koniec rozebrali ją i zgwałcili gumowymi pałkami – to ostatnie już tylko dla rozrywki. Później zamknęli ją w celi, gdzie przez długie godziny leżała na betonowej posadzce, trzęsąc się z zimna i słuchając krzyków innych nieszczęśliwców... Była jak sparaliżowana, zupełnie nie pojmowała, co się właśnie stało. Gdy ponownie zaciągnęli ją na przesłuchanie, okazało się, że tym razem zajmie się nią Serb. Niewysoki, z pozoru miły mężczyzna ze schludnie przyciętymi wąsikami, lecz o lodowatym spojrzeniu. Zanosząc się od płaczu, wyznała mu wszystko, co wie, i podpisała wszystkie podsunięte przez niego świstki. Na wiele pytań nie była jednak w stanie udzielić rozsądnej odpowiedzi. Powiesił ją więc za ręce, po czym polewał ją wodą i podłączył do niej elektrody. Niewyobrażalny ból przeszył każdy milimetr jej ciała... Myślała, że umarła i znalazła się w piekle. Wstrząsana kolejnymi uderzeniami prądu podskakiwała jak marionetka w kiepskim teatrze lalek. Błagała, by przestał, i na oczekaniu wymyślała różne żalosne historyjki, byle go zadowolić. To jednak pomogło tylko na krótką metę. Uprzejmy Serb szybko przejrzał jej kłamstwa. Spojrzał na nią przepraszająco i zwiększył siłę prądu. W pewnym momencie jej ciało się poddało, zemdleła, więc zawlekli ją z powrotem do celi.

Trwało to tygodniami, aż do dnia, gdy podczas jednego z przesłuchań załamała się i straciła kontakt ze światem. Wezwano lekarza, który ją zbadał, kręcąc przy tym z rezygnacją głową. Stwierdził, że jej umysł odmówił posłuszeństwa, a dalsze przesłuchania to strata czasu.

Hrabianka zmusiła się, by spojrzeć na Jelenę.

Kobieta promieniała dziecięcą radością... Zupełnie jakby samo to, że może spacerować sobie beztrudnie, pchać przed sobą lekko podrdzewiały używany wózek i z rozanielonym wzrokiem machać do siedzącej w nim córeczki, czyniło ją najszczęśliwszą osobą na ziemi. Jednocześnie ta sama osoba szczegółowo i precyzyjnie opowiadała o niewyobrażalnych dla normalnego człowieka okrucieństwach, których była świadkiem lub sama doznała, o tak bezgranicznych bestialstwach, że sierżantka poczuła się wręcz zażenowana... Dwa zupełnie przeciwne bieguny, kontrastujące ze sobą tak mocno, że ledwo mieściło się to w głowie.

Hrabianka odwróciła wzrok i panicznie szukając czegoś, na czym mogłaby go zawiesić, wbiła spojrzenie w drogę... zwykłą, prozaiczną duńską drogę w dzielnicy willowej. Potrzebowała się skupić na czymś namacalnym, czymś znanym i codziennym. Płyty chodnikowe, krawężnik, asfalt, o... a tam świeżo pomalowany czerwony hydrant... Zupełnie jakby znowu była małą dziewczynką i odwracała głowę, bo w telewizji pokazali właśnie coś straszego.

Jelena opowiedziała policjantce o tym, jak stopniowo dochodziła do siebie na oddziale psychiatrycznym w Glostrup, i o wielu życzliwych osobach, które ją w tym wspierały. Do zdrowia wracała bardzo powoli, ale w końcu stanęła na nogi. Później wyszła za męża i dzisiaj nazywa się Sørensen, nie Khrobic. Urodziła córeczkę, a teraz spodziewała się drugiej pociechy. Radośnie snuła plany na przyszłość: jeśli dzieci będą miały smykałkę do nauki, a ich będzie na to stać, pošłą je na studia i zadbają, by zdobyły porządne wykształcenie. Bardzo tego pragnęła... A może i ona pójdzie któregoś dnia do pracy?... Znajdzie sobie coś dorywczego, żeby trochę odciążyć męża. Per harował jak wół i bardzo chciała mu jakoś pomóc, kiedyś w końcu jej się to uda.

– Jestem pewna, że niedługo nadejdzie taki czas... Może w przyszłym roku, kto wie?...

Hrabianka zapewniła ją, że bez wątpienia tak właśnie będzie.

– Mam dla ciebie kilka drobiazgów od Pauline – rzuciła.

Przygotowała się zawczasu i teraz powtórzyła z głowy zawiłą historię o tym, jak Berg wyszła za mąż, a potem wyjechała ze swoim wybrankiem bardzo daleko stąd – w miejsce, z którego nie mogła za bardzo pisać ani dzwonić. Ale była szczęśliwa i prosiła, by Hrabianka bardzo mocno Jelenę od niej uściskała. Jakkolwiek absurdalnie to zabrzmiało, kobieta najwyraźniej uwierzyła w każde jej słowo. Cieszyła się z tego, że Pauline ma się dobrze, powiedziała, że jej przyjaciółka zasługuje na wszystko, co najlepsze, więc dobrze wiedzieć, że ułożyła sobie życie.

– Może kiedyś jeszcze mnie odwiedzi... – westchnęła.

– Niewykluczone.

– Już się cieszę na ten dzień.

Usiadły ponownie na ławce, bo Jelena nie mogła się doczekać prezentów. Rozpakowała zawiniątko i się rozpromieniła. Znalazła tam klocki Duplo dla małej – choć będzie musiała naturalnie do nich dorosnąć, dla siebie samej zaś drogi fioletowy lakier do paznokci marki Chanel. Jak miło ze strony Pauline, zwłaszcza że przecież u nich, jak wiadomo, nigdy się nie przelewało. Zdjęła z szyi łańcuszek i wręczyła go policjantce.

– Przekażesz go Pauline? Na pewno któregoś dnia się spotkacie...

Hrabianka obiecała spełnić jej prośbę. Podniosła się, ale nagle przypomniało jej się, że ma jeszcze parę pytań.

– Jeleno, czy wspomniałaś Pauline coś o serbskich pociskach?

– Tak. Podczas naszej drugiej rozmowy oglądałyśmy je na jej laptopie.

– A czy opowiedziałaś też o tym, że Gallagher przed odjazdem zapomniała zabrać telefonu?

– O... Widzę, że dobrze znasz Pauline... Tak. Rozmawiałyśmy i o tym. Wyjątkowo ją to zainteresowało. Ona już tak ma, zawsze musi wszystko dogłębnie zbadać i zrozumieć, jest piekielnie inteligentna.

Hrabiance pozostało już tylko jedno pytanie.

– Obie bardzo chcieliście odnaleźć Bjørna Lauritzena, prawda?

– Zgadza się, nawet bardziej niż bardzo! Mieszka gdzieś nieopodal Præstø, ale nie wiemy dokładnie gdzie. Pauline skontaktowała się nawet

z ludźmi, którzy potrafią lokalizować innych, jeśli ci mają przy sobie komórkę.

– A Bjørn Lauritzen ma komórkę?

– Nie... Ale Irene owszem. Więc powiedzieli, że jak do niego dzwoni... to znaczy nie, to było jakoś inaczej. Tak do końca to nie wiem, ale Pauline w jakiś sposób mogła wysledzić, gdzie Irene pojechała. Chyba o to chodziło.

– I co zrobiłyście?

– No cóż... Ja zadzwoniłam do Irene i zapytałam ją, czy byłaby tak miła i podała mi adres Bjørna, ale ona odparła, że Bjørn jest ostatnimi czasy bardzo zajęty.

– A pamiętasz może, kiedy to było?

– Jasne, pamiętam tę datę doskonale: dwudziestego lipca, dzień przed urodzinami Pera.

– I co? W końcu dałyście sobie spokój, tak?...

– Ależ skąd. Pauline zabrała mi telefon i też z nią rozmawiała, tyle że zaczęły się kłócić.

– O co?

– Pauline odgrażała się, że znajdziemy Bjørna, nieważne, czy z pomocą Irene, czy bez niej. Ale ja wiem dlaczego...

– Dlaczego?

– Po prostu jeszcze się nie znają...

Rozdział 74

Środa, 24 listopada 2010 roku, Ministerstwo Finansów

W poniedziałek rano do Simonsena zadzwonił wyraźnie spięty Komentant Główny Policji. W nieco teatralny sposób oświadczył zawieszonemu szefowi wydziału zabójstw, że ma dobre wieści. Otóż z będących w jego posiadaniu rzetelnych informacji wynikało, że istnieją duże szanse na to, że Simonsen już wkrótce będzie mógł powrócić do służby. Najpierw jednak trzeba wyjaśnić kilka kwestii, w związku z czym inspektor ma się stawić w jego biurze jeszcze tego samego dnia, po południu. On i kilku przedstawicieli Ministerstwa Sprawiedliwości bardzo chcą z nim pomówić.

Simonsen odparł chłodno, że to on sam wyznaczy datę ewentualnego spotkania, a do tego zdecyduje, z kim chce rozmawiać. Jego szef żywo za protestował, że przecież nie może tego powtórzyć ministrowi.

– Masz od tego sekretarkę – rzucił sucho inspektor, po czym się rozłączył.

Gdy kwadrans później znowu odebrał telefon, usłyszał po drugiej stronie rozjuszony głos znanego mu już przedstawiciela ministerstwa, który chciał wiedzieć, co policjant w ogóle sobie wyobraża. Simonsen warknął w odpowiedzi, że wyobraża sobie jedynie, że nie ma aktualnie czasu na żadne spotkania: pracuje mianowicie w pocie czoła nad tekstem komunikatu prasowego o tym, co odkrył w Bośni. Następnie nacisnął czerwoną słuchawkę.

Minęła godzina... Simonsen zaczął się już porządnie martwić, że duńska administracja państwowa przestała działać, jak należy. W końcu jednak ciszę przerwał dźwięk połączenia przychodzącego, tym razem dzwonił sam minister sprawiedliwości. Przedstawił się, po czym wazeliniar-

skim, przesłodzoną głosem zapytał, czy u niego wszystko w porządku i kiedy ewentualnie mogą porozmawiać. Simonsen nadal był jednak nieugięty. To niewiarygodne! Właśnie dwukrotnie jasno i klarownie wyjaśnił – i to nie byle komu, a jednym z najznamienitszych prawników w kraju – jakie jest jego stanowisko w tej sprawie. Mimo to najwyraźniej nic do nich nie dotarło. Zaznaczył, że teraz powie to zatem po raz trzeci, tym razem powoli, na wypadek gdyby znowu nie zrozumieli: sam się z nimi skontaktuje, kiedy będzie chciał się spotkać, a ponadto powie, z kim konkretnie chce się widzieć. Teraz jednak się nie rozłączył, a tylko odłożył komórkę na stół i z autentycznym rozbawieniem słuchał, jak poważnie zaniepokojony minister raz po raz wykrzykuje:

– Simonsen, halooo... Jest pan tam? Inspektorze Simonsen! Niech się pan odezwie...

Szef resortu zadziwiająco długo nie dawał za wygraną.

Po tym popisie zuchwalstwa zostawili Simonsena w spokoju na całą dobę, po czym nieoczekiwanie odwiedził go Helmer Hammer. Szef departamentu do spraw polityki wewnętrznej był w doskonałym humorze. Otóż Simonsen rozpętał istną burzę na wyspie Slotsholmen, nie wspominając już nawet o Ministerstwie Obrony, w którym umierano ze strachu, że zaraz wybuchnie kolejny skandal, poza tymi, którymi do tej pory urząd mógł się pochwalić. Krótko mówiąc, zawieszony obecnie szef wydziału zabójstw wkurzył całą masę wpływowych ludzi. Innych, przy czym tych było znacznie więcej, niemalże przyprawił o zawał serca. W związku z tym on, Helmer, błagał go na kolanach, zaklinał go w imię ich długoletniej przyjaźni, by zgodził się uczestniczyć w zebraniu, o którym wszyscy mówią, a którego, jak dobrze wie, jeszcze nie zwołano, w charakterze przewodniczącego. Jego przyjaciel po prostu musiał to zobaczyć.

W ten oto sposób Simonsen został przyparty do ściany. Obiecał Helmerowi, że przyjmie funkcję przewodniczącego, jeśli ktoś taki w ogóle będzie tam potrzebny. Jednocześnie zupełnie zapomniał, że Hammer ustąpił ze stanowiska. Oznaczało to, że został im zaledwie tydzień, by odbyć to cholerne spotkanie: czyli, nie uwzględniając weekendu i dni, w które ten roz-

chwytywany biurokrata miał już pełny grafik, do wyboru było tylko parę możliwości.

– W takim razie... jutro o trzynastej, w Ministerstwie Finansów – powiedział Hammer.

Obiecał, że zadba o to, by ograniczyć liczbę uczestników zebrania do koniecznego minimum. Czy szef wydziału zabójstw chciałby kogoś ze sobą zabrać? Owszem, Simonsen oświadczył, że przyjdą we troje, a może we czworo, jeśli uda mu się przekonać do tego tę czwartą osobę. Czyli będzie on, Hrabianka oraz jeden lub dwóch doradców specjalnych.

– A dlaczego akurat w Ministerstwie Finansów? – spytał.

– Otóż z dnia na dzień stałeś się, Simonie, tematem numer jeden, w tym również w centralnym ośrodku władzy – wyjaśnił Hammer. – Rządowa komisja koordynacyjna przez prawie kwadrans zupełnie nieformalnie przyglądała się sprawie od każdej strony i rozkładała ją na czynniki pierwsze. W pewnym momencie premier polecił ministrowi finansów, najbardziej wpływowemu członkowi duńskiego rządu, by ten zamknął sprawę raz na zawsze, i to najszybciej, jak tylko będzie to możliwe. Użył dokładnie takich słów.

Tego Hammer był pewien, gdyż sam sporządzał protokół z tego tajnego zebrania. To jednak naturalnie nie zostało zaprotokołowane, bo powiedział to jakoby nieoficjalnie, przy czym wyraźnie zazaczył, by nie umieszczać tej uwagi w sprawozdaniu, ponieważ...

Simonsen zatkał sobie uszy.

Na stole stały eleganckie srebrne dzbanki do kawy, półmiski pełne prawdziwych wypieków z cukierni, nie jakichś tanich ciastek z pobliskiego supermarketu, kawę podano zaś w gustownych porcelanowych filiżankach z talerzykami i maleńkimi srebrnymi łyżeczkami; na całej zastawie widniało logo Ministerstwa Finansów. Nikt nie używał tu brzydkich kubków pochodzących z masowej produkcji, nie mówiąc nawet o tych z plastiku czy z tektury. Zasiadając do tego wielkiego stołu konferencyjnego w stylu fińskim, Simonsen pomyślał, że pracownicy resortu najwyraźniej muszą mieć bardziej lepkie ręce niż reszta społeczeństwa, bo kto normalny umieszcza logo na talerzykach deserowych i łyżeczkach?! Za-

chował jednak swoje przemyślenia dla siebie. Obiecał Hrabiance, że nie przyniesie jej dzisiaj wstydu.

W spotkaniu miało wziąć udział łącznie dziesięć osób. Oprócz Simonsena, Hrabianki i ich doradców specjalnych przy stole zasiadł minister sprawiedliwości, który odważnie, co było akurat dla niego typowe, zjawił się sam, bez urzędników. Przybyli też szef Ministerstwa Obrony i szef Wojskowych Służb Wywiadowczych, obaj w mundurach, a ponadto Komendant Główny Policji. Oprócz tego zaproszeni zostali Helmer Hammer i minister finansów, przy czym ten ostatni jeszcze się nie pojawił. Nie dało się nie zauważyć nieobecności ministra obrony. Aczkolwiek pominięto go celowo. Minister finansów nie życzył sobie bowiem jego obecności, bo człowiek ten znany był ze swojej nieprzewidywalności. To zaś było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali w i tak już wystarczająco zagmatwanej sprawie. Minister finansów zażądał obecności ministra obrony. Ten jednak odmówił i demonstracyjnie się nie stawił.

Uczestnicy spotkania rozlali kawę do filiżanek i spokojnie czekali na swojego gospodarza. Przy stole panowała napięta atmosfera. Tylko siedzący na jego odległym końcu Hammer wydawał się w szampańskim humorze... i naturalnie minister sprawiedliwości. Przy czym ten ostatni zawsze był radosny jak szczypiorek na wiosnę, bez względu na to, czym się akurat zajmował.

W końcu w drzwiach stanął sam minister finansów. Pozdrowił wszystkich obecnych ruchem ręki, przeprosił za spóźnienie, nie wyjaśniając jego przyczyny, choć był im to winien, po czym skinął głową w kierunku Hammera, na znak, że mogą zaczynać. Szef departamentu do spraw polityki wewnętrznej wygłosił zatem zgrabnie napisane, acz nieco trywialne wprowadzenie, z którego treścią nie sposób było się nie zgodzić, po czym oddał głos Hrabiance. Ku zaskoczeniu większości obecnych sierżantka przyjęła ten sam lekko napuszczony, aluzyjny styl co jej poprzednik:

– Jak wiadomo, w wydziale zabójstw doszło ostatnimi czasy do całej serii nad wyraz niepokojących wydarzeń... Wydarzeń, które sprawiły, że jedynym wyjściem z sytuacji było zwołanie tego niekonwencjonalnego po-

siedzenia, by wspólnymi siłami wymyślić, jak należy traktować przedmiotowe nieszczęsne dane...

Jeszcze przez kilka minut kontynuowała w podobnym tonie, po czym w jednej chwili zmieniała retorykę i ostrym głosem opowiedziała szczegółowo o tym, co wydarzyło się w Bośni w dziewięćdziesiątym piątym roku. Wyjaśniła, w jaki sposób wiedza o powyższym wpłynęła na zmianę okoliczności w sprawie zabójstw na statku wycieczkowym, zarówno jeśli chodzi o samo przestępstwo, jak i śledztwo. Gdy skończyła, zwróciła się bezpośrednio do szefa FE i na poparcie swoich twierdzeń przedłożyła jeden po drugim wszystkie dowody, których nie sposób było podważyć: oryginalne amerykańskie zdjęcia z kamer monitoringu wykonane w Bośni czternastego lipca dziewięćdziesiątego piątego roku, listę imion i nazwisk zamordowanych muzułmańskich kobiet oraz drugą zawierającą dane zabitych serbskich milicjantów, wydruk korespondencji Irene Gallagher z załogą amerykańskiego lotniskowca o nazwie USS Theodore Roosevelt z czternastego lipca dziewięćdziesiątego piątego roku, z prośbą o wysłanie pocisków manewrujących, masę zdjęć zmiażdżonych kości podudzia należących do serbskich milicjantów oraz zeznania kobiety, która była naocznym świadkiem całego zdarzenia, do tego jednak Hrabianka zamierzała jeszcze wrócić.

– To nie wszystko... – zapewniła – będę między innymi chciała przeanalizować główne założenia sporządzonego przez wydział zabójstw raportu traktującego o tym, dlaczego służby FE ustawicznie sabotowały nasze śledztwo, za wszelką cenę dążąc do tego, by pułkowniczka Irene Gallagher została uniewinniona, co – jak zresztą wiadomo – koniec końców im się udało. Ale na tym na razie zakończę.

Minister finansów zmierzył szefa resortu obrony lodowatym spojrzeniem i powiedział:

– Bez wątplenia wymaga to komentarza...

Minister sprawiedliwości był jednak szybszy:

– Jeśli to wszystko zmierza ku temu, by Irene Gallagher ponownie stała przed sądem, to od razu mówię, że do tego nie dojdzie. Po pierwsze, takie decyzje nie leżą w naszych kompetencjach. Po drugie, właściwe or-

gany, bazując na trzeźwej ocenie sytuacji, uznały, o czym powiadomiono mnie zupełnie niedawno, że sprawa nie zostanie wznowiona.

Hrabianka skinęła głową, acz z ponurym wyrazem twarzy. Wiedziała o tym i dawno się już z takim, a nie innym stanem rzeczy pogodziła, choć nie było to dla niej łatwe.

Następnie przyszła kolej na szefa FE, a ten był nieprzejednany. Oświadczył, że stanowczo zaprzecza wszelkim oskarżeniom, jakoby służby wywiadowcze celowo sabotowały jakiegokolwiek postępowania sądowe czy też śledztwa prowadzone przez wydział zabójstw. Poza tym policja mogłaby oszczędzić sobie tych karygodnych zarzutów pod adresem Irene Gallagher. Kobieta dopiero co została oczyszczona z zarzutów, a on jest absolutnie przekonany, że stało się tak dlatego, że jest ona niewinna. Ale jak widać, wydział zabójstw najchętniej postawiłby ją przed polowym sądem wojskowym... A może w ogóle uważają, że ludzi należy skazywać na podstawie plotek i pomówień?

– Wszystkie materiały, na których zdobycie kryminalni, rażąco wykraczając poza swoje kompetencje, zmarnowali pieniądze duńskich podatników – i to bez względu na to, czy uzyskane przez nich informacje są prawdziwe, czy też nie, bo to ma dla sprawy znaczenie marginalne – stanowią dane poufne. W związku z tym wszelkie próby upublicznienia ich, czym, jak mniemam, właśnie nam grożą, należy uznać za działanie na szkodę państwa. Jak również, pragnę zauważyć, że... niektóre kraje... jasno wyraziły swoje stanowisko w kwestii ewentualnego podania tych informacji do wiadomości publicznej. Gdyby tak się stało, mogłoby ich to bardzo rozgniewać – dodał. A potem zwrócił się bezpośrednio do Hrabianki, tak jak ona wcześniej do niego: – Wszelkie kroki zmierzające do ujawnienia tych materiałów, bez względu na to, czy mowa będzie o prasie, telewizji czy internecie, spowodują natychmiastowe wydanie zakazu sądowego.

Na twarzy Hrabianki zagościł szeroki uśmiech. Skinęła głową siedzącej obok kobiecie, która od początku spotkania nie odezwała się ani słowem. Ta pochyliła się do przodu, obrzuciła szefa FE nieprzyjaznym spojrzeniem, po czym rzuciła bezceremonialnie po duńsku:

– Alva Axelsson ze szwedzkiego dziennika „Dagens Nyheter”. Chciałabym przekazać w imieniu redaktorki naczelnej, że ma ona duński zakaz sądowy w dupie.

Zwrot „zakaz sądowy” kobieta najwyraźniej chciała wymówić zgodnie z zasadami duńskiej fonetyki, jednak wyszło jej ostro po szwedzku i całość zabrzmiała ostatecznie dość osobliwie; zupełnie jakby przesadnie chciała to sformułowanie podkreślić. Niemniej co do przesłania nikt przy stole nie miał najmniejszych wątpliwości. Szef FE momentalnie zamilkł, a minister finansów zwrócił się z grobową miną do Simonsena:

– Czego konkretnie pan od nas oczekuje, panie inspektorze? Bo wychodzę z założenia, że jeśli faktycznie pan czegoś chce, jest pan w stanie trochę przytemperować swoją szwedzką przyjaciółkę...

Zawieszony szef wydziału zabójstw jednak tylko pokręcił głową, zupełnie jakby chciał powiedzieć, że nie ma z tym nic wspólnego. Z odpowiedzią pospieszyła Hrabianka:

– W pierwszej kolejności chcielibyśmy, żeby posłuchali panowie, co przydarzyło się młodej kobiecie o imieniu Jelena...

Było to hasło wywoławcze dla ordynatora. Lekarz wstał i stanął za Hammerem, który przesunął swoje krzesło, by zrobić mężczyźnie miejsce. Następnie tamten ściszym głosem opowiedział historię Jeleny Khrobic, w tym opisał dokładnie, jak obchodzono się z dziewczyną w Mińsku na Białorusi w dwa tysiące trzecim roku. Jego relacja była rzetelna i pełna brutalnych szczegółów, poruszająca do żywego. Przy stole zapadła cisza. Przerwał ją dopiero Hammer, który powiedział do Hrabianki:

– Rozumiem, że policja ma jakiś postulat... natury finansowej, administracyjnej czy też stricte kadrowej. Jeśli tak, przyszła pora na to, by go przedstawić.

Szef resortu obrony poprawił się nerwowo na krześle.

– Co miał pan na myśli, używając określenia: „stricte kadrowej”?

Z kolei Komendant Główny Policji dodał:

– Ja tylko wykonywałem rozkazy... Nie można mi niczego zarzucić.

Hammer wyjaśnił obu mężczyznom, że z doświadczenia wie, że w sytuacji, gdy coś zagraża pozycji czołowego polityka, rozwiązania należy zasadniczo upatrywać w dwóch kwestiach: jedna to pieniądze, a druga urzędnicy – tych pierwszych można użyć, a tych drugich zwolnić.

– W każdym razie dobrze jest od czasu do czasu porządnie zamieszać w garnku, pozwolić, by poleciało kilka głów – ciągnął dalej beztrzymującym tonem. – Ot tak, by wnieść w życie placówki świeży powiew, no i żeby inni mieli się na baczności, jeśli mogą się tak wyrazić.

– Nie ma czasu na takie czcze pogadanki, panie Helmer – przerwał mu minister finansów. – Może innym razem... Na pewno nie teraz. Pani sierżant?

Hrabianka odchrząknęła, po czym odczytała punkt po punkcie całą długą listę, do której nikt zasadniczo nie zgłosił żadnych uwag:

Odszkodowanie dla Jeleny Khrobic – zaproponowała przy tym nieopodatkowaną miesięczną rentę w wysokości dziesięć tysięcy koron... do końca życia. Do tego jakiś hojny fundusz, by kobieta mogła wykształcić swoje dzieci. Funkcjonariuszka była pewna, że służby FE są w stanie wymyślić jakąś przekonującą, błyskotliwą historię, żeby jakoś tę zapomogę uzasadnić, w końcu to ich specjalność.

Minister finansów nawet nie mrugnął.

– Zgadza się, proszę mówić dalej...

Ponadto Hrabianka zasugerowała, by duński rząd przejął pieczę nad nowym, pięknym ośrodkiem kolonijnym w Bośni, który ufundowały Stany Zjednoczone... Minister Finansów przerwał jej:

– Przyjmuję pozytywnie – wszedł jej słowo szef resortu finansów.

– „Przyjmuję pozytywnie”? – spytała nieufnie policjantka.

Hammer przetłumaczył, to oznaczało „tak”.

– Konrad Simonsen zostanie naturalnie przywrócony do służby ze skutkiem natychmiastowym – ciągnęła dalej Hrabianka. – Z tym że z uwagi na długotrwały stres związany z tą całą paskudną sprawą zasługuje na dodatkowy urlop w wymiarze trzech tygodni.

Uznała, że trzy tygodnie to całkiem rozsądna propozycja. Wszystkie oczy zwróciły się momentalnie na szefa wydziału zabójstw, który nagle zapragnął się zapaść pod ziemię. A że najwidoczniej dość długo siedział z niemalże wymalowanym na twarzy wielkim znakiem zapytania, minister sprawiedliwości rzucił:

– Naturalnie i to samo dotyczy również pani.

Hrabianka podziękowała, po czym spytała:

– Prosimy też o zezwolenie na... jak by to powiedzieć, podjęcie współpracy z Policyjnymi Służbami Wywiadowczymi w jednej konkretnej sprawie. Przy czym nie chciałabym w tej chwili rozwijać tematu... W każdym razie chodzi o ich pomoc w niektórych kwestiach.

Minister Sprawiedliwości się zaśmiał.

– Przecież już wam pomagają... Chyba nie myśli pani, że zupełnie nie wiem, co robią moi podwładni?... Ale dobrze, niech będzie, że zezwalam na to zupełnie oficjalnie. Czy jest jeszcze coś, co możemy dla państwa zrobić?

Nagle milczący dotąd szef FE nietaktownie wskazał na Simonsena i Hrabiankę palcem i zapytał podejrzliwie:

– A skąd mamy wiedzieć, że wy tam... tak czy inaczej, nie ujawnicie naszych...

Nie zdołał jednak dokończyć, bo minister finansów dał upust swojej złości, którą dotychczas ledwo, bo ledwo, ale trzymał w ryzach:

– „Wy tam”? Czy pan upadł na głowę? Tak naprawdę to nie ma pan nic do gadania! Ma pan po prostu robić, co do pana należy, a ważniejsze kwestie w odpowiedzialny i bezpieczny sposób przekazywać mnie i ministrowi sprawiedliwości. Analogicznie sprawy się mają, jeśli chodzi o pańskie wybujałe ego. Doprawdy, coraz gorzej z panem...

Szef FE zagotował się tak, że krew uderzyła mu do głowy, ale powściągnął emocje. Zachował spokój również wtedy, gdy minister sprawiedliwości dodał pouczającym tonem:

– Musimy zaufać wydziałowi zabójstw, a to dlatego, że nie mamy wyjścia.

Jako że nikt nie miał nic do dodania, zebranie dobiegło końca. Hammer poniekąd z grzeczności zapytał Hrabiankę, czy jest może coś jeszcze, o czym chciałyby napomknąć.

Ta jednak potrząsnęła głową, patrząc pytająco na męża. On także zaprzeczył.

Simonsen od początku spotkania nie powiedział prawie nic. To Hrabianka mówiła głosem wydziału zabójstw. Kilka razy próbowała go włączyć do dyskusji, ale wtedy pod naciskiem żony rzucał krótko i dyplomatycznie „Tak, zgadza się...” lub coś w tym rodzaju. Przyjął taką postawę już wiele lat temu: często błędził gdzieś myślami z nieobecny spojrzeniem, a ludzie w jego otoczeniu zastanawiali się nieraz, czy w ogóle ma świadomość, co się wokół niego dzieje. Szczerze mówiąc, nic na to nie wskazywało... Zwłaszcza gdy siedział i patrzył bezmyślnie w pustkę przed sobą, zupełnie jakby widział tam coś, co pozostawało ukryte przed wzrokiem innych. Żona czekała zazwyczaj, aż sam wróci na ziemię. Ale nie podobąło jej się to, a już najbardziej w obecności innych.

Widząc jednak, że wszyscy zaczynają się zbierać do wyjścia, Simonsen nagle przebudził się z letargu i zabrał głos.

Opowiedział o swojej wizycie u weteranów w dzielnicy Vesterbro i o tym, jak wielu z nich żyje. O tym, że państwo najwyraźniej o byłych żołnierzach zapomniało, o niespełnionych obietnicach i błędach ze strony władz oraz wszechobecnej niesprawiedliwości, która była raczej normą niż wyjątkiem. Mówił o cenie, jaką kombatantom przyszło zapłacić za udział Danii w wojnie, podczas gdy rząd umył ręce. Pozostali słuchali z czystej uprzejmości, lecz zaczynało się powoli robić niezręcznie. Po co komu te cikliwe opowieści, skoro właśnie doszli do porozumienia? Inspektor niestrudzenie ciągnął dalej. Chciał roztoczyć przed nimi pewną wizję.

– Wyobraźcie sobie, panowie, co by było, gdyby pracownicy sił zbrojnych i Ministerstwa Obrony mogli się piąć po szczeblach kariery, pomagając różnego rodzaju związkom weteranów albo robiąc coś dla poszczególnych kombatantów. I na odwrót... ci niezaangażowani nie mogliby liczyć na awanse ani benefity. Pomyślcie tylko, panowie, że cała kadra kierownicza daje swoim podwładnym dobry przykład... Byłoby wspaniale, ale

trzeba podkreślić, że naprawdę wiele jest tam do zrobienia... niewyobrażalnie wiele.

Simonsen zaczął wyliczać jednostajnym głosem: zawsze brakowało czegoś w kuchni, każdego dnia czegoś innego. Ci ludzie o wszystko muszą żebrać – od papieru toaletowego po kredę bilardową. Do tego związku rozpaczliwie potrzebują kogoś do pomocy przy wypełnianiu przez weteranów formularzy i wniosków o wsparcie na drodze do odzyskania sprawności fizycznej i psychicznej.

– Z tego, co widziałem, kuleją u nich działania środowiskowe, bo prawie nigdy nie ma na to czasu – zaznaczył Simonsen. – I mnóstwo innych ważnych rzeczy, długo by wymieniać. Może i niektóre z nich są na pozór banalne, ot codzienne sprawy natury praktycznej, nie przeczę. Ale gdy się na to spojrzy całościowo, okazuje się, że to podstawa funkcjonowania poszczególnych ośrodków. A mimo to te wszystkie wymienione przeze mnie aspekty i tak nie są najważniejsze... Najważniejsze bowiem jest to, że gdyby wojsko udzielało naszym byłym żołnierzom osobistego – podkreślam, osobistego – wsparcia, może nikt by o nich nie zapominał, tak jak to się przedstawia teraz, również w kwestii przyznawania środków.

Naprawdę zrobiło się niezręcznie. Co mogli na to odpowiedzieć? Szef obrony oznajmił bez większego entuzjazmu, że to w sumie świetny pomysł, a szef FE zgodził się z nim, przeciągle ziewając. Nawet Komendant Główny Policji pokiwał niezobowiązująco głową.

– Naturalnie, naturalnie... ciekawa myśl, bardzo szlachetny, wspaniałomyślny gest...

Słyszając to, Simonsen, który jeszcze przed chwilą siedział zadumany i nieobecny, nagle ni z tego, ni z owego odzyskał werwę.

– Nie wiecie nawet, panowie, jak bardzo się cieszę, że tak się na to zapatrujecie! A tak na marginesie: jak myślicie? Ile godzin terapii potrzebuje średnio załoga opancerzonego wozu bojowego... tak w przybliżeniu? – zawołał, może ciut za głośno.

Szef obrony potrząsnął głową.

– Nie wiem, czy ktokolwiek zna na to odpowiedź...

– No tak... na pewno nie pan. To może inaczej... Niech mi pan powie, co jest droższe: karabin maszynowy czy proteza nogi. Jeśli oczywiście założymy, że oba te sprzęty są najlepszej jakości i wykonane z wykorzystaniem najnowocześniejszych dostępnych technologii.

I tym razem to minister finansów okazał się najbystrzejszy.

– To brzmi naprawdę sensownie... Ochotniczy program odwiedzin pracowników sił zbrojnych u weteranów... „Ochotniczy” czytaj: „Bądź tak miły i wykonaj”. To całkiem niegłupia inicjatywa, choć wiadomo, że wymaga to dopracowania. Poza tym taka idea cieszyć się będzie zapewne wysokim uznaniem społeczeństwa, a to kolejny plus. Może wspólnie powinniśmy zasugerować, by na kolejnym posiedzeniu Rady Ministrów powołano specjalną radę – rzucił z lekkim wahaniem.

To ostatnie powiedział do ministra sprawiedliwości, który jak się okazało, nie miał nic przeciwko. Simonsen wskazał na ministra finansów.

– Ale to nie jest sprawa z rodzaju tych odkładanych w nieskończoność, aż w końcu wszyscy o niej zapomną... Chcę znać jakieś ramy czasowe, za które pan minister osobiście poręczy. Tylko proszę pamiętać, że ma to również dotyczyć kierownictwa wyższego szczebla, bez wyjątków! I co najważniejsze: nie chodzi tu o jałowe dyskusje ani wznoszenie toastów... O nie, to już przerabialiśmy. Do kuchni z nimi, niech nasmażą kotletów, a potem pomogą przy zmywaniu!

– Niech pan uważa, panie inspektorze. Na trochę zbyt wiele pan sobie pozwala – ostrzegł go oficjalnie Hammer.

Ale minister finansów bynajmniej nie poczuł się urażony.

– Osiem miesięcy, na wszystko potrzeba czasu. Przy czym, żeby wprowadzić ten plan w życie, potrzebujemy aprobaty ze strony opozycji. Dodatkowo konieczna jest współpraca z dowództwem sił zbrojnych i aktywnie działającymi związkami zawodowymi. W przeciwnym razie będzie to zwykłe mydlenie oczu. Ale gdy już będziemy mieli gotową koncepcję, dam panu znać i spotkamy się, by wszystko omówić wspólnie. Nie przysługuje panu oficjalne prawo do sprzeciwu, nie mówiąc już o prawie weta, ale musi pan wiedzieć, że zawsze dotrzymuję obietnic. A jeśli wynik moich starań pana nie zadowoli, najwyżej w swoim czasie zmyje mi pan głowę.

Epilog

Środa, 1 grudnia 2010 roku, Ocean Spokojny, 19°40'S 169°04'W

Mężczyzna musiał bardzo cierpieć. Raz po raz wydawał z siebie donośne, krótkie jęki. Nie chciał zakłócać spokoju innym pasażerom, lecz ból stał się tak przejmujący, że nie był w stanie znieść go w ciszy.

Hrabianka spojrzała na zegarek. Gdy startowali z lotniska w Vancouver nastawiła go na dwunastą, teraz zaś już po raz drugi od początku podróży wskazywał chwilę przed czwartą. Sierżantka nie mogła się wprost doczekać przedstawienia, które rozegra się na pokładzie samolotu w ciągu najbliższych piętnastu minut – przedstawienia, które zresztą sama niestrudzenie aranżowała przez ostatnie dziesięć dni we współpracy z Policyjnymi Służbami Wywiadowczymi. Upiła łyk wody z butelki, po czym stwierdziła ku swojemu wielkiemu zadowoleniu, że kobieta zajmująca sąsiednie miejsce zdjęła okulary słoneczne i czujnie obserwuje, co dzieje się w przedniej części samolotu. Irene Gallagher przespała większą część lotu, więc nie miały okazji ze sobą rozmawiać. Raz czy dwa skinęły tylko uprzejmie jedna drugiej, gdy z przyczyn natury praktycznej musiały mieć na siebie nawzajem wzgląd. Na przykład trzy godziny wcześniej, kiedy Gallagher wstała, żeby skorzystać z toalety. Teraz jednak Hrabianka prze-rwała ciszę:

– Dzień dobry...

Irene Gallagher potrząsnęła głową wyraźnie osłupiała.

– Jest pani Dunką?

Hrabianka potwierdziła.

– Od urodzenia. – Po chwili dodała: – Czytałam gdzieś o tym, że podczas pierwszej wojny światowej żołnierze w okopach symulowali chorobę po przyjęciu chininy... Dzięki niej wyglądali na umierających, choć tak na-

prawdę nic im nie dolegało. W dzisiejszych czasach istnieje cała masa innych, zdecydowanie lepszych rozwiązań. Nie mam pojęcia, co wziął tamten facet, ale jak przechodził obok nas wsparty na ramieniu stewardesy, wyglądał, jakby miał za chwilę zejść z tego świata. No tak, nic pani nie widziała, bo pani spała...

– Kim pani, u diabła, jest?

– Kimś, kto w dosłownym tego słowa znaczeniu przeleciał właśnie pół świata tylko po to, żeby być świadkiem tego, co się zaraz wydarzy. Jeśli mogę być z panią zupełnie szczerą: cieszyłam się na to jak dziecko na święta Bożego Narodzenia. Ale proszę posłuchać tego: nasz chory przyjaciel dobrze się przygotował, jest naprawdę przekonujący. Co swoją drogą nie powinno nikogo dziwić, bo to aktor z Królewskiego Teatru Dramatycznego w Sztokholmie. Nazywa się Oskar Svensson.

Mężczyzna zawodził coraz rozpaczliwiej, przerwy między kolejnymi atakami bólu wyraźnie się skróciły. Obudził tym samym większość pasażerów, którzy bardzo zmartwieni śledzili teraz uważnie rozwój wydarzeń. Za oknem samolotu było ciemno, do świtu zostało jeszcze kilka dobrych godzin.

– Muszę powiedzieć, że pani wybór połączeń lotniczych mocno nas zdumiał. Kopenhaga–Londyn, Londyn–Montreal, Montreal–Vancouver i w końcu Vancouver–Auckland. To, jakkolwiek by na to patrzeć, trochę na około. Można przecież polecieć bezpośrednio, to znaczy z Kopenhagi do Wellington przez Londyn i Sydney. Ale w końcu udało nam się rozwikłać tę zagadkę: otóż dzięki temu miała pani pewność, że przez całą podróż będzie się pani znajdować wyłącznie na terytorium, jak i w przestrzeni powietrznej Danii, Wielkiej Brytanii lub Kanady. Wiedziała pani bowiem, że te kraje mają sprawnie funkcjonujący wymiar sprawiedliwości i nie wydadzą zgody na pani ekstradycję do USA bez niepodważalnych dowodów na popełnienie przestępstwa. Podczas gdy wszystkie inne trasy były potencjalnie ryzykowne. Muszę powiedzieć, że jest pani niezwykle ostrożną kobietą, która zawsze bierze pod uwagę wszystkie ewentualności. No... może prawie wszystkie...

Gallagher nie odpowiedziała. Zmierzyła Hrabiankę nienawistnym spojrzeniem, ale widać było, że straciła początkową pewność siebie.

– W rzeczywistości nigdy nie bałaś się ani CIA, ani FE, ani też tego, że ktoś w końcu odkryje kręćtwa, których się dopuściłaś w Bośni w dziewięćdziesiątym piątym roku – ciągnęła dalej sierżantka, nie bawiąc się już w konwenanse. – Jediną osobą, której kiedykolwiek się bałaś, był Bjørn Lauritzen... Albo raczej: przerażała cię myśl, że Bjørn Lauritzen dowie się, jaki los zgotowałaś tym nieszczęsnym kobietom w wiosce Ljubičevac. Bo gdyby się tego dowiedział, bez wątpienia udusiłby cię gołymi rękoma, bez względu na waszą przyjaźń, czy też romans, który mieliście wiele lat temu... nawet gdyby musiał w tym celu pojechać za tobą na koniec świata. W związku z powyższym Pauline Berg i Jelena Khrobc stanowiły zabójczy koktajl. Osobno nie mogły ci w żaden sposób zaszkodzić. Gdyby Pauline na własną rękę odszukała Bjørna, ten nie uwierzyłby jej, że jego przyjaciółka, jak by to ująć: na własne potrzeby zorganizowała trzy pociski manewrujące. Sama Jelena też nie stanowiła problemu... Dziewczyna uwierzyła w serbskie bomby i kurczowo trzymała się tej prawdy. Poza tym darzyła cię dużym sentymentem. Zatem, jak już mówiłam: dopóki się nie spotkały, mogłaś spać spokojnie, ale potem... potem to już była zupełnie inna bajka. Razem miały szansę przekonać Lauritzena, że prawda wygląda inaczej, niż do tej pory przypuszczał. Wtedy zaś miałabyś problem zdecydowanie większego kalibru. Nie mogłaś jednak po prostu zabić Bjørna, bo Jonas Ziegler i Pauline Berg dodaliby dwa do dwóch i szybko odkryli, co jest grane. Tak przynajmniej można było założyć, a na takie ryzyko nie mogłaś sobie pozwolić... Poprosiłaś więc Zieglera, by zaaranżował spotkanie z Pauline Berg. Ona zaś zaproponowała rejs po kanałach Kopenhagi, bo to była jej ulubiona forma relaksu. Co zdarzyło się później, wszyscy wiemy.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła... – wyszczała Gallagher.

Hrabianka zaśmiała się sztucznie i powiedziała:

– Jeśli miałaś na myśli Pauline Berg i powiedziałaś tak, żeby mnie sprowokować, to ci się nie udało. Ale... à propos ciekawości: co by było, gdyby

na tym wycieczkowcu były nie cztery, a dwadzieścia cztery dorosłe osoby? Czy też kazałabyś Lauritzenowi ich wszystkich zabić?

– Zakładałam, że pozostali pasażerowie i załoga wyskoczą za burzę, czego, jak się potem okazało, nie zrobili, banda imbecyli...

Siedzący w przedniej części samolotu mężczyzna wydał z siebie pierwszy przenikliwy krzyk, a zaraz po tym kapitan zapytał przez głośnik, czy na pokładzie jest lekarz. Na całe szczęście był. Już po chwili choremu pospieszył z pomocą jakiś niewysoki mężczyzna koło sześćdziesiątki. Gdy mijiał Hrabiankę, ta wyjaśniła Gallagher:

– Ma facet fart. To notabene prawdziwy lekarz. Nazywa się Allen Stirling i jest ordynatorem Oddziału Chirurgii Narządów Wewnętrznych Szpitala Królowej Elżbiety w Birmingham. Czytaj: posiada kompetencje, by zdiagnozować ostre zapalenie wyrostka robaczkowego, na które cierpi nasz wybitny szwedzki aktor. Takie zapalenie to, nawiasem mówiąc, fatalna sprawa. Nieleczony wyrostek może pęknąć, a wtedy pacjent umiera, co pan doktor Stirling zapewne właśnie wyjaśnia kapitanowi.

– Ty perfidna suko, zabiję cię...

– Wątpię, walka wręcz nigdy nie była twoją mocną stroną – odparła ze stoickim spokojem Hrabianka – mnie natomiast szło to swego czasu całkiem nieźle. Poza tym wzięłam ze sobą tego młodego człowieka, który siedzi po twojej drugiej stronie. Just in case, na wszelki wypadek, jak mówią.

Gallagher obróciła głowę. Jej sąsiad zajmujący miejsce przy samym oknie, młodzieniec o proporcjonalnej budowie ciała, również się obudził. W milczeniu obrzucił ją lodowatym spojrzeniem.

Po chwili z głośników znowu popłynął głos kapitana. Za dziesięć minut samolot będzie miał krótkie międzylądowanie na lotnisku w Pago Pago, bo jeden z pasażerów się rozchorował. Zapowiedziano, że w związku z tym wylądują w Auckland z dwudziestominutowym opóźnieniem.

Hrabianka przyjacielskim gestem położyła dłoń na ramieniu Gallagher, po czym zaśmiała się triumfalnie w duchu, gdy kobieta tę dłoń zrzuciła.

– Teraz pewnie siedzisz i próbujesz w popłochu wykalkulować, co to jest Pago Pago i gdzie leży. Otóż zaraz cię oświecę, ale najpierw mam dla

ciebie mały podarek. – Wyjęła z kieszeni naszyjnik i położyła go na kolanach Gallagher. – To chyba twoje, swoją drogą wyjątkowe szkaradztwo. A wracając do Pago Pago... to stolica Samoa, a mówiąc dokładnie: Samoa Amerykańskiego, ale tego już się pewnie sama domyśliłaś. A za pięć minut znajdziesz się na terytorium podlegającym wyłącznej jurysdykcji Stanów Zjednoczonych i coś mi mówi, że lokalne władze chętnie zamienią z tobą parę słów, skoro już zupełnie nieoczekiwanie wpadłaś do nich z wizytą.

Gallagher zaczęła się trząść, a mięsień nad jej prawym okiem mimowolnie drgać.

– Nie bierz tego znowu tak poważnie... – dodała Hrabianka. – Żyjemy, umieramy, raz wygrywamy, raz przegrywamy, jedni lecą na urlop, czyli na przykład ja, inni spędzą resztę życia za kratkami, to akurat dotyczy ciebie. Tak to już w życiu bywa, raz z górki, raz pod górkę. Ale nie należy się do tego szczególnie przywiązywać... To podobno twoja życiowa filozofia. Tak przynajmniej twierdzi Christoffer Brinch. Przy okazji... masz serdeczne pozdrowienia od niego i od całego wydziału zabójstw w Kopenhadze.

* * *

Hrabianka odprowadzała wzrokiem Irene Gallagher, którą dwóch rosyńskich żołnierzy piechoty morskiej prowadziło pasem startowym do zaparkowanego na końcu terminala samochodu. Jeszcze się nie rozwidniło, ale teren był dobrze oświetlony. Po chwili przeniosła wzrok na zbliżającego się właśnie do niej męża, który przyleciał tu zaledwie kwadrans wcześniej samolotem do działań specjalnych Piechoty Morskiej USA. Pocałowała go i zganiła za to, że nie wziął ze sobą kurtki przeciwwiatrowej. Noc była chłodna.

– Jak ci minął lot? – zapytał Simonsen.

– Pierwsze szesnaście godzin ciągnęło się w nieskończoność, ale ostatnie dziesięć minut zrekompensowało mi wszelkie trudy podróży. Czy wypakowali już moją walizkę? I pytanie, gdzie mogę ją odebrać?

Stojący obok Simonsena John Tyler oznajmił, że bagaż Hrabianki już przywieziono, ale o żadne praktyczne szczegóły nie musi się przez najbliższe dwa tygodnie martwić. Państwo Simonsenowie są gośćmi amerykańskiego rządu, co oznacza, że mają wyłącznie wypoczywać.

– To przepiękna wyspa, poczekajcie tylko, aż wstanie słońce – dodał po chwili. – Broszury turystyczne nie kłamią. To prawdziwy mały tropikalny raj! Teraz udamy się na wschodnie wybrzeże, to maksymalnie dziesięć kilometrów stąd. Tam czeka już na nas Deirdre ze śniadaniem. Na lunch poda grillowanego homara. Będziecie oczywiście mieli własny dom, który znajduje się zaledwie kilkaset metrów od naszego. Domyślam się, że po śniadaniu będziecie chcieli się rozpakować, a może nawet zdrzemnąć. Ale to już zależy od was... – Amerykanin poprowadził ich w kierunku miejsca, gdzie wcześniej zniknęli żołnierze prowadzący Gallagher.

– Czy Deirdre ma na nazwisko Tyler? – spytała zaciekawiona Hrabianka.

Rzucone przez Tylera rozwlekłe „taaak...” zabrzmiało prawie jak „nie”. Najwyraźniej był jeszcze jeden mały szczegół, który muszą sobie wyjaśnić...

Zwrócił się wprawdzie do Hrabianki, lecz Simonsen podchwycił:

– Jesteś doprawdy czarujący... Szczegół! A to dobre... Ty i te twoje szczegóły.

– A więc... jeśli chodzi o tego Tylera, a właściwie też Johna, to skłamałbym, mówiąc, że naprawdę się tak nazywam – odparł mężczyzna.